L

296.

# ZAKLĘTY DWÓR

# Książnica Narodowa

Pod redakcją

D-ra St. Pazurkiewicza

Tom IV

□□□□

WALERY ŁOZIŃSKI

# ZAKLĘTY DWÓR

□□□□

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GMACHOWSKIEGO
CZĘSTOCHOWA. 1925.

WALERY ŁOZIŃSKI

# ZAKLĘTY DWÓR

POWIEŚĆ

Przedmową zaopatrzył
Dr. STANISŁAW PAZURKIEWICZ

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GMACHOWSKIEGO
CZĘSTOCHOWA 1925

Printed in Poland

Czcionkami i drukiem
F. D. Wilkoszewskiego
w Częstochowie.

## PRZEDMOWA.

Życie literackie we Lwowie w latach 1850—1863 (tylko ten okres bierzemy pod uwagę) stanowi ciekawą, chociaż dotychczas nieocenioną należycie, kartę w dziejach naszego piśmiennictwa. Cały szereg ówczesnych dzienników i tygodników lwowskich (np. „Dziennik literacki", redagowany przez wybitnego historyka Karola Szajnochę; „Gazeta lwowska", „Nowiny", „Dzwonek", pierwsze pismo ludowe w Małopolsce) umieszcza również utwory początkujących autorów, przyczyniając się przez to do rozwoju młodych talentów. Ukazują się więc powieści Jana Zacharjasiewicza, głośnego w swoim czasie autora „Świętego Jura" lub „Na Kresach"; „Gazeta lwowska" drukuje pierwsze utwory pióra Z. Kaczkowskiego, inne zaś pisma umieszczają wiersze Romanowskiego, Ujejskiego, Pajgerta (późniejszego tłumacza Szekspira i Byrona) oraz prozę Walerego Łozińskiego i znanego już wcześniej Józefa Dzierzkowskiego. Nie wszyscy jednak wymienieni literaci mogli swój talent rozwinąć, niektórym przeszkodziła w tem przedwczesna śmierć — odnosi się to przedewszystkiem do Romanowskiego, poległego w powstaniu styczniowem i Łozińskiego.

* * *

Walery Łoziński — brat Władysława, sławnego historyka — urodził się w r. 1838 (niektórzy podają r. 1837) w Smolnicy,

w powiecie samborskim. Pierwsze swe utwory umieszczał w pismach lwowskich, począwszy od r. 1853. W r. 1859 należał razem z Brunonem Bielawskim, również przedwcześnie zmarłym, do redakcji „Dzwonka“, wydawanego dla ludu. Zmarł w r. 1861 we Lwowie, skutkiem rany, odniesionej w pojedynku z K. Cieszewskim, redaktorem pisma „Czytelnia dla młodzieży“. Oto najważniejsze szczegóły z krótkiego życia Łozińskiego.

Pomimo bardzo młodego wieku, Łoziński wybijał się coraz więcej swym talentem powieściopisarskim, czego dowody złożył w utworach: „Szlachcic chodaczkowy“, „Szaraczek i karmazyn“, „Czarny Matwij“ i „Zaklęty dwór“. Nie był on, oczywiście, talentem dojrzałym, zamało bowiem miał czasu do dalszego rozwoju, ale posiadał (jak np. Mieczysław Romanowski w zakresie poezji) wszelkie cechy, upoważniające do opinji, że przedwczesna śmierć położyła kres pomyślnemu doskonaleniu się w dziedzinie powieściopisarstwa.

* * *

W „Zaklętym dworze“ (drukowanym w „Dzienniku literackim“ 1859 r., a później — już po śmierci autora — wydanym oddzielnie) są również dowody pewnej niedojrzałości talentu, widocznej przedewszystkiem w nagromadzeniu licznych szczegółów, niejednokrotnie zbyt mało posuwających naprzód akcję, której treść jest dosyć rozwlekła w stosunku do wyboru tematu. Również zwrócenie się do tematów niezwykłych, należących raczej do zakresu sensacji (co uwydatnia się też w innych powieściach Łozińskiego), nie może być poczytane za zaletę. Mimo tych braków „Zaklęty dwór“ ma wiele miejsc bardzo zajmujących i sprawia ogólnie korzystne wrażenie. A to już powinno przyczynić się do niemałego z naszej strony uznania dla tak młodego talentu, który pierwszemi płodami swego pióra potrafił naprawdę zainteresować czytelnika. Uczynił to Łoziński przedewszystkiem umiejętnem przedstawieniem zasadniczego wątku powieści, jakim są losy szlachcica—patrjoty Mikołaja Żwirskiego, który nie wahał się oddać dalekim krewnym swego

majątku, by pracować w imię idei demokratycznej a później — po wielu przygodach — wrócić do stron rodzinnych w powiecie samborskim i jako emisarjusz pod przybranem nazwiskiem działać między ludem. Aby tę pracę nad uświadomieniem patrjotycznem okryć tajemnicą przed władzami austrjackiemi i wogóle uchronić się przed grożącem niebezpieczeństwem, wpadł Żwirski na zręczny pomysł wykorzystania dla swych celów pałacu w Żwirowie, który nie należał do spadku, zapisanego krewnym. I po latach (akcja „Zaklętego dworu" odbywa się w r. 1845), gdy — jako kum Dmytro — powrócił do swych stron, zaniedbany dwór pochylił się już mocno do upadku a otaczający ogród dodawał swym dzikim wyglądem jeszcze więcej tajemniczego uroku. To niesamowite wrażenie powiększała fantazja okolicznego ludu, uważającego dwór za zaklęty a jego mieszkańca i opiekuna klucznika Bulija (wiernego i przywiązanego, jak Gerwazy w „Panu Tadeuszu") za czarownika, porozumiewającego się poufnie z duchem zmarłego dziedzica zamku. Nikt bowiem — prócz Bulija — nie wiedział, że kum Dmytro — to Mikołaj Żwirski, gdyż nie przypuszczano, żeby powszechnie znana jego śmierć w Dreźnie była udana. W ten sposób zabezpieczony przed okiem władzy zaborczej, mógł Żwirski dłuższy czas skutecznie pracować. Był bowiem przekonany, że „cała i jedyna nadzieja naszego odrodzenia leży w pojednaniu i solidarności z ludem". Dopiero znana rzeź w r. 1846 położyła kres temu pełnemu poświęcenia życiu.

Juljusz Żwirski, który otrzymał majątek od Mikołaja Żwirskiego, był rownież wyznawcą idei demokratycznej, skoro, jako uczeń gimnazjum w Samborze, stał już na czele tajnego związku i — jak się wyraża autor — „fantazjował zawsze o biednym i uciśnionym ludzie, na którym zdaniem jego cała przyszła ojczyzny polegała nadzieja". A Czorgut, jego przyjaciel, kontynuuje po śmierci Mikołaja Żwirskiego pracę w duchu demokratycznym, potem zaś wyjeżdża z ojczyzny i walczy w szeregach tureckich z Rosją, nie mogąc czekać dłużej w Polsce na powstanie. Te zasady demokratyczne, szerzone w zaborze austrjac-

kim po powstaniu listopadowem — zadokumentowane najlepiej w literaturze „Królem zamczyska“ Goszczyńskiego a w życiu czynem Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego — ożywiają również „Zaklęty dwór“ i nawiązują nić sympatji między autorem a czytelnikiem.

Do zalet powieści Łozińskiego należy też dobrze zaobserwowana charakterystyka ówczesnego świata urzędniczego, reprezentowanego przez mandatarjusza Bonifacego Gągolewskiego i jego sekretarza Gustawa Chochelkę. Tak trafnej charakterystyki nie powstydziłby się nawet Jan Lam, najlepszy w naszej literaturze satyryk, wyśmiewający w swych powieściach (jak np. „Wielki świat Capowic“ lub „Głowy do pozłoty“) austrjacki świat biurokratyczny.

Zdolność umiejętnej obserwacji przyczyniła się też niemało do wiernej charakterystyki w „Zaklętym dworze“ ludu ruskiego z okolic Sambora, czego dowodem jest n. p. ciemny i mściwy Mykita Ołańczuk.

Utwór swój poświęcił Łoziński Janowi Zacharjasiewiczowi, który brał żywy udział w ówczesnym ruchu literackim we Lwowie i wiele swych powieści (jak „Święty Jur“, „Jarema“, „Zakryte karty“,) poświęcił — jak autor „Zaklętego dworu“ — odmalowaniu stosunków wschodnio-małopólskich.

---

# Tom pierwszy

# Część pierwsza.

## ORGANIŚCINA.

Największy człowiek naszego wieku utyskiwał w pewnych chwilach, że nie jest swym własnym wnukiem, nas biednych powieściopisarzy wcale przeciwne trapi zachcenie, my znowu nie możem się pocieszyć, że nie jesteśmy swymi własnymi dziadkami, że przynajmniej o jedno stulecie wcześniej nie przyszliśmy na świat. Za trudne jest dzisiaj nasze stanowisko, za ciężkie zadanie!

— Powieść dzisiejsza — pisze jeden z nowoczesnych estetyków niemieckich — choćby prócz zabawy innych nie miała celów, musi opływać w wszelkie cudowne barwy i blaski fantazji jak bajka z Tysiąca i jednej nocy a tchnąć przytem prawdą i naturalnością jak sama najpowszedniejsza rzeczywistość, musi nam co chwila odsłaniać nowe nieznane dotychczas strony duszy i serca ludzkiego i co chwila do nowych jakichś nieprzewidzianych prowadzić rezultatów, ale z tem wszystkiem powinna opierać się na jak największej prostocie uczucia, na jak najogólniejszych prawdach psychologicznych, zrozumiałych dla każdego a wolnych od wszelkich rysów wyjątkowych. W takim tylko razie zdoła mniej więcej odpowiedzieć swemu zadaniu.

Ależ nie na tem jeszcze koniec trudności. Pół biedyby jeszcze przewalczyć te i tympodobne wymagania, byle tylko przy dzisiejszem rozbujaniu powieści nie tak trudno przychodziło zachować od szwanku reputację własnej twórczości.

Powieść nasza, acz tak ogromnie rozmogła się ostatniemi

czasy, w tak ciasnych przecie tkwi jeszcze ramach, że biednemu powieściopisarzowi trudno krok zrobić, aby zaraz nos w nos nie zetknąć się z dziesięciu poprzednikami lub mimo chęci, wiedzy i woli nie potrącić łokciem któregoś z spółczesnych kolegów.

I ani się nieraz spostrzeże, że układając i kombinując zupełnie nowe i oryginalne w własnem przekonaniu charaktery, rysy, sytuacje, kolizje i perypetje społeczeńskie, powtarza tylko za kimś innym jak za panią matką pacierz, czyli raczej, że tworząc najoryginalniej w własnem przeświadczeniu, odżuwa tylko najniezręczniej w rzeczywistości. Ani wie też często, że zamiast nowe napisać dzieło, złożył tylko nowy obraz z starych kalejdoskopicznych fatałaszków, uklecił nową całość z dawnych stokroć zużytych cząstek składowych, jak gdyby pomimowolnym obszernym komentarzem chciał dokumentnie stwierdzić słowa Goethego:

Wer könnt' was Kluges, wer was Dummes denken,
Was nicht ein Andrer schon vor ihm gedacht!

— Ależ do czego to wszystko mierzy? — zapytasz może czytelniku. — Maż to być reklama dla własnej powieści, czy pokorne przyznanie się do własnego braku oryginalności?

O bądź spokojnym, ani jedno ani drugie! Jeśli już mamy mówić z sobą po otwartej szczerości a szczerej otwartości, to wierzaj mi, że do wszystkich tych stosownych czy niestosownych uwag i ekspektoracyj naprowadził mię tylko zły humor, iż chcąc niechcąc muszę niniejszą moją powieść zaczynać w karczmie, tem najpowszedniejszem miejscu powieściowych schadzek i wszelkich wogóle spotkań umyślnych i przypadkowych.

Lecz niestety Bóg świadkiem, że nie mogłem postąpić sobie inaczej. A to przynajmniej zostaje mi pocieszenie, że karczma moja jak pospolite miejsce zająć musi w powieści, tak wcale niepospolitą rolę odgrywała w rzeczywistości.

Położona przy bitym gościńcu o ćwierć mili za małą wioską Ryczychową, cała murowana i pobita gontem, jakby umyślnie dlatego tylko wysunęła się tuż na samo rozdroże, między obwód samborski a przemyski, aby zarówno po obudwu rozsławić się stronach.

I w samej rzeczy, w całem samborskiem i przemyskiem niewiele szczególnych naliczyłbyś zakątków, gdzieby bogdaj

z imienia nie znali ryczychowskiej karczmy bogdaj ze słychu nie umieli coś powiedzieć o jej czcigodnym arendarzu. Karczma i arendarz tworzyli tu zresztą jak nigdzie jedną nierozdzielną całość, że niepodobnaby sobie ani pomyśleć jedno bez drugiego: ktokolwiek zapamiętał karczmę, musiał zaraz przypominać sobie i garbatego Chaima, zwanego Organistą; bo nim jeszcze budynek stanął pod gontem, on już rozparł w nim swój szynkwas, roztasował swe garnce, flaszki, kwarty i kwatyrki, i przechrzciwszy przyszłą siedzibę od siebie *Organiścinę*, szynkował w niej po dzień dzisiejszy, a szynkował z bezprzykładnem w okolicy powodzeniem.

Mogłeś przejeżdżać tamtędy we dnie czy w nocy, w powszednią czy świąteczną, jarmarczną czy odpustową dobę, zastałeś zawsze tłumno i pełno w sieniach i przed zajazdem, ludno i gwarno w szynkowni i w alkierzu.

Garbaty Organista jak Bóg wie skąd swój niewłaściwy wziął przydomek, tak Bóg wie jaką szczególną siłą tajemniczą umiał przywabiać sobie gości, jednać przyjaciół i łaskawców, i osobliwszą na wszystkich wywierać ponętę.

Żaden brykarz, solarz, maziarz, żaden wogóle wóz z okolicy nie przejechał pewno popod okna ryczychowskiej karczmy, nie zatrzymawszy się bogdaj na chwilę u jej wrót, nie pomówiwszy bogdaj kilka słów z arendarzem.

Garbaty Organista, wylany na wszystkich usługi, nigdy na godzinę nie opuścił domu, zawsze w każdej dobie i porze można było go zastać gotowym i ochoczym do rozmowy, a co główna zawsze w najweselszem pod słońcem usposobieniu.

A ktokolwiek w dłuższą zapuścił się z nim rozmowę, mógł domyśleć się potrosze, dlaczego ryczychowska karczma nie mając ani miar lepszych, ani trunków tańszych i doskonalszych jak inne karczmy, tak rozgłośnej wzdłuż i wszerz używała reputacji i tak świetnem cieszyła się powodzeniem.

Garbaty Organista obok wódki, piwa, miodu i dalszych tym podobnych artykułów, handlował jeszcze innym wyższego rzędu spirytusem, który mu podobno największe ze wszystkich przynosił zyski: posiadał żywy i bystry dowcip i co główna, umiał zawsze w jak najlepszy użyć go sposób.

Należy to do najzwyklejszych nieszczęść wszystkich ludzi dowcipnych, że jak łatwo jednają sobie przyjaciół i wielbicieli, tak nierównie łatwiej jeszcze ściągają sobie na kark wrogów i przeciwników.

Nasz Organista był najzupełniejszym z tej reguły wyjąt-

kiem. Dowcip jego mnożył mu codziennie przyjaciół, a nigdzie i nigdy nie wzniecił nienawiści. Bo też nikt inny nie umiał zręczniej od niego zastosować się w jednem mgnieniu oka do natury i usposobienia tego, z kim mówił.

Garbaty organista był inaczej dowcipny z chłopem, inaczej z przechodzącym małomieszczaninem lub szlachcicem chodaczkowym, inaczej z prywatnymi oficjalistami a spieszącemi na wesela i odpusty popadjankami. Wszystkich razem i każdego z osobna potrafił zabawić na umor, a choć z częsta gęsta i jakieś uszczypliwe wymknęło mu się słówko, to padało ono zawsze na karb kogoś nieobecnego. Przebiegły żyd jak ognia unikał w oczy wszystkich uszczypliwości, a jakby instynktem odgadywał zawsze, co i kiedy należy pominąć.

Kiedy bywało rozsiadł się między chłopami, prawił im cuda o tym sławnym z baśni gminnych Iwanie, co niewyczerpany w swej przebiegłości tyle uciesznych psot napłatał żydom, tak zręcznie zawsze wywinął się z kłopotu, a w zastawiane sobie sidła tak chytrze chwytał swych własnych prześladowców.

Z spieszącym na termin sądowy szlachcicem chodaczkowym Organista z innej czerpał beczki. Przytaczał rozliczne ucieszne dykteryjki z ostatnich praktyk sejmikowych, opowiadał o niedawnych, zawołanych w okolicy rębajłach i bibułach, a na zakończenie dodawał zawsze jakąś ciekawą anegdotkę prawniczą, jakiś zabawny fortel pieniacki.

Kiedy śród drogi na któryś z sąsiednich jarmarków zagościli do Organiściny małomieszczanie z pobliskich miasteczek, Organista inny znowu tok nadawał gawędce. Przed staromiejskiemi baraniarzami drwił z szewców starosolskich, przed radymieńskimi powroźnikami wyszydzał dowcipnie krukienickich kuśnierzy, przed drohobyckimi cebularzami opowiadał niestworzone rzeczy o komarzańskich sadownikach i tak na odwrót, zawsze jednak jedni i drudzy ubawili się jak najlepiej, a wracając niepominęliby za nic w świecie Organiściny.

Dla przejeżdżających oficjalistów prywatnych miał Organista zapas anegdotek o dziwactwach okolicznych panów, zaś panów rozśmieszał dowcipnemi kradzieżami i oszustwami oficjalistów, jednem słowem wszystkich bawił wybornie a wszystkich w inny sposób.

Poznawszy z tej strony garbatego Organistę, łatwiej już domyśleć się, czemu to karczma jego tak świetne zawdzięczała powodzenie.

Ale czasby wreszcie zajrzeć do niej do środka. W izbie

szynkownej panuje niesłychany hałas i wrzawa. Na popołudniową pogadankę świąteczną zeszła się cała gromada ryczychowska do Organiściny, i zajęła od końca do końca główny stół, co od przytulonego pod drzwiami szynkwasu ciągnął się aż po przeciwległą ścianę.

Na głównem miejscu oczywiście rozparł się wójt z należytą powagą, za nim rzędem podług wieku i mienia celniejsi zasiedli gospodarze.

Garbaty Organista ze zwichniętą na bakier jarmułką, swym jednostajnym zawsze na poły dobrodusznym na poły szyderczym uśmiechem na ustach, snuje się z miejsca na miejsce i wnet temu wnet owemu z sporej blaszanej przylewa manierki. Już to po swoim zwyczaju dla wszystkich jest niezmiernie uprzejmy, ale szczególniejszą jakąś cześć i uwagę poświęca człowiekowi, co tuż przy boku wójta siedzi za stołem, a właściwie zdaje się rej wodzić w zgromadzeniu. Wszyscy słuchają bacznie na jego słowa i jak się zdaje raczą się jego traktamentem.

Z tem wszystkiem widać z jego stroju i powierzchowności, że nie należy wcale do gromady. Jestto niemłody już, silnej i krępej budowy człowiek, w czarnym okrągłym kapeluszu na głowie i krótkiej, szerokim rzemieniem przepasanej siermiędze zwyczajnego szarego koloru. Małe czarne plamy mazi rozsiane hojnie po twarzy, rękach i całej odzieży, każą się domniemywać w nim jednego z owych wiejskich przemysłowców, co jednokonnym wózkiem z niewielkim zapasem swego towaru, przeciągają odleglejsze od miasteczek okolice.

Rzeczywiście „kum Dmytro“, jak go wszyscy nazywają, był przejeżdżającym maziarzem, ale bardzo dobrze znanym i nader często widywanym w tych stronach. Znać to już po samej poufałości, z jaką niemal z wszystkimi bez wyjątku tyka sobie gospodarzami, że nie pierwszy raz ma zaszczyt raczyć swym kosztem ryczychowską gromadę.

W tej chwili coś wielce ważnego prawi zgromadzonym gospodarzom, bo wszyscy tak pilnie i uważnie wlepili weń oczy, jak gdyby pragnęli pochwycić i zrozumieć każde słowo, zanim mu jeszcze z ust wypadnie.

Kum Dmytro z jakimś osobliwszym rozprawia ferworem i naciskiem:

— Nic darmo niema na świecie! Bóg, coć przecie hojność najwyższa, nie przyrzekł nam darmo szczęścia ani za życia, ani po śmierci. Ziemia nie żywi nas darmo, wszystko mu-

simy okupywać taniej lub drożej, łatwiej lub trudniej... Wybyście jednak wszystko chcieli darmo! — dorzucił po chwili i pięścią w stół uderzył a potem z niechęcią kapelusz zrzucił z głowy.

Teraz dopiero można lepiej przypatrzyć się jego twarzy, a twarz ta osobliwszy jakiś przedstawia wyraz. Dość raz na nią rzucić okiem, a nie tak łatwo wypadnie z pamięci. Gęsty, krótko ostrzyżony, czarnemi plamami mazi okryty zarost brody pozostawia tylko małą wolną przestrzeń około nosa i oczu, które pod niskiem, wypukłem czołem biegają tak ruchliwie i niespokojnie, że nie podobna żadną miarą odgadnąć ich barwy. Nos zadarty w górę z szeroko rozwartemi nozdrzami, nadaje całej fizjonomji pewien wyraz dzikiej namiętności, podczas kiedy szczególnie uformowana czaszka i silnie zaciśnięte usta zdają się świadczyć o niepospolitej energji i sile ducha.

Ostatnie słowa jego sprawiły wielkie wrażenie na całem zgromadzeniu.

Sam wójt Iwan Chudoba, posunął zamaszystą czapkę baranią z lewego ucha na prawe i odezwał się z niejakiem wahaniem:

— Tać niema co mówić, kumie Dmytrze, macie słuszność. Ale my nie chcemy bynajmniej darmo, nie wiemy tylko co robić.

— Kto nie wie, powinien się dowiedzieć — odparł maziarz krótko.

— A u kogo? — zapytał wójt dalej.

Maziarz potarł ręką po czole.

— U kogo? — powtórzył po chwili. — U siebie samego, u własnego sumienia i rozumu.

— Hm — wycedził wójt nie zewszystkiem zadowolony.

— Mówicie, kumie, jakbyście zadawali zagadki — ozwał się z boku dziesiętnik Mykita Tandara, najpierwszy „mudrahel“ w gromadzie.

Maziarz zamyślił się czegoś.

— Nie czas jeszcze — szepnął po chwili jakby sam do siebie.

— Jakto nie czas jeszcze? — zapytał wójt.

— Nie czas jeszcze, abym ja wam rozwiązywał zagadki, kiedy sami nie umiecie.

— Hm — wybąknął wójt na nowo.

Maziarz spojrzał nagle do okna, jakby kogoś niecierpliwie wyglądając, potem pochylił głowę na piersi i bębniąc palcami po stole, odezwał się po krótkim namyśle jakby od niechcenia:

— Domagacie się wielkiej ulgi, wielkiej łaski, wielkiego podarunku od ludzi, których nienawidzicie, którym złorzeczycie.

— Ba alboż możemy inaczej? — poderwał od szarego końca dawny polowy dworski, Hryć Wenczór.

Maziarz niecierpliwie zabębnił po stole.

— Ot ciemno wam w głowie i kwita. Nie sądzicie nic z rozumu, na wszystko patrzycie według pozoru. Pokrzywdzi was łotr mandatarjusz, dziedzic winien, uciśnie niecnota ekonom, dziedzic winien.

— Ho, ho! — przerwał jakiś ponurego oblicza, nie młody już chłop od szarego końca. — Musicie niemało za maź targować od panów, kiedy tak zawsze stajecie po ich stronie.

Maziarz zmarszczył czoło, chciał coś prędko odpowiedzieć, ale powstrzymał się nagle. Machnął tylko ręką, i obracając się ku szynkwasowi, zawołał żywo i wesoło!

— Jeszcze garniec wódki! panie Organisto.

— Ho, ho, co robicie, kumie Dmytrze — upominał ten i ów u stołu, lubo wszyscy z zadowoleniem poruszyli się na swych ławach.

— At, żeby nie znać licha! jeszcze po kieliszeczku! panowie gromada!

— Ta! — przyzwalał wójt z poważnym uśmiechem za siebie i całą gromadę.

Nowy kielich szybką wokoło stołu obiegł kolej.

— Wasze zdrowie, kumie Dmytrze — powtarzał jeden gospodarz po drugim, wychylając duszkiem blaszaną miarkę.

Kum Dmytro znowu zamyślał się głęboko, a czasami ukradkiem wyzierał przez okno.

— Czy oczekujecie kogo, kumie? — zapytał Mykita Tandara.

— Nie, patrzę tylko, czy wysoko słońce na niebie, dziś jeszcze muszę jechać dalej — odparł obojętnie.

— Jedziecie i nic nam już nie powiecie? — ozwał się wójt z niejakiem ubolewaniem.

— A cóż wam mam mówić, kiedy mi wierzyć nie chcecie?

— Ah! tłumaczył się urzędnik gromadzki, jakby na pół obrażony tym wyrzutem.

Maziarz potarł ręką po czole, a oko dziwnym jakimś zalśniło mu blaskiem.

— Cóż chcecie? — rzekł po chwili z przekonywającym naciskiem — wierzcie albo nie wierzcie, ale powiadam wam

na sumienie, że od was tylko zależy, aby od dziś za rok nikt w całym kraju nie znał pańszczyzny.

Cała gromada wydała jeden tylko wykrzyk radośnego zdziwienia, pomieszanego z pewnem niedowierzaniem.

— Ba, ba! — zawołał wójt, i w znak radości czapkę zasunął na sam tył wygolonej głowy.

— Pan Bógby z was mówił — ozwał się liczny chór.

Maziarz jakby się nagle czegoś zawahał, sparł głowę na ramieniu, przymrużył na pół oczy i zakołysał się cały, jakby go trunek rozbierał.

— Ale — poderwał nagle cokolwiek zmienionym głosem — pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki! Jak się i wy do tego z swej własnej nie przyłożycie strony, to furda z wszystkiego!

— A jakże to rozumiecie, kumie? — zapytał wójt wracając do dawnej urzędowej powagi, od której nigdy nie lubił odstępywać.

Kum Dmytro zakołysał się znowu.

— Kiedy mi się jakoś w głowie kręci — zabełkotał naraz.

— Tak prędko! — przejął z ubolewaniem przysiężny Jać Makar, najsilniejsza głowa w gromadzie.

Maziarz podniósł się cokolwiek.

— Poczekajcie! — zawołał — opowiem wam bajkę. Słuchajcie tylko dobrze.

W tym momencie drzwi z łoskotem rozwarły się na ścieżaj a do izby szynkownej wszedł gość nowy.

Maziarz utknął w mowie i uważnie wpatrzył się w nowo przybyłego. Za jego przykładem poszli i wszyscy inni, i nagle cicho zrobiło się w szynkowni.

Bo też nowo przybyły nie miał nic wspólnego z resztą obecnych gości, a miał na sobie strój, który w czasach pańszczyźnianych do pomimowolnego chłopa zmuszał szacunku.

Był to wcale młody jeszcze mężczyzna, ubrany z waszecia, z grubą laską sękatą w ręku i niewielkiem zawiniątkiem na plecach. Możnaby myśleć, że jakiś szukający służby ekonom lub leśniczy.

Sam widok takiego człowieka napawał chłopa w owych czasach pewnym rodzajem nieufności i odrazy. To też wcale naturalna cisza nastała nagle w szynkowni i sam maziarz zamilkł sród mowy, zwłaszcza, że tym razem tak fizjonomia jak cała powierzchowność nowo przybyłego niewielkiem wogóle mogła przejmować zaufaniem.

Nieżwyczajnie silnej i krępej budowy nieznajomy, miał na

sobie strój bardzo lichy i wyszarzały a każda z osobna część ubrania wydawała się jakby zdarta z kogo innego. Zielona wypłowiała po szyję zapięta kurtka, za krótko sięgała mu w rękawach, a zato znowu grube sukniane pantalony, aż kilkoma naraz fałdami zwisły po niezgrabnych rudawych butach, z których jeden zapiętkiem wybiegł na lewo, a drugi przyszwą daleko wychylił się na prawo. Czarna sukienna czapka z oddartym na pół daszkiem spadała mu aż gdzieś na kark, i z natury zuchwałej już fizjonomji nadawała wyraz więcej jeszcze awanturniczy i wyzywający.

Zdawało się, że nieznajomy każdem swojem spojrzeniem, każdym krokiem i ruchem szuka tylko kogoś, z kimby się dało wszcząć burdę i komuby potężnego guza można nabić przy lada okazji.

Kiedy wszedł do szynkowni, powiódł dokoła wzgardliwym i uśmiechniętym wzrokiem, czapkę zasunął wtył, i przystępując zwolna do szynkwasu, zrobił zrozumiały znak żydowi.

Organista skinął głową z uśmiechem, i tuż zaraz pełny kieliszek wysunął z za kratek.

Nieznajomy sięgnął ręką niedbale, wypróżnił do dna sporą miarkę, i krząknął z taką siłą, że aż kieliszki zadrżały na szynkwasie.

— *Repetatur?* — zapytał Organista, który czasami lubił także popisywać się łaciną.

Nieznajomy skinał głową na znak przyzwolenia, a po drugim kieliszku jeszcze silniej krząknął niż po pierwszym.

— Jakoś to mówią *omne trinum perfectum* — zagadnął znowu Organista.

— Pal cię djabli, dawaj! — odparł nieznajomy silnym basowym głosem, i znowu duszkiem trzecią wychylił miarkę.

Ale Organista nie tak prędko zwykł przerywać toku swych przypowieści.

— No, a teraz — ozwał się znowu z figlarnym uśmiechem — po moich własnych wirszów: wypije czwarty — kto nie uparty.

Nieznajomy uśmiechnął się od niechcenia.

— Cóżto! ty i wiersze robisz? — zapytał.

— Ot tak panie, dla lepszego szachrajstwa! Ale jegomość musi być zdaleka, kiedy o tem nie wie! — podchwycił żyd z swym niezmiennym nigdy uśmiechem.

— I djablo zdaleka, mój bratku! aż z Siedmiogrodu!

— Owa! fiufiu! — wybąknął Organista pokiwując głową.

— Ależ nareszcie stanąłem już na miejscu! — wysapał z pełnej piersi nieznajomy, mówiąc więcej do siebie.

— Jakto tutaj? — zapytał Organista i mimowolnie cofnął się o krok wtył.

— Tutaj, w tych stronach — odparł, i nagle obracając się ku stołowi, gdzie siedział maziarz na czele ryczychowskiej gromady, zawołał głośno jakby chciał przestraszyć wszystkich: — Hej, daleko jeszcze do Żwirowa?

— Do Żwirowa? — zapytał wójt poważnie, jakby niedosłyszał dobrze.

— Do Żwirowa? — zawołał maziarz, na którym zapytanie to jakieś szczególniejsze wywarło wrażenie, bo aż porwał się z miejsca i z dziwną uwagą wpatrzył się w nieznajomego.

— Ile mil jeszcze? — pytał podróżny rozkazująco dalej.

— Jak dla jegomości, to tylko trzy, ale dla kogo innego to dobre cztery — wtrącił Organista, wyręczając zapytanych.

Nieznajomy spojrzał na żyda surowym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie od lada kogo przyjmuje żarty. Ale przebiegły Organista nie tak łatwo dał się zbić z toru.

— Bez żartów proszę jegomości — ciągnął dalej niezmieszany — dla kogo innego, co to naprzykład jeździ wozem, to gościńcem będzie dobre cztery mile, ale jegomość piechotą może jedną milę zostawić na boku.

— Aha, jest zapewne jakaś krótsza droga.

— Buczalski wygon! — tłumaczył na rozum wójt ryczychowski.

Organista bił się widocznie z jakąś ukrytą myślą, którą wahał się narazie wyjawić. Nagle poprawił zakręcone pejsy, ukłonił się nisko berłydkiem i zapytał nieśmiało, bo po prawdzie niepospolicie mu imponowała zuchwała postawa i zawadjacka mina nieznajomego.

— Bez urazy jegomości, jeśli wolno zapytać z przeproszeniem, do kogo jegomość do Żwirowa?

— Do kogo? do dworu — odparł nieznajomy niedbale, wyciągając się wygodnie na najbliższej ławie.

Organista odskoczył wtył jak oparzony, a pomiędzy ryczychowską gromadą jakiś nagły, szczególniejszy powstał szelest.

— Do dworu? — zapytał żyd, jakby nie dosłyszał dobrze.

— Albo cóż? — wybąknął podróżny, zdziwiony niespodziewanem wrażeniem słów swoich.

— Et, jegomość sobie żartuje — przemówił z nowym ukłonem Organista — do kogożby jegomość szedł do dworu?

— Jakto do kogo, do dziedzica, błaźnie! — zawołał nieznajomy z dumą, zniecierpliwiony cokolwiek temi zapytaniami.

— Do nieboszczyka? — wybąknął Organista jakby sam nie wiedział co mówi.

Nieznajomy jak opętany porwał się z ławy i jednym susem przyskoczył do żyda.

— Jakto? Co mówisz, nowy dziedzic żwirowski nie żyje? — zawołał gromowym głosem.

Biedny Organista aż przykucnął z przestrachu, tak groźnym wydał mu się w jednej chwili nieznajomy.

— Uchowaj Boże — zawołał skwapliwie — po coby miał nie żyć! Żyje ale mieszka o milę za Żwirowem aż w Oparkach, proszę jegomości, bo dwór żwirowski zaklęty.

— Jaki? zaklęty?! — wykrzyknął podróżny, rubasznym wybuchając śmiechem.

Garbaty Organista skrzywił się z niesmakiem. Mimo całego swego dowcipu ulegał powszechnej wadzie swego pokolenia, był zabobonnym jak wszystka nasza wiejska dziatwa Izraela.

— No, niema się tu wcale z czego śmiać — przedkładał z niezwyczajną u siebie powagą. — Widzi jegomość, ludzie gadają, że nieboszczyk pan Starościc chodzi po śmierci.

— Chodzi! — powtórzył nieznajomy, i nowym parsknął śmiechem.

— No, może sobie i biega, albo ja wiem — wycedził żyd widocznie niekontent z niedowiarstwa swego gościa. — Ale ja powiadam panu, że tak ludzie utrzymują, a stary dwór żwirowski nazywa się w całej okolicy, na dwadzieścia mil wzdłuż i wszerz *zaklętym dworem,* bo nieboszczyk Starościc w nim się najczęściej pokazuje.

— Komu? — zapytał podróżny drwiąco.

— Ho! ho, czy jeden go już widział — upewniał żyd stanowczo.

— No, jużto wybaczcie, panie arendarzu, — wtrącił się z powagą wójt ryczychowski — zbliska go podobno jeszcze nikt nie widział prócz starego klucznika, Kostia Bulija, który z nim jakieś nieczyste utrzymuje konszachty. Ale zdaleka nie jeden już spostrzegł światło w zaklętym dworze i przypatrzył się samemu nieboszczykowi, bądź jak z nahajką przechadza się

po ganku, bądź jak na czarnym gdyby węgiel koniu ugania po dachu swego dworu.

— I to wszystko można widzieć każdej nocy? — pytał podróżny nie wychodząc z tonu drwiącej wesołości.

— Broń Boże — tłumaczył dalej wójt. — Nieboszczyk pokazuje się tylko w pewnych porach, w dniach zadusznych i kiedy nów na niebie.

— I do tego czasu nikt mu jeszcze porządnie skóry nie wygarbował? — zapytał podróżny z nowym rubasznym wybuchem śmiechu.

Wójt obrócił się z niechęcią i indygnacją.

— Nie godzi się żartować w takich rzeczach — upomniał z powagą.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Ha, — szepnął półgłosem jakby sam do siebie — Szekspir powiada, że są rzeczy na niebie i ziemi, o których się ani śniło filozofom.

A potem obracając się do zgorszonego cokolwiek wójta, zapytał dalej mniej już drwiącym tonem:

— A jakże, w samym dworze nikt nie mieszka?

— Niema żywej duszy ani w dworze, ani w oficynach. Od śmierci Starościca niczyja jeszcze noga nie przestąpiła progów zaklętego dworu, bo nieboszczyk zabronił tego wyraźnie w swym testamencie. Nowy dziedzic mieszka w Oparkach i nigdy ani się pokaże do Żwirowa.

— A któż u licha gospodaruje w samym Żwirowie?

— Folwark leży o ćwierć mili na Buczałach, a tam mieszka i sędzia żwirowski.

— A stary pusty dwór, stoi tak na opatrzność boską bez wszelkiej straży?

— Ta mógłby się wprawdzie obejść bez straży, bo każden omija go na ćwierć mili; przytem wszystkiem pilnuje go jednak Kost Bulij, dawny kozak nieboszczyka, przezwany dziś klucznikiem zaklętego dworu.

— A ten nie boi się upiora?

— On! — zawołał wójt, i wieloznacznie pokiwał głową. — Powiadają ludzie — dodał po chwili zniżając głos uroczyście, ale w tym momencie drgnął na całem ciele, i co żywo zrobił krzyż w powietrzu.

Jednocześnie jakiś osobliwy szmer obiegł wszystkich obecnych.

Nieznajomy obejrzał się zdziwiony ku drzwiom, i sam o krok wtył cofnął się z przestrachu.

W rozwartych na ścieżaj drzwiach, okazała się jakaś olbrzymiego wzrostu postać męska, której nagłe pojawienie się najśmielszy nawet umysł pomimowolną mogłoby przejąć zgrozą.

Garbaty Organista umknął co żywo za kratki szynkwasu, w przechodzie mógł tylko na ucho szepnąć nieznajomemu:

— To on! klucznik zaklętego dworu!

## KLUCZNIK ZAKLĘTEGO DWORU.

Nowy, niespodziewany gość, co jak istny *lupus in fabula* pojawił się w najciekawszym toku rozmowy, a tak szczególniejsze na wszystkich sprawił wrażenie, zatrzymał się chwilkę nieruchomo przy drzwiach i badawczem po całej szynkowni potoczył okiem, jak gdyby kogoś szukał lub się czegoś zawahał u wnijścia. A przyznać należy, że cała jego postać i powierzchowność musiałaby niepospolicie i temu nawet zaimponować, ktoby do wszystkich jego tajemniczych stosunków z zaklętym dworem najmniejszego nie przywiązywał znaczenia.

Wzrostem sięgał do samej niemal powały, siłą budowy i dosadnością kształtów mógł z najzawołańszym mierzyć się atletą. Zdawało się niejako, że brakuje mu tylko lwiej łopatki w ręku a potrafiłby sprawdzić wszystkie biblijne cuda Samsona, sam jeden potykać się z tysiącami przeciwników, mury wywracać z posady.

Z twarzy widać było jednak, iż pewno z okładem przeszedł już krzyżyk piąty. Liczne zmarszczki okrywały czoło i policzki, podgolony dokoła głowy włos przypruszył się znacznie siwizną; tylko wąs krótko podstrzyżony i niesłychanie gęste i krzaczaste brwi zachowały jeszcze pierwotną czarną jak węgiel barwę.

Na sobie miał zwyczajny w tych stronach strój chłopski, szarą siermięgę, szerokim przepasaną rzemieniem, buty z wywróconemi u góry cholewami, czarny pilśniowy kapelusz z szerokiemi krysami i czerwonym sznurkiem dokoła.

— Pal go djabli, to jakiś prawdziwy klucznik czartowski! — wyszepnął nasz nieznajomy wędrowiec, który, jak się spodziewać można, w jednej chwili obejrzał go ciekawie od stóp do głowy, a ochłonąwszy z pierwszego swego, pomimowolnego jakiegoś wrażenia, posunął się o krok naprzód ku nowoprzybyłemu.

Z reszty obecnych nikt nie śmiał ani spojrzeć na strasznego olbrzyma, tylko ów maziarz, co tak głośno do niedawna rej wodził między ryczychowską gromadą a całej rozmowie o zaklętym dworze w obojętnem przysłuchiwał się milczeniu, porwał się nagle z swego siedzenia, a jakiś zagadkowy wyraz ciekawości i niespokoju przemknął mu po twarzy.

— Jak się macie, Kostusiu! — ozwał się poufale — wracacie z Sambora?

Kost' kiwnął głową, na znak potwierdzenia.

— A nie potrzebujecie też mazi? — pytał maziarz dalej, a oczy jego jakieś osobliwsze wyrażały oczekiwanie.

— Nie, nie wyszła mi jeszcze dawniejsza — odpowiedział obojętnie klucznik i obrócił się ku szynkwasowi.

W tej chwili jednak wydawało się naszemu nieznajomemu wędrowcowi, który stojąc w pobliżu śledził z uwagą każde poruszenie starego klucznika, że ten jakiś dziwny zagadkowy znak zrobił nagle maziarzowi.

Nieznajomy obrócił się szybko ku maziarzowi i spotkał się z nim oko w oko. I teraz dopiero uderzyła go niespostrzeżona dotąd postać i fizjonomja znanego nam kuma Dmytra.

Nieznajomy cofnął się nagle zdumiony, bo mu się zdało, że i ten w tejże chwili wymienił z klucznikiem jakiś tajny znak porozumienia.

— Cóż to może znaczyć? — wycedził przez zęby i badawcze w maziarzu utkwił spojrzenie.

Ale i ten jednocześnie z tak szczególniejszym jakimś wyrazem spojrzał mu w oczy, że nieznajomy nasz wędrowiec w wykrzywionych butach mimo całej cynicznej niemal zuchwałości, jaka z każdego jego tchnęła poruszenia, mimowolnie w dół spuścił oczy.

Chciał coś przemówić, ale maziarz obrócił się już do stołu, i ochoczo i wesoło zawołał do swych towarzyszy:

— No, bywajcie mi zdrowi, panowie gromada, miejcie się dobrze, a co wam nie dostaje, kupcie sobie za gotowe pieniądze.

— Jakto, już jedziecie? — zapytał wójt, Iwan Chudoba.

— Jadę, ale za kilka tygodni będę znowu między wami. Bywajcie zdrowi.

I w jednym momencie uściskał serdecznie wójta, podał rękę kolejno wszystkim siedzącym przy stole i przypadając do szynkwasu, gdzie właśnie olbrzymi klucznik z rąk garbatego Organisty małą blaszaną wychylał miarkę, zawołał prędko:

— Ilem ci winien, mości Organisto?

— Że wszystkiem, z wódką dla gromady, z sianem i owsem dla konia i z moją przygrywką, dziesięć sorokowców jak uciął — odpowiedział Organista, zliczywszy kilka niezgrabnie nabazgranych cyfr na szynkwasie.

Maziarz dobył spory skórzany worek z za pasa, wyrzucił dziesięć sorokowców na stół, zasadził kapelusz głęboko na uszy, jeszcze raz skinieniem głowy pożegnał wszystkich obecnych i jak strzała wypadł z szynkowni.

I znowu zdało się naszemu nieznajomemu wędrowcowi, że na samem wyjściu nowy jakiś tajemniczy znak wymienił z klucznikiem.

— Czy się łudzę, czy mię zamroczyło w oczach — mruknął przez zęby nasz bohater o wykręconych butach — ale mnie się zdaje, że ci dwaj znają się jak łyse konie na jarmarku. A jeden i drugi osobliwszą jakąś ma fizjonomję.

I nagle zwrócił się do żyda.

— Kto jest ten człowiek, co wyszedł teraz? — zapytał.

Stary klucznik miał już właśnie odchodzić od szynkwasu, ale zatrzymał się na to zapytanie i spojrzał uważnie na pytającego.

— To kum Dmytro, maziarz — odpowiedział żyd, któremu obecność starego klucznika zdawała się aż język plątać w gębie.

— A skąd on jest? — pytał dalej nieznajomy.

— A któż go tam wie — odparł Organista, wzruszając ramionami — wozi wyborną maź od wsi do wsi, sprzedaje taniej niż w mieście, kredytuje każdemu, kto chce i nie chce, a sam wszystko płaci gotówką. Wielce rarytny człowiek, ale niema się czemu dziwić, mówią przecież kto smaruje, ten jedzie po świecie, a on musi najlepiej smarować, bo sam sprzedaje smarowidło.

— Szczególna! — mruknął nieznajomy. — Gdybym był powieściopisarzem, musiałbym tu koniecznie znaleźć zawikłania do powieści.

I znowu ciekawie wpatrzył się w olbrzymiego klucznika. Nagle jakaś myśl strzeliła mu do głowy.

— Hej, Kostiu! — rzekł żywo, zastępując drogę olbrzymowi.

Klucznik zaklętego dworu przystanął zdziwiony na miejscu, i chmurnem i groźnem okiem spojrzał na nieznajomego, który ni stąd ni zowąd tak poufale zagadnął go po imieniu.

— Wyście tu wozem? — pytał dalej nieznajomy.

— Albo co? — odciął krótko, a wyprężając się surowo w całej postawie, groził powałę przebić głową.

— Musicie mię wziąć z sobą do Żwirowa!

— Co? jak? — zapytał klucznik tonem człowieka, którv nie wie jak w rogu, co chcą od niego.

Nieznajomy wyprostował się i odchrząknął głośno.

— Idę do waszego pana — rzekł z pewnym naciskiem.

Klucznik o krok cofnął się wtył i spojrzał na nieznajomego wzrokiem, który komu innemu niezawodnie poplątałby język w gębie.

— Do kogo? — powtórzył wreszcie,

— Do waszego dziedzica, mówię.

— Do Żwirowa?

— To jest właściwie do Oparek, bo jak mi powiadają, dziedzic nie mieszka w Żwirowie.

Klucznik coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

Niezbity z toru nieznajomy ciągnął dalej z drwiącą niemal poufałością:

— Otóż mój szanowny Kostiu Buliju, kluczniku zaklętego czy przeklętego dworu, tytułem przyszłej znajomości i przyjaźni musisz podwieźć mię do Żwirowa, czyli raczej do tego tam folwarku, jakeś go to nazwał, żydzie? — zwrócił się nagle do Organisty.

— Buczały — przypomniał Organista usłużnie.

— A prawda, Buczały! Otóż z łaski swojej odwieziecie mię do Buczał, do ekonoma, do mandatarjusza, lub jakiegokolwiek innego czorta, a ten mię już odeśle do dziedzica.

Kost' Bulij z wielką uwagą wpatrzył się w nieznajomego i nie rzekł ani słowa.

— No jakże?... — pytał tenże biorąc już swe zawiniątko na plecy.

Klucznik zawahał się czegoś.

— Skądżeto znacie naszego dziedzica? — zapytał po chwili.

— Ho, ho! Szerokoby o tem mówić — zawołał nieznajomy i rezolutnie pokiwał głową. — Jestem ty a ty z waszym dziedzicem. Kochamy się jak bracia ślubni! Dawniej żaden z nas żyć nie mógł jeden bez drugiego!

Organista spojrzał na wykrzywione buty i krótkie rękawy nieznajomego i jakoś z niedowierzaniem wydął wargi, klucznik wzruszył ramionami i nie rzekł ani słowa.

Podróżny rozochocił się jakoś do wynurzeń.

— Poczciwy Julek! ani mu się śniło, że będzie kiedyś siedział w miljonach! — zaczął na nowo — dałbym gardło, że nie wie dotychczas jak sobie z niemi postępować. Ale ja go wezmę pod moją opiekę! Ho, ho! obaczycie! jak ja go wyfrycuję.

Klucznik znowu wzruszył ramionami.

— Ale co tam — przerwał sobie nagle podróżny. — Jedźmy lepiej! Podwieziecie mię przecież — dorzucił tonem, który żadnej już nie dozwalał odmowy.

— Ta — wybąknął klucznik.

Nieznajomy wywinął sękatą swą laską młyńca w powietrzu, poprawił zawiniątko na plecach, czapkę głębiej zasadził na tył i postąpił ochoczo za klucznikiem, który nie mówiąc już ani słowa więcej, zmierzał ku drzwiom.

— A za wódkę? — nagadnął Organista, zachodząc z boku nieznajomemu.

— Później, jak będę kiedy przejeżdżał tędy — odparł niezmieszany nieznajomy, i z takim świstem zamachnął znowu swoją laską, że biedny Organista jak mógł najprędzej cofnął się za swój szynkwas obronny.

Na mostku przed karczmą czekał wysoko wyścielony wóz z podolskim koszem plecionym, uprzężony dwoma rączemi końmi, których czarna jak węgiel maść niemało w opinji ludu szkodziła ich właścicielowi.

Klucznik z rzadką na swój wiek i swą tuszę zręcznością wskoczył w siedzenie, ale przed nim jeszcze znalazł się już tam nasz nieznajomy

— Pojedziemy tędy! — rzekł klepiąc swego woźnicę łaskawie po ramieniu.

Klucznik znowu spojrzał na natręta, ale ten nie lada czem dał się, jak to mówią, zbić z pantałyku.

— Palicie fajkę? — zagadnął znowu swego woźnicę.

Klucznik potwierdził skinieniem głowy.

— A macie tytoń przy sobie? — ciągnął dalej nieznajomy.

Klucznik zamiast odpowiedzi podał mu kapczuk napełniony.

— To może i fajkę macie nadorędziu?

Klucznik wzruszył ramionami, dobył z za pasa zwykłą glinianą, z wierzchu żółtą blachą pobitą fajkę z krótkim drewnianym cybuszkiem, i nie mówiąc ani słowa, podał ją swemu towarzyszowi.

— No, jak na klucznika zaklętego czy przeklętego dworu to nie z najlepszej palicie lulki — wtrącił jeszcze podróżny,

który jak widać nie tak łatwo dał się zadowolić, a nałożywszy fajkę jak mógł najsilniej, zażądał jeszcze hubki i krzesiwa.

Klucznik tymczasem coraz żywiej zacinał konie, wóz toczył się szybko po bitym gościńcu, a niebawem stanął na zakręcie do prywatnej drogi ubocznej.

Tu jednocześnie jakaś inna zbaczała fura. Był to mały, słomianą plecionką okryty z wierzchu wóz, uprzężony jednym małym pstrokatym konien, a powożony przez człowieka, którego twarz zasłaniały szerokie krysy kapelusza. Oba wozy mijały się, ocierając jeden o drugi. W tej chwili podniósł głowę woźnica jednokonki, a nasz nieznajomy poznał maziarza z ryczychowskiej karczmy. I znowu przysiągłby, że między nim a klucznikiem przeleciał w pospiechu jakiś nowy tajemny znak porozumienia.

— Ho, ho, to i ten maziarz coś zmierza ku Żwirowu — ozwał się wreszcie, dmąc przed siebie spory kłąb dymu.

Klucznik nic nie odpowiedział, tylko rzucił na pytającego spojrzenie, które zdawało się mówić: Milczże raz, jeśli nie chcesz zlecić z wozu.

Nieznajomy ucichł, ale nie na długo, rozochocony raz język świerzbiał go nad siły.

— A daleko mamy jeszcze przed sobą? — zapytał po chwili.

— Dobrą milę — odparł klucznik krótko.

— Wasz sędzia oczywiście żonaty?

Klucznik przyznał skinieniem głowy.

— A jak się nazywa?

— Bonifacy Gągolewski.

— Gągolewski! Gągolewski! jakieś gągające nazwisko! Jego właściciel musi koniecznie mieć coś spólnego z gęsim rodem. A ekonom wasz jak się nazywa?

— Onufry Girgilewicz — odparł klucznik krótko.

Nieznajomy parsknął głośnym śmiechem.

— A to widzę jakaś kolonja gęgotliwych nazwisk. Onufry Girgilewicz, Bonifacy Gągolewski! dobrali się obadwaj, ; niema co mówić. I do któregoż to z nich zajechać? Girgilewicz tędy, Gągolewski owędy! Wielce czcigodny dobrodzieju i łaskawco, błogosławiony kluczniku przeklętego dworu — ozwał się wreszcie z komiczno-poważnym nastrojem — zawieziesz mię do pana Gągolewskiego albo jeszcze lepiej do pani Gągolewskiej, *nota bene* jeśli warta grzechu.

Niezażegnany niczem dobry humor nieznajomego zdawał się ugłaskiwać po trosze samego nawet ponurego klucznika,

przynajmniej nie tyle już niechęci i surowości malowało się w jego spojrzeniach.

— A cóż, nie dojedziemy dziś do tego Żwirowa? — ozwał się znowu nieznajomy po długim przestanku.

— Z tego tam pagórka ujrzymy już dwór — odpowiedział klucznik i raźniej zaciął konie.

— Prawdziwie zaklęty dwór, bo zaklęcie daleko od niego.

Klucznik znowu zaciął konie.

Nieznajomy coś niezrozumiale mruknął przez zęby. Spojrzał z boku na klucznika i jakby się czegoś zawahał. Nagle machnął ręką i ozwał się na nowo:

— Czy dwór ten dawno już stoi pusto?

— Od lat pięciu — odpowiedział klucznik, a jakoś mimowolnie zmarszczył czoło.

— Jakto od lat pięciu? kiedy dopiero trzy lata, jak nowy dziedzic objął w posiadanie.

— Tak; ale nieboszczyk JW. Starościc, świeć Panie jego duszy, — przemówił klucznik uroczystym głosem — na dwa lata przed swym zgonem, wyjechał był za granicę.

— I gdzież umarł?

— W Dreźnie — odpowiedział starzec szybko, jakby chciał przykre jakieś przytłumić wspomnienie.

— A wyście byli przy jego śmierci?

— Skonał na moim ręku — odparł szorstko prawie obrażony i zdziwiony tym zapytaniem.

— Spoczął tedy na obcej ziemi! — ciągnął podróżny dalej.

— Przeciwnie w ostatniej swej woli kazał pochować się w Żwirowie, i ja sam przywiozłem tu trupa.

— A nie miałże ani dzieci ani żadnych bliższych krewnych, kiedy cały majątek zupełnie niemal obcemu zostawił imiennikowi?

— Ś. p. JW. Starościc był nieżonatym — odpowiedział klucznik z ciężkiem westchnieniem.

— Ale to nie przeszkadzało mu przecież mieć braci, siostry, synowców, siostrzeńców, synowice, siostrzenice. Bez tych przydatków trudno sobie nawet pomyśleć bezdzietnego bogacza.

Klucznikowi widocznie przykrą była cała ta rozmowa, twarz jego więcej jeszcze ponury przybrała wyraz, a i głos zdawał się twardszym i surowszym.

— Nieboszczyk miał przyrodniego brata, ale...

— Ale? — podchwycił nieznajomy.

— Nie lubił go — odparł klucznik krótko.

— I nie zapisał mu nic zgoła?

— Ani złamanego szeląga.

— A brat ten żyje?

— Mieszka o półtorej mili od Żwirowa, w Orkizowie.

— Tam do kata! jakże ten przyjął nowego dziedzica?

— Dowiecie się to najlepiej od niego samego — odciął klucznik tonem, który zdawał się wypraszać sobie wszelkie dalsze zapytania.

Niezrażony niczem podróżny, chciał na nowo podchwycić wątek rozmowy. Ale w tej chwili wóz wtoczył się na pagórek a w niezbyt dalekiej odległości odsłonił się nagle upragniony widok żwirowskiego dworu.

Nieznajomy aż podskoczył w siedzeniu i chciwie wypatrzył się przed siebie. Słońce już przed pół godziną skryło się za góry, i zmrok już stopniowo osłaniał ziemię.

Z tem wszystkiem dwór żwirowski w dość wyraźnych przedstawiał się zarysach. Był to okazały jednopiętrowy gmach murowany, z dwoma naprzód wybiegającemi skrzydłami, z wspaniałym gankiem, o sześciu słupach kręconych na froncie. Z tyłu ocieniał go szeroko sad owocowy, który po jednej stronie łączył się z niewielkim sosnowym gaikiem, z przodu ciągnął się otoczony ostrokołem dziedziniec, z ogromnym klombem po środku. U boku w głębi dziedzińca, po za szpalerem z lip i dzikich kasztanów, wyzierały obszerne, również jednopiętrowe oficyny.

Zdaleka przy zapadającym zmroku, nie widać było żadnego zniszczenia ani w gmachu samym, ani w dziedzińcu i oficynach, i trudnoby się nawet domyśleć, że stoi zupełnie pusty i niezamieszkany.

— Toż tedy ów dwór zaklęty? — wykrzyknął nieznajomy.

Klucznik zamiast odpowiedzi zaciął konie.

— Dalibóg wcale niestrasznie wygląda zdaleka! — mruknął nieznajomy po chwili milczenia.

— Głupców własny cień straszy — przemówił Kost' Bulij.

— A gdzież wy mieszkacie z waszemi kluczami?

— Mam osobną zagrodę za gajem ogrodowym.

— A wyście żonaci? — zapytał dalej nieznajomy, nie dając się zrazić lakonicznością otrzymywanych odpowiedzi.

— Nie.

— Mieszkacie sam jeden?

Klucznik nic już nie odpowiedział. Wjechał w szeroką gę-

stemi rzędy dzikich kasztanów ocienioną ulicę, a nagle zakręcił na wąski wygon uboczny.

— Gdzieżto zawracacie? — zagadnął nieznajomy.

— Podwiozę pana do Buczał.

— A taż ulica kasztanowa?

— Prowadzi do dworu.

Nieznajomemu strzeliła jakaś myśl nagła.

— Hej, stójcie — zawołał żywo. Wieźcie mię raczej do dworu. Oglądnę to zaklęte miejsce, przenocuję u was, a jutro ze świtem pójdę sobie piechoto do Oparek.

— Pójdź sobie pan, gdzie cię licho poniesie — wybuchnął obcesowo zniecierpliwiony do najwyższego klucznik — tylko odczep się ode mnie!

Nieznajomy nabiegł krwią cały i z impetem chwycił za swą laskę sękatą.

— Ho, ho, bratku — zawołał z zuchwałą buńciuczną miną — zaczynacie się gniewać jak widzę.

Kost' Bulij zmierzył swego towarzysza na pół groźnem, na pół wzgardliwem spojrzeniem, wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Wtem przypadkowo rzucił na bok okiem, i w jednej chwili jakaś szczególniejsza zaszła w nim zmiana. Wszystka krew wezbrała mu do głowy, brwi mocniej ściągnął pod czołem, wargi z zaciekłą przygryzł złością, a z oczu groźna wymknęła się błyskawica.

Nieznajomy mimowolnie spojrzał w tę stronę, zapominając z nagłego zdziwienia o swej własnej urazie.

O kilka kroków na przedzie, tuż przy samym gościńcu wznosił się na małym kopcu stary pochylony na pół krzyż drewniany a o niego stał plecyma oparty jakiś człowiek w chłopskim stroju.

Nie wyglądał na żebraka, choć gruba i brudna na nim płótnianka w rozliczne rozstrzępiła się dziury, słomiany okopcony kapelusz był bez dna prawie, a z wydeptanych chodaków bose wyzierały nogi.

Byłto widocznie jeden z nielicznych jeszcze wówczas proletarjuszów wiejskich, co nie mając sami gruntów, nie potrzebowali robić pańszczyzny a jeśli uszli poboru wojskowego lub w stałą gdzie nie najęli się służbę, stawali się ciężarem i plagą nietylko wsi własnej, ale i całej nieraz okolicy.

Byłto zresztą nie pierwszej już młodości człowiek; mógł mieć lat blisko czterdzieści a twarz jego dziwnie nieprzyjemny

i odrażający nosiła wyraz. Jedno oko zdawało się spoczywać głębiej od drugiego, nos krótki zadarty u spodu a przypłaszczony w górze miał w sobie coś nieludzkiego, lubo godził się dobrze z niezwykle wystającemi jagodami i spiczastą brodą. Małe, wklęsłe, zielonkowate oczy, włos jaskrawo rudy i tysiące blizn po ospie uzupełniały całość fizjonomji.

Stojąc oparty o krzyż drewniany, z zagadkowem zajęciem śledził każde poruszenie toczącego się ku niemu wozu, a prawdziwie szatański wyraz fizjonomji podnosił się jeszcze, im więcej zbliżał się wóz.

Na zaciśniętych ustach igrał mu uśmiech zapamiętałej złośliwości, oczy migotały złowrogo w swych głębokich jamach.

— Kto jest ten człowiek? — zapytał mimowolnie nasz nieznajomy.

Kost' Bulij nic nie odpowiedział, tylko raźniej zaciął konie jakby co najrychlej chciał ominąć figurę.

Człowiek pod krzyżem zaśmiał się dziko, a śmiech ten miał wielkie podobieństwo do przytłumionego wycia wilka.

Klucznik jakieś okropne wybąknął przekleństwo i znowu popędził konie.

Wóz już mijał figurę, kiedy nagle jakby syk gadziny ozwał się głos obdartusa:

— Powoli, powoli, Kostiu Buliju, abyście karku nie skręcili przed czasem. A nie zapominajcie o Jurku Ołańczuku!

Klucznik nowe dzikie wyrzucił przekleństwo, i co sił stało zacinał konie, a jakby nie słyszał licznych wykrzyków i zapytań swego towarzysza, nie obejrzał się nawet, aż przy zupełnie zapadłym zmroku stanęli u kresu podróży w Buczałach.

## Ś. p. MANDATARJUSZ GALICYJSKI.

Mieszkanie mandatarjusza, prześwietne dominium w języku urzędowym, stało tuż przy drodze w niewielkiej odległości od zabudowań folwarcznych, opasanych dokoła wysokim, ociernionym w górze płotem.

Był to niepokaźny, gontem pobity budynek, i gdyby nieprzyparte w zatyle przymurowanie z osobnemi dębowemi drzwiami i dwoma małemi, słomą zatkanemi otworami po bokach, aniby domyśleć się można, że to siedziba jurysdykcji całego żwirowskiego klucza. Rodzaj ten lamusu, ochrzczonego techniczną nazwą aresztu dominikalnego, starczył razem za napis i całą

zewnętrzną wystawę urzędu, który z tem wszystkiem niepospolitej używał powagi i niesłychany wzbudzał szacunek.

Co ma odżyć w pieśni, musi zaginąć w życiu, powiedział poeta, a na szczęście mandatarjusz i jego urząd dopełnili tego niezbędnego warunku, i można śmiało ich już obrać za przedmiot powieściowego obrobienia. A po prawdzie potrzeba spieszyć się z tem przedsięwzięciem, bo dla najbliższych już czasów, dla najbliższego pokolenia stanie się nasz niedawny mandatarjusz podobnie jak komornik, istną figurą mitologiczną, rzeczywistem bajecznem wspomnieniem przeszłości, że niepodobna będzie uwierzyć nawet w jego egzystencję, zrozumieć jego stanowiska, pojąć jego zakresu działania. I jak Cooper mienił się szczęśliwym, że widział i słyszał ostatniego Mohikana, tak niebawem każdy za podwójne poczyta sobie szczęście, kto ujrzy i usłyszy ostatniego mandatarjusza.

Pomiędzy wszystkiemi osobliwościami czysto galicyjskiemi mandatarjusz był niezaprzeczenie jedną z najciekawszych.

Zajmował on tak szczególniejsze w społeczeństwie naszem stanowisko a miał tak właściwy zakres działania, że koniecznie musiał urobić się w pewien typ odrębny, przybrać pewne cechy i znamiona charakterystyczne.

Na poły oficjalista prywatny, na poły urzędnik prywatny, tak niby ni pies, ni ryba, musiał całe życie chwiać się pomiędzy dwoma przeciwnemi siłami, balansować w pośrodku dwóch przeciwległych ciężarów, kurczyć się między młotem a kowadłem.

Płatny i zawisły od dziedzica, podległy władzy obwodowej, a przełożony nad chłopem i żydem, upadał pod brzemieniem potrójnych obowiązków. Musiał po pierwsze dogadzać każdemu kaprysowi, każdemu zachceniu dziedzica, powtóre mydlić ustawicznie oczy władzy, a po trzecie skubać co się dało chłopa i żyda: a najczęściej wszystkie te trzy obowiązki spływały się naraz. Na tem też polegał cały talent, cała zręczność mandatarjusza, aby w jednej i tej samej chwili pochlebić się i jaśnie wielmożnemu panu, i zyskać reskrypt pochwalny od starosty i jakąś okrągłą sumkę, jakiś akcydensik nieszpetny capnąć do własnej kieszeni.

Z historji naturalnej znamy pewną klasę zwierząt, zwanych amfibiami, które mogą zarówno żyć na lądzie i w wodzie.

Mandatarjuszowi nie wystarczały obie te własności; obok natury amfibiów musiał mieć jeszcze w naddatku coś z przymiotów bajecznego salamandra. Nie dość było dla niego umieć

żyć zarówno w wodzie jak i na lądzie, potrzebował jeszcze jak salamandra żyć w ogniu. Musiał wszelkiemi siłami utrzymywać się na chwiejnym lądzie swego anormalnego stanowiska, przebijać się przez powódź najróżnorodniejszych przeciwności, a nadto opierać się jeszcze ogniowi pańskich gniewów, chłopskich skarg i cyrkularnych komisyj.

— Pod utratą służby nie pozwól się aspan żenić Kiryle Harahucowi — nakazywał dziedzic peremptorycznie.

— W przeciągu dwudziestu czterech godzin udzielić konsens ślubny Kiryle Harahucowi, albo wytłumaczyć się ze słusznych i prawnie uzasadnionych przyczyn odmowy — upominał cyrkuł.

— Pozwól mi się żenić, wielmożny sędzio, z Jawdoszką Kogucianką, a przyniosę ci korowaj jak krakowska brama, i krowę boczastą dam na rozpłodek i czterdzieści sorokowców za papier i podpis — błagał małoletni Kiryło Harahuc.

Mandatarjusz zgiął się we dwoje przed groźbą dziedzica, skrzywił się jak po łyżce pieprzu na reskrypt cyrkularny, a aż się zakrztusił pożądliwą ślinką na walną obietnicę Kiryły.

— Pal djabli taką służbę! — mruczał w rozdrażnieniu i co mógł naklął dziedzicowi w myślach, nawyzywał na cyrkuł, ale potem jak zaczął się bić z myślami, kręcić, mataczyć, frymarczyć aż koniecznie jakiś rozjemczy znalazł się środek, a tak i dziedzic się udobruchał, i cyrkuł przymilkł i krowa stanęła w oborze, i czterdzieści sorokowców wpłynęło *ad acta*.

— Bo to zdatny mandatarjusz mospanie — zwykł mawiać sam o sobie — to djabłu podkowę urwie z kopyta, i jeszcze na dobrą kreskę zarobi sobie w piekle.

I w samej rzeczy potrzeba było takiej zdatności, aby z biedą utrzymać się na swem anormalnem stanowisku, podołać swym drażliwym obowiązkom.

Całe czynne życie mandatarjusza było tylko jednem pasmem walk między dziedzicem a wymaganiami władzy, a podnietami własnego interesu. Potrzeba kyło zawsze godzić jedno z drugiem, a nie zapomnieć nigdy o trzeciem. Zawisły bezwzględnie od humorów pańskich, zawsze niepewny jutra, dziś tu, jutro tam, wnet w takim, wnet w owakim kłopocie, wnet w tej, wnet w owej komisji, podobny był mandatarjusz do zręcznego kuglarza, co całe swe życie musi balansować na chwiejnej, w powietrzu uwieszonej tyce lub toczyć się bez wytchnienia po kuli w górę i na dół, w prawo i w lewo.

Niech mu się raz tylko powinęła noga, a skręcił kark

nieochybnie. Bardzo często z kancelarji dominikalnej wiódł prosty jak sznurek manowiec na śliskie bezdroża, lecz częściej jeszcze mandatarjusz na stare lata wypoczywał, gospodarując na własnej wiosce, lub brał całe klucze w dzierżawę, lub wreszcie osiadał w miasteczkach i w różne zyskowne zapuszczał się spekulacje: bawił się lichewką, skupywał suche a przedawał wilgotne zboże, podejmował się dostaw dla wojska lub w ostatecznym razie zaczął rzemiosło pokątnego pisarza.

— Brać co się daje! — było zasadą, hasłem, godłem, mandatarjusza.

Chodziło tylko o to, aby umieć drzeć łyko, aby broń Boże nie pominąć żadnej korzystnej sposobności.

— Brać, kiedy samo pcha się w kieszeń, to lada dureń potrafi — mawiał z dumą stary mandatarjusz — ale z zaciśniętego capnąć kułaka, do zaszytej dobrać się kabzy, to mi sztuka i zasługa! Zdatnemu mandatarjuszowi powinny szydła golić, kiedy innym brzytwy nie zechcą.

A już co pod tym względem pan Bonifacy Gągolewski, mandatarjusz i policajrichter żwirowskiego dominium, z którym niebawem poznamy czytelników, mistrz nad mistrzami, co się zowie! Nie darmo uchodził za najtęższego mandatarjusza w całym obwodzie, a od dwudziestu lat potrafił utrzymać się na jednem miejscu.

Toż słuchać i drukować tylko, co o nim rozpowiadano w okolicy!

— Pan sędzia żwirowski i z kamienia pieniędzy wyciśnie jak zechce. — A co się djabłu w gorączce nie przyśni, to on na jawie wymyśli — mawiali chłopi z jego okręgu.

I w samej rzeczy nikt na bożym świecie nie potrafiłby lepiej wyzyskać i wyeksploatować tej szczypty władzy, jaka do jego mandatarjuszowskiej przywiązywała się godności.

Przy tem wszystkiem odróżniał się jednym zaszczytnym przymiotem.

*Brał*, ale zawsze *zrobił* o co chodziło, kiedy przeciwnie inni w każdym razie wzięli, a mało kiedy co zrobili.

Przy takim jednak trybie urzędowania nie mogło się obejść bez częstych groźnych chmur na horyzoncie; nieraz pan mandatarjusz zabrnął w kłopoty po uszy, a kilka naraz śledztw i komisyj zawisło mu nad karkiem. Ale od czegoż znowu był dekret mandatarjuszowski w kieszeni, a blisko trzydziestoletnia praktyka w głowie: pan Gągolewski wyśliznął się zawsze su-

cha nogą bez szwanku, często jeszcze z nowym reskryptem pochwalnym, zawsze zaś z zyskiem materjalnym w przypadku.

Niech tylko jakakolwiek zagroziła mu komisja, pan mandatarjusz zapowiadał zaraz szesnastu wójtom swego okręgu:

— Za dni kilka zjedzie komisarz w sprawach gromadzkich. Oczywiście zagości wprost do mnie, a mnie ptaki z nieba nie znoszą, za jakie licho mam go żywić! Potrzeba mi kilka kapłonów, wina, cukru, rumu, kawy, herbaty, rozumiecie!

Wójtowie pokłonili się aż do ziemi, nazajutrz zbierali składki od kołka do kołka po wsi a za dwa trzy dni, przybywał do dominium z każdej wsi posłaniec gromadzki, i pokornie składał w ręce pani sędziny półtuzina kapłonów, flaszkę rumu, oko cukru i kawy, funt herbaty i kilka butelek wina.

Nie trudno było przy takich źródłach dochodu przyjąć po hrabsku zapowiedzianego komisarza, a nadto jednać sobie mnogiemi prezentami wszystkich pomniejszych urzędników cyrkularnych.

Bo jużto pan Gągolewski starał się z całym cyrkułem na jak najlepszej żyć zawsze stopie.

Najpośledniejszego kancelistę tytułował komisarzem a jak się sam pokazał w mieście, to fundy i traktamenta nie miały końca.

Dzięki tej szczodrobliwości, pan Gągolewski wiedział zawsze o każdem grożącem sobie niebezpieczeństwie, o każdej przeciw sobie wymierzonej skardze, nim jeszcze weszły do protokułu i nim przedwstępne odbyły się formalności. To też nigdy nie dał się zaskoczyć znienacka, a drwił w żywe oczy i z najgroźniejszego przeciwnika.

Nie było nadto choćby i najsurowszych zasad urzędnika, któremuby sam w jakiś dowcipny sposób nie umiał wetknąć kubana.

Pan komisarz X. naprzykład nie wziąłby złamanego szeląga od rodzonego ojca, pan Gągolewski potrafił jednak znaczną sumkę przegrać do niego w karty. Pan koncepista Y. wyskoczyłby ze skóry, gdyby mu kto najmniejszy ośmielił się ofiarować prezent, pan Gągolewski umiał odprzedać mu jakąś niezrównaną dubeltówkę, jakby jej taniej nie mógł znaleźć na gościńcu. Temu odstąpił jakiś serwis srebrny niby za psie pieniądze kupiony na licytacji, z innym z widoczną stratą zamieniał się na futro, do innego wreszcie za bezcen przefrymarczył zegarek. I każde podszedł z innej beczki, i ujął sobie czy chciał czy nie chciał, czy takim czy owakim fortelem.

Niezachwiany też nigdy na swem stanowisku, jednakim zawsze urzędował trybem.

Drugą pensję płacili mu sami żydowscy arendarze, boć pan mandatarjusz, choć cały kurs swej edukacji odbył jedynie w bazyljańskiej normałce w Drohobyczu, znał na palcach ustawy, szczególniej te paragrafy, które żydom zabraniały mieszkać po wsiach, trzymać chrześcijańskie sługi itp. A zresztą za cóż dawał arendarzom swego dominikalnego policjanta, aby u chłopów zaległe egzekwować lichwy?

Ryby na Boże Narodzenie, wino, jaja, mięso, cukier i korzenie na Wielkanoc szły swoją drogą a pieniężne interesa osobno.

— Tamto *drańcie* — mawiał pan mandatarjusz — to powinność, na odwiecznym oparta obyczaju, to do mojej ordynarji należy; w innych interesach jakbyśmy się nie znali.

A nie chciał kto rozumieć się na rzeczy dobrowolnie, to pan mandatarjusz znalazł już środek, aby mu przypomnieć swoją moc i swoje znaczenie.

Ot w Horbaczach umarł pierwszy bogacz we wsi, co posiadał aż dwa grunta pańszczyźniane, a jedno sołtystwo. Wdowa i syn myśleli, że przy pogrzebie można obejść się bez pana sędziego, ale pan sędzia namotał sobie na wąsie pozostałe po nieboszczyku talary.

— Pogadamy z sobą — szepnął i przygryzł wargi, a to zawsze groziło nie małem niebezpieczeństwem.

I oto wszystko już gotowe do pogrzebu, z całej okolicy zbiegli się ludzie na sutą stypę, sześciu księży zaproszonych mają śpiewać parastasy, aż w tem jak wilk drapieżny zjawia się pan mandatarjusz a wszyscy potruchleli ze strachu.

Widać już z surowego marsa na czole i z przybranego towarzystwa wójta i policjanta, że z ważnem jakiemś przybywa postanowieniem.

— Nic z pogrzebu — przemówił surowo do przerażonej wdowy. — Zaszła skarga do dominium, że nieboszczyk nie umarł naturalną śmiercią.

Prze Bóg żywy, toć od roku dogorywał na suchoty! — tłumaczą wdowa, krewni, sąsiedzi.

— Nic nie znaczy, zaszła skarga a ja muszę pełnić mój obowiązek, nieboszczyk zostanie niepochowany, aż zjadą lekarze, pokrają w sztuki trupa i przekonają się dokumentnie, czy rzeczywiście gwałtowną nie umarł śmiercią.

Piorun z jasnego nieba nie mógł silnie ugodzić w krewnych

i przyjaciół nieboszczyka. Jaka hańba! pogrzeb wstrzymany, śledztwo wytoczone, a nadto wszystko jeszcze, mają nieboszczyka jak nieprzymierzając wieprza, krajać po śmierci, wertować w jego wnętrznościach.

— Zmiłuj się, łaskawy sędzio! — wołają wszyscy chórem.

Ale pan sędzia jeszcze w pasję wpada, grozi aresztem, kryminałem, że aż włosy stają na głowie.

Na szczęście nawinął się skądciś djak porządnie już pijany, ale z tem wszystkiem domyślniejszy od innych. Wziął babinę na stronę, i nuż jej coś wykładać po cichu, a ta jakby cudem opamiętała się w trwodze, poprosiła do izby wielmożnego sędziego i coś z nim krótko poszeptała.

Pan sędzia zmiękł nagle jak wosk na słońcu, a kiedy wyszedł po chwili z chaty, spostrzegli wszyscy, że prawa kieszeń nabrzmiała mu w dwójnasób.

— No kiedy tak, to co innego — mówił głośno z urzędową powagą, pokiwując pompatycznie głową. — Można pochować nieboszczyka, a jakby kryminał chciał urgować, to ja temu jakoś zaradzę.

A zaledwie zadowolniony powrócił do domu, aż tu nowa nawija się grzanka. U Hrycia Gieregi z Szypałówki, przytrzymano parę kradzionych koni.

— Gierega gałgan, nie wydusi z niego ani złamanego szeląga — mruknął pan mandatarjusz w zamyśleniu — ale od właściciela koni kapnie dziesiątka! Ho, ho — dorzucił nagle z impetem i potarł czuprynę. — Gierega ma bogatego sąsiada, Iwana Maciuryna. Tego trzeba skubnąć należycie!

I tej samej chwili spieszy mandat do Szypałówki, aby Iwan Maciuryn w sprawie kryminalnej natychmiast stawił się do protokułu.

Biedny Maciuryn we dwoje zgarbił się z przestrachu, bo wie już zgóry, czem pachnie protokuł w dominium. Nieborak Bogu ducha winien, a zafrasował się jakby naprawdę popełnił jaką zbrodnię. Nie namyślając się długo dwie tuczne gęsi wsadził w kobiałkę, złowrogi mandat ukrył w zanadrze, i dalej z ciężką kobiałką a cięższem jeszcze sercem spieszył na rozkazy prześwietnej dominji.

W brudnej kancelarji, przy kiwającym się, zabazgranym inkaustem stoliku, siedział pan mandatarjusz z ogromnem piórem za uchem, a tak groźno spojrzał na nowo przybyłego, że

biedakowi aż oddech zamarł w krtani. Chwycił za kolana wielmożnego sędziego, ale ten mało mu zęby nie wybił obcasem.

— Precz, złodzieju! — krzyknął z szlachetnem oburzeniem. — Takiemu bogaczowi konie kraść!

Iwanowi Maciurynowi kolana załamały się z przestrachu.

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się całą pięścią.

— Nie mnie to wywiedziesz w pole, stary łotrze! — piorunował mandatarjusz dalej. — U Hrycia Gieregi znaleziono parę koni kradzionych. Tyś wiedział o tem złodziejstwie!

— Prze Bóg żywy — chciał zapierać się Maciuryn.

Ale pan sędzia nie dał mu dokończyć.

— Milcz — przerwał gromowym głosem. — Przysłowie mówi: wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! tyś sąsiadem Gieregi, musiałeś więc wiedzieć o jego kradzieży.

Przestraszony tak dosadnym argumentem Maciuryn, plackiem padł do nóg panu sędziemu i przyrzekł dwa korce czystej jak złoto pszenicy, byle go tylko wybawił z tej kalamancji, w którą go snać jakaś zła mara wplątała.

Pan mandatarjusz zamyślił się głęboko, brwi podciągnął w górę, a potem pokiwał głową i przemówił łaskawiej:

— No idź, idź, durniu i przywoź pszenicę, a jakoś to będzie. Tylko miarę daj dobrą, łotrze — dodał jeszcze na pożegnanie.

Lecz dokądżeby zaprowadziło chcieć spisywać wszystkie takie i tym podobne sprawki pana sędziego? do tegoby pewnie nie jedna, ale kilka wołowych nie wystarczyło skór.

Wszakże wszystko to było niczem jeszcze w porównaniu z triumfami, jakie odnosił rok rocznie w ważnej epoce rekrutacji, tego prawdziwego niewodu dla rybołowczej przebiegłości mandatarjuszowskiej.

— Rekrutacja, to nasz jubileusz — mawiał sam pan Gągolewski. — Dla samej rekrutacji warto już być mandatarjuszem.

Na kilka tygodni przed tem swem żniwem błogosławionem, pan sędzia złoty już dostawał humor, a kiedy przyszło do wypracowania pierwszych list konskrypcyjnych i innych zwyczajnych wykazów i sprawozdań, to jakby nagle o dziesięć lat odmłodniał.

Sam nie zajmował się nigdy potrzebnemi wyrobami urzędowemi, wszystko to spoczywało na głowie aktuarjusza. Pan sędzia osobiście ślęczał nad innemi wykazami i wypracowaniami, układał wcale innego rodzaju listy.

— Taksuję moją trzodkę — mawiał sam do siebie.

Naprzód wyróżniał wszystkich takich, za którymi żadne nie przemawiały nadzieje i którymi potrzeba było pokryć przepisany na dominium kontyngent, a na resztę nakładał pogłówny okup, odpowiedni zasobom każdego z osobna.

— Pańko Duma da tyle i tyle, Hawryło Ławryk, Harasym Cap, Dmytro Kowal tyle i tyle — zapisywał z ścisłą dokładnością do swych regestrów; a łatwiejby djabłu kupioną wydrzeć duszę, niż czcigodnemu sędziemu wytargować jeden szeląg z uchwalonego okupu.

Bo też arcydowcipne wynajdywał sposoby, aby zgóry przyszłych rekrutów piekielnym przejąć popłochem i ułatwić sobie egzekucję rozłożonych haraczów.

Regularnie przed każdą rekrutacją wydawał formalną wojnę któremuś z mocarstw europejskich, a czasami nawet i azjatyckich. W jednym roku wszczynał spór z Francją, w drugim gotował się do zaboru Anglji, w trzecim najeżdżał Rosję, a w najgorszym razie wyprawiał się aż na Turków i tak strasznych w podaniach ludowych Tatarów.

— Bieda — mawiał z zafrasowaną miną do zgromadzonych na tygodniowej sesji wójtów — rekrutacja będzie strasznie surowa, bo nasz cesarz pójdzie na Francuza, a z Francuzem to rzecz nie łatwa! Hohoho, nie jednego to trzeba będzie żołnierza.

I tak szło porządkiem co roku, z tą tylko różnicą, że innym razem pan mandatarjusz zamiast Francuzów gotował się zawojować Anglików, Prusaków, Rosjan a w najgorszym razie spieszył jakąś okropną wewnętrzną przytłumiać rewolucję. A dopieroż po takiej pogłosce tłoczyli się do pana sędziego ojcowie, matki, krewni i przyjaciele zapisanych na liście konskrypcyjnej parobków.

— Wielmożny sędzio, nie bierz mego syna, miej wzgląd na mego jedynaka, ratuj mi wnuczka — zawodzili w niebogłosy.

Pan mandatarjusz miał dla wszystkich jedną tylko odpowiedź.

— Gotujcie tylko pieniądze na doktora i inne ekspensa.

Zachodziło teraz pytanie, ile potrzeba było na to wszystko. Pan mandatarjusz nie zdradzał zgóry swych taks ułożonych, i aby zachować pewien pozór słuszności i sumienności, kazał sobie przyprowadzić każdego z zagrożonych z osobna i każdego oglądał ze wszystkich stron jak mógł najdokładniej.

Wszakże wszystkie te oglądania prowadziły do jednedo zawsze wniosku:

— Zda się jak w palce trzasł!

I teraz dopiero zaczęły się właściwe targi i układy.

Pan sędzia każdemu jakąś inną przykładał wadę, i za taką a taką sumę obowiązywał się wyjednać, że i cała komisja rekrutacyjna zgodzi się z jego zdaniem.

— Ty, Hawryło, będziesz utykał na nogę od urodzenia. Tobie, Mykita, czasami w uszach zastępuje, ty, Jurko, masz żebra złamane. Ale na to wszystko potrzeba przynajmniej po trzydzieści reńskich od każdego.

— Aj to za wiele! proszę wielmożnego sędziego — ważył się odezwać ten i ów nieśmiało.

— Za wiele, łotrze, aby ci zdrowe złamać żebro, prostą wywichnąć nogę! — piorunował pan mandatarjusz w gniewie i indygnacji.

Po takim argumencie nie uchodził już żaden w świecie zarzut. Pan sędzia gotów był rozgniewać się i odmówić zupełnie swej pomocy.

Biedny chłopek aż do krwi wydrapał się za uchem, a koniec końców choćby ostatnią przyszło mu sprzedać krowę, postarał się o żądaną sumę, aby tylko ocalić zagrożonego synala.

W niektórych szczególnych wypadkach pan sędzia nie ograniczał się na tej jedynie taktyce.

Przywołał do siebie poufnie zafrasowanego ojca i niejako tonem serdecznego politowania i spółczucia przemówił do niego pod największym sekretem:

— Źle, mój Matwiju Sałamacho. Na twego syna uwzięli się tam.

Struchlał biedny Sałamacha.

— Gdzie? proszę wielmożnego sędziego — ważył się zapytać drżącym głosem.

— Tam, w *Werbbecyrku* — odpowiedział mandatarjusz uroczyście. — Oto przypatrz się: dwa razy czerwonym ołówkiem podkreślili twego syna!

I przy tych słowach podsunął na pół nieżywemu Sałamasze pod sam nos listę konskrypcyjną, gdzie w jednem miejscu uderzały dwie grube kreski czerwone.

— Widzisz tu, twój syn, Jurko Sałamacha, z pod numeru 47 — ciągnął z uroczystą powagą, wodząc palcem ponad kreskami — a tu go podkreślili, ma to znaczyć, że chcą go

wziąć koniecznie. Zapewne ten oficer, co przed dwoma laty był tu na konskrypcji, wyświadczył ci taką przysługę.

— Bogdajby go Pan Bóg skarał — wyjęknął stary Sałamacha żałośnie, i ledwo mu oczy nie wylazły, tak oczami wpatrzył się w te zagadkowe dla niego znaki. — Za cóż on nastał ną moją zgubę!

Pan sędzia wzruszył tylko ramionami.

— Ach wielmożny panie, czy nie masz już żadnego ratunku? — zawodził dalej przerażony ojciec.

— Wiesz co, mój dobry Sałamacho, jeśli nie masz czem grubo poforsować, aby go wybawić na złość *werbbecyrkowi*, to daj od razu wszystkiemu pokój. Poddaj się losowi i siedź cicho!

— Ach, wielmożny panie, toż to mój jedynak! a do tego i niezdatny, ma krzywe nogi.

— Ej co tam nogi! ale ręce ma proste, a przecież rękami dźwiga się karabin.

Biedny Sałamacha niema już na to odpowiedzi. Duszno mu się zrobiło, kiedy posłyszał, jak wielkiej potrzeba kwoty, aby zapobiec grożącemu niebezpieczeństwu. Lecz choćby miał rozbić kogo na gościńcu, musiał wystarać się na czas żądanej sumy.

Pan mandatarjusz miał osobną szkatułkę na dochody rekrutacyjne, które nazywał swemi „przychodami benefisowemi", a które rokrocznie jednaką uczynić musiały sumę. Z nich samych mógł już przez czas dwudziestoletniego swego urzędowania w Żwirowie znaczny złożyć kapitalik.

Nie darmo też uchodził za ogromnego bogacza w całej okolicy, a żydzi pobliskich miasteczek, te najlepsze wyżły na obce majątki, obliczali gotówkę jego na kilkadziesiąt tysięcy.

— I komu on to wszystko zostawi! — troszczyli się zawistni, bo pan Gągolewski nie miał dzieci.

Niestety opatrzność odmówiła mu konsolacji.

— A jabym tak życzyła sobie konsolacji — mówiła zawsze pani sędzina, zawracając oczy i wzdychając z głębi piersi.

I prawda, że sobie strasznie życzyła konsolacji.

Lecz poznawszy pana sędziego już z reputacji, poznajmyż i z osoby.

## WISTOWA PARTJA U P. MANDATARJUSZA.

Po trudach i znojach całodniowego urzędowania, pan sędzia rozrywał się wieczorem.

Zabierając pierwszą z nim znajomość, zastajemy go przy codziennej partji wista w tak zwanym bawialnym pokoju jego mieszkania. Naprzód jednak przypatrzmy się bliżej jego powierzchowności.

Odpowiednie dwoistej, oficjalnej i prywatnej naturze charakteru pana mandatarjusza, i rysy twarzy jego podwójny noszą wyraz. Obok powagi i statku publicznego urzędnika przebijają się w nich i wszystkie szczególne znamiona i właściwości prywatnego oficjalisty.

Mandatarjusz musiał *ex officio* mieć w fizjonomji swej coś z obleśności lokaja a uroczystości kapłana Temidy.

Pan Bonifacy Gągolewski był najwybitniejszym typem, idealnym niejako wyobrazicielem dawnego mandatarjusza galicyjskiego, musiał też koniecznie obok znamion i zalet moralnych łączyć i uwydatniać także wszystkie jego zewnętrzne cechy i przymioty.

Średniego wzrostu, silnej budowy, mógł w jednej chwili według potrzeby bądź na całą piędź zadrzeć głowę w górę, lub też podobnie znizyć się ku ziemi, wprost ku kolanom jaśnie wielmożnego pana. Stąd zapewne pochodziło, że chłopi i żydzi mienili wzrost jego wysokim a dziedzic i starosta widzieli w nim ledwie nie karła.

Nijakiego wyrazu czoło, nad którem sztywnie podczesywana wznosiła się czupryna, mogło dowolnie bądź w groźne zmarszczyć się chmury, bądź w pokorną i uniżoną rozjaśnić się pogodę, jak niemniej grube, pełne, cokolwiek nawet wydęte wargi zdawały się wnet do surowej zaciśnięte powagi, wnet do obleśnego rozszerzone uśmiechu. Oczy, w wklęsłych osadzone jamach, z natury już spoglądały z ukosa, lecz w pewnych razach jak najzawzięciej chyliły się na dół, a nos miał wielkie podobieństwo do wykrzyknika, zmienionego w pół drogi w znak zapytania. Wąsy podcinał pan mandatarjusz u dołu, a podgalał starannie po bokach, a włosy tak gładko przygłaskiwał na skroniach, jak gdyby chciał koniecznie zakryć wielkie, odstające jak skrzydła nietoperza uszy.

Na strój niewielką przykładał wagę, tylko chustka musiała zawsze w szeroki u przodu schodzić się fontaż, a kołnierzyki wybiegały niezbędnie aż do połowy twarzy

Czy to już z przyrodzonej jakiejś skłonności, czy też z długoletniego przywyknienia, pan sędzia prawą rękę zawsze trzymał w kieszeni, a lewą poprawiał łańcuszek od zegarka.

Tylko w tej chwili robił wyjątek z stałej, niezmiennej reguły, bo grał właśnie rober z kołkiem i trzymał karty w ręku.

Pan mandatarjusz jest zapalonym miłośnikiem wista a nie ma nawet za boże poszycie człowieka, który przypadkiem nie zna tej gry szlachetnej.

Żal się Boże! nawet wista grać nie umie — było już najgorsze, co kiedykolwiek na czyjeś mógł przytoczyć potępienie.

Sam zaś miał się za najlepszego gracza jeśli nie w Europie, to przynajmniej w całej jak mówił Galicji i Lodomerji wraz z Bukowiną i księstwami Zator i Oświęcim.

— A wisk, mości dobrodzieju — mawiał — to nie filozofja, którą lada błazen może liznąć za parę lat. Wiska możesz pięćdziesiąt lat grać, i będziesz fuszerował ni w pięć ni w dziewięć, jeżeli nadzwyczajnej nie masz bystrości tu... tu... — kończył, pukając zagiętym palcem po czole.

Przyznać też należy, że nie małej zadał sobie pracy i niezwyczajnej złożył dowody cierpliwości, nim dla własnej rozrywki i własnego ćwiczenia wyuczył ulubionego wiseczka swego obecnego przeciwnika a najbliższego sąsiada, pana Onufrego Girgilewicza, ekonoma buczalskiego klucza, który co wieczór po skończonych zatrudnieniach gospodarskich na trzy lub sześć robrów zagaszczał do pana sędziego.

Poczciwy pan Onufry kiedyś za młodu nauczył się był łabeta, później w dojrzalszych latach liznął gdzieś marjasza, ale do niedawna ani z nazwy nie znał wista.

Dopiero kiedy dostał się w sąsiedztwo pana Gągolewskiego, musiał chcąc niechcąc pokusić się o tak wysoki szczebel społeczeńskiej oświaty, i na łeb na szyję uczył się tej gry postępowej.

A słusznie utrzymywał pan sędzia, że to rzecz nie łatwa, bo ileż to trudu i pracy kosztowało pana Girgilewicza, nim doprowadził do tego, jak utrzymać naraz trzynaście kart w ręku. Jeszczeż dopóki nie wydawał, to jakoś oboma pomagał sobie garściami, ale jak przyszło samemu zagrać z ręki, to pewnie z jedną potrzebną dziesięć niepotrzebnych kart wysypało się na stół, i to zawsze figurami na wierzch!

Pan sędzia okropnie się niecierpliwił, ale aby z czasem

trzeciego wyrobić sobie partnera, nie szczędził usiłowania i uczył, informował, pokazywał, zachęcał niezmordowanie.

Biedny pan Girgilewicz pocił się jak w parowej łaźni, naklął się w duchu, co ślina na język naniosła, ale po kilku latach próby i ciągłego ćwiczenia doszedł wreszcie do tego przekonania, że gra dość dobrze, tylko nigdy nie wie co zadać i nie pamięta co wyszło.

Dość jednak spojrzeć na facjatę czcigodnego ekonoma, aby się nie dziwić bynajmniej tej powolności postępów.

Pan Onufry Girgilewicz to jeszcze ekonom pańszczyźnianego kroju, dyspozytor dawnej daty. Twarz pełna, nabrzmiała a czerwona jak burak, nos zawiesisty, wąs gęsty rostrzępiony, zielona krajka przez pas, hajdawery w buty, nahajka w ręku, ot i cały portret jego na łanie i w gumnie. Na wizycie u pana sędziego zachodziła tylko ta zmiana w jego powierzchowności, że zamiast krótkiej kurtki, przepasanej krajką, miał na sobie jakąś niepierwszej już młodości długą kapotę zieloną, i że oczywiście przy kartach obchodził się bez nahajki.

Podobnie jak pan Gągołewski trzymał się pan Girgilewicz już od lat blisko trzydzieści jednego skarbu, a to dość powiedzieć, aby zaraz o całej jego osobistości wysokie powziąć wyobrażenie.

Ekonom, który od lat dwudziestu na jednym gospodaruje folwarku, potrafi pewno w każdej chwili zapłacić gotówką ten sam folwark i jeszcze się zagospodarować po swojemu.

— Uchowaj Boże, abym miał kraść! — mawiał pan Girgilewicz z indygacją — ale jakoś się tak mimochodem uciuła parę groszy. Z tego coś kapnie, z tamtego wściubnie, na tem się się zarobi, z tego przygospodaruję, *ot taj tylko!*

Inaczej trochę mawiali złośliwi ludzie, ale bo też i czegóż ci już nie mówili. Toć między innemi dowodzili niezbicie, że pan Girgilewicz za młodu w piecu palił we dworze, i że tylko z łaski jakiegoś pisarza nauczył się trochę czytać i pisać, a jeszcze przed laty piętnastu a i znał nawet jakiegoś Girgilewicza. Wówczas nazywał się po ojcu, stróżu zawałowskiej karczmy, poprostu Onufrym Giergołą.

Ale pan Girgilewicz zadawał wszystkim tym pogłoskom fałsz zupełny.

— Czegoż psie pyski nie oszczekają — żalił się swoim właściwym ekonomskim trybem. — Niech ich Pan Bóg skarze, *taj tylko!*

Wszakże jednej rzeczy nie mógłby zaprzeć się pan Girgi-

lewicz, choćby się na głowie postawił. Że sam z Giergoły przedzierzgnął się na Girgilewicza, o tem tylko ludzie gadali, ale że jedynego swego syna, oddanego do szkół do Sambora, z Girgilewicza przechrzcił na Gergolickiego, do tego sam się przyznawał.

Wszakże miał do tego swoje właściwe powody.

— Co to komu szkodzi, *taj tylko* — tłumaczył się poufnie. — Chłopak ma talent, może daleko doprowadzić, a to przeklęte nazwisko Girgilewicz stanowiłoby mu jeno przeszkody, taj tylko. A zresztą któż to może wiedzieć, uciułało się jaki taki grosik, z czasem potrafiłoby się kupić jaki folwareczek nieszpetny, a tak Michaś może wykierować się na pana, na jaśnie wielmożnego nawet. Nie wierzysz pan dobrodziej? Toć zechciej się tylko rozglądnąć pomiędzy dzisiejszą naszą arystokracją galicyjską, a obaczysz, że zaledwie mniejsza część z nich jak to mówią, panowie z panów. Reszta, żal się Boże, dorobkiewicze albo mechesy, taj tylko! Większa część naszych głośniejszych dziś jaśnie wielmożnych, przypomina sobie dziadów w ekonomskich kapotach, jeśli jeszcze nie gorzej, a niejeden nosi nazwisko, co tak pospolitością pachnie, że dalibóg dawniej wstydziłby się go lada kuchta magnacki, taj tylko!

Trudno zaprzeczyć, żeby pan Girgilewicz mimo swej ciasnej głowy nie miał daru wymowy i pewnej logiki w rozumowaniu.

Trzecim w gronie graczem był młody sztywnie trzymający się mężczyzna z ogromnemi bakenbardami, na które snać niezmiernie wiele ważył, bo co chwila je muskał, przygładzał, poprawiał, podciągał, przyczem zawsze z ukosa zerkał do zwierciadła po przeciwnej stronie ściany. Ubiór na nim, acz widocznie tandetny, silił się na gwałt uchodzić za elegancki. Bronzowy, opięty surducik wygiął się ogromnemi klapami na przodzie, odsłaniając kolorową koszulę z wysokiemi, sztywnie wykrochmalonemi kołnierzykami, jasne pantalony sięgały tylko po kostki, lubo wąskie strzemiączka skórzane przyciągały je na dół co sił stało, a chustka pod szyją, w kunsztowny jakiś związana fontaź, odsłaniała niechcący jeden rąbek strasznie już wystrzępiony.

Tak lichej a pretensjonalnej odzieży odpowiadała zarówno licha a pretensjonalna fizjonomja, w której głównie uwydatniała się nadętość, próżność, zarozumiałość.

W samej rzeczy pan Gustaw Chochelka, tak zwany aktuarjusz dominikalny, był strasznie próżny i zarozumiały, lecz to z wielu ważnych wypływało powodów. Najpierw nazywał się

Gustaw, co przecie jak sam mówił, jedno z najpiękniejszych imion kalendarza, powtóre uchodził za najprzystojniejszego kawalera i najwytworniejszego eleganta w okolicy, po trzecie mienił się człowiekiem światowym w całem pojęciu tego wyrazu, a po czwarte jako aktuarjusz dominikalny, figura urzędowa, znaczył coś przecie, i miał piękne widoki na przyszłość.

Z tem wszystkiem pan mandatarjusz z niewielkiem jakoś był dla niego poważaniem, i tylko w wypadkach nadzwyczajnych, w razie choroby, wyjazdu lub chwilowego przeszkodzenia księdza proboszcza, przypuszczał go do jednego z sobą stolika.

O wiele lepiej za to umiała pani sędzina poznać i ocenić jego zalety, tak przynajmnjej utrzymywały złośliwe języki.

To też i w tej chwili przypatrując się grze, siedzi za jego krzesłem, bo ciekawa, czy panu Gustawowi przyniesie szczęście lub nieszczęście.

Pan Gustaw czasem ukradkiem zabójcze rzuci na nią spojrzenie i czułe przytłumi westchnienie, a otyła, rumiana na twarzy pani sędzina uśmiechnie się tylko, i poprawia aż nadto może bujne koki swych ciemnych, pozłotą od rosołu smarowanych włosów.

Pan sędzia gra z kołkiem, co ogromnej wymaga uwagi, a pan Girgilewicz strasznie się jakoś zaperzył i zacietrzewił, bo mając cztery asy w ręku, nie wie którego zadać, aby najpewniej uciec od szlemu.

— Kto zagrywa? — pyta pan sędzia niecierpliwie.

— Ja, taj tylko — odpowiedział pan Girgilewicz, mrucząc przez zęby jakieś zagadkowe kombinacje.

— Czekamy — odezwał się pan aktuarjusz z salonową gracją i pełnym powabu uśmiechem.

Z pana Girgilewicza pot leje się strumieniem. Nie sztuka zagrywać, mając tylko jednego asa, ale któregoż najsamprzód wydać ze czterech. Każdego z osobna obmacał już na wszystkie strony, a ani rusz zdecydować się za tym lub owym. Nareszcie do jakiegoś heroicznego namyślił się postanowienia, zamrużył oczy, zaparł dech w sobie, i na los szczęścia pierwszą lepszą wyrzucił kartę, a aż poskoczył z radości, kiedy zobaczył, że to był as atutowy i że nie przybity obiegł dokoła.

— Nasza — wykrzyknął pan Girgilewicz i z triumfem zagarnął lewę.

— Atutuje... mruknął pan sędzia przez zęby.

— Dobrze gra — wtrącił skwapliwie aktuarjusz — bo jak

wyatutuje, a ja potem przyjdę z mojemi pikami, to skończymy odrazu

— Tylko nic nie gadać — upominał mandatarjusz kategorycznie — bo to wisk nie kiks, mój panie.

Pan aktuarjusz poprawił kołnierzyk, przymuskał faworyty i w kornem milczeniu przyjął upomnienie.

Pan Girgilewicz sapał, pocił się a atutował i atutował, co zresztą niewielką było sztuką, kiedy jak się pokazało, miał sam wszystkie honory.

Pan sędzia skrzywił się i nasrożył czoło, szlem zawisł mu nad głową, a szlem od fuszerów to rzecz niemiła dla tak znamienitego gracza.

Lecz wtem jakby umyślnie dla wybawienia go od grożącego niebezpieczeństwa, jakiś wóz z turkotem zatoczył się przed ganek.

— Pewnie pan komisarz Mrkwiczka, którego się od wczoraj spodziewam — wykrzyknął pan mandatarjusz, i w pospiechu pomięszał swe karty z uzbieranemi lewami swych przeciwników.

— Zaraz, zaraz — zatrzymymał pan Girgilewicz — ja mam jeszcze dwa asy i trzy trumfy.

Ale pan sędzia już go nie słuchał, spieszył co tchu naprzeciw swemu dostojnemu gościowi. Lecz nim jeszcze mógł wybiec z pokoju, drzwi rozwarły się z niezwykłym zamachem, a zamiast spodziewanego komisarza Mrkwiczki, wszedł nasz nieznajomy wędrowiec z ryczychowskiej karczmy.

Pan sędzia przystanął na miejscu z niezadowoleniem zawiedzionego oczekiwania, pan Girgilewicz usiadł napowrót i otarł pot z czoła, a pan aktuarjusz wzruszył ramionami, zmierzywszy jednym rzutem oka niepoczestną garderobę nowoprzybyłego.

Nieznajomy dopiero w progu zdjął czapkę z głowy i wszedł do pokoju niezmieszany i niezażenowany z tym samym zuchwałym, wyzywającym wyrazem twarzy, tym samym na poły drwiącym, na poły cynicznym uśmiechem, z jakim w karczmie przysłuchiwał się opowiadaniom organisty.

— Zastałem pana mandatarjusza? — zapytał tonem jak gdyby mówił do podwładnych.

Pan Gągolewski strasznie się nasrożył i wyprężył w całej postawie. Po wszelkiej formie i wszelkim zwyczaju należał mu się przecież tytuł sędziego.

— Czego sobie pan życzy? — zapytał z surową powagą.

— Chcę go poznać przedewszystkiem — odpowiedział

nieznajomy i z wyrazem protektorskiej uprzejmości wyciągnął rękę ku zagapionemu mandatarjuszowi, który mimowolnie prawie wysunął swą dłoń do uścisku.

— Z kimże mam honor? — przebąknął, jak gdyby zawstydzony tą poufałością.

— Zaraz, zaraz, mój łaskawco i dobrodzieju — ciągnął dalej nieznajomy, jakby do najpoufniejszego mówił przyjaciela — niech się pierwej rozkwateruję.

I nim jeszcze skończył mówić, rzucił swój tłumoczek i czapkę na najbliższe krzesło, laskę niedbale potrącił w kąt i twarz otarł z kurzu.

Pani sędzina i reszta przytomnych, przypatrywali się każdemu poruszeniu nieznajomego z zdziwieniem ludzi, którzy sami nie wiedzą, jakie przybrać miny, i jaki zachować ton.

— Ale przedewszystkiem nie deranżujcie się państwo — zaczął na nowo nieznajomy i ręką wskazał na stół. — Cóż to, gracie preferansika?

— Wiska — odpowiedział pan Girgilewicz i nadął się z dumą.

— Głupia gra — zawyrokował nieznajomy i z lekceważeniem machnął ręką.

Pan sędzia żachnął się jak gdyby go ktoś szydłem ubódł w pięty. On przecież poczytywał wist za najszczytniejszy wymysł ducha ludzkiego.

— Z kimże mam honor? — powtórzył swe pierwsze zapytanie z nieco silniejszym naciskiem.

Nieznajomy parsknął rubasznym, drwiącym śmiechem.

— No jużto honoru niewielkiego się pan przeze mnie spodziewaj — przemówił śród śmiechu — ale na przyjemność możesz liczyć śmiało.

— Przynajmniej szczery — poszepnął pan Gustaw Chochelka z dowcipnym uśmiechem do ucha pani sędzinie.

— Ależ... upomniał pan mandatarjusz, wyprężając się do najwyższej swej grozy urzędowej.

— Chcesz pan wiedzieć jak się nazywam? — poderwał nieznajomy — dobrze, wyjawię panu wszystkie moje nazwiska, a z nich wybierz sobie jakie zechcesz.

— Jakto? — wycedził mandatarjusz, który z pierwszego zdziwienia przechodził w jakiś przestrach pomimowolny.

— Słuchaj pan tedy: po chrzcie zowię się Damazy, po ojcu Czorgut, w szkołach nazywano mię Katyliną, w klasztorze

Bazyljanów braciszkiem Pantalemonem, a w naszym pułku Żelaznym wilkiem.

Po każdem z tych wyliczonych imion i tytułów pan mandatarjusz o krok cofał się w tył, pan Girgilewicz zawsze o cal szerzej rozdziawiał gębę, a pan aktuarjusz coraz wyżej podciągał swe kolorowe kołnierzyki. Tylko pani sędzina siedziała niema i nieruchoma na swem krześle, w niej ozwała się sama tylko ciekawość kobieca, a dziwaczne zachowanie się nieznajomego sprawiało na niej więcej korzystne niż nieprzyjemne wrażenie.

Nieznajomy, którego odtąd będziemy nazywali po jednem z jego licznych imion i przydomków, wybuchł znowu w głośny i rubaszny śmiech.

— A co? prawda, że jest w czem wybierać?

— Ale czegoż ode mnie chcesz... pan? — zapytał pan sędzia zacinając się przy ostatniem słowie.

— Wstąpiłem tak sobie po drodze, mój łaskawco i dobrodzieju — odparł najspokojniej i usiadł wygodnie na najbliższe krzesło.

Pan sędzia zgłupiał do reszty, pan Girgilewicz prędko zamknął gębę, bo uczuł, że już dalej niepodobna jej roztworzyć.

— Jakto po drodze? — zapytał znowu pan mandatarjusz, i aż pod samą prawie przeciwną cofnął się ścianę.

Zaimponowały mu strasznie ton, mina, i całe postępowanie nieznajomego, a nieczyste sumienie kazało mu się mimowolnie czegoś obawiać i mieć bacznie na ostrożności.

— Idę do waszego dziedzica — rzekł Katylina krótko i stanowczo.

— Ej, czy nie jakiś koleżka bez służby? — pomyślał w duchu mandatarjusz.

— A skądże droga prowadzi? — zapytał pan Girgilewicz.

— Wprost z Hermansztadtu, z Siedmiogrodu.

— Trudno abyś pan dziś już zaszedł do Oparek, bo to jeszcze dobra mila — wtrącił pan Gustaw Chochelka protekcjonalnie.

— A komużby się tam chciało iść w nocy — odburknął pan Damazy Czorgut, wzruszając ramionami. Przenocuję u was w prześwietnej dominji.

Pani sędzina wydęła wargi niekoniecznie uprzejmie, a pan sędzia ledwo nagłos nie wyrzekł:

— Chyba w areszcie, ale nie u mnie.

Katylina nie uważał nawet na miny swego gospodarstwa, rozparł się wygodnie w krześle jakby w własnym domu, a dopiero po chwili odezwał się więcej z impertynencją niż grzecznością:

— Tylko nie róbcie sobie państwo żadnej subjekcji, najmniejszego zachodu, ja tam niewiele dbam o wygody.

— Wierzę — wyszepnęła pani sędzina półgłosem.

— A zresztą niebawem powetuję sobie za wszystko u kochanego Julka.

— U kogo? — zapytali jednocześnie państwo sąsiędztwo i pan Girgilewicz.

— U Julka, mówię; wasz dziedzic nazywa się przecież Juljusz Żwirski.

Na taką poufałość z imieniem dziedzica pogłupieli wszyscy do reszty. Pan sędzia niesłychanie wytrzeszczył oczy, pani sędzina nastrzeżyła uszy, a pan Girgilewicz rozdziawiał gębę po ekonomsku, że nie jedna, ale całe stado wron znalazłoby w niej pomieszczenie.

— To pan dobrodziej?... — odezwał się po dobrej dopiero chwili mandatarjusz, grzeczniejąc nagle do niepoznania.

— Co ja? — zapytał pan Damazy nawpół drwiąco.

— Pan dobrodziej jest...

— Dawnym znajomym dziedzica? — dokończyła sędzina.

— Więcej niż znajomym, moja mości dobrodziejko — odparł Katylina napuszony — muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że jestem jego przyjacielem.

— Tak — wydusił z siebie mandatarjusz wiernie i pokornie, ale ukradkiem zerknął na wykrzywione buty i wydarte łokcie mówiącego.

— Mamy z sobą nawet dawne rachunki — ciągnął Katylina dalej.

— Hm, hm — zakaszlał się mandatarjusz.

Pan Girgilewicz nic nie mówił, z otwartą gębą, z wybałuszonemi oczyma stał nieruchomy jak drogowskaz, odkąd powziął wiadomość, że ma przed sobą przyjaciela jaśnie wielmożnego pana.

— Panowie zapewne się już dawno nie widzieli z sobą — odważyła się zapytać sędzina.

— O tak, już przeszło sześć lat minęło, los w zupełnie przeciwne zapędził nas strony, jego poprowadził do pałacu, a mnie Bóg wie którędy. Musiałem tułać się po rozmaitych

dziurach, ukrywać się nawet pod kutą bazyljańską et caetera et caetera — prawił nieznajomy wpadając w ton wynurzeń.

Pan mandatarjusz pokiwał głową ze znaczeniem, a p. Gustaw Chochelka ściągnął brwi do góry, wydął wargi i wyszepnął półgłosem coś jak: podejrzany ptaszek.

Pan Damazy Czorgut czegoś niespokojnie obejrzał się po pokoju.

— Czy państwo już po kolacji? — zapytał nagle.

— O nie jeszcze — odparła pani sędzina, nieprzygotowana wcale na takie zapytanie.

— To proszę dla mnie najmniejszego nie robić sobie zachodu — ozwał się pan Damazy nanowo. — Zjem co bądź, zwłaszcza żem djablo głodny.

— Zaraz każę przyspieszyć kolację — wyrzekła pani sędzina, i porwała się z krzesła.

— O jedno tylko prosiłbym panią dobrodziejkę — zagadnął znowu pan Damazy.

— Słucham pana.

— Lubię czaj bardzo mocny.

— Dobrze — wyrzekła zagapiona gospodyni i prędko wybiegła do kuchni, jakby się obawiała, aby szczególniejszy gość nie wyjechał za chwilę z czemś nowem.

Pan Damazy obrócił się do pana mandatarjusza, który się czegoś głęboko zamyślił.

— No, mój gospodarzu łaskawy — przemówił uderzając go poufale po ramieniu — poznawszy mię z sobą, poznajże mię i z swymi gośćmi.

— A prawda, zapomniałem — wybąknął pan sędzia. — Rekomenduję panu — zaczął z urzędową powagą, odkrząknąwszy należycie. — To mój sąsiad, rządca buczalskiego folwarku pan Girgilewicz.

Pan Girgilewicz ukłonił się bardzo nisko, Katylina kiwnął głową niedbale.

— Spodziewam się, że niebawem poznamy się bliżej — wycedził z protekcjonalnym uśmiechem.

— To zaś mój aktuarjusz — ciągnął dalej gospodarz.

— Pisarz niby? — poprawił Katylina.

— A tak pisarz, pan Gustaw Chochelka.

— Tam do djabła! — zahuczał Katylina rubasznym uśmiechem. — Także nie miał się już jak nazywać, ta Chochelka!

Biedny pan aktuarjusz ledwie ze skóry nie wyskoczył, tak strasznym zawrzał gniewem. Nieznajomy ugodził go w najdo-

tkliwszą stronę. Nazwał pisarzem, co na okropną zakrawało obelgę, i wyśmiał jego nazwisko, dla którego, jak mówił, wszystkie kobiety jakąś szczególniejszą czuły sympatję.

— Nie rozumiem, prawdziwie — chciał coś powiedzieć, lecz zająłknął się niemiłosiernie.

— Pan Damazy ani spojrzał już na zapyrzonego aktuarjusza, a ni stąd ni zowąd natarł nagle na ekonoma.

— Czyś pan szlachcic, panie Girgilewicz? — zagadnął go, jak najmniej przygotowanego na takie zapytanie.

— To jest... ja... zdaje się... myślę naprzykład... taj tylko... — zaciął się nieszczęśliwy ekonom cały jak w ogniu.

— Więc nie szlachcic? — pomagał mu nielitościwie Katylina.

— To jest... znaczy... ja mówię... taj tylko! — wydusił z siebie z wielką biedą ni w pięć ni w dziewięć.

— Aha, rozumiem, pan mówisz tylko, żeś szlachcicem, ale po prawdzie niby nie wąchałeś pergaminu — podchwytywał drwiąco Katylina.

Na pół nieprzytomny z zakłopotania — ekonom chciał koniecznie coś odpowiedzieć, ale ani rusz zdobyć się na coś stosownego, aż posiniał nieborak, tak strasznie się natężał.

— Taj tylko — wybąknął wreszcie i nic więcej.

— Szkoda, żeś nie szlachcic — ciągnął Katylina — bo w takim razie miałbyś niezawodnie przydomek Giergoła! de Giergoła Girgolewicz, jak na Potoku Potocki!

Żeby kto pana Girgilewicza młotem palnął po łbie, nie ugiąłby się tak mocno, jak pod ciężarem tego jednego słowa Giergoła, które spadło nań jak grom z jasnego nieba, a najdrażliwsze rozbudzało wspomnienie.

Pan Damazy już coś nowego miał na ustach, lecz w tem na szczęście pojawiła się w progu pani sędzina, prosząc panów na kolację do drugiego pokoju.

— Idziemy, służymy! — zawołał gość niezażenowany, posuwając się pierwszy na zaproszenie gospodyni.

## NIEBOSZCZYK STAROŚCIC ŻWIRSKI.

W pół godziny później, siedziało napowrót całe towarzystwo w bawialnym pokoju, a pani sędzina przyrządzała czaj przy ubocznym, czerwona serwetą okrytym stoliku.

— Tylko z masą rumu, pani dobrodziejko — przypominał

gość nieżenowany, jak gdyby w publicznej dysponował gospodzie.

— To jakiś prostak bez wychowania! — wyszepnęła pani sędzina urażona. — Rum będzie przecież na stole, każdy z panów może sobie dolać według upodobania — dorzuciła głośno z widocznym ucinkiem.

— Wybornie, wyśmienicie — zawołał wesoło Katylina. — Obaczycie państwo, jak zaraz inaczej pójdzie cały tok rozmowy.

Pan Girgilewicz uśmiechnął się z zadowoleniem i zcicha cmoknął językiem. Upomnienie się pana Damazego przypadło mu wielce do smaku, bo i on jest tego zdania, że czaj jeśli nie chce uchodzić za rumianek albo za centurję, musi być mocny jak sto djabłów, taj tylko.

Dzięki tej sporej flaszy wcale nie złego rumu a wybornemu przykładowi i ciągłym zachętom Katyliny, całe towarzystwo po jednej szklance w lepszym i weselszym ujrzało się humorze niż kiedyińdziej po trzech lub czterech.

Pani sędzina wyniosła się do swego pokoju, a pan Damazy zapaliwszy fajkę z najdłuższego cybucha gospodarza, rozparł się jak najwygodniej na przyległej sofie, i pociągając od czasu do czasu spory łyk płynu, zakrawającego więcej na rum z herbatą, niż herbatę z rumem, zapadł na chwilę w jakieś głębokie, niezwykłe u siebie zamyślenie.

Naraz zwrócił się do gospodarza.

— Powiedziałem jegomości — rzekł dmąc przed siebie ogromny kłąb dymu — że lubo zespojony z Julkiem najściślejszym węzłem przyjaźni, musiałem od lat czterech zupełnie stracić go z oczu, i nie wiem ani w ząb, jakim sposobem do tak ogromnej przyszedł fortuny.

— Jakto? — zapytał pan mandatarjusz zdziwiony — nie wiesz pan, że zagarnął całą puściznę po nieboszczyku Starościcu Żwirskim?

— O, o tem dowiedziałem się, zaledwie wróciłem do kraju, lecz radbym wiedział, jakim cudownym wpływem czy przypadkiem dostąpił tego szczęścia niespodziewanego?...

Pan mandatarjusz podciągnął brwi do góry, i bardzo ważną przybrał minę.

— Hm, hm, strasznie to zawikłana historja! — mruknął po chwili.

— Wielka kalamancja! — dodał po swojemu Girgilewicz.

— Tem lepiej! rozciekawiacie mię panowie.

— Długo o tem panu potrzeba opowiadać — ciągnął dalej mandatarjusz.

— Zaczynaj więc prędzej w imię Boże, mój dobrodzieju.

— Pan nie słyszałeś nic a nic o nieboszczyku starościcu?

— Nic zgoła.

Pan Girgilewicz pokiwał głową, jakby nie wierzył temu, a pan sędzia nadął się jeszcze poważniej.

— Któż to był tedy ten nieboszczyk starościc? — pytał dalej Katylina.

— Szczególny człowiek! — mruknął mandatarjusz z naciskiem.

— Dziwak — wykładał jaśniej pan Gustaw Chochelka.

— Warjat, taj tylko — zakonkludował ostatecznie Girgilewicz.

— Ho, ho, coraz ciekawiej! — wykrzyknął wesoło Katylina — słucham was, panowie.

— Nie wiem tylko, od czego panu zacząć — zawahał się mandatarjusz.

— Wpadnij zaraz *in medias res*, to najlepiej.

— Gdzie, gdzie? — zapytali jednocześnie mandatarjusz i ekonom, obadwaj nie biegli w łacinie.

— Zaczynaj pan od środka, mówię — tłumaczył Katylina.

Pan mandatarjusz wstrząsł głową.

— Nie uchodzi — rzekł poważnie.

— To opowiadaj, jak chcesz, byleś raz zaczął, łaskawco — naglił Katylina, trochę już zniecierpliwiony.

Pan mandatarjusz zamyślił się na chwilę jakby się czegoś wahał, nagle pokrzepił się sporym haustem czaju, odkrząknął głośno, najeżył w górę podstrzyżony wąs, i ozwał się z napół poważną, napół tajemniczą miną:

— Nieboszczyk starościć jak i brat jego dzisiejszy hrabia Zygmunt Żwirski z Orkizowa, byli synami ś. p. starosty Michała Żwirskiego.

— Aha — bąknął nieznajomy jakby dla zachęcenia opowiadającego.

— A wieszże pan, kto był znowu ś. p. starosta? — zapytał pan mandatarjusz.

— Nic a nic.

Pan sędzia z niewiadomością swego gościa, rósł widocznie w powagę. Pociągnął nowy haust z wypróżnionej do pół szklanicy, i zaczął dopiero po chwili:

— Pan starosta byłto pan, mości dobrodzieju, pan, o ja-

kich już dzisiaj ani słychać, ale jak wszyscy Żwirscy miał tu coś — dodał ciszej, pukając w czoło.

— Małego bzika taj tylko — wypalił mniej ostrożny ekonom.

— Jakto? — przerwał śmiejąc się Katylina — wszyscy Żwirscy mieli bzika?...

— Wszyscy w prostej linji z dziada pradziada aż do ostatniego starościca — potwierdził stanowczo mandatarjusz.

— Więc i hrabia z Orkizowa cierpi na zajączki?

— O, uchowaj Boże — zaprzeczał mandatarjusz — pan hrabia był młodszym synem, i do tego z drugiej żony starosty, i on pierwszy wypadł z tej reguły.

— No a cóż tedy sam starosta? — pytał dalej Katylina, i pół na pół rozłożył się na sofce.

— Starosta na starość przy ogromnej fortunie i ogromnem znaczeniu wplątał się w wojnę konfederacką.

— Przystał do konfederatów taj tylko — poprawiał ekonom.

— Więc był dzielnym patrjotą jak widzę — zawołał Katylina żywo.

Na wyraz patrjota, pan sędzia obejrzał się szybko po całym pokoju, a pan aktuarjusz schował się cały za swe krochmalne kołnierzyki, i mruknął przez zęby:

— Owa! już o patrjotyzmie gada, nie mówiłem, że to jakiś podejrzany ptaszek!

— No i cóż dalej? — zapytał Katylina niekontent z przerwy.

Pan sędzia obejrzał się jeszcze raz po pokoju, pociągnął nowy haust ze szklanki, i prawił dalej z niejakiem wahaniem.

— Tak, w istocie, w samej rzeczy był jak to mówią patrjotą, ale ten patrjotyzm djablo mu na złe wyszedł, bo i majątek znacznie podszargał, i krwi własnej w kilku przelał okazjach, i nareszcie kiedy się wszystko nie udało i nastąpił ów jakto nazywają...

— Ostatni rozbiór — pomógł prędko Katylina.

Mandatarjusz znowu obejrzał się na wszystkie strony.

— A tak, niby, tak... jak pan nazwałeś — jąkał się wahając. — Otóż wtedy... — zaczął spiesznie.

— Wtedy?

— Rozum stracił.

— Zwarjował do reszty, taj tylko.

— Nie wyszedł nigdy z wielkiej sali, gdzie wiszą portrety

rodzinne, i rozparty w wielkiem krześle poręczowem jakby na tronie, powtarzał raz poraz z uroczystą powagą: Nie pozwalam! Protestuję! Czasami tylko wpadał w dziki szał, w jakiś ferwor niepohamowany a wtedy brońże Boże przystąpić do niego. Starosta dobywał nieodstępnej od boku karabeli i wymachiwał jak opętany na wszystkie strony, a co ostrzem ugodził w wielki stół dębowy, to zawsze zawołał okropnym głosem: Masz, zdrajco Potocki! A tom ci zajechał, psie Branicki! To dla ciebie, infamisie Poniński! I tak rąbał nieustannie, coraz nowe wygłaszając nazwiska, aż znużony, zziajany, zapieniony, powalił się bez zmysłów na ziemię. Po każdym takim napadzie słudzy kładli go zaraz w łóżko i głowę okładali lodem. Ale raz czy za późno się opamiętali, czy zresztą przyszedł już czas od Boga naznaczony, pan starosta jak stracił zmysły, tak nie odzyskał ich już więcej.

— Trafił go paralusz taj tylko — zakończył Girgilewicz, i jednym łykiem większą pół szklanki wychylił do kropli.

Pan Damazy Czorgut z wielką uwagą przysłuchiwał się opowiadaniu, a zdawało się, że na chwilę znikł mu nawet z ust nieodstępny nigdy uśmiech sardoniczny.

— I cóż dalej? — zapytał z widoczną niecierpliwością.

Pana mandatarjusza ucieszył efekt, jaki sprawił swem opowiadaniem. Potarł czuprynę, najeżył wyżej wąs podstrzyżony, i po krótkiej chwili namysłu zaczął prawić dalej.

— Po nieboszczyku została wdowa i dwóch synów, ś. p. zmarły przed trzema laty starościc Mikołaj i dzisiejszy orkizowski hrabia Zygmunt. Obadwaj już w pełne dojrzeli lata i zaraz po śmierci ojca podzielili się majątkiem. A trzeba panu wiedzieć, że choćby cały świat obszedł wszerz i wzdłuż, niespotkałby nigdzie dwóch braci tak sobie sprzecznych i niepodobnych, jak byli obaj starościcy żwirscy. Od dzieciństwa nie zgadzali się z sobą w niczem i nie lubili się...

— Jak pies z kotem — poderwał pan Girgilewicz i machnął ręką.

Pan mandatarjusz skrzywił się, niekontent widocznie z przerwy.

— Ludzie — ciągnął dalej — bardzo łatwo tłumaczyli sobie tę wzajemną antypatję. Starościc Mikołaj urodził się z innej, a pan Zygmunt z innej matki; pierwszy był brzydki jak małpa, a ponury, dziki, niepohamowany, uparty, zawzięty jak djabeł, drugi ładny jak panienka, ujmował wszystkich swym wesołym humorem, słodyczą, uprzejmością. Ten opływał w pie-

szczoty matki, lubił odpowiednie sobie towarzystwo, gonił za rozrywkami, tamten po całych dniach przesiadywał u boku obłąkanego ojca, i niepoznany od niego przysłuchiwał się jego szalonym krzykom i dzikim wybuchom. O naukach ani słyszeć nie chciał, z wielką biedą nauczono go zaledwie najniezbędniejszych wiadomości. Kiedy urósł w lata, po całych dniach znowu jak opętany uganiał na koniu, strzelał co mu w drogę weszło, a do towarzystwa przybrał sobie dwóch w swoim wieku parobków, najsilniejszych i najtęższych chłopów w całym kluczu, i tych ani na chwilę nie puszczał od swego boku. Nieboszczka starościna ani śmiała co powiedzieć niesfornemu starościcowi, który zuchwałość swoją mógł posunąć do najwyższego stopnia, a gotów był w każdej chwili najdzikszego ważyć się szaleństwa.

— Fiufiufiu! — przerwał znowu Girgilewicz — czegoż on nie dokazywał już za młodu! Cuda wyrabiał, taj tylko.

— Jak tylko umarł starosta, starościna z panem Zygmuntem przenieśli się do Orkizowa, a starościc Mikołaj objął klucz żwirowski na siebie. Dawniej rządziła matka wszystkiem w imieniu obłąkanego męża, teraz gorszy jeszcze warjat od zmarłego miał całe gospodarstwo pochwycić w swoje ręce. Jakiż to popłoch ogarnął wszystkich na samą tę wiadomość!

— Przyznam się — poderwał Girgilewicz — że ja sam wahałem się, czy natychmiast dziękować za służbę, czy próbować szczęścia pod warjatem.

— Od czegoż zaczął nowy dziedzic? — zapytał Katylina coraz więcej rozciekawiony.

— Od największych warjacji, jak drugi Kaniowski. Najpierw spalił jednej nocy ośm wsi swego klucza.

— Co, spalił!? — zawołał pan Damazy i porwał się z sofki.

— Nie podobała mu się budowa taj tylko — rzekł krótko Girgilewicz.

— Zawołał wszystkie ośm gromad naraz i rzekł im: Do jutra macie wypróżnić wasze chaty, stodoły, obory, bo was podpalę na wszystkie cztery rogi. Chłopi potruchleli, cichaczem ułożyli suplikę do cyrkułu, ale tymczasem wypróżnili obejścia jak zamiótł. Na drugi dzień krwawa łuna zawisła nad okolicą, wszystkie ośm wsi spłonęły do szczętu. Starościc wtedy szesnaście gromad spędził w jedno miejsce i nuż pruskim murem odbudowywać w symetrycznym porządku sioła zgorzałe. Nowe chaty musiały iść w dwóch rzędach wzdłuż gościńca, jedna o pięć sążni od drugiej. I nim komisja zjechała z cyrkułu, sta-

ły już wszystkie wsie odbudowane, a pan starościc nad nową przemyśliwał warjacją.

— Niezły początek! — mruknął nieznajomy.

— Ale któżby tam zliczył i spamiętał wszystkie jego dalsze warjacje i dziwactwa — kontynuował mandatarjusz. — Jak sobie co ubrdał, musiało się stać, choćby ziemia miała wypaść z swej osady. Żadna potęga ziemska nie była w stanie przełamać jego żelaznego uporu, nieugiętej zaciekłości w najdrobniejszem postanowieniu. Czego się raz chwycił, nie odstąpił od tego, choćbyś go w drobne sztuki posiekał.

— A niechżeby kto z poddanych albo oficjalistów śmiał w czemkolwiek sprzeciwić się jego woli, niech Bóg broni taj tylko! — wtrącił Girgilewicz.

— Dwóch owych nieodstępnych nigdy od jego boku opryszków, pełniło obowiązki siepaków, a gdyby był Pana Boga rozkazał zdjąć z krzyża, pewnieby się ani zawahał żaden. Za lada przewinienie palnąć komu pięćdziesiąt kijów, było u niego ledwie nie igraszką.

— A jakże uchodziło to wszystko? — zapytał Katylina.

— Inne to były jeszcze czasy, mości dobrodzieju — westchnął żałośnie mandatarjusz — a zresztą nikt nie śmiał pomyśleć o skardze. Starościc był zarówno mściwym i zawziętym jak porywczym i gwałtownym, a każdy wiedział, że bez wahania gotówby narazić się na wszystko, nie zważając na żadne dalsze skutki i następstwa.

— A zresztą prawdę mówiąc — ozwał się Girgilewicz — chłopi się bali niesłychanie, ale go też lubili, jak mało którego dziedzica.

— Lubili? — zapytał Katylina zdziwiony.

— Niezawodnie — potwierdzał pan sędzia — starościc żądał, aby każdy poddany ślepo poddawał się jego woli, w czujduch spełniał jego rozkazy, ale też za to jak nikt inny dbał o los każdego. Zapłacić podatki za całą gromadę, wyznaczyć kilkaset korcy zapomogi na przednowku, powrócić całą szkodę pogorzelcowi albo okradzionemu, było u niego czemś tak zwyczajnem i naturalnem, jak sto kijów palnąć za lada drobne uchybienie, za lada występek nierozważny.

— Szczególniejszy człowiek! — mruknął nieznajomy.

— Możesz sobie pan jednak wyobrazić z tego wszystkiego, jak trudno było utrzymać się u niego w obowiązku — ciągnął dalej mandatarjusz z pewnym rodzajem dumy — bo to mości dobrodzieju zarazem i katował, i protegował chłopa

a potrzeba mu było zawsze dogodzić we wszystkiem, ślepo usłuchać każdego zlecenia.

— A z bratem i macochą widywał się czasami? — zapytał Katylina.

— Nigdy. Brat kilka razy robił pierwszy krok pojednawczy, ale wszystkie zabiegi rozbijały się o niezłomny upór, nieugiętą zawziętość starościca. Pan Zygmunt przyjął tytuł hrabiego, bo mając w rodzie trzech wojewodów i pięciu kasztelanów, miał zupełne do tego prawo, starościć ani sobie o tem mówić nie dał.

— Osobliwszy charakter — poszepnął znowu Katylina.

— Jużto musi pan wiedzieć, że starościc nie cierpiał Moskali jak rogatych djabłów, i gdzie mógł wyjawiał otwarcie swoją nienawiść. Niech tylko jaki poddany powrócił z wojska, a zaczął moskiewskie lub niemieckie słowa mięszać w swej mowie, to takich sto kijów otrzymał na powitanie, że mu pewno wszystkie nieswojskie słowa od jednego wywietrzały razu.

— I to wszystko uchodziło? — zapytał jeszcze raz Katylina.

— Musiało mości dobrodzieju — odparł mandatarjusz z dumą — moja głowa a starościca pieniądze zaradziły każdemu niebezpieczeństwu.

— Można się bezpiecznie spuścić na takich pomocników — poderwał aktuarjusz z dowcipnym uśmiechem, chcąc koniecznie jakimś komplementem podkadzić pryncypałowi.

Pan mandatarjusz uśmiechnął się zadowolony.

— Jużto muszę sobie oddać tę sprawiedliwość — rzekł z znaczącym uśmiechem — że mogę spuścić się w każdym razie na moją mózgownicę. Nie chwaląc się bynajmniej, mógłbym mości dobrodzieju zmierzyć się śmiało z najsławniejszym adwokatem.

— No, o tem potem, mój łaskawco dobrodzieju — przerwał Katylina. — Naprzód skończ opowiadanie.

— Strasznieś pan widzę ciekawy — odparł mandatarjusz trochę urażony. — Już mi niewiele pozostaje dodać. Pan starościc gospodarował tym trybem lat trzydzieści, a przez ten czas nawykli już powoli do niego i chłopi i oficjaliści, i dziwactwa i warjacje jego przestały już dziwić okolicę. Częste z początku skargi do powiatu i kryminału urwały się z czasem zupełnie, bo jak powiedziałem, moja głowa a pańskie dukaty umiały zaradzić wszystkiemu, i z góry zapobiegały każdemu

niebezpieczeństwu. Ale wtem niespodziewana zbliżyła się katastrofa.

— Katastrofa?! — powtórzył Katylina, i z ciekawości napół podniósł się z sofy.

Mandatarjusz zamilkł na chwilę, jak gdyby większy efekt chciał przygotować dalszemu opowiadaniu.

— Słucham tedy... — naglił Katylina.

Mandatarjusz odkrząknął, musnął wąs i prawił dalej:

— Właśnie w tym czasie powrócił z wojska po wysłużonych latach Mykita Ołańczuk, zuchwalec pierwszego rzędu, a łotr na wielki kamień. Ten z wrodzonego sobie zuchwalstwa, nie chciał pogodzić się z zaprowadzonym u nas porządkiem rzeczy, i nuż judzić i buntować chłopów i zbierać podpisy na jakąś groźną suplikę, którą sam przyrzekał zanieść przed tron i złożyć w ręce samego cesarza. Zaimponował ogromnie chłopom i wielu dało się uwieść naprawdę i uległo ślepo wpływowi Ołańczuka. Lecz tuż zaraz doniosło się do uszu dziedzica. I byłoż wtedy widzieć starościca, jak srogim zakipiał gniewem. Kazał natychmiast przywołać do siebie Mykitę, ale ten nietylko nie stanął na wezwanie, ale jeszcze z zuchwałemi dał się słyszeć pogróżkami. Rozsrożony do najwyższego, posłał starościc swych olbrzymich kozaków, ci i djabła na rękach przynieśliby z piekła, toż w jednej chwili za kołnierz w powietrzu przystawili Ołańczuka do dworu. Ale Ołańczuk i wobec groźnego dziedzica nie spuścił bynajmniej z swego zuchwałego tonu.

— Ja nie takich już widział panów! Służyłem w wojsku i nie boję się żadnego cywila — zawołał w żywe oczy starościcowi. To za wiele było nawykłemu do ślepej uległości, nieograniczonego posłuszeństwa panu, przyskoczył sam do zuchwalca, i pięścią uderzył go w twarz. Ale Mykita Ołańczuk byłto łotr nad łotrami! Wyobraź sobie pan, porwał się na samego dziedzica! Nie zważając na obecnych kozaków, rzucił się znienacka na nieprzygotowanego starościca, i nim jeszcze kozacy mogli przyskoczyć w pomoc, porwał go za gardło i powalił na ziemię.

Tu przerwał na chwilę mandatarjusz, jakby chciał zbadać, jak wielkie swem opowiadaniem sprawił wrażenie.

Katylina snać jakiejś innej spodziewał się katastrofy, bo widocznie niezupełnie był kontent z nowego toku opowiadania.

— Z tem wszystkiem był to przecież jakiś chwat, ten Mykita Ołańczuk! — odezwał się wreszcie, widząc, że mandatarjusz urwał śród mowy.

— Łotr, nie chwat — poprawił mandatarjusz — djabło też źle wyszedł na swem zuchwalstwie. Jak go pochwycili obadwaj przytomni kozacy, to nimby dziesięć mógł zliczyć, dostał już sto kijów odlewanych i bez przytomności prawie leżał na ziemi. Ale wszystko to nie ostudziło jeszcze wściekłości starościca, który prawie od zmysłów odchodził na pierwszym razie.

— Niech Pan Bóg broni, taj tylko! — mruknął Girgilewicz, który pobladł na samo wspomnienie tej chwili pamiętnej.

Mandatarjusz ciągnął dalej opowiadanie:

— Starościc kazał napół nieżywego odnieść do mnie do aresztu i groził codziennie dopóty powtarzać tę operację, dopóki nędznik ducha nie wyzionie.

— I byłby pewno dotrzymał słowa — mruknął Girgilewicz.

— Niezawodnie — przyznawał mandatarjusz — ale snać sam Pan Bóg chciał oszczędzić mu zbrodni. Gwałtowna irytacja tego dnia była za mocną nawet na jego żelazną naturę. Pod wieczór dostał silną gorączkę a nazajutrz rozniemógł się naprawdę, że co tchu potrzeba było posyłać po doktora. Kilka dni trwało niebezpieczeństwo życia. Starościc nabawił się nerwowej febry a w gorączce nie poznawał nikogo, i bredził od rzeczy.

— Tym sposobem upiekło się Ołańczukowi — wtrącił ekonom.

— Miał szczęście łotr! kilka dni jeszcze przytrzymałem go na czystym rosole w areszcie, a kiedy przyszedł wreszcie do siebie, pozwoliłem mu uciec na cztery wiatry. Ale, panie — zawołał mandatarjusz i z dumą potarł czuprynę — kilka razy potem dostał się w moje ręce, i dałem mu się we znaki co się zowie. Raz...

— Ależ starościc... — przerwał Katylina.

— Starościc, panie — podchwycił mandatarjusz, odstępując od zamierzonej odrębnej wycieczki — ocalał od śmierci, ale sześć tygodni musiał przeleżeć w łóżku. Cóż to była za bieda, jak zaczął powoli przychodzić do sił! przyzwyczajony do ciągłego ruchu, do ciągłego życia czynnego, nie mógł jednej godziny wyleżeć spokojnie! aż w tem na szczęście zjawił się ni stąd ni zowąd jakiś kwestarz we dworze.

— Kwestarz? — powtórzył Katylina.

— Tak niby kwestarz, niby pustelnik, dość że w sukni zakonnej. Ktoś wpadł na myśl, czy nie potrafiłby on rozerwać na chwilę chorego. Kwestarz podjął się chętnie tego zadania. A jak

poszedł do pokoju chorego, to zabawił aż do późnego wieczora. Nazajutrz miał odejść, ale starościc cały dzień zatrzymał go przy sobie. Tak samo stało się w dzień trzeci i czwarty i kwestarz na piękno rozkwaterował się we dworze. Z początku bawił chorego samą tylko rozmową, ale następnie zaczął mu czytywać rozmaite jakieś książki, a rzecz szczególna, starościc, co jak ognia bał się wszelkiego pisma, słuchał z coraz większem upodobaniem. Kwestarz ani na chwilę nie oddalał się od jego łóżka, a kiedy potem czytał lub mówił, nie mógł nikt być w pokoju. Nie podobało się to wszystkim we dworze, ale nikt nie mógł się domyśleć niczego złego. Kwestarz przesiedział dwa tygodnie przy chorym, a potem znikł jakby go nie było. Starościc podźwignął się z łóżka i napowrót objął gospodarstwo. I nagłe ani go poznać! Przeinaczył się, jakby go kto zamienił! Kto go teraz pierwszy raz ujrzał, lub słyszał mówiącego, nie wierzył w pierwszej chwili własnym oczom i uszom. Z dawnego wilka jakby cudem zrobił się baranek, z sokoła gołąbek.

— Proszę! — wybąknął Katylina mimowolnie.

— O tak, panie — potwierdził Girgilewicz — ja sam, jak mię tu pan widzisz, zgłupiałem w pierwszym momencie, taj tylko.

— Jakto, dopiero wtedy pan zgłupiałeś? — zapytał Katylina złośliwie.

— Dopiero wtedy — odpowiedział Girgilewicz dobrodusznie, nie domyślając się w tem żadnej myśli ukrytej.

— Ale na czemże polegała ta zmiana? — zapytywał Katylina.

— Najpierw — ciągnął dalej mandatarjusz — zwołał wszystkich oficjalistów i oznajmił im krótko i kategorycznie, że chce, aby odtąd jak najłagodniej obchodzić się z chłopami, i jeśli ktokolwiek najmniejszej dopuści się niesprawiedliwości, straci służbę...

— Bez pardonu, taj tylko — dokończył Girgilewicz, który coraz stawał się mówniejszym.

Pan mandatarjusz machnął ręką, jakby sobie wypraszał wszelkie przerwy, i kontynuował dalej:

— Potem...

— Potem? — przerwał tym razem jakby naumyślnie Katylina.

— Zwołał wszystkie gromady i oświadczył im uroczyście z niezwykłą u siebie dobrocią i łagodnością, że odtąd postanowił obchodzić się inaczej z swymi poddanymi. Nie chcę odtąd,

mówił, być waszym panem, ale waszym ojcem, waszym bratem. Co dla was dawniej robiłem dobrego, będę robić nadal, a z dawnej surowości, bądźcie pewni, nie zostanie ani śladu.

— Jeszczeż żeby tylko to powiedział — wtrącił znowu Girgilewicz — ale równocześnie ogłosił także chłopom i ów nam udzielony nakaz, i polecił na każdą najmniejszą krzywdę udać się wprost do niego na skargę, taj tylko.

— Możesz pan sobie wyobrazić — prawił dalej mandatarjusz, jak chłopy gęby porozdziawiali na to oświadczenie. Z początku nie wierzyli sami sobie i z niemem zadziwieniem obzierali się dokoła, ale pogłupieli do reszty, kiedy przeistoczony nagle dziedzic, chcąc zaraz czynem sprawdzić nowe zasady, darował im wszystkie remanenta pańszczyźniane, wszystkie zaległe dworu czynsze, osypy, daniny i nadto po kwarcie wódki na każdy osobny numer zaasygnował z swych spichlerzów.

— Nawet i Ołańczukowi? — zapytał Katylina.

— O ten po swym pierwszym chrzcie znikł bez wieści ze wsi, ale starościc ani się o niego nie zapytał i udał, że zupełnie zapomniał o całej tej scenie.

Katylina coraz większe objawiał zajęcie, porzucił nawet swoje wygodne stanowisko na sofie i przysunął się bliżej do opowiadającego.

Mandatarjusz uśmiechnął się zadowolony.

— Z początku myśleliśmy wszyscy — zabrał głos po krótkiej pauzie — że to tylko nowy jakiś zwrot jego warjacji, ale niebawem pokazało się dowodnie, że zmiana była szczera i gruntowna. Starościc zmienił się we wszystkiem do niepoznania. Nie uganiał już z swymi kozakami bezustannie z jednej wsi do drugiej, ale częściej przesiadywał we dworze, zamykał się w swym pokoju, zapisywał jakieś rozmaite dzieła ze Lwowa.

— I zapewne pogodził się z bratem? — zapytał Katylina.

— O nie — zaprzeczył prędko mandatarjusz. — Jak się bowiem pokazało z jego urywanych słów w gorączce — dodał ciszej — nienawiść ta obudwu braci miała swoje słuszne powody. Chodziło tu podobno o Kseńkę.

— O jaką Kseńkę?

— Jakto? nie wspominałem panu nic o Kseńce? — wykrzyknął mandatarjusz, i wybałuszył oczy z zdziwienia.

— Ani pół słówka.

— Czy być może! A toż cymbał ze mnie! — strofował się pan sędzia, — wszakże to rzecz główna! a należała na sam początek.

— Nic nie szkodzi, chętnie usłyszymy ją i na końcu.

— Musisz pan wiedzieć — szepnął mandatarjusz z uśmiechem politowania — że starościc zakochał się był w swoich dwudziestu dwóch latach.

— W Kseńce?

— W Kseńce, najładniejszej dziewce całego klucza.

— Córce Hrycia Syłozuba, gumiennego ze Sołomek — uzupełniał ekonom.

— Starościc gdzieś ją przypadkiem zobaczył — kontynuował mandatarjusz — i zaraz okrutnie wpadła mu w oko. Ładna bo też to była bestja, niech ją wszyscy djabli wezmą — zachwalał prawdziwie po mandatarjuszowsku. — Ale...

— Ale? — zapytał niecierpliwie Katylina, którego niezmiernie zajął ten nowy romansowy zwrot w opowiadaniu.

— Na całej kuli ziemskiej nie było większej zalotnicy. Niech ją piorun trzaśnie! Zawróciła głowę wszystkim chłopcom w mojem dominium. Przez nią trzech najbogatszych parobków nie chciało wykupić się od rekrutacji — dodał z ciężkiem westchnieniem niezapomnianej nigdy zgryzoty.

— Pal djabli rekrutację — przerwał Katylina niechętnie.— W niej się więc zakochał starościc?

— Jak kot w sadle, taj tylko — wyjechał Girgilewicz z ekonomskim porównaniem.

— A onaż?

— Jej pochlebiało oczywiście, że straszny dla wszystkich starszy panicz tak słodkie do niej robi oczy, więc nawzajem przymilała mu się wszelkiemi siłami.

— Taj tylko — zakonkludował Girgilewicz, i ze znaczeniem machnął ręką.

— Niebawem doniosło się to do dworu. Pani starościna chciała robić jakieś przedstawienia pasierbowi, ale to było jak groch o ścianę. Nie wskórawszy nic z tej strony, chciała się starościna, choć już trochę zapóźno, wziąć do Kseńki, ale panicz przeszkodził wszystkiemu, bo wyprawił dziewkę w przyległe dobra kameralne do Deminiec, gdzie wuj jego faworyta kozaka, Kostia Bulija, osiadł na sołtysowskim gruncie. Tam nie mogła jej dosięgnąć starościna, a panicz podjeżdżał codziennie nieulękniony.

— Podjeżdżał, ale niedługo — wmieszał się ekonom.

— Cóż się stało?

— Kseńka znikła nagle bez wieści.

— Starościna ją porwała? — zawołał Katylina.

— Ba i bardzo, sama uciekła, taj tylko!

— Chciała zapewne hołdów panicza, ale tam, gdzie ten panicz miał tak wielkie znaczenie, i gdzie tak wielki przed sobą rozsiewał postrach: tymczasem w nowym jej przybytku znikł jego urok, a pozostała tylko twarz brzydka i niemiła. To też prędko sprzykrzył jej się ten cały stosunek, a pewnego pięknego poranku spakowała swoje manatki i znikła gdzieś bez wieści.

— A cóż za udział miał w tem braciszek?

— Zdaje się, że kiedy starościc wracał jedną drogą z Deminiec, to pan Zygmunt pędził tam drugą, i że Kseńka głównie na jego nalegania opuściła swoje dotychczasowe miejsce schronienia i przeniosła się do gajowego w dobrach brata starościny, gdzie młodszy panicz przebywał po kilka miesięcy co roku.

— I cóż na to starościc?

— Mało nie oszalał w pierwszej chwili, ale po kilku tygodniach jakoś się opamiętał.

-- Jeśli ją kochał szczerze — mruknął Katylina więcej sam do siebie — to nie trudno wytłumaczyć sobie wszystkie te szczególne rysy jego późniejszego charakteru.

— Ale mniejsza tam o Kseńkę, bo to już strasznie dawne dzieje — zabrał mandatarjusz głos na nowo. — Teraz zbliżamy się do głównej katastrofy.

— Ah! — wybąknął Katylina, jak gdyby się już nie spodziewał niczego więcej.

— Starościc bratał się coraz otwarciej z chłopami.

— Że aż wstyd zbierał, taj tylko.

— Często zaś z jakiemiś szczególniejszemi odzywał się do nich przemowami.

— Hm, hm! — krząknął Katylina.

— Mnie to zaraz wpadło w oczy — poprawił mandatarjusz z pewnym naciskiem — ale człowiek patrzył przez szpary. Aż w tem nagle, jak piorun z jasnego nieba, pada bomba niespodziewana.

— Ho, ho!

— Pewnego pięknego ranku ledwie co wstałem z łóżka i zabrałem się najspokojniej do kawy, aż tu trzask prask dwa powozy zajeżdżają przed dominium. Spojrzałem przez okno i skamieniałem prawie z przestrachu. Z powozu wysiadali pan komisarz cyrkularny z landsdragonem i pan konsyljarz kryminalny, dwaj najzdatniejsi urzędnicy w całym obwodzie. Dla Boga, cóż się stało! pomyślałem napół nieżywy. Nim jeszcze miałem

czas wyjść naprzeciw nich, już obadwaj wpadli do kancelarji, i w tej chwili przy zamkniętych drzwiach rozpoczęli ze mną komisję, i nuż mnie zapytywać to o to, to o owo, to tak, to owak, aż wreszcie połapałem się o co chodzi. Szukali tropu owego kwestarza, co podczas choroby starościca pojawił się we dworze.

— Tam do kata! — wykrzyknął Katylina.

— Ale cóż tu panu długo opowiadać, jak szła komisja, jak ja to mości dobrodzieju mieszałem szyki i mydliłem oczy obudwom, żeby siebie od wszelkiej ocalić kompromitacji! Koniec końców wyśliznąłem się z wszystkiego suchą nogą jeszcze z reskryptem pochwalnym w dodatku, ale z starościcem na złe się zaniosło...

— Ów kwestarz — dorzucił po chwili zniżając głos — byłto emisarjusz z Paryża, z centralizacji.

— Tak, tak z *centnaralizacji* — potwierdził stanowczo Girgilewicz.

Katylina coś niezrozumiale mruknął przez zęby. Mandatarjusz kontynuował:

— Starościc snać przewidywał takie następności, bo właśnie przed tygodniem wyrobił sobie był paszport do Paryża, a teraz kiedy cała sprawa coraz gorszą zaczęła przybierać postać i powoli wykrywały się dowody jego tajnych z kwestarzem konszachtów, drapnął nagle z swymi obudwoma kozakami, że się tylko zakurzyło za nimi.

— Cóż to była za kałamancja w całym kluczu! — ozwał się Girgilewicz. — Nikt nie wiedział, komu składać raporta, od kogo brać dyspozycje.

— I komu oddawać pieniądze za sprzedawane z spichlerza zboże! — wtrącił z drwiącym śmiechem Katylina.

Girgilewicz wybałuszył oczy jakby chciał powiedzieć: a pan skąd o tem wiesz?

— I cóż dalej? — zapytał Katylina nie zważając na to.

— Resztę dowiesz się pan najlepiej od samego jaśnie wielmożnego pana, który jest jego przyjacielem. Po roku niebytności starościcia, zawezwał go rząd krajowy publicznemi dziennikami, że jeśli w rok i tydzień nie powróci, postrada prawo obywatelstwa w państwie austrjackiem, a tem samem i majątek jego przejdzie na prawych spadkobierców. Nim jeszcze upłynął termin, wyczytaliśmy w dziennikach, że w Dreznie umarł nagłą śmiercią jakiś znamienity Polak, imieniem Mikołaj Żwirski..

Na tę wiadomość hrabia Zygmunt jako prawny sukcesor natychmiast objął administrację całego klucza.

— Ale nie na długo — podchwycił ekonom.

— Zapewne nadszedł testament?

— Nieinaczej, mości dobrodzieju — ciągnął dalej mandatarjusz. — Nagle i niespodziewanie pojawił się Kost' Bulij w Żwirowie, i jednem słówkiem obalił wszelkie nadzieje hrabiego. Nieboszczyk starościc zostawił testament, którym cały majątek zapisał komu innemu.

— A tym innym był mój Julek, Gracchus — zawołał Katylina.

— Kto, kto? — zapytali jednocześnie ekonom i mandatarjusz.

— Wasz dziedzic dzisiejszy.

— A tak. Kost' Bulij złożył testament w sądzie, a w kilka tygodni instalował pan komornik Gramarski nowego dziedzica, o którym ani się przyśniło nikomu.

— Cóż na to hrabia Zygmunt?

— Z początku chciał podobno wszczynać proces, ale się prędko odradził i poprzestał na swoim Orkizowie.

— A skądże do djabła Juljusz przyszesdł do tej łaski u starościca?

— Tego się pan tylko od niego samego możesz dowiedzieć. Jest podobno nietylko imiennikiem, ale i jakimś dalekim krewnym starościca, a ojciec jego miał nawet być w przyjaźni z nieboszczykiem starostą.

— Hm, hm — mruknął Katylina, jakby niezupełnie jasno pojmował stan rzeczy.

— O wszystkiem tem dowiesz się pan najlepiej jak mówiłem od niego samego.

— Prawda — mruknął Katylina.

— Nowy dziedzic objął cały klucz z wyjątkiem żwirskiego dworu.

— Który wtedy oczywiście nie uchodził jeszcze za zaklęty? — poderwał Katylina.

— Ej, gdzietam panie! — odezwał się Girgilewicz — zawsze w nim jakiś djabeł dokazywał. Jeszcze za życia starościca zaczęły się różne nocne w nim brewerje. Mówiono, że nieboszczyk starosta wykrzykuje swoje wieczne: niepozwalam! protestuję! i rąbie zdrajców w postaci stołu dębowego, *taj tylko.*

— Ale to były tylko luźne gadaniny, mości dobrodzieju — zaczął na nowo mandatarjusz.

— A terazże jest w tem co innego? — zapytał skwapliwie Katylina.

Pan mandatarjusz wzruszył ramionami, podciągnął brwi aż pod samą niemal czuprynę i rzekł zniżonym cokolwiek głosem:

Gdybym nie był filozofem z przekonania, sambym uwierzył we wszystko, co mówią ludzie.

Katylina parsknął śmiechem. Girgilewicz przeżegnał się i splunął:

— Niema się tu czego śmiać — upominał z powagą.

— Powiedzcież mi tedy z łaski swojej, czem właściwie straszy ten dwór zaklęty?...

— Główna rzecz, że starościc chodzi w nim po śmierci, tak przynajmniej lud utrzymuje.

— I tak jest w samej rzeczy, taj tylko.

— Ż tegom się jeszcze niewiele dowiedział — ozwał się Katylina.

Mandatarjusz potarł czuprynę.

— Starościc — zagaił po chwili — położył jako główną klauzulę testamentu, aby zaklęty dwór aż do zupełnej swej ruiny pozostał niezamieszkany i nietknięty zgoła w swem urządzeniu. Straż nad nim poruczył Kostiowi Bulijowi, przeznaczając mu na mieszkanie dom dawnego ogrodnika w zatyle ogrodu. Samo to już szczególniejsze postanowienie rzuciło pewien cień tajemniczy, pewien urok na opuszczony, ponury z powierzchowności dwór.

— I stąd zapewne urósł i jego przydomek, i rozszerzył się popłoch między prostym ludem.

— Ba i bardzo! co też pan gadasz, taj tylko — zżymał się ekonom — na pół zapominając, że mówi do przyjaciela swego dziedzica.

Mandatarjusz znowu potarł czuprynę i znowu brwi podciągnął wysoko w górę.

— Widzisz pan dobrodziej — ozwał się z podwójną powagą — zaszły niektóre zdarzenia, objawiły się pewne indycja że naprawdę rozum głupieje.

— Naprzykład? Słucham! — zawołał Katylina z wrastającą ciekawością na twarzy.

— At co tu gadać taj tylko — pochwycił Girgilewicz — ja sam, jak mię pan tu widzisz, widziałem jasne światło w lewem skrzydle pałacu, w tym pokoju, gdzieto przesiadywał nieboszczyk starosta.

— A światło to nie mogło już w żaden sposób z natu-

ralnych jakich pochodzić przyczyn? — wtrącił Katylina z drwiącem niedowierzaniem.

Girgilewicz wzruszył ramiona prawie z politowaniem.

— Pijany nie byłem wówczas, a księżyca ani widać było na niebie. Koniecznie więc musiał być ktoś we środku.

— Oczywiście Kost' naprzykład.

— Kost, wtedy siedział u mnie w areszcie — ozwał się mandatarjusz.

— A to za co?

— Myślałem, że to on jakieś tumany puszcza między lud, i zamknąłem go był *brevi manu* na parę dni.

— Więc mógł jaki złodziej zakraść się do dworu?...

— O, od smutnego końca Pawła Faryły, nie odważyłby się tam ani zbliżyć żaden złodziej, choćby mu Bóg wie jaka nasuwała się zdobycz.

— A ten Faryło właśnie najlepiej dowodzi wszystkiego — przemówił z triumfem pan Girgilewicz.

— W samej rzeczy, to szczególniejszy wypadek, i trudno go sobie wytłumaczyć przy największej filozofji we łbie.

— Słucham!

— Miałem w mojem dominium zawołanego na całą okolicę złodzieja, podpalacza, rozbójnika jednem słowem. Sześć razy siedział w kryminale, a zaledwie odzyskał wolność, zaraz dziesięć nowych popełnił łotrostw i zbrodni. Otóż ten korzystając z uwięzienia Kostja, zakradł się do dworu, wybił szybę w sieni i wlazł do środka. Co się tam z nim działo, o tem nikt nie wie. Dopiero nad ranem powrócił do domu z próżnemi rękami, a zmieniony do niepoznania. Włosy miał rozjeżone, oczy obłąkane, twarz trupiej bladości, a cały drżał jak we febrze. Na wszystkie zapytania żony i dzieci nie odpowiadał nic więcej jak tylko te dwa słowa „nieboszczyk pan!!" Cały dzień leżał w gorączce wrzeszcząc ciągle w niebogłosy: nieboszczyk! nieboszczyk! ratujcie! W nocy zaś...

— W nocy?

— Umarł z przestrachu.

— Hm, hm — mruknął Katylina, kiwając głową w zamyśleniu.

— Ale to jeszcze nic mospanie — poderwał Girgilewicz z wrastającym triumfem — nazajutrz, kiedy trupa kładli na mary, pokazało się na jego policzku pięć sinych pręgów, jakby od pięciu palców ręki. A pan dobrodziej wiesz przecie — dodał

ze znaczeniem — że po każdem dotknięciu upiora, pozostaje niezatarty siny znak.

Katylina zabębnił palcami po stole i wzruszył ramionami. Widocznie nie wierzył tym skazówkom, nie chciał tylko sprzeciwiać się otwarcie.

Mandatarjusz zabrał głos na nowo.

— Przyznam się Panu, że na mnie samego tak wielkie sprawiło to wrażenie, żem niezwłocznie Kostia puścił z aresztu, zwłaszcza że wartownicy klęli się na wszystko w świecie, że jednej nocy nieboszczyk starościc ukazał się pode drzwiami aresztu, i kilka jakichś niezrozumiałych słów zawołał na swego dawnego kozaka.

— Ale co tam długo rozprawiać, taj tylko — wtrącił się Girgilewicz z ekonomską niecierpliwością. — Alboż mój gumienny nie widział go na gumnie! Nieborak mało ducha nie wyzionął, taj tylko, bo nieboszczyk siedział na czarnym jak węgiel koniu, i bezustannie skakał z dachu stodoły na stertę pszeniczną, z sterty pszenicznej na stodołę. A co koń skoczył, to mu tysiące iskier buchnęło z nozdrz, że biedny gumienny jak tylko przyszedł do głosu, na całe gardło zaczął wrzeszczeć: ogień, pali się, ratujcie! i w jednej chwili zbudził całą czeladź folwarczną. Ale wtedy znik już nieboszczyk bez śladu, taj tylko.

— Czy tylko gumienny pański zawsze trzeźwy, i nie lubi skłamać czasami?

— Alboż to on jeden widział nieboszczyka, taj tylko. Sto ludzi postawię co się własnemi przypatrywali oczyma, jak nieboszczyk na czarnym jak smoła koniu jakieś opętane harce wyprawiał na dachu swego dworu, a nie masz może dziesięciu ludzi w całym kluczu, coby go nie widzieli bądź z fajką na ganku, bądź gdzie na rozstajnej drodze z nahajką w ręku. Czasami nawet nie sam się pokazuje. Stary starosta wyjeżdża wraz z nim na koniu, i krzyczy, że go słuchać na milę: Niepozwalam! protestuję:

— Ale pan sam prócz światła w oknach nie widziałeś nic zgoła — zapytał Katylina rozjędyczonego ekonoma.

— Ja nie, ale czego tu ukrywać, pan sędzia widział, taj tylko.

— Co pan, panie Gągolewski?

— Czy być może! — zawołał w zdziwieniu i pan aktuarjusz, który dotychczas ani gęby nie roztworzył.

Mandatarjusz zmięszał się strasznie, i spojrzał gniewnie na ekonoma, jakby mu chciał wyrzucać, że zdradził tajemnicę.

— No cóż, nie prawda może? nie widziałeś pan sam na własne oczy nieboszczyka? — pytał dalej niezrażony Girgilewicz.

— To jest... to... — jąkał się mandatarjusz.

— Jakto? sam go widziałeś, człowieku, i nic nie mówisz? — zakrzyknął Katylina.

Mandatarjusz konfundował się coraz mocniej.

— Bo to widzisz pan — zająknął się — nie wiem, jak pan to weźmiesz... to jest... jak ci się to wyda...

— Ależ zmiłuj się, dobrodzieju, opowiadaj, nie nadużywaj mej ciekawości.

— Opowiadaj pan sędzia, taj tylko — zachęcał Girgilewicz.

Mandatarjusz znowu potarł czuprynę.

— Daję panu słowo honoru, słowo uczciwości — ozwał się wreszcie, jak gdyby do jakiegoś hazardownego nakłaniał się postanowienia — że wszystko, co panu opowiem, jest szczerą prawdą, którą w każdej chwili mógłbym stwierdzić świadectwem żywego człowieka.

— Bez wstępów, bez przedmowy! — niecierpliwił się Katylina.

Mandatarjusz odkrząknął i odkaszlnął i nareszcie ozwał się dopiero po krótkiej chwili:

— Było to prawie o tym samym czasie zeszłego roku...

— Jeszcze nim ja nastałem—uzupełniał pan Gustaw Chochelka.

— Miałem wówczas małą komisyjkę, bawił u mnie młody konceptowy praktykant z cyrkułu, pan Józef Minsowicz, zapalony miłośnik skrzypców i polowania. Walny chłopak co się zowie! Pół dnia grał na skrzypcach, drugie pół polował.

— Taj tylko — wtrącił się Girgilewicz w silnem przekonaniu, że w tem miejscu ani rusz obejść się bez tych jego dwóch słów ulubionych.

— Pewnego dnia — kontynuował mandatarjusz — wybraliśmy się popołudniu na krzyki aż pod Zawalówkę, o dobre trzy mile stąd. Kilka godzin brnęliśmy po kolana w błocie, a licho nadało, że ani wrona się nie pokazała! Znużeni, zniechęceni, mieliśmy wracać do domu, kiedy zaproponowałem wstąpić na przekąskę do zawałowskiego proboszcza...

— Ależ jak tak zaczniesz *ab ovo*, mój łaskawco — przerwał Katylina — to dzisiaj nie skończysz opowiadania.

Mandatarjusz przygryzł wargi, cokolwiek urażony.

— Pozwól-no pan, wiem co należy do rzeczy. Na probostwie zatrzymaliśmy się do późnej nocy, komisarz zabałakał się z popadjankami, ja z księdzem proboszczem puściłem się w ekarte o cwancygierka. Dopiero po jedenastej wracaliśmy wąwozem do Buczał. Prawie o samej dwunastej stanęliśmy na zakręcie lipowej ulicy, która prowadzi do dworu. Mimowolnie jakoś rzuciłem okiem w tę stronę, i krzyknąłem napół z przestrachu, napół z zdziwienia. Zdawało mi się, że widzę światło w lewem skrzydle dworu. To samo przywidziało się i naszemu furmanowi, ale komisarz upierał się na zabój, że to tylko odblask księżyca.

— Śliczny mi odblask — mruknął Girgilewicz i machnął ręką.

— Ja z grzeczności nie chciałem się sprzeciwiać, ale komisarz mimo to uwziął się przekonać nas dowodnie, że się próżnem łudzimy przywidzeniem. Rozkazał więc jechać ku dworowi. Napróżno składał i wymawiał się biedny woźnica, napróżno ja sam prosiłem i przedstawiałem. Komisarz nie odstąpił od swego, i otóż nagle ni stąd ni zowąd znaleźliśmy się pod bramą dworu.

— I światła nie było? — poderwał Katylina.

— Przysiągłbym, że zgasło w naszych oczach, ale koniec końców nie było.

— Aha — zaśmiał się Katylina.

— No cóż aha? jeszcze pan nie mów hoc! Tak samo i komisarz mówił mi aha, i nuż drwić i kiepkować sobie ze mnie, a potem śmiejąc się do rozpuku, jął na całe gardło różnemi słowy zaklinać z grobu nieboszczyka. I oto nagle...

Tu urwał na chwilę mandatarjusz, nie wiedzieć czy dla większego rozdrażnienia słuchaczy, czy pod wpływem przestrachu, jakiego go nabawiło samo wspomnienie tej chwili.

— No i cóż nagle? — zapytał niecierpliwie Katylina.

Mandatarjusz otarł pot z czoła, i nieco przytłumionym ozwał się dalej głosem:

— Nagle rozwarły się z trzaskiem drzwi parapetowe a na balkonie ukazał się starościc jak żył i wyglądał za życia.

Katylina aż podskoczył w górę.

— Żartujesz pan! — zawołał.

— Słowo honoru, słowo uczciwości! — upewniał mandatarjusz.

— Szczera prawda, taj tylko — dodał na dobitek ekonom.

— I cóż dalej? — pytał Katylina, drżąc prawie z niecierpliwości.

— A cóż! skamienieliśmy z przestrachu. Starościc chwilę stał niemy i nieruchomy na miejscu, a potem zniknął nagle, jakby się w ziemię zapadł.

— I pan poznałeś twarz jego?

— Jak swoją własną w zwierciadle!

— A nie wpadliście zaraz do dworu?

Mandatarjusz wybałuszył oczy, jakby na obłąkanego.

— Co? — zawołał — uciekaliśmy, że się tylko kurzyło a przez całą drogę szumiało nam wszystkim w uszach, jak gdyby ktoś pędził za nami.

— I odtąd uwierzyłeś pan już w stracha zaklętego dworu?...

— To jest odtąd przestałem naigrawać sobie z niego.

Katylina powalił się napowrót na sofę i w jakieś głębokie wpadł zamyślenie,

— Dziwna rzecz! — mruknął po chwili. — W tem wszystkiem tkwi jakaś szczególna tajemnica! — Ah! — zawołał nagle, jak gdyby sobie coś przypomniał — ten tajemniczy obdartus pod krzyżem, to Mykita Ołańczuk! tak... przypominam sobie to nazwisko! Otóż jedno już zrozumiałem, resztę trzeba dopiero odgadywać...

Mandatarjusz spojrzał nagle na zegarek.

— Otośmy się zabałakali! — zawołał — dwunasta godzina.

— O dla Boga! — wrzasnął Girgilewicz i prędko porwał się z miejsca. — Cóż tam sobie pomyśli moja żona! Upadam do nóg! Spokojnej nocy życzę państwu. — Kłaniał się pospiesznie na wszystkie strony, i co tchu wymknął się za drzwi.

— Tylko żebyś się gdzie na drodze nie spotkał z nieboszczykiem! — krzyknął za nim Katylina.

— Pan Bóg z panem! — zawołał Girgilewicz z za drzwi i przeżegnał się przestraszony.

Katylina wyciągnął się i ziewnął głośno.

— Gdzie mię ulokowałeś, łaskawco? — zapytał gospodarza.

— W kancelarji.

— Z panem Chochelką.

— Ze mną — potwierdził aktuarjusz. —

Katylina spojrzał nań z serdecznym uśmiechem i westchnął.

— Ach gdybyś pan był przynajmniej tem, czem twoje nazwisko! — szepnął.

— Jakto? czem? — wybąknął aktuarjusz i poczerwieniał aż powyżej uszu, przeczuwając nową jakąś obelgę.

— *Generis feminini* — bąknął Katylina i głośnym, rubasznym wybuchnął śmiechem.

— Dobranoc ci, kapłanie sprawiedliwości — zawołał poufale do swego gospodarza, a chwytając pod ramię aktuarjusza, w dwóch susach wyciągnął go z pokoju do kancelarji po drugiej stronie sieni.

Mandatarjusz milcząc patrzył kilka chwil za odchodzącym, a potem w zamyśleniu potarł czoło.

— Trzeba iść spać — szepnął. — Ale ten szuja ma dalibóg w sobie coś mandatarjuszowskiego! Dawny przyjaciel dziedzica! hm, hm, miejmy się na ostrożności!

## GRACCHUS i KATYLINA.

Wielka i zamożna wieś Oparki, teraźniejsza stolica żwirowskiego klucza, leżała o niespełna pół mili od Buczał w powabnej i dość rozległej dolinie, przypartej z jednego boku do szerokich smug lasów, a opasanych z trzech stron innych prądem małej, w Dniestr wpadającej rzeczki.

Pałac oparski, siedziba dziedzica, wznosił się na małym pogórku o dobrą staję ode wsi, do której cienista lipowa prowadziła ulica.

Byłto wielki, murowany budynek o sześciofilarowym ganku, a lubo zdala nie przedstawiał się w takiej okazałości jak dwupiętrowy dwór żwirowski, zasługiwał na wszelki wypadek na nazwę pałacu, która u nas nieraz i drewnianemu przysłuża dworkowi.

Obszerny, ostrokołem otoczony dziedziniec, mieścił w sobie po jednej stronie murowane oficyny a po drugiej z poza gęstego rzędu dzikich kasztanów wyzierały stajnie, wozownie i lamusy, do których osobny prowadził zajazd.

W zatyle ciągnął się daleko piękny ogród angielski z bogatą oranżerją i wysokim starannie utrzymanym ślimakiem, na którym prześliczna wznosiła się altana.

Zewnętrznej okazałości pałacu odpowiadało godnie wewnętrzne bogate, acz znacznie już staroświeckie urządzenie.

Nieboszczka starościna myślała przez długi czas przenieść swą rezydencję z Żwirowa do Oparek, i wszelkie już potrzebne

do tego porobiła przygotowania, ale nagła śmierć męża a następny podział majątku pomiędzy obudwu synów przeszkodziły temu zamiarowi. Jak wiemy, przesiedliła się starościna do Orkizowa, starościc pozostał w Żwirowie, a urządzony zupełnie pałac oparski czekał kilkanaście lat napróżno, na godnego siebie lokatora. Znalazł go dopiero po śmierci starościca w nowym dziedzicu, który dla pewnej znanej nam klauzuli testamentu, nie mógł pod żadnym warunkiem mieszkać w Żwirowie.

Było to już dobrze z południa nazajutrz, po owym wieczorku z mandatarjuszem, kiedy przed ganek pałacu zatoczyła się prosta chłopska fura, a z niej raźnie i zwinnie wyskoczył nasz barczysty, awanturniczy nieznajomy z ryczychowskiej karczmy, który w domu mandatarjusza tak szczególne przykładał sobie imiona.

Twarz jego jak zawsze nosiła wyraz jakiejś wyzywającej zuchwałości i pewnego nietajonego lekceważenia dla wszystkich i wszystkiego, na ustach igrał mu niezmienny uśmiech sarkazmu, wpadającego aż w cyniczną niemal bezczelność: z tem wszystkiem zdawało się, że ubyło mu cokolwiek owej dziwnej pewności, owego bezwzględnego zaufania w siebie, jakie do niedawna objawiał w każdym swym kroku, ruchu i słowie.

Kiedy skoczył z woza, zawahał się na chwilę w ganku, i niekoniecznie zadowolony obejrzał się dokoła.

— Niema co mówić — szepnął — brakuje mi tylko stryczka na szyi, a każdyby przysiągł, żem się urwał z szubienicy. Jak też mię on przyjmie! koleżeństwo szkolne, przyjaźń koleżeńska! jakieżto głupie wspomnienia po kilku latach niewidzenia i przy zupełnie zmienionych stosunkach towarzyskich.

Nagle wstrząsł się cały, jakby gwałtem odpędzał od siebie wszystkie nieprzyjemne myśli i przypuszczenia i głośnym wybuchł śmiechem.

— Et co tam, furda! — mruknął półgłosem, wstępując na marmurowe schody ganku. — Powie mi: nie znam aspana, to ja mu na to bez ogródki: pal cię djabli, durniu! i lewo w tył marsz!

I czy to dla lepszej odwagi, czy dla odzyskanej już zupełnej pewności, zagwizdał nagle jakby chciał psy zwoływać do sfory.

W tej właśnie chwili lokaj ukazał się w sieniach, i prawie z przestrachem wytrzeszczył oczy na nieznajomego.

— Pan w domu, błaźnie? — zapytał Katylina gromowym głosem, aby sobie zaraz zgóry należytej nadać powagi.

Lokaj już naprawdę przestraszył się, lubo w pierwszej chwili tak mu zaimponowało owe kategoryczne „błaźnie“, że się aż po ziemię ukłonił i coś jak jaśnie wielmożny miał na ustach.

— No cóż? nie słyszysz, trutniu? — huknął Katylina jeszcze głośniej. — Jest pan?

— Jest... ale — wybąknął zmieszany sługus.

— Co ale?

Lokaj miał już czas ochłonąć z pierwszego wrażenia. Zmierzył nieznajomego od stóp do głowy, i wzruszył ramionami, więcej z gniewem jak lekceważeniem.

— Czego pan chcesz? — zapytał zuchwale i postawił się w pozycji, jak gdyby teraz dopiero przypominał sobie przesłyszanego w pierwszej chwili błazna i trutnia.

Katylina zamiast odpowiedzi przystąpił bliżej do niego, wyciągnął rękę znienacka i nim jeszcze zagapiony tym nowym ruchem lokaj, mógł zmiarkować o co chodzi, ujrzał się silnie pochwyconym za kołnierz, i w jednem mgnieniu oka trzy razy zwinął młyńca w powietrzu.

— Gwałtu! ratunku! — zawrzeszczał w niebogłosy, przekonany, że jeśli nie ma do czynienia z rabusiem, to pewno z warjatem.

Katylina popchnął go naprzód, a przestraszony służalec jak długi powalił się na ziemię. W tym momencie dwóch innych wypadło służących, a jednocześnie w drzwiach po lewej stronie ukazał się jakiś młody mężczyzna w aksamitnym szlafroku, i z otwartą książką w ręku.

— Co to znaczy? — zapytał głosem gospodarza.

— Gracchus! — krzyknął nieznajomy i z rozwartemi ramionami posunął ku niemu.

Młody mężczyzna cofnął się o krok w tył, i spojrzał zdziwiony i zmięszany przed siebie. Nagle wesołym parsknął śmiechem i także rozwarł ramiona.

— Katylina! — zawołał, i pociągnął nieznajomego za sobą do pokoju.

Wszyscy trzej słudzy spojrzeli po sobie zdziwieni i przestraszeni, a podnoszącemu się z ziemi lokajowi jakieś na wpół już wymówione przekleństwo zastygło na ustach.

Obadwaj dawni znajomi i przyjaciele przebiegli tymczasem milcząc cały szereg wspaniale i gustownie umeblowanych pokoi, aż nagle zatrzymali się w małym, mnóstwem książek i papierów zarzuconym saloniku. Tu Gracchus rzucił się wygodnie

na małą safianem wybitą sofkę, i wybuchł w długi serdeczny śmiech.

Katylina nie zmieszał się bynajmniej tem oryginalnem powitaniem, rozparł się najswobodniej na pobliskiem karle, i tak głośno i szczerze zawtórował gospodarzowi, że echo aż w czwartym odezwało się pokoju.

— Katylina! — wybąknął gospodarz zanosząc się od śmiechu.

— Gracchus! — wykrztusił z siebie gość śród coraz głośniejszych i rubaszniejszych wybuchów wesołości.

— Przestańże, bo pęknę — wołał gospodarz i przewrócił się na drugą stronę w swej sofce.

— Ależ do djabła — nie ja zacząłem! — wydusił z siebie gość, i w całej długości wyciągnął się na krześle.

I znowu kilka chwil śmieli się obadwaj jak opętani.

— Z czegóż się śmiejesz? — zagadnął nareszcie Gracchus, ocierając łzy z oczu.

— Ja? przez grzeczność dla ciebie — odparł Katylina.

I jeszcze raz obadwaj głośnym wybuchli śmiechem.

— Wiesz — ozwał się nareszcie wyraźniej gospodarz — powinienbyś żądać dziesięcioletniego przywileju na sposób, z jakim poraz pierwszy przedstawiasz się w obcym domu. Poturbowałeś mi lokaja...

— Chciałem go tylko zmusić, aby mię zaprowadził do ciebie.

— I nie oglądał bliżej twojej garderoby.

— To już było zapóźno, łotr zaczął od tego.

— Ależ na miłość Boga, opowiadaj prędko, skąd się tu bierzesz, gdzie bawiłeś, co robiłeś *et caetera, et caetera.*

— Ho ho, nie tak prędko, łaskawco, najprzód musisz się dowiedzieć, po co tu przyszedłem.

— Więc nie w odwiedziny?

— Ba i bardzo! Szukam obowiązku, jaśnie wielmożny panie!

— Aż tak źle z tobą!

— Do niedawna było jeszcze gorzej, ale teraz...

— Teraz?

— Będzie już dobrze, kiedy mego Gracchusa zastaję niezmienionego mimo szesnastu wsi, które jak istne pieczone gołąbki spadły mu do gęby.

— Znajdujesz mię więc nie zmienionym — pytał Gracchus ciągle tym samym drwiąco wesołym tonem.

— Jak siebie samego!

Gracchus aż podskoczył z swej kanapki.

— *Vade retro, satanas!* więc ty się nic nie zmieniłeś? — zawołał z przestrachem.

— Ani o włosek! Oto najdobitniejszy dowód — odparł z rubasznym śmiechem Katylina i wskazał na podniesione w górę ukośne zapiętki.

— Zawsze ten sam hulaka, szaławiła, hałaburda.

— Burda — powtórzył Katylina, i kiwnął głową.

— Ten sam libertyn, niepomny na wczoraj, niedbały o jutro.

— A tak trochę... mniej więcej!

— Kpiarz, dla którego nic świętego, nic poważnego, nic nietykalnego.

— Za długą snujesz już litanję — przerwał Katylina, choć ani myślał się urażać.

— Namiętny wielbiciel płci pięknej...

— Aha... płci... — powtórzył Katylina i zakrztusił się czegoś.

— Niedowiarek nieuznający ni Boga, ni djabła.

— Ale wierzący ślepo w twój charakter i twoje serce.

— I w moją pamięć, nieprawdaż?

— Ale tylko w twoją.

— Ocaliłeś mię kiedyś od ekskluzji.

— No, jak teraz rzeczy stanęły, to nie wielką wyświadczyłem ci przysługę.

— Ale wówczas ogromną, i to nietylko mnie.

— Prawda, przysłużyłem się trochę i twojej matce, o którą zaledwie teraz pozwalasz mi się zapytać.

Wesoła i uśmiechnięta twarz Gracchusa spoważniała i zasępiła się nagle, a z piersi wyrwało się przytłumione westchnienie.

— Moja matka — szepnął zmienionym głosem...

— Nie żyje?! — wykrzyknął Katylina, domyślając się reszty.

— Niebo przeznaczyło jej snać samą tylko walkę z losem, nie miała na ziemi zupełnego doznać szczęścia. Umarła...

— Nim jeszcze odziedziczyłeś spadek...

— Spadek ten miał mi tylko osłodzić jej stratę — szepnął i w jakieś głębokie wpadł zamyślenie.

Katylina pochylił głowę na piersi, i uśmiech sarkastyczny znikł mu z twarzy. Po chwili podniósł oczy i prawie z spółczu-

ciem spojrzał na przyjaciela, co całej fizjonomji jego jakiś niezwyczajny nadało wyraz.

Gracchus siedział ciągle w zamyśleniu, a dziwnie piękną wydawała się w tej chwili cała jego postać. Wysoki, smukły, łączył w twarzy swej kobiecą miękkość i regularność rysów z wyrazem prawdziwie męskiej powagi i śmiałości. Najpierwsza piękność niewieścia mogłaby mu pozazdrościć białości i rumieńców twarzy, jasnych, lśniących i miękkich jak jedwab włosów, które z natury w bujne skręcały się kędziory i tych błękitnych, wymownych oczu, co zawsze zdawały się zamyślone, napół nieprzytomne prawie, a mimo to jednem spojrzeniem przejmowały do głębi. Tem wydatniej i nadobniej występywały obok tych kobiecych wdzięków prawdziwie męskie, wysokie i wypukłe czoło, i szczególny skład energicznie zawsze ściśniętych ust, które nie wielki jeszcze ocieniał wąsik.

Katylina z widocznym upodobaniem wpatrzył się w twarz dawnego przyjaciela.

Gracchus po chwili ocknął się z zamyślenia, potarł czoło i zdawał się przezwyciężać swój smutek. Wszakże nie wrócił już do tej swawolnej wesołości, w jaką wprawiło go na początku niespodziewane a tak oryginalne pojawienie się dawnego kolegi, z którego imieniem i osobą tysiączne ucieszne wiązały się wspomnienia.

— Niech cię kulę biją — zawołał naraz Katylina, widząc wypogadzające się czoło przyjaciela. — Stałeś się jeszcze piękniejszym niż byłeś dawniej.

Gracchus uśmiechnął się tylko.

— Widać, że gonisz za służbą, bo wprawiasz się w pochlebstwa.

— A ty już djablo oswoiłeś się z rolą *pana*, kiedy lada luźną uwagę bierzesz za pochlebstwo.

— Pamiętajże wystrzegać się ile możności takich luźnych uwag, a zacznij lepiej opowiadać, gdzie się obracałeś przez pięć lat naszego niewidzenia.

— Jakto! bez fajki? bez cygara? — zapytał Katylina, obzierając się naokoło.

Katylina sięgnął ręką do pobliskiego stolika, gdzie w ozdobnem porcelanowem naczyniu stała paczka hawannów. Obejrzał cygaro na wszystkie strony, pokiwał głową i cmoknął językiem.

— *Tempora mutantur!* — mruknął zapalając — pamiętasz

te czasy, kiedyśmy się to z wielką biedą musieli składać na lichą paczkę *Drei König'u.*

Gracchus uśmiechnął się i zamarzył.

— Możeś ty głodny? — zapytał nagle.

— Nie jeszcze do tej chwili, wyjechałem po śniadaniu od twego czcigodnego mandatarjusza.

— Ho, ho, już zabrałeś z nim znajomość.

— Nietylko z nim, bratku, ale i z twoim nieoszacowanym Girgilewiczem, a nawet z klucznikiem twego zaklętego dworu.

— Z Kostiem Bulijem? — zapytał prędko Gracchus, i porwał się napół z sofki.

— Z nim samym.

— Kiedy, gdzie, jak? — pytał dalej Gracchus dziwną jakąś tknięty ciekawością.

— Ależ poczekaj, chcesz naprzód abym ci opowiedział moje *curriculum vitae* od chwili naszego rozstania.

— A dla czegoż nie zaczynasz, nudziarzu?

— Bo naprzód musisz zgodzić się na jeden warunek.

— Naprzykład?

— Musisz w odwet opowiedzieć mi twoją historję.

— Na zawołanie! choć nie wiele się z niej dowiesz.

— O i moja historja bardzo krótka.

— Zaczyňajże raz.

Katylina wypuścił ogromny kłąb wonnego dymu, rozparł się wygodniej w karle i zaczął:

— Wiesz, że przyjąwszy na siebie autorstwo twoich nieroztropnych wierszy, a zagrożony przez to nieochybnem wykluczeniem ze szkół całego austrjackiego państwa, chciałem coś więcej jeszcze zbroić na to konto: więc przy pierwszej nadarzonej okazji wygarbowałem potężnie grzbiet naszemu dyrektorowi.

— Że nieborak cały miesiąc nie ruszył się z łóżka.

— Po takim ekscesie niebezpiecznie było i jedną godzinę dłużej zabawić w Samborze.

— Zniknąłeś więc, nie pożegnawszy się nawet z nami.

— Ani z wami, ani z mymi licznymi brodatymi i niebrodatymi wierzycielami. Drapnąłem tej samej chwili po wyłataniu skóry łotrowi dyrektorowi.

— I gdzież się udałeś?

— Nie zgadłbyś nigdy w życiu!... Pognałem prostą drogą do klasztoru...

— Do klasztoru!

— Zostałem nazajutrz zaraz braciszkiem dobromilskich OO. Bazyljanów.

— Czy być może? — zawołał Gracchus głośnym parskając śmiechem.

— Na moje szczęście umarł był właśnie wówczas brat szafarz klasztorny, a czcigodni ojcowie wnosili z mojej facjaty, że muszę znać się na wiktuałach i potrafię zastąpić nieboszczyka.

— I przyjęli ciebie w swoje grono, ciebie, największego heretyka, jakiego kiedykolwiek ziemia nosiła!

— Bez długich zachodów i korowodów. Przywdziałem kurtę bazyljańską, otrzymałem imię brata Pantalemona, i zostałem wicegubernatorem klasztornej spiżarni, klasztornych stajen i chlewów.

— I złożyłeś ślub zakonny?

— Jeszcze czego nie stało! Naprzód przecież musiałem przebywać nowicjat.

— I o ten zapewne rozbiła się twoja zakonna karjera?

— Tak mniej więcej. Ciche spokojne życie klasztorne, ujęte w karby surowej reguły, nie mogło na długo pogodzić się z moją naturą. Jużto śmiej się jak chcesz, ale ja święcie wierzę w przysłowie: *Nomen et omen.* Nazywam się Damazy Czorgut, a czy nie czujesz, że w samym dźwięku tego imienia przebija się już coś niestałego, niepewnego, awanturniczego!

— To też posłużny temu dźwiękowi, czmychnąłeś z monasteru? — przerwał śmiejąc się Gracchus.

— Pewnego pięknego poranku dobrałem się do mych sukien dawniejszych, i zniknąłem bez śladu i wieści.

— I gdzież uciekłeś?

— Wprost do Przemyśla na plac asenterunku. Zaciągnąłem się do wojska.

— I służyłeś?

— Całe cztery lata. Raz byłem już feldweblem, dwa razy kapralem, ale zawsze po niejakimś czasie musiałem *da capo* od prostego żołnierza zaczynać moją karjerę — rzekł śmiejąc się rubasznie.

— Jakto, więc trzykrotnej uległeś degradacji?

— *Omne trinum perfectum!* Nie chciałem już po raz czwarty doznać podobnego despektu, i postanowiłem opuścić szeregi.

— Dezerterowałeś?! — zawołał Gracchus przestraszony.

— Za kogoż mię masz! Są przecież inne sposoby uwolnienia się od służby.

— Więc uwolniłeś się legalnie?

— Oczywiście. Zachorowałem niby na piersi, dostałem niby okropnej chrypki, żem zaledwie mógł mówić, i przeleżawszy się kilka tygodni w hermansztadzkim szpitalu, otrzymałem nareszcie abszyt pożądany. I dziś jestem już *cywil*.

Gracchus zamyślił się czegoś.

— Ubolewasz nad moją niepoprawnością, nieprawdaż? — ozwał się Katylina wesoło. — Daj pokój temu. Wiesz, że jestem sam jeden na świecie, rodzice odumarli mię, kiedym był jeszcze w pieluchach, a po dzień dzisiejszy nie przyznał się do mnie żaden krewny. Samo więc przeznaczenie popchnęło mię niejako na drogę awanturniczych przygód. Jestto wprawdzie trochę niebezpieczna droga, ale nie dla człowieka, co choćby chciał, nie może nic innego zaryzykować, jak tylko to nędzne życie, o które nie dba wcale.

Gracchus nic nie odpowiedział, i tylko w głębsze jakieś zapadł zamyślenie.

Katylina wzruszył ramionami, pociągnął całą piersią kłąb dymu z dopalającego się cygara i niecierpliwie poruszył się w siedzeniu.

— Zrobiłem swoje — mruknął po chwili — opowiedziałem ci moje dalsze *curriculum vitae*, a teraz czekam na twoje.

— W samej rzeczy, przyrzekłem ci to — odezwał się z pewnym melancholijnym nastrojem jasnowłosy młodzieniec. — Wiesz, że między nami osobliwsze zachodzi podobieństwo.

— Podobieństwo?! — wykrzyknął Katylina zdziwiony.

— I ja jak ty, jestem sam na świecie!

Katylina wybuchł głośnym śmiechem.

— Wybornyś, mój drogi! Sam jeden przy miljonowym majątku! Dla Boga chciej tylko, a w jednem mgnieniu oka otoczy cię grono krewnych, znajomych i przyjaciół, liczniejsze niż całe potomstwo Abrahama.

Gracchus zmarszczył czoło.

— Miljonowy majątek, miljonowy majątek; otóż to, co wszyscy mają na ustach! — zawołał z goryczą — a wieszże, że z tym miljonowym majątkiem przybywa dwa miljony nieznanych ci dawniej trosk, cierpień, przykrości, że z tym...

— Stój przez litość — przerwał Katylina. — Nie poznaję, nie pojmuję cię. Jakto! ty, ty utyskujesz na ciężar majątku!

— Dlaczegoż cię to właśnie u mnie dziwi? — zapytał Gracchus z nietajoną niechęcią.

— Ależ zmiłuj się, przypomnij sobie, skąd przyszedłeś

w szkołach do przydomku Gracchusa, największego z rzymskich trybunów.

— Że w naszych rozmowach i dysputach występowałem zawsze jako patron poniżenia, trybun ubogich i upośledzonych...

— A nieubłagany nieprzyjaciel, niezłomny przeciwnik bogactwa, czyli raczej złego użycia bogactw.

— Tem wszystkiem jestem i dzisiaj — zawołał Gracchus z dumą.

— W takim razie nie pojmuję, jakich trosk, cierpień, przykrości może cię nabawiać twoje jakby z nieba spadłe bogactwo. Ciskałeś niegdyś gromy i pioruny na złe używanie bogactw, snułeś najrozmaitsze plany, budowałeś najróżnorodniejsze teorje, jak właściwie należy korzystać z darów losu, toż teraz nie potrzebujesz jak tylko wprowadzać w życie dawne marzenia, urzeczywistniać onegdajsze chęci.

Gracchus z impetem potarł czoło.

— Prawda — zawołał — piorunowałem na bogatych egoistów, nie miałem dość słów zelżywych, dość przekleństw na nieużytych dla dobra publicznego bogaczy, a i dziś z dumą przyznaję się do tego wszystkiego.

— Hm, hm — mruknął Katylina, wzruszając ramionami — ani w ząb nie pojmuję, do czego mierzysz!

Gracchus uspokoił się nagle.

— Chciałem tylko powiedzieć — rzekł w jednej chwili zmieniając z tonu — że co innego jest roić marzenia, budować teorje, a co innego wprowadzać w wykonanie, w rzeczywistość.

Katylina przez zęby jakąś wesołą zagwizdał arję.

— Winszuję ci — ozwał się nie bez pewnego drwiącego nacisku. — Przy bogactwach przyszedłeś w dwudziestym szóstym roku do tego doświadczenia, którego przy ubóstwie nie osiągnąłbyś pewno i w latach sześćdziesięciu!

Gracchus w gniewie tupnął nogą.

— I ten mię nie rozumie — zawołał z goryczą — i temu się zdaje, że przyszedłszy jakby cudem do bogactwa, zaparłem się dawnych zasad, dawnego sposobu myślenia, dawnej mej duszy i istoty.

— At pleciesz — przerwał Katylina z najzimniejszą krwią, wyciągając obie nogi na środek pokoju — gdybym był tego zdania, nie byłbym pewnie tak nieżenowany w twojej przytomności.

Gracchus w zamyśleniu wpatrzył się w róg sufitu.

— Słuchaj — ozwał się po chwili — przybyłeś mi jak zawołany. Nigdy może nie pragnąłem silniej jak teraz wynurzyć, wywnętrzyć się przed kimś. Ty co mię znałeś dawniej, kiedy jeszcze w pocie czoła pracowałem na chleb powszedni, kiedy gorzkim trudem okupywałem szmat odzieży na grzbiecie, ty mię będziesz mógł osądzić najlepiej, przed tobą wyspowiadam się ze wszystkiego!

Katylinie pochlebiły widocznie słowa przyjaciela, bo uśmiech sarkastyczny znikł mu nagle z ust, a twarz jakoś spoważniała i zszlachetniała w jednej chwili. Gracchus tymczasem szybkiemi krokami zaczął przechadzać się po pokoju, jak gdyby zbierał myśli lub jakąś wewnętrzną przytłumiał walkę.

Nim podsłuchamy dalszej poufnej rozmowy obudwu dawnych przyjaciół, poznajmy bliżej ich przeszłość i wzajemny stosunek.

Wiemy już mniej więcej, że Gracchus i Katylina czyli inaczej Juljusz Żwirski i Damazy Czorgut, byli kolegami szkolnymi, i że od pierwszej chwili poznania ścisła łączyła ich z sobą przyjaźń.

Przyjaźń ta oparta na dziecięcych jeszcze wrażeniach i skłonnościach, na kilkuletniem sąsiedztwie jednej ławki, przeszła już wiele prób i walk, a od pierwszego swego zawiązania mogła tylko uchodzić za żywe sprawdzenie przysłowia *les extrêmes se touchent.*

Trudnoby bowiem wyobrazić sobie dwie sprzeczniejsze natury, dwa różniejsze charaktery, dwie odrębniejsze indywidualności nad naszych obudwu młodzieńców, o tak znaczących rzymskich przydomkach. Obadwaj nie mieli z sobą nic wspólnego, jeden wyglądał raczej jak istne przeciwieństwo drugiego, a mimo to spajała ich jakaś tajemna, zagadkowa nić sympatyczna.

Łagodny, cichy, przyzwoity Juljusz uchodził w szkołach za wzór skromności i dobrych obyczajów, podczas kiedy gwałtowny, niesforny i nieokrzesany jego towarzysz raził już w pierwszych latach dziecięcych zawadjactwem, zuchwałością bez miary i wogóle obok namiętnego charakteru, zdradzał zupełny brak wychowania.

Juljusz dziesięciu ustąpił, nim jednego sobie naraził. Damazy dwudziestu zraził, nim o włosek uległ jednemu. Pierwszy tkliwy i wrażliwy jak panienka, niepoprawny marzyciel i fantasta, zakrawał prawie na melancholika, drugi jak głaz zamknięty wszelkim uczuciowym wrażeniom i wpływom, poddany ślepo

zmysłowym popędom niezwyczajnie namiętnej natury, z wiecznym złośliwym uśmiechem na ustach, odpychał nieprzyzwyciężonym pociągiem do szyderstwa, bezwzględnem zaufaniem w samym sobie i pewnem aż w cynizm wpadającem lekceważeniem wszystkiego i wszystkich na świecie.

Jaskrawa ta sprzeczność charakterów wypływała po części przynajmniej w swych początkach z różnego wychowania obudwu.

Juljusz pochodził z uboższej, podupadłej gałęzi szczytnej rodziny Żwirskich. Ojciec jego miał jeszcze małą wioskę w samborskiem, i mógł jedynemu synowi zapewnić życie bez trudu i troski; wszakże nieszczęsny rok 1831 pochłonął i te resztki znacznej niegdyś fortuny szlacheckiej. Stary pan Michał Żwirski udzielał hojne zasiłki pieniężne wszystkim młodym ochotnikom, co z tych stron spieszyli na plac boju, a oprócz tego i tysiączne inne ponosił ofiary. To też z upadkiem nowo na chwilę odżyłych nadziei, doznał i zupełnej ruiny majątkowej, i narażony na rozliczne kłopoty i prześladowania, wyzuty zupełnie z ostatniej posiadłości ziemskiej, musiał na jakąś nędzną zejść dzierżawę, gdzie w pocie czoła mógł zaledwie kęs powszedniego chleba zapracować dla swej nielicznej rodziny.

Ciężkie zgryzoty, troski nieustające, praca nad siły, podkopały wątłe z natury zdrowie zacnego obywatela. Umarł przedwcześnie, zostawiając żonę i syna na walkę losu, której sam nie był w stanie podołać.

Pani Żwirska musiała dotrzymać umowy dzierżawnej, a pozbawiona wszelkiej męskiej pomocy, nie znająca się na gospodarstwie, pełna ślepej ufności do każdego, straciła wszystko, co pozostało jeszcze z ogólnego rozbicia, i nagle opuszczona i osierocona ujrzała się bez wszelkich środków do życia, wszelkich zasobów do dalszego wychowania jedynego dwunastoletniego syna, który dotychczas w domu jeszcze pierwsze pobierał nauki.

Sama gotowa była ciężkim znojem zapracowywać gorzko kawałek chleba, pasować się bez skargi z najsroższą niedolą, ale los jedynego dziecięcia okrutną przejmował ją trwogą. Złamana cierpieniem nie widziała innego środka w rozpaczy, jak uciec się do pomocy majętnych krewnych. Przezwyciężając szlachetną dumę, która wzmogła się tylko w nieszczęściu, udała się najpierw do swych własnych, następnie do krewnych mężowskich.

I z jednej i z drugiej strony czekał ją zawód, zanadto

zresztą zwyczajny i powszechny w naszych czasach i naszym świecie, aby go zgóry nie można było przewidzieć. Zamiast otrzymać spodziewaną pomoc na wychowanie syna, musiała tylko połknąć kilka kropel nowej goryczy, poniżając się bezowocnie, prosząc napróżno.

W zupełnem już prawie zwątpieniu przypomniała sobie w jakiejś szczęśliwej chwili, że i bogaty i głośny w okolicy starościc Żwirski należy w jakimś stopniu do rodziny mężowskiej.

Napisała do niego chwytając się niejako ostatniej już, pajęczej nitki gasnącej zupełnie nadziei. W tydzień otrzymała odpowiedź umyślnym posłańcem, która obok banknotu na tysiąc złotych reńskich następujące zawierała słowa.

„Posyłam większą sumkę naraz, aby być wolnym od wszelkich dalszych kwerend. Obejdzie się bez podziękowania".

Mimo tak nielitościwej, okrutnej prawie formy listu, przyjęła biedna wdowa dar ofiarowany, i sprowadziwszy się do Sambora, postanowiła żyć z rozdzielonych na lata cząstek otrzymanej sumy, a syna pod własnym okiem oddała do szkół publicznych.

Śliczny, jasnowłosy Julek miał lat trzynaście, kiedy już po rozpoczętym kursie wszedł do pierwszej klasy gimnazjalnej czyli tak zwanej łacińskiej, a wola profesora posadziła go w trzeciej ławce, tuż przy boku jakiegoś barczystego kolegi, który go od samego wstępu na próg nawskroś swym szyderczym przeszywał wzrokiem.

Julek usiadł spokojnie na wskazanem sobie miejscu, a słyszał jak barczysty sąsiad mruknął półgłosem:

— Ten chrząszcz patrzy coś na paniczyka.

Niebawem dowiedział się nazwiska swego groźnego, szyderczego sąsiada.

Profesor zawołał nagle z katedry:

— Damazy Czorgut!

— *Adsum!* — odpowiedział głośno i śmiało barczysty sąsiad.

— Posadziłem koło ciebie nowozapisanego Juljusza Żwirskiego, bo widać mu z twarzy, że łagodny i spokojny — prawił profesor poważnie — pamiętajże utrzymywać z nim zgodę, bo pierwsza z twej strony zaczepka karana będzie z podwójną surowością.

Czorgut wzruszył z lekceważeniem ramionami, potem spojrzał z nietajoną złością na swego sąsiada i mruknął zuchwale:

— Nie miałbym z kim szukać zaczepki, ta z nim. Niech sobie siedzi spokojnie, ale proszę pana profesora, najczęściej cicha woda brzegi rwie.

— Milczeć — upomniał profesor surowo — ty na wszystko znajdziesz odpowiedź, ale powiadam ci jeszcze raz, że na pierwszą skargę Żwirskiego nie będę uważał, żeś eminentysta, ale cię zamknę do karceru, i dam złą notę w obyczajach.

Czorgut usiadł, i znowu wzgardliwie ruszył ramionami. A widać było, że namotał sobie na nos protekcję profesora. Całą godzinę siedział spokojnie, ale zaledwie profesor w chwili wypoczynku wyszedł ze szkoły, porwał się nagle z miejsca i silną ręką pochwycił za kark nowego sąsiada.

— Co ty, chrząszczu, masz być fagasem belfera? — huknął mu nad uchem.

Przestraszony tak nagłym napadem Julek, nie miał nawet siły odpowiedzieć.

— Potrzeba mu zrobić *października* na powitanie! — zawołał Czorgut.

— Października, października! — zakrzyczały wesoło rozliczne głosy.

Październik byłto własny wynalazek Czorguta, a polegał na tem, aby komuś w jak najnieprzyjemniejszy sposób wszystkie włosy zburzyć w górę, a potem kilka razy zaciśniętą pięścią przesąnąć mu od brody przez nos do czoła.

Julek miał długie starannie uczesane włosy, to też operacja października miała wielką dla wszystkich ponętę.

— Października! października! — odzywały się ciągle głosy z najdalszych kątów klasy.

— *Silentium!* — upominał napróżno nominalny przestrzegacz porządku szkolnego, tak zwany *familias*.

Czorgut pochwycił w obie swe szorskie dłonie jasnowłosą głowę swej ofiary, i w jednem mgnieniu oka w dziwny wprowadził ją nieład, a potem w napomkniony powyżej sposób tak gwałtownie pięścią przesunął mu po twarzy, że biednemu przestraszonemu Julkowi krew puściła się z nosa.

Czorgut nie spostrzegł tego, a lękając się nadejścia profesora, zaczął prędko przygładzać mu włosy.

Lecz w tej chwili profesor ukazał się już we drzwiach.

— Co tu się dzieje? — zapytał surowo.

Cisza nastała jakby mak siał.

Stary pedagog powiódł wprawnem okiem po całej szkole

i spostrzegł nagle skrwawionego Julka. Nastrożył się, że aż strach przejął siedzących w ostatniej ławce, i usiadłszy napowrót na katedrze, wytoczył formalne śledztwo.

— Przystąp tu, Żwirski.

Julek wysunął się na środek i stanął przed katedrą.

— Co ci kto zrobił? — zapytał profesor.

Cisza nastała w klasie, że nikt ani mrugnąć nie śmiał. Julek zawahał się czegoś, obejrzał się za swym napastnikiem, a widząc ciągły szyderczy uśmiech na jego ustach i prawie powiększony jeszcze wyraz wyzywającej zuchwałości w oczach, zmarszczył zlekka czoło, i odpowiedział stanowczo:

— Nikt mi nic nie zrobił, panie profesorze.

Całą szkołę obiegł przytłumiony szmer zdziwienia.

— Jakto nic? — żachnął się profesor — skądże ta krew?

— Z nosa — odpowiedział naiwnie zapytany.

— Któż ci ją puścił?

— Nikt, sama się puściła...

— *Ad locum, asine* — krzyknął pedagog rozgniewany i nie troszcząc się więcej o tę sprawę, zaczął dalszy wykład.

Julek wrócił do swej ławki, a czuł jakoś instynktem, że szlachetnem swem zaparciem odniósł większy triumf nad przeciwnikiem, niż gdyby go był na najsurowszą naraził karę.

Kiedy usiadł na dawnem miejscu, Czorgut ukradkiem pochwycił go za rękę, i szepnął mu nieznacznie.

— Przepraszam cię, nie jesteś fagasem, będziemy odtąd przyjaciółmi.

I w samej rzeczy od tej chwili, od tego drobnego, małoznaczącego wypadku, zawiązała się naprawdę szczera pomiędzy obudwoma przyjaźń. Czorgut powziął szczególny szacunek i sympatję do swego słabszego sąsiada, a z natury szczery, wylany, otwarty Julek, nie odepchnął podawanej ręki do zgody i braterstwa!

Przyjaźń zresztą Damazego Czorguta nie zasługiwała wcale na wzgardę lub lekceważenie. Najzuchwalszy i najniesforniejszy uczeń w klasie, był on oraz najzdolniejszy i największe miał u kolegów zachowanie. Nieobeznany z zwyczajami i obyczajami szkolnemi Julek, znalazł w nim odrazu doradcę i przewodnika, a tak pierwsze słabe w początkach węzły przyjaźni, spajały się coraz silniej.

Damazy był od dzieciństwa sierotą po jakimś pisarzu prowentowym, matka służąc gdzieś za klucznicę, bardzo słabej udzielała mu pomocy, mimo więc swego nader młodocianego

wieku, musiał po większej części sam starać się na siebie. Dawał lekcje początkowym normalistom, przepisywał skrypta wyższym gimnazjastom, wyrabiał zadania domowe i szkolne swym słabszym kolegom, a tak z trudem, mozołem, przy głodzie i chłodzie przebijał się jakoś z klasy do klasy.

Świetne postępy w szkołach, bystre do wszystkiego pojęcie i niesłychana pamięć, jednały mu o tyle względy profesorów, że najczęściej patrzali przez szpary na gwałtowne wybryki jego od pierwszej już młodości zuchwałej i niesfornej natury.

Ludzie, co wcześnie sami muszą starać się o siebie, przyuczają się zazwyczaj porządku, statku i oszczędności, u Damazego Czorguta działo się przeciwnie.

Dwa bochenki razowego chleba nadsyłane mu regularnie co tydzień od matki służyły mu za bezpieczną rezerwę, na którą mógł spuścić się na najgorszy wypadek. Cokolwiek też zarobił ubocznie, przepuszczał tej samej chwili, nie pamiętając o jutrze. Nigdy jakaś stalsza troska nie zasępiła jego czoła, nie zamąciła mu spokoju. Zawsze wesoły, swobodny, śmiejący się, zdawał się opływać w wszelkie dostatki, kiedy nieraz od dwu dni ani w gębie nic nie miał, a z większą fantazją, z większą śmiałością stąpał w swych wykrzywionych butach, niż inny koleżka w lakierowanych ciżemkach.

Z każdym nowym rokiem ułatwiało mu się oczywiście utrzymanie, dostawał już korzystniejsze lekcje, pobierał więcej za wypracowanie obcych zadań, ale z tem wszystkiem nie zmienił trybu życia. Im więcej rosły dochody, tem znaczniejsze mnożyły się potrzeby, tem gwałtowniejsze zresztą odzywały się w nim namiętności.

Julek, młodszy od niego o cztery lata, prowadzony starannie pod czujnem okiem matki, nie wiele stykał się z swym przyjacielem poza szkołą. Sąsiadował z nim zawsze w jednej ławce, często Damazy odwiedzał go w domu, i na tem kończyły się ich wzajemne korrelacje. Dopiero w latach późniejszych, kiedy Julek łatwiej mógł oddalić się z pod oczu matki, poznał cały nieporządny tryb życia swego przyjaciela, ale wszelkie rady, przedstawienia i upomnienia przychodziły już teraz zapóźno. Czorgut ani nie myślał zmienić nagannego trybu życia, lekkomyślność jego z każdym dniem nowym rosła. Niepomny na wczoraj, nie troszcząc się o jutro, kontynuował dalej z świetnym zawsze sukcesem swój zawód szkolny, i tak nareszcie doszedł do klasy szóstej, ostatniego roku nauk gimnazjalnych. Śmierć matki

rozwiązała mu do reszty ręce, odtąd należał już w dosłownem tego słowa znaczeniu sam do siebie, ostatnie pękło ogniwo, które choć cokolwiek kiełzało jego wolę.

— Jestem już zupełnie *sui juris* — mawiał odtąd na wszelkie przyjacielskie upomnienia.

W takim stanie zaskoczyła go katastrofa, która nagle na zupełnie inny tor popchnęła jego życie.

Młodzież szóstej klasy zaczyna już czuć i myśleć głębiej. W młodzieńczym szale i upojeniu nie trudno jednak w tej porze o jakiś krok nierozważny, który na całe życie późniejsze zgubny nieraz wywrze wpływ.

Kilkunastu uczniów szóstej klasy zawiązało się w tajne wielkich zamiarów a małych środków stowarzyszenie. Wszyscy członkowie poprzybierali rzymskie imiona, i wszyscy do jak najściślejszej zobowiązali się tajemnicy.

Łagodny, szlachetny Juljusz, fantazujący zawsze o biednym i uciśnionym ludzie, na którym zdaniem jego cała przyszła ojczyzny polegała nadzieja, otrzymał imię Gracchusa, zuchwały charakter, niesforna natura Czorguta, ściągnęły mu przydomek Katyliny.

Dwa razy na tydzień zbierali się związkowi na walne zgromadzenie w rozmaitych miejscach umówionych, a każdą razą jednogłośną aklamacją zajmował Gracchus miejsce prezydenta.

Niebawem jednak zawisła groźna chmura nad młodocianym klubem.

Zawezwany przez swych towarzyszy, napisał Gracchus ognisty, pełen prawdziwego poetycznego polotu wiersz, który miał służyć niejako za program stowarzyszenia.

Tajemnica samego związku zachowała się nienaruszoną, ale ów śmiały, pełen namiętnych wybuchów wiersz rozpowszechnił się po całym Samborze, a Bóg wie jakim sposocem ni stąd, ni zowąd ustaliło się mniemanie, że autorem tego z rąk do rąk ukradkiem podawanego wiersza był nasz Juljusz Żwirski.

Dyrektor wytoczył śledztwo, które tem zgubniejsze mogło pociągnąć za sobą skutki, że groziło naprowadzić na trop tajnego stowarzyszenia.

Aby więc wraz z sobą i innych nie zgubić kolegów, postanowił Gracchus przyznać się do zarzuconego mu autorstwa, i poddać się dobrowolnie nieuchronnej karze.

Oznajmił swój zamiar zgromadzonym towarzyszom i wszyscy przyjęli go w ponurem milczeniu, widząc, że rzeczywiście ten jeden tylko pozostaje środek.

Ale w tej chwili zjawił się spóźniony cokolwiek Katylina.

— Nie pozwalam! — huknął zaraz na wstępie stentorowym głosem.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni. Katylina wyglądał zupełnie zmieniony. W fizjonomji jego przebijała się niezwyczajna uroczystość i powaga, zeszlachetniał i wypiękniał w całej swej postaci, i widać było, że z jakiemś silnem, nieugiętym przybywa postanowieniem.

— Ja jestem autorem wiersza i kwita — wykrzyknął po chwili.

Na to całe zgromadzenie wybuchło w jeden tylko głośny wykrzyk radości.

Napróżno zżymał i opierał się Juljusz.

— Siedź cicho, głupcze — zakrzyczał go Katylina z swoją rubaszną poufałością — masz matkę, która teraz już potrzebuje twojej podpory, a ja nie mam żadnych obowiązków na tym świecie. Tobie różne przyświecają nadzieje, ja jeśli do czego doprowadzę, to tylko na drodze awanturniczych przygód: nie chciej mię więc powstrzymywać na ścieżce mego powołania. Samo moje nazwisko rwie mię na ten tor, bo czyż podobnaby uwierzyć, aby ktoś, co nazywa się Damazy Czorgut, mógł być kiedy gryzipiórkiem lub czemś podobnem?...

— Niech żyje Katylina! — zahuczało całe zgromadzenie.

Myśl o podpadającej codziennie na siłach matce rozbroiła poniekąd Gracchusa, zawsze jednak silne jeszcze odzywały się w nim szkrupuły. Chciał się znowu z czemś odezwać, ale Katylina zamknął mu gębę.

— Nie myśl, że się poświecam za ciebie — rzekł mu z uśmiechem lekceważenia — sprzykrzyło mi się już to głupie szkolarstwo, potraciłem lekcje, narobiłem długów, czy tak, czy tak, musiałbym dziś jutro zrobić *fugas chrustas*. Nie odbierajże mi sposobności usunąć się z honorem z widowni. Do widzenia, koledzy. Idźcie do domu i zabierajcie się spokojnie do waszych pensów, ja walę wprost do dyrektora, i załatwię wszystko jak najlepiej.

Towarzystwo rozeszło się w najlepszem usposobieniu, a nazajutrz dowiedział się cały Sambor, że Damazy Czurgut przyznał się do autorstwa potępianych wierszy, a nie dość na tem, po podpisaniu protokułu obił w naddatku dyrektora i potem znikł bez wieści.

Z ucieczką Katyliny upadło dalsze śledztwo. Tajemny zwię-

zek pozostał w ukryciu, dopokąd się sam nie rozszedł, a Gracchus ocalał od nieochybnej ekskluzji.

Jakie przygody i koleje losu przechodził tymczasem zbiegły Katylina, wiemy już z jego własnego opowiadania. Nie podobało mu się w zaciszu klasztornych murów, za trudno było wydołać pod surowym rygorem karności wojskowej. Uciekł z klasztoru, wywinął się z wojska, i wracając do kraju, ujrzał się znowu na rozdrożu życia. Pobrzeba było koniecznie jakąś nową obrać ścieżkę, obejrzeć się za nowym sposobem utrzymania, ale w tem doszła go przypadkowo wieść o nagłej, szczególnej zmianie losu swego dawnego kolegi a przyjaciela.

Katylina nie namyślał się długo.

— Pójdę do niego — powiedział sobie — niech mi wytknie jaki zawód.

I z kijem w ręku a lekkiem zawiniątkiem pod pachą, przywędrował śród mnogich przygód po drodze do siedziby dawnego kolegi, a dzisiejszego miljonowego pana.

Opowiedziawszy swoje jak mówił *curriculum vitae*, czekał teraz niecierpliwie na opowiadanie Gracchusa.

## ZWIERZENIA.

Gracchus kilka chwil jeszcze przechadzał się w zamyśleniu po pokoju. Nareszcie usiadł napowrót na sofkę, głowę wsparł na ramieniu, i z na poły smutnym na poły gorzkim uśmiechem wpatrzył się w twarz Katyliny.

— Szydzimy, śmiejemy się — przemówił z pewnym naciskiem — kiedy nam chcą dowodzić moralności, że bogactwo nie robi szczęśliwym, że owszem staje się nieraz powodem, źródłem nieszczęść i cierpień.

Katylina uśmiechnął się ironicznie.

— Trudnoż bo nie śmiać się i nie szydzić. Bogactwo nie stanowi szczęścia, to prawda, ale że także nikomu zaszkodzić nie może, to zdaje się niemniej niewątpliwem. Że tam jakiś niezdarny niedołęga, co w ubóstwie miał jeszcze kapkę oleju we łbie, postrada go zupełnie w bogactwie i brnąc z jednego głupstwa w drugie, w przykrem postawi się nieraz położeniu, no to przecież nie wina biednych, spotwarzonych samochcąc pieniędzy, ale jego własnego charakteru i jego własnej natury.

— Czyż i mię liczysz do takich niedołęgów?... — wykrzyknął Juljusz porywczo.

Czorgut parsknął śmiechem.

— Ciebie nie mogę policzyć do żadnej kategorji, bo cię jeszcze nie rozumiem i nie pojmuję o co tu właściwie chodzi.

Juljusz zerwał się z siedzenia i kilka razy szybkim krokiem przeszedł się po pokoju.

— Przypominasz mię sobie dobrze z moich czasów studenckich — przemówił naraz — powiedzże, nie byłżem szczęśliwy z memi wyobrażeniami, memi marzeniami, memi nadziejami na przyszłość?...

— No tak, w samej rzeczy, *circa circiter* — odpowiedział Katylina, zapalając z flegmą nowe cygaro.

— Cóżbym za to nie dał, żebym dziś w takiem samem znajdował się usposobieniu!

— Potraf tylko pozbyć się sześciu lat, które ci przyrosły tymczasem, a powrócisz pewnie do ówczesnego usposobienia.

Juljusz żachnął się niecierpliwie.

— Ależ nie pojmujesz mnie, człowieku! — wykrzyknął.

— Najprostszy na to sposób, mów wyraźniej — odpowiedział Katylina, puszczając spory kłąb dymu.

Gracchus usiadł znowu.

— Dobrze — zawołał żywo — wytłumaczę się najwyraźniej.

— Tandem? — zapytał Katylina, wyciągając się wygodnie w krześle, jak gdyby na dłuższe przygotowywał się opowiadanie.

— Przypominasz sobie nasze różne i różne wspólne plany, zamiary i marzenia. Aby wiele z nich wprowadzić w wykonanie, zdawało się nam wszystkim, że nie brakuje nic więcej, jak tylko pieniędzy, znaczenia i tym podobnych przypadków. Ja sam podobno najwięcej z was utyskiwałem, że nie jestem ogromnie bogaty. Czegobym nie dopiął wtedy? jakiż przykład postawiłbym światu, jak silnie poparłbym naszą świętą sprawę, jak wielką zmianę przeprowadziłbym w całem społeczeństwie! Otóż jakby naumyślnie dla ukarania mię za te zuchwałe rojenia, niebo spełnia najśmielsze moje zachcenia, daje mi w ręce pożądane środki, wynosi mię jakby cudem na urojone stanowisko, i patrz, trzy lata jestem już panem miljonowym, od dwóch lat jestem już nadto zupełnie pełnoletnim, i czegoż do dziś dnia dokazałem? — dodał z wzrastającą gorączką.

Katylina poruszył się w siedzeniu i kiwnął głową.

— Stara jak świat reguła — przemówił z pośród coraz gęstszych kłębów dymu — że rzeczywistość daje nam tylko nadzwyczaj nędzne procenta od naszych marzeń. Kto za młodu liczy na cały kapitał, oswoi się później z procentami, ale

kto od początku wyciąga ręce tylko po procenta, ten się djablo gorzej przerachowywa, bo tego czekają same goluteńkie *passywa*.

Gracchus wstrząsł się zlekka wśród nowego zamyślenia.

— Abyś mię lepiej zrozumiał — przemówił po krótkiej chwili — opowiem ci cały bieg mego życia od chwili naszego rozłączenia.

— Od tego miałeś zacząć podobno?

— Ukończyłem ostatni rok w Samborze ze świetnym jak zawsze sukcesem. Na drugi rok zapisałem się we Lwowie na kurs filozoficzny. Wiesz, że lichy kapitalik mojej matki wyczerpał się dawno, i że już ostatnie lata mych studjów gimnazjalnych własnem opędzać musiałem staraniem. Nie bez ciężkiej troski i obawy przybyłem też na mieszkanie do Lwowa. Dla siebie nie bałem się niczego, ale biedna matka moja, podupadająca coraz bardziej na siłach, coraz większej potrzebowała pomocy. Ale los zaraz w początkach szczególną rozpostarł na mnie opiekę. Otrzymałem znaczne stypendjum, znalazłem korzystne lekcje i mogłem sobie i matce przyzwoite zapewnić utrzymanie. Ale wtem — szepnął z ciężkiem westchnieniem.

— Domyślam się — mruknął Katylina — matka twoja...

— Zaczęła coraz więcej zapadać na zdrowiu... i mimo wszelkich starań niepodobna było utrzymać ją przy życiu.

Katylina pochylił głowę na piersi i prawie wzruszonym ozwał się głosem:

— Ciężką poniosłeś stratę. Znając najlepiej twoje nieograniczone przywiązanie do matki, domyślam się, co musiałeś ucierpieć w pierwszej chwili.

Juljusz na samo wspomnienie otarł łzę z oczu.

— Jakby tylko dla pocieszenia po tej nieodżałowanej stracie otrzymuję nagle ni stąd, ni zowąd wizytę jednego z pierwszych adwokatów lwowskich i z ust jego odbieram wiadomość, którą nie wiedziałem, czy mam wziąć narazie za prosty żart, czy za jakąś zagadkową mistyfikację, czy Bóg wie zresztą za co innego...

— Jakto, tej sukcesji nie spodziewałeś się do ostatniego momentu? — przerwał Katylina.

— Na czemże do licha miałem opierać moje nadzieje? Wiedziałem wprawdzie, że osławiony z gwałtowności charakteru i rozlicznych dziwactw starościc, Mikołaj Żwirski, jest jakimś moim krewnym dalekim, że wsparł matkę moją w najcięższej

niedoli, ale byłem pewny także, że zapomniał już i o swem dobrodziejstwie i o naszem istnieniu na świecie.

— I zapewne wiedziałeś także, że ma brata z Orkizowa, tego hrabiego Zygmunta, który na wszelki wypadek bliżej powinien stać jego serca?

Na wspomnienie hrabiego Zygmunta dziwna zmiana zaszła w fizjognomji Juljusza. Drgnął z lekka i pobladł znacznie, a na czole pomimowolna zarysowała się chmura.

— Skądże ty wiesz o hrabi Zygmuncie? — zapytał prędko, omijając właściwe zapytanie.

— Mówiłem przecież, że nim przybyłem do ciebie, poznałem twego ekonoma i sędziego, a ci mię wtajemniczyli w niektóre rzeczy.

— I cóż ci powiedzieli o hrabi? — pytał Juljusz dalej z szczególną skwapliwością.

— Nic takiego, czegobyś ty nie wiedział. Od dzieciństwa nie cierpiał się z przyrodnim bratem, a ten umierając wystrychnął go na dudka i pokazał mu figę w testamencie, i oto wszystko, czego się dowiedziałem.

— Ja sądziłem...

— Co?

— Że ci ludzie przez swe styczności z orkizowskimi oficjalistami wiedzą może... — cedził zwolna przez zęby i urwał nagle.

— Cóż takiego? — pytał Katylina.

— To jest mogli słyszeć... zwietrzyć... jak...

— Jak?... — naglił Katylina, nie pojmując dziwnego wahania się przyjaciela.

— Jak sam hrabia jest wobec mnie usposobiony.

— Tam do licha — mruknął Katylina, wzruszając ramionami — tyś sam przecie powinien wiedzieć o tem najlepiej.

— W samej rzeczy... ale widzisz... pod tym względem sam sobie nie mogę zdać sprawy — jąkał się z jakiemś osobliwszem pomieszaniem.

Katylina przypatrywał mu się pilnie z boku i nagle rzucił się w swem krześle.

— Niech mię piorun trzaśnie — pomyślał z ważną miną — czy nie wlazłem tu w sam stek jakichś szczególniejszych tajemniczych, romantycznych wypadków. Co krok stąpię, jakaś tajemnica, co słowo usłyszę, jakaś zagadka. Czegoż ten się znowu tak miesza jąka na wspomnienie hrabiego Zygmunta, czy

nienawiść do niego otrzymał w puściźnie po swym dobrodzieju?...

Juljusz tymczasem przeszedł się szybko tam i nazad po pokoju.

— Niech cię nie dziwi moje zapytanie — przemówił po chwili spokojniej — dowiesz się jego powodów z dalszego toku opowiadania.

— Jako kawałek literata — bąknął Katylina wesoło — powinienbyś zachować lepszy szyk, i naprzód przeczytać powody, a potem dopiero przystępować do skutków.

Juljusz usiadł napowrót na sofkę i zaczął dopiero po chwili:

— Odziedziczyłem mój bajeczny spadek nie będąc jeszcze pełnoletnim. W pierwszym roku musiałem się poddać opiece sądu szlacheckiego i przyjąć z jego ramienia kuratora. Aby jednak prędzej niejako wypełnić brakujące mi do dojrzałości lata, a przytem i rozerwać się po stracie matki, wybrałem się na dłuższy czas za granicę.

— I zwiedziłeś?

— Niemcy, Włochy, Francję. Urzeczywistniłem tym sposobem jeden z najpiękniejszych snów moich. Widziałem na własne oczy święte pamiątki Rzymu, bogate skarby Florencji.

— *Et caetera, et caetera.*

— Po roku powróciłem do domu i objąłem majątek sam na siebie.

— I teraz dopiero zaczęła się heca między ułudą i rzeczywistością? — zapytał Katylina ze zwykłym szyderczym uśmiechem.

Gracchus zmarszczył brwi i z impetem potarł czoło.

— Gdybyś wiedział — przemówił po chwili — całą drogę myślałem, marzyłem, czego to zaraz nie dokażę, jak ważnych i różnych nie przeprowadzę zmian...

Katylina zaśmiał się półgłosem.

— Powróciwszy nareszcie, od czegoż zacząłeś?

— Od kilku rzeczy naraz. Darowałem poddanym wszystkie zaległe remanenta, zniosłem karę cielesnej chłosty w całych mych dobrach. Pod utratą służby nie śmią tknąć mi chłopa ekonom lub mandatarjusz. Jednocześnie postanowiłem swoim kosztem pozakładać szkółki we wszystkich wsiach, a potem jednym zamachem przystąpić do głównej rzeczy, do zniesienia pańszczyzny, tego ostatniego zabytku barbarzyńskiego feudalizmu.

— Brawo! mój szlachetny Gracchusie — wykrzyknął z szczerem wylaniem Katylina. — Przy tak nagłej i świetnej zmianie losu zatrzymałeś wszystkie swe zasady, nie zapomniałeś o dawnych marzeniach...

Gracchus westchnął.

— Ależ niestety — szepnął po chwili — teraz dopiero mogłem się przekonać, jak ciężka walka, jak wielki trud czeka te zasady, te marzenia, jeśli tylko pierwszy krok zrobią do rzeczywistości.

Katylina mruknął coś niezrozumiale przez zęby.

Gracchus prawił dalej z goryczą:

— Czy uwierzysz, że w jednej chwili zrobiłem sobie tysiące nieprzyjaciół, między sąsiadami, obywatelami, zniechęciłem mych własnych oficjalistów, a co główna, natrafiłem na dziwną niechęć, niepojęty upór samych chłopów.

— Przewidywałem to potrosze — szepnął Katylina.

— Poddani moi przyjmowali moje dobrodziejstwa z pewnem niedowierzaniem, z rodzajem wahania się i obawy. Sprawiałem często całym gromadom traktamenta tu u siebie we dworze, sam poufaliłem się z wszystkimi, a kiedy niekiedy z jednem i drugiem wolniejszem odezwałem się słówkiem. I cóż powiesz, chłopi moi przypominając sobie, że przed swą starościc ucieczką takie i tym podobne miewał do nich przemowy, za co później w surowe popadł śledztwo, oskarżyli mię sami do cyrkułu, zjechała mi na kark ogromna komisja i z wielką biedą wymknąłem się jeszcze suchą nogą z wszystkiego, tylko po dziś dzień pod surowym zostaję nadzorem. Ale nie dość na tem, zaprowadzane przeze mnie na łeb na szyję szkółki ludowe ściągnęły na się ogólną niechęć, nikt nie chciał korzystać z ich dobrodziejstwa, wszelkie przedstawienia były daremne. W niektórych wsiach popalono mi nowo pobudowane szkółki, gdzieindziej obito ustanowionego przeze mnie nauczyciela. Zniesienie cielesnej chłosty, nagła poniewolna łagodność mych oficjalistów podnosiła z każdym nowym dniem ich zuchwałość, i czy uwierzyłbyś, że bez najmniejszego powodu z mojej strony przyszło do otwartego buntu i dopiero komisarz cyrkularny z kilku żołnierzami potrafił przywrócić spokój i porządek...

Katylina parsknął głośnym śmiechem.

— Ty się śmiejesz? — zapytał Gracchus zdziwiony.

— Śmieję się, bratku, że własnym gorzkim zawodem musiałeś przekonywać się o tem, co nader łatwo było odgadnąć zgóry i o czem ci nieraz mówiłem w moich dawniejszych ro-

zmowach. Droga reform, to droga grudy i cierni. Aby przebyć ją zwycięsko i zamierzony odnieść owoc, są dwa sposoby. Albo trzeba postępować naprzód pędem jak do szturmu, nie uwzględniając niczego, nie obzierając się za niczem, nie przebierając w środkach, depcąc, gniotąc, tłumiąc przemocą każdy cień oporu i przeciwności. Tak postępowali reformatorowie terroryści we Francji. Nie chcąc lub nie mogąc obrać tego sposobu, należy sunąć się na palcach chyłkiem, milczkiem i ukradkiem, musisz powoli i ostrożnie wlec nogę za nogą, aby ominąć każdą grudkę, obejść każdy cierń a tak z większym lub mniejszym trudem i znojem staniesz z czasem u mety.

Gracchus zamyślił się.

— Masz poniekąd rację, lecz burzę w morzu zastosowujesz do burzy w szklance wody; reformy na wielką stopę, reformy głównych podstaw społecznych, odwiecznych jakichś nadużyć światowych, mogą się tym lub owym przebijać torem...

— Zanosi się na dysputę — przerwał Katylina — a wiesz, że te nie prędko kończą się między nami. Skończ naprzód swoje opowiadanie.

— Niezrażony wszelkiemi dotychczasowemi trudnościami — zaczął Juljusz nanowo — trwałem stale w mojem przedsięwzięciu i chcąc jak najrychlej znieść pańszczyznę, myślałem tylko pierwszy przykład postawic krajowi. Ależ w jednej chwili rzucili się na mnie ze wszystkich stron sąsiedzi, krzyk powstał w całej okolicy, jakbym dżumę zamierzył rozszerzyć w kraju; śród tego...

— Śród tego?

— Otrzymałem niespodziewanie list zapraszający od hrabiego Zygmunta.

— Ah!

— Objąwszy moje jakby z nieba spadłe dziedzictwo, nieśmiałem się zbliżyć do brata nieboszczyka starościca, wiedząc, iż w pierwszej chwili zamyślał wytoczyć proces przeciw ważności testamentu. Nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć jego nagłych zaprosin.

— Oczywiście jednak pojechałeś niezwłocznie?

— Pojechałem. Hrabia przyjął mię z nadzwyczajną uprzejmością, moje dotychczasowe usuwanie się od niego kładł na karb obiegających okolicznych plotek. Nie mógł mię dość naupewniać, że ani mu w myśli wydarte przeze mnie dziedzictwo. — Nie harmoniowałem z bratem za życia, nie mogłem się też nic spodziewać od niego po śmierci — rzekł mi z dumą i go-

dnością. Potem przedstawiał mnie swojej żonie, księżnie z rodu i...

Tu zaciął się mimowolnie i w dół spuścił oczy.

— No, i?... — spytał nieubłagany Katylina.

— I swojej córce, Eugenji.

— Ah! — zawołał Katylina głośniej niż pierwszą razą.

— Przy pożegnaniu... — ciągnął zwolna Gracchus jak gdyby mu się nagle poplątała nić opowiadnnia.

— Ho, hola bratku — przerwał prędko Katylina — nie wspominasz nic o głównej osobie. Hrabianka Eugenja ładna?

Z oczu Gracchusa strzeliła błyskawica prawdziwego zachwytu.

— Cudownie piękna! — zawołał żywo.

Katylina zagwizdał jakąś arję przez zęby.

— I cóż tedy przy pożegnaniu? — zapytał po chwili jakby się domyślał reszty.

— Hrabia wziął mnie jeszcze na chwilę do swego pokoju i upominając mnie jeszcze raz o swej szczerej dla mnie życzliwości, jako dla swego kuzyna i imiennika, zaczął mi najusilniejsze robić przedstawienia, abym się nie zapędzał daleko w mym szale młodzieńczym i doznawszy już raz jak najczarniejszych niewdzięczności, zaniechał nietylko samego siebie na rozliczne narażać niebezpieczeństwa, ale i szkodzić wszystkim swoim sąsiadom.

— Przyrzekłeś tedy?...

— Nic nie przyrzekałem, wywinąłem się dwuznaczną jakąś odpowiedzią, ale kiedym już wyszedł i miał wsiadać do powozu, rzuciłem okiem mimowolnie ku oknom pałacu i ujrzałem...

— W szybach twarz hrabianki — kończył Katylina z ironicznym uśmiechem, zapalając z flegmą trzecie z kolei cygaro.

— Tak. Patrzyła na mnie.

— Jak ci się zdawało, z wielkiem zajęciem — wpadł mu znowu w mowę Katylina.

Juljusz pochylił głowę na piersi i zadumał się na chwilę.

— I cóż dalej? — zapytał znowu Katylina.

— W krótkim nad me spodziewanie czasie odwiedził mnie hrabia wzajem.

— I znowu zapewne ponowił swoje przedstawienie.

— Bynajmniej. Rozmawiał ze mną, jak gdyby był przekonany, żem już ślepo usłuchał jego rady i nawrócił się zupełnie.

— Wiesz — poderwał Katylina, zrywając się nagle z swego karła — resztę zgadłbym zupełnie.

— Wątpię!

— Tobie stała zawsze w oczach cudowna postać hrabianki — ciągnął Katylina niezrażony. — Niebawem pojechałeś znowu do Orkizowa, fizjognomja hrabianki wdrożyła ci się silniej jeszcze w pamięć i zacząłeś bywać coraz częściej... zakochałeś się po uszy... ale po dziś dzień nie wiesz, jak właściwie stoisz u hrabiego, t. j. czy rzeczywiście uważa cię za swego kuzyna, czy tylko za jakiegoś przypadkiem bogatego, ale nieskończenie od siebie niższego sąsiada, *alias* jednem słowem, czy chce żyć z tobą z wszelką uprzejmością, ale zdaleka, czy też gotówby nawet patrzeć bez obrażonej dumy na otwarte do córki konkury.

Juljusz jakby wcale nie słuchał, przechadzał się w zamyśleniu po pokoju.

— Nie wiem, czy w murach klasztornych, czy koszarach wojskowych nabyłeś takiego daru *dywinacyjnego* — rzekł z lekceważeniem.

Katylina wzruszył ramionami i usiadł na dawnem miejscu. Juljusz zatrzymał się nagle w swej przechadzce po pokoju.

— Słyszałeś już o żwirowskim dworze?

— Zaklętym?

— A tak! zaklętym, jak go nazywa lud.

— Nasłuchałem się o nim niestworzonych rzeczy od twego ekonoma i mandatarjusza.

— Wiesz, w nim jakaś osobliwsza tkwi tajemnica.

Czorgut zerwał się na równe nogi.

— Co, i ty wierzysz w chodzącego nieboszczyka?! — wykrzyknął w najwyższem zdziwieniu.

— Nie w nieboszczyka, ale w tajemnicę, którą osłania.

— Więc rzeczywiście coś osłania?

Juljusz zamiast odpowiedzi, przystąpił do małego biurka mahoniowego i dobył z niego jakiś papier zapisany.

— Patrz — rzekł rozwijając — oto kopja testamentu starościca. Punkt 21 opiewa:

„Chcę i postanawiam niezmiennie, aby nie wpadający w ogólny Juljuszowi Żwirskiemu zapisany spadek mój pałac żwirowski, starożytna siedziba moich przodków, pozostał nietknięty w swem urządzeniu i aby tak, jak dziś się znajduje, stał zamknięty dla wszystkich aż do zupełnej ruiny. W nim zawarł powieki mój ojciec, ostatni z prostej linji Żwirski, który zasługą około ojczyzny uświetnił to imię, nie chcę więc, aby ktokolwiek inny rozgaszczał się w jego murach. Wykonawcą i prze-

strzegaczem tego punktu niniejszej mej woli mianuję mego wiernego kozaka Kostja Bulija. Przeznaczam mu na mieszkanie dawniejszy dom ogrodnika. Rzeczony Kość' Bulij ma być tylko stróżem żwirowskiego dworu, wszakże jeśliby tego potrzeba była, może w każdej chwili wystąpić wobec praw jako legalny właściciel".

— Całkiem jasno — mruknął Katylina. — Nieboszczyk niezupełnie dowierzał swemu spadkobiercy i ubezpieczył się na wszelki wypadek. Choćbyś i nie chciał uszanować tego punktu jego ostatniej woli, to nie ujdzie ci to żadną miarą, bo wtedy Kość' Bulij może wystąpić z wszelkiemi prawami właściciela.

— Nie o to mi chodzi — przerwał Juljusz niecierpliwie — w punkcie tym nie widzę nic szczególnego. Nieboszczyk tyle dziwactw popełnił za życia, że mógł sobie śmiało pozwolić jedno po śmierci. Otrzymałem zanadto wiele z jego łaski, abym mógł choćby w myśli tylko pokuszać się o stary dwór żwirowski. Jestem jednak silnie przekonany, że dwór ten nie zawsze stoi pusto.

— Nie rozumiem cię!

— Niezawodnie ktoś w nim przebywa czasami.

— Nieboszczyk?

— Oszalałeś! według ostatniej jego woli, sprowadziłem ciało jego z Drezna i pochowałem po wszelkiej formie, w familijnym grobowcu w żwirowskim kościele.

— Więc może sam Kość' Bulij zakrada się do wnętrza.

— W takim razie musiał niezawodnie otrzymać do tego tajemne upoważnienie i to tylko na jakieś wypadki nadzwyczajne. Człowiek ten nie mógłby ani o włosek odstąpić od woli swego dawnego pana.

— Skądże jednak wnosisz o jakichś wypadkach nadzwyczajnych?

— Przed trzema dniami zrobiłem osobliwsze odkrycie.

— Ty sam? — wykrzyknął Katylina.

— Memi własnemi oczyma. Szanując ślepo wolę nieboszczyka, ani śmiałem się zbliżyć kiedy do żwirowskiego dworu i nigdy też nie powstała we mnie myśl zajrzeć do niego do środka. Wszystkie zaś obiegające o nim po całej okolicy wieści poczytywałem tylko za proste wymysły bujnej wyobraźni i zabobonności naszego ludu, który nie mogąc się pogodzić z nagłą śmiercią nieboszczyka, na zagrobowe skazywał go życie. Ale słuchaj, przed kilku dniami byłem w Orkizowie, gdzie zastawszy liczniejsze nieco towarzystwo, zabawiłem do późnego

wieczora. Rozmowa toczyła się bardzo długo o żwirowskim dworze. Jedna z pań mieszkających w okolicy zebrała skrzętnie wszystkie szczególne wieści i pogłoski o pośmiertnem pojawieniu się starościca i bawiła niemi zawzięcie całe towarzystwo. Uważałem, że cała tą rozmowa jakiś widocznie nieprzyjemny na hrabi Zygmuncie wywierała wpływ, za to z osobliwszem zajęciem przysłuchiwała się Eugenja.

— Ah! — bąknął Katylina przez zęby.

— Wypytywała się o każdy najdrobniejszy szczegół, interesowała każdą najpotworniejszą baśnią — ciągnął dalej Juljusz. — Nie wiem, skąd się to wzięło, ale nazajutrz po raz pierwszy jakaś dziwna owładnęła mnie ciekawość. Wybrałem się konno na małą przejażdżkę i sam nie wiedząc kiedy, ujrzałem się...

— W pobliżu zaklętego dworu.

— Nie śmiałem żadną miarą żądać od Kostja Bulija, aby mi otworzył przynajmniej dziedziniec dworu, skręciłem na bok i mimo rowów, głogu i krzewów, zasadzonych umyślnie po wszystkich stronach, podjechałem pod sam parkan ogrodowy. W jednem miejscu z małego pagórka mogłem, wznosząc się w strzemionach, zajrzeć do środka.

— I wtedy ujrzałeś? — zagadnął żywo Katylina.

— Nic nie ujrzałem w pierwszej chwili: wspaniały niegdyś ogród wyglądał strasznie opuszczony i zaniedbany, ścieżki i ulice pozarastały bujną trawą, najpiękniejsze kwiaty podziczały pośród gęstych zarośli chwastów, rozmaite najszlachetniejsze krzewy skoszlawiały i skarłowaciały przez nikogo nie pielęgnowane i nie dozierane. Przypatrując się temu wszystkiemu, wpadłem mimowolnie w jakąś smętną zadumę, kiedy wtem...

— Wtem? — poderwał Katylina.

— Zdawało mi się, że w zakręcie jednej z ubocznych ulic szpalerowych mignął się jakiś cień ludzki. W chwilkę potem ukazała się jakaś postać kobieca na samym rogu ulicy. Śpieszyła gdzieś z pochyloną na piersi głową, nucąc zcicha jakąś piosnkę urywaną. Siedziałem jak wryty w siodle i nie śmiałem odetchnąć nawet, ale na nieszczęście koń mój parsknął głośno. Tajemnicza postać podniosła głowę, wydała wykrzyk przestrachu i zdziwienia i jak strzała furknęła w pośród gęstwinę. Jedno tylko okamgnienie spoczęło oko moje na jej rysach, ale to było dość, aby poznać w niej...

— Eugenję?

— Tak, Eugenję. Tylko ona jedna na całej kuli ziemskiej

ma oczy tak cudownego wyrazu, tak prześlicznej barwy nieba i bławatu!

— Jakto, więc tylko po oczach ją poznałeś?

— Widziałem ją jedno okamgnienie i w dość znacznej odległości, poznałem jej rysy, ale tylko w ogólnym ich zlewie, lecz te cudowne oczy i te bujne, jasne, złotawe prawie włosy przedstawiły mi się wyraźniej.

Katylina pokiwał głową w zamyśleniu.

— Szczególna jednak — ciągnął dalej Juljusz — miała na sobie strój jakiejś jakby małomieszczańskiej dziewczyny, przez co zdawała się cokolwiek wyższą i silniej zbudowaną. Patrzyłem jak zaklęty w miejsce, gdzie mi po raz ostatni jej błękitna mignęła spodniczka i kto wie jak długo jeszcze patrzyłbym był w tę strone, gdyby w tej chwili tuż w mojem pobliżu jakiś ciężki nie odezwał się krok. Obejrzałem się, o dwie stóp za mną stał Kośt' Bulij z założonemi na krzyż rękami i patrzył na mnie bystro swym ponurym, surowym wzrokiem. Niespodziewany jego widok, przerażający zawsze wyraz twarzy tak mnie jakoś zmięszały w pierwszej chwili, żem nie mógł, czy nie śmiał go nawet zagadnąć. Odpowiedziałem śpiesznie na jego poważny. uroczysty ukłon i spinając konia ostrogami, pognałem galopem ku gościńcowi, a następnie napowrót do Oparek.

— A odtąd nie widziałeś jeszcze Eugenji?

— Jutro dopiero wybieram się do Orkizowa.

— Udając oczywiście, żeś jej nie widział.

— Przeciwnie, nie powiem jej tego otwarcie, ale zręcznie i nieznacznie dam do poznania.

Katylina zagwizdał nową jakąś arję przez zęby i przeszedł się w zamyśleniu kilka razy po pokoju.

— Że wszystkiego, co dotychczas słyszałem o zeklętym dworze — mruknął po chwili — zdaje mi się, że osłoniony u ludu naszego mgłą i czarem nadzwyczajności, oslania on właściwie tylko jakąś ziemską tajemnicę. Albo zresztą kto wie, znasz przecie słowa Szekspira w Hamlecie: Są rzeczy na niebie i ziemi... — dodał z wesołym uśmiechem.

Juljusz machnął ręką w milczeniu.

— Jeśli kto, to ty pewnie nie wierzysz w takie rzeczy — przebąknął po chwili.

— Dlatego też choćby djabeł postawił się na nogi, muszę przy twojem przyzwoleniu zbadać tajemnicę zaklętego dworu.

— Ja radbym tylko wiedzieć, jaką styczność ma z nim Eugenja.

— Dowiesz się o tem niechybnie — zapewniał Katylina stanowczo. — Wiesz, jak się raz na coś wezmę, to niema rady i ratunku. Dotrę do wszystkiego. Tymczasem jednak — ciągnął z pewnem wahaniem, oglądając się po sobie.

— Cóż takiego?

— Chciałbym za pomocą twojej bogatej dziś, jak się spodziewam, garderoby wykierować się cokolwiek na ludzi. Jesteś wprawdzie wyższy, a ja za to silniej od ciebie zbudowany, ale jakoś to pójdzie...

Juljusz uśmiechnął się i zadzwonił.

Wszedł lokaj, któremu przed godziną w tak oryginalny sposób zaanonsował się gość nowoprzybyły.

— Daj temu panu wszystkiego, czego będzie potrzebował z mojej garderoby, i ulokuj go w zielonym pokoju...

— O, nie, nie; jeśli mam się rozlokowywać u ciebie, to wolę w oficynach, mam już swoje do tego powody. Lubię różnopłciowe sąsiedztwo! do widzenia się zatem, poczciwy Gracchusie, a ty — rzekł przy wyjściu chwytając za ucho lokaja — prowadź mnie z sobą.

Gracchus położył się napół na sofie i zapadł w głobokie zamyślenie.

## HRABIA ZYGMUNT ŻWIRSKI.

Hrabia Zygmunt Żwirski, młodszy przyrodni brat nieboszczyka starościca, mieszkał, jak wiemy, w Orkizowie, o trzy mile od Oparek.

Pałac orkizowski o jednem piętrze z ogromnym ośmiofilarowym gankiem, uchodził za jeden z najpiękniejszych i najwspanialszych w całem samborskiem. Zbudowany równocześnie co opuszczony dwór żwirowski, doznawał w ciągu czasu tylu rozmaitych zmian i przekształceń, nabył tyle następnych ozdób i przydatków, że zupełnie stracił cechę swego starożytnego początku, przyswoił sobie wszystkie znamiona, zastosował się do wszystkich wymagań najnowszego smaku i najnowszej wytworności.

Bo też i jego pan i właściciel wżył się zupełnie w bieżące czasy, wyrobił się na najwibitniejszego wyobraziciela nowszego magnata, w którym zazwyczaj oprócz imienia wszystkie odrębne, narodowe zacierają się właściwości, a występuje tylko pewien charakter ogólny, kosmopolityczny.

Hrabia Zygmunt Żwirski, pan co się zowie, jak mawiali

wyżsi, *grand seigneur en tous cas*, jak utrzymywali równi mu stanem, potrzebował zmienić tylko swe imię, a mógł z takiem samem prawem uchodzić z pozoru za grafa niemieckiego, francuskiego markiza lub angielskiego lorda, z jakiem uchodził za polsko-galicyjskiego hrabię.

Dziedzic dwunastu wsi i przysiołków, potomek jednej z najstarożytniejszych rodzin w kraju, skoligacony z najpierwszemi domami, otoczony ogólnym szacunkiem i poważaniem, pan hrabia mienił się typem prawdziwego arystokraty w całem honorowem tego słowa znaczeniu. Najmniejsza jawna zmaza nie mogła powstać na jego imieniu i charakterze, jak i najmniejszy nawet cień pospolitości nie śmiał przyćmiewać blasku jego herbu i dostojności stanowiska.

Łatwo zrozumieć, że pan hrabia był przytem dumny. W oczach jego potrzeba być naprzód hrabią, aby mu się zbliżyć, a nie dość jeszcze hrabią, aby mu wyrównać. W każdym swym kroku i postępku, każdem słowie i poruszeniu, umiał okazać dziedzic Orkizowa, że człowiek choćby o Bóg wie, jakich zasługach, nie stanowi jeszcze hrabiego, jak niemniej, że nie każdy hrabia nosi imię Żwirskiego.

Jeśli dumę taką można nazwać wadą, to trudno zaprzeczyć, że pan hrabia posiadał ją w wysokim stopniu, ale za to tylko ją szczególna. Pomijając wygórowaną, w bałwochwalstwo własnego imienia wyradzającą się dumę, najzjadliwszy nawet język nie mógł w niczem ubliżyć prywatnemu i publicznemu charakterowi pana hrabiego. Łagodny i łaskawy dla swych poddanych, względny i pobłażliwy dla oficjalistów, wylany szczerze dla kraju, daleki od wszelkich nieojczystych sfer i wpływów, przestrzegający lękliwie wszelkich wymagań honoru, zasługiwał ze wszech miar na ogólny szacunek, jaki go otaczał w rzeczywistości.

Ale lepiej, aby sam czytelnik poznał go bliżej.

Pan Hrabia siedzi właśnie w swej kancelarji, zajęty sprawami majątkowemi.

Fizjognomja i postać jego mają w sobie coś naprawdę szlachetnego, coś wybitnie arystokratycznego. Na wysokiem czole rysuje się duma, połączona jednak z godnością, piękne i regularne rysy zlewają się w bardzo nadobny, ujmujący wyraz: wysokiej imponującej postawy, pan hrabia posiada tę naturalną arystokratyczną szlachetność i godność ruchów, która najczęściej przybywa z urodzenia, chociaż nieraz daje się i najpospolitszym przyswoić ludziom. Lubo lat liczy dopiero czter-

dzieści jeden, wygląda znacznie starszy, czego przyczynę szukaćby poczęści w długich bakenbardach, które zapuścił na sposób angielski.

W towarzystwie pana hrabiego znajduje się druga jeszcze osoba, jakiś niski, cokolwiek na lewo skrzywiony człowieczek, którego fizjognomja niekoniecznie miłe sprawia wrażenie. W głębokich jamach osadzone, ruchliwe oczy, co choć z natury nie patrzą zyzem, zawsze jakieś ukośne rzucają spojrzenia, niezwyczajnie spiczasty nos, wąskie, zaciśnięte i zawsze w schlebiający uśmiech ułożone usta, starannie na skroniach przygładzone włosy, nadają mu coś fałszywego, obleśnego, prawie podłego.

Z całego jego zachowania poznać było na pierwszy rzut oka, że należy do grona oficjalistów hrabiowskich. I w samej rzeczy był to pan Pankracy Żachlewicz, jeneralny rządca czyli jak się sam nazywał, pełnomocny komisarz orkizowskiego klucza który od lat już kilkunastu zostawał w służbie hrabiego i Bóg wie, jakiemi środkami i sposobami w nieograniczone wkradł się u niego zaufanie. Żachlewicz mógł i znaczył wszystko u swego pana, który w niczem nie obszedł się bez jego rady i do najpoufniejszych przypuszczał go spraw. Żachlewicz nietylko administrował cały majątek, miał zupełną władzę przyjmowania i oddalania oficjalistów, wypuszczania dzierżaw, propinacyj, stawów i młynów, ale jako biegły jurysta zastępował także interesa skarbu wobec prawa i rządu i liczne inne jeszcze piastował funkcje.

Był to niejako totumfacki w najściślejszem tego słowa znaczeniu całego dworu, bo w swym przebiegłym rozumie uznawał za dobre i stosowne, jednać sobie zarówno łaskę i zaufanie jnego pana, jak i jnej pani, jwnej hrabianki, jwnego panicza. To też w najważniejszych i najdrobniejszych sprawach cała rodzina hrabiowska odnosiła się wprost do niego, a on pewnie odpowiedział każdemu zadaniu, dogodził każdemu zachceniu.

A już jak do czego, ale do wszelkich drobiazgowych ampletów, Żachlewicz niezrównany! Znał się na wszystkiem, jak faktor żydowski, a kupił pewno taniej, niż ktokolwiek inny na świecie. Już to, mówiąc nawiasowo, o tych tanich kupnach rozmaite obiegały zdania. Nieprzyjaciele Żachlewicza gadali dość głośno i bezwzględnie, że nieoszacowany rządca aby utrzymać się w służbie i łasce jwnego państwa, cichaczem z własnej kieszeni dokłada pół na pół do wszystkiego.

— Ale to łotr na wielki kamień — mawiali dalej z jadowitą złośliwością — tysiączkę na rok dołoży, a obok ogromnej

płacy przynajmniej trzecią część intraty hrabiowskiej kradnie rok rocznie bez sumienia!

Żachlewicz zżymał się okrutnie na tak ohydne oszczerstwa, ale składając ręce na piersi, pocieszał się zawsze z westchnieniem niesłusznie cierpiącej duszy.

— Na szczęście jwpan hrabia przekonany o mojej poczciwości i mojem poświęceniu, a psie głosy nie idą w niebiosy.

I niczem niezrażony, niczem niezachwiany, postępował niezmiennie po jednej drodze — drodze uczciwości, jak sam mówił, drodze kradzieży, łotrowstwa. obłudy i oszustwa, jak mawiali ludzie.

Teraz przybył świeżo ze Lwowa i zdawał sprawę hrabiemu z kilku załatwionych interesów. Snać jednak sprawozdanie to nie bardzo opiewało pomyślnie, bo hrabia coraz bardziej chmurzył czoło, a Żachlewicz czuł potrzebę kłaniać się coraz niżej, uśmiechać się coraz obleśniej.

— Więc koniec końców przyjechałeś bez pieniędzy — ozwał się wreszcie hrabia.

— Jaśnie wielmożny panie, *na uczciwość* rozbijałem się jak opętany. Ale *na uczciwość* okrutnie ciężkie czasy... *na uczciwość* ja nie wiem, co to dalej będzie.

Zacny pan Żachlewicz tak często wyjeżdża na targ z swoją uczciwością, że aż odpowiednie urobił sobie przysłowie. Używając zaś tak często tego przysłowia, musiał koniecznie aż zmierzić tak spospolitowaną w ustach swych uczciwość. To też w samej rzeczy uczciwość pana Żachlewicza, było to prawdziwe rzeszoto, przez które najgęstsze przelałbyś brudy, najgrubsze przesiał grzeszki.

Hrabia milczał kilka chwil w zamyśleniu, a po chwili odezwał się na nowo:

— Powiedziałem ci przecie wyraźnie, że koniecznie potrzebuję pieniędzy.

— JW.Pan nie potrzebował mi tego mówić, tylko jednem skinieniem dać do zrozumienia, a na uczciwość nie spałbym, nie jadłbym...

Hrabia machnął ręką niecierpliwie.

— Jakaż nareszcie pozostaje rada? — zapytał z widoczną niechęcią.

— Posłać do Brunentiefa, na uczciwość, jaśnie wielmożny panie.

Hrabia wstrząsł głową.

— Na lichwę — mruknął przez zęby.

— Na uczciwość, jaśnie wielmożny panie, niema innego środka, wódka sprzedana, zboże wypłacone, kwartalne raty z prowincji, młynów, tartaków i papierni nie wystarczą na pierwszy spłat dla towarzystwa kredytowego...

— Bój się aspan Boga — poderwał hrabia w złym humorze, przestając już tykać faworytowi — mam tak znaczny majątek, a coraz mniej pobieram dochodów.

— Na uczciwość, prosta rzecz, jaśnie wielmożny panie! Coraz więcej rosną procenta. Jaśnie wielmożny pan uniósł się za daleko szlachetnością, ręcząc za hrabiego Teofila.

— Cóż mi tam aspan wspominasz to zaręczenie, straciłem przez to 50,000 złr. i nic więcej. A to przecież nie wielka różnica w moim majątku.

— W majątku nie, to prawda, jaśnie wielmożny panie, ale na uczciwość trzeba było zaraz zaciągnąć znaczne długi, nie uiściwszy dawniejszej pożyczki towarzystwa kredytowego. Nadto, jaśnie wielmożny panie, zgorzał folwark w Wierzbińcach i spichlerz w Ordasowie, a i przymnożyły się wydatki jaśnie wielmożnych państwa. JWna pani więcej potrzebuje, jadąc do kąpiel...

— Zatrzymaj aspan swoje wyjaśnienia, wykierujesz mnie tak swojem gospodarstwem, że będę musiał sprzedać cały Ordasów z czterma siołami.

— Na uczciwość jaśnie wielmożny panie — mruknął Żachlewicz, uderzając się w piersi, choć go wcale nie trwożyły cierpkie słowa oszukiwanego od tylu lat pana.

Hrabia prowadził dom na wielką stopę, a od dawna już przestały mu wostarczać dochody z dóbr, które naturalną koleją musiały naprzód przechodzić przez lepkie i drapieżne ręce ekonomów i nieocenionego jeneralnego rządcy. Duma poniekąd sama, więcej zaś pewna wrodzona nieporadność umysłowa, zupełny brak energji, wypływający po części z nader flegmatycznego usposobienia, nie pozwalały hrabiemu zajmować się samemu swem gospodarstwem, to też ufając ślepo Żachlewiczowi, brnął z kłopotu w kłopot, z długu w dług, a ekstrakt tabularny wybiegał w coraz większą litanję różnoimiennych wierzycieli.

W każdym nowym kłopocie hrabia zżymał się na Żachlewicza, ale jeneralny rządca zanadto stał się niezbędnym, aby mu jakiekolwiek ważniejsze zagrozić mogło niebezpieczeństwo.

To też i tym razem powrócił hrabia niebawem do swej zwykłej flegmy i zapytał najspokojniej:

— A jesteśże pewien, że Brunnentief da?

— Ręczę za to.

Poczciwiec mógł ręczyć śmiało i stanowczo, bo właściwie swój własny podsuwał kapitał, a starozakonny Brunnentief miał służyć tylko za pośrednika.

Hrabia wzruszył ramionami.

— Ha, cóż robić? — mruknął po chwili. — Pójdź do Brunnentiefa...

— To już jakby się stało, JW. panie, ale mam jeszcze jedno...

— Cóż znowu nowego?

— Będąc we Lwowie JW. panie, byłem u tego sławnego dziś adwokata Rabulewicza.

— O cóż ci to chodziło?

— Przypomni sobie JW. pan, że zaraz przed trzema laty po śmierci nieboszczyka starościca i przybyciu jego testamentu, radziłem na uczciwość JW. panu wszcząć proces przeciw tak oczywistej krzywdzie...

Hrabia ściągnął brwi.

— Nie zgodziłem się na to — przemówił na pół zniesmakiem — raz że testament był zupełnie na swojem miejscu i proces żadnej nie rokował nadziei, a powtóre, że nie mogąc pogodzić się z bratem za życia, nie uważałem za rzecz godną, wymagać od niego czegoś po śmierci.

Żachlewicz ukłonił się niziutko, i uśmiechnął słodko i obleśnie.

— Gdyby JW. pan pozwolił zrobić sobie pewne przedstawienie... — cedził zwolna.

— Cóż chcesz powiedzieć?

— Adwokat Rabulewicz podał mi nieomylny sposób obalenia testamentu nieboszczyka starościca.

Hrabia żachnął się niechętnie.

— Nie myślę już podnosić tej sprawy.

Żachlewicz znowu nisko się ukłonił.

— Właśnie też trzebaby aby ją podniósł kto inny, na uczciwość.

— Kto inny?

— JW. Pan srogą ucierpiałeś krzywdę.

Hrabia z dumą wydął wargę.

— Majątek ojcowski, a szczególniej Żwirów, gniazdo imienia Żwirskich, dawna siedziba wojewodów i kasztelanów, przeszły *jure caduco* w ręce jakiegoś obcego przybłędy, hołysza...

Żachlewicz znał wybornie słabe strony hrabiego, a kiedy

wymawiał zwolna: gniazdo imienia Żwirskich, widział dobrze, że hrabia drgnął i prędko schmurzył czoło.

— Według wszelkiego prawa bożego i ludzkiego JW. pan jesteś właściwym dziedzicem Żwirowa z przyległościami... — ciągnął dalej Żachlewicz.

— Oczywiście, mam większe do tego prawa niż dzisiejszy jego właściciel... Ależ niepotrzebnie niegdyś powaśniłem się z bratem...

— JW. pan przecież nie po bracie, ale po ojcu ma odebrać spuściznę.

— Jakto po ojcu?...

— Ja myślę, że nieboszczyk starościc nie rozrządzał własnym majątkiem, to jest chcę mówić własną uzbieranym pracą, ale tylko spuścizną ojcowską, i w takim razie nie miał prawa przeznaczać go komuś poza obrębem familji, jak żaden monarcha nie ma prawa wyzuwać z korony swej rodziny.

Porównanie z monarchą wielce się podobało dumnemu panu.

— Mój kochany Żachlesiu — rzekł łaskawie do faworyta. — Takie prawa obowiązują niestety monarchów. Tem nic nie wskórasz wobec sądu...

— Pan adwokat Rabulewicz podaje inny, nieomylny sposób...

— Ależ oszalałeś, to już sprawa zadawniona.

— Nie będzie nią wcale wobec prawa.

— W żaden sposób, w żaden sposób — mruknął hrabia przez zęby więcej sam do siebie.

— Wiem, że JW. pan zrezygnował już z swej strony, ależ JW. pan na uczciwość ma dzieci, a te mają święte prawa, nie do mienia stryjaszka, ale do spadku po dziadku.

Hrabia więcej jeszcze ściągnął brwi i gwałtownie potarł czoło. Żachlewicz uśmiechał się chytrze i przebiegle, i trzepnął w palce.

— JWny pan zostawiasz dzieciom swym wielkie imię, a na uczciwość imię takie bez odpowiedniego majątku, to raczej klątwa niż dobrodziejstwo... Na szczęście — pochwycił skwapliwie — to nie może stosować się do JWnej hrabianki, i JWnego panicza Artura, ale zawsze odziedziczą daleko mniej, niż dziedziczyli dotychczas wszyscy z prostej linji Żwirscy, na uczciwość.

W hrabi widocznie jakaś gwałtowna zawrzała walka.

— Więc twierdzisz, że dziś jeszcze słusznym procesem można obalić testament nieboszczyka Mikołaja?...

— Ja sam podejmuję się na pewno.

— A cóż ja bym musiał mieć w tem za udział?

— Prawie żaden, JWny panie.

— Jakto? niepotrzebowałbym nawet występować pod własnem imieniem?

— Bynajmniej, JWny pan przystąpi tylko do gotowego. Ja przy pomocy pana Rabulewicza unieważnię testament nieboszczyka starościca.

— Ale w jaki sposób?

Pan Żachlewicz zamiast odpowiedzi uśmiechnął się przebiegle, łypnął oczyma i brwi podciągnął w górę.

— Za co jaśnie wielmożny pan poczytywał zawsze swego nieboszczyka brata?...

— Za warjata, za półgłówka! — mruknął hrabia w pierwszym zapędzie.

— Basta! — wycedził Żachlewicz i głowę zwiesił na piersi.

— Co mówisz?

— Dość już na tem, jaśnie wielmożny panie.

— Na czem? — zapytał hrabia, zdziwione robiąc oczy.

— Nieboszczyk starościc był po prostu *mente captus,* a jako taki, nie mógł żadnych prawomocnych wystawiać dokumentów.

Hrabia uderzył się w czoło, i zerwał się na równe nogi.

— I Rabulewicz powiada — zawołał nagle — że tym jednym zarzutem można obalić wszystko?

— Wszystko *ad nihil,* jaśnie wielmożny panie.

— I ty się tego podejmujesz?

— Właściwie podejmuje się Rabulewicz, ja mam tylko dostarczyć mu potrzebnych materjałów.

— Jakichże to materjałów?

— Dowodów nienormalnego stanu umysłu starościca w ostatnich chwilach przed zgonem.

— I mniemasz, że ich tak łatwo dostaniesz?

— Oparty na zeznaniach wszystkich, co znali tu w kraju starościca, pojadę do Drezna, a za jeden i drugi tysiączek, znajdzie się w najgorszym razie jakiś tam lekarz, co chętnie pożądane wystawi świadectwo.

— Ależ to nikczemność uciekać się do przekupstwa!

— Ja mówię tylko w najgorszym razie, jaśnie wielmożny

panie. Zresztą na uczciwość, jaśnie wielmożny pan nie potrzebuje się w to ani mieszać.

— Jakto?

— Według rady pana Rabulewicza ja najprzód pozwę JWnego pana, że obejmując na pierwszą wieść o śmierci starościca cały klucz żwirowski, przyrzekłeś mi JWny pan cały folwark buczalski w nagrodę długoletnich usług w około swojego domu... JWny pan...

— Ja?...

— Będzie się tłumaczył, że rzeczywiście zrobił mi podobne przyrzeczenie, krórego i dziś nie cofa. Lecz przyrzeczenie to upada przez to samo, że na podstawie testamentu starościca, runęła cała nadzieja spadku. Wtedy ja...

— Wtedy ty? ciągnął dalej hrabia, owładniony mimowolnie wymową swego komisarza.

Żachlewicz więcej jeszcze złamał się na lewo, twarz jeszcze brzydszy przybrała wyraz i cały wyglądał w tej chwil jak uosobiona podłość...

— Postaram się o unieważnienie testamentu... — wyszepnął cichym, przytłumionym głosem — JWny pan uzyska Żwirów z pietnastu wsiami...

— Z pietnastu? — podchwycił hrabia prędko.

— Wygrywając proces, muszę temsamem otrzymać Buczały.

— Najpiękniejszą wieś w żwirowskim kluczu.

— JWny panie, jak na teraz to jeszcze na uczciwość gruszka na wierzbie.

— Bierz cię licho — mruknął hrabia.

— Jaśnie wielmożny pan przystaje? — zapytał skwapliwie.

— Nie, nie jeszcze, namyślę się do jutra.

Żachlewicz uśmiechnął się z niskim ukłonem, a w duchu pomyślał:

— Buczały jakby w kieszeni!

Hrabia zaczął szybko przechadzać się po pokoju. W tej chwili trzask z bicza rozległ się na dziedzińcu.

— Ktoś przyjechał — mruknął hrabia.

Żachlewicz szybko przystąpił do okna.

Prowizoryczny dziedzic Żwirowa — szepnął z uśmiechem.

Hrabia zmarszczył czoło.

— Także mię w porę najechał — mruknął przez zęby.

Po chwili obrócił się do Żachlewicza, i klepiąc go po ramieniu, rzekł do niego:

— Do widzenia, mój Żachlesiu. Pomyślę o tem, coś mi powiedział, ale tymczasem nie zapominaj o Brunnentiefie.

Jutro będą pieniądze, jaśnie wielmożny panie, na uczciwośc...

— A ja jutro dam ci odpowiedź.

Żachlewicz ukłonił się niziutko i skrzywiony w lewo wysuwał się chyłkiem z pokoju, jak kot, kiedy narobi szkody w szpiżarni i pragnie ujść z oczu gospodyni.

Hrabia jeszcze kilka chwil pozostał w swej kancelarji, nim udał się na powitanie gościa, który wprost do bawialnego pośpieszył salonu. Dumny magnat bił się z najsprzeczniejszemi myślami.

— Djabeł, nie Żachlewicz — szeptał zcicha, ciągle szybkiemi przechadzając się krokami—taki gwóźdź wbił mi w głowę... Muszę się dobrze namyśleć, czy postępowanie takie pogodzi się z honorem... Nieboszczyk Mikołaj miał żal do mnie... — dodał marszcząc czoło i na chwilkę przystanął na miejscu i zamyślił się głębiej.

Naraz wstrząsnął głową, machnął ręką i mruknął przez zęby:

— Potrzeba rozważyć wszystko gruntownie, a teraz pójdźmy do naszego gościa — dorzucił nie bez pewnego lekceważenia i po tych słowach wyszedł z swej kancelarji.

## EUGENJA.

Wchodząc do salonu, zastał już hrabia Juljusza w towarzystwie swej córki. Przywitła go dumniej i chłodniej niż zazwyczaj i usiadł z widocznem postanowieniem, więcej się przysłuchiwać niż brać udział w rozmowie.

Hrabina i hrabianka siedziały na kanapie, a obie w jakiemś szczególnie wesołem wydawały się usposobieniu.

Hrabina nosiła wszystkie zewnętrzne znamiona swego wysokiego pochodzenia. Wzrost okazały, postawa dumna i imponująca, nos orli, spojrzenie pewne i śmiałe, ręka bajecznie mała, wszystko to przystawało wybornie do jej książęcego urodzenia.

Wcale do niej nie podobną była jej córka jedyna, młoda, szesnastoletnia Eugenja. Szczupła, wątła, smukła jak trzcina, była to jedna z tych drobnych eterycznych postaci, że zda się

listek róży nie ugiąłby się pod ich stopami. Hrabina uchodziła za ciemną szatynkę o czarnych brwiach i oczach, Eugenja była jasną blondynką, miała oczy jakby urobione z najpiękniejszych listków bławatu, a nosek tak drobny i tak prześlicznego zakroju, że nie powstydziłby się pewno obok najpiękniejszego greckiego wzoru. W twarzy hrabiny malowała się przeważnie duma i powaga, w fizjognomji hrabianki zdawał się każdy rys drgać dziecięcą swobodą i wesołością, posuwaną częstokroć aż do pustoty i swawoli. Na jej świeżych, zawsze wilgotnych i cudownie wciętych ustach, igrał wieczny uśmiech jakiegoś serdecznego zadowolenia, z którego najczęściej samaby sobie nie mogła zdać sprawy. Patrząc na jej płeć śnieżną, przezroczystą, zdawałoby się, że już ani sobie wyobrazić coś równie białego, a przecież za pierwszem najlżejszem otwarciem ust odsłaniały się dwa rzędy malutkich ząbków, które mogły śmiało upomnieć się o ten przymiot. Biała pulchna rączka zapatrzyła się w matczyną, bo snać już od pieluchowego powicia przestała na zawsze róść dalej, a za jej przykładem poszła zapewne przez współzalotnictwo nóżka, która wciśnięta w malutki atłasowy trzewiczek, w tej chwili wyzierała na pół z pod lekkiej, błękitnej muślinowej sukienki.

Mimo starannego swego wychowania, niezupełnie jeszcze z salonowem życiem oswojony Juljusz, wydawał się jakoś nieśmiały i zakłopotany na wstępie, ale zagadnięty w jednej chwili kilku uprzejmemi słowy hrabiny, a kilku wesołemi, trzpiotowatemi zapytaniami hrabianki, nabrał zupełnej swobody i pewności.

Rozmowa toczyła się długo w zwykłym powszednim obrębie.

— Ale, ale — zawołała nagle Eugenja — mama sobie przypomina, co nam wczoraj opowiadała Solczaniowa?

— A prawda, coś o zaklętym dworze.

Juljusz uśmiechnął się z zadowoleniem. Sam ciągle bił się z myślami, jak na ten tor naprowadzić rozmowę, aby z swojem niedawnem wyjechać spostrzeżeniem. Eugenja jakby umyślnie przychodziła mu w pomoc.

— Wyobraź sobie pan — poderwała żywo — nasza klucznica Solczaniowa, opowiadała wczoraj nowe, niestworzone rzeczy o zaklętym dworze.

— Nadszedł zapewne zwykły perjod strachów, który lud co roku prawie do tej odnosi pory — odezwał się Juljusz.

Hrabia niechętnie zmarszczył czoło.

— Moje dziecię — przemówił z pewnym naciskiem do

córki — te niedorzeczne baśnie zabobonnego ludu ciągle tkwią ci w głowie. Mówisz o nich nieustannie.

— Ależ, kochany papo, mnie to wszystko zajmuje niewymownie. Wszystkie te wieści mają w sobie jakiś urok tajemniczy, w tym dworze opuszczonym, zamkniętym dla wszystkich, jest coś romantycznego... Mimowolnie przypominają się powieści Walter Skotta.

— *En effet* — szepnęła hrabina, która obok wielu szlachetnych przymiotów miała te dwie główne wady, że za często wmawiała w siebie migrenę, i powtóre zanadto powoli przychodziła do poznania, jak niedorzecznie i śmiesznie jest plątać bez potrzeby francuskie zwrot i wyrazy w tok oczystej mowy.

Każenie i znieważenie rodzinnego języka u narodów, mających samodzielność polityczną — niech nam wolno będzie powiedzieć to nawiasem — może być tylko wadą, śmiesznością, głupstwem po prostu, u nas, gdzie, jak dotąd rzeczy stoją, główne i jedyne tętno narodowego życia wcieliło się w język, jest ono czemś więcej jeszcze, a temsamem na dwójnasób sroższe zasługuje potępienie. Zaniedbywać w mowie potocznej język ojczysty na korzyść obcego, jestto odrzucać samowolnie jedyną, lojalną, dziś broń, podtrzymującą narodowość naszą. Chełpić się znajomością języka francuskiego dziś, kiedy każda kucharka mówi po francusku, może być tylko dowodem nieprzebranej głupoty i próżności. Na szczęście ludzie z wyższem wykształceniem, wyższem pojęciem, dawno uwolnili się od tej wady, a od dnia do dnia staje się ona coraz wyłączniejszą cechą charakterystyczną tej tylko części takzwanej arystokracji galicyjskiej, która powstała z żydów-przechrztów, ekonomów-złodziejów, spekulantów niesumiennych i wszelkiego innego rodzaju tałatajstwa moralnego. Po tej krótkiej, wprawdzie wcale już nie nowej, ale niestety zawsze jeszcze słusznej ekspektoracji, powróćmy do dalszego toku powieści.

Hrabiemu jak zawsze, niemiłe było i teraz każde napomknienie o zaklętym dworze. Przypomniało mu to przykre stosunki z bratem, które nie rad odżywiał w pamięci.

— Daj pokój temu wszystkiemu, duszko — ozwał się z niechęcią. — Wiesz, że nie lubię wszystkich tych baśni.

— Sądziłam, że papa tylko w nie nie wierzy.

— Nie lubię ich wcale — powtórzył hrabia z większym naciskiem — bo ubliżają pamięci mego nieboszczyka brata a twego stryja.

Eugenja rzuciła główką, jakby po raz pierwszy dopiero spotkała się z podobnem zdaniem.

— Prawda — szepnęła.

— Ależ — poderwała nagle sama hrabina — mnie się ciągle zdaje, że w tych niedorzecznych bajkach ukrywa się coś prawdziwego.

— Coś prawdziwego? — podchwyciła skwapliwie Eugenja.

— Mniemam — ciągnęła hrabina dalej — że jakieś jedno i drugie zdarzenie prawdziwe musiało dać powód do wszystkich tych pogłosek fałszywych.

— I ja byłbym tego samego zdania, co pani hrabina.

— *Vous aussi, monsieur?*

— Są to tylko proste przypuszczenia bez wszelkiej rzeczywistej podstawy — wtrącił hrabia, nie zmieniając z tonu.

— Przeciwnie, panie hrabio, ja sam miałbym dla nich niejaką podstawę.

— Pan sam? — wykrzyknęła Eugenja z żywą ciekawością.

Juljusz przygryzł wargę. Nie przygotował się wcale na podobny zwrot rzeczy, jemu się zdawało, że młoda hrabianka będzie najstaranniej unikała wszelkiej wzmianki o zaklętym dworze, w którego ogrodzie dała się przecież podejrzeć znienacka przed kilku dniami, a tymczasem ona sama naprowadziła rozmowę na ten przedmiot, i najmniejszego wogóle nie objawiała zakłopotania.

— Zrobiłem pewne szczególniejsze spostrzeżenie! — przemówił po chwili Juljusz.

— Czy być może! — zawołała hrabina.

Hrabia gwałtownem poruszeniem przesunął się bliżej z swym fotelem.

— Przed trzema dniami spotkałem się oko w oko z strachem — ciągnął dalej Juljusz.

— *Vous vous maquez, monsieur* — zawołała hrabina.

— Mówię najszczerszą prawdę.

Hrabianka aż podskoczyła z ciekawości, a sam nawet hrabia nie mógł wielkiego ukryć zdziwienia.

— A zechceszże nam pan opowiedzieć całe to zdarzenie? — ozwała się hrabina.

— Najchętniej.

— Ale przedewszystkiem nie będzie to nic strasznego? — ciągnęła dalej hrabina.

— Nie śmiałbym przecie trwożyć panie.

— A więc słuchamy — poderwała prędko Eugenja.

— Było to przed trzema czy czterema dniami, dziś mamy sobotę, a więc...

— W środę czy we czwartek?

— We środę. Wybrałem się na małą konną przejażdżkę i mimowolnie jakoś zapędziłem się ku żwirowskiemu dworowi.

— W dzień oczywiście? — wtrącił hrabia.

— W jasny dzień, około jedenastej przed południem...

Tu zawahał się na chwilkę Juljusz, nie chcąc i śmiąc się jakoś przyznać, że umyślnie podjechał pod parkan ogrodowy...

— I cóż tedy? — zapytał hrabia.

Juljusz przezwyciężył się prędko, i ciągnął dalej nie bez lekkiego zająknienia:

— Nie wiem z jakich przyczyn koń mój spłoszył się nagle i skacząc w bok, uniósł mię aż pod sam parkan ogrodowy. Powstrzymawszy go tutaj, nie mogłem poskromić mej ciekawości, i zajrzałem do środka opuszczonego ogrodu.

— Który oczywiście musiał zdziczeć zupełnie — mruknął hrabia.

— W samej rzeczy zarósł chwastem i wygląda raczej na jakiś dziki ostęp lasu, niż na ogród pałacowy. Postawszy kilka chwil miałem na myśli już wrócić na gościniec, kiedy wtem — ciągnął powoli, wpajając bystro wzrok w hrabiankę.

Hrabianka nie spuszczała oczu, i najmniejszego nie objawiała pomieszania.

— Wtem? — zapytała z wybuchającą ciekawością.

Juljusz ściągnął brwi i nieznacznie wzruszył głową.

— Na zakręcie zdziczałego, opustoszałego szpaleru zarysował się jakiś cień wyraźny...

Hrabia podrzucił się w swem siedzeniu, hrabina głowę wychyliła naprzód, a hrabianka aż zatrzęsła się cała.

— Za chwilkę — ciągnął Juljusz, nie spuszczając oka z Eugenji — pojawiła się jakaś postać...

— Strach?! — krzyknęła hrabianka.

— Strach, ale w najpowabniejszej pod słońcem postaci...

— W postaci młodej, ładnej dziewczyny zapewne? — dorzuciła hrabina domyślnie.

Juljusz skinął tylko głową zamiast odpowiedzi, bo dziwny spokój, niewytłumaczona swoboda hrabianki, mieszały mu wszystkie szyki. A przecież im baczniej i pilniej przypatrywał się jej twarzy, tem silniejszego nabierał przekonania, że ona a nie kto inny była owem szczególnem zjawiskiem w pustym ogrodzie.

— Więc poprostu była to jakaś nimfa... — ozwała się hrabina.

— Jakaś urocza sylfida — dorzuciła hrabianka z uśmiechem.

Hrabia zmarszczył czoło i nic nie mówił.

Juljusz zabrał głos nanowo nie bez pewnego zakłopotania.

— W samej rzeczy mogła rościć sobie prawo do wszystkich nazw, bo naprawdę nadziemskiei wydawała się piękności.

— Ah! — zawołała hrabina z ironicznym uśmiechem.

— Tak dokładnie ją pan widziałeś? — zagadnął hrabia.

— Widziałem ją tylko krótką chwilkę, ale rzeczywiście dość dobrze.

— I jakże wyglądała? — zapytała hrabianka — brunetka czy blondynka?

— Jasna blondynka z niebieskiemi oczyma — odpowiedział z pewnym naciskiem Juljusz.

— To coś do mnie podobna! — wykrzyknęła hrabianka wesoło.

Na te słowa Juljusz zmięszał się z swej strony.

— Byłażby to nie ona?! — pomyślał w duchu.

Ale właśnie w tej chwili spotkał się z oczyma Eugenji i wstrząsł się cały. Były to najwyraźniej oczy owego ogrodowego widziadła.

— Osobliwsza historja! — mruknęła naraz hrabina.

Hrabia w głębokie wpadł zamyślenie, widocznie jakby gonił za rozwiązaniem zagadki.

— A jakże była ubrana? — zawołała hrabianka znowu.

— Nie mogłem wielkiej uwagi zwracać na jej ubranie, zdawało mi się jednak, że miała na sobie błękitną sukienkę.

— To znowu coś jak ja — zawołała Eugenja ze śmiechem.

— W samej rzeczy — zająknął się Juljusz do reszty zbity z toru.

Eugenja parsknęła głośnym śmiechem.

— Otóż mamy najlepszy klucz do wszystkich tych zagadkowych bajeczek, wykrzyknęła żywo, jak gdyby uszczęśliwiona jakimś nowym domysłem trafnym.

— Jaki klucz? — zapytali jednocześnie hrabia i hrabina.

Eugenja śmiała się serdecznie, a w oczach jej malowała się pewna nawet ironja.

— Pan nie mówiłeś ani słówka z swojem widziadłem? — zapytała Juljusza zamiast żądanej odpowiedzi.

— Nie mogłem go zagadnąć, tak prędko znikło mi z oczu.

Na to wyznanie wzrosła jeszcze wesołość hrabianki.

— Najprościej państwu wszystko wytłumaczę — rzekła stanowczo.

— Ty, duszko! — wykrzyknęła hrabina.

— Pani? — ozwał się Juljusz z naciskiem, w którym więcej przebijało się oczekiwania, niż zdziwienia.

— Posłuchajcie mię tylko, moi państwo — wzywała Eugenja, przybierając minę poważną i uroczystą, która twarzy jej pocieszny nadawała wyraz.

— Jakiś żart zapewne — mruknął hrabia obojętnie.

— O, nie, nie żarcik, papo, ale jasne, umiejętne, filozoficzne tłumaczenie widziadła pana Juljusza.

— Skądże do niego przychodzisz? — zapytał hrabia.

Eugenja z komiczną powagą zapukała w czoło swym drobnym, różowym paluszkiem.

— Czerpię go stąd, mój ojcze — odpowiedziała uroczyście, a widząc, że hrabia zlekka schmurzył czoło jakby się niecierpliwił temi żartami, zawołała żywo i wesoło: — Zaczynam tedy! Zjawisko pana Juljusza należy do najpowszedniejszych, najzwyczajniejszych na świecie. Jestto prosta tylko ułuda. Pan jesteś trochę poeta, marzyciel, fantasta, panie Juljuszu — ciągnęła prędko, zwracając się do młodzieńca — to też zaglądając do opuszczonego ogrodu, uzupełniłeś rzeczywisty widok tworami fantazji, złudzeniami bujnej imaginacji. Zdało się ci, że brakuje tej ustroni tylko jakiejś nimfy, drjady, najady, rusałki, a urzeczywistniłaby ci jedną z owych czarodziejskich dziedzin, jeden z owych zaczarowanych ogrodów starożytnych zamków średniowiecznych w wcale nie czarujących powieściach rycerskich, i otóż nagle staje się co pragnąłeś, pojawia się czego pożądałeś. Krótką tylko chwilkę trwało przywidzenie zmysłów. Zjawisko znikło nagle, jak nagle się ukazało. Z wytrzeźwieniem umysłu rozpierzchła ułuda. A pan! — zawołała głośnym wybuchając śmiechem — pan jesteś doskonałym w swojem poetycznem usposobieniu. Nie tylko że pan uwierzyłeś naprawdę w ciało i krew złudnej swej mary, ale i nam każesz w nie wierzyć jak Dante w swoje widzenie piekła, jak Hofmann w swoje fantastyczne postacie.

Obojgu hrabstwu przypadł wykład ten wielce do przekonania, bo hrabina z dumą i miłością spojrzała na córkę, a hrabia uśmiechnął się z zadowoleniem.

Ale Juljusz nie tak łatwo ustępował z pola.

— Przepraszam, że śmiem przeciwić się pani — ozwał

się z uśmiechem — ależ zjawisko moje było tak jawne i rzeczywiste...

— Jak bujna i żywa imaginacja pańska — podchwyciła prędko Eugenja.

— Słyszałem przecież wykrzyk tej nimfy ogrodowej...

Czytałam zarówno o zwodniczych halucynacjach słuchu, jak i o przywidzeniach wzroku...

— Zaręczam pani, że w tej chwili byłem tak dalekim od wszelkich złudzeń fantasmagorycznych...

— Ach, pan widzę okropnie uparty! — zawołała hrabianka, ściągając zlekka swe w prześliczne łuki zaokrąglone brwi.

— Jestem tylko silnie przekonany...

Eugenja uśmiechnęła się ironicznie.

— Ależ panie, choćbyś mię o wszystkiem dotykalnie przekonywał dowodami, to mi żadną miarą jednej nie wyjawisz okoliczności.

— I którejże to, pani?

Hrabianka spojrzała bystro w oczy młodzieńca.

— Dlaczego owa nimfa ogrodowa była ze wszystkiego podobną do mnie? — zawołała z lekkim naciskiem a jednocześnie tak szczególniejszy uśmiech osiadł na jej ustach, że Juljusz zadrżał cały i uczuł w tem pomieszaniu, jak wszystka krew uderzyła mu do głowy.

Hrabianka zerwała się z swego siedzenia i jakby w jakimś napadzie dziecięcej pustoty poskoczyła do fortepianiu, a w jednej chwili jakaś kapryśna warjacja wyrwała się w głośnych akordach z pod jej wprawnych paluszków. Hrabina poruszyła się w swem siedzeniu, hrabia, który pogrążony w jakiemś głębokiem zamyśleniu nie zdawał się słyszeć ostatnich słów córki, podniósł się naraz z fotelu i przystąpił do okna.

Juljusz korzystał z nagłej przerwy w rozmowie, aby ukryć swe pomieszanie, a po kilku obojętnych słowach, wymienionych półgłosem z hrabiną, pochwycił za kapelusz.

— Już pan ucieka? — przemówiła hrabina obojętnie, jakby tylko zwyczajną bez myśli odmawiała formułkę.

Hrabia podał uprzejmie rękę żegnającemu się gościowi, wszakże nie mogło ukryć się Juljuszowi, że w całem zachowaniu jego daleko więcej, niż zazwyczaj przebijało się dumy i chłodu.

Eugenja przestała grać, a odpowiadając uprzejmym uśmiechem na ukłon młodzieńca, zawołała figlarnie:

— Tylko nie odnawiaj pan znajomości z swoją nimfą

onegdajszą, bo naprawdę gotówbyś pójść w ślady owego mitologicznego rzeźbiarza, co zapłonął miłością ku jakiejś tam statuy marmurowej. A znikomy twór wyobraźni to jeszcze gorszy, niż martwy i zimny marmur!

Juljusz nie mógł zdobyć się na odpowiedź w swem pomieszaniu. uśmiechnął się tylko i wyszedł z salonu, a kilka chwil później siedział już w pojeździe, i wracał do Oparek, tysiącznemi naraz zaprzątnięty myślami.

Rozpamiętując słowa hrabianki, zamiast zachwiewać, utwierdzał się tylko w przekonaniu, że ją samą a nie kogo innego widział wtedy w ogrodzie zaklętego dworu.

— Poznawszy mię także, przygotowała się na moje przybycie — mruczał półgłosem sam do siebie. — Dlatego też nie zmieszała się wcale na moje opowiadanie, i tak zręcznie siliła się zbić moje podejrzenia. Bądźcobądź muszę dotrzeć na dno tej tajemnicy.

Nagle wstrząsł się cały; stanął mu przed oczyma dziwny wyraz oczu i twarzy, z jakim napomknęła hrabianka o swem podobieństwie do owego widziadła. Zdało mu się, że przez to chciała tylko powiedzieć:

- Marzysz zapewne ciągle o mnie, toż i twoje ułudy fantasmagoryczne w moje przyodziewają się kształty.

I sam nie mógł sobie zdać sprawy, czy w uśmiechu, jaki wówczas igrał na jej ustach, malowała się sama tylko figlarność dziecięcia, czy przeważały w nim głównie ironja i lekceważenie.

— Jestem jednego z nią imienia, a bogatszy od niej! — odzywała się w nim duma na to ostatnie przypuszczenie.

Ale tuż zaraz przypominał sobie, że imię to choć prawdopodobnie jednakiego początku i równego brzmienia z imieniem starszej linji, nie uświetniło się niczem w kartach dziejów, a teraźniejszy majątek był tylko jakąś cudowną jałmużną losu, na którą w znacznej części musiała się składać i hrabianka sama.

— Według zwykłych praw natury majątek mój dzisiejszy powinien właściwie należeć do hrabiego — poszepnął — to też nigdy nie powinienem się doń odwoływać przynamniej wobec niego.

Śród podobnej walki myśli i rozpamiętywań nie spostrzegł Juljusz, że kiedy powóz wolnym krokiem toczył się pod mały pagórek, jakiś człowiek w łachmanach przysunął się do samych stopni powozu, i chwytając się jedną ręką mosiężnej klamry

u boku, drugą zdjął kapelusz słomiany i niemiłym a chrypliwym przemówił głosem:

— Jaśnie wielmożny panie!

Juljusz wzdrygnął się, tak przykre głos ten sprawił na nim wrażenie.

— Kto ty? czego chcesz? — zawołał niechętnie, bo nieznajomy nader szpetną i odpychającą raził fizjognomją.

— Szukam prawa, jaśnie wielmożny panie!

Juljusz myślał w pierwszej chwili, że ma do czynienia z wariatem.

— Stój! — zawołał na furmana — Czego chcesz? — zapytał nieznajomego.

— To ja, Mykita Ołańczuk, jaśnie wielmożny panie, czternaście lat służyłem w wojsku.

Juljusz przypomniał sobie imię byłego żołnierza, które tak ściśle łączyło się z historją starościca.

— Czego chcesz? — zawołał niechętnie.

— Nieboszczyk pan mię pokrzywdził i ciągle dochodzę mego prawa, jasny panie, bom sobie przysiągł, że nie daruję, choćbym miał zdechnąć jak pies — mruknął ciszej, a w napół zyzowatych oczach dzika mignęła nienawiść.

Juljusz rzucił się niecierpliwie.

— Prawuję się już od sześciu lat, jasny panie, zeszedłem na żebraka; ale to furda — ciągnął prędko dalej ex-żołnierz. — Nieboszczyk pan umarł, to mi Kośt' Bulij musi zapłacić za moje, bo on mi swoją ręką rychtyg sto kijów wyliczył jak jeden, a i potem jeszcze obił mię kilka razy.

— Ale czegóż chcesz ode mnie, łotrze? — krzyknął Juljusz wybuchając gniewem.

— Jasny panie, ja zabożyłem się nie darować Kostjowi i nie daruję, nie daruję, choćby mię robaki żywcem stoczyły... Dlatego też mam coś meldować jasnemu panu.

— Mnie?

— Jasny panie, Kośt' okrada zaklęty dwór! Wysztudyrowałem go tej nocy i szedłem właśnie do dworu meldować jasnemu panu...

Juljusz żachnął się na to zaskarżenie.

— Jak to śmiesz utrzymywać! — zawołał groźnie.

— Poprzysięgnę, jasny panie, to com widział. Straciłem wszystko prawując się i nikt mię nie chce przyjąć w komorne. Tej nocy spałem sobie pod krzyżem, jak się skręca do Buczał,

aż wtem widzę, że jakiś maziarz jedzie drogą. Myślałem, że zasnął na wozie i przysunąłem się bliżej...

Tu zająknął się nagle, że nie trudno było domyśleć się, w jakim celu zbliżał się do wozu.

— Ale niebawem przekonałem się — ciągnął dalej z flegmą — że maziarz nie śpi, bo od czasu do czasu głośno napędzał konia. Już chciałem wrócić, aż w tem patrzę, a maziarz skręca w szpaler, co prowadzi do zaklętego dworu. Ho, ho myślę sobie! tu się coś święci. I odżegnawszy od siebie czarta i wszystko złe, nie zważałem na stracha, i co tchu pognałem na przełaj ku dworowi. Przed bramą dworu dwoje osób przechadzało się tam i nazad, jakby kogoś oczekiwało. Z początku strach mię wziął i aż włosy stanęły mi na głowie, ale ba, patrzę i poznaję...

— Poznałeś te osoby? — wykrzyknął Juljusz rozciekawiając się w miarę opowiadania exżołnierza.

— Byłto, jasny panie, stary klucznik z jakąś panią.

— Panią! — zawołał Juljusz.

— Panią czy panną, nie mogłem poznać, choć się bardzo blisko zakradłem...

— Ale widziałeś przecie, jak wyglądała?

— Uważałem tylko, że miała włosy jak len.

Juljusz podrzucił się gwałtownie w swem siedzeniu.

— Cóż dalej, cóż dalej? — natarł porywczo na opowiadającego.

— A cóż, jasny panie, chciałem jeszcze przysunąć się bliżej, aby lepiej widzieć, ale te przeklęte brytany, które Kośt' wpuszcza co nocy na dziedziniec dworu, jak zaczęły wyć i ujadać, że aż mię strach wziął, aby nie obudziły gdzie nieboszczyka albo żeby ich Kośt' nie wypuścił za bramę, bo wtedy ciężka byłaby sprawa! Więc drapnąłem nazad, jak przyszedłem.

— A skądże wiesz, że Kośt' okrada pałac? — zapytał Juljusz.

Mykita wzruszył ramionami.

— A proszeż jasnego pana, pocóżby maziarz zajeżdżał furą pod dwór? — odpowiedział.

— I więcej nic nie widziałeś nad to wszystko?

— Nic, jasny panie.

Juljusz sięgnął ręką do kieszeni i dobywając kilka drobnych monet srebrnych rzucił obdartusowi i zawołał zozkazująco:

— Ani słówka o tem wszystkiem, coś widział... a jutro staw się do mnie do Oparek.

— Dobrze, jasny panie — odpowiedział obdartus z niskim ukłonem.

Juljusz w dziwnem jakiemś, gorączkowem rozdrażnieniu rzucił się w tył powozu i każąc woźnicy prędzej popędzać konie, zapadł w głębokie zamyślenie, a od chwili do chwili jakieś niezrozumiałe mruczał przez zęby słowa.

## NOCNA SCHADZKA.

Mieszkanie starego kozaka, Kostja Bulija stało, jak już wiemy po części z toku opowiadania, tuż przy ogrodzie, o kilkanaście kroków w zatyle opuszczonego dworu. Byłto dawny dom ogrodnika, okolony teraz starannie ociernionym płotem, który szczelnie zamykał podwórze przed wszelkiem okiem ciekawem. Za szeroką z chrustu uplecioną, zawsze zamkniętą bramą, ujadały dwa ogromne, czarne jak węgiel brytany, których sam widok mógł juz na zawsze odstraszyć natręta.

Chata starego klucznika rozsiewała niemniejszy postrach pomiędzy ludem zabobonnym, co sam dwór zaklęty. Długoletni sługa i towarzysz nieboszczyka starościca uchodził za jego przyjaciela i powiernika także i w pośmiertnem, zagrobowem życiu. Utrzymywano powszechnie, że nieboszczyk znosi się poufnie z klucznikiem swego osamotnionego dworu, ilekroć ukaże się z tamtego świata.

A szczególna, Kośt' Bulij jakby sam umyślnie chciał podsycać to mniemanie, osłaniał się starannie mgłą jakiejś grubej tajemnicy i niezwyczajności. Zawsze ponury, zamyślony, unikał pilnie wszelkiego zetknięcia się z ludźmi, a mieszkając sam jeden jak palec tuż w pobliżu osławionego dworu, nigdy nie przepuścił nikogo za próg swej chaty. To też, choć co niedzielę jak wszyscy inni ludzie przychodził pilnie do cerkwi i na klęczkach modlił się przez całą prawie mszę świętą, ustaliło się powoli przekonanie między ludem, że Kośt' Bulij, za pośrednictwem swego nieboszczyka pana jak niegdyś Twardowski za życia, zapisał się djabłowi i że jego tak troskliwie dobrane czarne psy, konie, i krowy pochodziły wprost z piekła, stanowiły niejako czartowski zadatek na kupioną duszę.

Przy takiej reputacji zagroda Kośtja Bulija wyglądała prawie jeszcze pustszą i posępniejszą, niż sam dwór zaklęty i nie łatwo znalazłby się ktoś w okolicy, coby nie mówiąc już o nocy, w jasny dzień śmiał zbliżyć się do niej.

Wszakże w chwili, kiedy idąc poniewolnie za biegiem wy-

padków, bliższą i z nią musimy zabrać znajomość, nie zastajemy jej bynajmniej wewnątrz tak pustą i samotną, jak wyglądała z swej powierzchowności i jakby każdy sądził z jej reputacji.

Jest już dobrze po północy, a na przestronnem ognisku wielkiej izby, nie różniącej się niczem od zwyczajnych mieszkań chłopskich, płonie starannie podtrzymywany ogień i dość jasno całą oświeca przestrzeń. Wokoło długiego dębowego stołu, wsuniętego pomiędzy dwie drewniane ławy, siedzi rzędem wśród dymu fajek sześciu ludzi, różnych po większej części strojów i powierzchowności. Wszyscy popijają piwo z sporych kuflów glinianych i jakąś żywą, acz cichą toczą między sobą rozmowę.

Na samym przedzie, niejako na pierwszem miejscu honorowem, siedzi żywo rozprawiając nasz dawny znajomy ryczychowskiej karczmy, ów wędrowny maziarz, kum Dmytro. Wyrazista, gęstym podstrzyżonym zarostem okryta twarz jego — zaczerniona jak wówczas cała prawie lepkiemi plamami mazi, które rozlały się gdzieść aż na czoło i znacznie już na skroniach siwiejące włosy.

Obok niego po jednej stronie przysłuchuje się pilnie dwóch chłopów w zwykłych płótnianych kaftanach, po drugiej wsparło się o stół dwóch jakichś odmiennych strojem ludzi. W jednym z nich poznać na pierwszy rzut oka po minie gęstej i buńczucznej, po wąsie długim i zwiesistym, po kapocie szaraczkowej z potrzebami, i niezbędnej wypchanej torbie borsuczej na plecach szlachcica chodaczkowego w całej okazałości i wszelkiemi wybitnemi znamionami charakterystycznemi. Drugi w granatowej sukiennej, aż po kostki sięgającej kapocie, z wąsem krótko podstrzyżonym i czarnemi ofarbowanemi rękami, wygląda na małomieszczanina, garbarza z rzemiosła.

Ostatnim w rzędzie jest chmurny i ponury jak zawsze gospodarz, Kośt' Bulij, klucznik zaklętego dworu. Siedzi milczący i nieruchomy jak z głazu, i ciągle z szczególniejszym jakimś wyrazem wpatruje się w twarz maziarza. Kufel z piwem przed nim nie tknięty, a i fajka leży na boku nie nałożona.

Maziarz prawi zcicha, ale z pewną uroczystą powagą i silnym naciskiem:

— Wszystko musi udać się szczęśliwie, chybaby już Boga nie było na świecie! Jeśli nie sobie, to jemu możemy zaufać ślepo, on najlepiej pokieruie naszemi krokami.

— To największy mocarz! — ozwał się jeden z chłopów z tą poetyczną powagą, jaką lud nasz tak chętnie przybiera we wszystkich ważniejszych okazjach.

Szlachcic chodaczkowy, pan Dominik Szczeczuga herbu Zerwikaptur, z impetem pokręcił wąsa.

— Niech tylko pięść nie zawiedzie — burknął z junackim ferworem — a krocset gjabłów mospanie — dodał ciszej i zaciśniętym kułakiem młyńca wywinął w powietrzu.

— Ja się tylko zdrady boję — szepnął garbarz małomieszczanin z Starzelic, pan Jędrzej Jurek, człek jak wskazywała fizjognomja, wielce przezorny i oględny.

— Furda! — mruknął pan Szczeczuga — od czegóż olej we łbie, a konopie na zawołanie.

Garbarz pokiwał głową niekoniecznie uspokojony.

Maziarz wpadł na chwilę w głębokie zamyślenie.

— Dobry panie Jędrzeju — przemówił naraz — niechaj każdy boi się tylko samego siebie, a pewno do zdrady nie przyjdzie.

— Ba, ale-bo widzicie, kumie Dmytrze — poderwał drugi z chłopów, znany nam Iwan Chudoba, wójt ryczychowskiej gromady, któregośmy niedawno u garbatego Organisty widzieli w towarzystwie maziarza. — Żeby tylko panowie nie skrewili— szepnął i zagiętym palcem zapukał w czoło.

Maziarz skinął niechętnie ręką.

— Bajecie jak we śnie, kumie Iwanie. Dowiodłem wam tyle razy, że my panów, a nie oni nas mają w kieszeni, i kwita. A zresztą o tem potem...

I nie troszcząc się o dalsze wątpliwości Iwana Chudoby, zwrócił się nagle do szlacica chodaczkowego.

— Mówicie tedy, panie Dominiku — rzekł z naciskiem — że zaścianek zawalicki nasz?...

— Z kretesem!

— A wy, Pańku Sołowiju — rzekł do siwowłosego towarzysza Iwana Chudoby, przysiężnego z Kniłowa — wasza gromada zaczyna coś miarkować...

— Ja ręczę za nią, że będzie miała rozum — odparł zapytany. — Wiecie, ta bajka, coście to opowiadali ostatnim razem w karczmie, wszystkim pozawracała głowy.

— Jużto bodaj was licho wzięło, kumie Dmytrze — podchwycił wesoło Szczeczuga — jakeście te ostatnią razą podpiwszy sobie niby w karczmie, zaczęli drwić i szydzić ze szlachty, że stare szerpentyny poprzerabiali na noże do sprawiania wieprzów, jakeście zaczęli dowodzić że szlachcic bez szabli i broni wygląda jak szewc bez szydła, a kowal bez młota, toć przebóg żywy, tak sobie wzięli do serca panowie bracia, że

każdy ściągnął się do ostatniego i jaką taką szablinę albo fuzyjkę wyfrymarczył na pierwszym jarmarku.

Maziarz uśmiechnął się zlekka.

— Wasze miasteczko, panie Jędrzeju — rzekł zwrócony do garbarza — walne jak zawsze?

— Można się śmiało spuścić na nie!

Maziarz pochylił głowę na piersi, a po chwili podniósł się z swego siedzenia.

— Nie mam wam już nic więcej powiedzieć... Pamiętajcie tylko na waszą przysięgę... — rzekł z silnym naciskiem i postępujcie ściśle tak, jak wam zaleciłem, a dalszych rozkazów czekajcie ode mnie.

— A wyż znowu odjeżdżacie? — zapytał Szczeczuga.

— Odjadę przed świtem.

— Ale na czas powrócicie? — wtrącił Sołowij.

— Bez wątpienia.

— Pozostaje nam się tylko pożegnać.

— Zaraz — zawołał maziarz żywo — Kostju, podaj mi pieniądze.

Kośt' wyszedł do drugiej izby, a za chwilkę powrócił z czterema sporemi workami w ręku.

— Oto macie — rzekł maziarz — w każdym jest po 500 złr. cwancygierami. Uważajcie bacznie, aby zawsze dopiąć celu, a nie zwrócić uwagi... A teraz bywajcie zdrowi, wychodźcie po jednemu, i zaraz z gościńca rozpierzchnijcie się na wszystkie strony.

I to mówiąc, chwycił zaraz najbliższego Szczeczugę za szyję, a potem uściskał i ucałował wszystkich kolejno.

Kośt' wyszedł na dwór, aby psom nakazać milczenie. W kilka chwil maziarz sam już pozostał w chacie. Usiadł napowrót na ławę i wsparł głowę na ramieniu. Widocznie dumał i rozmyślał nad czemś głęboko.

Wtem na nowo rozwarły się drzwi wchodowe, a pan Dominik Szczeczuga wrócił z drogi. Wyglądał cokolwiek zakłopotany i niepewny siebie, ale nagle jakby przemocą nabierając odwagi przysunął się bliżej do maziarza i rzekł cicho i tajemniczo:

— Nie gniewajcie się, Dmytrze, ale nie mogłem odejść, nie zapytawszy się was w jednej jeszcze rzeczy.

— Wiecie przecie, panie Dominiku, że rad odpowiadam na każde zapytanie.

Pan Dominik musnął wąs i mrużąc oczy na poły dowcipnie na poły domyślnie, zapytał po krótkiej chwili:

— Kto wy jesteście, Dmytrze?

Na wyrazistej, na pozór wszelkim wrażeniom nie przystępnej twarzy maziarza, poznać było lekkie pomieszanie.

— Nie rozumiem was, panie Dominiku.

Pan Dominik podniósł palec do góry i pokiwał figlarnie maziarzowi.

— Wyście nie prosty chłop, Dmytrze?

Dmytro zlekka ściągnął brew.

— Niech mię piorun trzaśnie — ciągnął dalej — ale wyście szlachcic, Dmytrze!

Maziarz nie mógł lekkiego przytłumić uśmiechu.

— Być może — szepnął.

— Szlachcic! — krzyknął pan Szczeczuga z całago gardła i podskoczył w górę, jakby mu o połowę ubyło lat i ciężaru.

— Pst... — upomniał maziarz i zmarszczył brwi.

— Jakże honor pański? — podchwytywał prędko stary szlachcic, kładąc silny nacisk na ostatnie szczególnie słowo.

Maziarz niechętnie wzruszył ramionami i odpowiedział dopiery po krótkiej chwili:

— Przypomnijcie sobie, że kiedym zwierzał się wam po raz pierwszy, powiedziałem wyraźnie, że odpowiem na wszystkie zapytania co do rzeczy, na żadne, co do osoby. Daliście słowo szlacheckie, że zastosujecie się do moich wymagań.

— Prawda! — odpowiedział stary szlachcic i głowę z powagą pochylił na piersi. — Jużem cicho! Sza... pst, ani słowa! Ale szlachcic, szlachcic. niech mię piorun trzaśnie! Ho, ho... Człek ma instynkt szlachecki!

I z prawdziwem uniesieniem rzucił się na szyję maziarza, i uradowany jakby go kto na sto koni wsadził, wybiegł z chaty.

W kilka chwil po nim wrócił Kośt' Bulij. Maziarz siedział napowrót pogrążony w myślach nad stołem. Kośt' usunął się w kąt i z pewną religijną czcią spoglądał na swego gościa.

Po chwili maziarz podniósł głowę w górę.

— Jesteś już, Kośtju!

Kośt' wyprężył się jak żołnierz w szeregu.

— Jestem, kumie! — odpowiedział.

— Z Oparek nie dowiedziałeś się nic nowego?...

— Wiem tylko, że pan jeździł wczoraj do Orkizowa.

— A ciągle jesteś przekonany, że wówczas umyślnie podjechał pod parkan ogrodowy?

— Przysiągłbym na to, kumie.

— I widział ją?

— Jak ona jego!

— A ten obcy przybłęda bawi ciągle we dworze?

— Ciągle i rozgospodarował się nawet na piękne.

— To źle — mruknął zcicha maziarz.

— Musisz się widzieć z nim, Kośtju.

— Z tym przybłędą?

— Nie, z nim samym.

— Dobrze, kumie.

— Powiesz mu wyraźnie, że nie szanować woli swego nieboszczyka dobrodzieja, nie zgadza się po prostu z honorem i sumieniem uczciwego człowieka.

— Uczynię jak każesz.

— Naprzód jednak z pierwszym brzaskiem dnia odwieziesz ją napowrót.

— Mówiłeś mi już to, kumie.

— A teraz pójdź i przyładuj mój wóz do podróży.

Kośt' wyszedł w milczeniu.

Maziarz kilka razy przeszedł się po izbie. Potem przystąpił do przybitej do ściany pułki, wziął małą łojową świecę do rąk i zcicha na palcach wszedł do drugiej izby. Stamtąd małe drzwiczki prowadziły na lewo. Maziarz odchylił je zcicha i wszedł do trzeciej wąskiej i ciemnej izby, urządzonej jednak o wiele wytworniej niż reszta domu.

Maziarz cichutko przysunął się do jednego kąta, gdzie wyzierało łóżko z białem jak śnieg posłaniem. Dopiero bliżej przysuwając świecę, można było śród śnieżnej bieli rozróżnić bielszą jeszcze niemal postać kobiecą. Leżała lekko osłoniona, w głębokim pogrązona śnie. Gdyby nie łagodny oddech, który z różanych powiewając ust kołysał cokolwiek rozpuszczone po obnażonej piersi pukle włosów, trudnoby przyszło uwierzyć, że postać ta należy do istoty żyjącej. Wyglądała raczej na jakieś uciosane z marmuru arcydzieło mistrza, w tak cudowną harmonję spływały jej rysy, tak idealnie szlachetnym wyrazem tchnęła cała fizjognomja.

Maziarz kilka chwil z niemem upodobaniem przyglądał się uśpionej dziewicy, a na surowej, energicznej twarzy jego dziwne wybiło się rozczulenie. Zdawało się, że drżał cokolwiek, i że łzy ną gwałt cisnęły mu się do oczu.

Nagle wstrząsł się, westchnął z głębi piersi i przechyliwszy się bliżej, złożył lekki acz gorący pocałunek na czole dziewczęcia.

Śpiąca uśmiechnęła się we śnie, jak gdyby ją właśnie w tej chwili jakieś przyjemne łudziło widzenie.

Maziarz obzierając się jeszcze raz jeden i drugi ku łóżku, powrócił do pierwszej izby.

Kośt' Bulij czekał już gotowy na dalsze rozkazy.

— Zaprzągłeś?

— Wóz stoi już za bramą.

Maziarz, uderzył się po sporym trzosie, który go opasywał, jakby się go obawiał zgubić lub zapomnieć.

— Pójdźmy więc — rzekł, rzucając tęskne spojrzenie ku drzwiom drugiej izby.

Obadwaj opuścili chatę i wyszli na gościniec. Maziarz u bramy popieścił się na prędce z brytanami, które wszelkiemi starały mu się przymilić sposobami, a potem jeszcze raz obejrzał się za siebie, a po chwili stał już przy swym wózku jednokonnym.

— I kiedyż was się znowu spodziewać, kumie? — zapytał Kośt' nieśmiało.

— Sąm nie wiem jak mi wypadnie... A zresztą — dodał z rezygnacją wzruszając ramionami. — Któż wie co się ze mną stać może.

Kośt' wzdrygnął się.

— Nie zechcecie przecie nie widzieć jej więcej? — wyszeptał jakby z wyrzutem.

Kum Dmytro westchnął.

— Na wszystko się przygotowałem — mruknął po chwili.

— Gdyby się wam jednak co złego przytrafiło, od kogóż się dowiemy?

— Od księdza Wikowskiego.

— A gdyby?... — wyszepnął ledwie zrozumiale stary kozak i głowę z jakąś trwogą tajemną pochylił na piersi, nie kończąc zapytania.

— W takim razie wiesz już, jak sobie postąpić, odpowiedział maziarz z stanowczym naciskiem.

— Nie zmieniacie w niczem waszej woli?

— W niczem zgoła.

Kośt' chwycił go za kolana.

— A więc bywajcie zdrowi, niech was Bóg prowadzi — wyszepnął z głębokiem wzruszeniem.

— Bądź zdrów, Kośtju — odpowiedział maziarz wzruszonym głosem i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Kośt' z uczuciem i uszanowaniem ucałował podaną rękę, a potem prędko obrócił się na bok, jakby swe gwałtowne chciał ukryć rozrzewnienie.

Maziarz wskoczył na swój wózek i chwycił za batóg.

— Wracaj do chaty, i pamiętaj dobrze o każdem poleceniu twego nieboszczyka starościca — zawołał jeszcze półgłosem na Kośtja i zaciął konia.

— Mego nieboszczyka starościca! — wyszepnął stary kozak mechanicznie, i w ciężkiem zamyśleniu pokiwał głową.

Wózek maziarza potoczył się tymczasem raźnie ku zakrętowi, ulicy, który na publiczny prowadził gościniec.

Kośt' długo stał nieruchomy na miejscu i patrzył przed siebie, aż zupełnie ogłuchł turkot wozu.

Potem powoli obrócił się ku bramie swej zagrody, i znowu przystanął i w głębokie zapadł zamyślenie.

— Jak się to wszystko skończy?! — szepnął po chwili i oczy wzniósł zwolna ku ponurym murom opuszczonego dworu.

Nagle drgnął cały i wydał wykrzyk przestrachu czy zdziwienia.

Z narożnych okien prawego skrzydła pałacu biło jasne na zewnątrz światło!

Kośt' stanął na chwilę jak wryty i przetarł skwapliwie oczy.

Narożny pokój był widocznie oświetlony.

— Ho! — wykrzyknął stary kozak i pięścią uderzył się w czoło.

— W pokoju nieboszczyka starosty! — mruknął ciszej po chwili i wzdrygnął się cały.

Nagle uderzył ręką po pęku kluczów, kluczów, które zawsze wisiały u jego pasa, i co tchu popędził ku małej furtce, która z przeciwnej strony jego podwórza prowadziła do ogrodu.

Furtka była otwarta na ścieżaj.

Kośt' cofnął się w tył i znowu ręką uderzył się w czoło.

— Co to znaczy? — mruknął przez zęby.

Nie wahając się długo wpadł do ogrodu, lecz zaledwie w kilku susach przebiegł szpalerową ulicę, co zamykała mu widok, zatrzymał się nagle na miejscu, bo w tej chwili zdało mu się, że skrzypnęły drzwi wchodowe od dworu i jakiś śnieżny cień wsunął się do środka.

Chwilkę stał jak wryty, ale wnet opamiętał się, jakby mu jakaś nagła myśl strzeliła do głowy.

— Aha! — mruknął przez zęby.

Ale podnosząc jednocześnie oczy do góry, do oświeconych okien dworu, ściągnął brwi i co tchu poskoczył ku nieprzymkniętym drzwiom wchodowym...

## DAMAZY CZORGUT NA NOWEM STANOWISKU.

Choćbyśmy mieli zniechęcić sobie na zawsze którąś z ciekawszych naszych czytelniczek, nie możemy tuż zaraz w ślad za starym klucznikiem pośpieszyć do wnętrza zaklętego dworu. Co gorsza, wzgląd na artystyczny układ naszej powieści każe nam cokolwiek wstecz cofnąć się z toku wypadków i przenieść na chwilę scenę działania pod dach znanego nam dworu w Oparkach.

Nasz dobry znajomy, pan Damazy Czorgut, lubo dopiero dzień jeden bawi w gościnie u swego świeżo odszukanego przyjaciela, zmienił się do niepoznania w całej swej postaci i oswoił się już zupełnie z swem nowem położeniem. Lichy i obszarpany ubiór wczorajszy zastąpiły wytworne suknie Juljusza, które acz na zupełnie inną skrojone miarę, musiały przecież jakotako zastosować się do figury nowego właściciela.

Były laik a onegdajszy żołnierz, widzi się jak mówi, po raz pierwszy od lat kilku „w futerale porządnego człowieka".

Wszakże z przybraniem przyzwoitszego stroju nie przybył mu bynajmniej przyzwoitszy wyraz fizjognomji, skromniejszy układ w obejściu. Ten sam co zawsze drwiący, zuchwały, wyzywający uśmiech igra mu na ustach, ta sama aż w bezczelność wpadająca pewność i swoboda przebija się w każdym ruchu i spojrzeniu.

Juljusz nie powrócił jeszcze z swej wizyty do Orkizowa, a pan Damazy siedzi najwygodniej rozparty na sofce w jego pokoju. Trzyma jakąś książkę w ręku, ale nie zdaje się czytać w tej chwili. Pociąga sporemi kłębami dym z wonnego cygara i w jakieś niezwykłe zapada zamyślenie.

— Czart wie — mruknął po chwili półgłosem — jakie ja tu mam zajmować stanowisko. Jużci prostym pieczeniarzem być nie mogę, muszę koniecznie poddać się jakimś obowiązkom. Ale jakim? w tem sęk?... — Jak mię naprzykład mają tytułować tacy Gągolewscy, Girgilewicze?... Na wszelki wypadek muszę stać się użytecznym Gracchusowi... Najpierw zbadam taje-

mnicę tego zaklętego dworu, a powtóre będę mu pomocnym w jego reformatorskich staraniach...

Ten zcicha prowadzony monolog przerwało nagle wejście Filipa lokaja, który na palcach wsunął się do pokoju i z jakąś nietajoną trwogą ukłonił się Katylinie.

— Czego chcesz? — zapytał pan Damazy surowo.

— Pan sędzia przyjechał w jakimś ważnym interesie do pana...

— Do mnie?

— Nie, do naszego pana...

— Więc cóż?

— Nie wiem czy mu kazać zaczekać, czy prosić na inny raz.

— Zawołaj go tu, błaźnie — huknął pan Damazy po żołniersku i książkę odłożył na bok.

Za chwilę cichym, lisim krokiem wsunął się nasz przezacny mandatarjusz, pan Bonifacy Gągolewski.

Katylina z swego siedzenia wyciągnął rękę i zawołał z impertynencką poufałością:

— Jak się pan masz, panie na Gągolach Gogolewski!

Mandatarjusz ukłonił się nisko, i tylko zpodełba łypnął na swego niedawnego gościa. Spostrzegając zaś tak nagłą zmianę w całej jego postaci, przygryzł zlekka wargę i skwapliwie pochwycił za wyciągniętą ku sobie dłoń.

— Jak się ma magnifika i szanowny pan Chochelka? — pytał dalej Katylina z drwiącym naciskiem.

Pan mandatarjusz zamiast odpowiedzi jeszcze raz ukłonił się uniżenie i znowu zpodełba zerknął na mówiącego.

— A to co tam pan powiesz nowego? — zagadywał dalej Katylina tonem z pańska lekceważącym.

— Przybyłem w ważnym interesie do samego pana — odpowiedział mandatarjusz z ważną i tajemniczą miną.

— Zastajesz mnie w jego miejscu, łaskawco.

Pan Gągolewski zawahał się i jakby z niesmakiem poprawił czuprynę.

— Przybywam z pewnym sekretem...

— Fiufiu! — zagwizdał przez zęby Katylina.

Mandatarjusz ściągnął brwi i mocniej przygryzł wargi.

— I cóż to tedy za sekret, mój dobrodzieju? — zapytał drwiąco Katylina, dmąc mu prosto w nos spory kłąb dymu.

Pan mandatarjusz nadął się do większej powagi i uroczystości.

— Jestto rzecz bardzo delikatna...

— A więc?

Mandatarjusz zmieszał i zakłopotał się widocznie.

— Chciałbym pomówić o niej z samym panem — mruknął, niezupełnie pewnym językiem.

Katylina rzucił się gwałtownie w swem siedzeniu i surowo schmurzył czoło.

— A cóż to! pan mię masz za szpiega? — zagrzmiał piorunującym głosem.

Pan mandatarjusz aż o krok w tył cofnął się z przestrachu.

— Uchowaj Boże — zawołał co żywo.

— A zatem widząc we mnie poufnego przyjaciela swego jurysdatora, nie wiem dlaczego tak tajemnicze stroisz miny.

Pan mandatarjusz mało nie do krwi ukąsił się w język.

— A to jakiś szubiennik pierwszego rzędu — pomyślał w duchu — ale niebezpiecznie go sobie zrażać!

Katylina tymczasem na poł położył się na sofce, jak gdyby się do tem wygodniejszego przysposabiał posłuchania i zawołał peremptorycznie:

— Słucham pana!...

Mandatarjusz wzruszył ramionami z desperacką miną człowieka, który samochcąc w przykre wwikłał się położenie.

— Zdradzam tajemnicę urzędową — mruknął jeszcze jakby na ostatnią wymówkę.

Katylina wzgardliwie tylko machnął ręką.

— A to jakiś łotr nad łotrami!... pomyślał mandatarjusz zaciskając zęby.

Ale z tem wszystkiem nie śmiał już sprzeciwiać się dłużej. Przyjaciel dziedzica imponował mu więcej, niż sam dziedzic.

— Przedewszystkiem jednak proszę o jak największy sekret pod słowem honoru — ozwał się jeszcze zamiast wstępnej przedmowy.

Katalina ruszył sobą niecierpliwie.

— Kaduczny z ciebie nudziarz, panie Ogolewski — mruknął niechętnie.

— Ależ powiadam panu, zdradzam tajemnicę urzędową...

— Wielkie rzeczy!

— Ryzykuję mój dekret...

— Dajże pan pokój, czy jedno to już w swojem życiu ry-

zykowałeś! — odciął Katylina z nowem wzgardliwem poruszeniem ramion.

Mandatarjusz aż do krwi ugryzł się w wargi, kułak zacisnął jak mógł najsilniej, a w duchu pomyślał:

— Poczekaj, oczajduszo, żebyś ty się raz dostał w moje ręce, powąchałbyś djablo pismo nosem.

Katylina nie uważał bynajmniej na nieme ruchy mandatarjusza, ale jakby poczuł jego tajemny monolog, rzucił z takim impetem niedopalone cygaro wprost przed siebie, że zapyrzony mandatarjusz z wielką tylko biedą nos swój uchronił od szwanku.

Katylina parsknął rubasznym śmiechem.

— Przepraszam pana — rzekł od niechcenia. — Ale czemuż pan nie siadasz i nie zaczynasz nareszcie?...

Pan mandatarjusz w złym humorze usiadł na pobliski fotel, krząknął, kaszlnął i potężnie zatrąbił nosem.

— Musisz pan wiedzieć — rzekł zniżając głos do najcichszego szeptu — że jak żaden mandatarjusz posiadam względy i zachowanie starosty cyrkularnego...

Katylina zrobił gest, którego trudno było odgadnąć znaczenie.

Mandatarjusz niezrażony ciągnął dalej:

— Otóż czasami, w pewnych szczególnych wypadkach, otrzymuję poufne zlecenie, *ad personam*.

— Hm, hm — mruknął Katylina.

Mandatarjusz uśmiechnął się przebiegle i przymrużył jedno oko.

— Aby jako tako utrzymać się na nogach, potrzeba być jak piskórz, panie dobrodzieju.

— Bez morałów, *ad rem* — upominał Katylina.

— Otóż uważa pan dobrodziej, wczoraj był u mnie *landsdragon* Kraxelhuber, i przywiózł mi dwa mandaty. W jednym szczególniejsze daje mi cyrkuł zlecenie...

— Każe panu może napisać rozprawę, jak się najzręczniej zdziera chłopów! — przerwał Katylina z rubasznym śmiechem.

Mandatarjusz żachnął się urażony.

— Czy pan to do mnie stosuje? zapytał.

Katylina, wzruszył ramionami.

— At mruknął niedbale — *exemplarum odiosa!*

Mandatarjusz zadowolnił się tą odpowiedzią, choć jak w rogu nie pojmował jej znaczenia.

— Wyobraź sobie pan dobrodziej — zaczął po chwili,

przezwyciężając po chwili swój kwaśny humor, historję o zaklętym dworze doniosły się do wiedzy cyrkułu.

— Ah — mruknął Katylina.

Mandatarjusz dla większej powagi brwi podciągnął do góry i palec wygiął naprzód.

— Landsdragon Kraxelhuber przywiózł mi nakaz, abym w przeciągu trzech dnich przedłożył panu komisarzowi obszerne i szczegółowe sprawozdanie, skąd właściwie powstały te dziwaczne wieści, jakie lud prosty przywiązuje do nich znaczenie, i jakie jest moje własne o tem wszystkiem zdanie.

Katylina zamyślił się i zmarszczył czoło.

— Pan tedy przyjechałeś? — zapytał po chwili.

— Porozumieć się z dziedzicem, jak się najlepiej wywiązywać z tego zadania — dokończył mandatarjusz z pewnym patetycznym naciskiem.

Katylina w zamyśleniu zabębnił sobie po stole.

— Nie troszcz się pan o to — przemówił po krótkiej pauzie — ja pana zastąpię w tej mierze...

— Jakto? zapytał mandatarjusz niezmiernie wybałuszając oczy.

— Wypracuję za pana całe sprawozdanie.

— — Za mnie?

— Pan tylko podpiszesz.

Pan mandatarjusz znowu brwi podsunął w górę.

— Ja podlegam cyrkułowi — mruknął jakby demonstrując.

— Pan pobierasz płacę od dziedzica — odciął krótko Czorgut.

— Cyrkuł może mi dać nosa, może...

Katylina parsknął głośnym śmiechem.

— Dziedzic może pana napędzić na cztery wiatry, nim jeszcze będziesz miał czas namyśleć się nad sprawozdaniem — odpowiedział z impertynencką stanowczością.

Mandatarjusz nabiegł krwią na twarzy, ale cały swój gniew i przestrach zawarł tylko w silne ściśnięcie zębów i w ukośne jadowite spojrzenie.

Katylina nie zważał na to bynajmniej.

— Skończyliśmy w tej materji — zadecydował stanowczo — poczekasz pan chwilkę, ja panu prędko wypracuję całe podanie. Ale teraz masz mi pan jeszcze coś powiedzieć.

— Jeszcze coś?

— Otrzymałeś przecie dwa poufne zlecenia.

Mandatarjusz poruszył się niespokojnie na miejscu.

— To drugie jest jeszcze delikatniejszej natury... - mruknął ocierając czoło, które zaczynało pocić się niepospolicie.

— Tem lepiej — odparł Katylina krótko.

Mandatarjusz zakrzusił się jakby przełykając ślinkę na jakąś gwałtowną natrafił zaporę.

— Niema rady z tym oczajduszą — szepnął zcicha.

— A więc? — nacierał tymczasem Katylina.

Mandatarjusz pochylił głowę z rezygnacją.

— Drugi mandat jeszcze ważniejszy i sekretniejszy — przemówił po chwili z uroczystą miną — nakazuje wielką baczność i gorliwość w przestrzeganiu przepisów policyjnych. Powzięto wiadomość, że niepoprawne nigdy stronnictwo, *unverbesserliche Partei* — pomógł sobie po niemiecku — gotuje nowe dla kraju klęski.

— Oho! — mruknął Katylina, z wielkiem przysłuchując się zajęciem.

Mandatarjusz zniżył głos, podciągnął brwi aż pod samą czuprynę, jeden palec wyciągnął w równej linji z nosem i prawił dalej poważnie i tajemniczo:

— Emisarjuszę mają kręcić się po całym kraju.

Katylina zagwizdał zcicha przez zęby.

— Starają się wszędzie pozyskiwać chłopów, kaptować obywateli, księży i oficjalistów prywatnych...

Tu urwał nagle czcigodny mandatarjusz, i z podełba zerknął na Katylinę. I tej samej chwili jakieś szczególniejsze powstało w nim podejrzenie.

— Ej — szepnął zcicha — czy też ten wisus nie jest jednym z takich ptaszków!

Katylinę zniecierpliwiła nagła przerwa.

— Cóż dalej? — zapytał prędko.

— Ufając w zdrowy rozsądek, wierność i lojalność wszystkich zacniejszych mieszkańców, nie wiele lękamy się tych nowych zbrodniczych machinacyj...

— Nowych zbrodniczych machinacyj... — powtórzył Katylina z szczególnym naciskiem.

— Ale — zaczął znowu mandatarjusz.

— Ale?

— Mogliby się łatwo znaleźć ludzie niedoświadczonej głowy, lub przewrotnego usposobienia, na których podobne zręczne acz niegodne poduszczenia potrafiłyby zgubny wywrzeć wpływ...

— A zatem? — poderwał Katylina niecierpliwie.

— Nakazano czuwać pilnie wszystkim władzom bezpie-

czeństwa, aby wrazie pojawienia się jakiego emisarjusza w okolicy... takowego — ciągnął urzędowym stylem.

— Takowego... — podchwycił Katylina z szyderczym naciskiem.

— Schwytać i niezwłocznie odstawić do władzy.

— Nie żarty! — mruknął Katylina, nie zmieniając tonu.

Mandatarjusz głowę pochylił na piersi.

— Smutno — szepnął.

Katylina wpadł w jakieś nagłe zamyślenie.

— I po cóż pan z tym drugim mandatem przybyłeś do Juljusza? — zapytał mandatarjusza bystro patrząc mu w oczy.

Pan Gągolewski rzucił głową w tył z zdziwioną miną.

— Chciałem go się poradzić... — mruknął.

— Jakto poradzić?

Mandatarjusz z niesmakiem głową pokręcił na bok.

— Nie wiem jak działać w takich razach... to jest jak sobie postępować... właściwie jakie jest zdanie polityczne pana Juljusza — plótł bez związku i sensu.

Czorgut żachnął się niecierpliwie.

— Czy pan chcesz udawać łotra, czy durnia, panie Gągolewski? — zapytał swym zwykłym wyzywającym, bezwględnym tonem.

Pan mandatarjusz jakby cały skąpał się w ukropie.

— Panie dobrodzieju... — zawołał podnosząc się z krzesła.

Katylina nie patrzył na niego wcale.

— Albo może panu nie dość na jednem albo drugiem i chcesz być obojgiem naraz?...

— Ależ panie łaskawy!... — zawołał mandatjusz w walce między oburzeniem a podłą uległością.

— Idźże pan do stu djabłów — przerwał Katylina tym samym tonem — któryż człowiek, co ani łotr ani dureń, potrzebuje rady w podobnych sprawach! Robi jak mu własne sumienie każe i kwita.

Mandatarjusz ściągnał prędko brwi.

W swej przebiegłości pojął odrazu znaczenie impertynenckich słów Katyliny. Przytłumił w sobie gwałtownie kipiącą złość i niezręcznie do obleśnego zmuszając się śmiechu, odpowiedział z źle udaną spokojnością:

— Pan mnie nie rozumiesz... Wiemci ja dobrze, co się zgadza z sumieniem i honorem... ale właściwie co innego miałem na myśli.

— I cóż takiego? — zapytał wzgardliwie Katylina.

Mandatarjusz do jakiegoś małego przynaglił się postanowienia.

— Chciałem tylko tym sposobem dać delikatnie do zrozumienia, czy nie zagraża panu samemu jakie niebezpieczeństwo.

Kylina parsknął głośnym śmiechem.

— Jeśli panu o to chodzi, to napisz śmiało w swojej relacji, że nie znasz w swojem dominium żadnego podejrzanego człowieka, chyba Damazego Czorguta, abszytowanego żołnierza z pułku hrabi Hartmana.

Mandatarjusz ukłonił się w milczeniu.

— A teraz poczekaj pan — ciągnął Katylina dalej — napiszę panu prędko odpowiedź na piewszy mandat cyrkularny.

I siadając prędko przy biurku Juljusza, zaczął pisać coś z niesłychanym pośpiechem.

Mandatarjusz pilnie przypatrywał mu się z boku, a wzruszając ramionami z politowaniem, mruknął przez zęby:

— Ten urwisz myśli, że to tak łatwo skoncypować doniesienie do cyrkułu!...

Jużto każdy mandatarjusz miał się za najzdatniejszą głowę pod słońcem i utrzymywał głośno i bezwględnie, że dobry koncept urzędowy „to panie nie lada poezja, powieść albo dykteryjka!“

Katylina w kilkanaście minut skończył swój wyrób.

— Odczytaj pan — rzekł podając go mokry jeszcze mandatarjuszowi.

Pan Gągolewski zaczął czytać, a im dalej szedł oczyma, w tem większe jakieś wpadał zdumienie.

— Niech go wszyscy djabli wezmą! — ten urwisz musi być koniecznie mandatarjuszem. Fiufiu! jaki koncept, żaden wyższy urzędnik cyrkularny nie mógłby się go powstydzić.

Wyższy urzędnik cyrkularny tworzył w wyobrażeniach mandatarjusza najwyższą potęgę umysłowych zdolności!

— Skończyliśmy z sobą na dzisiaj — ozwał się Katylina.

Mandatarjusz powstał z ukłonem.

Czorgut przystąpił bliżej do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Panie Gągolewski — rzekł mu poufale — bądźmy przyjaciółmi. Przedewszystkiem jednak nie zapominaj pan, że ja teraz działam za Juljusza, a ze mną trochę trudniejsza sprawa niż z moim rozmarzonym zawsze przyjacielem. Do widzenia, panie Gągolewski, sługa pana uniżony. Jeszcze raz mówię panu, bądź-

my przyjaciółmi i dogadzajmy jeden drugiemu, bo jak się poważnimy, to dalibóg za ciasno będzie jednemu z nas!

Mandatarjusz jakieś niezrozumiałe bełkotał słowa, kłaniał się bezustannie i wyszedł z pokoju, zbity z terminu jak nigdy.

— To łotr nad łotrami! okropnie niebezpieczne indywiduum! — mruczał w drugim pokoju. — Powiedziałem zaraz, że trzeba się mieć na ostrożności.

Katylina tymczasem rozparł się napowrót na sofce i wesoło zatarł ręce.

— Zacząłem dzisiaj pierwszą funkcję, a czuję że się djablo stanę dogodnym Juljuszowi.

— Czy można? — ozwał się w tej chwili głos z drugiego pokoju, i pojawiły się we drzwiach nastrzępione wąsy i czerwona facjata ekonoma Girgilewicza.

— Ho, ho — mruknął Katylina, — otóż i drugi zkolei.

— Proszę — zawołał głośno.

Czcigodny ekonom buczalskiego klucza wszedł do pokoju nieśmiało i niezgrabnie, i z rozdziawioną gębą obejrzał się zwykłym swym łakomym wzrokiem dokoła. Widząc tak wielką zmianę w powierzchowności niedawnego obdartusa, więcej jeszcze rozdziawił gębę, wybałuszył oczy i ukłonił się jak mógł najniżej.

— Ah, pan Girgilewicz — zawołał wesoło Katylina — witamy, witamy.

— Całuję stopy pana rządcy dobrodzeja.

Ekonomskim swym instynktem pan Girgilewicz znalazł już i odpowiedni tytuł dla przyjaciela dziedzica.

— Nie zastałem jasnego pana — przemówił po chwili.

Pan Girgilewicz tytułował Juljusza ciągle jasnym panem, choć ten wszelkiemi siłami bronił się przeciw temu przydomkowi.

— Byłby to przecie despekt dla mnie — mawiał stary ekonom — abym służył u dziedzica, który nie jest jaśnie wielmożnym!

— Z czemże pan przybywasz? — zapytał Katylina.

— Z raportem tygodniowym.

Katylina wziął do ręki podany papier i nie rzuciwszy nawet okiem, położył na boku.

Girgilewicz nadął się i napuszył na taki dowód zaufania.

— Niech pan siada, panie Girgilewicz — mruknął Katylina niedbale, zapalając sobie nowe cygaro.

Girgilewicz usiadł na sam róg fotelu.

Katylina wypuścił spory kłąb dymu i zapytał jakby od niechcenia:

— Ile też mniej więcej niesie rocznie folwark buczalski?

— Jak do roku, panie dobrodzieju.

— Ale tak, mówię, mniej więcej, przeciętnie?...

Pan Girgilewicz z arcyważną miną potarł się po czole.

— Tak niby przy dzisiejszych cenach, trzy tysiące, taj tylko — odsapał po chwili.

— To źle — szepnął Katylina.

— Źle? — wycedził Girgilewicz prawdziwie po ekonomsku wytrzeszczając oczy.

— Musi być więcej! — mruknął Katylina stanowczo...

— Jakto więcej?

— Mówię, że na przyszłość musi być więcej.

— Dałby Pan Bóg.

Katylina cały prawie schował się w gęstej chmurze dymu.

— To będzie więcej od pana zależało, niż od Boga.

Pan Girgilewicz na znak zapytania okropnie rozdziawił gębę.

— Krótko mówiąc, panie na Giergołach Girgilewiczu — ciągnął dalej Katylina z zwykłą swą impertynencką poufałością — jeśli teraz czynią Buczały w przecięciu trzy tysiące, to na przyszłość muszą nieść cztery tysiące.

— Nie rozumiem pana dobrodzieja, taj tylko — wybąknął Girgilewicz.

— Aj rozumiesz, rozumiesz, łaskawco, tylko umyślnie udajesz głupca.

— Broń Boże, taj tylko.

— Nie udajesz? — pochwycił Katylina złośliwie.

Pan Girgilewicz zaprzeczył z jak najdobitniejszą stanowczością.

Katylina wzruszył ramionami.

— Ha więc wytłumaczę się panu wyraźniej — rzekł kategorycznie — jak pan nie postarasz się o podniesienie dochodów buczalskich, to kto inny podejmie się tej próby.

— Taj tylko, wybąknął Girgilewicz machinalnie.

Katylina przystąpił bliżej ku niemu i rzekł mu z rubaszną poufałością:

— At panie Girgilewiczu, my znamy się jak łyse konie...

Girgilewicz zgłupiał do reszty na ten zwrot niespodziewany.

— To jest... to... taj tylko — wybełkotał.

— Ho, ho — prawił Katylina wesoło dalej — obadwaśmy jak to mówią szpakami karmieni.

Girgilewicz pocił się a pocił aż litość zbierała, a prócz swego nieszczęśliwego taj tylko jak na złość żadne inne słowo nie nasuwało mu się na język.

— Jestem pewny, pan mię podejmujesz, chodzi tu o to, aby albo podnieść dochody z Buczał, albo złożyć rachunki i ustąpić z posady.

Girgilewicz otarł pot z czoła i nic nie odpowiedział.

— No przecieśmy się jakoś porozumieli — mruknął Katylina odetchnąwszy. — A teraz do widzenia się, kochany panie Giergołogirgilewiczu — dodał ściskając biedną swą ofiarę kordjalnie za rękę.

Pan Girgilewicz wyszedł skonfundowany i skonsternowany, i podobnie jak mandatarjusz dopiero w drugim pokoju wybuchnął przytłumionym gniewem:

— Łotr, oczajdusza na wielki kamień, taj tylko.

Katylina po wyjściu ekonoma powalił się znużony na sofkę, i zacierając ręce, mruknął z zadowoleniem:

— Powiedziałem, że się przydam na coś memu Gracchusowi. On nigdy nie dałby sobie rady z tymi ludźmi. Ależ bierz cię licho, sześnaście folwarków, szesnastu ekonomów i z każdym z osobna pogadać mądre słówko! Ba nie wszyscy znowu będą tacy Girgilewicze! — pocieszył się na ostatek.

Śród tego turkot rozległ się na dziedzińcu. Gracchus powrócił z swych odwiedzin w Orkizowie.

## WYPRAWA NA STRACHA.

Juljusz wrócił do dworu w szczególnem usposobieniu. Całe znalezienie się hrabianki, chłodniejsze niż zazwyczaj przyjęcie hrabiego, a nareszcie i niedawna rozmowa z Ołańczukiem, silne sprawiły na nim wrażenie.

Wszedł do swego pokoju chmurny i zamyślony i wstrząsł się cały, gdy go Damazy Czorgut głośnym i rubasznym powitał śmiechem.

— Cóż to ma znaczyć? — ofuknął się rozdrażniony.

Katylina nie zrażał się bynajmniej w swej wesołości.

— Widzę, że z nosem na kwintę wracasz z swej wizyty — odpowiedział z drwiącym naciskiem.

Juljusz żachnął się niecierpliwie. Katylina głośniejszym jeszcze zahuczał śmiechem.

— Jesteś w siarczystym humorze, jak się zdaje. Byleś tylko mnie nie chciał użyć za konduktora, bo dalibóg nie mam u siebie żadnych metalicznych przymiotów.

Juljusz nic nie mówiąc rzucił się na pobliski fotel i na chwilkę w głębokie zapadł zamyślenie.

Czorgut ironicznie pokiwał głową.

— Może chcesz być sam z swemi myślami? — zapytał po chwili nie zmieniając tonu.

— Owszem, zostań — zawołał Juljusz żywo. — Może prędzej znajdziesz nić do tego kłębka, który napróżno pragnę odszukać.

— Ho, ho! cóż to się znowu stało?

Gracchus jak mógł najlepiej opowiedział wszystkie szczegóły swych odwiedzin w Orkizowie, i następnej rozmowy z exżołnierzem.

— Widzisz więc, że coś rzeczywiście dzieje się w tym zaklętym dworze, a Eugenja bierze jakiś szczególny udział we wszystkiem.

— Nieszczęście z tą Eugenją — mruknął Katylina szyderczo. — Jak dla ciebie, to podobno to najniebezpieczniejszy strach pustego dworu.

— Ale powiadam ci, kiedy co do swego podobieństwa z tem tajemniczem widziadłem z tak osobliwszą odezwała się uwagą, było w całej jej fizjognomji, w jej głosie, spojrzeniu coś takiego...

— Coś takiego, coś takiego, z czego sobie nie możesz zdać sprawy, choć na to patrzyłeś, a co ja sobie wyobrażam, choć tego nie widziałem — przerwał Katylina.

— Ciekawym, cóżby teraz powiedziała na zeznanie Ołańczuka, który także wyraźniej widział kobiecą postać z jasnemi włosami!

— Dajmy pokój podobnym dowodom, czas już nam samym zabrać się do dzieła — przejął Katylina stanowczo.

— Jakto, nam samym?

— Powiadam ci, że jak najprędzej musimy zbadać tajemnicę zaklętego dworu.

— Ale jak?

— W tem moja rzecz.

Gracchus wzruszył głową.

— Zapominasz, że winienem święcie szanować wolę nieboszczyka...

— Nie mógłbyś zatem pozwolić, abym poprostu zrobił inwazję do samego dworu.

— W samej rzeczy. Nieboszczyk zabronił tego wyraźnym punktem swego testamentu.

— Jeśli o to chodzi, to zaraz rozbroję twoje sumienie.

— Wiesz, że nie lubię sofizmów.

— Bądź spokojny, bądź spokojny, nie myślę się do nich uciekać tym razem.

— Cóż mi tedy powiesz?

— Powiem ci tylko, że jeśli my prędko nie dotrzemy na dno tajemnicy, która na wszelki wypadek dwór ten osłania, to niebawem odkryje ją kto inny.

— Któż taki?

— Cyrkuł, bratku.

— Cyrkuł.

Katylina opowiedział pokrótce całą swą rozmowę z mandatarjuszem.

— Odpowiedziałem wprawdzie w jego imieniu cyrkułowi — kończył — że wszystkie te pogłoski należy policzyć do zwykłych wymysłów zabobonnego ludu, do luźnych klechd właściwych każdej okolicy, ale któż wie, czy cyrkuł poprzestanie na tem tłumaczeniu. Może ześle komisję...

Gracchus zamyślił się głęboko.

— Urzędowe badania i odkrycia mogłyby łatwo w taki lub owaki sposób skompromitować tę piękną nimfę, która, jak się zdaje, musi dość często przebywać w opuszczonym dworze — prawił dalej Katylina.

Gracchus gwałtownie porwał się z miejsca.

— Masz słuszność! Potrzeba ją przestrzec jak najprędzej! — zawołał.

— Takie jest i moje zdanie.

— Pojadę jutro do Orkizowa...

Katylina z niesmakiem wzruszył głową.

— Ależ dotychczas nie masz pewności, że owa nimfa ogrodowa a hrabianka jest jedną i tą samą osobą.

— Przysiągłbym na to bez wahania.

Katylina krząknął z impetem i niezadowolony zmarszczył brwi.

— Jabym sobie zupełnie inaczej postąpił w tej sprawie — rzekł po chwili.

— Naprzykład?

— Ja poprostu zapolowałbym na samą nimfę ogrodową i jej a nikomu innemu odsłoniłbym grożące niebezpieczeństwo.

— O nie, nie, to nie uchodzi! — wykrzyknął Juljusz.

Katylina machnął niechętnie ręką i jakby znudzony wyciągnął się w fotelu.

— Nie uchodzi... — wycedził przez zęby.

— Znaczyłoby to chwytać za pierwszy lepszy pretekst, aby wbrew świętej woli nieboszczyka wdzierać się w jakąś obcą mi tajemnicę.

Katylina wesołą zagwizdał arję.

— Niema z tobą co mówić — mruknął. — Przed chwilą łamałeś sobie głowę, abyś sobie to i owo wytłumaczył, a tuż zaraz...

— Nie pomyślałem i nie pomyślę nigdy o żadnych gwałtownych środkach.

Katylina znowu machnął ręką i na chwilkę zapadł w nieme zamyślenie. Nagle wstał, wyciągnął się na obie strony i wysunął rękę do Juljusza.

— Dobranoc ci, Gracchusie.

— Jakto, idziesz spać w lecie o siódmej?

— Wiesz, że od długiego czasu mam dopiero drugą noc przespać wygodnie. Wędrując do ciebie, radziłem sobie jak mogłem.

Juljusz uśmiechnął się zlekka.

— A zatem do widzenia jutro, wstaniesz za to zapewne raniej ode mnie.

— Być może — mruknął ziewając.

Juljusz pozostał rozmarzony w pokoju. Czorgut poszedł wprost do swego mieszkania w oficynach i kazał sobie co tchu przywołać lokaja swego przyjaciela.

— Najlepiej działać na własną rękę — mruczał sam do siebie. — Ja tam nie wiele troszczę się, czy co uchodzi, czy nie. Ale szkoda nocy. Teraz położę się spać — szepnął, zrzucając zarazem surdut — około północy każę się zbudzić i pójdę za tropem tej nimfy tajemniczej.

W tej chwili wszedł spiesznie lokaj, który od pierwszego poznania niesłychany miał respekt przed szczególnym przyjacielem swego pana.

— Słuchajno, Filipku — rzekł mu Katylina z właściwym sobie imponującym naciskiem. — Położę się spać, ale chcę wstać około północy. Przyjdziesz mnie zbudzić.

— Dobrze, panie.

— Ale przyniesiesz z sobą tę parę pistoletów, cc nad łóżkiem pana. odo-

Filip okropnie wytrzeszczył oczy.

— Tylko, jeśli ci twój grzbiet miły — ciągnął dalej Kat lina, kładąc mu swą silną, ciężką rękę na ramieniu — to spré wisz się z tem wszystkiem tak cicho i zręcznie, aby ani mucha nie wiedziała o niczem.

— Ale... jakto... proszę pana... te pistolety... — jąkał się sam nie wiedząc, co mówi.

— Te pistolety przyniesiesz, mówię — rzekł stanowczo, rzucając na zdziwionego i przestraszonego zarazem lokaja spojrzenie, które najmniejszego nie dozwalało oporu.

— Dobrze, panie — wybąknął Filip, nie wahając się już dłużej.

— Obadwa są nabite?

— Obadwa.

— Pamiętaj więc około północy i idź do djabła.

Lokaj wyszedł skonsternowany, ale zaraz za drzwiami cichy wytoczył monolog.

— Poco jemu pistoletów o północy! — mruczał bijąc się w czoło — czy chce wyjść na jaki rabunek, czy chce sobie może w łeb wypalić? Dałby pan Bóg, bo het popsuje mi pana, a dalibóg dobre panisko...

Katylina położył się do łóżka, a za kwadrans spał jak zabity.

Kiedy już wszystko ucichło we dworze, Filip na palcach wsunął się do pokoju i wypełnił ściśle otrzymane zlecenie.

Katylina obudzony znienacka porwał się na równe nogi i zaczął się skwapliwie ubierać.

— Dobrze, chłopcze — rzekł wesoło, zacierając ręce — ale teraz pójdź i co tchu osiodłaj mi konia.

Filipowi jakaś radosna myśl przemknęła przez głowę.

— Pewnie chce drapnąć w nogi! Krzyżyk na drogę — pomyślał i co tchu pobiegł spełnić odebrany rozkaz, za który żadna zresztą nie czekała go odpowiedzialność, bo sam Juljusz nakazał we wszystkiem ulegać swemu przyjacielowi.

W kwadrans później pędził już Katylina wśród ciemnej nocy co koń wyskoczy ku Żwirowi.

Kiedy był na zakręcie drogi od Buczał, przystanął na chwilkę i zamyślił się czegoś.

— Zdaje się, że najlepiej będzie zajść od ogrodu — mruknął półgłosem.

I jednocześnie skręcił konia na bok, przesadził szeroki i jej i przez łan zbożowy pomknął na przełaj ku dworowi.

Tu zwolnił koniowi w biegu i nie troszcząc się wcale niedalekie szczekanie psów, podjechał w zatyle mimo cierni głogu pod sam parkan ogrodowy, konia przywiązał do wystającej na zewnątrz gałęzi drzewa, a potem jednym susem wskoczył na ostry grzbiet parkanu.

Chwilkę chciał się tu utrzymać, ale nie znajdując żadnego oparcia, runął na drugą stronę. Na szczęście spadł na miękką murawę i prócz lekkiego otłuczenia żadnego nie poniósł szwanku.

Zebrał się prędko z ziemi i wierny swej naturze wybuchł półgłośnym śmiechem rubasznym.

— Proszę, żeby zamiast murawy znajdował się w tem miejscu pniak drzewa, powiedzianoby jutro, że mi nieboszczyk skręcił kark własnemi rękami! Lecz w tej chwili ma ważniejsze zadanie, niech przynajmniej powagą, swą odstrasza złodziejów od mego konia.

Po tych słowach obejrzał się dokoła jakby się chciał lepiej zorjentować.

— Ogród oglądniemy sobie jutro zrana, teraz wprost ku dworowi — mruknął znowu półgłosem.

Noc była ciemna, kilka tylko gwazdek z pod grubych, mglistych osłon blado zerkały na ziemię, księżyc skąpym pękiem srebrnych promieni wychylał się z za chmury. W naturze panowała zupełna cisza. Najlżejszy wietrzyk nie kołysał drzewami, nie słychać było nigdzie nawet skrzekotania żab, tej najpospolitszej muzyki pogodnych nocy wiejskich.

Katylina gwiżdżąc zcicha przez zęby, podsunął się pod samą tylną facjatę dworu. Podobnie jak od frontu, wznosił się i tutaj wspaniały ganek z balkonem, wokoło którego wiły się niegdyś bujne szczepy winogronowe.

Tu znowu Katylina zatrzymał się na chwilkę.

— Zapomniałem najgłówniejszej rzeczy: wytrycha — szepnął — ale nic nie szkodzi, poradzimy sobie jakoś — pocieszał się wstępując na marmurowe schody ganku.

Za pierwszym zaraz krokiem głucho ozwało się echo, łamiąc się gdzieś w najdalszych pokojach dworu.

Katylina mimowolnie wzdrygnął się zlekka.

— Nie mogłem sobie lepszej nocy wybrać do mej wyprawy! Ta cisza, ten spokój w naturze, hm, hm — dodał i zapominając się, zagwizdał głośniej.

Znowu głuche z wewnątrz odezwało się echo.

Katylina przestał gwizdać i przystąpił do drzwi wchodowych.

— Zamknięte oczywiście — mruknął próbując.

Zamyślił się na chwilkę, a potem szybko zeszedł z ganku i podsunął się pod okna o kilka kroków dalej.

— Zaraz sobie poradzimy — szepnął i pocisnął silnie szybę, która w tysiączne rozprysła się kawałki.

Wszakże nie tak łatwo przyszło mu odsunąć zardzewiałe rygle okien. Z wielką biedą odemknął zasuwkę u spodu, a nie mało się namozolił i natrudził, nim i górną odchylił zaporę.

Nareszcie rozwarł całe okno i wskoczył do środka. Ponura ciemność osłaniała go dokoła, z tem wszystkiem mógł rozeznać, że znajduje się w umeblowanym pokoju.

Chwilkę stał niemy i nieruchomy, jakby słuchał, czy gwałtowne jego wnijście nie obudziło kogo w pustym dworze, potem półgłośnym parsknął śmiechem.

— Strachy nie ruszają się jakoś — mruknął zcicha. — Szkoda, bo mam wyborne na nich lekarstwo.

Tu sięgnął ręką do kieszeni i dobył jednocześnie pistolet i mały stoczek woskowy.

— Na strachy ziemskie: pistolet, na strachy nadprzyrodzone: światło! — szepnął pompatycznie, zapalając stoczek.

## CZERWONY POKÓJ ZAKLĘTEGO DWORU.

Zapalony stoczek blade dokoła rzucił światło.

Katylina ujrzał się w obszernym, wytwornie, ale po staroświecku urządzonym pokoju. Gęste tkanki pajęczyny okrywały ściany, na sprzętach bielił się wszędzie gruby pokład kurzu i pyłu.

Katylina uważnie oglądnął się dokoła i z znaczeniem pokiwał głową.

— Zdaje się naprawdę — szepnął w zamyśleniu — że tu od dawna żadna ludzka nie postała noga!

Ale nie zagłębiając się długo nad tem niezupełnie spodziewanem spostrzeżeniem, postąpił wprost ku otwartym na ścieżaj drzwiom, skąd odsłaniał się widok na szesnaście sznurkiem ciągnących się pokoi.

— Wartoby to wszystko obejrzeć bliżej — mruknął przez zęby — ale niema czasu na to. Strach, jak mówią, ma pokazywać się najczęściej w narożnych oknach pierwszego piętra,

w tak zwanym czerwonym pokoju starosty, oddajmy mu więc wizytę w jego ulubionym przybytku.

I wychylając płonący stoczek naprzód, posunął na los szczęścia ku rozwartym na oścież pokojom. Niebawem znalazł się w wielkiej sali, skąd jedne drzwi parapetowe prowadziły na ganek ogrodowy, drugie do obszernego przedpokoju.

Katylina skręcił do przedpokoju i instynktem dobry zrobił wybór, bo w jednym kącie przestronnej, wąskiemi skórzanemi ławeczkami dokoła otoczonej izby ujrzał jakieś wąskie, skryte drzwi napół odchylone.

— Ho, ho! — zawołał półgłosem — mamy już trop stracha!

Poza drzwiami temi pięły się kręte schody. Katylina zagwizdał wesoło i co tchu puścił się do góry. Wpół drogi potrącił nogą o jakiś kawał papieru.

Schylił się coprędzej i podniósł z ziemi jakąś z trzech stron odartą drobną kartkę, jakby małą resztkę zniszczonego listu.

— Należy korzystać z każdej zdobyczy! — szepnął i wspierając stoczek na kolanie, próbował odczytać znalezioną kartkę.

Pismo na niej było widocznie ręki kobiecej, co tem więcej podniosło ciekawość znalazcy.

— To ślad tej nimfy jasnowłosej! — mruknął, wytężając całą swą uwagę na kilka pozostałych, urwanych wyrazów obrudzonej i zmiętej kartki. Aha — szepnął sylabizując — *...jemnica, która się o...* to zapewne: tajemnica, która cię osłania... *czułość twa i troskliwość... ...wnane serce Kostia...* nieporównane serce Kostia.

Czorgut podciągnął brwi do góry i w zamyśleniu pokiwał głową.

— Hm, hm — mruknął — to ważniejsza zdobycz, niżby się zdawało w pierwszej chwili. Pismo ręki kobiecej, poprawne, ozdobne... Miałżeby to być zabytek jeszcze z czasów starościca?... Skądże znowu wzmianka o tej tajemnicy?... A do kogóż u licha mógł być pisany list cały?! — bił się z myślami, chowając kartkę do kieszeni.

Nagle gwałtownie wstrząsł głową i raźnie pomknął do góry.

— Na później wszystkie refleksje, teraz do poszukiwania samych dat — upominał sam siebie.

W kilka minut ujrzał się w niewielkim pokoju pierwszego piętra. Rozwarte drzwi po prawej stronie nie były zamknięte.

Katylina pocisnął ozdobną mosiężną klamkę i uśmiechnął się z zadowolenia.

Czerwony pokój starosty stał otworem.

Katylina wstąpił śmiało na próg i stoczkiem powiódł dokoła. Mimo słabego oświecenia, ujrzał się w wielkiej, amarantowym adamaszkiem obitej, licznemi obrazami obwieszonej sali.

W jednym kącie, niedaleko okna, wpadało najpierw w oczy wielkie, staroświeckie biuro. Katylina wprost do niego skierował swe kroki i nagle głośny wydał wykrzyk.

Biuro to wyglądało, jak gdyby zaledwie przed chwilą ktoś powstał od niego. W kałamarzu widać było niezaschnięty inkaust, wywrócona napół piaseczniczka zdawała się świeżo używana, rozrzucony w nieładzie biały papier, dopiero co rozrzynany. W dwuramiennych lichtarzach spoczywały widocznie niedawno jeszcze osadzone świece woskowe.

— Oho, jesteśmy, jak widać, w głównej kwaterze stracha jegomości — burknął z drwiącą junakierją. — Ale przedewszystkiem oświećmy się lepiej!

I to mówiąc, zapalił kolejno wszystkie cztery świece woskowe.

— Teraz rozpatrzmy się dokładniej — dodał, obzierając się dokoła z zwykłym swym wzgardliwym uśmiechem.

Wielka, ponura, bogato ozdobiona sala w wyraźniejszych przedstawiła się zarysach.

Katylina mimo całej swej bezczelnej zuchwałości przybrał nagle inny wyraz twarzy i pomimowolnym niejako ruchem sięgnął ręką za czapkę, która mu zawadjacko aż gdzieś daleko na lewe pochyliła się ucho.

Długim rzędem wzdłuż jednej szerokiej ściany, wisiały olejne portrety kilkunastu z rodu Żwirskich, o drugą w stucznych piramidach opierały się starożytne zbroje i wojenne trofea, resztę ścian jakieś dziwne, bezładne, fantastyczne okrywały ozdoby.

W środku sali stał okrągły stół dębowy, porąbany i oszczerbiony ze wszystkich stron.

— To ślady szabli starosty — mruknął Katylina, przypominając sobie opowiadanie mandatarjusza.

I z tak rzadkim u siebie wyrazem czci spojrzał na pobliski, wygodniejszy od innych fotel, skąd nieszczęśliwy starzec, co utratę ojczyzny przypłacił utratą rozumu, z swym wiecznym odzywał się protestem.

Katylina zadumał się na chwilę ponuro, ale wnet odezwała się w nim nieprzezwyciężona żyłka sarkastyczna.

— Djable jakieś nieszczęście miała ta dawna arystokracja polska. Z upadkiem ojczyzny jedni potracili imiona i sławy, drudzy majątki, inni rozumy. Nie lepiej to być sobie nowej daty, dorobkowym arystokratą, tak niby z żydowskim berłydkiem, albo ekonomskim batogiem w herbie, taki pewno nie straci nigdy ani poczciwej sławy, ani rozumu i to według tej prostej zasady, według której goły nigdy nie potrzebuje się obawiać rozboju...

Po tej sarkastycznej uwadze wziął jeden kandelaber do ręki i przystąpił bliżej do wiszących na ścianie portretów. I zadrżał zlekka na widok wspaniałych postaci i twarzy, co tak jakoś smętnie a majestatycznie wyzierały z swych ram, jak gdyby czuły i widziały dzisiejszy upadek i pognębienie ich drogiej spuścizny.

Katylina jakkolwiek na wskroś przesiąkł już zabójczym jadem skeptycyzmu, uczuł jakieś osobliwsze w swych piersiach wzruszenie. Zwiesił głowę na ramię i zamarzył smętnie. Dopiero po dobrej pauzie otrząsł się z zamyślenia i powolnym krokiem przesuwał się wzdłuż dalszego rzędu obrazów.

Przed czwartym od końca zatrzymał się znowu.

— Stąd podobno znam już z historji dzieje rodziny — szepnął. — To zapewne pradziad nieboszczyka starościca, Adam Żwirski, wojewoda ruski, co głównie przyczynił się do zwycięstwa pod Byczyną i pojmania rakuskiego kandydata.

— A to — ciągnął, postępując o krok dalej — Hieronim Żwirski, kasztelan bełzki, przyjaciel Jerzego Lubomirskiego, spólnik jego zwycięstw pod Częstochową i Montwami i towarzysz późniejszej dobrowolnej banicji.

— Ten, to Stefan Żwirski, wojewoda inflantski, co pod Gdańskiem padł w sprawie króla Stanisława... A tu — postępując jeszcze dalej — to już sam starosta, zapamiętały obrońca Barszczanów, nieustraszony przeciwnik Targowicy, nieszczęśliwy szaleniec na starość...

— Ah! — krzyknął głośno i w tył odskoczył z zdziwienia, czy przestrachu. — To nieboszczyk starościc! ale skądże mi ta twarz tak znajoma, tak jakoś żywa w pamięci! — mruczał, bijąc się w czoło i wpatrując się chciwie w tło obrazu.

Przedstawiał on średniego wieku mężczyznę, ponurej i dzikiej, ale dziwnie śmiałej i energicznej fizjognomji. Pod wypukłem, wyrazistem czołem iskrzyło się w głębokich jamach dwo-

je siwych, niespokojnych oczu; szeroko rozwarte nozdrza, silnie zaciśnięte usta, naprzód wychylona broda, znamionowały charakter namiętny, zuchwały, nieugięty i przedsiębiorczy. Zdawało się, że człowiekowi temu nie mogło się zdawać nic niepodobnem, nic zanadto śmiałem lub dziwacznem.

Katylina stał jak wryty na miejscu.

— Niech mnie licho porwie — mruknął wreszcie — ale ja twarz tę gdzieś już spotkałem w mem życiu... Ale gdzie u djabła?! Tak żywo tkwi mi w pamięci. Znałżem kogoś tak podobnego? O nie, twarze tego rodzaju nie tak łatwo powtarzają się w dzisiejszych czasach.

I jakby chcąc przymusem skupić myśli i rozbudzić pamięć nieposłuszną, postąpił ku fotelowi nieboszczyka starosty i usiadł na nim w głębokiem zamyśleniu, trąc ręką po czole.

Nagle wzdrygnął się gwałtownie, wszystka krew ścięła mu się w żyłach, oddech zamarł w krtani.

Wszystkie malowane postacie poruszyły się razem w jednej chwili i wszystkie groźnem, okropnem przeszyły go spojrzeniem. Adam, wojewoda ruski, surowego nasrożył marsa, Hieronim, kasztelan bełzki, gniewnie przewracał oczy, Stefan, wojewoda inflancki, przygryzł wargi i nieustannie ruszał wąsem, a przedostatni starosta w jakiś przerażający uśmiechnął się sposób, podczas kiedy sam starościc z gwałtownym zamachem wyskoczył z swych ram i obcesem posunął ku natrętowi...

Katylina czuł, że mu włosy kolcami najeżyły się na głowie, a zimne mrowie przenikało go od stóp do głowy. Zebrał wszystkie siły, aby jednym rzutem porwać się z fotelu i z głośnym krzykiem ratować się ucieczką. Skoczył rzeczywiście na równe nogi i krzyknął głośno, ale w temże samem okamgnieniu stanął osłupiały z zadziwienia i splunął z rubasznym wybuchem śmiechu.

Wszystkie obrazy wisiały martwe i nieporuszone na miejscu.

— Zdrzymałem się, widzę na piękne! — zaśmiał się szyderczo — co to może niezdarna natura ludzka! Brakowało, żeby w tej chwili wszedł strach, na którego poluję, a gotówbym był co tchu drapnąć w nogi! Do kroćset piorunów! Skąd ja nagle przyszedłem do takich snów fantastycznych!

I jakby dla lepszego ocucenia się, chciał tam i nazad przejść się po pokoju.

Nagle znowu drgnął zlekka, przystanął na miejscu i pilnie nadstawił uszu.

Zdało mu się, że w drugim pokoju jakieś ciche, leciuchne ozwało się stąpanie.

— Aa! — szepnął przez zęby, przechylając się nieco za fotelem — teraz dopiero idzie strach prawdziwy!

Nim jeszcze doszepnął tych wyrazów, jakiś biały cień mignął mu przed oczyma, a po chwili zarysowała się w progu jakaś postać kobieca z małą latarką w ręku w śnieżnej bieliźnie.

Katylina aż oddech przytłumił w sobie i nie śmiał ani mrugnąć.

Bo też strach ten nie był wcale taki, jakiego się spodziewał w swej zuchwałej niecierpliwości!

Lekkim i cichym, lubo pewnym i śmiałym krokiem weszła do tajemniczego pokoju młoda dziewczyna najstraszniejszej pod słońcem powierzchowności, bo prawdziwie anielskich wdzięków i powabów.

Zdawało się, że dopiero zerwała się z łóżka, bo wzburzone cokolwiek włosy w długich warkoczach spływały jej na ramiona, a wierzchnią część ciała osłaniał lekki kaftanik płócienny.

Zatrzymała się na chwilkę w progu i ślicznem wyrazistem okiem niebieskiem powiodła bystro dokoła.

Nagle krzyknęła przeraźliwie, a mała latarka wypadła z brzękiem z jej drżących rączek. Oczy jej spotkały się w tej chwili z zuchwałym, iskrzącym wzrokiem Katyliny.

Chciała się cofnąć co tchu, ale tymczasem pomieszany w pierwszej chwili Katylina odzyskał już całą swą przytomność i zimną krew.

Jednym susem wyskoczył naraz zza fotelu i przecinając odwrót wybladłej z przestrachu dziewczynie, silił się przybrać minę jakiegoś galanteryjnego ugrzecznienia, z którem nie bardzo było mu do twarzy.

— Nie lękaj się pani niczego, proszę — zawołał z galanteryjnem wygięciem ręki.

Młoda dziewczyna cofnęła się o krok w tył i jedno ramię wsparła o ścianę, drugie mimowolnie wyciągnęła przed siebie, jak gdyby się chciała bronić przed zbliżeniem natręta.

— Kto pan jesteś, czego pan chcesz? — wyszepnęła nad wyraz dźwięcznym, choć nieco niepewnym i drżącym głosem, wpatrując się w nieznajomego swemi cudnemi, szeroko z przestrachu rozwartemi oczyma.

Dwie gotowe do strzału lufy pistoletu nie byłyby pewno tak jakoś zmieszały i zachwiały Katylinę, jak to jedno spojrze-

nie młodej, bezbronnej, niespodziewanie zaskoczonej dziewczyny. Chciał coś prędko odpowiedzieć, ale mu się jakoś język zaplątał w gębie.

— Pani, ja... przyszedłem, jestem... nie, nie jestem złodziej! — wybełkotał wreszcie.

W tej chwili dziewczyna lekki wydała wykrzyk — i uśmiech nagłego spokoju rozlał się po jej twarzy.

Katylina obejrzał się mimowolnie i w innej stanął postawie.

W drzwiach od krętych schodów ukazała się olbrzymia postać Kostia Bulija, z którym niedawno w najciekawszem rozstaliśmy się miejscu.

Stary kozak miał w tej chwili minę strasznie groźną i imponującą. Gęste brwi nasunął głęboko na oczy, wargi przygryzł surowo, a ręce zacisnął w kułak.

Pomięszany wobec przestraszonej dziewczyny awanturnik Katylina powrócił do swego zwyczajnego, zuchwałego, wyzywającego wyrazu, a i drwiący, szyderczy uśmiech ukazał mu się znowu na ustach.

Kość' groźny i milczący posunął się naprzód, a lekkiem poruszeniem ręki dał znak dziewczynie, aby wyszła z pokoju. Dziewczę zawahało się jakby w jakiejś obawie tajemnej, ale Kość' powtórzył dobitnie swój znak i mruknął z naciskiem:

— Niech panna wyjdzie...

Dziewczyna krótką chwilkę zdawała się jeszcze walczyć z sobą, ale nagle szybko jak strzała pomknęła ku schodom.

Kość' i Katylina zostali sami.

Stary kozak stał niemy i nieruchomy na miejscu i zdawał się baczne mieć ucho na lekkie kroki zstępującej z schodów dziewczyny.

Katylina tymczasem obrócił się spokojnie i gwiżdżąc przez zęby, wszedł napowrót do czerwonej sali i z najzimniejszą krwią zaczął zapalać sobie cygaro o pozostawioną na stole świecę.

Kość' Bulij jeszcze groźniejszy wszedł po chwili za nim.

Katylina spojrzał nań od niechcenia.

— Ho, ho! mój zacny przewoźnik — mruknął wesoło. — Przedwczoraj potraktowaliście mię fajką tytoniu, może dziś za to przyjmiecie ode mnie cygaro — dodał, wyciągając rękę z kilkoma cygarami.

Kość' jeszcze straszniej nasrożył czoło i postępując o krok naprzód, wybuchnął z gwałtownie powstrzymywanym impetem:

— Co tu robisz, czego tu chcesz?... ty!

Katylina obojętnie puścił spory kłąb dymu przed siebie.

— Pst, pst, bratku — odezwał się drwiąco, przykładając palec do nosa. — Tylko spokojnie, z flegmą, bez uniesienia.

— Czego tu chcesz? — krzyknął stary kozak jeszcze donośniej i znowu o krok postąpił dalej.

— Owa! — zaśmiał się szyderczo Katylina — szukasz okazji, jak widzę. Wrzeszczysz, bratku, że aż nieboszczyki poruszyli się na swych gwoździach.

Kość mimowolnie rzucił okiem na ścianę obwieszoną portretami i w samej rzeczy przytłumił głos cokolwiek.

— Po co tu przyszedłeś, pytam — zapytał niemniej groźnie.

Katylina zagwizdał swoim zwyczajem.

— Po to samo, po co i ty, bratku.

Kozak aż drgnął cały, tak srogim na tę odpowiedź zakipiał gniewem.

— Ha, poczekaj, łotrze! nauczę cię! — wrzasnął gromowym głosem i posunął naprzód.

Katylina zmarszczył brwi od niechcenia.

— Słuchajno, drągalu — rzekł, podnosząc głos cokolwiek — chcesz, widzę, oberwać po skórze.

— Przyszedłeś tu jako złodziej albo szpieg — piorunował Kość dalej. — Ale poczekaj, odbierzesz swoją nagrodę!

Na twarz Katyliny lekki wystąpił rumieniec, z oczu gwałtowna strzeliła błyskawica.

— Złodziej albo szpieg! — mruknął i rzucając cygaro daleko na środek pokoju, ścisnął silnie pięść i stanął w postawie, jakby nagle chciał rzucić się na przeciwnika.

Kość Bulij z niemą zaciekłością przygryzł wargi, oczy mu krwią zaszły, a ręką sięgnął w zanadrze.

— Dam ja ci, ty sobacza, szpiegowska duszo! — huknął, a w ręku jego długi zabłysnął nóż.

Katylina cofnął się o krok w tył i zaśmiał się na całe gardło. Kość mimowoli pszystanął na miejscu, lufa pistoletu zagroziła mu o trzy kroki.

Katylina nie ustawał w swym rubasznym śmiechu.

— Dobry masz nóż, stary błaźnie, tylko trochę za krótki!

Stary kozak stał jak wryty, ale z oczu strzelały mu błyskawice, jakby mimo tak bliskiego niebezpieczeństwa kuli chciał rzucić się na przeciwnika.

Katylina usiadł spokojnie na pobliski fotel.

— Pogadajmy — rzekł z flegmą — tylko bez gniewu a porozumiemy się.

Kość cały trząsł się ze złości, ale nic nie odpowiedział.

Katylina spokojnie ciągnął dalej:

— Nazwałeś mię złodziejem lub szpiegiem, to wielka obelga, lecz pal cię djabli, nie mam do ciebie żalu, bo z pozoru mogłem zakrawać na coś podobnego, choć właściwie wszedłem do dworu jako przyjaciel i sprzymierzeniec.

— Przyjaciel i sprzymierzeniec? — mruknął Kość przez zęby z szczególniejszem spojrzeniem.

— Tak, szanowny kluczniku, przybyłem strachowi zaklętego dworu wielką wyświadczyć przysługę.

Kość coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

— Przedewszystkiem musisz jednak wiedzieć — prawił Katylina dalej, że w nadziemskie innoświatowe strachy nie wierzę, to też przygotowywałem się tylko do rozmowy z ludźmi żyjącymi.

— Lecz czegoż pan chcesz? — zahuczał klucznik ledwie zrozumiale.

— Chcę pomówić poufnie z strachem, czyli właścicielem tajemnicy zaklętego dworu.

— Masz mię pan przed sobą.

— Ba, ba, ja nigdy nie lubię zaczynać od ogona tam, gdzie się spodziewam głowy.

— Tu prócz mnie, stróża i właściciela tego domu, niema nikogo więcej.

— Fiufiu! a ta bogini jasnowłosa?

— Nie widziałeś pan nikogo, prócz mnie! — krzyknął stary kozak z jakimś rozpaczliwym nacikiem.

Katylina parsknął głośnym śmiechem i zapominając się, lufę pistoletu zniżył ku ziemi. W tej chwili stary kozak szybko jak błyskawica rzucił się na niego, a chwytając jedną ręką za przechylony na bok pistolet, drugą porwał za gardło przeciwnika i wraz z fotelem powalił go na ziemię...

Katylina krzyknął dziko, ale zaskoczony znienacka, nie mógł utrzymać broni w ręku, ani oprzeć się nagłemu napadowi. Po kilku chwilach gwałtownego pasowania się, ujrzał się rozbrojonym i gwałtownie powalonym na ziemię. Olbrzymi klucznik oboma kolanami przykląkł mu na piersiach, wydarty pistolet rzucił daleko w kąt pokoju i znowu ów długi, straszny nóż zabłysną w jego ręku.

Katylina mimo całej swej zuchwałej odwagi, uczuł zimny

dreszcz po całem ciele. Oczy starego kozaka zaszły krwią, usta drgały konwulsyjnie, z poza silnie ściśniętych zębów toczyła się piana wściekłości, a cała fizjognomja jakiś dziki i okrutny przybrała wyraz.

. . . . . .

## ZWIERZENIA.

Juljusz nie wiedział nic zgoła o zuchwałej wyprawie Katyliny, ale całą noc trapił go jakiś sen niespokojny i burzliwy. Wnet widział się samym w zaklętym dworze, opadniętym od całego roju upiorów i strachów, wnet z własnego domu musiał uciekać przed pośmiertnemi odwiedzinami nieboszczyka starościca, wnet znowu w innych dziwacznych znachodził się położeniach.

Z brzaskiem dnia rozwarł oczy i zaraz wyskoczył z łóżka, a dla lepszego orzeźwienia się z ociężałości, zwykłego następstwa każdej źle przespanej nocy, wybrał się na konną przejażdżkę.

Nie wyjechał jeszcze kilkanaście kroków za bramę, kiedy zaszedł mu drogę zamówiony na dziś do dworu były żołnierz, Mykita Ołańczuk. Miał w ręku obrudzony swój kapelusz bez dna i wypatrzył się na młodego dziedzica z niemem zapytaniem, jakby przypominając wczorajszą rozmowę.

Juljusz zatrzymał konia.

— Idziesz do mnie? — zapytał.

— Miałem taki *befel* od jaśnie wielmożnego pana — odpowiedział ex-żołnierz.

— Czemuż tak rano?

— Bo mam jeszcze coś nowego *meldować* jaśnie wielmożnemu panu.

— Coś nowego?

— Tak, jaśnie panie. — Dziś spałem znów pod krzyżem przy drodze do Buczał, a jak tylko posłyszałem, że we wsi kur zapiał, zakradłem się w pobliże dworu, a tam tej nocy jakieś dziwne działy się rzeczy.

Juljusz zmarszczył czoło.

— Skadże ci przychodzi ta ciekawość, łotrze? — przemówił surowo.

Oczy obdartusa łysnęły złowrogo.

— Przysiągłem nie darować swej krzywdy Kośtiowi i nie

daruję — wycedził zwolna z naciskiem jakiejś piekielnej zawziętości.

Juljusz ściągnął brwi i chciał wybuchnąć gwałtownie, ale powstrzymał się nagle.

— Cóż mi masz powiedzieć? — zapytał.

Ex-żołnierz przechylił głowę na bok i przybrał minę tajemniczą i podstępną.

— Tej nocy znowu maziarz był we dworze i dopiero ze świtem wyjechał z swym wózkiem obładowanym.

— A ta pani czy panna, coś ją widział niedawno?

— Tej nie widziałem dzisiaj, ale za to spotkałem się z samym nieboszczykiem.

— Z samym nieboszczykiem?!

— Z nim, z nim, jasny panie. Kiedy zakradłem się pod dwór, widziałem, jak na koniu pędził przez pola na przełaj ku dworowi, a potem zaraz zajaśniało światło w narożnych oknach lewego skrzydła.

— A gdzież był ów maziarz?

— Przed świtem jeszcze wyjechał z zagrody Kośtia Bulija. Siedziałem przyczajony w zbożu i widziałem, jak skręcał ku gościńcowi.

Juljusz podrzucił głowę i wzruszył ramionami jak człowiek, który napróżno próbuje się zorjentować w jakiejś zawiłej sprawie.

Ołańczuk prawił zcicha dalej:

— We dworze działy się tymczasem jakieś straszne rzeczy. Choć kur już dawno zapiał, starościc nie przestał dokazywać. Powiedziałem sobie: niech się dzieje co chce, i podsunąłem się pod sam parkan i słyszałem wewnątrz jakieś stuki i krzyki, że aż włosy stawały na głowie.

Juljusz zamyślił się głęboko, a potem bystro wpatrzył się w oczy byłego żołnierza.

— Czy tylko ty nie łżesz, łotrze? — zapytał surowo.

— Ani na włosek, jasny panie.

Juljusz znowu zadumał się na chwilę.

— Kazałem ci dzisiaj przyjść do siebie, bo nie mogłem zrozumieć, czego wczoraj chciałeś ode mnie.

— Prosiłem o mój *recht* przeciw Kośtiowi Bulijowi, bo ja mu nie daruję — mruczał przez zaciśnięte zęby — że z jego rąk sto kijów dostałem, że potem musiałem uciekać i prawując się pięć lat daremnie, straciłem cały majątek i dziś wyrychtowałem się na żebraka...

Juljusz aż wzdrygnął się przed złowrogim wyrazem, jaki po tych słowach wybił się na szpetnej twarzy ex-żołnierza. Malowała się w niej tak dzika, namiętna nienawiść, że zda się każdy rys drgał nią z osobna.

— Słuchajno — ozwał się Juljusz, jakby jakąś szczęśliwą uderzony myślą. — Wynagrodzę ci wszystko.

Jakto, jasny panie?

— Nie miałeś nigdy własnego gruntu, siedziałeś zawsze w komornie, ja cię osadzę na gruncie i dam zapomogę, wyjdziesz na gospodarza.

— A z Kośtjem co będzie?... — zapytał Ołańczuk z niezmiennym wyrazem nienawiści.

Juljusz rzucił się gwałtownie.

— Chodzi tu o ciebie, nie o Kośtja!

Mykita Ołańczuk z szczególnym wyrazem uporu wstrząsł głową.

— Nie daruję mojej krzywdy Kośtjowi — rzekł niezachwiany — a kiedy teraz wiem, że on w spółce z maziarzem okrada dwór, to nie spocznę, aż oddam go do kryminału.

— Ależ, łotrze, to nieprawda, a zresztą wiedz, że Kośtjowi wolnoby nawet wszystko wywieźć z dworu, do on jest jego właścicielem.

— Ha, to już kryminał rozsądzi—odpowiedział ex-żołnierz z tym zamkniętym na wszelkie przedstawienia uporem, który stanowi jedną z charakterystycznych cech naszego ruskiego ludu.

— Kryminałowi nic do tego! — zawołał Juljusz, niecierpliwiąc się coraz więcej.

— Jeśli jasny pan się w to nie wda, to ja sam skargę na Kośtja zaniosę do kryminału.

Juljuszowi nagła myśl niepokojąca przemknęła przez głowę. Przypomniał sobie niedawne doniesienie mandatarjusza i poznał, że w takim składzie rzeczy tajemnicy zaklętego dworu, a temsamem i tajemnicy Eugenji podwójne naraz zagrozić mogło niebezpieczeństwo. Poszukiwania cyrkułu mogły z innych powodów wesprzeć śledztwo kryminału. Na wszelki wypadek mogło wypłynąć stąd coś kompromitującego dla Eugenji.

Juljusz jakieś prędkie powziął postanowienie.

— Pójdź do dominium i złóż do protokółu swoje zeznanie — rzekł naraz zmienionym widocznie tonem — sędzia to już pośle sam do kryminału. A jeśli chcesz pracować i pilnie odrabiać pańszczyznę, to cię osadzę na pustce w którymś

folwarku. Tymczasem — dodał rzucając mu mały pieniądz srebrny — idź i napij się wódki!

Po tych słowach spiął konia i raźnie pognał naprzód.

— Nie pozostaje nic innego do zrobienia — myślał gółgłośno — muszę dziś otwarcie przestrzec Eugenję, a tymczasem potrzeba zapewnić się u mandatarjusza.

O milę za Oparkami wybiegał na gościniec publiczny wygon wąski i nierówny, którym zboże zwożono z pól, a który znacznie bliżej i prędzej prowadził do Buczał.

Juljusz w swym pośpiechu wybrał tę drogę, zaledwie jednak niewielką ujechał staję, ujrzał z niemałem zdziwieniem, że szybkim pędem jakiś wóz podróżny zbliża się ku niemu. Wkrótce tembardziej wzmogło się jego zdziwienie, gdy zdala już poznał wyraźnie konie i wóz Kostja Bulija.

— Gdzie on jedzie tak rano, tą drogą?! — mruknął przyśpieszając w biegu.

Tuż zaraz zbliżył się już zupełnie do wozu, a teraz dopiero poznał, że stary kozak nie jechał sam.

W tyle wozu siedziała jakaś postać kobieca w wieśniaczym stroju.

Juljusz uczuł, że mu lekki rumieniec wystąpił na lice, a serce żywszym uderzyło biciem.

'Kost' Bulij, powożąc końmi, wyglądał jeszcze surowszym i posępniejszym na twarzy niż zazwyczaj, a niespodziewane spotkanie z dziedzicem sprawiało mu widocznie jakiś kłopot i niespokój. Juljusz spostrzegł, że kilka razy obrócił się do swej towarzyszki i szepnął jej cość na prędce.

— To ona, niezawodnie! — mruknął młodzieniec, ale w tej chwili aż zadrżał zlekka, tak jakoś groźnie i surowo spojrzał na niego stary kozak.

Nie zważając jednak na to, podsunął się pod sam wóz, odpowiadając skinieniem ręki na uroczysty ukłon klucznika.

Siedząca na wozie kobieta odchyliła się na przeciwną stronę, a jakby umyślnie pozwoliła spaść na twarz długiej białej perkalowej chustce, jaką w kształcie spuszczonego od głowy na ramiona szalu noszą w lecie wieśniaczki tych okolic. Mimo największego natężenia Juljusz nie mógł widzieć twarzy tajemniczej kobiety, wszakże po jednej stronie wyzierały z pod płóciennej osłony wcale nie po wiejsku uczesane warkocze jasnych i lśniących włosów i wygięła się na bok puszysta szyja alabastrowej białości i przedziwnego kształtu i zaokrąglenia.

— Ona! — szepnął Juljusz — niezawodnie ona!

I w pierwszej chwili chciał baz namysłu zbliżyć się do wozu i wprost zagadnąć hrabiankę, ale wnet przezwyciężyła w nim delikatność wrodzona.

— Nie chce, abym ją pozeał, więc dobrze udam, że się nie domyślam niczego — szepnął i konia popędził śpieszniej.

Lecz nie mógł powściągnąć zupełnie ciekawości. Po kilkunastu krokach obrócił się nagle, a w tejże samej chwili obejrzała się nawpól podróżna.

Juljusz nie zdołał lekkiego przytłumić wykrzyku.

Teraz już nie mógł mieć żadnej wątpliwości. W pośpiechu z odległości nie mógł wprawdzie rozróżnić dokładnie jej rysów twarzy, ale ogólny ich zlew i wyraz, a szczególie ta cudowna barwa oczu, przedstawiły mu się wyraźnie.

Drugiego takiego owalu i wyrazu twarzy, drugiego takiego połysku i takiej barwy oczu obok hrabianki, niepodobna było, zdaniem Juljusza przydybać na całej kuli ziemskiej.

Ta pewność niezbita odurzyła i oszołomiła do reszty Juljusza. Niepodobieństwo było pojąć, dla jakich celów i powodów młoda, szesnastoletnia hrabianka na tak dziwne i awanturnicze narażała się przygody. Sama jedna, w wieśniaczem przebraniu, w towarzystwie prostego kozaka odbywała podróż prostym wozem chłopskim, nie troszcząc się o żadne względy przyzwoitości, niepomna na żadne wymagania swego stanu, płci i wieku.

Juljusz napróżno łamał sobie głowę. Gubiąc się w labiryncie najróżnorodniejszych domysłów i kombinacyj, nie wybrnął z ciemnej zagadki.

— To nie do pojęcia, nie do uwierzenia! — szepnął, nie przestając z najdziwaczniejszemi bić się myślami.

Nareszcie wyjechał z ciasnego wygonu i stanął na rozdrożu między Żwirowem a Buczałami. Kilka chwil przypatrywał się w niemem zamyśleniu ponurym murom dworu, jeżącym się poza cienistą ulicą lipową, a potem skręcił ku Buczałom, ku znanemu nam mieszkaniu mandatarjusza, czyli prześwietnemu dominium w języku urzędowym.

Pan mandatarjusz miał z natury wielki wstręt do rannego wstania, ale dziś wyjątkowo był już od półgodziny na nogach, i to nawet w ścisłem urzędowaniu. Bo też ważny wypadek wyrwał go z łóżka.

Dwóch strażników finansowych stawiło się w dominium, wcale nie pawszednie wnosząc zażalenie.

Zatrzymali w drodze jakiegoś przejeżdżającego maziarza,

a podejrzywając go o kontrabandę, chcieli przetrząść jego wózek. Ale maziarz oparł się temu żądaniu, a pochwyciwszy lusznię od wozu, stąpał w zaciętej obronie. Akcyźniki dobyli szabel, maziarz poprzestał na swojej broni. Wszczęła się zawzięta walka, jeden z akcyźników oberwał potężnego guza w czoło, drugi dwa zęby wypluł z krwią i pianą, a maziarz lubo szablą lekko zadraśnięty po twarzy, bronił się zawzięcie i ani myślał ulegnąć. Strażnicy wdali się w układy. Zrzekając się już regresu za postradane zęby a otrzymane w zamian guzy, chcieli tylko okupu za kontrabandę, ale i na to nie przystawał rozbójnik maziarz.

Poturbowani strażnicy chcieli już ze względów strategicznych zatrąbić na ogólną rejteradę, kiedy wtem zjawia się na gościńcu dwóch huzarów, jadących gdzieś na egzekucję.

Tylna silna pomoc niespodziewana musiała złamać zuchwały upór mniemanego kontrabandzisty. Poddał się po krótkim namyśle, ale tylko huzarom i pod ich też zasłoną przybył w towarzystwie swych przeciwników do dominium.

Pan mandatarjusz ubrał się na prędce i z przynależną powagą przystąpił do urzędowania. Obie ręce wsadził do kieszeni, brzuch wypiął naprzód, brwi podciągnął aż pod samą czuprynę, wąsy naszczurzył na obie strony i w takiej imponającej postawie słuchał zażalenia pokrzywdzonych, rzucając od czasu do czasu ukośne spojrzenie na szanownego swego aktuarjusza, pana Gustawa Chochelkę, który z najeżonemi bakenbardami, z niezbędną nigdy parą krochmalnych kołnierzyków, z zwykłą swą uroczysto nadętą miną rozsiadł się przy brudnym stoliku i na przełamanym w pół arkuszu papieru nakreślił w pośrodku wielkiemi literami: *Protokoll.*

Pan mandatarjusz wysłuchał do końca opowiadania strażników, a teraz dopiero zwrócił się do winowajcy, który niemy i nieruchomy stał w kącie, jak gdyby nie troszczył się wcale o to, co się dzieje wokoło niego.

— Gdzież jest ten łotr? — zapytał pan mandatarjusz z surowym naciskiem.

Maziarz wystąpił naprzód. Rysy twarzy jego kryły się nietylko pod gęstym dokoła zarostem brody i licznemi plamami mazi, ale i pod grubą chustką płócienną, którą dla odniesionego zadraśnięcia tak jakoś niezręcznie owinął całą głowę, że tylko dwoje siwych, ruchliwych, iskrzących oczu wyzierało z swych głębokich jam.

Z samych tych oczu poznać łatwo naszego znajomego kuma Dmytra.

Mandatarjusz spojrzał na niego bystro, ale aż o krok w tył cofnął się przed jego wzrokiem.

— A to jakiś szubiennik — mruknął — rozbójnik na wielki kamień!

Biedny pan mandatarjusz ułożył sobie już w myślach, z jakiej strony dobrać się *ante omnia* do podróżnej kabzy winowajcy, a to jedno spojrzenie zupełnie pomięszało mu szyki.

— Hm, hm — krząknął i jeszcze się groźniej nasrożył.

— Hm, hm — wtórował Chochelka, jakby przypominając, że już ukończył nadgłówek protokułu.

— Jak się nazywasz? — zagadnął mandatarjusz oskarżonego.

— Dmytro Czaczała.

— Czaczała! także nazwisko! — szepnął z uśmiechem politowania Chochelka i z dumą poprawił bakenbardów.

— Skąd jesteś?... — indagował mandatarjusz dalej:

— Z gór od Skolego — odpowiedział maziarz krótko i stanowczo.

— Co wieziesz z sobą? — ciągnął dalej mandatarjusz, choć podobne zapytania nie leżały pierwotnie w jego programie.

— Handluję mazią — odpowiedział maziarz jednym zawsze tonem.

— I bakunem — wtrącił jeden z rewizorów.

— Nie mam żadnej kontrabandy.

— Przekonamy się, łotrze zawoła surowo mandatarjusz — zrewidować wózek i jego samego — dodał obracając się do strażników i swegu policjanta, który stojąc przy drzwiach w mundurze przerobionym z starej popielatej, brukselinowej kacabajki pani sędziny, uzupełniał etat urzędników prześwietnej dominji.

Maziarz drgął cały i niespokojnem dokoła powiódł okiem.

Nagle jakaś szybka myśl przemknęła mu przez głowę. Wózek jego stał bez staży na dworze. Huzary dawno już odjechali napowrót swoją drogą. Twarz maziarza zadrgała gwałtownie w każdym rysie, z oczu strzeliła groźna błyskawica, a cała postawa tak jakoś straszny przybrała wyraz, że mandatarjusz aż o parę kroków cofnął się w tył, a pan Gustaw Chochelka powstawszy na pół z krzesła dla asystowania rewizji, co tchu przysiadł napowrót i jabky dla lepszego ubezpieczenia się, potrącił

nogą skułoną pod stołem sukę legawą, która w dowód oryginalności aktuarjuszowskiej fantazji, nosiła nazwę Pepity.

Pan mandatarjusz ochłonął po chwili z pierwszego przestrachu i surowo podniósł się na pięty.

— Ej, łotrze, cóż to sobie myślisz?! — zahuczał w gniewie i indygnacji.

Maziarz obie ręce zapchał w zanadrze i odskakując w bok szybko jak strzała, łysnął nagle dwoma dubeltowemi krucicami.

— Trupem powalę każdego, kto się do mnie zbliży! — zawołał silnym gromowym głosem i z trzaskiem odwiódł kurki.

Obadwaj rewizorowie zatoczyli się w sam róg kancelarji, pan sędzia pobladł jak ściana i tak się w jednym momencie zgiął i skurczył, że prawie przysiadł na piętach, a biedny pan Chochelka w jednym momencie znikł z powierzchni jak kamfora. W piekielnym przestrachu taką jakąś obronną zajął pozycję, że jedna strona jego najeżonych bakenbardów pomieszała się z ogonem legawej suki.

— Cz... cz... człowie... ku! — zabełkotał mandatarjusz, obie ręce wyciągając przed siebie.

Maziarz dziki wydał wykrzyk i jednym susem poskoczył ku drzwiom.

— Ah! — zawołał mandatarjusz, prostując się stopniowo.

— Oh! — wyjąknęli strażnicy, naprzód wychylając głowy.

— Ufff — zasapał pan Chochelka, zamykając oczy.

Maziarz wpadł na dziedziniec i zręcznie i zwinnie jak linoskok o kilka kroków zdala wskoczył na swój wóz. Pochwycił batog i lejce i z głośnym krzykiem miał już ruszyć z miejsca, kiedy w tem z boku rzucił się policjant i konia powstrzymał za uzdę. Czcigodny wyobraziciel wykonawczej władzy dominikalnej wyszedł wcześniej z kancelarji, a nie będąc świadkiem ostatniej sceny, nie postrzegł teraz w zamieszaniu groźnej broni w ręku zbiega.

— Puszczaj! — huknął maziarz strasznym głosem.

— Owa, rychtyk! — burknął zuchwale wiejski konstabeł.

Kum Dmytro znowu dziki wydał wykrzyk, który już teraz zmieszał sie z grzmotem wystrzału.

Policjant powalił się na ziemię jak długi, niepokaźny, leniwy na pozór srokacz maziarza szalonym rozbiegł się pędem.

— Łapaj! trzymaj! chwytaj! — zagrzmiał w tej chwili mandatarjusz, który za pierwszym turkotem umykającego wozu odzyskał całą swą energję i odwagę i wypadł co tchu na dwór.

— Łapaj! trzymaj! — wtórowali mu w niebogłosy obadwaj strażnicy, Bóg wie na kogo.

Tak głośne i odważne krzyki mandatarjusza i rewizorów ocuciły odwagę i biednego aktuarjusza. Wyskoczył z pod stołu, sukę kopnął daleko od siebie i w gwałtownym zapędzie pochwycił ukrytą w kącie, sznurkami powiązaną strzelbę, która zwyczajnie na wróble nabita była grochem.

— Gdzie on? daj go tu! — zawrzeszczał na całe gardło i wypadając na ganek, strzelił na oślep w powietrze, po pod samem uchem manadatarjusza.

Nieprzygotowany na to pan sędzia skądinąd wyobraził sobie atak i pewny, że nieznajomy złoczyńca zaszedł go z boku i ugodził kulą znienacka, jęknął głucho i plackiem padł na ziemię.

W tej chwili w progu nowy, przeraźliwy rozległ się wykrzyk. Pani sędzina przestraszona pierwszym strzałem, w jednej koszuli porwała się z łóżka, a słysząc nowy wystrzał i widząc męża powalonego na ziemię, runęła także na podłogę, niepomna na swój lekki kostjum.

Pan Gustaw Chochelka skamieniał z przerażenia.

— Jezus, Marja! — jęknął i przekonany, że niechcący zabił swego pryncypała rzucił strzelbę na ziemię i co sił i tchu stało, jął uciekać ku folwarkowi.

## MANDATARJUSZ IN FIORIBUS.

Śród tego ogólnego zamieszania i popłochu nie spostrzegł nikt, że na zasłane trupami pobojowisko nowa przybyła osoba.

Juljusz, dojeżdżając do mieszkania mandatarjusza, posłyszał zdala wystrzał pistoletu, po chwili spotkał się z uciekającym maziarzem, a stając prawie równocześnie z drugim wystrzałem przed gankiem, niemy i osłupiały z zdziwienia, przypatrywał się całej poprzedniej scenie.

— Co to znaczy, co to jest? — zawołał, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia.

Na ten wykrzyk pierwszy podniósł się z ziemi policjant, któremu podobno największe groziło niebezpieczeństwo. Kula świsnęła mu ponad samą głową, że nieborak przytomność stracił w pierwszej chwili.

Podniósł się teraz powoli i ostrożnie i jakby sam sobie niedowierzając, obejrzał się dookoła z szeroko rozdziawioną gębą i okropnie na wierzch wybałuszonemi oczyma.

— Co się tu dzieje? — zapytał na nowo Juljusz.

— Rozbój, jasny panie — wybełkotał policjant.

Wymówiony tytuł jasnego pana działał elektrycznie na szanownego mandatarjusza i jego godną połowicę. Oboje naraz porwali się z ziemi. Mandatarjusz stanął w strasznie głupiej pozycji i ledwie na niezgrabny zdobył się ukłon, pani sędzina krzyknęła przeraźliwie na widok swego negliżu i szybko jak kula znikła w sieniach.

Juljusz głośnym zaniósł się śmiechem.

Mandatarjusz opamiętał się po części.

— Trzydzieści lat jestem mandatarjuszem — wybełkotał, szeroko rozkrzyżowując ręce — a jeszcze po dziś dzień nie zdarzył mi się podobny wypadek.

— Ale cóż się stało właściwie? — powtórzył zapytanie Juljusz, skacząc z konia.

— Okropna historja! cyrkuł i kryminał nie zechce nawet uwierzyć!

— Czemu?

— A, panie dobrodzieju, to nie do uwierzenia!

Juljusz zaczął się już niecierpliwić, rozciekawiony do najwyższego.

— Przestańże się pan dziwić — przemówił z silniejszym naciskiem — i odpowiedz raz na moje zapytanie.

Mandatarjusz połapał jakoś rozstrzelone myśli i *per longum et latum* jął opowiadać całe zdarzenie!

Juljusz przysłuchiwał się z nadzwyczajnem zajęciem, a twarz jego mieniła się coraz więcej.

Domyślił się zaraz, że zuchwały zbieg był to ten sam maziarz, którego według zeznania Ołańczuka niedawno Kośt' z Eugenją oczekiwali przed dworem i który tej jeszcze nocy miał być u starego klucznika. Rozpamiętując i kombinując cały tok wypadków, przyszedł łatwo do przekonania, że pod sukniami i pozorem maziarza wcale jakaś inna ukrywała się osoba.

Lecz któż mogła być ta osoba?

I na to łatwa znachodziła się odpowiedź. Zapamiętały opór przeciw rewizji, niezwyczajne uzbrojenie, objawiona śmiałość i zręczność i to skore narażenie się na najwyższe niebezpieczeństwo, byle tylko ujść uwięzienia — wszystko to naprowadzało w owych czasach na pewien nieomylny zda się ślad.

Juljusz uderzył się w czoło, jak gdyby mu się nagle jakaś ważna rozjaśniła zagadka.

W jego bujnej, rozpalonej wyobraźni urocza postać Euge-

nji cudownym naraz olśniła się blaskiem. Z pięknej, dowcipnej, szlachetnej dziewczyny stała się naraz romantyczna bohaterka, kapłanka wielkiej idei, uczestniczka wielkich zamiarów!

Im silniej jednak ustalało się w nim to przekonauie, tem większy ogarniał go niepokój.

Tajemnemu jej działaniu zagrażało odkrycie, nad niebezpiecznemi jej związkami groźne zawisło niebezpieczeństwo.

Niedawne odkrycia Ołańczuka i świeże zdarzenie w dominium musiałyby, dochodząc zestawione razem do wiedzy zwierzchności, podsycić jej poprzednie podejrzenia i wywołując ściślejsze śledztwo, mogły łatwo naprowadzić na ślad całej tajemnicy. W takim razie jakże srogie niebezpieczeństwo zagrażało Eugenji i reszcie współdziałających osób!

Myśl ta przeszywała na wskroś Juljusza, a bijąc się z nią zawzięcie, powziął nagle jakieś silne postanowienie. Zwrócił się do mandatarjusza, który dotąd jeszcze nie mógł zupełnie przyjść do siebie i ozwał się cokolwiek zmienionym głosem:

— Panie Gągolewski, prosiłbym pana na słówko.

Mandatarjusz w tej chwili całą pięścią uderzył się w czoło i zarzucił w tył głowę jak człowiek, który nagle znalazł klucz do jakiejś ważnej zagadki.

— Mam go już! — wykrzyknął triumfująco, nie uważając na zagadnienie dziedzica.

Juljusz wypatrzył się nań zdziwiony.

Mandatarjusz dumnem dokoła potoczył spojrzeniem.

— Ho, ho, ho — przemówił z emfazą — przenikliwość moja...

— Prosiłem pana na słówko rozmowy — przerwał Juljusz niecierpliwie.

Mandatarjusz w niskim ukłonie zgiął się we dwoje.

— Przepraszam uniżenie pana dobrodzieja, nie uważałem! Roztrząsałem, kto jest ten maziarz i wiem, niech mię siarczysty piorun...

Juljusz niespokojnie obejrzał się do koła i nowym niecierpliwym gestem przerwał dalsze triumfujące wynurzenia się mandatarjusza.

— Proszę pana, panie Gągolewski — rzekł zmierzając do kancelaji.

Mandatarjusz skwapliwie poskoczył za swym znakomitym gościem zaledwie jednak stanął w kancelarji, ozwał się nieco zniżonym głosem, głowę ze znaczeniem przechylając na bok:

— Panie dobrodzieju, to jeden z tych... z tych... z ostatniego cyrkularza...

— Jakto? — zapytał Juljusz, choć dorozumiewał się co znaczą te wyrazy.

Mandatarjusz stanął na piętach, oczy wytrzeszczył, brwi podciągnął do góry, wargi wydął naprzód i przykładając z uroczystą powagą palec do nosa, mruknął ledwie zrozumiale.

— Em... mi... Emissarjuszsz!...

Juljusz zadrgał zlekka.

— Pst! — szepnął niespokojnie.

— Pst! — powtórzył mechanicznie mandatarjusz.

Młodzieniec szybko przeszedł się po pokoju.

— Panie Gągolewski — ozwał się po chwili namysłu — sądzę, że mogę panu śmiało zaufać.

Mandatarjusz w uroczystem milczeniu pochylił głowę na piersi i tylko z podełba zerknął na młodzieńca.

— Słuchaj pan — ciągnął dalej Juljusz, otrząsając się z wszelkiego wahania. — Cały dzisiejszy wypadek musisz pan jakoś.., tak... zręcznie... tak...

— Zatachlować... niby... — dokończył mandatarjusz, *peritus rei.*

— Tak jakoś zupełnie zatrzeć i zagładzić.

Twarz mandatarjusza na krótką chwilkę szczególniejszem rozpromieniła się zadowoleniem.

— Mam go! — poszepnął w duchu.

— Hm, hm — krząknął poważnie, pokiwując głową.

Juljusz coraz niespokojniej wpatrywał się w jego twarz.

— Jakże? — zapytał.

Mandatarjusz ciągle kiwał głową, jakby się z jakiemiś ciężkiemi ważył myślami.

— Trudno, bardzo trudno... — szepnął.

— Trudno? — powtórzył Juljusz.

— Hm, hm, hm, tararara — mruczał pan sędzia w pozornem zamyśleniu i nadymał się coraz więcej.

— Cóż więc?.., — naglił niecierpliwie Juljusz.

— Ta... — mruknął pan mandatarjusz i rozkrzyżował ręce.

— Uda się?

— Pieniądze u tych łajdaków wszystko mogą. Ale to łotry na wielki kamień, fiufiufiu, potrzeba ogromnie poforsować!

— Mniejsza o to.

— Parę setek...

— Bierz licho.

Mandatarjusz aż oblizał się z radości.

— Ja się sam narażam, ale to nic — mruknął, zerkając z podełba.

— Będę pamiętał o tem i potrafię panu nagrodzić.

— O, panie dobrodzieju! — kłaniał się mandatarjusz — żeby tylko dekret nie odebrali — poszepnął po chwili w tragicznej stawiając się pozycji.

— Zapewniam panu w takim razie dzisiejsze utrzymanie po koniec życia.

Mandatarjusz odkrząknął głośno i z impetem potarł czoło

— Ha, w Bogu nadzieja! — przemówił. — Spróbuję z tem tałałajstwem. Strażników potrzeba odwieść od zaskarżenia, a u policjanta i aktuarjusza okupić milczenie.

— Jak pan uważasz.

— A co będzie potrzeba... — dodał mandatarjusz z pewnem wielomownem poruszeniem ręki.

— Zażądasz pan w mojem imieniu od Girgilewicza.

Mandatarjusz nastrzygł uszy i wydął spodną wargę.

Juljusz prawił dalej:

— Ołańczuk przybędzie tu dzisiaj z zaskarżeniem przeciw Kośtjowi Bulijowi. Podejrzywa go, że w spółce z tym właśnie maziarzem okrada dwór żwirowski...

Pan Gągolewski uważnie pokiwał głową i nieznacznie łypnął oczyma.

— Jego zeznania mogłyby ściągnąć śledztwo.

— Rosumiem.

— Potrzebaby je także...

— Złożyć *ad acta*.

— Ale oprócz tego trzeba jeszcze przeszkodzić Ołańczukowi, aby nie udał się wprost do kryminału.

— Wpakuję go do aresztu na parę tygodni.

Juljusz zawahał się i zmarszczył brwi.

— A czy to ujdzie? — zapytał.

Mandatarjusz uśmiechnął się z zaufaniem.

— Mam właśnie wyborny pretekst pod ręką. W Buczałach skradziono konia jednemu chłopu. Rzucę podejrzenie na Mykitę Ołańczuka.

Juljusz wzruszył ramionami.

— Ha, kiedy inaczej być nie może...

— Tylko, że tego łotra potrzeba żywić! — poderwał mandatarjusz z indygnacją.

— Policzysz pan sobie u mnie każdy dzień.

Mandatarjusz swym zwykłym uniżonym odpowiedział ukłonem.

— Mogę się tedy zupełnie spuścić na pana? — zapytał Juljusz, jakby dla ostatecznego utwierdzenia się.

— Ręczę za wszystko sumieniem! — zawołał mandatarjusz z uroczystą dobitnością.

Juljusz podał mu rękę i po krótkiem pożegnaniu wyszedł z kancelarji.

Pan mandatarjusz odprowadził dziedzica aż na ganek, sam przypadł przytrzymać strzemiona i nie przestał kłaniać się uniżenie, aż koń cwałem pomknął na gościniec.

Teraz zaś zmieniła się nagle cała jego postać. Wyprężył się sztywnie, brzuch wypiął naprzód, ręce schował do kieszeni i z promieniejącą do zadowolenia twarzą wracał powoli do kancelarji.

— Starościc był warjat, a to głupiec, dureń co się zowie... — przemówił sam do siebie wesoło.

— Mam go teraz zupełnie w mojej mocy — ciągnął dalej po chwili. — Niechno mi teraz spróbuje zaimponować ten hołodryga, ten Czorgut czyli raczej czort przeklęty. Dziedzic skompromitowany, to ani kwestji, musi więc siedzieć cicho jak trusia, bo inaczej powącha pismo nosem. A temu oczajduszy, temu przybłędzie przy pierwszej okazji takiego wytnę szczutka w nos, że aż za dziesiątą miedzę wytnie kołowrota. Pokażę mu, mospanie, gdzie raki zimują.

I pan mandatarjusz na samo wspomnienie Katyliny zaperzył się i zabundziuczył, jakby djabła chciał schwycić za rogi.

Nagle coś sobie przypomniał.

— Trzeba się wziąć do tych strażników — mruknął i odchylając drzwi, obudwu przywołał do kancelarji.

— To mi się podoba! — zagrzmiał zaraz na wstępie piorunującym głosem — dwóch zbrojnych strażników pozwala niebezpiecznemu kontrabandziście umknąć z kancelarji. A za cóż to wam cesarz płaci, do krocset piorunów. Doniosę to niezwłocznie finansowej władzy, niech takich tchórzów ponapędza na cztery wiatry, do miljon djabłów!...

Obadwaj strażnicy pogłupieli na tę harangę niespodziewaną.

— Ależ wielmożny sędzio — ozwał się jeden.

— *Halt's Maul!* — zakrzyknął pan mandatarjusz po niemiecku, jak zwykł czynić, kiedy w sprawach urzędowych komuś

chciał silniej zaimponować. — Osobiście pojadę do pana respicjenta i opowiem mu, jakich ma pod sobą ludzi, tchórzów, darmojadów, co we dwóch nie mogą przytrzymać jednego kontrabandzistę, choć im jeszcze huzary pomagali.

— Ależ łaskawy panie — ozwał się drugi z strażników.

— *Halt's Maul*, mości dobrodzieju — srożył się dalej mandatarjusz — do respicjenta, do cyrkułu, do kryminału was osmaruję, łajdaki, kolką w żebra wam zajadę, tchórze!

I tym trybem dalej piorunował i odgrażał się dalej, że obadwaj strażnicy potruchleli z przestrachu i nuż dalej kłaniać się aż do kolan wielmożnego sędziego i prosić pokornie, aby raczył łaskawie przemilczeć całe zdarzenie i puścić w niepamięć ich uchybienie.

Pan sędzia długo dał się prosić i błagać, aż zmiękł nareszcie, kiedy jeden z strażników przyrzekł paczkę wybornych cygar, a drugi spory zwój węgierskiego tytoniu najlepszej sorty w nagrodę milczenia.

— Bogdaj to mieć głowę na karku — mruknął po wyjściu strażników z zadowoleniem zacierając ręce. — I setek kilka kapnie do kieszeni i dziedzica złowiło się na wędkę i cygarka i tytoń przypłyną i temu hołodrydze będzie można puścić fimfę w nos!

— Ależ — dodał po krótkiej pauzie, marszcząc brwi cokolwiek — z tem wszystkiem wielki ze mnie cymbał! Dziedzic tak skoro przystał na tych kilka setek, że można było śmiało żądać z tysiączkę.

— No, no — pocieszał się — jakoś to będzie. Co się odwlekło, to nie uciekło. Poznawszy naturę dziedzica, będziemy umieli zastosować się na przyszłość.

Poufny ten monolog przerwało nagłe wejście walecznego aktuarjusza, naszego nieocenionego pana Gustawa Chochelki i jego nieodstępnej suki Pepity.

Godny *alter ego* pana mandatarjusza upędziwszy ćwierć mili w piekielnym przestrachu, opamiętał się jakoś, że przecież bądź co bądź grochowym nabojem nie mógł zabić na śmierć swego pryncypała.

— Mój Boże! — szepnął żałośnie — nieraz dziesięć razy strzelę, nim jednego wróbla ubiję, a teraz odrazu miałbym zastrzelić pana sędziego! A pan sędzia przecież nie wróbel!

Po tej logicznej uwadze zaczął pan Chochelka spokojniej zastanawiać się nad stanem rzeczy. Przypomniał sobie najwy-

raźniej, że strzelając w swem bohaterskiem uniesieniu, mierzył w górę, prosto w niebo.

— Jakimże więc sposobem mogłem trafić w niego! Chyba się już djabeł usadził! — lamentował dalej.

Tym trybem rozpamiętywał biedak dalej swoje położenie, a im więcej zagłębiał się w myślach, tem silniej utwierdzał się w przekonaniu, że kiedy do ubicia jednego wróbla potrzebował dziesięciu strzałów, dla pana mandatarjusza w żaden sposób nie mógł wystarczyć jeden, bo przecież jak arcytrafnie i logicznie zauważył, pan mandatarjusz nie wróbel!

— Ho, ho, jemuby i wół nie sprostał! — pocieszał się w ciężkiem utrapieniu.

I po tym ostatecznym argumencie nie myślał już uciekać dalej.

— Niech się dzieje, co chce, powrócę do domu — zawyrokował stanowczo. — Głowy mi nie urwą!

Miał rację, zupełną rację pan aktuarjusz! Głowie jego żadne nie zagrażało niebezpieczeństwo!

Ale bo też byli złośliwi ludzie, co utrzymywali głośno i otwarcie, że pan Chochelka nie ma wcale głowy, wbrew silnemu przekonaniu innych, którzy mniej ujemni w swych sądach, przyznawali mu na wszelki wypadek pół głowy, czyli raczej *pół główki.*

Bądź jak bądź, z całą czy połową głowy, pan Gustaw Chochelka postanowił wrócić do domu i mężnie stawić czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu.

Trochę mdło mu się zrobiło koło serca, kiedy zbliżał się do prześwietnej dominji, ależ za to widzieć go było o kilka chwil później, kiedy spotkawszy się z policjantem, dowiedział się, że nietylko ten sam żadnego nie poniósł uszkodzenia, ale i pan sędzia zdrów jak ryba i właśnie co długą z dziedzicem odbył konferencję.

— Teraz rewizorów przywołał do kancelarji — kończył policjant — ale wygląda coś bardzo rozsierdzony.

Pan aktuarjusz w jednej chwili w innego zmienił się człowieka.

Skurczona z przestrachu postać wyprostowała się w całej swej niepospolitej długości, wybałuszone na wierzch oczy cofnęły się o pół cala do swych jam, wybladła twarz zajaśniała hardym uśmiechem.

Szkoda, że zwierciadła nie było pod ręką. Pan Chochelka

byłby sam do siebie zalotnemi strzelił oczyma, tak się naraz wydawał pięknym, wspaniałym, imponującym!

Poprawił naprędce zawiesiste bakenbardy, podciągnął sztywne kołnierzyki, potarł z impetem czuprynę i dalej co tchu na prześcigi z swą wierną Pepitą popędził ku domowi.

Jak bomba wpadł do kancelarji i zabójczemi dokoła miotając spojrzeniami, zawołał zdyszanym głosem:

— To, to! djabeł go tam dopędzi!

— Kogo? — zapytał mandatarjusz zdziwiony.

— A tego łotra, rozbójnika!

— Maziarza?

— Pół mili pędziłem za nim!

Pan mandatarjusz zgłupiał zupełnie i niemiłosiernie rozdziawił gębę.

— P... p... pędziłeś...? — zająknął się.

— Ale cóż? Nie mogłem nigdzie przydybać konia, a piechotą ani rusz dopędzić łotra!

Pan mandatarjusz teraz dopiero opamiętał się z swego zdziwienia, a przypominając sobie jednocześnie ten wystrzał niespodziewany, co go w tak niefortunną potrącił sytuację, zmarszczył brwi, przygryzł wargi i gniewnie wzruszył ramionami.

— At, milczałbyś pan do licha — ofuknął z oburzeniem. — Za kogoż mię to masz, abym wierzył twoim banialukom!

Pan aktuarjusz zaperzył się urażony.

— Wolno wierzyć albo nie wierzyć, jak się panu sędziemu podoba! — burknął zuchwale.

Pan sędzia groźnie podniósł się na pięty, ale wtem na szczęście pana Chochelki rozwarły się drzwi i w żołnierskiej postawie wszedł Mykita Ołańczuk.

Twarz pana sędziego surowy i złowrogi przybrała wyraz.

Pociągany do protokułu Ołańczuk powtórzył szczegółowo wszystko to, co wczoraj i dzisiaj wyznał przed Juljuszem.

Pan sędzia ukończywszy śledztwo, w zamyśleniu przechadzał się po pokoju.

— Kombinując cały stan rzeczy — szeptał przez zęby — na nader ważne można wpaść odkrycia. Ktoby tylko mogła być ta jejmościanka z jasnemi włosami?! Ach, żebym też to wszystko doniósł! Pan komisarz *Schnoferl* przebłagałby się w swej niechęci do mnie i na całym arkuszu wypaliłby mi reskrypt pochwalny. Dalibóg trzeba nad tem pomyśleć!

A obracając się do swego nader pilnie przy stoliku zajętego aktuarjusza, podyktował mu zwykłą formułkę, zamykającą

protokuł, a potem sam wziął pióro do ręki i z wielkim zamachem i kunsztownemi wykrętami nakreślił swoje imię z niezbędnym przydatkiem tytułów: *Mandator und Polizeirichter.*

— Skończone! — mruknął i odetchnął po ciężkim trudzie.

— A cóż, proszę wielmożnego sędziego stanie się z Kościem? — zapytał Ołańczuk z właściwym sobie wyrazem zawziętej nienawiści.

Mandatarjusz groźnie nasrożył wąsy.

— Z Kościem, nie wiem — mruknął z przyciskiem — ale ty pójdziesz do aresztu.

— Ja! za co?

— Ukradłeś konia, urwiszu!

Ołańczuk skoczył jak opętany i przeżegnał się całą pięścią.

Pan sędzia krzyknął na policjanta.

— Okuj mi tego łotra i wsadź do tylnego aresztu!

— Ale dla Boga, ja nie wiem nic o żadnym koniu...

Mandatarjusz przerwał mu dalszą ekskuzę głośnym policzkiem.

— Milcz, łotrze!

— Ależ, łaskawy sędzio.

— Ho, ho, już ty się przyznasz ptaszku, jak parę miesięcy posiedzisz o chlebie i wodzie.

— Parę miesięcy!... — wyjęknął Ołańczuk z dziką złością.

Pan mandatarjusz skinął tylko ręką, a barczysty policjant w okamgnieniu założył kajdany ex-żołnierzowi i za kark wyprowadził go z kancelarji.

Pan mandatarjusz odsapał i odkrząknął należycie i spojrzał na zegarek.

— Pierwsza! — zawołał jakby przestraszony. — Niech djabli porwą, człowiek jak koń pracuje! Przed czwartą porwałem się z łóżka i do pierwszej nie można było odetchnąć.

Pan Chochelka niemem tylko westchnieniem zawtórował skardze swego czcigodnego pryncypała.

W tej chwili z trzaskiem rozwarły się drzwi, a pani sędzina wpadła zadyszana do pokoju.

— Ty nic nie wiesz! — krzyknęła z pełnej piersi na wstępie.

Pan mandatarjusz wytrzeszczył oczy.

— Sięczkowska tu była z Oparek!

— I cóz?

— Powiadam ci, dziwne rzeczy dzieją się we dworze! — trzepała prędko, jakby w obawie, aby jej kto nie uprzedził.

— Cóż przecie?

— Wyobraź sobie: ten przybysz nieznajomy, ten Czort... Czort... at! djabeł go tam wie, jak się nazywa!

— Katylina?

— A tak, ten Katylina zniknął gdzieś bez wieści i słychu.

— Eh! — mruknął pan mandatarjusz, nie dowierzając.

— Ale powiadam ci, tej nocy *punkt* o dwunastej kazał się obudzić lokajowi i uzbrojony w dubeltówkę, cztery pistolety, sztylety i pałasze...

— Co, co, co? — przerwał mandatarjusz, cofając się o parę kroków w tył.

— Powiadam ci, Sięczkowskiej wszystko to opowiadał sam Filip, który mu konia przyprowadził. Dziedzic o niczem nie wiedział.

Mandatarjusz z niedowierzeniem pokiwał głową.

— Ale powiadam ci: rano kazał go szukać, ale nie było nigdzie ani śladu, dopiero dziś w południe powrócił..

— Powrócił?

— Sam koń bez swego jeźdźca.

— Owa!

— Dziedzic lata po pokojach jak opętany, bo nie wie, co o tem myśleć.

— Zapewne urwisz gdzieś kark skręcił, jak mu to przepowiedziałem — mruknął mandatarjusz, z zadowoleniem zacierając ręce.

Jak widać, Katylina ciągle jeszcze okrutnego nabawiał go przestrachu i respektu.

— A gdzież Sięczkowska? — zapytał nagle swoją połowicę.

— Jest u mnie.

— A to można się wszystkiego dowiedzieć od niej samej — mruknął, wychodząc z kancelarji.

W progu zatrzymał się na chwilkę.

— Dobrze rozważywszy, to i to jest jedna z wiadomości, za którąby się pan *Schnoferl* pewnie nie gniewał.

## WĄTPLIWOŚCI.

Idąc niewolniczo za tokiem wypadków, musimy znowu zajrzeć do hrabiowskiego pałacu w Orkizowie.

Hrabia zamknął się w swej kancelarji i jakąś ważną i ta-

jemną konferencję wytoczył z Żachlewiczem, którego mieliśmy sposobność poznać nieco bliżej za pierwszym razem.

Hrabina otrzymała świeżą przesyłkę książek i nut i od kilku godzin już zaczytała się zawzięcie w najnowszem podówczas dziele Eugenjusza Sue: *Martin l'enfant trouvé*. Nagle szybki krok dał się słyszeć w przyległym pokoju, a do przepysznie urządzonego buduaru wpadła jak strzała Eugenja.

Hrabina podniosła książkę w ręku i wpatrzyła się w córkę z niemem zapytaniem.

Eugenja wracała właśnie z przechadzki po ogrodzie. Miała na sobie lekką suknię muślinową i biały przystający pikowy kaftanik po wierzchu, a w ręku trzymała okrągły ryżowy kapelusz z szerokiemi krysami. Na twarzy jej malowała się zwyczajna wesołość i swoboda, granicząca o dziecięce roztrzepanie.

— Niech mnie mama łaje jak chce — zawołała zaraz na wstępie — ale znowu nasłuchałam się bez liku nowin od Solczaniowej!

Rozdrażniona cokolwiek swą zajmującą „lekturą" hrabina, skrzywiła się niechętnie.

— *Me chère*, zaczynasz, jak widzę, znajdować coraz większe upodobanie w rozmowach z Solczaniową.

— Ależbo, kochana mamo, to jedyna, nieoceniona, nieoszacowana kobieta. Wobec niej traci wszelki pozór nadzwyczajności najświetniejszy wynalazek naszych czasów...

— *Le telegraphe electrique!* — dokończyła hrabina z przymuszonym uśmiechem.

— O, niezawodnie! Wyobraź sobie, kochana mameczko, mamy teraz dopiero piątą po południu, a ona wie już z największą dokładnością, co się dziś stało w całej okolicy i już z swej kroniki dzisiejszej dwa osobliwsze opowiedziała mi zdarzenia.

Hrabina zrobiła gest, jakby nie bardzo była ciekawa tego wszystkiego.

Eugenja nie zważała na to i prędko ciągnęła dalej:

— Nie uwierzyłaby mamcia, jak dziwne rzeczy dzieją się w naszem najbliższem sąsiedztwie.

— Zapewne nowa bajeczka o zaklętym dworze.

— Bynajmniej.

Hrabina wzruszyła ramionami i przysunęła książkę bliżej ku oczom, jakby żałowała czasu na próżną rozmowę.

Eugenja poskoczyła zręcznie ku matce i w pospiechu ucałowała jej drobną, arystokratyczną rękę.

— Musisz i ty posłuchać, kochana mamo, bo obadwa wypadki, to jakby żywe epizody najciekawszego romansu.

— *Enfant!...* — szepnęła hrabina z pobłażliwym uśmiechem.

— *Imaginez-vous*, wszystko to stało się u naszego sąsiada czy kuzyna...

— *Chez qui?*

— U pana Juljusza.

Hrabina wydęła spodnią wargę.

— Przed dwoma czy trzema dniami — prawiła dalej Eugenja — przybył do niego jakiś dawny znajomy, kolega szkolny, przyjaciel...

— Mówił mi wczoraj o tem Żachlewicz — przerwała hrabina.

— A wymienił ci i jego nazwisko?

— *Ah, c'est un homme bizarre, singulier!*

— Damazy Czorgut, czy Czorgat.

Hrabina wstrzęsła się, jakby samo to brzmienie działało nieprzyjemnie na jej nerwy.

— *Mais que veux-tu donc de ce bonhomme?* — ozwała się wreszcie od niechcenia.

— Wyobraź sobie kochana mameczko, jak tylko pojawił się w Oparkach, owładnął wszystko i wszystkich do tego stopnia, że on, a nie Juljusz zdawał się oficjalistom panem w domu.

Hrabina znowu niezadowolnioną zrobiła minę.

— W czemże mię to może interesować? — przerwała.

— Ależ bo nie dasz mi dokończyć. Chwilkę tylko cierpliwości! Człowiek ten zabawiwszy zaledwie dwa czy trzy dni w Oparkach, kazał sobie tej nocy osiodłać konia i nie mówiąc nic nikomu, wyjechał uzbrojony od stóp do głowy. Służący, co mu przyprowadził konia, domyślał się, że na jakąś szczególną gotował się wyprawę, bo pistolety podwójnymi zaopatrzył nabojami i wsiadając na siodło, mruknął półgłosem: Niech się dzieje co chce, odważam się na wszystko.

Hrabina uśmiechnęła się z wzgardliwą ironją.

— I cóż dalej? — zapytała.

— Otóż popędził gdzieś i nie powrócił więcej.

— Zapewne zaraz pokaże się jakiś deces we dworze — wtrąciła hrabina.

— Broń Boże! byłto przecież ścisły przyjaciel pana Juljusza!

— Więc może wrócić jeszcze.

— Około południa wrócił jego koń, sam bez jeźdźca i co szczególna, przybiegł z przerwaną uzdą i raniony w bok, jakby go ktoś pchnął szablą lub dzidą.

Na zimnej, dumnej twarzy hrabiny wybił się wyraz lekkiego zdziwienia.

— I cóż dalej?

— Pan Juljusz myślał, że w przejażdżce spotkał go jaki przypadek i wysłał go szukać na wszystkie strony. Ale dotąd nie przydybał nikt ani śladu po nim.

— Szczególna!

— Równocześnie osobliwszy wypadek zdarzył się w Buczałach.

— W Buczałach?

— Strażnicy finansowi przytrzymali gdzieś w drodze jakiegoś maziarza, którego twarz i cała powierzchowność wydała im się wielce podejrzaną. Chcieli przetrząść jego wózek, ale on stawił zawzięty opór i gdyby nie dwóch przejeżdżających przypadkowo huzarów, byłby obronił się przeciw wszelkim natarciom. Przestraszywszy się zaś huzarów, dał się zaprowadzić do mandatarjusza. Tu...

— Tu?

— Chciano koniecznie przetrząść jego wózek, ale ujrzawszy, że obadwaj huzary odjechali napowrót, odzyskał całą zuchwałą odwagę i energję i dobywszy parę pistoletów z zanadrza, przemocą utorował sobie drogę.

— *Est-il possible?* — krzyknęła hrabina.

— Mandatarjusz sam i jego policjant o włosek tylko uszli śmierci, u strażników skończyło się wszystko na przestrachu.

— I to dziś się stało?

— Dziś rano. Nie wiem skąd, ale wszyscy domniemywają się pewnego związku między jednym a drugim wypadkiem...

— Pewnego związku! — powtórzyła hrabina, nadspodziewanie zaintrygowana całem opowiadaniem.

— Mówią — kontynuowała Eugenja — że w wózku tym zamiast mazi znajdował się trup tego Czorguta, ale to zapewne dodatek z fantazji naszej poczciwej Solczaniowej.

— Kto wie — mruknęła hrabina pod wpływem świeżo odczytanych rozdziałów Marcina Podrzutka.

Eugenja parsknęła wesołym śmiechem.

— Mamcia zapomina — poderwała — że poczciwa nasza Solczaniowa wie i opowiada nietylko wszystko, co się stało, ale i co się stać mogło. Otóż przypuśćmy, że pół z tego

wszystkiego stało się rzeczywiście, a drugie pół stać się tylko mogło, a zamiast tragedji otrzymamy komedję.

Hrabina chciała coś odpowiedzieć, ale zatrzymała się nagle i pilnie nastawiła uszu.

Na dziedzińcu rozległ się turkot powozu.

Eugenja poskoczyła do okna i klasnęła w ręce z radości.

— Pan Juljusz! — powtórzyła hrabina przeciągle, jakby zdziwiona tak prędkiem powtórzeniem wczorajszej wizyty.

Juljusz tymczasem wysiadł z powozu i szybko wbiegł na marmurowe schody ganku.

Wstępując do sieni dworu, spotkał się oko w oko z Żachlewiczem, który po dłuższej konferencji wychodził z kancelarji hrabiego. Skulony i skrzywiony jak zawsze, przesuwał się milczkiem pod ścianę, a kłaniając się nisko Juljuszowi z swym zwyczajnym fałszvwym, obleśnym uśmiechem, rzucił nań z ukosa jakieś szczególniejsze zagadkowe spojrzenie.

Juljusz wzdrygnął się zlekka. Sam nie wiedząc czego, doznał w tej chwili jakiegość nieprzyjemnego przykrego uczucia, jak człowiek, co niespodziewanie potrąci nogą ukrytą w gęstwinie gadzinę lub inny jaki płaz obrzydliwy.

Prawie mimowolnie obejrzał się za nieznajomym sobie jego mością, a choć nie obaczył już więcej jego fizjognomji, jakąś dziwną, niepojętą uczuł do niego odrazę.

Przytłumiając w sobie jednak to nieprzyjemne wrażenie, starał się ile możności przybrać wyraz spokojny i swobodny, zwłaszcza, że ważną założył sobie misję dyplomatyczną. Miał bowiem z wszelką delikatnością dać poznać hrabiance, jak groźna nad jej tajemnicą zawisła chmura i jak usilnej potrzeba przezorności. aby uniknąć wiszącego niebezpieczeństwa.

Za kilka chwil znalazł się już w gronie rodziny hrabiowskiej, ale dziwne jakieś pomieszanie i zakłopotanie wybiło się na jego twarzy.

Hrabina i córka, rozciekawione nowinami swej klucznicy, przyjęły go wprawdzie z zwykłą uprzejmością, ale hrabia wydawał się zupełnie zmienionym.

Jeśli już wczoraj uderzały w nim większy chłód i większa niż zawsze duma, to dzisiaj tem wyraźniej nasuwało się jeszcze to spostrzeżenie.

Hrabia wyglądał widocznie jak nie w swoim humorze, a odpowiadając obowiązkom gościnności, nagradzał lodowatą grzecznością niezwyczajnie rażący wyraz dumy, jaki się wybił na jego twarzy.

Ale prócz tego wyrazu twarz ta w tej chwili inne jeszcze nosiła cechy. Hrabia jakby się o kilka lat postarzał nagle, usta miał spalone, czoło licznemi okryte zmarszczkami. Przebijało się na pierwszy rzut oka w tych pięknych, szlachetnych rysach, że hrabia z jakiemś ważnem pasował się postanowieniem i jakąś ciężką wewnętrzną staczał walkę.

Ten szczególny stan hrabiego, a nadewszystko niezachwiana wesołość, spokój i swoboda hrabianki pomieszały zupełnie szyki biednemu młodzieńcowi, który podobnie jak po swem widzeniu w pustym ogrodzie wszystko spodziewał się zastać inaczej.

Po dzisiejszem spotkaniu w buczalskim wygonie, przygotował się na kłopot i pomieszanie hrabianki, a tem samem na kłopot i pomieszanie rodziców, którzy nie mogli przecie nie wiedzieć o nocnych tajemniczych wycieczkach córki jedynej.

Zamiast tego wszystkiego zastał rodziców oziębłych, obojętnych, zdziwionych widocznie jego przybyciem, a córkę jeszcze weselszą i swobodniejszą, niż zazwyczaj. Napróżno bił się zawzięcie z myślami, jak pojąć i rozwiązać tę zagadkę i od czego wreszcie najstosowniej rozpocząć kampanję.

— Umiałażby do tego stopnia panować nad sobą? — pomyślał w duchu, wlepiając bystry wzrok w piękną, jasną i pogodną twarz młodej dziewczyny.

Przypuszczenie to wydało mu się dziecinnem, niedorzecznem. Taka moc nad sobą i zręczność w udaniu nie godziła się ani z wiekiem, ani z wesołem usposobieniem hrabianki.

Tem niepodobniej wydawało się jeszcze, aby tajemnicę swoją umiała zachować i wobec rodziców, aby w przebraniu uciekała się pod opiekę prostego kozaka, bez wiedzy i woli matki.

Goniąc w myślach za nicią Arjadny do tej szczególniejszej zagadki, w coraz większą wikłał się gmatwaninę i tem głębiej brnął w ciemność.

Eugenja spotrzegła przykre usposobienie młodzieńca i jakby chcąc naprowadzić go na tor żywszej rozmowy, zagadnęła żywo:

— Ależ nie opowiadasz nam pan nic o tych szczególniejszych wypadkach, jakie miały zajść u jego mandatarjusza.

Juljusż drgął z lekka.

— Już wie o tem — pomyślał.

— Czy już doszły do wiadomości pani? — zapytał z udanem zdziwieniem.

— Nasza klucznica przez swoje rozliczne korrelacje oficynowe otrzymuje bardzo prędko podobne nowiny.

— Słyszałem także o tem wszystkiem od Żachlewicza, ale wątpiłem, aby to była prawda — wtrącił hrabia.

— Żyjemy w ważnym okresie czasu — przemówił Juljusz ze znaczeniem.

— *Comment?...* — poderwała hrabina, nie pojmując znaczenia odpowiedzi.

Juljusz z boku bystro i uważnie śledził każdy ruch Eugenji.

— Dwóch strażników finansowych omal nie dostało w ręce człowieka, który przebrany za maziarza, miał podobno więcej na celu rozwój i postęp myśli ludu niż bieg kół u wozu.

— Ah! — zawołał hrabia i gwałtownie ruszył się wraz z fotelem.

— *Que dites-vous!* — wykrzyknęła jednocześnie hrabina.

Eugenja nic nie powiedziała, ale jej oko łysnęło, a Juljuszowi zdało się, że i pierś podniosła cokolwiek.

— Ale umknął szczęśliwie? — zapytał śpiesznie hrabia.

— Ocalał jakby cudem, ale na nieszczęście.,.

— Na nieszczęście — pochwycił hrabia skwapliwie.

Juljusz uważał, że Eugenja jakby z przestrachu zlekka rozwarła usta i zdawała się oddech zatrzymywać w sobie.

— Przy tej i innej sposobności pozostały pewne ślady i wskazówki — ciągnął młodzieniec powoli dalej i bystro w hrabiance utkwił spojrzenie — które mogą łatwo naprowadzić do wykrycia jeśli już nie jego samego, to przynajmniej skojarzonych z nim osób.

Hrabia coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

— I tym to wielkie zagraża niebezpieczeństwo — kontynuował Juljusz — bo cyrkuł zwrócił już i tak uwagę na ich zwyczajne miejsce zebrania.

— — Jakto, miejsce to już znane? — zapytał hrabia z nietajonym niespokojem.

— Ach, to byłoby okropnem! — wykrzyknęła Eugenja, a Juljuszowi się przywidywało, że lekki dreszcz przeszedł ją od stóp do głowy.

Juljusz po krótkiej pauzie jakby umyślnie wymierzonej na podniesienie efektu słów następnych, odezwał się z pewnym uroczystym smutkiem:

— Niestety, miejsce to jest już dziś zwierzchności podej-

rzane, a po lada śledztwie pana komisarza *Schnoferl*, może być zupełnie zbadane.

— I miejsce to jest?... — zapytał hrabia z silnem zajęciem.

— Zaklęty dwór!

Hrabia o krok w tył posunął się z fotelem, a hrabianka klasnęła w dłonie, a potem jeden paluszek położyła do marmurowego czoła i powtórzyła przeciągle, jabby jakąś długo ukrytą odgadując tajemnieę:

— Dwór zaklęty!

Te nagłe gesta, ten niespodziewany ton mowy obaliły jednym zamachem wszystkie dotychczasowe wywody i podejrzenia Juljusza.

Żywy jej udział mógł być tylko interesem dla sprawy samej, jej trwogę i obawę zdawało się obce tylko wzniecać niebezpieczeństwo.

Zachwiany w swoich badaniach Juljusz miał już zrzucić przybraną maskę dyplomatyczną i wypowiedzieć wręcz swe przestrogi, ale powstrzymał się nagle, zrażony chłodem i obojętnością hrabiego.

— Ile mnie dotychczas wiadomo — zabrał głos, wracając do przyjętej roli — znajduje się pomiędzy zagrożonymi uczestnikami schadzek w zaklętym dworze jakaś młoda, zda się z wyższego stanu dziewczyna!

— Owa sylfida ogrodowa, niezawodnie! — wykrzyknęła Eugenja.

— I mnie się tak zdaje — powtórzył Juljusz z silnym naciskiem...

— A na czemże się opiera pańskie przypuszczenie?

— Jeden z moich poddanych zeznał do protokółu, że dniem naprzód widział owego maziarza jadącego ku zaklętemu dworowi, gdzie pod bramą oczekiwał go Kośt' Bulij z jakąś młodą panną...

— Której opis zgadza się z pańskiemi spostrzeżeniami — kończyła domyślna hrabianka.

— Jota w jotę, pani — przyznawał młodzieniec z szczególniejszem spojrzeniem.

Eugenja podrzuciła główkę, jakby sobie coś przypomniała.

— — W takim razie pozostaje mi tylko przeprosić pana — odezwała się z uśmiechem.

— Mnie! — wybyknął Juljusz zdziwiony.

— Pokazuje się, że sylfida pańska była rzeczywistą istotą.

— O, tego byłem pewny od samego początku!

Młoda dziewczyna z ironicznym uśmiechem wzruszyła ramionami.

— U mnie zaś niestety dotąd pozostają jeszcze niejakie wątpliwości — poszepnęła z lekkiem skinieniem ręki.

Hrabia siedział dotychczas zatopiony w myślach, nagle podniósł głowę i spozierając uważnie w twarz młodzieńca, zapytał:

— Czy mandatarjusz pański zrobił użytek z wszystkich tych zeznań?

— Broń Boże! Lecz i tak już zwrócona uwaga zwierzchności; to też lada dzień może zjechać na śledztwo komisarz, urzędnik wielce gorliwy...

Hrabia pochylił nieco głowę, a Juljuszowi zdawało się, że lekki rumieniec wybiegł na jego lica.

— To przynajmniej z Kośtiem nie omieszkasz się pan rozmówić.

— Byłbym to już dziś uczynił, gdyby mię nie zaprzątnął inny szczególny wypadek w moim domu.

— Ah! — zawołała hrabina, przypominając sobie posłyszaną świeżo hisrorję o Czorgucie.

Juljusz ciągnął dalej:

— Przed dwoma dniami przybył do mnie mój dawny kolega szkolny i miał dłuższy czas spędzić u mnie, ale wczoraj wyjechał gdzieś konno w nocy uzbrojony w moje pistolety i dotąd nie wrócił. Koń jego przybiegł z przerwaną uzdą i ranny ciężko w bok.

— Więc to prawda! — krzyknęły jednocześnie matka i córka.

— Szczególna... — mruknął hrabia.

Juljusz potarł czoło i prawił dalej:

— Nie wiem wcale, co sądzić o tem zdarzeniu. Mój przyjaciel, jest to człowiek zapamiętałej odwagi, posuniętej aż do szalonej zuchwałości, ale nie mogę dociec, gdzieby mógł popaść w takie niebezpieczeństwo.

— Może spadł po prostu, a koń przebił się o kół od płotu.

— To zdawałoby się wcale prawdopodobnem, gdyby nie przerwana uzda!

— Na jakiż pan tedy wpadasz domysł?

— Lękam się, czy nie zagnawszy się przypadkowo pod zaklęty dwór, nie popadł tam jakiemu przypadkowi.

— Ależ dla Boga — poderwała Eugenja — z zaklętego dworu robi się naprawdę coś zaklętego.

Hrabia wzruszył ramionami, a hrabina coś niezrozumiale szepnęła po francusku.

— W tej chwili wszedł galonowy lokaj do salonu i na srebrnej tacy przyniósł list opieczętowany.

— Do jasnej pani—rzekł z ukłonem.

— Z poczty?

— Przez umyślnego ze Szwydki.

— Od Adamowej — wykrzyknęła hrabina i skwapliwie pochwyciła za list.

*Vous permettez, monsieur* — zwróciła się do Juljusza i otworzyła list z pośpiechem.

Chwilkę przebiegła szybko oczyma po różowej karcie listowej, a naraz oderwała się od czytania.

— August powrócił!

— Powrócił! — wykrzyknęła Eugenja i z taką jakąś radością poskoczyła w krześle, że Juljusz sam nie wiedząc czego zadrżał na całem ciele i uczuł, że mu się jakoś gwałtownie ścisnęło serce.

Eugenja jakby czuła potrzebę wytłumaczyć się z swego nagłego wybuchu radości, zwróciła się do Juljusza i rzekła:

— August... to mój kuzyn, jakiś brat cioteczno-wujeczny, spólnik i towarzysz zabaw i igraszek dziecinnych. Wraca obecnie z zagranicy, gdzie przepędził całe trzy lata.

Tłumaczenie to zamiast pomniejszyć powiększyło w Juljuszu tylko nieprzyjemne wrażenie pierwszej chwili.

Odtąd zupełnie już stracił humor, wmawiając w siebie, że dopełnił już swego obowiązku, zbył jak najkrócej swą wizytę i pożegnał się z hrabiostwem.

Hrabia nie próbował go zatrzymywać i ani jednem słówkiem nie ponowił dawnych zwyczajnych zaprosin, a do właściwego wyrazu jego fizjognomji przymieszało się widocznie przy pożegnaniu jakieś mimowolne pomieszanie i zakłopotanie.

Nie uszło to uwagi Juljusza, a oczywiście nowe stąd wysnuwały się uwagi i wątpliwości.

Przekonany silnie, że tajemniczą nimfą ogrodową i wspólniczką śmiałych zamiarów pseudomaziarza nie był nikt inny jak tylko młoda nadobna hrabianka, wykładał sobie młodzieniec po swojemu owe szczególniejsze zakłopotanie hrabiego.

Wszakże z tem wszystkiem niepodobna było uwierzyć, aby sama szesnastoletnia dziewczyna do tego stopnia posunęła uda-

nie i tak ogromną posiadała władzę sama nad sobą, żeby potrafiła niewzruszona i niezachwiana wytrzymać śledztwo wzroku. któreby mogło przynieść zaszczyt najprzenikliwszemu instygatorowi policyjnemu.

Wyjeżdżając za bramę dworu, popadł w walkę tych samych domysłów i wątpliwości, z jakiemi bił się w powrocie z swej ostatniej wizyty w Orkizowie.

Własny wzrok, szczególny zbieg wypadków i te i owe spostrzeżenia następne zdawały się najdobitniej stwierdzać powzięte podejrzenia, kiedy tuż zaraz nowa jakaś okoliczność najsmutniejszy wszystkim zadawała kłam.

Do tych myśli i rozpamiętywań mięszało się i wspomnienie owego Augusta, którego powrót z zagranicy w tak wielką radość wprowadził Eugenję.

Przypomniał sobie teraz, że o tym Auguście częste poprzednio słyszał wzmianki. Był to młody hrabia August Wyklicki, kuzyn hrabiny i bliski sąsiad majątku hrabstwa.

Juljusz nie widział go nigdy, słyszał o nim bardzo mało, a jakąś dziwną instyktową czuł już ku niemu zazdrość i odrazę.

Pochylił głowę na piersi i zamarzył głęboko, a czasami tylko jakieś z piersi wyrwało się westchnienie i jakieś słówko cichym szmerem wymykało się z zaciśniętych ust.

Powóz tymczasem skręcił w bok wzdłuż szerokiego łanu żyta, który jednolitym obszarem ciągnął się aż po jedną stronę żywopłotu przy ogrodzie pałacowym.

Podjeżdżając pod mały pagórek powóz zwolnił cokolwiek w biegu, a w tej samej chwili pędem błyskawicy jakaś postać wyskoczyła z żyta i jednym susem dopadła stopni powozu.

Wyrwany niespodziewanie z swego głębokiego zamyślenia, nie mógł Juljusz lekkiego przytłumić wykrzyku. Wykrzyk ten wzmógł się jeszcze, kiedy w tej jakby z nieba spadłej postaci poznał Katylinę *in propria persòna.*

Niepoprawny awanturnik, któregośmy w tak nieprzyjemnej pozycji zostawili w czerwonym pokoju zaklętego dworu, wyglądał dziwnie jakoś zmieniony na twarzy. Zatarł się ów zuchwały, wyzywający wyraz oczu, znikł ów drwiący, rubaszny uśmiech lekceważenia z ust zaciśniętych.

W tym momencie pan Damazy Czorgut wyglądał na przyzwoitego, jakąś ważną sprawą zaprzątnionego człowieka, a w ruchach jego jakiś febryczny przebijał pośpiech.

— Ty!! tu!!! — wykrzyknął Juljusz zdziwiony.

— Pst!... sza... Nie mam czasu teraz... Nie susz sobie gło-

wę o mnie... Wkrótce się obaczymy... Mam ci wiele powiedzieć... — szepnął urywanym głosem i ścisnąwszy w przelocie rękę osłupiałego z zdziwienia przyjaciela, skoczył z stopnia i w jednem mgnieniu oka znikł napowrót w gęstwinie żyta.

Wszystko to stało się nagle, prędko i niespodziewanie, że Juljusz musiał aż przetrzeć oczy, aby całe to spotkanie nie wziąść za senne złudzenie, a biedny furman posłyszawszy jakiś głos za sobą i obejrzawszy się co żywo, mało lejce nie wywypuścił z przestrachu, tak szybko mignął i zniknął mu przed oczyma cień jakiejś nierozeznanej bliżej postaci.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, Juljusz wychylił głowę z powozu, a nie widząc już ani śladu po swym szczególnym przyjacielu, wzruszył ramionami i mruknął półgłosem:

— Nowa zagadka! Kiedyż nareszcie wyjaśni się wszystko!

Tom drugi

## SPISEK.

Upłynęło już kilka miesięcy od ostatnich scen naszej powieści.

Opuszczony na tak długi czas tok działania musiał oczywiście w wewnętrznym swym rozwoju, wewnętrznych swych wpływach i przemianach postąpić znacznie dalej, wszakże ogólny stan rzeczy, ogólna zewnętrzna sytuacja działających osób, pozostała niezmienna. Wszystkich naszych znajomych zastaniemy na tych samych stanowiskach, jakie zajmowali poprzednio.

Ale nieuprzedzając czytelnika za wiele, pochwytujemy wątek dalszego opowiadania, a choćby z samego tylko respektu dla powagi urzędu zaczniemy od prześwietnej dominii.

Czcigodny pan mandatarjusz odbywał właśnie jedną z najgłówniejszych funkcji swego codziennego działania, oddawał się drzemce poobiednej. Pani sędzina posunęła z wizytą do księdzowej, a w kancelarji dominikalnej urzędował pan Gustaw Chochelka sam.

Siedzi właśnie przy brudnym, obryzganym stoliku i gryząc pióro w zębach lub dusząc je zawzięcie w ręku, widocznie sili się z niesłychanem natchnieniem na jakiś koncept niepospolity.

Ale nie łatwe to podobno dla biedaka zadanie!

Spocił się cały, włosy wzburzył na wszystkie strony, bakenbardy najeżył okropnie, kołnierzyki podciągnął aż powyżej uszu, a zaledwie dwa nędzne wiersze nakreślił na papierze.

Prawdaż bo, że waleczny nasz bohater nie forsuje się nad lada relacją urzędową, na które dzięki przezorności wyższych władz gotowiuteńkie znajdują się już formularze, że byle tylko uwaga przy przepisywaniu, a idzie jak z płatka.

Pan Gustaw Chochelka inne, ważniejsze wypracowuje zadanie i to *in propriis privatis*.

Gdybyśmy się umieli przymilić jego tyle interesującej osobie, wyznałby nam pewnie na ucho z pewnym nieopisanym uśmiechem zadowolenia, że konceptuje list miłosny do jakiejś panny Marjanny czy Serafiny, która go jak powiada wściekle kokietuje, że już nie może obstać dłużej. Chce jej więc wypalić nareszcie wyznanie miłosne po wszelkiej formie, ale dziwnem nieszczęściem koncept jak zaklęty utkwił we łbie i ani rusz dopisać trzeciego wiersza, aby przynajmniej dopełnić zwykłą przyjętą liczbę perfekcji.

Z ciężkim westchnieniem odczytuje biedak po raz prawie setny:

„Już kilka razy chwytałem za pióro do ręki, aby zbolałemu sercu memu...

Ale cóż dalej? Nad tem pan Chochelka od dwu godzin suszył i łamał sobie mózgownicę.

— Popuścić cugle... — mruknął i już zamachnął się piórem, ale nagle się zawahał.

— Popuścić!... popuścić... cugle!... nie — szepnął niezadowolony, skubiąc nieszczęśliwe bakenbardy.

— Aha! — wykrzyknął naraz: — Już kilkanaście razy chwytałem za pióro do ręki, aby zbolałemu sercu memu *dać wziąć wolność!...*

Znowu niekontent pokiwał głową.

— Dać... wziąć — poszepnął i z ciężkiem westchnieniem zamyślił się głęboko.

— Przeklęcie — wybąknął gniewnie — nic się nie klei... Jestem przecie oczytany! — dodał jakby sam siebie wbijając w ambicję.

Pan Chochelka jest oczytany! Prawda! Niech kto tylko wspomniał Mickiewicza a zaraz podniósł się na pięty, poprawiał bakenbardy i uśmiechnął się jak człowiek, któremu nic tajnego pod słońcem.

— Mickiewicz, Mickiewicz! — wycedził — to ten, co to *zrobił* wiersze o pani Twardowskiej, o, ja jego *wiem*. Zdatna głowa!

I trzeba wiedzieć, że pan Chochelka nie ograniczał się jedynie na Mickiewiczu. Raz w jednym tygodniu odczytał Rinaldiniego i Życie Genowefy, ale odtąd dał sobie słowo żadnej powieści nie wziąć do ręki.

— Bo takem się przejął temi historjami, żem cały drugi tydzień chodził jak cymbał wierutny! — mawiał.

Pan Chochelka jak widać nie lubił przedstawiać się nigdy w swej naturalnej postaci!

Ależ biedak męczy, dręczy i mozoli się w tej chwili, a tu ciężko jak z kamienia! Rób co chcesz, trzeci wiersz nie wykluwa się z głowy

Pan aktuarjusz splunął gniewnie!

— Tfy do licha! Nie idzie zgoła! a tak tęgą mam głowę — mruknął.

Nie można mu brać za złe tej przechwałki! *Każda liszka chwali swój ogon* — powiada przysłowie, dlaczegożby więc panu Chochelce nie miało być wolno pochwalić *exceptionaliter* swej głowy.

Mimo jednak tak tęgiej w własnem przekonaniu głowy, koncepcja listu nie postąpiła ani o krok dalej.

— Co tu począć! — wyjęknął w zwątpieniu.

Nagle ręką uderzył się w czoło.

— Utnę wierszem! — wykrzyknął z triumfem.

— Wybornie! kapitalnie! — pocieszał się po krótkim namyśle, w deklamatorskiej stawiąc się pozycji.

— Już kilka razy chwytałem za pióro do ręki. — Ażeby serca mojego zbolałe jęki!

— Tam do djabła! mam wielki talent poetyczny, a dotychczas ani wiedziałem o nim! *Ręki! Jęki!* jaki rym siarczysty! Ej ba, nie koniec na tem, nasuwają mi się dwa nowe rymy: Ręki, jęki, męki, dźwięki!

I jakby przestraszony swem niespodziewanem bogactwem pan Chochelka oburącz chwycił się za głowę.

— Cóż to teraz wybrać na miłość Boga? — zagadnął się tragicznie zawracając oczy. — Serca mego zbolałe jęki, zbolałe męki, zbolałe dźwięki! wszystko dobrze! kapitalnie! wybornie!

I jak szalony zerwał się z krzesła i zaczął biegać tam i nazad po pokoju.

— Serce cierpi zbolałe męki — wyśmienicie! Serce puka głośno, a zatem jęczy, a zatem serca jęki, excelentnie!

Nagle przystanął.

— Serca zbolałe dźwięki — to podobno najlepiej, najpoetyczniej! — mruknął w niepewności.

— Et, co tam! — wstrząsł się po chwili namysłu, — jęki, męki, dźwięki! wszystkie dobre. Wszystkie wpakuję! Niech wie, że się znam na rymach! Ho, ho, bo to nie łatwo do jednej końcówki aż trzech *extrafein* dobrać rymów.

Co tchu siadł do stolika i z niemałym jeszcze ponownym

trudem i mozołem jak niemniej z niepospolitem przelaniem potu i inkaustu, wypisał na papier:

Już kilka razy chwyciłem za pióro do ręki,
Ażeby serca mojego zbolałe jęki,
Ażeby piersi mej nieustanne męki,
Ażeby głowy mojej ogniste dźwięki...

Tu utknął i poskrobał się w głowę.

— Dalej? — zagadnął sam do siebie — hm, dalej... dalej...

— Jest! — wrzasnął i poskoczył w siedzeniu:

Wynurzyć dziś tobie,
Jak samemu sobie,
Kiedybym był w grobie,
Albo stał przy żłobie.

Tu wybuchł tym głośnym, urywanym śmiechem, który u dzieci i warjatów ma oznaczać najwyższy stopień radości.

I w samej rzeczy miał się czem cieszyć poczciwiec, cały wiersz ostatni udał mu się, że nic dodać. Sam jeden zamykał w sobie i krytykę poprzednich wierszy i tytuł, charakter i nazwisko autora!

Na szczęście miał to być na dziś wiersz ostatni.

W tej chwili zajechał jakiś kocz przed prześwietne dominjum, a zwolna i ostrożnie wyłaził z niego jakiś chudy, skrzywiony człowiek.

— Pan Żachlewicz, były plenipotent hrabiego z Orkizowa! — wykrzyknął aktuarjusz-poeta, wyzierając przez okno. — Trzeba zbudzić pana sędziego!

I popędził co żywo na drugą stronę.

Pan Żachlewicz wszedł tymczasem do kancelarji i obzierając się do koła jakby nieśmiały i zakłopotany, zatrzymał się we drzwiach.

Tuż zaraz wpadł pan sędzia z takim pospiechem, że nawet nie przetarł dobrze zaspanych oczu. Pan Żachlewicz widać wielkie miał u niego znaczenie.

— Do nóg upadam pana dobrodzieja! — zawołał kłaniając się nisko.

— Sługa i podnóżek pana sędziego dobrodzieja — wycedził Żachlewicz i rękę wyciągnął naprzód.

W tej chwili obudwu spojrzenia zetknęły się z sobą i zupełnie różny wyraz wybił się na obu twarzach. Jeden drugiego wietrzył przez skórę. Mandatarjusz zrozumiał na pierwszy rzut oka, że Żachlewicz w jakimś ważnym przybywa do niego interesie i chciałby go łatwym zbyć kosztem.

Żachlewicz ujrzał się odrazu odgadniętym i poczuł instyktowo, że nie z lada przeciwnikiem będzie miał do czynienia.

— Trzeba dobrze się wziąć na kieł! — pomyślał Żachlewicz.

— Trafiła kosa na kamień! — triumfował w duchu pan mandatarjusz.

— Pan dobrodziej już z zagranicy? — zapytał głośno.

— Ledwie co wróciłem.

— Mogę prosić pana dobrodzieja na drugą stronę..: mojej żony wprawdzie nie ma...

Pan Żachlewicz przerwał mu uściskiem ręki.

— Przepraszam pana sędziego, nie ładnie to może, ale przyznam się, że przybyłem *li tylko* za interesem, nie chciałbym więc robić subjekcji.

Pan mandatarjusz obejrzał się za panem Chochelką, a ten już rozumiał znaczenie tego poruszenia. W takim razie obowiązkiem jego było brać czapkę i wynosić się na przechadzkę. Pan aktuarjusz często nie gniewał się za to wcale, bo szedł sobie zwyczajnie na ogród, gdzie pod cień wielkiej lipy lubiła podchodzić pani sędzina, gdy tylko zaczął ją trapić frasunek.

Żachlewicz i mandatarjusz pozostali w kancelarji.

Pierwszy usiadł na starej, brudnej drelichem pobitej sofce, drugi z urzędową powagą zajął miejsce na drewnianem krześle w pobliżu.

Żachlewicz się czegoś wahał i namyślał, jakby układał plan kampanji. Mandatarjusz milczał zawzięcie i tylko z ukosa zerkał na swego gościa.

— Hm! hm! — krząknął nareszcie Żachlewicz.

— Hum, hum — zawtórował mandatarjusz.

Żachlewicz uśmiechnął się obleśnie, a nie spuszczając przeszywającego spojrzenia z mandatarjusza, cedził zwolna:

— Mam nader ważny i delikatny interes do pana sędziego dobrodzieja.

— O, pan dobrodziej potrzebuje tylko rozkazać! — upewniał z ukłonem mandatarjusz.

— Będzie to mały sekrecik.

Mandatarjusz z nabożeństwem pochylił głowę na piersi.

— Przedewszystkiem tedy tajemnica pod słowem honoru — ciągnął z naciskiem Żachlewicz.

Mandatarjusz zamiast odpowiedzieć, z uroczystą powagą wyciągnął rękę.

Żachlewicz poprawił się w siedzeniu.

— Na uczciwość... — zaczął swojem ulubionem przysłowiem i zawahał się jakby nie wiedział od czego uderzyć.

— Pan sędzia wiesz zapewne — zabrał głos po chwili — że przed trzema miesiącami podziękowałem za służbę hrabiemu...

— Słyszałem o tem — odpowiedział mandatarjusz niepospolicie rozciekawiony samym początkiem.

— I jakże pan sobie to tłumaczyłeś, jeśli wolno zapytać?

— Przyznam się, że jak wszyscy inni nie wiedziałem bynajmniej co myśleć o tem. Pan dobrodziej, źrenica w oku hrabiego...

Żachlewicz uśmiechnął się po swojemu.

— Dziś muszę się z nim procesować, panie łaskawy — rzekł po chwili.

— Czy być może! — wrzasnął mandatarjusz zdziwiony naprawdę.

— Na uczciwość, była to konieczność nieodzowna.

Mandatarjusz swoim zwyczajem rozdziawił gębę.

— O cóż to poszło? — mruknął, jakby niedowierzając.

— Zaraz kochanemu panu wszystko wytłumaczę, bo będę bardzo potrzebował jego pomocy.

Mandatarjusz uśmiechnął się skrycie, a strasznie go jakoś zaświerzbiała dłoń.

— Proszę tylko rozkazać, w czem mogę służyć — odezwał się po chwili.

Żachlewicz przełożył nogę na nogę, oczy w większy jeszcze niż zazwyczaj wywrócił zyz i prawił dalej powoli, ważąc w ustach każde słówko.

— Oceniając moje długoletnie wokoło swego domu usługi, pan hrabia przyrzekał mi zawsze pewną gratyfikację osobną...

Mandatarjusz pokiwał głową poważnie, jakby chciał ukryć tym sposobem szyderczy uśmiech, który na gwałt cisnął się na usta.

Żachlewicz nie uważał tego i ciągnął dalej:

— W samej rzeczy też chciał wypełnić obietnicę przed trzema laty.

— Kiedy objął klucz żwirowski? — wtrącił mandatarjusz.

— Tak, wtedy darował mi na wieczne czasy formalnym zapisem jedną wieś całą...

Mandatarjusz aż napół poskoczył z swego siedzenia, tak go jakoś piknęło szczęście jeneralnego rządcy.

— A którą? — zapytał pospiesznie.

— Buczały! — odpowiedział Żachlewicz jakby od niechcenia.

— Buczały! — powtórzył mandatarjusz i pokiwał głową.

Żachlewicz westchnął i machnął ręką.

— Ale cóż, nim jeszcze mogłem darowiznę wziąć w posiadanie i wleźć do tabuli, przybywa ten klucznik stary, Kośt' Bulij!

— Z testamentem!

— Pan hrabia musiał oddać cały klucz, a więc i moja darowizna...

— Poszła *ad acta* — kończył mandatarjusz urzędowem przyrównaniem.

Żachlewicz wstrząsł głową.

— Tak znowu nie myślę.

— Jakto?

— Darowiznę uważam zawsze za darowiznę; niedostając więc Buczał, miałem prawo rościć sobie jakiś inny ekwiwalent.

— Słusznie.

— Tymczasem pan hrabia zapatrywał się na tę rzecz inaczej. Utrzymuje, że do darowizny tej skłonił go jedynie nowy przyrost majątku, a z upadkiem tego przyrostu, upada i jej znaczenie...

— Hm, hm — mruknął mandatarjusz i brwi podciągnął do góry.

— Jednem słowem hrabia położył swoją donację jedynie tylko jako skutek własnego posiadania Żwirowa.

— Tracąc zaś sam Żwirów, nie czuł się obowiązanym do niczego — uzupełniał mandatarjusz własnym domysłem.

Żachlewicz skinął głową, potakując.

— Mógłżem jednak poprzestać na tem? — zapytał po chwili.

Mandatarjusz krząknął i wzruszył ramionami.

— Udałem się do zręcznych adwokatów — prawił dalej były rządca jeneralny.

— A ci zrobili panu nadzieję...

— Bynajmniej, przepowiedzieli mi otwarcie przegraną wobec prawa.

— A pan dobrodziej na to...

— Nie straciłem nadziei. Zapis mój upadał wobec prawa dla tego, że upadła i sama sukcesja hrabiego; w razie jednak jego legalnego powrotu do sukcesji, powracam i ja do moich praw na Buczały.

Mandatarjusz rozdziawił gębę, wybałuszył oczy, najeżył wąsy i nastrzygł uszy, ale nie rozumiał nic jak w rogu.

Żachlewicz chwilkę milczał z spuszczonemi oczyma, jakby umyślnie chciał mandatarjusza w tem większe jeszcze wprowadzić oczekiwanie.

— Otóż tedy... — zaczął nareszcie.

Mandatarjusz z krzesłem gwałtownie posunął się naprzód.

— Aby przyjść do swej donacji, potrzeba koniecznie wprowadzić hrabiego w posiadanie całego Żwirowa.

Mandatarjusz machnął ręką jakby zawiedziony w nadziei.

— Panu sędziemu wydaje się to niepodobieństwem?

— A panu dobrodziejowi nie?

— Bynajmniej.

Mandatarjusz zarzucił głowę w tył z wyrazem najwyższego zdziwienia.

Żachlewicz spokojnie cedził przez zęby.

— Mam pewną nadzieję, że przy boskiej i ludzkiej pomocy uda mi się dokazać tego.

— Obalić testament po trzech latach z okładem! — wykrzyknął mandatarjusz.

— W tym razie niema zadawnienia.

— Ależ testament ważny po wszelkiej formie.

— Przeciwnie, na uczciwość ja myślę, że zupełnie nieważny! — przerwał były rządca z silnym naciskiem.

— A to jakim sposobem? — zapytał mandatarjusz i aż gębę rozdziawił, aby lepiej słyszeć odpowiedź.

Żachlewicz uśmiechnął się po swojemu.

— Wiadomo panu, że prawo nie wszystkim pozwala rozrządzać swą wolą.

— Jakto? — wykrzyknął mandatarjusz, nie rozumiejąc dobrze.

Żachlewicz ciągnął dalej:

— Są ludzie, którzy w obec prawa nie mają własnej woli np. wzięci pod kuratelę...

— Warjaci! — wrzasnął mandatarjusz i niezmiernie wybałuszył oczy, bo nagle zaczęło mu już świtać w głowie.

Żachlewicz pochylił głowę w milczeniu.

Mandatarjusz pięśćcią uderzył się w czoło.

— Fiufiufiu! zasyczał.

Ale nagle się zamyślił i z niejakiem powątpiewaniem wstrząsł głową.

— A dowody?! — szepnął, brodę wychylając naprzód.

— Po części są już, a po części będą!

— Są już!

Żachlewicz uderzył się po kieszeni na piersiach.

— Różne dokumenciki przywiozłem z sobą z Drezna.

— Ehe... e...! — wyciągnął mandatarjusz, jakby się czegoś dorozumiewał.

— Dwóch lekarzy drezdeńskich, przywołanych podczas choroby starościca, wystawiło świadectwo, właściciel i posługacz hotelu, gdzie mieszkał starościc, zeznali i zaprzysięgli do protokółu, że nieboszczykowi brakowało piątej klepki.

— Fiufiufiu — zaświstał *da capo* mandatarjusz.

— Starościc wyglądał Niemcom na prostego chłopa, przebranego przypadkiem w suknie pańskie. Sam nic nie znaczył, we wszystkiem stanowił według upodobania jeden z jego sług, to jest zapewne jeden z kozaków, który traktował swego pana jak chłopa.

— O, ba! już co temu, to nie wierzę. Starościc dałby sobie imponować od kogoś, ulegałby czyjejś woli! A, toto.

— Powiadam panu, kilka osób poprzysięgło ten stosunek między panem i sługą i to jest jeden z główniejszych dowodów obłąkania.

Mandatarjusz pokiwał głową nieprzekonany.

— Ale do czego się tu długo rozwodzić! zebranie w Dreznie poszlaki wystarczają w obec prawa — ciągnął Żachlewicz. Starościc nie był panem swych zdrowych zmysłów, a temsamem i legalnym panem swej woli za granicą, to już dowiedzione.

— Dokumentnie?

— Najzupełniej.

— Teraz tylko chodzi o to...

Mandatarjusz poruszył się trochę w swem krześle i pilnie nastrzygł uszu.

— O co naprzykład? — zapytał.

— Aby dowieść, że starościc i przed swym wyjazdem za granicę był... tak... niby...

*Mente captus*! — uzupełnił mandatarjusz.

Żachlewicz skwapliwie kiwnął głową.

Panu Gągolewskiemu cała sprawa wyświeciła się jak na dłoni. Nie mógł już usiedzieć w krześle, porwał się z miejsca i jak opętany jął biegać po pokoju.

— To mi koncept! — wykrzyknął nareszcie nie bez pewnego uczucia zazdrości.

— Do tego potrzebuję jednak pomocy pańskiej, Girgilewicza i innych, co tak długi czas w blizszych ze starościcem zostawali stosunkach.

Mandatarjusz przystanął i mimowolnie dłoń wyciągnął naprzód.

— Aha — mruknął podnosząc się na pięty i wydymając wargi.

— Od świadectwa panów wiele zależy — kontynuował były rządca.

Mandatarjusz nadymał się coraz bardziej.

— Trudna to sprawa — rzekł nareszcie — dowodzić komuś po śmierci, że za życia nie miał piątej klepki.

— Panowie będziecie potrzebowali przytoczyć tylko wszystkie jego dziwactwa i szczególności, których pamięć dotychczas nie zaginęła w okolicy, a to wystarczy.

— Więc pan dobrodziąj poprostu zamawiasz sobie moje świadectwo? — zagadnął mandatarjusz z ukośnem spojrzeniem.

— O, więcej jeszcze, panie łaskawy.

— Więcej?

— W ręce pana złożę całą drugą część sprawy. Chciałbym, aby pan dobrodziej prócz własnego świadectwa, wybrał także i takich poddanych, coby mogli zaprzysiąc obłąkanie nieboszczyka, wogóle abyś całe dalsze niesłychanie już łatwe dowodzenie wziął zupełnie na siebie.

Mandatarjusz stał niemy i nieruchomy i pilnie tylko chwytał za każde słówko swego gościa.

Żachlewicz ciągnął dalej:

— Wiem, że przytem będą rozmaite zachody, korowody, koszta, wydatki, ale na to mogę panu dobrodziejowi *anticipative* złożyć kilka tysiączków.

Mandatarjuszowi błogo się zrobiło koło serca. Jakby go kto oliwą posmarował od stóp do głowy!

Mrugnął nieznacznie oczyma, cmoknął językiem pocichu i poszepnął w duchu:

— Parę tysiączków *anticipative!*

Żachlewicz badał pilnie wyraz fizjognomji zacnego sędziego i uśmiechnął się z zadowolenia.

— Jeśli się uda nam szczęśliwie, jak mam nadzieję, pan hrabia obejmie cały majątek i musi nam być osobno wdzięcznym, choć dziś działamy wbrew jego woli.

— Hm, hm — zakrząknął mandatarjusz.

— A tego studencika, co mu tak właśnie do wielkiego pana jak kuchcie do patyny...

— Juljusza?

— Jego samego napędzimy napowrót do szkół.

— Do szkół! — wykrzyknął mandatarjusz wzgardliwie.

Żachlewicz uśmiechnął się z dumą i rozkoszą.

— Jeśli się tylko obadwaj weźmiemy za ręce — prawił dalej z naciskiem — wszystko pójdzie jak z płatka, na uczciwość. Pan hrabia wróci do swej słusznej po bracie sukcesji...

— Pan dobrodziej weźmiesz Buczały — wpadał mu w mowę mandatarjusz, oblizując się nieznacznie.

— Pan sędzia także źle na tem nie wyjdziesz... kilka tysiączków gotówką i dożywotnie miejsce, to nie bagatela.

Pan Gągolewski porwał się z krzesła i zaczął szybko przechadzać się po pokoju. Cały plan ukartowany stał mu wyraźnie przed oczyma i nieprzezwyciężoną uśmiechał się z dala pokusą.

— Niech mię djabli porwą, złoty interes! — pomyślał sobie i uśmiechnął się po swojemu.

— A więc dobrze — rzekł głośno, zwracając się ku swemu gościowi. — Niema co mówić, ułożyłeś wszystko najwyborniej!

— Zgadzasz się tedy pan sędzia? — podchwytywał skwapliwie były rządca jeneralny.

— Fiufiu! pan dobrodziej nie dla proporcji masz głowę na karku!

Żachlewicz w milczeniu wyciągnął rękę naprzód.

— A zatem zgoda?

Mandatarjusz nadął się w zamyśleniu.

— Hm, hm, — krząknął z udanem wahaniem.

Żachlewicz dobył z kieszeni gruby pugilares i otwierając go zwolna, zaświecił w oczy mandatarjuszowi sporym pękiem długich, wielogłowych banknotów.

Pana Gągolewskiego jakby jakiś rozkoszny owionął wietrzyk, tak go coś przyjemnie załechtało po całem ciele. Ręka sama wychylała się naprzód, a łakoma ślinka cisnęła się do ust.

— Same setki! — szepnął i zcicha cmoknął jezykiem.

— Forując z dworu tego studencika, możnaby sobie pogadać potem z tym drugim hołodrygą... — mruknął półgłośno.

Żachlewicz milcząc, przeliczał bankoty.

— Trzy tysiące guldenów wystarczą? —zapytał.

Mandatarjusz westchnął niewiedzieć czy z łakomstwa, czy z skrupułów sumienia.

— Zawsze wolałem służyć panu z panów niż lada jakiemu szerepetce! —rzekł z dumą i powagą. — Między panem hrabią a tym żakiem niema właściwie wyboru. Lepiej pod wozem u pierwszego, niż na wozie u drugiego.

Żachlewicz zwój banknotów rzucił zręcznie na stolik i rozwarł ramiona. Obadwaj zacni mężowie uściskali się serdecznie.

— Stoi ugoda! — wykrzyknął Żachlewicz.

— Stoi—stwierdził dobitnie mandatarjusz.

— Fora z szerepetką!

— Górą pan z panów!

Po tem serdecznem obopólnem wylaniu, obadwaj spólnicy zajęli napowrót swe dawne miejsca.

Ale pan mandatarjusz musiał się naprzód uspokoić z innej strony. Rzucony na stolik pęk banknotów okropnie nęcił oczy i nabawiał go jakiegoś dreszczu pożądliwego. Nie mogąc powstrzymać się dłużej pan Gągolewski, nagle szybko ku stołowi wyciągnął rękę.

— Aby kto nie podejrzał... — mruknął i w jednem gmnieniu oka cały plik zagarnął do kieszeni.

Teraz dopiero niewysłowiona rozkosz rozlała się po jego twarzy. Uspokojony zupełnie, odsapnął i krząknął głośno, jakby mu już ostatni ciężar spadł z serca.

Żachlewicz z ukosa patrzył na wszystkie poruszenia mandatarjusza i uśmiechnął się złośliwie.

— Pozostaje nam teraz naradzić się tylko nad środkami działania.

— Potrzeba zastanowić się nad dowodami warjacji starościca.

— Pan Girgilewicz będzie z nami?

— Niezawodnie.

— Obudwom panom nie trudno będzie przypomnieć sobie wszystkie dziwactwa nieboszczyka, któreby mogły posłużyć za dowody jego obłąkania.

— Ho, ho! ja ich sam pamiętam bez liku.

— I na wszystko będziesz pan mógł sam złożyć przysięgę i znajdziesz innych gotowych do przysięgi świadków?

— Bagatela!

— Zaczniemy dowodzić, że starościc był *mente captus* od samego dzieciństwa.

— Nic łatwiejszego. Ciągle przesiadywał przecie w czerwonym pokoju obok swego obłąkanego ojca i z nim razem wołał nieustannie „Niepozwalam! Protestuję!"

Żachlewicz skinął głową w zamyśleniu.

— A potem?—zapytał.

— Jak urosł w młokosa, to już broił, panie, że końca miary nie było. Codzień prawie zajeździł konia, codzień jakiejś nowej szalonej dopuścił się swawoli. Na byczej skórze by nie spisał, co dokazywał nieustannie.

— Czy pan już byłeś wtedy w skarbie?

— Właśnie co nastałem.

— I odtąd nie zmienił się już do końca?

Mandatarjusz zawahał się nagle.

— O nie — mruknął — jakiś czas zdawał się zmieniony zupełnie.

Żachlewicz pilnie nastawił uszu.

— Było to wtedy, kiedy mu ta Kseńka zajechała w głowę.

— Ah! — szepnął Żachlewicz, jakby sobie coś przypominając.

Mandatarjusz ciągnął dalej:

— Wtedy złagodniał znacznie, ale nie na długo. Potrzeba go było za to widzieć, kiedy Kseńska drapnęła gdzieś bez wieści! Dziki zwierz nie mógł być straszniejszy! Biada chłopowi, co w złą godzinę wlazł mu w drogę!

— Tej pory nam wcale nie tykać — przerwał Żachlewicz — w nieszczęściu miłosnem każdy człowiek wygląda jak warjat. Chodzi więcej o to, czy starościc objąwszy na siebie majątek umiał się rządzić w gospodarstwie.

— Rządy jego w przysłowie weszły, panie dobrodzieju.

— Znam je sam mniej więcej. Zaczął znowu od tego, że wszystkich szesnaście wsi swoich kazał spalić jednej nocy, aby je potem według swego planu i porządku odbudować na nowo.

— O, to będzie ważne *punctum juris* — wykrzyknął mandatarjusz.

— Chcąc być pewnym sukcesu, nie można poprzestać na nim jedynie.

— Postawię pięćdziesiąt nowych!

— Naprzykład?

— Ot, dajmy na to, nie będzież to wobec sądu dowodem warjacji, że nieboszczyk przy swych ogromnych zasobach gotówki, nigdy dobrowolnie nie zapłacił podatków i rokrocznie ściągał na się egzekucje i sekwestracje?...

Żachlewicz podciągnął brwi do góry, jakby niekoniecznie przekonany tym dowodem.

Mandatarjusz niezrażony prawił dalej:

— Co jesieni regularnie zjeżdżał sekwestrator po licznych, bezskutecznych upomnieniach na sekwestracje. Uprzedzony o tem starościc sprowadzał zawsze mnóstwo najpospolitszego użytku srebrnych naczyń i te zawsze pod nos stawił sekwestratorowi. Srebra były dobre i ważne, a wartością swą pokrywały cały zaległy podatek. A starościc był kontent, jakby go kto na sto koni wsadził.

— Widzisz aspan, czem płacę podatek — przechwalał się zawsze, nie pomnąc że prócz kosztów egzekucji i sekwestracji, stracił pół na pół na srebrze.

Żachlewicz uśmiechnął się i kiwnął głową.

— Masz pan rację, to w samej rzeczy nowe *punctum juris*, wybitny dowód warjacji.

— Tego rodzaju szaleństw nie policzyłby do jutra.

— Musimy wybierać tylko więcej rażące.

— Raz — przypomniał sobie dalej mandatarjusz — otrzymał jakiś mandat z cyrkułu, właśnie kiedy był u niego żyjący podziśdzień żyd, arendarz z Oparek. Należało natychmiast odpisać zwierzchności, a pan starościc obrał przestraszonego arendarza za swego tłumacza.

— Ależ ja nie umiem pisać po niemiecku, jasny panie! — wypraszał się żyd.

— To pisz po żydowsku, to wszystko jedno! — rozkazywał niezrażony.

— Na nic się nie przydały wszelkie prośby i przedstawienia, żyd musiał swoim konceptem i swojem pismem odpowiadać do cyrkułu. Do cyrkułu!—powtórzył z naciskiem, oczy niesłychanie wytrzeszczając naprzód, a palec wznosząc do góry, aby snać tem lepiej uwydatnić zgrozę podobnego przestępstwa.

Żachlewicz w zamyśleniu pochylił głowę na bok, jak gdyby ważył wartość tego nowego dowodu.

Mandatarjusz zamyślił się, jak gdyby za czemś goniąc w pamięci.

— Albo to nie dobre — ozwał się nagle — co zrobił

z Susmanem, najbogatszym żydem z Drohobycza. Jako dzierżawca akcyzy w tym okręgu, najeżdżał on często tutejszych arendarzy z egzekucją za zaległe opłaty. Dowiedziawszy się o tem starościc, kazał go przy najbliższej sposobności pochwycić i przystawić do dworu.

— I przetrzepał go zapewne po swojemu!

— Gdzietam! Obszedł się z nim jak najgrzeczniej na pozór. Rozmawiał z nim bardzo uprzejmie, wypytywał się ile płaci za akcyzę, ile pociąga zarobku, a na końcu zagadnął go niespodziewanie:

— A umiesz aspan palcem kiwać?

Żyd zgłupiał w pierwszej chwili, ale domyślając się jakiegoś żartu, odpowiedział z uśmiechem:

— Czemu nie, jak tylko jasny pan rozkaże.

— A więc kiwaj sobie, kiwaj! — rzekł do osłupiałego żyda z tym naciskiem głosu, który najmniejszego nie dozwalał oporu — kiwaj nieustannie, a jak zapomnisz na chwilę, to ci mój kozak przypomni.

— W tej chwili wypadł Kośt' Bulij z ogromnym nahajem i stanął za jego plecyma w tak groźnej postaci, że biebne żydzisko odrazu zimnym oblało się potem. Zaczął więc kiwać, kiwać, a jak tylko zwolnił cokolwiek, Kośt' zaraz zamachnął się nahajem.

— I długo trwała ta osobliwsza męka? — zapytał Żachlewicz.

— Blisko półtorej godziny. Nieszczęśliwy dzierżawca akcyzy już po godzinie stracił władzę w całej ręce, palec zaczął puchnąć mu powoli, nareszcie nie zważał już na dotkliwe przypomnienia kozaka i padł plackiem na ziemię, gotów wszelkiej innej poddać się karze. Wtedy rzekł mu starościc:

— Wracaj aspan do domu, a nie pokazuj mi się w moich dobrach, bo na drugi raz będziesz musiał aż dwoma palcami kiwać!

— Żyd wrócił do domu nawpół żywy i kilka dni nie mógł jeszcze zupełnie przyjść do siebie.

— A nie skarżył?

— Owszem, wytoczył proces kryminalny za gwałt publiczny, ale dzięki mojemu pośrednictwu jakoś się to zatachlowało.

Żachlewicz potarł czoło.

— Dobrze — rzekł — będziemy i z tego korzystali!

— Ale, ale — zawołał po chwili — a ta głośna w okolicy anegdota z krawcem staromiejskim, czy także prawdziwa!

— Najprawdziwsza w świecie! Sam byłem świadkiem wszystkiego. Starościc kupił sztukę sukna i kazał sobie staromiejskiemu żydowi krawcowi zrobić płaszcz.

— Ale każdy najdrobniejszy kawałeczek pozostały oddasz mi napowrót! — zaostrzał na końcu.

— We dwa dni przybył krawiec z robotą i z kawałkami. Starościc oglądnął wszystko i nie przymierzając nawet, kazał przerobić płaszcz na surdut, upominając się znowu o każdą resztę najmniejszą. Następnie z surduta kazał sobie zrobić szpencer, a z szpencera kamizelkę, z kamizelki czapkę, a zawsze o kawałki dopominał się najusilniej. Kiedy już ostatnia skończyła się przemiana, a żyd przybył z czapką do dworu, zapytał go starościc:

— A kawałki masz?

— Mam, jasny panie.

— Wszystkie?

— Co do jednego!

— A więc teraz tu u mnie uszyjesz płaszcz napowrót!

— Gdyby piorun nagle ugodził w żyda, nie mógłby go tyle zdziwić i przestraszyć, co ten rozkaz niespodziewany. Napróżno biedak prosił do domu i na różne odwoływał się przeszkody. Starościc nie odstąpił od swego. W miejsce okrawek dodawał łokieć sukna nowego, ale koniecznie chciał mieć płaszcz jak dawniej. Nie wiedząc innego ratunku, przyznał się żyd, że parę łokci sukna zostawił w domu. Starościc na to zapłacił mu za robotę ile żądał, ale w naddatku kazał mu wlepić sowitą porcję plag na pamiątkę.

Żachlewicz zatarł ręce z zadowolenia i powstawszy z krzesła, zaczął się przechadzać po pokoju.

— Takich jego dziwacznych konceptów znajdzie się więcej?

— Bez liku — upewniał mandatarjusz — wszakże...

Żachlewicz przystanął niespokojny.

— Wszystko to działo się przed ową chorobą i przybyciem kwestarza.

Żachlewicz zamyślił się.

— A potem? — mruknął.

— Potem zmienił się jakby nie ten sam! Z dawnego gwałtownego tyrana dla chłopów zrobił się pan łagodny i dobroduszny, z dumnego niesłychanie arystokraty człowiek bardzo otwarty i przystępny. Dawniej jak djabej święconej wody unikał wszel-

kich książek, potem z Paryża sprowadzał je pakami i po całych dniach nie odrywał się od czytania.

Żachlewicz uśmiechnął się niezrażony.

— Nic to nie szkodzi — rzekł z flegmą — to właśnie najpożądańszy dla nas zarzut, najważniejsze *punctum juris*. Przed kwestarzem i po kwestarzu starościc był *mente captus*...

— I kwita — dokończył mandatarjusz.

— Nie warcibyśmy funta kłaków obadwaj, gdybyśmy nie dopięli swego!

— W Bogu nadzieja! — pocieszał się nabożnie pan mandatarjusz.

— Przedewszystkiem jednak ścisła we wszystkiem tajemnica!

Mandatarjusz potarł nagle czoło jakby się zafrasował.

— Jedną tylko wielką będziemy mieli przeszkodę... — mruknął potrząsając głową.

— Jakążto? — zapytał Żachlewicz.

— Ten łotr Katylina będzie nam bróździł.

— Ah — podchwycił Żachlewicz — kiedy odjeżdżałem do Drezna, to gdzieś zginął był wówczas.

Mandatarjusz westchnął żałośnie.

— Oj toto! Złego djabeł nie porwie! Znalazł się zaraz nazajutrz.

— A gdzież był wtedy?

— Nikt tego nie wie.

— Nawet Juljusz?

— Ha, on chyba jeden.

— Lecz jakże się zjawił napowrót?

— Wpadł nagle do mnie jak bomba i kazał się forszpanem odesłać do Oparek.

— I odtąd nie opuścił już dworu?

— Ani na dzień jeden.

— A czemże się trudni?

— Wszystkiem!

Tu pan mandatarjusz z zawziętą nienawiścią przygryzł wargi i strasznie nasrożył czoło.

— Powiadam panu — zaczął po chwili. — To łotr na wielki kamień. Hohoho! Świat zejść dokoła a nie znaleźć drugiego takiego oczajduszy!

Żachlewicz się zamyślił.

— Cóż on tu znaczy właściwie?

— Wszystko, panie, wszystko! — wybuchnął prawie z roz-

paczą — wszystkich otumanił, oślepił, zawojował, miesza się do wszystkiego, przewodzi we wszystkiem!

— Ręczę — dodał z nietajoną zgrozą — że zechce wściubić swój nos nawet do przyszłej rekrutacji.

— O jeden powód więcej, aby go wykurzyć conajrychlej wraz z godnym pryncypałem.

— O tak, tak! — podchwycił skwapliwie mandatarjusz — potrzeba wyrugować obudwóch jeszcze przed rekrutacją, przed rekrutacją! Ani rusz inaczej!

— Zawsze jednak myślisz pan — ozwał się na nowo Żachlewicz — że to indywiduum może być dla nas niebezpieczne?...

— Niech Matka Boska broni, co to za drab! — zawołał mandatarjusz, oboma rękami chwytając się za głowę.

— Powiadam panu, mnie, no, mówię mnie w najohydniejszy sposób wywiódł w pole — dodał jakby na jak najsilniejsze utwierdzenie swego powiedzenia.

— Hm, hm, — zakrząknął Żachlewicz z niedowierzaniem pokiwując głową.

Stary mandatarjusz westchnął z głębi piersi.

— Miałem zupełnie w ręku tego chłystka Juljusza i przy lada okazji mogłem mu taką puścić fimfę, żeby siarczyście powąchał pismo nosem. Ale cóż pan na to powiesz, ja, ja stary osioł dałem się temu urwipołciowi złowić w sidła jak dudek jaki.

— Źle... — mruknął Żachlewicz.

— Ot, mości dobrodzieju, cymbał ze mnie, cymbał, że nic dodać! — prawił mandatarjusz jednym tchem, szaloną jakąś ku samemu sobie uniesiony furją.

Żachlewicz z niemem współczuciem pokiwał głową.

— Wyobraź sobie pan dobrodziej — ciągnął mandatarjusz dalej — ten nędznik chytrym podstępem, przebiegłością bez przykładu, wymógł na mnie kartkę, niby list do dziedzica, która mi w tej sprawie na zawsze wiąże ręce i na kłódkę zamyka gębę.

Żachlewicz zmarszczył czoło.

— Masz pan rację — rzekł — ten człowiek może nam być niebezpieczny.

— On jak wyżeł wszystko zwietrzy naprzód, wszędzie wściubi swój nos, jak piskorz wykręci się z wszystkiego, a jeszcze przytem nadrwi i naszydzi sobie z człowieka, że aż w kiszkach się obraca! — kontynuował rozsierdzony do najwyższego

mandatarjusz, jakby nie dość jeszcze dobitna była cała poprzednia rekomendacja.

— A do tego — dodał po chwili, zniżając głos — jak umie porozumieć się po niemiecku z naszymi panami z cyrkułu, z kryminału! fiufiufiu! — zasyczał, przebierając szybko palcami jakby muchy łapał w powietrzu.

Pan Żachlewicz aż z krzesła się porwał, tak go jakoś ta ostatnia ubodła wiadomość.

— Własną broń wydrze nam z ręki! — wykrzyknął.

— Jak dwa a dwa jest cztery!

— Trzeba go się naprzód pozbyć koniecznie.

Mandatarjusz westchnął znowu ciężko.

— To niepodobna! ja już sobie nie mało nad tem głowy nasuszyłem!

— Poróżnić go jakoś z Juljuszem...

Mandatarjusz bez nadziei machnął ręką.

— Ani gadania!

Żachlewicz uderzył się w czoło.

— Podejdę z mańki hrabiankę! — wykrzyknął i chytrze łypnął oczyma.

Mandatarjusz w zamyśleniu wydął naprzód obie wargi.

— Ta — mruknął.

Żachlewicz wytężył wzrok przed siebie, jakby w myślach rozwijał jakiś plan ukryty.

— Spuść się pan tylko na mnie! Już ja go jakoś wykurzę.

W tej samej chwili drzwi rozwarły się z trzaskiem, a jakby umyślnie przysłany Katylina ukazał się we drzwiach.

Obadwaj zacni spólnicy, zajęci żywą rozmową, nie słyszeli wcale tętnienia zajeżdżającego przed ganek konia. Katylina pojawił się nagle przed ich oczyma jak *deus ex machina*, jak groźna wróżba dla knowanych właśnie zamiarów.

Mandatarjusz pobladł jak ściana z zdziwienia i przestrachu, z rozdziawioną gębą wypatrzył się wybałuszonemi na wierzch oczyma na niespodziewanego gościa, niemy i nieruchomy jak drogowskaz na rozstajnym gościńcu.

Żachlewicz w nieświadomem pomieszaniu odskoczył o krok wtył i zaczął kłaniać się zawzięcie raz poraz, jakby przed samym JW. hrabią.

Katylina parsknął swym zwyczajnym rubasznym śmiechem.

— Przeszkodziłem panom podobno — rzekł.

— O nie, bynajmniej! — upewniał mandatarjusz opamiętując się powoli.

Żachlewicz nie przestawał kłaniać się coraz uniżeniej.

Katylina z wyrazem drwiącego zdziwienia spoglądał na nieznajomego sobie człowieka, który z tak przesadną witał go grzecznością.

Mandatarjusz spostrzegł ciągłe zakłopotanie swego spólnika, i chwytając go za rękę, rzekł prędko, w uroczystej stawiąc się pozycji:

— Mam honor zarekomendować panu pana Czorguta, przyjaciela naszego dziedzica.

Żachlewicz kłaniał się dalej.

— Pan Żachlewicz, były rządca jeneralny i pełnomocnik pana hrabiego z Orkizowa, mój przyjaciel! — ciągnął dalej mandatarjusz.

Katylina skinął zlekka głową, ale za pierwszem już spojrzeniem strasznie mu się nie podobała fizjognomja nieznajomego.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana Tachlewicza — rzekł swym zwykłym lekceważącym, impertynenckim tonem.

— Żachlewicza! — poprawił prędko mandatarjusz.

— Żachlewicz! przepraszam, przesłyszało mi się — mruknął i rzucając się na drelichową sofkę, niedbale machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: Wszystko jedno.

Żachlewicza ogromnie ubódł ton mowy niepoprawnego afronta, a umyślne jak się zdawało przekręcenie nazwiska oburzyło go do żywego.

Przyszedł zupełnie do siebie i chwytając za czapkę, zaczął żegnać się mniej uniżenie.

— Zasiedziałem się — mruczał zcicha — a czekają mię w domu. Upadam do nóg.

I uściskawszy się czule z panem Gągolewskim, wybiegł prędko z kancelarji.

Katylina odprowadził go szyderczym wzrokiem i uśmiechem aż do drzwi, a potem wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

W czteromiesięcznym przeciągu czasu powierzchowność jego żadnej na pozór nie uległa zmianie, wszakże bystrzejszy wzrok spostrzegawczy mógłby w fizjognomji jego jakichś wcale nowych dopatrzyć odcieni. Poza dawnem wyzywającem szyderczem spojrzeniem, dawnym nieodstępnym uśmiechem lekceważenia dla wszystkich i wszystkiego, przebijał się pewny cień jakiegoś skrytego zajęcia, jakiegoś stalszego zamyślenia.

Kiedy ujrzał się sam z mandatarjuszem, ozwał się prędko:

— Przejeżdżając, wstąpiłem do pana na chwilkę.

Mandatarjusz ukłonił się w milczeniu.

— Żadnej wieści o Ołańczuku?

— Najmniejszej. Zdaje się jednak, że nie wskórawszy nic w kryminale samborskim poszedł aż do Lwowa.

Katylina niezadowolony kiwnął głową.

— Pan dobrodziej sam kazałeś go wypuścić z aresztu — odezwał się mandatarjusz.

— Myślisz pan jednak, że wskóra coś we Lwowie?

Mandatarjusz podciągnął brwi z ważną miną.

— Ten łotr zacięty do istnego szaleństwa, może nam ściągnąć na kark komisję.

Katylina machnął ręką z lekceważeniem.

— W zaklętym dworze ucichło już zupełnie? — zapytał.

— Owszem, dziś mówił mi policjant, że wczoraj znowu po raz pierwszy od kilku miesięcy zajaśniało światło w narożnych oknach dworu.

Katylina porwał się gwałtownie.

— Czy pewnie tylko?! — wykrzyknął.

— Policjant wracając z egzekucji z Żawalny, widział je na własne oczy.

Katylina chwycił za swój lekki słomiany kapelusz i skinął głową na pożegnanie.

— Gdyby cokolwiek przyszło o Ołańczuku, proszę mi donieść niezwłocznie! — rzekł, prędko skręcając do drzwi.

— Nieomieszkam.

— Dowidzenia zatem, panie Gągolewski.

Chwilkę potem Katylina popędził już konno ku gościńcowi, a mandatarjusz patrząc za nim z ganku, pokręcił głową ze znaczeniem i palcem potarł po czole.

— Gdybym sam jak osioł nie wlazł był w zasadzkę... — mruknął ze zmartwieniem.

Po chwili wyprężył się dumnie i groźnie nasrożył czoło.

— Ale jak pryncypałowi skroimy kurtę, tożto z sobą pogadamy, mój ty panie portrecie łotrowski! — dodał jakby na własne pocieszenie.

## DOMYSŁY.

Katylina w niezwyczajnem zamyśleniu powrócił do domu i zaraz udał się do pokoju Juljusza. Wiadomość o nowem pojawieniu się stracha w zaklętym dworze szczególniejsze sprawiła na nim wrażenie. Całą drogę bił się z najróżnorodniejszemi

myślami, a kiedy wreszcie stanął w Oparkach i oddawszy konia służącemu, spieszył do pokoju przyjaciela, mruknął półgłosem:

— Teraz już zgłupiałem do reszty! Po wszystkiem, co zaszło, to nowe zamieszkanie zaklętego dworu niepojętą wydaje mi się zagadką.

Juljusz siedział nad jakąś książką w swoim pokoju, a snać się nie spodziewał tak rychłego powrotu przyjaciela, bo wykrzyknął w zdziwieniu:

— Jakto, ty już tutaj?

— Nie jeździłem do Zawalni.

— Cóż ci przeszkodziło?

Katylina rzucił się jakby utrudzony na pobliski fotel.

— Wyobraź sobie — rzekł żywo — zaledwie wyjechałem za bramę, spotykam polowego z Hruszówki, a ten klnie mi się na wszystko, że w zaklętym dworze znowu po nocy jaśnieje światło.

— Niepodobna! — krzyknął Juljusz, zrywając się napół z krzesła.

— Nie wierzyłem także z początku, ale przybywszy do mandatarjusza w sprawie Ołańczuka, dowiaduję się, że i jego policjant widział tej nocy światło w narożnych oknach dworu.

Juljusz wydał wykrzyk zdziwienia i przestrachu, Katylina wzruszył ramionami jak człowiek, który gniewa się czegoś sam na siebie.

Aby zrozumieć, dlaczego wiadomość, która do niedawna nikogo nie dziwiła w okolicy, obecnie tak wielkie na obudwóch przyjaciołach sprawiła wrażenie, musimy teraz dopiero opowiedzieć, co się działo z Katyliną, kiedyśmy go zostawili w ręku starego klucznika, a spotkali następnie w życie koło orkizowskiego ogrodu.

Katylina mimo swego wcale jeszcze młodocianego wieku, niejedno w życiu przebył niebezpieczeństwo, niejednej zuchwałej ważył się przygody, wszakże owa pamiętna noc w czerwonym pokoju zaklętego dworu najsroższem ze wszystkich musiała mu pozostać wspomnieniem.

Rozbrojony i pokonany znienacka, ujrzał się w jednej chwili w zupełnej mocy człowieka, który zdawał się zmysły tracić z wściekłości, a morderczą w ręku połyskiwał bronią. Po jego krwią zaszłych oczach, zapienionych ustach i konwulsyjnie drgającej twarzy, nie można się było spodziewać ani iskierki litości lub opamiętania.

Daleki od wszelkiej pomocy ludzkiej, Katylina wszelką już do szczętu postradał nadzieję i poddając się ślepo srogiemu swemu losowi, czekał z rezygnacją na nieochybny cios morderczy.

Kośt' Bulij zaryczał jak zwierz rozsrożony i z okropnym poświstem wywinął nożem w powietrzu, kiedy tuż za nim rozległ się głośny wykrzyk zgrozy, a wzniesiona do morderczego razu ręka na niespodzianą wpół drogi natrafił zaporę.

Na sam wykrzyk ten zadrżał stary kozak, a w wzroku jego napół obłąkanym z wściekłości, mignęło światło opamiętania.

— Kośtiu, stój! — ozwał się w tej chwili urywany z przestrachu głos niewieści, a dwie drobne i delikatne rączki ujęły całą siłą uzbrojone i wzniesione w górę ramię starego klucznika.

— Wyznam ci — opowiadał potem sam Katylina Juljuszowi — że jakoś niesłychanie błogo i lubo zrobiło mi się w tej chwili, bo bądź co bądź, ale mówiąc między nami strasznie głupio wygląda koło serca, kiedy śmierć już naprawdę zaziera w oczy i szczerzy zęby, a człowiek jeszcze czuje zdrowie i życie w sobie. Odetchnąłem swobodniej całą piersią i wytężając wzrok ku memu aniołowi wybawicielowi, spotkałem się z nim oko w oko. Był to mój niedawny strach niewieści z latarką w ręku.

— Ah! — dodawał z niezwyczajnym u siebie zachwytem — nigdy, nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Zdaje się, że pod jego wpływem zapomniałem zupełnie o mojem położeniu. Widziałem tylko przed sobą dwoje cudnych niebieskich oczu, drgających zgrozą, litością i energją zarazem.

— Kośt' Bulij jakby zaczarowany opamiętywał się nagle, a z jego ponurej twarzy rozwiał się gdzieś bez śladu ów wyraz dzikiej, okrutnej wściekłości. Mimowolnie prawie puścił moją przygniecioną rękę i nie tak silnie już cisnął kolanami.

— Stój! dla Boga! Co chcesz uczynić! — krzyknęła nanowo moja wybawicielka, przytrzymując ciągle wzniesione do góry ramię kozaka.

— Ależ panno... — wybąknął kozak, więcej przestraszony niż rozsrożony.

— Puść go! — rozkazywała młoda dziewczyna z dawną energją.

— Ależ panno! — powtórzył nanowo kozak i znowu ulżył mi znacznie.

— Wtedy ja, wybijając się nagle z pod czaru wzroku nie-

znajomej, w jednej chwili odzyskałem całą moją energję, zręcznie i zwinnie pomknąłem się na bok, i zanim się opamiętał mój pogromca, wyrwałem się z rąk jego i jednym susem stałem już za stołem w pośrodku pokoju.

— I wtedy — dodawał Katylina właściwym sobie butnym tonem — zmieniła się cała sytuacja! Dobyłem z kieszeni drugiego pistoletu i wymierzyłem wprost w łeb klucznikowi, który widząc mię wolnym, w dawną zdawał się wpadać wściekłość. Przyznam się, że chciałem się teraz z nim podroczyć cokolwiek i byłbym mu sowicie nagrodził mój własny przestrach, ale wtem młoda dziewczyna zwraca się ku mnie dumna i wspaniała jak królowa i wskazując palcem na drzwi, rzecze z silnym naciskiem:

— Wyjdź pan! natychmiast!

— I proszę! bez oporu, bez wahania, jakby jakąś czarodziejską owładnięty siłą, usłuchałem jak trusia. Cicho, skromnie, potulnie, na palcach zeszedłem na dół i nim jeszcze ochłonąłem z pierwszego wrażenia, byłem już po drugiej stronie parkanu ogrodowego. Ale konia nie zastałem na dawnem miejscu. Urwał się zapewne zniecierpliwiony długiem czekaniem.

— Zacząłem teraz rozważać, co mam począć dalej. I oto szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy. Moja wybawicielka odpowiadała zupełnie twemu opisowi, w takim razie mogła to być tylko piękna hrabianka z Orkizowa.

— Aby więc i samego siebie przekonać i położyć koniec twoim wątpliwościom, postanowiłem zakraść się aż pod sam dwór orkizowski, aby widzieć wracającą hrabiankę.

W samej rzeczy też, nie wahając się długo, poszedł za pierwszym swym popędem, dotarł aż do Orkizowa i skryty w zbożu przy jednym gościńcu prowadzącym do dworu, czatował w zasadzce niejako na powrót młodej dziewczyny.

Ale całe przedpołudnie czekał napróżno, żaden wóz nie zbliżał się ku dworowi, po południu poznał powóz Juljusza, sama zaś hrabianka chyba jaką podziemną ścieżką dostała się napowrót do domu.

Zawiedziony w swem oczekiwaniu, zaczął Katylina rozmyślać nad całym stanem rzeczy i coraz większem zdawało mu się niepodobieństwem, aby nieznajoma zaklętego dworu a szesnastoletnia jedynaczka tak arystokratycznego domu była jedną i tą samą osobą. Przy głębszem zastanowieniu się samo to przypuszczenie wydawało się śmieszną niedorzecznością.

O ile jednak poznaliśmy dotąd charakter Katyliny moglibyśmy przewidzieć z góry, że nie poprzestał na tem przekonaniu.

— Aby się przeświadczyć niezbicie, muszę obaczyć koniecznie hrabiankę — powiedział sam sobie.

Pozostał też w swojem ukryciu, a ukazując tylko powracającemu z dworu Juljuszowi, wrócił pod żywopłot ogrodowy, w nadziei, że stąd najprędzej ujrzy hrabiankę.

I rzeczywiście spełniło się jego oczekiwanie. Nad wieczorem wyszła Eugenja z matką do ogrodu, a ukryty w swej zasadzce Katylina ujrzał ją zdaleka na krótką chwilę.

I teraz dopiero w największą popadł wątpliwość.

Nadobna postać nieznajomej z zaklętego dworu stała mu żywo przed oczyma, ale głównie utkwił mu w pamięci ogólny wyraz jej rysów, jej wzrok czarodziejski, bezprzykładna białość jej cery i włos niezwyczajnie jasny i bujny, a wszystkie te cechy znajdował kropla w kroplę w młodej hrabiance. Zdawało mu się tylko, iż nieznajoma była cokolwiek wyższą, cokolwiek poważniejszą w ruchach, ale to mogło być tylko złudzeniem uroczystości miejsca i chwili, a poniekąd i skutkiem różnicy stroju.

Tak tedy niczego nie dociekłszy, a właściwie w tem sprzeczniejsze jeszcze zagmatwany wątpliwości wrócił nazajutrz do domu i z wszystkich swych przygód doznanych zdał wierną sprawę Juljuszowi.

Obadwaj przyjaciele złożyli naradę wojenną.

Szlachetny aż do idealności Juljusz zżymał się gwałtownie na nieprawe naruszenie obcej tajemnicy i zuchwałe lekceważenie woli nieboszczyka. Katylina tysiącznemi tłumaczył się powodami, nie mógł jednak żadną miarą surowego uniknąć potępienia.

Oburzony Juljusz nie zważał bynajmniej na srogie niebezpieczeństwo, jakie podczas swej wyprawy przechodził zuchwały towarzysz młodości, i do coraz ostrzejszych unosił się wyrzutów.

Śród tego jak zawołany nadszedł Kośt' Bulij.

Juljusz przyjął starego kozaka, zmieszany i zakłopotany, jakby sam poczuwał się do winy, a wysłuchawszy jego skargi na swawolną inwazję Czorguta, przepraszał go najuroczyściej i nie badając dalej jego tajemnicy, prosił tylko, aby o całem zdarzeniu zupełne zachował milczenie.

Katylina z swej strony musiał związać się uroczystem sło-

wem honoru, że nigdy więcej żadnego samowolnego nie dopuści się kroku.

Na tem skończyła się pierwsza wyprawa Katyliny.

Odtąd jednak ogłuchły zupełnie wieści o pośmiertnych sztuczkach starościca.

Zaklęty dwór używał wprawdzie zawsze swej dawnej tajemniczej, podejrzanej reputacji, ale nikt już jakoś ani nie widział światła w jego pokojach ani nie słyszał wrzasku i rumotu w jego wnętrzu.

Juljusz pragnął właściwie wszelkiemi siłami poznać tak starannie ukrywaną tajemnicę, ale jak wszyscy ludzie wygórowanej delikatności uczuć, a nie bardzo energicznego i przedsiębiorczego ducha, radby był przyjść do niej bez własnych zabiegów i własnego przyczynienia się.

Katylina nie tyle wymyślny w wyborze środków, musiał z wielkiem swem niezadowoleniem poddać się życzeniom przyjaciela.

Obadwaj jednak mniej więcej na jeden zgodzili się domysł.

Ów maziarz tajemniczy byłto w ich przekonaniu jakiś zręczny wysłannik, który poznawszy zapewne Kośtia Bulija przy boku starościca za granicą, wybrał sobie później dom jego za miejsce schadzki i schronienia śród swej niebezpiecznej podróży.

Przypuszczenie to wyjaśnialo zupełnie i ów zagadkowy punkt testamentu co do przeznaczenia zaklętego dworu.

Starościc zawiązawszy jeszcze podczas swego pobytu w kraju tajemne z Paryżem stosunki, musiał je utrzymywać i podczas swej ucieczki, a zaskoczony nagłą śmiercią w Dreźnie, zapewne umyślnie przeznaczył dwór swój na jakieś tajne ognisko propagandy.

Długoletni wierny sługa i towarzysz starościca, stary kozak Kośt' Bulij znał zapewne dawniej tajemnicę związków starościca, toteż i później wydawał się najstosowniejszem narzędziem jego pośmiernych planów.

Dalsze rozmyślania i kombinacje naprowadzały nawet o krok dalej, pozwalały się domniemywać z mniej więcej niemylną pewnością, kto był właściwie ten zbiegły maziarz.

— Niezawodnie ów kwestarz tajemniczy — wpadł pierwszy na ten domysł Katylina — co podczas choroby starościca tak wielką osiągnął nad nim władzę i tak silny wywarł wpływ,

że zmienił niejako zupełnie jego charakter i na wcale nową popchnął go drogę.

Z wszystkiego, co obadwaj przyjaciele wiedzieli dotychczas o starościcu, nie trudno im było powziąć prawdziwe wyobrażenie o całym jego charakterze.

Starościc był niezaprzeczenie jednym z owych silnych, nieugiętych, nad wyraz namiętnych, a energicznych i przedsiębiorczych charakterów, co nieukiełzani wyższą myślą, niewprowadzeni na odpowiedni tor, najłatwiej wpadają na bezdroże i trawieni gorączkowemi żądzami swej natury, wobec ścieśnionego zakresu działania najczęściej samopas puszczają swą wolę i rzeczywistymi w oczach świata stają się dziwakami.

Zaniedbane wychowanie starościca nie mogło okiełzać wrodzonej gwałtowności jego charakteru, a odziedziczona po obłąkanym ojcu zaciekła nienawiść do pewnych stosunków wyrodziła się w zuchwały nieprzełamany opór przeciw wszystkiemu, co uchodziło za legalne, za zwyczajne, za odpowiednie panującemu składowi rzeczy.

Starościc dopuszczał się gwałtownej samowoli przeciw chłopom, nie tyle z jakichś złośliwych popędów tyranji i okrutności, ile dla tej jedynie przyczyny, że chłop stał pod opieką prawa, tulił się pod skrzydła władzy.

Starościc stronił od świata i ludzi nie dla jakiejś chorobliwej mizantropji, ale z obawy, aby nie stykał się z ludźmi, do których z natury nieprzebłaganą kipiał nienawiścią lub wrzał wzgardą, wyssaną niejako z mlekiem macierzyńskiem.

Pojmując w podobny sposób charakter starościca i zapatrując się z tej strony na jego dziwactwa, łatwo sobie wytłumaczyć, że od chwili, kiedy mógł przejrzeć jaśniej i szersze umysłem zakreślił koło, musiał zmienić zupełnie swoje usposobienie i postępowanie.

Odziedziczona nienawiść zawrzała głębiej i ku jednemu wyższemu zlała się celowi, a wrodzona energja i przedsiębiorczość ducha szerszą i śmielszą zakreśliła sobie działalność.

. . . . . .

Jak widzimy z tego wszystkiego, Juljusz i Katylina wyjaśniali sobie zupełnie prawie tajemnicę zaklętego dworu. Obadwaj przypuszczali prócz tego, że dawniejszy kwestarz a teraźniejszy maziarz zostaje w stosunkach z hrabią i że sama hrabianka dzieli niebezpieczeństwo ojca.

Przy takim zaś składzie rzeczy mniemali z pewnością, że

dwór zakląty, skompromitowany już i tak cokolwiek wobec zwierzchności, po odwiedzinach Katyliny przestanie być miejscem niebezpiecznych schadzek, że hrabianka podejrzana przez Juljusza, a zaskoczona przez Katylinę, nie zechce się narażać dalej, sam maziarz po ostatniej przygodzie z mandatarjuszem zniknie na zawsze z okolicy, a Kośt' Bulij będzie się starał ile możności zatrzeć dawne kompromitujące ślady.

Cztery następne miesiące usprawiedliwiały we wszystkiem te przypuszczenia.

Juljusz przez cały ten czas zaledwie dwa razy był w Orkizowie.

Nie mógł nie spostrzec jakiejś nieodgadnionej a coraz wzrastającej oziębłości hrabiego a nadto oburzało i to potrosze, że Eugenja aż do istnej obłudy odgrywała swą drugą rolę, zapierając się wszelkiego udziału w wypadkach zaklętego dworu.

Co jednak podobno najwięcej go ubodło i co jak się zdaje widomem cierpieniem wyryło się na twarzy — to spotkanie z hrabią Augustem Wyklickim w orkizowskim pałacu.

Juljuszowi zdawało się, że w stosunku Eugenji z dalekim kuzynem przebija się coś więcej niż same reminiscencje dawnej przyjaźni, niż życzliwe uczucia dalekiego powinowactwa.

Z tem wszystkiem jak tylko w tej chwili dowiedział się o nowej schadzce w zaklętym dworze niebezpieczeństwo Eugenji stanęło mu najpierwej przed oczyma.

— Nowe schadzki w zaklętym dworze! — mruknął — to już więcej jak nierozwaga, to szaleństwo!

Katylina wzruszył ramionami.

— A jak na toż — rzekł — nieugięty w swej zaciekłości Ołańczuk poszedł do Lwowa, a składając tam swoje zeznania, gotów ściągnąć nam komisję.

— Uparłeś się, aby go wypuścić z aresztu.

— Bo upewniłem się naprzód, że nic nie wskóra w samborskim kryminale.

Juljusz w zamyśleniu przeszedł się tam i nazad po pokoju.

— W takim składzie rzeczy niepodobna nam zachować się nieczynnie.

Katylina z drwiącą miną machnął ręką.

— Wiesz, że w szkołach oponowałem nieraz przeciw twej nazwie Gracchusa. Tobie przypadłby lepiej przydomek Hamleta!

Juljusz zmarszczył czoło, jakby głębiej uczuł przymówkę.

— Być może — rzekł z przekąsem — lecz tem właśnie

różnimy się od siebie, ze mój szkolny przydomek za mało odpowiedni memu charakterowi, twój aż zanadto stosowny.

Katylina parsknął śmiechem.

— Ho, ho! stajesz się drażliwym jak widzę.

Juljusz nic nie odpowiedział, tylko zadzwonił gwałtownie.

— Każ mi osiodłać *Laudona!* — zawołał na wchodzącego Filipa.

Katylina rozparł się wygodnie na sofie i z nietajonem szyderstwem spoglądał na rozdrażnionego cokolwiek przyjaciela.

— Cóż myślisz robić? — zapytał wreszcie.

— Pozwól mi działać na własną rękę — odpowiedział Juljusz szorstko i jakby dla uwolnienia się od dalszego badania, wyszedł szybko z pokoju.

Katylina flegmatycznie wzruszył ramionami, sięgnął po leżące w pobliżu cygaro i zapalając je najspokojniej, szepnął sam do siebie:

— Złote serce, walny charakter u tego chłopaka, ależ z tem wszystkiem — szlafmyca! niech mię djabli porwą, szlafmyca!

Należałoby może napomknąć jeszcze kilku słowy, jaki trwalszy stosunek w ciągu upłynionych czterech miesięcy ustalił się między Juljuszem i Czorgutem.

Nie tak łatwa na to odpowiedź.

Katylina przywędrowawszy raz do dawnego kolegi i przyjaciela rozgospodarował się u niego jak w własnym domu, nieproszony zajął się wszystkiemi sprawami majątkowemi, mieszał się do wszystkiego, dysponował każdemu, nie ulegał nikomu.

Juljusz przyjął z początku dawnego przyjaciela tylko jako chwilowego gościa w swym domu, lecz niebawem przekonał się, że przybycie jego wielkie wróżyło mu korzyści. Niepraktyczny z natury marzyciel, nie umiał sobie zgoła radzić w sprawach majątkowych. Zdany zupełnie na łaskę i rozum swych oficjalistów, ulegał im biernie we wszystkiem, a w swej przesadnej delikatności ani pomyślał nigdy o żadnej kontroli.

Być może, iż oswoiwszy się powoli z swym jakby z nieba spadłym majątkiem, oswoiłby się także lepiej i z gospodarstwem, ale w pierwszych chwilach swego posiadania przychodziło mu to strasznie trudno.

Energiczny charakter Katyliny, jego większa znajomość ludzi, ten wreszcie właściwy mu bezwzględny tryb postępowania równoważyły zupełnie niepraktyczność i początkową nieporadność Juljusza. Nie znając się zupełnie na gospodarstwie wiej-

skiem, Katylina umiał sobie przecież poradzić we wszystkiem, a od jednego razu podniósł dochody dwójnasób w górę ku niesłychanemu zmartwieniu Girgilewicza i reszty mniej więcej podobnych mu kolegów.

Myliłby się jednak grubo, ktoby z tej działalności Katyliny wnosił o jakimś stosunku służebnym czy obowiązkowym do Juljusza.

Katylina działał wszystko z własnego popędu *ex propria diligentia*, kiedy chciał, jak chciał, to robił, nie czekając żadnego upoważnienia właściciela i nie troszcząc się bynajmniej o jego rozkazy.

Nie dał sobie ani wspomnieć o żadnej płacy, ani też poczytywał się w czemkolwiek związanym.

Wszystkie swe potrzeby zaspokajał na koszt Juljusza bez wszelkiej żenady i wszelkich szkrupułów sumienia.

Trawiony zawsze swym nieprzyzwyciężonym pociągiem do awanturniczego trybu życia, który tylu przebytemi jeszcze podsycił się przygodami, nie wiedział sam nigdy, czy tydzień następny, czy nawet dzień jutrzejszy przepędzi w Oparach, czy też przypadkiem jakim na nowe i niepewne zapędzi się koleje.

— Dziś tu, jutro tam! — uważał już od dawna za swą zasadę, za swoje hasło ulubione.

Wszakże przekonywał się powoli, że im dłużej zasiadywał się na jednem miejscu, tem silniej skłaniał się do porządniejszego trybu życia.

Gdyby nie owa intrygująca z początku tajemnica zaklętego dworu, a następnie owo spotkanie się z tą piękną nieznajomą w czerwonym pokoju, byłby może dawno już sprzykrzył sobie pobyt w Oparkach, chociaż stanowisko wobec oficjalistów Juljusza nie było także bez pewnej ponęty dla jego wiecznie szyderczego usposobienia.

Nie zadając sobie najmniejszego przymusu w obcowaniu z Juljuszem, przyjmował i od niego bez urazy drażliwszą nawet przymówkę jak równy od równego.

To też i teraz zły humor Juljusza najmniejszego na nim nie wywarł wpływu.

Leżał sobie wygodnie i spokojnie na sofce, i popalając cygaro wielkiemi kłębami dymu, puścił wolny bieg myślom.

Nagle porwał się na pół.

— Żeby też po dziś dzień nie wiedzieć jeszcze z pewnością, czy to była rzeczywiście hrabianka czy nie, to doprawdy potrzeba cymbała na to! — wykrzyknął głośno.

— Ciekawym, co też on zechce zrobić! Byle tylko nie popsuł wszystkiego i nie ocaliwszy nikogo, sam jeszcze nie dostał się do kozy... — mruknął przez zęby.

Po chwili wstał z sofy i przystąpił do okna.

— Koń już osiodłany! Gdzie też on pojedzie!

W tej samej chwili Juljusz ukazał się na ganku i śpiesznie dosiadł konia, a tuż zaraz rozległ się tętent kopyt.

Katylina odstąpił od okna i zadzwonił gwałtownie.

— Każ osiodłać mi bułanego, ale duchem, piorunem! — zawołał na wchodzącego lokaja.

## PIERWSZE ODKRYCIE.

Juljusz z silnem jakiemś postanowieniem wyjechał z domu i pognał ku Buczałom, skąd jak wiadomo jedyna do zaklętego dworu prowadziła droga,

O kilkanaście kroków przed zakrętem w znaną nam lipową ulicę, spotkał młody dziedzic swego godnego mandatarjusza.

Pan Gągolewski wracał z folwarku, a twarz jego promieniała cała szczególnem zadowoleniem, bo łatwiej niż się spodziewał, powiodło mu się Girgilewicza przyciągnąć do knowanego spisku.

Stary ekonom, podłechtany świetnemi obietnicami, a srodze rozżalony na Katylinę, nakłonił się skoro do wszystkiego i oświadczył się gotowym w każdej chwili wystąpić z świadectwem, że nieboszczyk starościc był warjat, *taj tylko!*

— Wykurzymy za dziesiątą miedzę tego młodego szerepetkę i jego zausznika! — przyrzekał na końcu mandatarjusz.

Pan Girgilewicz westchnął ciężko.

— Już tam nie tyle chodzi mi o samego dziedzica, bo między nami mówiąc, to jeszcze nie złe byłoby człeczysko — rzekł potrząsając głową — ale ten zawłoka, to istny czort, taj tylko.

Mandatarjusz na każde wspomnienie Czorguta mimowólnie srożył czoło.

— Poczekajno jegomość — pocieszał się teraz — taką mu kurtę skroimy, że mu aż w pięty pójdzie.

— Dałby Bog, taj tylko — wzdychał Girgilewicz i po krótkiej dalszej rozprawie dobił ostatecznie targu.

Mandatarjusz dopiąwszy swego, wracał do domu w złotym humorze; całą drogę mówił półgłośno do siebie i na wszystkie strony obiema gestykulował rękoma.

Niema co mówić — rozpamiętywał — tęgi łeb u tego Żachlewicza! Jak wszystko wykalkulował! Wielka szkoda, że nie ma egzaminów na mandatarjusza i *polizeirychtera!*

Po tym wybuchu swej adoracji, pomieszanej znacznie z zazdrością, przystąpił pan sędzia w dalszym monologu do właściwej rzeczy.

— Dowiedzione już — prawił dalej — starościc nie był przy zdrowych zmysłach umierając, a my postawimy dowody, że mu brakowało piątej klepki i za życia... Testament musi być uznany za żadn... *null und nichtig*, mości dobrodzieju!... Jaśnie wielmożny hrabia, pan z panów, obejmuje majątek *ob intestato*... ten niedowarzony młokos dostanie szczutka w nos... a ten jego przyjaciel i zausznik frrr — zafurczał nagle, ale tuż zaraz przymilkł coprędzej, bo za plecyma swemi posłyszał tętent konia, a obróciwszy się, ujrzał Juljusza.

Pochwycił skwapliwie za czapkę i ukłonił się jak mógł najuniżeniej.

Zacny nasz mandatarjusz miał tę chwalebną zasadę, że nie lubił nigdy zarzucać sieci przed niewodem, czyli inaczej strzegł się jak ognia pokazać pierwej swe drapieżne pazury, aż póki wszelkie nie usunęło się niebezpieczeństwo.

Juljusz uprzejmem skinieniem głowy odpowiedział na uniżony ukłon swego oficjalisty i nie zatrzymując się wcale, pognał dalej.

— Gdzie też on jedzie? — zagadnął się mandatarjusz.

Juljusz skręcił w lipową ulicę.

Mandatarjusz cmoknął językiem.

— Do zaklętego dworu! Hoho! coś nowego się święci! dalibóg święci!

— Żeby go też można podejrzeć bliżej — szepnął.

Po chwili pokiwał głową, łypnął oczyma i mruknął przez zęby:

— Fiufiu! pan komisarz *Schnoferl!*

Ale w tym momencie zadrżał cały, bo znowu raźny za plecyma ozwał się tętent.

Obejrzał się coprędzej. Przed nim stał Katylina na zdyszanym i spienionym koniu.

— Nie widziałeś pa w tej chwili Juljusza? — zawołał pan Damazy Czorgut, nie odpowiadając nawet na uniżony ukłon mandatarjusza.

— Właśnie co znikł w lipowej ulicy — odpowiedział skwapliwie pan Gągolewski.

Katylina skoczył z konia.

— Dobrze — mruknął przez zęby. — Mój mości Cągolewski — zawołał głośno, zciągając na dół — uzdę — bądź łaskaw, weź konia mego do siebie, ja pójdę piechotą.

I w tejże samej chwili nie troszcząc się bynajmniej o odpowiedź, rzucił tak zręcznie uzdę ku mandatarjuszowi, że jak stryczek zawisła mu na szyi. Sam zaś co tchu popędził ku lipowej ulicy.

Nieprzygotowany na tak zaszczytne zlecenie mandatarjusz rozdziawił nielitościwie gębę, wybałuszył oczy i stał niemy i nieruchomy, z uzdą na szyi, jak osioł pochwycony na arkan wśród stepu.

Opamiętał się nareszcie po dobrej chwili i nabiegając krwią cały, z dziką złością zgrzytnął zębami.

— Za co on mnie ma! ten oczajdusza! — zawołał w najwyższej pasji i indygnacji.

I zrywając gwałtownie uzdę z szyi, chciał ją daleko rzucić od siebie, ale w tem zawahał się jakoś.

— Niech cię piorun trzaśnie! — wysapał w gniewie, machnąwszy ręką. — Ale poczekaj szubienniku, zapłacisz mi wszystko z lichwą! Tak mi Boże daj zdrowie!

Po tym gwałtownym wybuchu trzęsąc się jak w febrze z gniewu, szybkim krokiem pośpieszył do swego mieszkania, prowadząc znużonego konia za sobą.

Juljusz tymczasem pędził wprost ku zaklętemu dworowi.

Krótką chwilkę jakby z samej ciekawości tylko, zatrzymał się przed główną bramą wjazdową i zaraz skręcił w bok, wąską ścieżką wzdłuż parkanu ogrodowego.

W kilka chwil stał przed zagrodą Kostia Bulija.

Z poza wysokiego ociernionego płotu ozwało się głośne szczekanie psów.

Juljusz zeskoczył z konia i przystąpił do bramy, lecz zastał zamkniętą. Zaczął pukać coraz silniej, ale prócz szczekania psów, żaden inny nie odpowiadał mu głos.

Dobywając się ciągle bezskutecznie, spostrzegł, że bramę zamykała tylko żelazna zasuwka z drugiej strony. Oczywiście więc musiał ktoś być w domu.

Zniecierpliwiony podjechał koniem pod samą bramę, spiął się w siodle i przechylając się przez wierzch przy pomocy szpicruta odsunął rygiel żelazny.

Brama rozwarła się na ścieżaj.

Obadwa brytany jakby przestraszone nagłym napadem, czy

może udobruchane samą powierzchownością Juljusza, przestały naraz ujadać i tylko zcicha warczały przy swych budach.

Juljusz zsiadł z konia i z niejakiem wahaniem oglądnął się dokoła.

Samotna zagroda wyglądała pusta i głucha jakby niezamieszkana. Jedne tylko psy dawały oznaki życia.

Młodzieniec widocznie chwiał się w niepewności, jak sobie dalej postąpić.

Zasunięty z tej strony rygiel świadczył niezbicie, że jeśli nie sam Kośt', to ktoś inny musi być w domu.

Juljusz chciał niezwłocznie widzieć się z starym kozakiem, pierwszy raz postanowił z nim pomówić otwarcie i stanowczo. Nie zastawszy zaś teraz jak się zdawało jego samego, chciał przynajmniej widzieć osobę, co po nim zasunęła rygiel u bramy.

Tymczasem nikt z chaty nie wychodził na jego przyjęcie, a prócz obudwu psów w całej zagrodzie żadnej żywej nie widać było duszy.

Juljusz postanowił zaprowadzić konia swego do stajni i wejść wprost do chaty.

Stajnia przypierała jak zwykle we wszystkich chłopskich zagrodach tuż do stodoły, a stała naprzeciw głównego budynku:

Juljusz wszedł do środka i zastał ją zupełnie próżną.

Kośtia więc w samej rzeczy nie było w domu, bo tylko sam wyjeżdżał swemi czarnemi końmi.

Młodzieniec zawahał się w progu i nie myślał już iść dalej.

— Niewątpliwie niema go w domu — szepnął sam do siebie.

W tem koń jego zarżał głośno, a z przyległej stodoły odpowiedziało mu jakieś inne głośne rżenie końskie.

Juljusz drgnął mimowolnie.

— Więc nie mylę się, ktoś tu jest koniecznie — mruknął.

I zmieniając nagle poprzednie swe postanowienie, przywiązał konia swego do żłobu, a sam przez szczeliny w ścianie próbował zajrzeć do środka stodoły. Wszakże wszędzie wyglądały tylko zasieki zboża, a tok do młócenia stał pusty i próżny.

Dopiero po dłuższem usilnem rozglądaniu się dopatrzył Juljusz, naprowadzony rżeniem konia, że w najciemniejszym kącie stajni odchyla się ściana od stodoły i prowadziła w ciasną kryjówkę, założoną dokoła snopami i okłotami.

Kryjówka ta nie była w tej chwili próżną. Z niej wychodziło rżenie konia.

Juljusz odchylił zlekka ukryte drzwi i wydał wykrzyk zdziwienia.

Ujrzał przed sobą mały wózek z czarnem słomianem nakryciem i tego małego srokatego konia, krórym tajemniczy maziarz uciekał z dominium, spotykając się w drodze z nim samym.

— A więc on jest tutaj znowu! — mruknął Juljusz.

Pierwsze domysły sprawdzały się zupełnie.

Światło w narożnych oknach dworu znamionowało tylko nowy powrót tajemniczego gościa.

— Lecz jakże po ostatniej swej przygodzie odważył się powrócić w te strony, nie zmieniwszy nawet przebrania? — zagadnął się Juljusz w głębokiem zamyśleniu.

— Taka nieroztropność jest nietylko szaleństwem wobec siebie samego, ale zbrodnią wobec sprawy. Jak łatwo może się wszystko odkryć.

— Nie żałuję, że tu przyszedłem! Muszę koniecznie widzieć się z samym maziarzem! — dodał z silnem postanowieniem.

Im pilniej jednak rozmyślał nad ogólnym składem rzeczy, tem dziwniejszem wydawało mu się całe postępowanie zagadkowego maziarza.

Domyślał się już z niezbitą pewnością, że człowiek ten byłto tylko w innem przebraniu ten sam zręczny kwestarz-emisarjusz, co przybywszy podczas choroby starościca do Żwirowa, potrafił w nim w krótkim czasie tak gorliwego i zapamiętałego zjednać sobie zwolennika i niejako jednym zamachem zmienił cały charakter i całą istotę moralną człowieka, którego wszyscy mieli za półgłówka, dziwaka i niemal warjata.

Juljusz wiedział głównie z opowiadania mandatarjusza, że władza cyrkularna wpadła wówczas na trop tego mniemanego kwestarza, że odkryła wprawdzie jego niebezpieczny charakter, ale samego nie mogła dostać w swe ręce.

Od tego czasu zrzucił on zapewne habit kwestarski, a przywdział osmoloną płótniankę maziarza; lecz dla czegoż teraz po nowem niebezpieczeństwie odkrycia do tego samego uciekł się przebrania?

Czy za pomocą swych stosunków dowiedział się, że za wpływem Juljusza cały ten wypadek został zręcznie przytłumiony i zupełnie poszedł w niepamięć?

W takim razie miał Juljusz zupełne prawo do jego wdzięczności, a szczególniej zaufania.

— Czyż zresztą ma mię za szpiega, że nie pragnie się

znieść ze mną? — bił się dalej z myślami niedoświadczony młodzieniec.

— Jeśli był wysłannikiem tajnych stowarzyszeń, piastunem i krzewicielem tajnych zamiarów, musiało mu więc tem samem zależeć na jak największym przyroście zwolenników.

— Dlaczegoż jednak tak starannie unikał Oparek?

Na wszystkie takie i tym podobne zagadnienia jeden tylko słaby nasuwał się domysł.

Aby tem lepiej ubezpieczyć swoje tajemnicze schronienie i miejsce schadzek z spólnikami, wystrzegał się przebiegły emisarjusz wszelkich agitacyj w bezpośredniem pobliżu i tylko na nieco dalsze okolice rozciągał swe działania.

Po nieszczęśliwych próbach samego starościca a późniejszem reformatorskiem niepowodzeniu Juljusza niebezpiecznie było podnieść nanowo głos w dobrach, zostających pod pilniejszym nadzorem, śród chłopów, zrażonych pierwszemi niezachęcającemi doświadczeniami. Wszyscy bowiem przypominali sobie jak surowe po ucieczce starościca wytoczyło się śledztwo i jak groźna nad kilku gromadami wisiała chmura.

W ciągu ubiegłych czterech miesięcy Juljusz potajemnie dowiadywał się o działaniu maziarza w okolicy i przekonał się, że ma wielki wpływ i zachowanie w gromadach nieco odleglejszych, rzadko jednak i to tylko w przejeździe, pokazywał się w sąsiedztwie Żwirowa.

Bądź jak bądź, nie zapuszczając się w żadne dalsze domysły i kombinacje, postanowił Juljusz dotrzeć dziś koniecznie do dna tajemnicy i nie opuścić pierwej odludnej zagrody, pokąd otwarcie i stanowczo nie rozmówi się z maziarzem.

Przekonawszy się, że niema jego samego w ukryciu przy wózku i koniu w stodole, chciał udać się do wnętrza chaty i nie ruszyć stamtąd, aż pokąd zamierzonego nie dopnie celu.

Dziwiło go jednak wielce, że kiedy psy dawniej zamilkły zupełnie, teraz nagle z podwójną ujadały zaciekłością i wszelkiemi siłami rwały się ku chacie samej.

Juljusz przystąpił ku drzwiom, ale na niespodziewaną trafił zaporę. Drzwi nie zdawały się zamknięte, a żadną miarą niepodobna ich było otworzyć, jakby je z tyłu jakieś silne podpierały barki.

Namozoliwszy się napróżno czas niejakiś, zaniechał utrudzony dalszej próby i postanowił spokojnie czekać na dziedzińcu, aż pokąd jaka żywa nie pojawi się dusza.

Kilka chwil przechadzał się w milczeniu tam i nazad po

dość ciasnej oborze, a w tem spostrzegł, że do przyległego ogrodu hrabiowskiego prowadziła stąd wygodna furtka, która w tej chwili była nawet napół odchylona.

Juljusz w pierwszym zapędzie zmierzył wprost ku niej. Na samym progu zawahał się jednak.

— Złamałbym ostatnią wolę nieboszczyka — rzekł sam do siebie, cofając się mimowolnie w tył.

Wszakże nic łatwiejszego, jak coś tłumaczyć samemu sobie.

Juljusz zamyślił się na chwilę, a potem wstrząsł głową jakby się jakiegoś ważnego pozbył pożaru.

— Testament mówi tylko o samym dworze — rzekł sam do siebie. — Nie wolno mi tylko przestąpić progów dworu, ale o ogrodzie niema wyraźnej wzmianki.

— A zresztą do czegoż to wszystko, kiedy i tak cała tajemnica jest już mniej więcej w moim ręku — dodał jakby na ostatnią swą ekskuzę. I nie wahając się już dłużej, wszedł wprost do ogrodu.

Od furtki prowadziła wśród krzewów agrestu i pożyczek wąska ścieżka ku cienistej ulicy kasztanowej, tej samej, którą Kóśt' Bulij biegł do zaklętego dworu, kiedy po rozstaniu się z maziarzem ujrzał nagle światło w narożnych oknach dworu.

Wglądając w wszystko uważnie, spostrzegł Juljusz, że ścieżka ta acz widocznie wydeptana, zdawała się być bardzo mało uczęszczaną i zaledwie tylko tu i ówdzie mniej bujny zarost trawy świadczył, że czasami ludzka przesuwała się po niej stopa.

W samej zaś cienistej ulicy kasztanowej i takich nawet nie było śladów. Bujny zarost trawy zielenił się wszędzie.

Wogóle też wyglądał cały ogród strasznie opuszczony i spustoszony. Najpiękniejsze drzewa owocowe w dzikie powystrzelały konary, młode krzewy pokoszlawiały do niepoznania, a najszlachetniejsze kwiaty wyrodziły się zupełnie, przygłuszone dzikim chwastem i bodiakami.

Juljusz nie szedł ku dworowi, ale skręcił wprost w głąb ogrodu.

Mimo całego swego zaniedbania i opustoszenia, ogród zaklętego dworu bardzo uroczą nastręczał przechadzkę.

Każda ulica, każda grządka, każde drzewo przypominały w nim dawny smak i dawne czasy. Cieniste szpalery labiryntowemi zakrętami wiły się dokoła, a tu i ówdzie wpadały w szerokie altany z stuletnich lip i modrzewiów, lub nagle w kilka-

naście drobnych, agrestem wysadzanych rozbiegały się ścieżek. Pogarbione i pożłobione w pniach drzewa owocowe zdawały się z jakimś melancholijnym smutkiem potrząsać bezpłodnemi gałęziami, jakby czuły swe dzisiejsze opuszczenie.

Juljusz przypominał sobie, że według opowiadania dawnych sług dworskich, rozlewał się w zatyle ogrodu szeroki staw z małą wysepką po środku, na której nieboszczyk starościc najchętniej swe tajne z kwestarzem odbywał konferencje.

Jakby jakiemś niewiadomem owładnięty przeczuciem, Juljusz spieszył w tę stronę, orjentując się bacznie śród krętych, najczęściej zwodniczych ścieżek.

Niebawem natrafił na szerszą cokolwiek ulicę, a postępując wprost za jej kierunkiem, ujrzał zdala gęste zarośla trzciny i szuwaru, które w ciągu pięcioletniego opuszczenia ogrodu okryły bujnie tak troskliwie utrzymywane niegdyś brzegi i tylko wierzchołki drzew pozwalały widzieć z położonej w środku wysepki.

— Wyborne miejsce do tajemniczych schadzek — wykrzyknął Juljusz mimowolnie — możnaby się ukryć przed samym Argusem!

I prawie bezmyślnie postępował wzdłuż brzegów, próbując tu owdzie przejrzeć przez gęste zarośla.

Nagle przystanął uradowany.

Jedna wąska smuga stawu była zupełnio wolna od zarośli, a kamiennemi płytami wyłożone pochyłe wybrzeże wskazywało, że tu dawniej przybijały łódki z wysepki.

Teraz jeszcze znajdowało się w pobliżu kilka starych, na poły spróchniałych łodzi z wygodnemi, skórą wybijanemi siedzeniami, a koło nich mnóstwo mniej więcej zgrabnie wyciosanych spoczywało wioseł. Juljusz nie mógł przytłumić lekkiego wykrzyku zadowolenia.

— Pojadę do wysepki! — zawołał sam do siebie.

I przystępując bliżej do łódek, przymocowanych na łańcuszkach do wielkiego żelaznego pala, wybierał oczyma, która z nich najlepiej nadałaby się do podróży.

Nagle wstrząsł się zlekka i pilnie nadstawił uszu.

Śród głuchej ciszy przerywanej tylko świergotem ptasząt po drzewach, odezwał się lekki plusk wody, jakby uderzenie wioseł w oddali.

Juljusz cofnął się szybko w głąb za zarośla trzciny, wytężając ucho i wzrok ku stronie, skąd pierwszy doleciał go szmer.

W samej rzeczy byłto plusk wioseł i coraz przebijał się głośniej i wyraźniej.

Juljusz uczuł, że mu krew cokolwiek szybszym uderzała biegiem.

Za chwilę miał stać oko w oko z tajemniczym człowiekiem, który może nie życzył sobie tego spotkania, a w którego tajemnicę on tak zuchwale się zakradał.

I sam nie wiedział młodzieniec, czy ma odrazu wystąpić naprzód i oczekiwać go otwarcie u brzegu, czy pozostać nieruchomo w swem ukryciu i dopiero później zastąpić mu drogę.

— Może właśnie najgorzej uprzedzę go o sobie, że go aż do tej tropiłem kryjówki... — szepnął sam do siebie.

Tymczasem plusk wioseł zbliżał się coraz więcej.

— Pójdę i będę go oczekiwał na zakręcie ulicy — poszepnął naraz stanowczo.

I już chciał wzdłuż zarośli trzciny popędzić w głąb ogrodu, kiedy znowu nagle przystanął nieruchomy.

— Zapóźno... — mruknął.

Rzeczywiście łódka musiała już być bardzo blisko, bo coraz wyraźniejsze rysowały się już kręgi na wodzie, a fale coraz wyżej występowały na kamienne wybrzeże.

— Będę czekał tutaj, aż łódka przybije do brzegu, a wtedy wystąpię otwarcie i śmiało — rzekł sobie z silnem postanowieniem.

— Przybyłem tu przecież z troskliwości o niego samego — poszepnął, jakby sam sobie dodawał otuchy.

W tej chwili drgnął znowu.

Zdawało mu się wyraźnie, że coś zaszeleściało za jego plecyma w pobliskich zaroślach agrestu.

Obrócił się, a tuż jakiś cień mignął mu przed oczyma, jakby jakaś postać ludzka zniknęła nagle w dziko wybujałych krzakach.

W tejże samej chwili oczekiwana łódka przybiła do brzegu.

Juljusz szybko wystąpił z swego ukryćia, a nagle stając jak wryty na miejscu, głośny wydał wykrzyk, na który jakby echo odezwał się jakiś inny głos w pobliskich krzakach agrestu.

Z przypartej do brzegu łodki wyskoczyła drobną nóżką młoda dziewczyna w lekkiej różowej sukni, obciśniętej u góry białym pikowym kaftanikiem. Główkę osłaniał okrągły kapelusik tyrolski z błękitną dokoła wstążką. W ręku wisiał zgrabny

słomkowy koszyszek, który niezupełnie zamknięty, pozwalał obok robótek kobiecych widzieć jakąś elegancko oprawną książkę.

Na nagły, niespodziewany wykrzyk Juljusza, drgnęła młoda dziewczyna przestraszona, a szybko podnosząc głowę, powiodła dokoła niebieskiemi jak kwiat bławatu oczyma.

— Eugenja! — wykrzyknął Juljusz znowu.

Na twarz dziewczyny wystąpił silny rumieniec, drżąca, zakłopotana, zmieszana stała nieruchoma na miejscu, i sama nie wiedziała jak sobie postąpić.

W pierwszej chwili chciała na powrót wskoczyć do łódki, ale zawahała się nagle i pozostała w jednej pozycji na miejscu.

Juljusz postąpił naprzód.

— Pani — wybąknął niemniej może trwożliwy i pomieszany jak ona sama.

— Panie!... — odszepnęła dziewczyna prawie mechanicznie.

Juljusz mimowolnie cofnął się w tył.

Głos ten wydał mu się wcale obcym.

Wypatrzył się zachwiany na nieznajomą, ale z pod szerokich kres kapelusza nie mógł bynajmniej dojrzeć jej rysów.

Tylko po jednej stronie jakby umyślnie rozwiązany spadał na szyję bujny pukiel włosów jasnych jak len, miękkich i lśniących jak jedwab.

— Ona!... — poszepnął Juljusz na to spostrzeżenie.

I utwierdzony nanowo, postąpił naprzód.

Dziewczyna stała jak wryta z pochyloną na piersi głową.

Zakłopotany młodzieniec zapomniał jakoś języka w gębie, jak w rogu nie wiedział, czem się odezwać.

Nareszcie z największem natężeniem przyszedł do siebie po części.

— Przebacz pani — rzekł zacinając się cokolwiek — szukałem cię tu...

Dziewczyna z gestem zdziwienia cofnęła się w tył.

Juljusz zawahał się na chwilkę, ale nagle postępując o krok dalej, ozwał się już o wiele poważniejszym głosem:

— Przepraszam panią, szukałem właściwie kogo innego, szukałem maziarza...

— Ah! — szepnęła dziewczyna i drgnęła zlekka.

— Pani nie chciałaś słuchać przestróg — ciągnął Juljusz dalej.

— Ja? — przerwała i głowę podniosła w górę.

Juljusz odskoczył z głośnym wykrzykiem.

Przed nim nie stała Eugenja.

Łudzące podobieństwo nieznajomej dziewczyny z hrabianką polegało głównie na wspólnej obudwom śnieżnej białości cery i jednakiej barwie oczu i włosów. Do tego przyłączyło się jakieś dziwne, geneanomiczne niejako pokrewieństwo rysów twarzy.

Gdyby obydwie stanęły obok siebie, niepodobnaby zdaleka odróżnić jednej od drugiej, lecz zbliska nader jasna i wyraźna występowała różnica.

Hrabianka była znacznie niższa i szczuplejsza, nieznajoma miała więcej wrodzonej godności i powagi w całej swej postaci i wydawała się nawet cokolwiek starszą.

Około ust hrabianki igrał wieczny uśmiech dziecięcej swobody i wesołości, twarz nieznajomej nosiła więcej smętny, możnaby rzec melancholijny jakiś wyraz twarzy.

Piękna była równie jedna jak druga, wszakże przy bliższem rozpatrzeniu, wybitna i co do piękności zachodziła różnica,

Hrabianka przedstawiała się odrazu w całym blasku swych wdzięków i powabów, nieznajoma kazała się podziwiać powoli, stopniowo, potęgując coraz wyżej pierwsze wrażenie, jakie sprawiał jej widok.

W hrabiance przebijało się więcej zmysłowej rozkoszy, w nieznajomej przeważał wybitniej czar ideału.

Gdyby wolno uciec się do porównania wschodniego poety, możnaby rzec najtrafniej jego słowy: pierwsza zdawała się ziemię wznosić ku niebu, druga niebo przychylać ku ziemi.

Juljusz w swem zdziwieniu, pomieszaniu i zakłopotaniu nie miał ani czasu, ani siły do podobnych zestawień i porównań.

Stał na miejscu jak wryty, a w głowie jego jedna tylko wirowała myśl:

— To nie Eugenja!

Widząc szczególniejszy stan Juljusza, nieznajoma otrzęsła się powoli z swego pierwszego popłochu i zamieszania.

Spoglądnęła śmiało i spokojnie na napół nieprzytomnego z zdziwienia młodzieńca, a na różowych, przecudnie wciętych usteczkach, osiadł nawet lekki uśmiech.

I prawie żal się jej zrobiło Juljusza, który nowemu, tak niespodziewanemu spostrzeżeniu zupełnie dał zbić się z toru.

— Pan się pomyliłeś? — rzekła dziewczyna, jakby mu chciała przyjść w pomoc.

— W samej rzeczy... to niesłychane podobieństwo! — zająknął się, a zachwycone w twarz dziewczyny utkwił spojrzenie.

Nieznajoma żywym na nowo oblokła się rumieńcem, a oczy zwolna spuściła na dół.

Juljusz uniesiony niejako wbrew własnej woli i wiedzy szałem zachwytu i podziwu, nagle i niespodziewanie pochwycił jej drobną, pulchną rączkę i ścisnął ją silniej, jak gdyby się chciał przekonać, czy nie łudzi się czczą marą wyobraźni.

Dziewczyna szarpnęła się prawie przestraszona.

— Panie! — zawołała tonem wyrzutu.

— Któż pani jesteś? — wykrzyknął Juljusz błagalnym głosem.

— Ależ panie! — wyszepnęła dziewczyna, wyrywając rękę i usuwając się w tył.

Młodzieniec opamiętał się po chwili. Posunął ręką po czole i odezwał się spokojniej:

— Przepraszam panią... postępowanie moje wydaje ci się dziwnem... ale racz mnie tylko wysłuchać...

Dziewczyna zrobiła gest, jakby mu chciała przerwać.

Juljusz skwapliwie ciągnął dalej:

— Nie myśl pani, że mię tutaj prosta tylko sprowadziła ciekawość...

Dziewczyna obejrzała się niespokojnie i krzyknęła nagle.

Juljusz obrócił się prędko.

O kilka kroków zbliżał się boczną ulicą Kośt' Bulij, groźny i surowy jak jaki duch złowrogi.

— Uchodź pan! — zawołała dziewczyna i w zapomnieniu pochwyciła go za rękę, jakby do tem większego nagląc pospiechu.

Krótką tylko chwilkę trwało to nowe przypadkowe dotknięcie ręki, a wszystka krew silniej zawrzała w Juljuszu, a i dziewczyna zadrżała cała od stóp do głowy.

Młodzieniec oczywiście nie myślał usłuchać jej rady.

Stał na miejscu nieruchomy, nie odrywając oczu od swego czarodziejskiego widziadła.

Kośt' Bulij zatrzymał się o dwa kroki przed nim.

A strasznym był w tej chwili stary kozak.

Oczy błyskały złowrogo z pod gęstych, krzaczastych brwi zaciśnięte usta drgały konwulsyjnie, a cała olbrzymia postać wyprężyła się gniewnie i groźnie.

Młoda dziewczyna wydała nowy okrzyk trwogi.

Kośt' zrobił jakieś gwałtowne wysilenie, jakby się pragnął uspokoić.

— Niech panna wróci do altany... — ozwał się łagodząc głos ile możności.

I podniósłszy z ziemi opuszczone wiosło, postąpił ku brzegowi i ręką przytrzymywał czółno.

Dziewczyna chwilkę chwiała się w niepewności.

Wtem zgrabnie i zwinnie wskoczyła w łódkę.

Biorąc wiosło z rąk starego kozaka, młoda dziewczyna nachyliła się szybko do jego ucha i jakieś krótkie, urywane poszepnęła mu słówko.

Kość' wzruszył ramionami.

Nieznajoma ochoczo plusnęła wiosłem, łódka szybko odbiła od brzegu i skręciła poza zarośla szuwaru.

Juljusz niemy i nieruchomy stał na brzegu, pożerając w zachwycie każde poruszenie dziewczyny.

Nieznajoma obróciła się ku niemu i skinąwszy zlekka ręką i głową na znak pożegnania, dłuższe utkwiła weń spojrzenie.

Juljusz zadrżał cały.

W spojrzeniu tem szczególny przebijał się wyraz.

Niebieskie oczy nieznajomej nie zdawały się żegnać na zawsze z Juljuszem, ale jakby mówiły wyraźnie: Do widzenia!

Nie toszcząc się wcale o obecność starego kozaka, nie odwrócił oczu młodzieniec, póki łódka i jej czarodziejska sterniczka zupełnie nie znikły z oczu.

Teraz dopiero spojrzał na starego kozaka.

Pierwszy raz widział go w tak zmienionej postaci.

Dotychczas stary kozak zachowywał zawsze wobec młodego dziedzica zwyczajne względy poważania.

W tej chwili stał z założonemi na krzyż rękami w kapeluszu na głowie i z gniewem i lekceważeniem mierzył nieuwolnionego jeszcze z pierwszego wrażenia młodzieńca.

— Czego pan chcesz tutaj? — zawołał zuchwałym tonem, o krok postępując naprzód.

Juljusz nabiegł krwią na twarzy, ale przytłumiając w sobie gwałtowniejszy wybuch oburzenia, odpowiedział spokojnie:

— Szukam ciebie.

— Tutaj?

— W domu cię nie zastałem.

— Czegoż pan chcesz ode mnie?

— Chciałem pogadać z tobą wyraźnie i otwarcie...

Kość' kiwnął głową niechętnie.

Juljusz ściągnął brew.

— Ani ty, ani twój gość, maziarz, nie zdajecie się pojmować waszego położenia... waszego...

Kozak wzgardliwie machnął ręką.

Gwałtowna, nieokrzesana, chłopska natura starego sługi dworskiego nie dała się powściągnąć w chwilach gniewu i oburzenia.

— Nie wciubiaj lepiej swego nosa, gdzieś nie dał grosza! — wrzasnął w wściekłości.

— Schowaj swoje durne rady dla siebie samego — dodał postępując naprzód z zaciśniętemi pięściami — fora stąd, bo na kiju wyskoczysz!

Nieprzygotowany na taki grad słów zelżywych, Juljusz stał w pierwszej chwili oniemiały z gniewu i oburzenia.

— Łotrze! — zawołał nareszcie trzęsąc się od złości.

Stary kozak srodze zawrócił oczyma.

— Tyś sam łotr! — huknął w odpowiedź piorunującym głosem. — Nieboszczyk pan zrobił z ciebie, charłaka bez butów, wielkiego pana, a za to i po śmierci nie chcesz szanować jego woli, psi synu!

Juljusz w kułak zacisnął pięści i nie zważając na nic, chciał w obces rzucić się na olbrzyma, a w tej chwili ktoś silnie powstrzymał go za rękę.

— Co robisz! — szepnął mu głos znajomy.

Stary kozak cofnął się w tył i zgrzytnął zebami.

— I ten tutaj! — mruknął w wściekłości.

— Katylina! — wykrzyknął Juljusz.

Pan Damazy Czorgut przybywal jak zawołany, aby wcale nierównej przeszkodzić walce.

Rozpierając się szeroko na swych silnych nogach i wpatrując się groźnie w twarz starego klucznika, rzekł swym zwyczajnym, lapidarnym stylem:

— Słuchaj-no ty, stary drabie, ciężą ci już, widzę, twoje kości, ja ci wnet ulżę ciężaru.

Kośt' Bulij mimowolnie cofnął się w tył.

Od owego spotkania w czerwonym pokoju czuł on wielki respekt dla nieustraszonego awanturnika.

Juljusz uniesiony gniewem do najwyższego chciał koniecznie rzucić się na klucznika.

— Stójże! — zagrzmiał mu Katylina niecierpliwie.

— Ja się sam z nim rozmówię — dodał.

Stary kozak przez ten czas uspokajał się widocznie. Znikł

ten dziki, srogi wyraz z oczu i twarzy, a pozostała tylko właściwa mu surowość i pochmurność.

Stał wyprężony na miejscu i tylko jedną ręką sięgnął w zanadrze.

Katylina postąpił o krok naprzód ku niemu.

— Z kim to ty mówiłeś, zuchwalcze? — zapytał go, zaciskając zęby.

Kośt' Bulij wyciągnął rękę z zanadrza i łysnął małą krucicą.

— Nauczyłem się przezorności od pana — odpowiedział spokojnie.

— At, licho się nauczyłeś, mój bratku, bo ja mam zawsze dwie pary przy sobie — rzekł Katylina swym zwykłym drwiącym tonem i ręką chciał sięgnąć do kieszeni.

Kozak ściągnął brwi.

— Za pozwoleniem, niech pan stoi nie ruszając się na miejscu, albo strzelę.

Katylina zawahał się.

— Cóż z tego że strzelisz — wybuchł wracając nagle do swego zwykłego, humorystycznego usposobienia — kiedy nie trafisz!

— Obaczymy.

Krótka ta rozmowa pozwoliła Juljuszowi opamiętać się zupełnie.

Lubo słowa starego kozaka wzburzyły gwałtownie wszystką krew w jego żyłach, miał jednakże zanadto silne uczucie słuszności, aby nie poznać, że swem wtargnięciem do ogrodu i swym napadem na nieznajomą dziewczynę, wywował uzasadniony gniew starego klucznika: a że gniew ten w za gwałtownych objawił się wyrazach, uniewinniało to cokolwiek charakter i stanowisko byłego poufnika starościca.

Uspokojony i znacznie przebłagany wystąpił Juljusz naprzód i odezwał się niezupełnie jeszcze pewnym głosem:

— Nie obawiaj się niczego, stary durniu! Nie przyszliśmy, czyli raczej ja nie przyszedłem tu z prostej ciekawości. Nie zastawszy cię w domu, przypadkiem tylko zapędziłem się aż tutaj.

— Przypadkiem? — powtórzył Kośt' jakby niezupełnie przekonany.

— Furtka z twojej obory była otwartą...

— A cóż pan chciałeś ode mnie? — przerwał kozak i mimowolnie zdjął kapelusz.

— Chciałem ci powiedzieć, że nad tajemnicą, jaka osłania cię w tym dworze, groźna zawisła chmura. Lada dzień może spaść komisja!

W miarę spokojnego tłumaczenia się Juljusza miękł coraz stary kozak, twarz jego łagodniała widocznie.

Spuścił kurek z pistoletu i chowając go spokojnie w zanadrze, poskoczył ku Juljuszowi i pokornie pochwycił go za kolana.

— Przebaczcie, jasny panie! — rzekł prawie rozrzewnionym głosem — przybyliście w miejsce, gdzie według ostatniej woli nieboszczyka prócz mnie jedna tylko jeszcze żyjąca wstąpić może osoba. — Przydybawszy was tutaj — ciągnął dalej odetchnąwszy — uniosłem się za daleko.

W nagle zmienionej mowie starego kozaka przebijał się ton tak serdecznej szczerości, że sam Katylina dał się od razu przebłagać i nie myślał już mścić zniewagi przyjaciela.

Kośt' Bulij ciągnął dalej:

— We wszystkiem, co robię, wypełniam tylko ślepo wolę nieboszczyka pana.

— Ależ nieboszczyk pan nie mógł sobie życzyć, abyś zamykał oczy na wszelkie niebezpieczeństwa — ozwał się Juljusz.

Stary kozak uśmiechnął się w dziwny sposób.

— Nie bójcie się, jasny panie — odparł z pewnym naciskiem. — Na wszystko ma oczy otwarte kto inny.

Nagle przymilkł, jakby się przestraszył tego co powiedział.

— Ot, co tam wiela gadać — poderwał prędko. — Przysiągłem nieboszczykowi panu, kiedy konał na moich rękach, że ślepo we wszystkiem wypełnię jego ostatnią wolę i jak życia własnego będę strzegł tajemnicy, którą mi powierzył.

— Bóg świadkiem — dodał po chwili wytchnienia — że święcie dotrzymuję przysięgi. Toż jasny panie, nie pytaj mię o nic i nie badaj sam niczego, bo wszystko nadaremnie.

— Mówiłem ci, że mi dotychczas chodziło i chodzi tylko o wasze własne bezpieczeństwo — odezwał się Juljusz.

— Niepotrzeba tego wszystkiego — odparł z pewnym dobrodusznym nastrojem stary kozak — umiemy sami czuwać nad sobą.

— Z tem wszystkiem jabym się wam nigdy nie powierzył! — zaśmiał się szyderczo Katylina.

Stary kozak nic nie odpowiedział. Rzucił okiem na prze-

ciwległą wysepkę, a potem z jakimś niepokojem obejrzał się dokoła.

Twarz jego postradała znowu ów chwilowy łagodniejszy wyraz i zdawała się niecierpliwić nagle.

— Nie mam czasu dłużej rozmawiać z panami — ozwał się prędko. — Odprowadzę panów do furtki.

Juljusz i Katylina mimowolnie zwócili oczy ku wysepce.

Po jednej stronie zarosłej krzewami wysepki, wznosił się niewielki ślimak z murowaną altaną, która miała kształt olbrzymiego grzyba.

Wpatrując się w tę stronę, Juljusz i Katylina wydali lekki wykrzyk.

Zdawało się obudwom, że z poza muru, przedstawiającego pień grzyba, wychylała się ukradkiem jakaś postać kobieca.

Stary kozak poszedł mimowolnie za kierunkiem wzrou obudwu młodzieńców i znowu ściągnął brew.

— Pójdźmy! — zawołał szorstko.

— Pójdźmy! — powtórzył Katylina i machnął ręką.

Juljusz z westchnieniem oderwał oczy od wysepki i milczący i zamyślony postąpił za Kośtiem, który jakąś krótszą ulicą prowadził prędko ku swej zagrodzie.

Katylina gwizdał całą drogę, ale widocznie jakiś jedyny przedmiot zajmował niezwyczajnie jego myśli.

Niebawem stanęli wszyscy u wiadomej furtki.

Tu stary klucznik zatrzymał się nagle.

Cała jego postać przybrała jakiś wyraz poważny i uroczysty. Sranął wprost naprzeciw Juljusza i krzyżując ręce na piersiach, ozwał się z silniejszym naciskiem:

— Jeszcze jedno słowo, jasny panie!

Katylina przestał gwizdać i ciekawie rozszerzył oczy.

— Cóż takiego? — zapytał Juljusz.

— Chciałbym kilka słów z jasnym panem pomówić na osobności.

Katylina z drwiącą miną wzruszył głową.

— Sekreta! — mruknął i gwiżdżąc dalej wszedł na oborę, gdzie go zaraz obadwa psy głośnem powitały szczekaniem.

Juljusz i Kośt' pozostali sami przy furtce.

— Mam jasnemu panu coś powiedzieć, czego dotąd nie myślałem wyjawić — ozwał się powolnym głosem stary kozak.

— Słucham cię.

— JWny pan wie, że przynosząc z sobą testament niebo-

sżczyka pana, nie zaraz złożyłem go w sądzie, ale przeszło trzy tygodnie po powrocie zatrzymałem go jeszcze u siebie?

— Nie słyszałem o tem nigdy.

Stary kozak ciągnął jednym tonem dalej:

— Chcę wyznać jasnemu panu, dlaczego sobie pozwoliłem takiej przewłoki.

— Ale cóż mi na tem może zależeć?

Kośt' Bulij ruszył głową i ramionami jakby chciał powiedzieć: zaraz się dowiesz.

— Kiedy nieboszczyk JWny starościc, świeć Panie jego duszy — zaczął po chwili przykrego jakiegoś rozpamiętywania — czuł się już bliskim śmierci, podyktował dwa różne zupełnie testamenta.

— Dwa różne testamenta! — zawtórzył Juljusz prędko — jakby dobrze niedosłyszał.

— Tak, jasny panie.

— I cóż tedy?

Kośt' Bulij pochylił głowę na piersi i ciągnął jakby pod wpływem jakiegoś bolesnego wspomnienia:

— Na kilka godzin przed śmiercią nieboszczyk przywołał mię do swego łóżka i rzekł mi słabym głosem:

— Służyłeś mi wiernie za mego życia, nie wątpię, że zechcesz usłużyć mi i po śmierci. Nie pozwolę nigdy, aby dobra moje, które od wieków należały do rodziny najczystszej szlachty polskiej, dostały się kiedykolwiek w posiadanie cudzoziemców. Mój brat przyjął tytuł, stał się grafem, więc już tem samem stracił prawo sukcesji do Żwirowa.

Tu urwał na chwilę stary kozak, jakby w lepszy szyk układał swe wspomnienia.

— Przysiągłem mu po raz drugi — prawił dalej przeskakując cokolwiek w opowiadaniu — wykonać święcie wszystko co rozkaże. Wtedy rzekł do mnie:

— W twoje ręce składam obadwa testamenty, wracaj do kraju i zasięgnij dokładnych wiadomości co do charakteru i sposobu myślenia młodego Żwirskiego, mego imiennika i dalekiego kuzyna, któremu cały mój zapisuję majątek.

Znowu zatrzymał się na chwilę, tymrazem snać dla zbadania, jakie wrażenie sprawiają jego słowa.

— Jeślibyś go uznał niegodnym tak świetnej zmiany losu — kontynuował z naciskiem stary kozak — spal pierwszy testament, a przedłoż sądowi drugi, gdzie wcale inne zawierają się postanowienia. W przeciwnym zaś razie...

— W przeciwnym razie?... — podchwycił śpiesznie Juljusz.

— Spal drugi, a przedłóż pierwszy...

— Ty więc?

— Spaliłem drugi.

— Lecz dlaczego mi to mówisz? — zapytał Juljusz prędko.

Stary kozak pokornie skłonił się ku kolanom młodzieńca.

— Abyś mi jasny pan nie kazał żałować — ozwał się spokojnie — że nie zachowałem i drugiego późniejszego, aby w razie potrzeby tem pewniej obronić od natrętnej ciekawości przekazaną mi pośmiertną tajemnicę nieboszczyka pana.

Juljusz zrozumiał znaczenie całej rozmowy. Zarumienił się zlekka, ale przezwyciężając gwałtowne chwilowe pomieszanie, odpowiedział z stanowczą dobitnością:

— Rozumiem, cię Kośtiu! Lecz bądź spokojny! Odtąd dwór zaklęty nie istnieje dla mnie bynajmniej.

Kośt' skłonił się uniżenie.

— A dla tego?—zapytał po chwili, wskazując palcem na oddalonego Katylinę.

— Ręczę ci i za niego.

Kośt' z pewnem serdecznem wylaniem pochwycił za kolana młodzieńca, mówiąc wzruszonym głosem:

— Dziękuję, jasny panie.

Juljusz musnął ręką po czole i zawahał się czegoś.

— Jeszcze tylko słówko, Kośtiu.

— Słucham, jasny panie.

— Jedno zapytanie.

Kośt' schmurzył czoło jakby z obawy czy niezadowolenia.

— Czy będę mógł poznać kiedy tę nieznajomą?

Kośt' milczał.

— Jakto, nigdy?

— Nie wiem—odciął krótko.

— Nie wiesz, mówisz?

— Przysiągłem w najdrobniejszej rzeczy zachować tajemnicę...

— A tejże nigdy się nie będę mógł dowiedzieć?

— Może...

— Może — podchwycił na nowo z jakimś febrycznem pośpiechem. — Bodaj czy nie prędzej nawet, niż się jasny pan spodziewasz! — dodał, a oczy dziwnym rozgorzały mu blaskiem.

— A teraz...

— Ani słowa więcej.

Juljusz wstrząsł głową, jakby się gwałtem od natrętnych uwalniał zachceń i wszedł do obory Kośtia, gdzie śród ujadania psów tam i nazad przechadzał się zniecierpliwiony Katylina,

— Skończyliście? — rzekł wzgardliwem poruszeniem ramion.

— Jedźmy! — odparł Juljusz krótko.

Kośt' poskoczył do stajni i wyprowadził konia.

Katylina niezadowolony pokiwał głową.

— Nie zmieścimy się obadwaj, muszę piechotą wracać do Buczał.

Juljusz dopiero teraz mógł zastanowić się nad niespodziewanem pojawieniem się Katyliny w ogrodzie.

— Skądze ty się tu wziąłeś? — zapytał go nagle.

— Pędziłem za tobą, przekonany z góry, że strzelisz jakiegoś bąka.

— Ta opieka...

— Daj pokój — przerwał Katylina, niedbale wzruszając ramionami — beze mnie byłbyś się poczubił z naszym zaklętym klucznikiem.

Juljusz zarumienił się na to nieprzyjemne wspomnienie i wskoczył prędko w siodło.

— Zaczekam na ciebie u mandatarjusza! — zawołał odjeżdżając.

— Do widzenia, do widzenia — mruknął Katylina, machnął ręką.

Potem obrócił się do kozaka, aby go jakiemś szyderczem zbyć pożegnaniem, ale wtem drgnął i lekki wydał wykrzyk.

W oknie chaty kozaka mignęła jakaś twarz ludzka, która mu dziwnie jakoś wydawała się znajomą.

W pierwszej chwili chciał mimowoli rzucić się ku drzwiom: klucznik zastąpił mu drogę.

Katylina opamiętał się nagle, zachwiał się na chwilkę jakby niepewny co ma robić dalej, ale tuż zaraz machnął ręką i wzruszył ramionami.

— Pal djabli całą tę historję! — mruknął przez zęby.

I pożegnawszy lekkiem skinieniem głowy starego klucznika, zasunął głębiej na uszy swój słomiany kapelusz i gwiżdżąc głośno puścił się spiesznym krokiem ku gościńcowi.

— Dość dziś na jednem odkryciu... — mruknął sam do siebie. — Nasza nimfa ogrodowa nie jest jedną osobą z hrabianką! ale że to szczególniejsze podobieństwo ma swoje zna-

czenie, swoje skutki i przyczyny *et caetera omnia,* za to gardłem ręczę!

## PAN Z PANÓW.

Hrabia Zygmunt Żwirski niezwyczajnie rano zerwał się z łóżka. Głucha cisza panowała jeszcze w dalszych częściach pałacu, kiedy już nawpół ubrany w głębokiem zamyśleniu tam i nazad przechadzał się po swym pokoju.

W ciągu upłynionych czterech miesięcy hrabia do zdziwienia zmienił się na twarzy. Posiwiał znacznie na skroniach, czoło w liczne porysowało się fałdy, a oczy przybierały z częsta jakiś zagadkowy wyraz trwogi i niepewności.

W oficynach i na folwarkach szeptano sobie na ucho, że odkąd nieporównany Żechlewicz oddalił się ze służby, hrabia nie może sobie dać rady i gryzie się biedne panisko we dnie i w nocy.

W samej rzeczy od czasu oddalenia się pełnomocnego rządcy, dziwna jakaś zmiana zaszła w całem usposobieniu hrabiego.

Dumny magnat staczał widocznie jakąś zawziętą z samym sobą walkę. W najweselszem towarzystwie nie mógł ukryć głębokiego zamyślenia, a i w domowem pożyciu stawał się codzień nudniejszym, jakby jakiemuś tajemnemu ulegał cierpieniu. Zamyślony i zadumany kładł się na spoczynek, zły i niecierpliwy zrywał się z łóżka, a wbrew dawnym swym nawyknieniom najchętniej przebywał teraz w samotności, bądź zamknięty w swej kancelarji, bądź ukryty gdzie w szpalerach ogrodu.

A dziwny ten stan orkizowskiego dziedzica pogorszył się jeszcze, odkąd Żachlewicz powrócił z zagranicy i jakąś dłuższą miał z nim konferencję.

Przypuszczeni do tajemnicy Żachlewicza, możemy domyśleć się po części, co właściwie dojmowało hrabiemu.

Nie mógł po prostu oprzeć się zwodniczym namowom swego przebiegłego sługi, a wahał się znowu, czy idąc za niemi nie zboczy z drogi honoru i poczciwości, po której przez całe swe dotychczasowe stąpał życie.

Napróżno wyczerpywał Żachlewicz wszystkie zasoby swej obłudnej wymowy i swych sofistycznych dowodów, nigdy nie mógł przekonać go stanowczo.

Szlachetny potomek wojewodów i kasztelanów grzeszył

wobec świata dumą bez granic i miary, wszakże duma ta miała poniekąd swe słuszne powody.

Hrabia nie pysznił się swym majątkiem ani swym tytułem hrabiowskim, bo wiedział aż nadto dobrze, że pierwsze nie jest wyłącznym przywilejem szlachty, drugie zaś tak wielce spowszedniało w naszej biednej krainie, że nie masz wnuka zawołanego ekonoma złodzieja, lub oszusta dorobkiewicza, któryby go pełnem prawem nie mógł na swej wizytowej położyć karcie.

Hrabia Zygmunt Żwirski szczycił się jedynie swem imieniem, zasługami swych przodków. Protoplasta mężów, co bohaterstwem i poświęceniami zapisali się w kartach dziejów, miał wszelkie prawa do szacunku wieków potomnych, mógł słusznie wywyższać się nad tych, co ogołoceni z własnych zasług, nie mieli żadnych świetniejszych wspomnień na podniesienie obecnej nicości.

Opierając jednak całą swą wyższość moralną i społeczeńską na samej świetności imienia, podlega się tem samem surowemu obowiązkowi, czuwać i troszczyć się wszelkiemi siłami, aby imię to zachowało się nieskazitelne dla dalszych potomków, aby wspomnienia te, jeśli już nie podniesione i nie pomnożone, to przynajmniej bez plamy i uszczerbku zeszły na czasy potomne.

Przejęty do głębi temi zasadami, musiał dumny hrabia zawziętą staczać z sobą walkę, aby się nakłonić do kroku, który na wszelki wypadek różny dopuszczał wykład.

Przebiegłość Żachlewicza zasłaniała w nim przed światem wszelki udział hrabiego, wszakże nie tak łatwo było przezwyciężyć tajne skrupuły sumienia i honoru.

Hrabia czuł jakoś instynktowo, że łączy się z chytrą i niegodziwą intrygą, że sprawę swą niekoniecznie czystym powierza rękom, a szlacheckim jego wyobrażeniom sprzeciwiał się srodze cały ten skryty, podstępny sposób działania, jak i niemniej ten niekoniecznie zaszczytny rodzaj spółki z swym sługą.

Atoli z innej strony wiele znowu przemawiało za propozycją Żachlewicza.

Żwirów, gniazdo rodzinne, stolica okrytych sławą praszczurów, wypadał z posiadania prostej linji Żwirskich, sława i świetność imienia przechodziła na jakąś uboczną, nieznaną gałąź. Daleki imiennik rozsiadywał się na miejscu, które poraz pierwszy zapisał w kroniki główny twórca wielkości rodziny, ów Spytek

z Żwirowa, co znacznie przyczynił się do Jagiełłowego zwycięstwa pod Grunwaldem, a później liczne inne ojczyźnie oddał przysługi. Zeszczuplona na majątku prosta linja Żwirskich musiała tem samem upadać na znaczeniu i powadze, ów zaś wyobraziciel młodszej linji, dzisiejszy dziedzic Żwirowa, zdawał się hrabiemu człowiekiem nowszych czasów, przesiąkłym jadem zgubnych idei demokratycznych, nieumiejącym cenić odwiecznych tradycyj rodzinnych i lekceważącym sobie blask i sławę protoplastów, do których nie mógł odnosić się bezpośrednio.

Pomijając jednak wszystkie takie i tym podobne powody, wpływające nie mało na umysł dumnego magnata, nie przemawiałyż inne jeszcze bliższe względy za rewindykacją rodzinnego gniazda?

Po wszelkich prawach ludzkich i boskich hrabia Zygmunt był bliższym sukcesorom bratniej spuścizny, niż jakiś nieznany imiennik, zepsuty niedowarzonemi teorjami młokos i chudopachołek, który dotychczas nie liczył się wcale do rodziny.

Szlachetny pan z panów poczytywał się zresztą za głowę familji, jedynego wyobraziciela sławy imienia, a jako taki, odróżniał swój własny indywidualny interes od widoków swych descendentów.

Wyniesiony zasługami przodków, uważał się niewolnikiem obowiązków wobec descentów. Mógł sam za siebie zrzec się Żwirowa, lecz czuł się powinnym bronić praw dalszych potomków.

Aby jednak obadwa sprzeczne pogodzić z sobą względy, lub stanowczo za jednym lub drugim oświadczyć się krokiem, czyli jednem słowem, aby przyjąć lub odrzucić wręcz propozycję Żachewicza, do tego brakowało mu niestety i potrzebnej bystrości umysłu i siły charakteru.

Chwiejny i niepewny siebie, przyzwolił na pierwsze kroki Żachlewicza, z wahaniem i obawą patrzył na postępy jego dalszych zabiegów i machinacyj.

Były rządca nie zasypiał tymczasem sprawy.

Plan jego postępował, dojrzewał, rozwijał się z każdym dniem, z każdą godziną.

Podróż do Drezna przyniosła jak najpomyślniejsze owoce. Pozyskane zagranicą dokumenta i świadectwa wystarczały wobec prawa, aby zachwiać znacznie powagę ostatniej woli nieboszczyka starościca, świeżo zaś zapewniona pomoc mandatarjusza i ekonoma rokowały niewątpliwie dokazać reszty.

Dziedzictwo Juljusza wisiało dziś już na włosku. Energiczne

poparcie sprawy u sądu mogło jednym zamachem obalić testament i przywrócić prawa naturalnym sukcesorom.

Osiągając tak świetne korzyści, hrabia sam mógł zupełnie zachować się na uboczu, nie potrzebował nigdzie pod własnem występować imieniem.

Aby przezwyciężyć wszelkie jego skrupuły i wątpliwości, Żachlewicz zrzekał się nawet pisemnej donacji na Buczały. Wytaczał proces na dodstawie ustnego przyrzeczenia. Hrabiemu nie pozostawało nic innego, jak tylko wyznać, że rzeczywiście obiecał swemu rządcy Buczały i gotów był dotrzymać obietnicy, gdyby go niespodziewane nadejście testamentu z całego nie wyzuwało dziedzictwa. Dobijając się zaś otrzymanej obietnicy, miał Żachlewicz przywrócić całe dziedzictwo hrabiemu.

Uwiedziony jego namowami hrabia, wczoraj skłonił się do wszystkiego. Ale dziś ráno wstał z łóżka chwiejny i wahający się więcej niż kiedykolwiek.

W nocy okropny jakiś trapił go sen.

Zdawało mu się, że wygrał proces i wracał w posiadanie Żwirowa.

Komornik z woźnym wprowadził go w posiadanie starego, opuszczonego dworu.

W ich towarzystwie przechodził przez wszystkie, tak dobrze mu z lat dziecięcych znane pokoje. Każdy sprzęt, każdy kąt budził w nim jakieś przyjemne i rzewne wspomnienia, a przecież coś srodze dolegało mu w sercu, jakieś przykre uczucia ściskały mu pierś, jednem słowem jakoś strasznie smutno i duszno mu było w tych murach. Komornik prowadził go z komnaty do komnaty, woźny wszędzie nosowym głosem obwoływał go panem i dziedzicem. Ale te jednostajne formalności jakieś niemiłe sprawiały na nim wrażenie, ten głos woźnego przejmował go jakąś obawą niewiadomą.

Nareszcie zbliżyli się do czerwonego pokoju.

Woźny rozwarł drzwi na ścieżaj, a hrabia i komornik jednocześnie przestąpili próg.

I nagle potruchleli obadwaj, a woźny znikł gdzieś bez śladu.

Hrabia czuł, że mu włosy kolcami najeżyły się na głowie a oddech zaumierał mu w krtani.

Przed okrągłym stołem, w wielkim, aksamitem obitym fotelu, siedział nieboszczyk starosta nieruchomy i wyprężony jak statua z kamienia.

Komornik drżąc jak listek ze strachu, chciał odczytać de-

kret dziedzictwa; starosta groźnie ruszył wąsem i skinął ręką, komornik umilkł jak zaklęty, a storosta ozwał się uroczystym, grobowym, bezdźwięcznym głosem:

— Protestuję! Nie pozwalam!

A słowa te po wszystkich pokojach przerażającem odbiły się echem, że aż dwór cały zatrząsł się w swych posadach.

Hrabia chciał uciekać, ale nogi jakby wrosły mu w posadzkę.

— I ja protestuję, i ja nie pozwalam! — ozwał się w tej chwili nowy straszny głos, a za fotelem ojca ukazał się starościc.

Surowość i groza malowały się w jego twarzy, błyskawice strzelały z oczu.

— Ja tu pan! krzyknął jeszcze straszniejszym niż pierwej głosem.

— Bracie! — jęknął hrabia, dzwoniąc zębami z przestrachu.

Starościc w dziki wybuchnął śmiech!

Hrabiemu wszystka krew ścięła się w żyłach.

Starościc śmiał się ciągle, a za nim jakby piekło samo tysiącem gardzieli śmiało się echo.

— Bracie! — wybełkotał jeszcze raz hrabia i padł na kolana.

Starościc już nie śmiał się więcej, ale jęknął tak dziko i przerażająco, że hrabia plackiem padł na ziemię, pewny, że cały dwór rozlatuje się w gruzy.

— Bracie, bracie! mówisz! — zawołał starościc okropnym głosem — A Kseńka!...

Hrabia drgnął gwałtownie i w tej chwili zimnym zlany potem, ocknął się ze snu.

Siadł w łóżku i przetarł oczy, a jeszcze drżał cały jak listek.

Zadzwonił na lokaja, i dopiero po dobrej chwili uspokoił się zupełnie. Nie mogąc zaś czy nie chcąc zasnąć nanowo, ubrał się wcześniej niż zazwyczaj.

Szczególniejszy sen, łącząc się tak ściśle z planem Żachlewicza, silne musiał na nim sprawić wrażenie.

Smutny i zamyślony przechadzał się po pokoju, a od chwili do chwili tylko jakieś niezrozumiałe wycedzał słowa.

— Po co mi tego wszystkiego — mruknął nareszcie wyraźniej. — Powetuję podróż Żachlewiczowi i napędzę go na cztery wiatry!

— Ten san... — dodał ciszej i wstrząsł się cały.

Po chwili usiadł w fotelu przy biurze i głowę wsparł o poręcz.

— Jestem i tak dość bogaty — pocieszał sam siebie. — Nie wystarczają mi wprawdzie dochody, ale coraz więcej się przekonuję, że ludzie mają rację: Żachlewicz okradał mię niemiłosiernie.

Zamyślił się znowu, a oczy jego padły przypadkowo na stos książek na biurku.

Jedna z nich przepysznie oprawna, nęciłż szczególnie jego oczy. Na jej skórzanych okładkach lśnił złocisty napis: *Klejnoty rycerstwa polskiego.*

Mimowolnie sięgnął ręką po nią i otworzył na oślep. Snać jednak z przyzwyczajenia książka zawsze na jednem otwierała się miejscu.

Hrabia uśmiechnął się z dumą.

Otwarta stronica przedstawiała herb: Topor, rodzinny klejnot Żwirskich, którego pierwszym założycielem jak niesie tradycja, miał być nikt inny, jak tylko jeden z towarzyszów ojca Lecha.

O kilka wierszy pod herbem czytał hrabia półgłośno, poraz już może tysiączny w swem życiu:

„Żwirscy z Żwirowa, wielka i można rodzina, przesiedlona z Małopolski do Rusi... Król Władysław Jagiełło nadał jej zamek Żwirów i szerokie ziemie na Rusi. Od zamku nazwali się Żwirscy“...

Skończywszy czytać, hrabia głowę pochylił na piersi i w nową wpadł zadumę.

Nagle gwałtownie zerwał się z miejsca i szybkimi krokami jął przechadzać się pó pokoju.

Syrenie ponęty dumy przemówiły znowu w jego wnętrzu.

Niedawny zamiar wspaniałomyślny zachwiał się ponownie, zręczny plan Żachlewicza ułudną uśmiechał się pokusą.

Ale tuż nagle przypomniał się i sen dzisiejszy, a z nim razem odżyły i dawne skrupuły i wątpliwości.

I znowu w myślach jego bezładny zrodził się wir.

Usiadł nieruchomy przy biurku i głowę wsparł na ramieniu.

Nagle krzyknął i zerwał się z siedzenia, a oczy mu zalśniły, jakby jakąś tajną, szczęśliwą objawiały myśl.

Wyprostował się w całej postawie i szybko tam i nazad przeszedł się po pokoju.

— Jedyny środek... — mruknął półgłosem.

Wtem przystanął i schmurzył czoło, ale tuż zaraz wypogodził się nanowo i od niechcenia machnął ręką.

— Jest Żwirskim *et c'est assez*... — szepnął i głowę ze znaczeniem zadarł do góry.

Potem zadzwonił na lokaja i szczęśliwy, zadowolony jakby jakiegoś przykrego pozbawiony ciężaru, skończył swe ubranie.

W ciągu tych rozmyślań, dziesiąta już dochodziła godzina.

— Pójdź się dowiedz, czy pani wstała — rzekł do lokaja.

A zostając sam, przeszedł się jeszcze raz po pokoju i mruknął do siebie:

— Ciekawym, co na to powie Celestyna.

Eugenja, od dwu godzin już ubrana, powróciła właśnie z ogromnym bukietem w ręku z przechadzki po ogrodzie.

Piękna twarz młodej dziewczyny jaśnieje jak zawsze dziecięcą swobodą i wesołością, ale cała postać jej wypełniała i spoważniała znacznie.

Wraz z nią weszła do pokoju wysoka, przystojna, nieco starsza wiekiem dziewczyna, przyjęta od niedawna do jej szczególnych usług panna służąca.

Eugenja rzuciła bukiet niedbale na mały stolik mahoniowy i jakby utrudzona przechadzką, usiadła spiesznie na małą aksamitem obitą sofkę.

— Zanosi się dziś znowu na gorący dzień jak w środku lata — szepnęła odetchnąwszy.

— Czy pani każe włożyć w wodę bukiet? — zapytała towarzyszka.

— Proszę...

— Myślę — dodała po chwili — że musiał wrócić już posłaniec z poczty. Dziś mają przyjść nowe dzienniki.

— Dowiem się zaraz — odpowiedziała panna służąca i ustawiwszy bukiet w przepysznym dzbanuszku porcelanowym na stoliku przed sofką, wyszła z pokoju.

Hrabianka pozostała sama.

Pochyliła główkę na krawędź sofki i przymrużyła cokolwiek oczy, jakby w nagłe wpadła zamyślenie. Uśmiechnięta wesoło twarzyczka zaczęła poważnieć stopniowo, a różowe usteczka ścisnęły się silniej.

Młodą dziewczynę kilka poważniejszych zajęło myśli.

Po raz pierwszy zaczęła zastanawiać się mimowolnie, dlaczego kuzynek August, ten wesoły towarzysz dziecięcych za-

baw i swawoli, z którym była poufałą jak z bratem rodzonym, od niejakiegoś czasu tak poważną i jakąś melancholijną przybiera wobec niej minę i codziennie prawie staje się jakby więcej obcym i nieśmiałym.

W pierwszych dniach po swym powrocie z zagranicy powitał ją z dawną dziecięcą swobodą i poufałością, ale z każdą wizytą nową widocznie coraz więcej zmieniał ton, coraz mniej się śmiał, a za to coraz więcej wzdychał, a jednocześnie i w spojrzeniach jego inny jakiś malował się wyraz. W miejsce dawnego, szczerego i otwartego przywiązania braterskiego rozlewał się teraz napół tajony żar podziwu i uwielbienia.

Ropamiętując wszystkie te spostrzeżenia, młoda dziewczyna mimo rozlanej powagi na twarzy nie mogła lekkiego przytłumić uśmiechu.

Ale tuż zaraz nasunął się jej Juljúsz w pamięci.

Eugenja była młodą, bardzo młodą, ale mimo to umiała poznać z łatwością, że od pierwszego wejrzenia silne na młodzieńcu zrobiła wrażenie, i że ów żar podziwu i uwielbienia, jaki spostrzegła w spojrzeniach Augusta, tlił może silniej jeszcze w oczach Juljusza.

Ale dlaczegoż Juljusz od tak dawna nie pokazywał się w Orkizowie?

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się znowu.

Przypomniała sobie, że podczas ostatnich odwiedzin zjechał się z Augustem...

Ale wtem i inna powstała w niej myśl.

Nie mogło ujść uwagi młodej dziewczyny, że od niejakiegoś czasu hrabia zmienił swe postępowanie z Juljuszem. Przyjmował go chłodniej niż dawniej, a żegnał zawsze bez zaprosin jak poprzednio.

— Cóż to ma znaczyć? — szepnęła w zamyśleniu.

Kilka chwil nie umiała dać sobie żadnej odpowiedzi, ale nagle jakaś myśl strzeliła jej do głowy.

Wyobrożała sobie, że ojciec spostrzegł wrażenie, jakie sprawiła na młodym człowieku i snadź niezadowolony z tego ochłódł i zobojętniał dla jego dalszych odwiedzin.

— Ale dlaczegóżto? zagadnęła sama siebie — Juljusz uchodzi za najbogatszego obywatela w całej okolicy i ma być z nami cokolwiek spokrewniony...

Jak widać, piękna hrabianka zimno i obojętnie rozmyślała o obudwu młodzieńcach, których napewno poczytywała za

swych wielbicieli, a niepodobnaby nawet odpowiedzieć, któremu z nich oddawała pierwszeństwo.

Juljusz podobał jej się lepiej z twarzy, August zaś z swego wesołego usposobienia. Wyniesionego z ubóstwa do miljonowego majątku dziedzica Żwirowa osłaniał w oczach jej pewien urok romantyczny, za Augustem przemawiały tytuł i urodzenie.

Poniewolnej, głębszej sympatji, nieświadomej swego początku skłonności stalszej, nie czuła hrabianka ani do jednego, ani do drugiego.

Młoda powabna dziewczyna należała więcej do tych realnych natur, które nie od pierwszej zaraz rozgorywają iskry, nie pierwszemu odrazu poddają się wpływowi i nie za pierwszym na oślep rzucają popędem.

Hrabianka była zdolną w miłości, miłości stałej i namiętnej, ale aby ją rozniecać w jej sercu, potrzeba było silniejszych wrażeń zewnętrznych lub głębszej dojrzałości uczuciowej.

Hrabianka liczyła dopiero siedemnaście wiosen, a jej wesołe, kapryśne, trzpiotowate z natury usposobienie ochraniało ją dotychczas od tych napadów nieokreślonej tęsknoty, nieświadomej melancholji, którym w tym wieku zwykły ulegać dziewicze serca i umysły, a które zdaniem psychologów i patologów mają być jawnemi tylko oznakami dojrzałości uczuciowej, czyli inaczej potrzeby kochania.

Hrabianka jeśli czasami zasmuciła swą piękną twarzyczkę, to chyba tylko wtedy, kiedy nagła zmiana pogody jakiejś ułożonej i upragnionej przeszkodziła wizycie lub igraszce, kiedy jakaś nowa przepyszna suknia niezupełnie dobrze przystawała do figury, lub kiedy nagle zwiędł któryś z kwiatów ulubionych, lub jaki inny tym podobny zdarzył się wypadek.

To też i obecna zaduma hrabianki w bardzo małej z sercem zostawała styczności. Bez najmniejszego oporu rozstała się z myślami, kiedy nagle powróciła panna służąca z nowemi dziennikami w ręku.

Hrabianka uśmiechnęła się i śpiesznie wyciągnęła rękę.

— Pani prosi pannę Eugenję do siebie — ozwała się służąca:

Eugenja zerwała się z sofki i prędko i zwinnie jak jaskółka pomknęła do trzeciego pokoju, gdzie zastała ojca i matkę razem.

Nie wiedzieć dlaczego, ale Eugenji się zdawało, że oboje mieli w tej chwili jakiś nadzwyczajny wyraz twarzy.

— Mama kazała mię wołać? — zawołała na wstępie.

— *Oui, ma chére, nous causerons un peu.*

Tu hrabina z kilku nieznaczącemi ozwała się zapytaniami, nareszcie rzuciwszy wzrok porozumienia na męża, rzekła, bystre w córce topiąc spojrzenie.

— Powiedz mi, duszko: jak ci się podobał nasz młody sąsiad: kuzyn?

Eugenja zarumieniła się zlekka i szeroko rozwarła oczy.

— *De qui parlez-vous, ma mère?*

— *De monsieur Jules.*

Eugenja wzruszyła ramionami.

— No, jakże? — zapytał ojciec.

— Hm, — wycedziła przez zęby młoda dziewczyna, nie pojmując co znaczy to zapytanie.

— *Or?*

— *Il est bien.* Do rzeczy... — odpowiedziała z komiczną powagą.

Hrabina uśmiechnęła się mimowolnie.

Hrabia ruszył się niezadowolony w swym fotelu. Jakby nie mogąc poskromić jakiejś ukrytej niecierpliwości, ozwał się prędko.

— Moja Geńciu, nie jesteś już dzieckiem i zbliżasz się coraz do chwili, gdzie trzeba pójść zamąż.

— *Oui, ma chére* — potwierdzała hrabina.

Dziewczyna zarumieniła się jak wiśnia i spuszczając oczy na dół, jakąś niezrozumiałą dała odpowiedź.

Hrabia zabrał głos na nowo.

— Otóż moja duszko, chcielibyśmy wiedzieć, czy Juljusz podobał ci się przynajmniej o tyle, żebyś bez wstrętu poszła za niego, gdyby takie było nasze życzenie...

Eugenja w pierwszej chwili niezdolną była odpowiedzi.

Szczególne zapytanie spadło na nią tak nagle i niespodziewanie, że zupełnie straciła głowę.

Uniesiony swą niecierpliwością hrabia niekoniecznie zręcznie zabierał się do dzieła.

— Powiedz tylko, duszko — pochwyciła matka — cobyś powiedziała, gdyby się ośmielił starać o twą rękę?

Eugenja zrobiła gwałtowne wysilenie, aby przezwyciężyć swój kłopot i pomieszanie.

— Poddam się we wszystkiem waszej woli... — szepnęła.

— Bez przymusu, rozumie się.

Eugenja zrobiła gest, jakby jej za przykre już było dalsze badanie.

Hrabia nie czekał ponownej odpowiedzi. Porwał się z krzesła zadowolony i składając serdeczny pocałunek na czole córki, obrócił się żywo do żony.

— Porozumiecie się już dalej obydwie — rzekł.

I po tych słowach ucałował z kawalerską układnością rękę hrabiny i śpiesznie wyszedł z pokoju.

Za drzwiami zatarł ręce z zadowoleniem i mruknął sam do siebie:

— W taki sposób najlepiej zaradzi się wszystkiemu... Juljusz wprawdzie nie wysokiego urodzenia... ale zwie się Żwirski! A Żwirski to coś więcej niż jakichś tam dziesięciu onegdajszej daty hrabiów Plewińskich lub Samińskich!

## NIEZNAJOMA.

Upłynęło już dwa dni od owej pamiętnej sceny w ogrodzie zaklętego dworu, a Juljusz nie uspokoił się jeszcze zupełnie.

Tajemnicza postać pięknej nieznajomej stała mu ciągle przed oczyma, pociągała mimowolnie wszystkie myśli ku sobie.

Naprożno młodzieniec łamał sobie głowę, aby wpaść na jakikolwiek ślad odkrycia. Wszystkie domysły i kombinacje rozwiewały się same z siebie.

Dotychczas wiedział tylko, że piękna nimfa ogrodowa nie była Eugenja, jak mniemał niezbicie z początku. A niewiedzieć dlaczego odkrycie to niespodziewaną przejęło go radością i jakaś nieświadoma, nieokreślona nadzieja, z której nie umiał zdać sprawy sam sobie, owładywała coraz silniej jego umysł.

Ni stąd ni zowąd zrodziło się w nim jakieś tajemne przekonanie, iż różność osoby hrabianki a pięknej nieznajomej jakieś niedomniemywane nawet wróży mu szczęście.

Kiedy i w jaki sposób miało się ziścić to szczęście z jakich wypływało wniosków i na jakiej spoczywać miało podstawie, o to nie śmiał zagadnąć samego siebie.

Bił się tylko nieustannie z myślami, jaki związek mógł zachodzić między nieznajomą a tajemniczym maziarzem. Łączyłaż ich tylko wspólność planów i nadziei, czy jakie inne zachodziły stosunki?

Nieznajoma z samej swej powierzchowności wydawała mu się osobą niepospolitego urodzenia. Wyższe wychowanie przebijało się w każdym jej ruchu, szlachetność duszy zwierciedliła

się w oczach i tej pięknej twarzy, której każdy rys tchnął jakąś słodyczą niewysłowioną.

Ile mógł pokombinować z dotychczasowych swych odkryć, nieznajoma nie przesiadywała stale w zaklętym dworze. Pojawiała się jednocześnie z przybyciem maziarza, a oddalała z jego odjazdem.

Ołańczuk widział młodą dziewczynę, oczekującą przedbramą tajemniczego gościa zaklętego dworu, a on sam spotkał ją z Kośtiem Bulijem w wieśniaczem przebraniu w tensam dzień, kiedy maziarz wyjechawszy z Żwirowa, tak nieprzyjemnej w drodze doznał przygody i tak gwałtowną z mandatarjuszem wyprawił scenę. Nie zdawało się więc podlegać żadnej wątpliwości, że nieznajoma tylko w pewnych naprzód umówionych porach zjeżdżała przebrana do dworu, a przepędziwszy kilka dni w tajemniczem ukryciu z swym zagadkowym towarzyszem, wracała następnie pod opieką Kośtia na swe dawne mieszkanie.

Lecz gdzież było to mieszkanie?

Nieznajoma zdawała się tak młodą, a czyż już sama jedna stała na świecie, pod opieką prostego kozaka nie wahała się przybywać do zaklętego dworu i przemieszkiwać tu po kilka dni, a może nawet po kilka tygodni. Gdzież podówczas przebywali jej rodzice, jej krewni, opiekunowie?

Na wszystkie takie tym podobne zagadnienia, niepodobna była wszelka odpowiedź, co naturalnym trybem rzeczy musiało tylko tem wyżej podniecać zajęcie Juljusza.

A nie tylko on sam, ale i Katylina silił się wszelkiemi sposobami dotrzeć do głębi dziwnej tajemnicy.

Piękna nieznajoma ocaliła życie naszemu zuchwałemu awanturnikowi, a jej jedno wejrzenie w owej okropnej chwili wbiło się mu silniej w pamięć niż sama groza ówczesnego położenia.

Gdyby nawet można zajrzeć w głąb jego serca, okazałoby się niezawodnie, że od owej pamiętnej chwili jakaś nieznana poruszyła się w niem struna i zadrgało jakieś uczucie, którego złośliwy szyderca nie znał wprzódy ani z imienia.

Wrażenie owego momentu spoczywało niezatarte w jego duszy, a ilekroć przypomniało się silniej, podpadał dziwnemu jakiemuś uczuciu jakby smutku, nezadowolenia czy tęsknoty.

Chwilowe te napady nie mogły wprawdzie przeistoczyć odrazu ogólnego charakteru niepoprawnego szydercy i afronta i nie zmieniły na pozór jego zawsze wesołego i sarkastycznego usposobienia, wszakże nie przemijały zupełnie bez wpływu i śladu.

Katylina w takich chwilach zżymał się sam na siebie, drwił z własnych uczuć, przytłumiał z niechęcią każde rzewniejsze wzruszenie, ale mimo tych wszystkich wysileń nie mógł zaprzeć sam sobie, że nie jest już zupełnie tymsamym, jakim był do niedawna.

Niejeden z dawnych kroków i postępków nie w temsamem co pierwej przedstawiał się świetle, niejeden żart z ubiegłych czasów wydał się mu teraz jakoś wcale niesmacznym, niejedno zdanie przynajmniej niestosownem.

Aby zbawienny ten zwrot charakteru nie ustalał się jeszcze stanowczo, zanadto często nie mógł oprzeć się naciskowi dawnych nawyknień i skłonności, a nieraz na czas niejakiś musiał ustąpić zupełnie przygłuszony dawnemi popędami, zwyciężony wrodzonemi namiętnościami.

Bądź jakbądź w serce i w duszę onegdajszego zuchwałego awanturnika, niepoprawnego cynika, bluźniercy i sarkasty, padło już wiele obiecujące ziarnko, zatliła już drobniutka iskierka, a byle szczęśliwe konstelacja zewnętrzne, a z ziarnka tego mógł szlachetny wystrzelić owoc, z iskierki tej jasny rozżarzyć się płomyk.

Juljusz słabszy wolą, nie potrafił dotychczas nigdy stalszego na swym przyjacielu wywrzeć wpływu, lecz teraz już samym swym przykładem działał, nie wiedząc o tem, silniej na jego niesforną naturę.

Katylina mimo prawdziwej sympatji dla Juljusza, mimo całego uznania dla jego serca i charakteru, nie wielki pod pewnym względem czuł ku niemu szacunek.

Mazgaj, szlafmyca i kwita! — były ulubione przydomki, jakiemi jeszcze od czasów szkolnych zaszczycał swego przyjaciela.

— Byłeś i jesteś bawełnianym ciamajdą! — powiedział mu wówczas, kiedy biorąc na siebie jego przewinę, przełamywał jego opór i wbrew jego woli szedł śmiało zrywać z przyszłością i według wszelkich rachub ludzkich, zamykał sobie na zawsze wszelką karjerę życia.

To samo przekonanie miał o nim i teraz jeszcze potrosze, wszakże czuł sam stopniowo, że mimo całej swej wrodzonej niesforności i buty zaczyna powoli ulegać jego wpływowi.

Jednem słowem Katylina poznawał sam najlepiej, że w wnętrzu jego jakaś powolna a ważna przeprowadza się zmiana, do której pierwszy popęd, pierwszy impuls dała owa noc w czerwonym pokoju, czyli raczej owo spojrzenie pięknej nieznajomej.

A rzecz szczególna, najgrubszy materjalista z przekonania i usposobienia, który dotychczas w najpiękniejszej kobiecie nie mógł dopatrzeć nic innego, jak tylko doskonały zlew form cielesnych, poezję ciała, ideał inkarnatu, jak sam mówił, nie podziwiał w swej nieznajomej wybawicielce ani tej kibici tak smukłej i pełnej, ani tych form tak okrągłych i wydatnych, ani tej twarzyczki tak świeżej i uroczej, ale z całego widzenia utkwił mu jedynie ów niebiański wyraz spojrzenia i ta wcale nie cielesna barwa oka.

— W tem spojrzeniu, w tem oku przebijała się najwznioślejsza dusza! — wykrzyknął raz w zapale.

A zapomniał niedowiarek, że całe swe życie wiarę w duszę poczytywał za najniedorzeczniejsze pod słońcem absurdum.

— Dusza, to ta tajemna sprężyna, co porusza krew w naszych żyłach, utrzymuje czucie w naszych nerwach i ani o włosek więcej. Niech ci krew zatrzyma się w biegu, a nerwy popękają jak liny w rozbitym okręcie, a możesz zabrać się zaraz do stworzenia świata — bo będziesz miał gotowy materjał — goluteńkie *nic!*

To był jeden z główniejszych dogmatów zatwardziałego sceptyka, który jak sam twierdził, nie wierzył ni w Boga n w djabła.

— Ale to jedynie z chwalebnej zasady — mówił. — Nie lubię żadnych ostateczności, Bóg zanadto dobry, djabeł zanadto zły! Toż wolę trzymać się średniej drogi i nie mieć nic do czynienia ani z jednym ani z drugim.

A piękna nasza nieznajoma ani się spodziewała, że w tej najczarniejszym sceptycyzmem zatrutej duszy mimo swej woli i wiedzy, zaczęła odgrywać rolę nawracającego apostoła.

Podczas owej sceny owej w ogrodzie zaklętego dworu, Katylina ukryty w krzakach agrestu miał sposobność widzieć po raz drugi swą wybawicielkę, spotkać się po raz drugi z tem anielskiem spojrzeniem, które od pierwszego zetknięcia tak silny wywarło na nim wpływ.

I była to nowa ważna chwila w życiu naszego młodocianego awanturnika.

Snać jednak silił się zawzięcie przełamać jej wpływ pierwotny, bo od dwóch dni był widocznie w złym humorze, a w swych ostrzejszych niż kiedykolwiek uwagach sarkastycznych wyglądał, jakby gniewał się czegoś na samego siebie, a chciał mścić się na całym świecie.

W rozmowach z Juljuszem strzegł się bacznie wspomnieć

kiedykolwiek o pięknej nieznajomej, ilekroć zaś sam Juljusz zaczął unosić się nad jej spotkaniem i zastanawiać się nad jej tajemnicą, wpadał widocznie w jakąś niechęć, zakrawającą prawie na zazdrość.

W tej chwili wszedł do pokoju Juljusza przy ostrogach, z szpicrutą w ręku, jakby się do jakiejś dalszej konnej przysposobił podróży.

— Gdzieżto pan Bóg prowadzi? — zapytał Juljusz.

— Nie zgadłbyś nigdy.

— Proszę!

Kątylina rzucił się na pobliskie krzesło.

— Wędrując do ciebie — rzekł — wstąpiłem do własnej tu w okolicy karczmy ryczychowskiej.

— Do Organiściny.

— Na pokrzepienie golnąłem aż cztery kielichy wódki, a nie miałem czem zapłacić za jeden.

Juljusz uśmiechnął się z lekkim wyrzutem.

— Jakże sokie poradziłeś?

— Nie zapłaciłem poprostu.

— Po prostu! — powtórzył Juljusz ironicznie.

— Organista chciał z początku opónować, ale ugłaskałem go jakoś.

— Dałeś zastaw?

— Pokazałem pięść potężną.

— A teraz wzruszony wyrzutami sumienia jedziesz zapłacić.

— Zrobię wycieczkę w okolicę, poznam się bliżej z samym organistą i pozbędę się długu zarazem.

— A oprócz tego?

— Oprócz tego?

Juljusz uśmiechnął się ze znaczeniem.

— Będę się starał zasięgnąć czegoś o pięknej nieznajomej — dokończył.

Katylina zmieszał się cokolwiek.

— Czy sądzisz, że możnaby się tam czegoś dowiedzieć? — zapytał.

— Jak mówią, garbaty Organista ma być żywą kroniką całej okolicy.

— Hm! — krzyknął Katylina i szpicrutą poklepał po swych butach.

— Spodziewam się, że nie złamałbym tym sposobem przyrzeczenia, jakie za siebie i za mnie dałeś Kośtiowi.

— Przyrzekłem tylko szanować tajemnicę zaklętego dworu i przestrzegać ostatniej woli nieboszczyka.

— A więc do widzenia się.

Juljusz porwał się nagle z siedzenia i poskoczył do okna. Przed ganek zajechała czterokonna kareta, a z niej wysiadał hrabia Zygmunt.

— Hrabia!... Myślałem, że się czegoś na mnie gniewa! — wykrzyknął Juljusz i wybiegł na przyjęcie gościa.

Katylina zatrzymał się w pokoju.

— Muszę zabrać znajomość z panem hrabią! — mruknął.

— Co mi to szkodzi! — dodał po chwili. — Nie może mu wprawdzie zależeć na mojej znajomości ale i mie tam po nim jak umarłemu po kadzidle.

I aby godnie zaprezentować się panu hrabiemu, obie ręce wpakował do kieszeni, nogi rozstawił jak mógł najszerzej, głowę zarzucił w tył, a wargi z dumą i lekceważeniem wydął naprzód.

Hrabia wszedł niebawem z Juljuszem do pokoju a spostrzegłszy Katylinę w podobnej postawie, prawie zawahał się u progu, tak jakoś wydał mu się butnym, zuchwałym i wyzywającym z miny.

Juljusz przygryzł wargi z niechęcią ale uznał za stosowne przedstawić swego dawnego kolegę.

— Mój przyjaciel, Damazy Czorgut — rzekł.

Katylina ukłonił się jak trybun plebejusz ambitnemu patrycjuszowi.

Hrabia znał mniej więcej z opowiadania Katylinę.

Spojrzał na niego bez pewnej ciekawości, ale z widocznem lekceważeniem, a chociaż kilkakrotnie jego szorsrkie słyszał nazwisko, tak mu się jakoś w tej chwili wydawało odpowiednie osobistości swego właściciela, że prawie mimowolnie powtórzył półgłosem:

— Pan Damazy Czorgut...

Katylina zauważył dobrze wyraz twarzy dumnego magnata, a na ustach jego osiadł złośliwy uśmiech.

— Tak, panie hrabio — ozwał się nagle drwiącym tonem — Damazy Czorgut.

— Mój ojciec był leśniczym w tym samym kluczu, gdzie dziad dzisiejszego hrabi Plewickiego służył za ekonoma! — dodał z naciskiem, aby dać do zrozumienia, że po pierwsze wogóle nie wielka sztuka być hrabią w Galicji, a powtóre można nim być, nazywając się nietylko Czorgut, ale nawet Plewicki!

Hrabia pojął znaczenie tej przymówki i z dumą obrócił się plecyma, a Juljusz gniewne i prawie groźne spojrzenie rzucił na swego niesfornego przyjaciela.

Katylina uśmiechnął się szyderczo i wzruszył ramionami.

— Jadę — rzekł obojętnie.

— Sługa i podnóżek pana hrabiego! — zawołał tymsamym tonem, z jakim żegnał się z Girgilewiczem lub Gągolewskim.

I nie troszcząc się bynajmniej o wrażenie swych słów i swego całego znalezienia się, wyszedł z pokoju gwiżdżąc przez zęby i szpicrutą wymachując w powietrzu!

Obrażony magnat nabiegł krwią cały.

— *Impertinent!* — mruknął nie obróciwszy się.

Juljusz po raz pierwszy musiał wstydzić się za swego przyjaciela i po raz pierwszy rozgniewał się pa niego jako gospodarz domu.

Hrabia wyglądał oburzony do najwyższego.

— Cóż to za szczególnych trzymasz ludzi, panie Juljuszu? —rzekł z przekąsem.

— Nieskończenie przepraszam pana hrabiego — rzekł śpiesznie — człowiek ten rubaszny z natury i wychowania, uchybia wberw swej wiedzy i woli...

Hrabia wzruszył ramionami.

— Dlaczegoż go pan trzymasz?

— Zawdzięczam mu jedną ważną przysługę, mógłbym rzec nawet jedno dobrodziejstwo z czasów dawniejszych.

Hrabia wydął wargi, jakby niekoniecznie wielką przykładał do tego wagę.

Juljusz poderwał skwapliwie:

— Byłem biedny i miałem utrzymać matkę sędziwą. Cała nadzieja przyszłości polegała tylko na owocach mych nauk...

— Tymczasem — dodał po krótkiej pauzie—pewien krok nierozważny, po prostu wiersz za śmiało napisany i rozpowszechniony, groził pozbawieniem mi dobrodziejstwa publicznych nauk.

— A ten człowiek?

— Wbrew mej woli i mimo największego mego oporu, przyjął winę mą na siebie.

— Człowiek z przeczuciem jak widać... — odezwał się hrabia z lekką ironją.

— W owym czasie — zawołał Juljusz z szczerem wylaniem — było to dla mnie ogromnem dobrodziejstwem.

Hrabia zamyślił się lekko.

— Żechcesz, panie Juljuszu, przyjąć ode mnie jako od starszego wiekiem i doświadczeniem małą radę?

— Słucham pana hrabiego.

— Zapłać mu za to hojnie i pozbądź go się jak najprędzej.

Juljusz zarumienił się zlekka.

Hrabia zauważył to, ale niezrażony ciągnął dalej:

— Wierzaj mi, ludzie tego rodzaju nie pojmują innej wdzięczności.

— Śmiałbym się w tym względzie sprzeciwić panu hrabiemu.

Hrabia uśmiechnął się pobłażliwie.

— Nie przekonasz mię starego — rzekł.

— A zresztą — dodał po chwili — dla niego samego byłoby lepiej być panem w własnym dworku, niż konfidentem w cudzym pałacu.

Juljusz chciał coś odpowiedzieć.

— Mówmy o czem innem — przerwał hrabia i od niechcenia skinął ręką.

Rozmowa weszła na inny tor.

Hrabia zapytywał Juljusza o różne szczegóły gospodarstwa a zachowywał wszędzie ton jakiejś uprzejmej, serdecznej, napół ojcowskiej poufałości.

Odjeżdżając uściskał go z wylaniem i zapraszał usilnie do siebie.

Na ganku, na samem wsiadaniu ozwał się jeszcze jakby sobie coś nagle przypominając.

— Ale, ale! Proszono mię, abym ci robił wyrzuty, panie Juljuszu.

— Czy zawiniłem przeciw komu?

— Nie starasz się zabrać znajomości z swymi sąsiadami.

Juljusz skromną przybrał minę.

— Moi sąsiedzi — rzekł z pewnem wahaniem — są wyżsi ode mnie urodzeniem i stanowiskiem, niechciałbym, aby mię poczytali za natręta, a przyjmowali jak intruza.

Hrabia z rodzajem wyrzutu pokiwał głową.

— Ej panie, ubliżasz mnie i sobie.

— Panu hrabiemu!

— Nie zapominaj przecie, że wraz ze mną nazywasz się Żwirski — rzekł hrabia z niezwykłym naciskiem. A Żwirski to imię, przed którem zaledwie Sanguszko lub Radziwiłł może upomnieć się o pierwszeństwo!

Po tych słowach jeszcze raz kordjalnie uścisnął rękę Juljusza, wskoczył do powozu i dał znak woźnicy, aby ruszył z miejsca.

Juljusz wrócił do pokoju i w głębokie wpadł zamyślenie.

Co znaczyła nowa, nagła zmiana w usposobieniu hrabiego?

Dlaczegoż z tak szczególną, uderzającą dobitnością przypominał mu świetność jego imienia, wynosił go niejako nad wszystkich swych innych utytułowanych sąsiadów?

Przed trzema dniami byłoby go to wszystko niewysłowioną przejęło radością, a pierwszą myślą, pierwszą śmielszą iluzją, byłaby niezawodnie Eugenja.

Dziś uszczęśliwiały go wprawdzie przyjacielskie wynurzenia hrabiego, ale tylko o tyle, o ile same w sobie zasługiwały na uznanie.

Eugenja nasuwała się w myślach młodzieńca jakby tylko dla tego, aby mu przypomnieć swe szczególne, geneanomiczne podobieństwo do pięknej nieznajomej zaklętego dworu.

Skądże jednak powstało to tak silne i prędkie zajęcie się nieznajomą?

Juljusz sam nie umiałby dać na to odpowiedzi.

A przecież to tak łatwo wytłumaczyć!

Duch ludzki czuje osobliwszy, nieprzełamany pociąg do wszystkiego, co unika jego badania, ukrywa się przed jego okiem, jednem słowem co osłania się mgłą tajemnicy, cieniem zagadki.

Rozmarzony do melancholji Juljusz, ulegał więcej niż ktokolwiek inny temu pociągowi. Marząc do niedawna o Eugenji miał więcej przed oczyma ducha podejrzaną przypadkowo w ogrodzie zaklętego dworu dziewczynę, niż poznaną w przepysznym pałacu hrabiankę. Odkąd jednak rozwiał się ten dwoisty charakter Eugenji, upadła tem samem większa część jej dawnego uroku.

Pozostała nadal tylko młoda piękna, dowcipna, bogata córka arystokratycznego rodu, a znikła zupełnie bohaterka jakiejś romantycznej tajemnicy, domniemywana wspólniczka szczytnych zamiarów, odważna piastunka najwznioślejszych marzeń i nadziei.

Wszystkie te ostatnie przymioty zlały się natomiast w piękną nieznajomą, wszystkie dawniejsze urocze marzenia przeniosły się na jej jedynie postać.

Juljusz z rozkoszą przypominał sobie chwilę ostatniego z nią spotkania. Widział ją tak krótko, a przecież każdy rys jej

nadobnej twarzy tak żywo i wyraźnie tkwił mu w pamięci, jak gdyby nieustannie miał przed sobą jej portret najwierniejszy.

Zaledwie kilka słów zamienił z nią w pomieszaniu i zakłopotaniu, a głos jej świeży, dźwięczny, metaliczny, brzmiał mu ciągle w uszach.

Szlachetna, urocza jej postać imponowała mu swą przyrodzoną godnością, we wszystkich późniejszych marzeniach i rozpamiętywaniach.

— Kto ona jest? — zagadywał się młodzieniec po raz już tysiączny — kto mi wyświeci tę dziwną tajemnicę?

Jakby w odpowiedź na to zapytanie, ozwał się nagle lokaj w progu.

— Kośt' Bulij, klucznik zaklętego dworu...

Juljusz porwał się jak oparzony.

— Co mówisz? — krzyknął.

— Kośt' Bulij chce się widzieć z panem — odpowiedział lokaj zdziwiony trochę wrażeniem swych słów.

— Kośt' Bulij jest tutaj? — pytał Juljusz prędko, jakby niedobrze zrozumiał.

— Czeka w przedpokoju.

— Niech wejdzie!

Lokaj wyszedł, a za drzwiami wzruszył ramionami i mruknął sam do siebie:

— Otóż masz! dziwuj się chłopom, że mają tremę przed starym klicznikiem, kiedy go się sam pan przestraszył jak stu djabłów.

Po krótkiej chwili Kośt' Bulij stanął przed Juljuszem.

Olbrzymi starzec miał swój zwyczajny, surowy i ponury wyraz twarzy, ukłonił się nisko przed młodym dziedzicem i stanął sztywny i wyprężony, jakby naprzód czekał jego zagadnienia.

— Cóż mi powiesz, Kośtiu? — zapytał Juljusz nie mogąc ukryć, że wcale nie był przygotowany na te odwiedziny.

Kośt' Bulij odgarnął siwy włos z czoła i ozwał się cokolwiek przytłumionym głosem:

— Przed trzema dniami pytałeś mnie, jasny panie, czy będziesz mógł poznać kiedy tajemnicę naszego dworu.

— Tak — bąknął Juljusz w coraz większem zdziwieniu.

— Powiedziałem wtedy jasnemu panu...

— Dowiesz się jej prędzej, niż się spodziewasz.

— Dotrzymuję słowa — odpowiedział Kośt' Bulij z ukłonem.

— Jakto, przychodzisz?...

— Zaprosić jasnego pana na godzinę rozmowy do zaklętego dworu.

— Z maziarzem!

Kośt' ukłonił się milcząc.

— Kiedyż-to? zaraz? — zawołał Juljusz z gorączkowym pośpiechem.

— Od dziś za tydzień, o godzinie dwunastej w nocy — cedził stary kozak uroczystym głosem.

— Od dziś za tydzień, o godzinie dwunastej w nocy! — powtórzył Juljusz machinalnie.

— Jasny pan podjedzie do lipowej ulicy — ciągnął kozak, nie zmieniając tonu.

— A tam mam czekać?

— Tak, jasny panie.

— Ty przyjedziesz po mnie?

— Ja.

Tu stary kozak skłonił się nisko, jakby chciał odejść.

— Jakto? na tem się kończy twoje posłannictwo? — wykrzyknął Juljusz.

— Od dziś za tydzień o dwunastej w nocy — powtórzył Kośt' uroczystym głosem.

— Czy sam tylko mam stanąć?

— Sam.

Juljusz widocznie pasował się z jakąś myślą upartą.

Nareszcie wybuchł nagle, jakby nie mógł żadną miarę powściągnąć się dłużej.

— A ona? — zapytał.

— Ona? — powtórzył Kośt', a na surowej jego twarzy mignęło coś na kształt uśmiechu.

— Czy obaczę ją także?

— Może.

— Może! — zawołał Juljusz i z rodzajem jakiegoś gorączkowego rozdrażnienia rzucił się w tył sofki.

Kośt' ukłonił się nisko i wyszedł z pokoju.

Juljusz pozostał sam, opadnięty przez rój najdziwaczniejszych myśli, domniemywań i kombinacyj.

## WAŻNE POSZLAKI.

Na samym wstępie naszej powieści, w pierwszych początkach zawiązującego się działania zaznajomiliśmy czytelników

z murowaną karczmą ryczychowską i jej głośnym w okolicy arendarzem, garbatym Chaimem Organistą.

Porwani prądem późniejszych wypadków nie mieliśmy ani czasu ani sposobności odnowić pierwszej pobieżnej znajomości — i tak karczmę jak i dowcipnego Organistę zupełnie straciliśmy z oczu.

Wyprzedzając obecnie Katylinę, zajrzymy na krótką chwilę do wnętrza karczmy Organisty.

Izba szynkowna ludna, huczna i gwarna jak zawsze.

Mieszane towarzystwo rozdzieliło się przy kilku osobnych stołach, i popijając piwo lub wódkę, w różnych przedmiotach wrzaskliwe toczy rozhowory.

Szczególnym zbiegiem okoliczności zastajemy w przepełnionej szynkowni kilka znajomych nam twarzy.

Na końcu głównego stołu w pośród niewielkiej rzeszy chłopów siedzi rozparty z właściwą sobie powagą wójt ryczychowski, któregośmy już dwukrotnie spotkali w towarzystwie maziarza.

Nieco dalej przy osobnym mniejszym stole widać kółko szlachty chodaczkowej, a na jej czele wodzi rej z buńczuczną miną i sumiastym wąsem p. Dominik Żerwikaptur Szczeczuga, znany nam energiczny uczestnik nocnej schadzki w mieszkaniu Kościa Bulija.

Głębiej na uboczu, tuż pod samym alkierzem, otoczyło mały czworograniasty stół grono wracających z jarmarku małomieszczan starzelickich, przysłuchując się pilnie jakimś wielce ciekawym wykładom i rozprawom sławetnego Jędrzeja Juryka, również uczestnika tajemniczej schadzki u starego klucznika zaklętego dworu.

Po wszystkich kątach zwinny i chyży jak wrzeciono uwija się sam zacny arendarz z butlą i kielichem w ręku.

Tu z niemym migiem potrzęsie twarzą, tam z dowcipnym uśmiechem łypnie oczyma, ówdzie jakimś wesołym i rubasznym strzeli konceptem, tego z swych gości poufale poklepie po ramieniu, owego jakiemś pociesznem rozśmieszy zapytaniem, do tamtego wreszcie z komicznem skrzywieniem pokiwa głową lub pogrozi palcem.

A wszyscy na wyścigi ubijają się o niego, każdy choć na moment radby go przywołać do siebie, aby obok szumu we łbie i jakiś żarcik dowcipny wynieść do domu.

— Do mnie, Organisto!

— Na słówko, panie arendarzu!

— Do kompanji, Chaimie! — odzywają się zewsząd głosy

Organista kręci i wierci się na wszystkie strony i odgryza się jak może.

Jednemu garb swój chce posłać zamiast siebie, drugiemu flaszę z wódką podsuwa w zastępstwie, trzeciemu służyłby na zawołanie, ale nie wierzy w jego przyjaźń po trzeźwemu.

Tylko przy stołach, gdzie przewodzą nasi znajomi, więcej na sobie samem ogranicza się towarzystwo.

Pan Dominik Żerwikaptur Szczeczuga kręci nieustannie krzaczasty wąs w górę i na dół i z zwykłą sobie energją i dobitnością wyrażeń fulminuje na dzisiejsze czasy i stosunki.

— Niech mię siarczysty piorun trzaśnie, panowie bracia, rób co chcesz, coś potrzeba pomyśleć! — powtarza raz poraz.

Panowie bracia kręcą wąsy, podgartują czupryny, pokiwują głowami i na znak przyznania wzdychają żałośnie.

A pana Dominika oczy łyskają jak dwie żarzące głownie na przygasłem ognisku.

— Coś potrzeba pomyśleć i to dobrze pomyśleć — peroruje dalej dobitnym, ale cokolwiek przytłumionym głosem.

— Gdzie dziś respekt dla szlachty! — wrzasnął głośniej i w stół uderzył pięścią.

— Lada kto chce nas za nos wodzić mospanie! — poderwał drugi z grona, niski, gruby, pękaty pan Kacper Żerwikaptur Sołyszko.

— Nas, szlachtę z dziadów pradziadów! — zawtórowała reszta braci chórem.

— Hej, hej zawodził żałośnie, ocierając oczy rękawem pan Tymoteusz Łagurysz. — Toć każdy z nas równał się ongi wojewodzie, a mógł nawet królewskiego dostąpić dystynktu.

Szlachta z dumą pokręciła wąsa, a baranie czapki jakby same z siebie poprzesuwały się na bakier.

Szczeczuga obejrzał się ostrożnie dokoła i zagięty palec przyłożył do zawiesistego nosa.

— Do kroćset djabłów, panowie bracia, — szepnął, zaciskając zęby. — Trzask, prask. szast, brzdęk i kwita.

— Szast, brzdęk! i kwita! — powtórzyła bracia cichem a zgodnem echem, że aż chłopi nieco dalej poodsuwali się w swych ławach.

A tymczasem w tym samym duchu, choć nieco w odmiennym sposobie, toczyła się rozmowa przy drzwiach alkierza w pośród małomieszczańskiego koła.

Ostrożny, przezorny pan Jędrzej Juryk mówił coś zwolna

i zcicha przez ręby, a mieszczanom ledwie oczy nie wylezą z jam, tak słuchają pilnie, a ledwie głowy nie zlecą z karków, tak potakują gorliwie.

— Znacie przecie wszyscy kuma Dmytra, — prawi pan Jędrzej. — Otóż to on mi wytłumaczył rzecz całą!

— Hm, hm, — mruknęli mieszczanie, w głębokiem zamyśleniu potrząsając głowami.

Juryk wyprężył się na palce i z triumfem powiódł oczyma dokoła.

— Pan nie pan, chłop nie chłop, szlachcic nie szlachcic, mieszczanin nie mieszczanin — rzekł po chwili z przyciskiem — wszyscy są jak jeden człek.

— Toż i Starzeliczanie nie chowają się za piec — ozwał się jeden z mieszczan, silny, krępy bednarz, pan Jan Perułka.

— Niech tylko maziarz przyjedzie — poszepnęli inni i prostując się na swych siedzeniach, pozakładali ręce poza szerokie pasy skórzane.

— A kiedyż maziarz pokaże się u nas? — zapytał pan Jan Perułka.

— Nie przyjedzie aż potrzeba będzie!

— Aż potrzeba będzie! — powtórzyli wszyscy chórem i ponajeżali podstrzyżone wąsy.

— Tymczasem panowie — prosił Juryk — jeszcze po kufelku piwa!

— Żeby nie było zawiele — przedstawiał niski, chudy, garbaty pan Bartłomiej Barszczyk.

— At, co tam na lepsze czasy! — zawołał Juryk.

— Na lepsze czasy! — powtórzyło całe grono.

A w tym samym czasie i przy stole, gdzie siedział zacny wójt ryczychowski, Iwan Chudoba, podobny słychać było okrzyk.

— Na lepsze czasy! żeby licha nie znać! — zachęcał nasz wójt swoich towarzyszy, przyznawszy nową flaszę wódki na stół.

— Żeby licha nie znać! — wtórowało całe grono, a spory kielich szybką dokoła obiegł koleją.

— Na zdrowie naszego kuma Dmytra, który się już tak dawno do nas nie pokazuje! — zawołał wójt nową rozpoczynając kolej.

— Niema to jak nasz kum Dmytro!

— Ho ho! człowiek jak złoto!

— A rozum fiu fiu!

— Niech się sam jegomość schowa!

Wójt ryczychowski uśmiechał się z zadowoleniem.

— I to on wam, panie wójcie, wszystko to mówił?... — zapytał Hryć Tandara od końca stołu.

— On, on! wszystko co do słowa! — potwierdził Iwan Chudoba z powagą i dobitnością.

— Wszyscy wierzymy mu! — krzyknął przysiężny, Pawło Wenczur.

— Wszyscy, cała gromada! — zawołali chórem inni.

— Napijmy się tymczasem! — zachęcał uszczęśliwiony Chudoba.

W tej chwili jakiś silny głos zagrzmiał w sieniach a mimowolna cisza nastała w szynkowni.

— Jest tam kto? — ozwał się głos z sieni.

Stróż karczemny wybiegł z karczmy, a sam Organista stawiając butel na szynkwasie spieszył na powitanie niepospolitego, jak się zaraz domyślił, gościa.

Nagle z trzaskiem rozwarły się drzwi, a do gwarnej szynkowni wszedł Katylina.

Garbaty Organista cofnął się o krok z niskim ukłonem, a odrazu przypomniał sobie fizjognomię swego dłużnika.

— Ajaj! wielmożny pan! — zawołał, kłaniając się raz poraz.

Garbaty Organista wiedział już zaraz w pierwszych dniach, jak wielkiego znaczenia dostąpił w Oparkach jego niedawny obszarpany gość o wykrzywionych butach.

Wejście Katyliny sprawiło pewne wrażenie na wszystkich przytomnych. Chłopi podnieśli się z uszanowaniem z swych ław, mieszczanie pomilkli nagle wśród wrzawy, a szlachta mierzyła go badawczym wzrokiem, jakby oczekując pierwszego powitania z jego strony.

Rzeczywiście też Katylina kiwnął głową dokoła, a przed panami bracią uchylił zlekka kapelusza.

— Patrzy coś na jednego z naszych szepnął pan Kacper Sołyszko, odpowiadając na ukłon z dumą i powagą.

Organista tymczasem obiegał swego znakomitego gościa ze wszystkich stron i kłaniał się a kłaniał nieustannie. Jakieś przeczucie mówiło mu, że nie darmo wstąpił do jego karczmy.

— Czemże mogę służyć wielmożnemu panu? — zapytywał poraz już czwarty.

— Najprzód winienem ci coś! odparł Katylina, uderzając go po ramieniu

— Ach czemu nie więcej! — wykrzyknął grzeczny żyd z ukłonem.

Katylina uśmiechnął się szyderczo.

— Szkoda — rzekł — żem wówczas wędrując nie znał twego życzenia.

— Ny, wtedy-to i ja sam jego nie znał — odpowiedział dowcipny żyd bez zająknienia.

— Szczeryś przynajmniej — mruknął Katylina wesoło.

— Bo mi wielmożny pan nie zapłaci za fałszywość.

— Słuchajno — ozwał się nagle poważnie Katylina, kładąc rękę na jego ramieniu — nie mam czasu dowcipkować z tobą...

Żyd ukłonił się milcząc.

— Mam jednak do ciebie pewien interes.

— Niech wielmożny pan rozkazuje, ja dla wielmożnego pana wszystko już z góry zrobił!

— Masz czas na chwilkę!

— Tylko dla wielmożnego pana.

— Chciałbym kilka słów pomówić z tobą na osobności.

Organista aż rumieńcem nabiegł, taka owładnęła go ciekawość, którą jak wszyscy ludzie dowcipni w wysokim stopniu posiadał z natury.

— Niech wielmożny pan pozwoli do alkierza.

— Prowadź!

Organista zwinął się prędko po szynkowni. Surę i Szmula postawił za szynkwasem i co tchu stawił się na rozkazy Katyliny, prowadząc go przed sobą do ciasnego, *betami* zarzuconego alkierza.

— Niech wielmożny pan siada — zapraszał, kulawy podsuwając stołek.

Katylina usiadł, zapaliwszy naprzód cygaro.

— A teraz co wielmożny pan rozkaże? — zapytał Organista.

— Chciałbym się od ciebie czegoś dowiedzieć, mój Chaimie.

— Dowiedzieć! — powtórzył żyd przeciągle, jakby cokolwiek zawiedziony w oczekiwaniu.

— Tylko z łaski swojej mów mi szczerze, co myślisz, albo nie mów nic zgoła.

— Wielmożny pan coś z daleka zajeżdża.

Katylina puścił kilka sporych kłębów dymu i osłoniwszy się w gruby obłok, ozwał się po chwili:

— Mówią, że znasz na palcach całą okolicę.

— Czemużbym nie miał znać, wielmożny panie, trzydzieści lat siedzę na arendzie.

— Powiedz-że mi, dawno już maziarz, kum Dmytro, pokazuje się w tych okolicach?

— Maziarz, kum Dmytro — ciągnął żyd leniwo i jakoś z podełba wpatrzył się na pytającego. — A wielmożnemu panu na co tego?

Katylina ruszył się niecierpliwie.

— Bądź łaskaw odpowiadaj tylko na moje zapytania, a uwólnij mnie od swoich.

Organista nieznacznie pokiwał głową i wzruszył ramionami.

— Ot tak blisko pięć lat temu.

— Pięć lat... — powtórzył Katylina przez zęby.

— A dawniej nikt go nie widział w okolicy?

— Nikt.

— Skądże się wzięły jego liczne znajomości między chłopami?

Żyd uśmiechnął się i machnął ręką.

— Jakże go nie mają znać, kiedy gdzie się pokaże wszystkim płaci wódkę, maź sprzedaje pół darmo i to jeszcze na kredyt, a jak zacznie kiedy przypowiadać to o tem, to owem, *ny* dalibóg, ja sam nie mogę ucha oderwać. Co on umie rozmaitych bajek, *historjów*, przypowieści! Ajaj! za cały dzień by nie porachował! — prawił Organista, zapalając się trochę.

Katylina osłonił się nową chmurą dymu.

— Dobrze... — mruknął przez zęby.

— A teraz powiedz mi z łaski swojej, czy znasz Kośtia Bulija?

— Niech go djabli biorą — odparł żyd, wstrząsając się z zabobonnym przestrachem — po co mi znać takiego czarownika!

— A dawniej go znałeś?

— *Ny*, dawniej co innego. Kiedy jeszcze służył za kozaka u żywego starościca, tom go nieraz widywał. Ale wtedy to on był całkiem inny.

— A prawda to — zapytał Katylina, prędko puszczając spore kłęby dymu — że u niego ma czasami przesiadywać jakaś piękna dziewczyna?

Żyd ściągnął brwi do góry i ze znaczeniem pokiwał głową.

— To taka dziewczyna, jak nieprzymierzając ja i wielmożny pan.

— Jakto? co? pochwytywał Katylina z pośpiechem.

Żyd przybrał tajemniczą minę, splunął na ziemię i z niesmakiem musnął się po brodzie.

— Proszę wielmożnego pana, to ma być djabeł, co pilnuje nieboszczyka starościca, kiedy wstanie z grobu.

Katylina żachnął się niecierpliwie.

— Wiesz co, mój Organisto — rzekł — miałem cię za trochę mędrszego, ale tyś wielki dureń z twoim chodzącym nieboszczykiem!

Organista skrzywił się urażony.

— Wolno wielmożnemu panu wierzyć albo nie wierzyć. Ja sam nieboszczyka nie widziałem po śmierci, ale wielu innych go widziało.

— A za życia znałeś starościca?

— Broń Boże. On albo ciągle siedział we dworze, albo jak wiatr uganiał na koniu, a ja z mojej karczmy nie mogłem za nim biegać, aby go widzieć.

— A słyszałeś przecie co o tej dziewczynie, która czasami ma przebywać u Kośtia Bulija?

Organista zamyślił się.

— Wiem tylko jedną rzecz, wielmożny panie.

— Ah!—wykrzyknął Katylina.

— Stara żebraczka Burdzicha opowiada, że raz z Buczał chciała przejść do Oparek i wybrała krótszą drogę przez wygon między polami.

Katylina bliżej podsunął się z krzesłem, przypominając sobie w tej chwili owo spotkanie Juljusza w tymsamym wygonie.

— I cóż?—zapytał.

— W pół drogi zachorowała nagle. Upadła na miejscu i prawie bez duszy leżała aż do nocy. Kiedy nagle przyszła do przytomności, ujrzała pochyloną nad sobą jakąś młodą, bardzo bardzo ładną dziewczynę, tak niby pannę niby chłopkę, która ją wszelkiemi siłami próbowała przyprowadzić do życia. Burdzicha myślała, że to jaka święta, ale się okrutnie przestraszyła, bo tuż w pobliżu stał Kośt' Bulij z wozem.

Tu przerwał na chwilę Organista i przez drzwi otwarte badawczym wzrokiem rzucił do szynkowni.

— Cóż dalej?—naglił Katylina.

— *Ny*, na rozkaz tej dziewczyny stary kozak wziął babę na wóz i podwiózł aż do Buczał pod pierwszą chatę chłopską.

Tu ją zsadził na ziemię, aby się sama dowlekła do drzwi, a ta dziewczyna czy panna wepchnęła jej w rękę kilka cwancygierów.

— A potem? — pytał Katylina niecierpliwie.

— Potem?... Nic już nie wiem więcej...

— Hm — mruknął Katylina, rzucając na ziemię niedopalone cygaro — nie wielem się od ciebie dowiedział.

A po chwili jakby sobie coś przypominając, zapytał jeszcze:

— A powiedz mi, co się stało z drugim kozakiem starościca?

— Z Oleksą Pańczakiem?

— Podobno!

— Gdzieś przepadł bez wieści. Kośt' powiada, że uciekł od starościca z drogi, ale gdzie się podział, o tem nikt nic nie wie.

— Szczególna... — mruknął Katylina i zamyślił się głęboko.

Po chwili sięgnął ręką do kieszeni i dobywając banknot na pięć reńskich, rzucił go przed żyda.

— Będziemy kwita z długiem! — rzekł niedbale, zmierzając ku drzwiom.

Żyd ukłonił się jak mógł najniżej, ale zastąpił drogę odchodzącemu.

— Teraz ja się mam zapytać wielmożnego, pana o jedno.

— Naprzykład?

— Czy wielmożny pan wie, co się święci?

— Gdzie?

— W urzędzie.

— Nie rozumiem cię.

— Jakto, wielmożny pan nie wie o skardze pana Żachlewicza?

— Ani słowa!

Żyd aż podskoczył w górę.

— Ajaj! pan komornik Gramarski już od kilku dni komisjonuje, a wielmożny pan, ani jaśnie wielmożny dziedzic nic nie wie!

— O cóż to chodzi?

Żyd zawahał się nagle.

— *Ny*, to na co ja mam mówić, może to wszystko nieprawda.

— Ale cóż takiego do licha?

— *Ny*, to ja wielmożnemu panu powiem... Jak słychać — dodał zniżając głos — były komisarz pana grafa z Orkizowa, pan Żachlewicz, wytoczył proces przeciw testamentowi nieboszczyka starościca.

— Jakto?

— Hoho, proszę wielmożnego pana, jak ja tylko posłyszał, że pan Żachlewicz jedzie do Drezna — prawił żyd, cmokając językiem — to ja już zaraz mówiłem, nie na darmo on tam pojechał.

Katylina rzucił się niecierpliwie.

— Pal cię djabli z twojemi domysłami, gadaj mi co wiesz o procesie!

— Niech wielmożny pan słucha. Pan Żachlewicz przywiózł z Drezna jakieś dowody, że przepraszam honor wielmożnego pana, nieboszczyk starościc nie był jak to mówią spełna rozumu, tak niby *myszyngene*, wielmożny panie.

Katylina podskoczył jak opętany, a poczciwy Organista aż przycupnął z przestrachu.

— Kto to mówi? — krzyknął gromowym głosem, pojmując odrazu całe niebezpieczeństwo podobnego zarzutu.

— Ny, proszę wielmożnego pana, to nie uchowaj Boże, to pan Żachlewicz.

— Łotr nad łotrami!

— Prawda, prawda, wielmożny panie — przyznawał żyd skwapliwie i przestraszony gwałtownością swego imponującego gościa, nieznacznie nakręcał ku drzwiom.

— Skądżeś słyszał o tem wszystkiem? — pytał Katylina, zastępując mu drogę.

— *Ny*, słyszałem, że już kilkunastu chłopów z rozmaitych wsiów przysięgało przed komornikiem.

— A Juljusz o niczem nie wie!

— To źle, wielmożny panie! Potrzebaby jakoś radzić!

Katylina uderzył się w czoło.

— Zastałem niedawno Żachlewicza u Gągolewskiego. Obadwaj łotry muszą być w spółce!

I zgrzytnął zębami, a twarz jego tak groźny przybrała wyraz, że nie bardzo odważny Organista cofnął się aż za przyległą szafę.

— Ajaj to jakiś hajdamaka... — poszepnął w duchu.

Katylina już ani nie spojrzał na niego. Pomknął ku drzwiom i odbierając konia z rąk stróża, wskoczył w siodło i jak szalony popędził gościńcem ku Buczałom...

Bystry i przenikliwy jego umysł poznał odrazu całe niebezpieczeństwo sytuacji.

Niektóre dziwactwa i szczególności starościca można było w samej rzeczy wziąć za wybryki zwichnionej głowy, a jeśli tylko w takiem świetle dały się przedstawić sądowi, musiały nieodzownie pociągnąć za sobą unieważnienie testamentu, na którym jedynie opierało się dziedzictwo Juljusza.

Cała jego fortuna miała pójść jak przyszła nagle i niespodziewanie, jak powiew wiatru.

— Za plecyma Żachlewicza stoi hrabia — mruknął Katylina półgłosem wśród rozmyślania. — Ale poczejkajno mój jaśnie wielmożny, pogadamy z sobą! — dodał prawie z rodosnym uśmiechem.

Nie łudząc się co do doniosłości niebezpieczeństwa, nie mógł jednak przytłumić pewnego zadowolenia z tych wypadków, które energicznej jego naturze tak obfite do działania nastręczały pole.

Wiedział on, że nie mając ani jednej chwili do stracenia, potrzeba jak największą rozwinąć gorliwość i wszelkich możliwych użyć środków, aby pokrzyżować plany przeciwnikom i zażegnać chmurę, nim jeszcze przygotowany wystrzeli z niej piorun.

Zanosiło się oczywiście na walkę zawziętą, a Katylina czuł się w swoim żywiole i z góry już obliczał triumfy zwycięstwa.

— Naprzód zajdę z mańki mandatarjusza... — poszepnął napędzając konia do szybkiego biegu.

I z rodzajem radości i zadowolenia zaczął układać sobie w myślach, jak najskuteczniej uderzy na pierwszego przeciwnika.

— Ale że Juljusz dotychczas o niczem nie uwiadomiony?! — zagadnął się nagle.

— Ręczę, że w tem jakaś łotrowska machinacja Gogolewskiego! — wykrzyknął po chwili.

A przyśpieszając znowu bieg konia, nie spostrzegł w swem głębokiem zamyśleniu, że na jego widok jakiś człowiek, co ścieżką szedł wzdłuż wierzbami wysadzonego gościńca, skrył się co żywo za pień drzewa i i nie wychylił głowy, aż póki tętent konia nie przebrzmiał w oddali.

Byłto znany nam przebłagany nieprzyjaciel Kośtia Bulija, Mykita Ołańczuk, którego brała już od dawna charakter istnej manji szalonej.

Katylina nie śpieszył wprost do Oparek, ale krótszą drogą przez ściernie i łąki pognał ku Buczałom.

Właśnie kiedy docierał do zabudowań folwarcznych, spotkał się z jakąś próżną bryczką, wyjeżdżającą widocznie od mieszkania mandatarjusza.

— Stój!—krzyknął z daleka na furmana. Bryczka zatrzymała się na miejscu.

— Gdzie jedziesz? zapytał Katylina.

— Popaść na folwark, wielmożny panie — odparł woźnica:

— A z kimeś przyjechał?

— Z panem Żachlewiczem.

Katylina aż krzyknął z radości.

— A gdzież pan Żachlewicz? — zapytał dalej skwapliwie.

— Został u pana sędziego.

Katylina z całej siły zaciął konia i jak strzała pomknął ku zabudowaniu dominikalnemu.

— Walnie, wyśmienicie! poszepnął w duchu. — Obudwu naraz schwycę na wędę!

## KATYLINA ROZPOCZYNA KAMPANJĘ.

Pan mandatarjusz z fajką na długim cybuchu w głębokiem zamyśleniu przechadza się po kancelarji.

Nieoceniony aktuarjusz-poeta, pan Gustaw Chochelka, siedzi poważny i nadęty przy stoliku, a gryząc pióro w zębach, czeka na rozkazy swego pryncypała. Tymczasem zaś zwykłym trybem pociąga kołnierzyki, muska bakenbardy i jeży czuprynę, a bogdaj czy nie szuka końcówek do jakiego nowego miłosnego wiersza.

W tyle przy drzwiach w pokornej postawie stoi dwóch chłopów z Oparek, Hawryło Facuła i Kiryło Gierega.

Obadwaj przyszli *na sprawę* do wielmożnego sędziego.

A była to nie lada między nimi sprawa.

Zeszli się w karczmie w niedzielę popołudniu, a dysputując o różnych przedmiotach, różnej także byli opinji.

Facuła mówił tak, Gierega siak, Hawryło Kiryłę w twarz, Kiryło Hawryłę w piersi! Facule stłukła się fajka, Gieredze zawieruszyła się spinka od koszuli.

Więc obadwaj co żywo do pana sędziego.

Pierwszy chce plastra na gębę i nagrodę za fajkę, drugi gojącej maści na piersi i restytucji spinki postradanej.

Aby jednak tem bezpieczniej upewnić się wygranej, Hawryło jako przednią straż wysłał dwie gęsi tuczne do dominium, Kiryło jako rezerwę przyniósł prosię w worku.

Pan sędzia wypytuje obudwóch z surową powagą i ścisłą bezstronnością.

A Kiryło znowu tak, a Hawryło znowu siak.

Pan sędzia niby patrzy niby słucha, a w głowę jak fura siana zajechały mu dwie gęsi tuczne i prosię w worku.

— Gadaj jak to było, Hawrvło! — rozkazuje jednemu, a w uszach zagęgały mu obie gęsi.

Hawryło ledwie zaczął a tu znowu prosię zakwiczało w worku.

— Stój! — krzyknął pan sędzia.

— Gadaj, Kiryło!

Kiryło kłania się do samej ziemi i tnie swoje. Hawryło przerywa i wszystko zaczyna *da capo*.

Panu sędziemu w jednem uchu zagęgały gęsi, w drugiem zakwiczało prosię.

— Cicho! — krzyknął — cicho obadwaj!

I zaczął przechadzać się po kancelarji i coś mruczy przez zęby.

Hawryło podsłuchuje z rozdziawioną gębą i myśli w duchu:

— Za mną się skłania.

Kiryło uśmiecha się z triumfem i szepce sobie:

— Moja wygrana.

A pan sędzia chodzi i chodzi a mruczy:

— Dwie gęsi tuczne, prosię na pieczyste!... Prosię na pieczyste, dwie gęsi tuczne! Hm, hm, fiu, fiu, fiu!

— Kto zaczął? — zapytał i obie naprzód wyciągnął ręce, jakby w wyobraźni w jednej ważył prosię, w drugiej gęsi obie.

— Hawryło zaczął, wielmożny sędzio.

— Kiryło zaczął! Zadał mi złodziejstwo!

— Kto kogo pierwej uderzył?

— Hawryło mnie!

— Hawryło ciebie, pst, sza! Ani słowa!

Tu pan sędzia przystanął i szeroko rozwarł nozdrza, jakby w jednej chwili wąchał i tłustą gąskę upieczoną i prosię nadziewane.

Facuła skrobie się w głowę.

— Źle — myśli.

Gierega pokiwuje głową.

— Nie dobrze! — wzycha.

— Kto skończył?—pyta dalej pan sędzia.

— Kiryło skończył!

— Ja go tylko odtrącił od siebie, łaskawy sędzio.

— Pst, sza! Ani słowa!

— Hawryło zaczął, Kiryło skończył! Hm, hm, Kiryło skończył, Hawryło zaczął...—duma dalej pan mandatarjusz.

I znowu zatrzymał się na miejscu i poruszył wargami, jakgdyby jednym półgębkiem smakował gęsi z jabłecznym kompotem, a drugim przypaloną skórkę prosięcia.

— Za drzwi obadwaj! — zakonkludował nareszcie.

Hawryło i Kiryło pokłonili się nisko i wyszli z kancelarji.

Pierwszy pozostał w sieniach, drugi czmychnął do kuchni i w ręce pani sędziny wysypał prosię z worka.

Pan sędzia pozostał sam z swym aktuarjuszem.

— Proszę pisać, panie Chochelka — *Per mandatum*! — rozkazywawał godny sługa Temidy.

A snać na uspokojenie swego zanadto drażliwego sumienia, mruknął półgłosem:

— I gęsi zostaną i prosie pójdzie do chlewa.

Na nieszczęcie pan Chochelka, wytężywszy uszy, które długością zdawały się rywalizować z kołnierzykami, wziął te słowa za prosty wstęp mandatu i w kilku pociągach pióra nakreślił je na papier.

— Jest! — rzekł jednocześnie z ostatniem pociągnięciem pióra:

— Co jest?

— Prosię!

— Jakie prosię! — wykrzyknął pan mandatarjusz, zapomniawszy o swoim głośnym monologu.

— Pan sędzia dyktował przecie.

— Co?

Pan Chochelka z urażoną powagą nachylił się ku papierowi i odczytał pełnym głosem:

— I gęsi zostaną i prosię pójdzie do chlewa.

— Osioł! — wrzasnął mandatarjusz, łapiąc się za głowę.

— Osioł? Pan sędzia dyktowałeś prosię. Ale to nic, ja poprawie.

I poślinionym palcem pociągnął po fatalnem prosięciu, a piórem zamachnął, aby natomiast przynależytego postawić osła.

Pan mandatarjusz z furją poskoczył ku niemu i wyrywając mu nieszczęsny papier z przed nosa, zgmatwał i zdarł go w tysiąc kawałków.

Pan Chochelka wzruszył tylko ramionami jak człowiek na niewinne narażony prześladowanie i siedział spokojnie na miejscu.

— Pan wtedy będziesz mandatarjuszem, kiedy ja biskupem — wykrzyknął pan Gągolewski w najwyższej indygnacji.

— Pan sędzia zapomina, że mam już *Mandatarsprüfung*, a co do *Polizeirichtersprüfung*... — oponował urażony aktuarjusz-poeta.

Mandatarjusz wzruszył ramionami i machnął ręką.

— Weź pan inny papier! — krzyknął.

Pan Chochelka z urzędową flegmą i powagą wziął inny półarkusz siwego papieru, ale za to z wielkim zamachem i ferworem zamaczał pióro do kwartowego kałamarza, sporządzonego z starej stłuczonej flaszki, którą wszystkoumny policjant sznurkiem obciął w zimnej wodzie.

Pan mandatarjusz postawił się w pozycji Cezara dyktującego listy siedmiu sekretarzom naraz.

— Pisz pan—rzekł.

Pan Chochelka furknął piórem w powietrzu.

Pryncypał dyktował:

„Wójtowi w Oparach!

Nakazuje się pod karą 25 kijów, aby Hawryłę Facułę i Kiryłę Gieregę pogodził z sobą niezwłocznie.

Dominium Żwirów, dnia 26 października 1845“.

Pięć! — powtórzył Chochelka z triumfującą miną i nadstawił pióro panu sędziemu.

Pan Gągolewski wziął pióro do ręki i nakreślił swoje imię z zwykłym wykrętasem i zwykłym przydatkiem niemieckich tytułów.

— Hawryło! Kiryło! — zawołał teraz obracając się ku drzwio.

Weszli obaj chłopi, a pan sędzia, nie patrząc nawet na nich, podał im papier złożony.

— Wójtowi! — rzekł od niechcenia.

Obadwaj chłopi sięgnęli po papier, ale zręczniejszy Kiryło uprzedził przeciwnika i uniósł skarb nieoceniony.

A w samej rzeczy skarbem mógł się nazwać taki wyrok! Sam Salamon by go pozazdrościł!

Zaledwie wynieśli się obadwaj skarżyciele, a pan sędzia jakby umęczony dopełnionym aktem urzędowania, odetchnął z pełnej piersi i chciał wygodnie ułożyć się na sofce, kiedy w tem turkot bryczki rozległ się na ganku.

— Pan Żachlewicz! — krzyknął mandatarjusz uradowany i wybiegł naprzeciw gościa.

Pan Chochelka z pasją podciągnął kołnierzyki.

Wytrzymajże dłużej u takiego gbura bez wychowania! — mruknął i biorąc za czapkę wymknął się za drzwi.

Mandatarjusz wprowadził swego gościa do kancelarji, a zaledwie zaskrzypły drzwi za Chochelką, pochwycił go za rękę i zapytał skwapliwie:

— I cóż, jak stoją interesa?

— Wybornie!

— Wybornie! — powtórzył mandatarjusz i zatarł ręce.

— Najdalej za dziesięć dni nie będzie studencika we dworze!

— Czy być może?

— Pojutrze zjedzie komornik.

— Tutaj?

— Wysłucha pierwszych zarzutów przeciwnych czyli tak zwanej excepcyj dzisiejszego dziedzica.

— A jak te zarzuty pokażą się nieważne...

— Có po trzydziestu zaprzysiężonych świadectwach daje się z góry przewidzieć... — upewniał Żachlewicz.

— Wtedy...

— Pan komornik uzna testament za nieważny a *prowizorjum* aż do dalszego rozstrzygnienia przyzna najbliższemu naturalnemu sukcesorowi.

— Jaśnie wielmożnemu Kazimierzowi hrabi Żwirskiemu.

— Dziedzic zaś dzisiejszy z wszelkiemi pretensjami, protestami i rekursami...

— *Auf den Rechtsweg*! — dorzucił mandatarjusz i strzepnął palce...

— Amen! — zakonkludował Żachlewicz i głowę pochylił na piersi.

Wtem tętent konia rozległ się przed gankiem.

— Na macie! — krzyknął mandatarjusz poskakując do okna — Katylina!

Żachlewicz drgnął przestraszony.

— Katylina! — powtórzył mechanicznie i skwapliwie pochwycił za czapkę.

— Nie chcę, aby mię tu zastał — poszepnął do mandatarjusza.

— Zapóźno! już idzie! — zawołał mandatarjusz, postępując ku drzwiom.

— Idzie!

W samej rzeczy w sieniach dały się prędkie i głośne słyszeć kroki.

Żachlewicz jak piskorz kręcił się po pokoju.

— Schowam się! — szepnął.

I tuż znalazł upragnione schronienie.

W kącie między dwoma szafami z aktami wisiała garderoba pana Chochelki, na którą troskliwy właściciel uszył rodzaj kapy z papieru.

Żachlewicz jednym susem poskoczył pod papierową zasłonę i przycupnął we dwoje pod krótkim płaszczykiem bandyckim, najcelniejszym artykułem garderoby pana Chochelki.

Jednocześnie drzwi rozwarły się z trzaskiem, a Katylina wszedł do pokoju.

Twarz jego miała swój zwykły spokojny i niedbały wyraz, tylko do owego uśmiechu szyderczego w ustach i oczach przymieszało się coś jak ukryta groźba.

Mandatarjusz powitał go zwykłymi ukłonami.

Katylina badawczem okiem powiódł dokoła i uśmiechnął się z podwójną złośliwością.

Papierowa kapa między dwiema szafami zatrzęsła się zlekka.

— Pan sam jesteś, panie Gągolewski? — zapytał mandatarjusza.

— Sam.

Katylina rzucił się na sofkę i szpicrutą poklepał po butach.

— Cóż tam słychać? — zapytał znowu, a ukradkiem łypnął ku nieszczęsnej kapie papierowej.

— Nic — odparł mandatarjusz cokolwiek zaniepokojony.

— Nic zgoła nowego?

— Przynajmniej ja o niczem nie wiem.

Katylina zagwizdał przez zęby.

— Przybyłem umyślnie, aby się czegoś dowiedzieć od pana — ozwał się znowu po chwili.

Mandatarjusz wzruszył ramionami, ale zaniepokoił się naprawdę.

— Jakichże nowin spodziewałeś się pan dobrodziej ode mnie? — odważył się zapytać.

Katylina bystro wpatrzył się w mandatarjusza, a ten mimowolnie cofnął się o krok w tył.

— Ołańczuk nie powrócił?

— Dotąd nikt go jeszcze nie widział w całem dominjum.

Z oczu Katyliny złowrogi jakić strzelił wyraz.

Porwał się z sofki i szybko postąpił ku stołowi.

Mandatarjusz odetchnął ciężko: zdawało mu się, że Katylina zmierza ku fatalnemu ukryciu.

— Daj mi pan z łaski swojej arkusz papieru! — żądał niebezpieczny gość.

Mandatarjusz skwapliwie poskoczył na zawołanie.

Katylina usiadł przy stoliku, pochwycił za pióro i zamaczawszy w niezgrabnym kałamarzu, z zamachem szastnął po papierze.

Nagle rzucił się gwałtownie.

— Cóż za ohydny masz pan atrament! — wykrzyknął i pochwycił za nieszczęśliwy kałamarz.

Mandatarjusz z przestrachu przykląkł na obydwa kolana.

W tej chwili kałamarz z świstem przemknął mu tuż ponad głową i pozostawiając sporą plamę na okazałym nosie, padł trafnie wymierzony w kąt między szafy, poza papierową zasłonę.

I nagle głośny rozległ się brzdęk, pomieszany z wykrzykiem gniewu i przestrachu.

Fatalna flaszka ugodziła w samą czaszkę Żachlewicza i rozbiła się w drobne kawałki.

— A to co? — wykrzyknął Katylina z udanym przestrachem.

— Gwałtu! ratunku! — zawrzeszczał okropnym głosem Żachlewicz — zamordowano mię!

Przygłuszony nagłem, niespodziewanem uderzeniem, wziął nieborak lejący się zewsząd atrament za czystą krew w pierwszym przestrachu i wysuwając się raczkiem z swego ukrycia, jęczał w niebogłosy.

— Krew! krew! ratunku!

— Mandatarjusz stał jak wryty na miejscu, a z przestrachu, gniewu i oburzenia nie mógł wyrzec ani słowa.

Katylina zanosił się od śmiechu.

— Cóż pan tam robiłeś do djabła, panie Tachlewicz? — zapytał nareszcie.

Żelektryzowany szyderczym dźwiękiem tego głosu, Żachlewicz porwał się na równe nogi i ocierając strugi atramentu od gęby i nosa, uspokoił się wprawdzie co do swego uszkodzenia, ale za to wściekłym zawrzał gniewem i z zaciśniętemi pięściami prawie o krok naprzód postąpił ku Katalinie.

— Po cóż pan tam wlazłeś, panie Tachlewicz? — pytał niezmieszany szyderca.

— Bo mi się tak podob.....bło... — silił się powiedzieć pan

Żachlewicz, ale na nieszczęście zachlisnął się nową strugą atramentu.

— Wybornyś sobie panie Tachlewicz!

— Nie nazywam się Tach... chle... wcz — zachlisnął się znowu biedak napół z złości, napół z nowego napływu atramentu.

Tymczasem osłupiały narazie mandatarjusz opamiętał się jakoś i w groźnej wyprężył się postawie.

Postępek Katyliny rozgniewał i oburzył go do żywego, a przywiezione właśnie przez Żachlewicza wiadomości śmiałem natchnęły go postanowieniem.

— Co mi teraz zrobi, kiedy za tydzień już wezmą djabli samego dziedzica... — mruknął sam do siebie.

I w jednej chwili zmieniony do niepoznania, postąpił naprzód ku Katylinie.

— Co to znaczy? — krzyknął — w moim domu!...

Katylina rzucił nań jedno spojrzenie, a mandatarjusz co żywo cofnął się w tył i zamilkł jak zaczarowany.

Katylina postąpił ku drzwiom.

— Wody! — krzyknął do sieni.

Potem spokojnie wrócił na środek pokoju i rzekł jakby nic nie zaszło:

— Zaraz się pan Tachlewicz umyje, a potem będę się starał wytłumaczyć!

— Nie nazywam się Tachlewicz! — wrzasnął Żachlewicz z wściekłością.

— Tak, pan komisarz nie nazywa się Tachlewicz! — ozwał się mandatarjusz buńczuczno.

I odzyskując całą swą powagę podniósł się na palce i groźnie schmurzył czoło.

Katylina parsknął urągającym śmiechem i postąpił naprzód ku niemu.

Ale w tem rozwarły się drzwi, a do kancelarji wleciała przestraszona krzykiem pani sędzina, a za nią pan Chochelka i służąca z konewką wody.

— *O la Boga!* co się tu dzieje? — krzyczała pani sędzina zasapana.

— Nic zgoła — odpowiedział Katylina drwiąco-uspokajającym tonem. — Pan Tachlewicz trochę się poplamił, ale się zaraz obmyje.

Tu pan mandatarjusz nie mógł powstrzymać się dłużej.

— Dosyć tego! — zahuczał gromowym głosem. — Nie

chcę już cierpieć dłużej! Nie dbam więcej o służbę u dziedzica, który sobie jakichś od świata posprowadzał łaj...

Nie dokończył, bo twarz Katyliny tak groźny przybrała wyraz, że i śmielszy z natury mógł się przestraszyć naprawdę.

Pan Chochelka zawczasu salwował sobie ku drzwiom rejteradę, a pani sędzina cała drżąca poskoczyła na bok i rzucając mężowi spojrzenie opamiętania, zawołała upominając:

— Bonifasiu! Bonifasiu!

Ale Bonifasio jeszcze w sroższy wpadł ferwor i chciał już dokończyć sens przerwany, kiedy Katylina postąpił spokojnie ku niemu i patrząc mu bystro w oczy, rzekł zwolna a dobitnie:

— Słuchajno aspan, czy myślisz, że jak w imieniu dziedzica krzyknę na chłopów, to się potrafisz ochronić od pięćdziesięciu kijów?

Mandatarjusz struchlał cały.

Wiedział aż zanadto dobrze, że w ciągu swego długoletniego urzędowania zraził sobie chłopów na zabój i że na pierwszy wykrzyk Katyliny zleciałyby się wszystkie szesnaście gromad na jego rozkazy. Mówiło mu zaś silne wewnętrzne przeświadczenie, że zuchwały awanturnik nie wiele troszczy się o środki legalne i gotów nieochybnie spełnić obietnicę.

— Jakto? pan mówisz...? — zawołał spuszczając z tonu.

— Że jeśli aspan cicho i pokornie nie będziesz słuchał moich rozkazów, krzyknę na wójta i chłopów i taką mu sprawię łaźnię, o jakiej świat nie słyszał!...

I jakgdyby dla tem silniejszego utwierdzenia otworzył drzwi od sieni i wrzasnął gromowym głosem:

— Hej policjant! stójka!

Policjanta nie było, ale wpadł tak zwany stójka, t. j. dostawiany codzień kolejno od pojedynczych gromad nominalny stróż kancelarji, właściwie zaś daremny sługa pani sędziny.

Katylina przystąpił żywo ku niemu i chwytając go za ucho, obrócił go szybko do drzwi.

— Biegaj mi co żywo do wójta i każ, niech tu natychmiast przyjdzie zdziesięciu tęgimi parobkami! Ruszaj, marsz! — i popchnął go ku drzwiom.

Stójka wylniciał jak opętany a po chwili mignął się tylko przed oknami.

Pan mandatarjusz stał osłupiały na miejscu. Żachlewicz zbladł jak ściana poza zasychającemi plamami atramentu, a pani sędzina czuła wielką ochotę dostac spazmów.

Katylina spokojnie obejrzał się dokoła.

— Mam pogadać z panem Tachlewiczem i chciałbym pozostać z nim sam na sam. Prosiłbym więc państwa... — dodał wskazując na drzwi.

— Pójdź, Bonifasiu! — krzyknęła pani sędzina i co żywo za rękę pociągnęła skonsternowanego mężulka.

Chochelka już przed chwilą znikł gdzieś jak kamfora.

Katylina obrócił się do Żachlewicza, który chyłkiem chciał także wymknąć się z pokoju.

— Za pozwoleniem — rzekł, zastępując mu drogę. — Pomówimy z sobą kilka słówek.

— Ależ ja pana dobrodzieja nie znam! — wykrzyknął Żachlewicz prawie z rozpaczą.

— Nic nie szkodzi, to mię poznasz zaraz.

— Czegoż pan chcesz ode mnie?

— Maleńkiego wyjaśnienia.

— Wyjaśnienia?

Tylko wyjaśnienia... — pomyślał i duch wstąpił w nikczemnego tchórza.

— Niech pan siada! — prosił Katylina.

I rzucając się sam na drelichową sofkę, zmusił swą ofiarę usiąść koło siebie.

— Teraz — rzekł z flegmą i spokojem — zaczniemy mówić na serjo.

Żachlewicz uczuł, że mu się znowu jakoś duszno zrobiło na piersiach.

Katylina ciągnął dalej z naciskiem:

— Wiem o wszystkiem, o wszystkiem, panie Tachlewicz.

Chudy, skrzywiony człowiek drgnął cały.

Katylina świdrujący utopił w nim wzrok:

— Pan jesteś wielkim łotrem, panie Tachlewicz!

— Panie dobrodzieju! — krzyknął skrzywiony człowiek i porwał się z sofy, a oczyma łypnął ku drzwiom.

— Pan jesteś wielkim łotrem — powtórzył Katylina z większym naciskiem i kładąc mu swą silną, szeroką rękę na ramieniu, zmusił go siąść napowrót.

— Czegoż pan dobrodziej żądasz ode mnie? — wybełkotał Żachlewicz napół nieprzytomny z wściekłości i podłego tchórzostwa.

Katylina zaśmiał się z gryzącem szyderstwem.

— Nie bój się — rzekł — nie będę ci rostrząsał sumienia, jesteś łotrem dla siebie i dla kryminału! mnie nic do tego.

— Panu dobrodziejowi nic do tego? — poszepnął tchórz mechanicznie, jakby się uspakajając tem zapewnieniem.

— Ja chcę cię tylko zrobić nieszkodliwym sobie.

Żachlewicz szeroko rozwarł oczy i wypatrzył się na swego dręczyciela, jak delikwent na sędziego.

Katylina z silnym naciskiem prawił dalej:

— Powiedziałem panu, że wiem o wszystkiem, o wszystkiem...

Żachlewicz przytłumił w sobie ciężkie westchnienie.

— Dostawszy pana teraz w swoje ręce....

— W swoje ręce! — wydzwonił Żachlewicz z piekielnym przestrachem, i aż ciemno zrobiło mu się w oczach.

Katylina kontynuował niezrażony:

— Chcę poprostu korzystać z przypadku, a mówiąc krótko i węzłowato, mam panu postawić dwa warunki do wyboru.

— Wa... warunki!

— Właściwie dwie propozycje.

Żachlewicz coś wybełkotał przez zęby.

— Wybór bardzo łatwy. Albo zgodzisz się na pięćdziesiąt kijów, które ci tutaj *eo instante* każę na wieczną wyliczyć pamiątkę...

Żachlewicz był bliskim zemdlenia.

— Albo... — ciągnął Katylina dalej.

— A... albo?

— Raczysz łaskawie napisać list do mnie.

— List do pana! — wykrzyknął Żachlewicz, jakby własnym uszom niedowierzając.

— Tak, list i nic więcej.

— A kiedy? — zapytał skwapliwie.

— Natychmiast.

— Lecz cóż ma być w tym liście?

— *Primo:* że proces przeciw Juljuszowi podjąłeś za ścisłem z hrabią porozumieniem, za jego wiedzą i wolą, jego środkami i funduszami, że on tylko dla ukrycia się przed światem wysunął ciebie naprzód, a sam zachował się biernie.

— Nigdy! Przenigdy! — wrzasnął Żachlewicz.

— A więc skończyliśmy z sobą — rzekł Katylina obojętnie i wstał z sofki, a ręką wskazał ku oknu.

Żachlewicza zimny pot oblał.

Przed gankiem stał wójt z dziesięcioma sążnistymi drągałami.

— Ależ to gwałt, panie! — zawołał.

— A gwałt — odpowiedział Katylina, wzruszając ramionami.

— To zbrodnia, kryminał!

Katylina parsknął śmiechem.

— Nie traćmy czasu! — rzekł i przystępując do drzwi zawołał donośnie:

— Hej, wójcie!

— Stój pan! — krzyknął Żachlewicz.

— Przyjmujesz?

— Prz... prz... yj... muję.

Wójt z niskim ukłonem ukazał się w progu.

— Zaczekaj jeszcze kilka minut! — rzekł Katylina i przymknął drzwi napowrót.

— A teraz — prawił obracając się do Żachlewicza — wróćmy do dalszego ciągu listu.

— Dalszego ciągu!... — wyszepnął Żachlewicz głosem bez dźwięku i głowę bezsilnie spuścił na piersi.

Katylina spokojnie ciągnął dalej:

— *Secundo:* przyznasz pan, że przekonany o niesłuszności swej sprawy, uciekłeś się do różnych sztuczek i intryg niesumiennych.

— Ja... jakto?

— Między innemi wściubiłeś grube łapowe komornikowi i podpłaciłeś świadków..!

Żachlewicz żachnął się oparzony.

— Ależ to niepodobieństwo! — wykrzyknął.

— Na tem kończą się moje żądania.

— Dziękuję!

— Pan nie przyjmujesz drugiego punktu?

— W żaden sposób.

Katylina obojętnie wzruszył ramionami.

— Stoi tedy na kijach? — zapytał po chwili.

— Na kijach! — wykrzyknął Żachlewicz i zadrżał cały.

Katylina zwolna podniósł się z sofki.

— Wójt czeka za drzwiami — szepnął jakby tylko dla przypomnienia.

Żachlewicz z rozpaczą zgrzytnął zębami.

— Panie... — wydzwonił ledwie zrozumiale.

— Powiedziałem: *aut, aut!*

Żachlewicz stał nieruchomy na miejscu, jakby walczył sam z sobą.

Nagle wstrząsł głową i jakoś dziwnie łypnął oczyma.

— Dobrze! — zawołał prędko — zgadzam się na wszystko.

— Przecież! — mruknął Katylina.

Żachlewicz uśmiechnął się prawie zadowolony.

— Pan dobrodziej podyktujesz mi sam ten list? — zapytał z szczególnym pospiechem.

— Jeśli pan chcesz...

— Bardzo proszę!

— A więc siadaj pan.

Żachlewicz przysunął się do stolika, a chwytając za papier, poszepnął w duchu:

— Wszystko, co napiszę, niema najmniejszego znaczenia. Ulegam fizycznemu przymusowi, brutalnej przemocy, gwałtowi, a w takiem położeniu musiałbym podpisać i własny wyrok śmierci.

Katylina śledził pilnie fizjognomję swego przeciwnika, a jej uspokojony. prawie zadowolony wyraz zachwiał go cokolwiek.

— Na jaką nową myśl mógł wpaść ten łotr? — zagadnął się zaniepokojony.

— Jużem gotów — ozwał się Żachlewicz.

— A więc... Proszę pisać.

I rzucając się napowrót na sofkę, zaczął dyktować prędko:

„Wielmożny mości dobrodzieju!

„Zmuszony odkryć całą szczerą prawdę, wyznaję otwarcie, że proces przeciw testamentowi nieboszczyka starościca, Mikołaja, Żwirskiego wytoczyłem za ścisłem porozumieniem z moim pryncypałem, jaśnie wielmożnym hrabią Zygmuntem Żwirskim, który mię w wszelkie potrzebne zaopatrzył fundusze i do wszelkich odpowiednich upoważnił kroków. Sam JW. hrabia nie chciał dlatego pod własnem wystąpić imieniem, że przeświadczony najzupełniej o niesłuszności procesu, bał się skompromitować wobec ludzi honoru. Podejmując się zaś w jego imieniu popierać całą sprawę, nie łudziłem się także co do jej moralnej podstawy, wszakże do dziś dnia udało mi się poprowadzić wszystko jak najlepiej. Sowitem łapowem ująłem komornika, pana Dezyderjusza Gramarskiego, pieniędzmi i przyrzeczeniami na przyszłość zapewniłem sobie pomoc i świadectwo p. p. Gągolewskiego, Girgilewicza i innych!...“

— Koniec? — pochwycił Żachlewicz.

— Jeszcze tylko krótkie zakończenie:

„Z szczerą otwartością i najpełniejszem zaufaniem — wynurzam się obecnie przed panem dobrodziejem, wiedząc, że

o wszystkiem dowiedziałeś się już skądinąd. Śmiem ci jednak proponować, abyś zaniechał bronić zgubnej sprawy a połączył się z nami, za co mu w imieniu JW. hrabiego hojną mogę przyrzec nagrodę. Oczekując pomyślnej jak tuszę decyzji w. pana dobrodzieja, zostaję uniżonym sługą. Pankracy Żachlewicz".

— Skończyłem.

— Złóż pan i zaadresuj.

Żachlewicz zabrał się dopełnić ostatniego rozkazu, a Katylina tymczasem rozwarł drzwi od sieni i krzyknął donośnie.

— Panie Gągolewski, panie Chochelka!

Wpadł co żywo upokorzony mandatarjusz, ale Chochelka znikł gdzieś jak kamfora.

— Gdzież aktuarjusz? — zagrzmiał Katylina.

— Gdzieś się schował! Nie można go znaleźć! — odpowiedział skoncentrowany mandatarjusz.

— Szukać go! — krzyknął Katylina piorunującym głosem.

Mandatarjusz wybiegł i nuż wraz z swą połowicą po wszystkich kątach rozbijać się za zbiegiem, który, jak poświadczyli czekający na ganku chłopi, nie wyszedł nigdzie z domu.

Wszakże napróżno szukali i wołali go po imieniu w niebogłosy.

Nieoceniony aktuarjusz-poeta znikł, jakby w ziemię zapadł.

Na szczęście wójtowi przyszła myśl zajrzeć do gruby od pieca, a tam dopiero odszukano zbiega.

Biedny adonis parafjański, przestraszony energicznem wystąpieniem Katyliny, zaraz w pierwszej chwili za bezpiecznem obejrzał się schronieniem, a odkryty teraz drżał jak listek i krzyczał jak opętany.

— Ja się do niczego nie mieszałem! Ja nic tutaj nie znaczę!

Wyciągnięty za nogi z swej kryjówki, nie dał się uspokoić żadnem przedstawieniem, a osmolony i okopcony szedł na zawołanie Katyliny jak zbrodniarz pod rusztowanie.

Przestrach jego oburzał samego mandatarjusza.

— Cóż to do djabła! — zawołał z indygnacją — głowy panu nie urwie!

I popchnął go naprzód, a sam za nim w pokornej postawie wsunął się do kancelarji.

Katylina parsknął głośnym śmiechem, na widok opłakanego stanu biednego aktuarjusza.

— Cóżto pan kominy wycierałeś, panie Chochelka?

Niefortunny adonis rozkrzyżował ręce i wybełkotał na nowo z pośpiechem rozpaczy:

— Ja się do niczego nie mieszałem, ja tu nic nie znaczę!

— Ale któż pana obwinia?

Panu Chochelce lżej się trochę zrobiło na sercu.

— Myślałem...

Katylina machnął ręką wzgardliwie i obracając się do Żachlewicza, rzekł rozkazująco:

— Odczytaj pan swój list głośno, panie Tachlewicz.

Były rządca orkizowski skurczył i zgarbił się we dwoje i odczytał świeżo napisany list głośno od początku do końca.

Mandatarjusz rozdziawił gębę, wytrzeszczył oczy i stał jak piorunem rażony.

— Ja... jakto — wybełkotał wreszcie po dobrej chwili — Żachlewicz utrzymuje, że, że... pieniędzmi zapewnił sobie moje świadectwo!

— Jak pan słyszysz.

— To... to... fałsz... potwarz!

— Powiedz pan raczej zdrada! — odparł drwiąc Katylina.

Obracając się zaś do Żachlewicza, zagrzmiał dobitnie.

— No, panie Tachlewicz, powiedz-że mu w oczy co napisałeś.

Żachlewicz spuścił oczy na dół i szepnął głosem bez dźwięku i wyrazu:

— Tak... to wszystko prawda!

— Kłamstwo! ani złamanego szeląga nie widziałem! — wołał mandatarjusz z całego gardła — gdzie dowody, gdzie świadkowie?

Katylina z złośliwym śmiechem radował się z położenia swych ofiar.

— Cicho, cicho, moi panowie — ozwał się po chwili — nie chcę was poróżnić naprawdę. Wart Pac pałaca a pałac Paca!

I przystępując prędko do Żachlewicza, wyrwał mu list z ręki i rzekł z przyciskiem:

— Skończyliśmy z sobą, panie Tachlewicz! Ruszaj do djabła!

Żachlewicz cożywo pochwycił za czapkę.

Katylina otworzył drzwi i zawołał wójta.

— Słuchaj — rozkazywał z tą dobitną bezwzględnością, która chłopa naszego zawsze do mimowolnego zmusza szacun-

ku — każesz dwom ludziom odprowadzić tego pana aż za granicę naszego dominium!

— Ja tu mam bryczkę... Jest na folwarku! — ważył się wtrącić Żachlewicz.

— Bryczkę przytrzymaną na folwarku aresztuję do jutra w imieniu dziedzica. Pan przejdziesz się piechotą, panie Tachlewicz.

— Ależ panie...

— Bez długich zachodów: Dalej, wójcie, wyprowadzić go!

Żachlewicz w bezsilnej złości zgrzytnął zębami, ale prędko jak kot czmychnął za drzwi.

Katylina obrócił się nagle do mandatarjusza.

— Teraz my jeszcze pomówimy ze sobą kilka słów! — rzekł z przerażającym przyciskiem.

— Ja niewinny w niczem! — wybełkotał mandatarjusz.

Katylina rzucił się gwałtownie.

— Pan jesteś łotr na wielki kamień, infamis od stóp do głowy!

— Panie dobrodzieju, ja tego... to...

— Mógłbym aspanu sprawić łaźnię, żebyś ją popamiętał do samej śmierci, ale niech cię djabli biorą! Ruszaj na cztery wiatry! Za dwie godziny aby ani śladu nie było po tobie w całym kluczu.

— Ależ panie dobrodzieju... ja ulegam cyrkułowi... Odprawiając mnie, musi dziedzic zawiadomić cyrkuł.

Katylina wzgardliwie wzruszył ramionami.

— Furda, dziedzic aspana nie odprawia, tylko aspan sam uciekasz.

Mandatarjusz na pół łokcia rozdziawił gębę.

— Ja... ja... u... uciekam?

— To jest, uciekniesz!

— Sumienie nakazuje mi pilnować urzędowania.

— A roztropność radzi czmychnąć cożywo, bo jutro ogłoszę we wszystkich szesnastu gromadach, że ktokolwiek dał kiedy aspanu łapowe, może się teraz upomnieć o nie!

W mandatajusza jakby piorun ugodził. Aż w oczach mu się ściemniło w pierwszej chwili.

— Ha! jeśli pan dobrodziej chłopów zamyśla buntować... — wybełkotał skonsternowany do reszty.

— Widzisz pan więc, że nie masz tu co robić. Jedź sobie jak najprędzej, gdzie cię oczy poniosą! Ale wara gdziekol-

wiek dołki kopać pode mną, bo cię wsadzę do kryminału, jak mię tu widzisz!

— Do kryminału! — wybąknął mandatarjusz mimowolnie.

— Myślisz, że trudno mi przyjdzie dowieść ci zdzierstwa, przedajności, nadużycia władzy *et caetera?*

Mandatarjusz pochylił głowę na piersi i nie wyrzekł ani słowa.

Wychodząc zaś z kancelarji na skinienie Katyliny, zgrzytnął z wściekłości zębami i mruknął sam do siebie:

— A to oczajdusza! nie mówiłem! zgubił mię na wieki! Zabił, zarznął mię bez noża!

Katylina tymczasem przystąpił do pana Chochelki i uderzając go po ramieniu, rzekł:

— Teraz na nas kolej, panie Chochelka.

— Biedny aktuarjusz mało nie przykląkł na oba kolana, tak silny zatrząsł nim strach.

— Bóg świadkiem, ja się nie mieszałem do niczego! — wykrzyknął na nowo.

— To też dlatego — odrzekł Katylina z drwiącym naciskiem — choć mówiąc między nami jesteś głupi jak but, chcę cię podnieść trochę. Zrobię z pana chochlę przynajmniej...

— Ch... chochlę!

— Pan masz już egzamin na mandatarjusza?

— Brakuje mi tylko *Polizeirichtersprüfung.*

— Mniejsza o to, tymczasowo możesz pan zawiadywać dominium.

Pan Chochelka poczerwieniał jak burak i zdawało się, że wraz z bakenbardami podrósł nagle na kilka cali.

— Jakto? — wybełkotał.

— Mianuję pana tymczasowym mandatarjuszem!

Pan Chochelka drżał teraz zarówno z radości jak dawniej z przestrachu, a nie wiedział, czy do nóg się rzucić niespodziewanemu dobroczyńcy, czy w inny jaki sposób wyrazić mu swą wdzięczność nieskończoną.

Ale Katylina nie miał czasu w tej chwili zabawiać się z nim długo.

Pochwycił za kapelusz i rzekł prędko:

— Pilnuj pan aktów tymczasem i czekaj moich dalszych instrukcyj! A teraz bywaj zdrów.

Chochelka ukłonił się do samej ziemi, ale napróżno silił jakieś zrozumiałe wybełkotać słowo.

Dopiero kiedy Katylina wyszedł z kancelarli i po kilku sło-

wach, rzuconych do wójta, dosiadł konia, pan Chochelka rzucił się w całej postawie na sofkę i wykrzyknął prawie nieprzytomny z dumy i szczęścia:

— *Dominikalrepräsentant*, ja!!!

Katylina nie jechał do Oparek, ale wprost skręcił ku Orkizowiu.

— Odrazu uderzę na hrabiego! — mruknął przez zęby — Juljusz za głowę się weźmie, jak mu tyle na raz przywiozę wiadomości...

I zaciął konia z całej siły.

— Z jaśnie wielmożnym będzie trudniejsza sprawa! — szepnął po chwili namysłu — ale też ona wszystko rozstrzyga! Hrabia musi mi dać formalne zrzeczenie na piśmie!

I co koń wyskoczył popędził gościńcem ku Orkizowiu.

Słońce już tylko połową swej tarczy przyświecało na zachodzie, a za chwilę schowało się zupełnie za góry.

Katylina coraz gwałtowniej napędzał konia.

— Wieczór! — mruknął niezadowolony.

— Ha, tem lepiej — pocieszał się po chwili — pewniej zastanę hrabiego w domu!

I w duchu zaczął ważyć i układać, od czego ma zagaić z nim rozmowę i jak ugodzić weń najskuteczniej.

— Ręczę — zawołał nagle — że mazgaj Juljusz będzie się na mnie gniewał za wszystko! Gdybym mu się naprzód zwierzył, nie dałby mi pewnie ani kroku zrobić!

Zamyślił się na chwilkę, a potem wesoło wstrząsł głową.

— Jeśli nie naprawię sprawy — poszepnął — to popsuć jej nie mogę. W najgorszym razie Juljusz może się mnie wyprzeć zupełnie. Działam na własną rękę.

Już dobry zapadł zmrok, kiedy nareszcie stanął przed znanym pałacem hrabskim w Orkizowie. Znużony koń ledwo mógł utrzymać się na nogach i parskał z całej siły, a i Katylina aż oddech stracił z szybkiego pędu.

— Jest pan hrabia? — zawołał dopiero po krótkiej chwili wypoczynku do stojącego na ganku lokaja.

— Jest!

— Któż to? — ozwał się w tej chwili zdziwiony głos z boku.

Katylina obrócił się co żywo i ujrzał hrabiego samego wraz z żoną i córką.

Przechadzał się po dziedzińcu i wracał właśnie do pałacu.

Katylina ukłonił się skwapliwie, a na widok hrabiny i hra-

bianki zmieszał się narazie. Lecz właśnie w takich chwilach pomieszania i zakłopotania, wybuchała podwójnie jego rubaszność i obcesowość wrodzona.

— Hej! — krzyknął na lokaja, który czekając snadź skinienia hrabiego, stał nieruchomy na miejscu — potrzymaj mi konia!

Lokaj przyskoczył zelektryzowany energicznym rozkazem.

Katylina zręcznym susem zeskoczył na ziemię i postąpił śmiało naprzeciw hrabstwu.

Hrabia niedawno powrócił do domu, bo wyjechawszy od Juljusza wstąpił jeszcze do jednego z sąsiadów po drodze. A szczególnym przypadkiem właśnie teraz opowiadał żonie i córce swe spotkanie z okrzyczanym w okolicy przyjacielem Juljusza.

Katylina jak istny *lupus in fabula* wpadł w sam tok rozmowy o sobie.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak wielce musiało nagłe pojawienie się jego zdziwić hrabiego, a z jaką ciekawością mierzyły go kobiety od stóp do głowy.

Katylina przezwyciężał na gwałt kłopot i zamieszanie, w jakie szczególniej wprawiała go żywa, śmiała, ironicznie uśmiechnięta hrabianka, tak uderzająco podobna do nieznajomej zaklętego dworu, że przy panującym zmroku można było łatwo zupełnemu ulec złudzeniu.

— Zdaje mi się, że nie potrzebuję się już przedstawiać panu hrabiemu!—zawołał prędko z nowym ukłonem niesforny i nieokrzesany plebejusz.

Hrabia przymrużył oczy i wzruszył ramionami.

— Nie przypominam sobie... — rzekł z dumą — Kto pan jesteś?

Katylina przygryzł wargi, a w oczach mignął mu ten właściwy mu uśmiech urągający.

— Jestem Damazy Czorgut — odpowiedział spokojnie, ale nie bez pewnego drwiącego nacisku przed kilku godzinami miałem zaszczyt być przedstawionym panu hrabiemu u mego przyjaciela, Juljusza Żwirskiego.

— Ah, szepnął hrabia od niechcenia i uśmiechnął się wzgardliwie.

Snadź mimo swej szlachetności charakteru nie mógł zuchwałemu plebejuszowi przebaczyć niedawno impertynenckiego znalezienia się...

Katylina zarumienił się zlekka, a odzyskując swą flegmę wyczajną, ozwał się bez wszelkich wstępów i korowodów:

— Przybywam w ważnym interesie do pana hrabiego i prosiłbym o kilka chwil posłuchania.

— Teraz zaraz? — zapytał hrabia zdziwiony.

— Natychmiast, jeśli pan hrabia pozwoli!

Hrabia wzruszył ramionami.

— Nie przyjmuję nikogo tak późno — ozwał się po chwili niebale — Może... zechce udać się do mego rządcy.

— Chcę kilka chwil pomówić z panem hrabią osobiście.

Hrabia znowu wzruszył ramionami.

— Powtarzam, przybyłem w interesie wielkiej wagi! — podchwycił Katylina skwapliwie.

Hrabia zdawał się namyślać.

— *Vous consentirez donc, papa* — ozwała się prędko Eugenja, którą śmiałe i energiczne wystąpienie Katyliny w wysokim rozciekawiło stopniu.

— *Il peut s'agir de quelque chos importante* — poparła romantyczna hrabina.

Hrabia zlekka machnął ręką.

— Proszę się udać ku lewemu skrzydłu pałacu. Przyjdę zaraz do mej kancelarji — rzekł do Katyliny i odpowiadając od niechcenia na jego ukłon ponowny, poprowadził żonę i córkę ku głównym drzwiom pałacu.

Katylina nie wypadł bynajmniej z właściwego charakteru. Gwiżdżąc przez zęby i wymachując w powietrzu szpicrutem, kroczył przez dziedziniec ku gankowi z taką swobodą i niedbałością jakby wśród własnej przechadzał się zagrody.

— Słuchaj-no ty! — krzyknął na pierwszego lokaja, co mu zaszedł drogę — gdzie to jest kancelarja pana hrabiego?

— Tam na lewem skrzydle — odparł lokaj i chciał prędko iść dalej.

— Prowadźże, błaźnie! — zawołał i szpicrutem machnął mu pod nosem.

Lokaj w pokornym ukłonie zgiął się we dwoje.

— Służę wielmożnemu panu — wyszepnął skonfundowany, wnosząc o wielmożności gościa z samego tonu jego mowy.

Przed kancelarją hrabiego, zamkniętą zwyczajnie na klucz, był mały skromnie umeblowany przedpokój, przeznaczony dla proszących o posłuchanie oficjalistów i propinatorów!

Stanąwszy tu, rzucił się Katylina na małą, skórą wybita sofkę i rozpierając się jak najwygodniej, zaczął w myślach układać plan przyszłej rozmowy z hrabią.

Lokaj tymczasem zapalił świecę, ciągle bijąc się z myślami, kto może być ten gość znakomity, o którego sam jasny pan niewiele zdaje się troszczyć.

Po kilku chwilach oczekiwania nadszedł nareszcie hrabia.

Katylina porwał się z miejsca z ukłonem.

Hrabia jakby nikogo nie widział, otworzył drzwi swej kancelarji i puszczając naprzód lokaja, zatrzymał się we drzwiach aby pierwej pozapalano świece.

Katylina postępował krok w krok za nim, a w tym momencie złośliwy uśmiech usiadł mu na ustach.

Stanął w ceremonjalnej pozycji i udając, że bierze zatrzymanie się hrabiego w progu za ofiarowane sobie pierwszeństwo wstępu, zawołał skwapliwie:

— O, bardzo proszę pana hrabiego! Niech pan hrabia idzie naprzód! Ja za panem hrabią!...

Dumny magnat przygryzł wargi, nie wiedząc, czy natrafia na głupotę, czy na otwartą efronterję. Nie odpowiedział też ani słowa, a wchodząc do pokoju obrócił się zaraz przy drzwiach i odsyłając lokaja skinieniem ręki, zapytał Katylinę krótko i szorstko:

— Cóż mi pan powie?

Katylina bez żenady wysunął się naprzód.

— Niech pan hrabia będzie łaskaw usiąść. Interes mój jest bardzo ważny, wymaga swobodnej rozmowy.

Hrabia jak gdyby chcąc tylko czemprędzej pozbyć się swego nieokrzesanego gościa, rzucił się milcząc na stojący przy biurze fotel.

Katylina obrócił się i z trzaskiem pociągnął zasuwkę u drzwi.

— Co to znaczy? — krzyknął hrabia prawie zaniepokojony.

— Aby nikt nie przeszkodził — odparł Katylina obojętnie i pociągnąwszy sa sobą małe safjanowe karło usiadł w pobliżu hrabiego, który zaczynał już zżymać się widocznie.

— Panie hrabio — ozwał się nareszcie bez wstępu z silnym naciskiem — przybyłem tu w pełnem zaufaniu w honor i charakter pana hrabiego, tak wielbiony w całej okolicy.

— Czegoż chce właściwie? — przerwał hrabia z nietajoną niechęcią.

— Panie hrabio, na to imię i na ten honor szarpią się łaśnie ludzie bez czci i wiary.

Nieprzygotowany na taki wstęp, hrabia rzucił się w fote- i w najwyższem zdziwieniu.

Katylina niezrażony prawił dalej:

— Rzucają na pana hrabiego ohydną potwarz, bezczelne szczerstwo.

— Nie rozumiem pana — odrzekł hrabia, nie posiadając ię z zdziwienia.

— Pan hrabia pozwoli, że odczytam mu coś zamiast przed- nowy.

Hrabia skinął ręką, na znak przyzwolenia.

Katylina dobył list Żachlewicza i odczytał głośno.

Zaraz po pierwszych wierszach znanego nam pisma hrabia orwał się z fotelu i stanął jak wryty, a trupia bladość okryła ego piękną szlachetną twarz.

Katylina z triumfem i zadowoleniem śledził sprawione na rabim wrażenie, a chcąc je jeszcze powiększyć, dodał z silnym naciskiem:

— Tak, panie hrabio. Żachlewicz obwinia go otwarcie o uczestnictwo w podłej intrydze, o spólnictwo w brudnym procesie, popieranym przekupstwem i fałszywemi świadectwami.

Hrabia dumnie machnął ręką. Nie mógł zaprzeć w własnem sumieniu, że wiedział o wytoczonym procesie, ależ jak wiemy, obmyślił zaraz i środek zaradczy, aby wszystko pogodzić z honorem i uczciwością. Żachlewiczowi nigdy z góry nie udzielał funduszów, ani śmiał pomyśleć o przekupstwie sędziów i świadków.

To też potrzebował kilku chwil nim ochłonął z pierwszego wybuchu gniewu, zdziwienia i oburzenia, w jakie go wprowadziły zaraz początkowe słowa fatalnego listu niedawnego ulubieńca.

— Zwyciężyłem — poszepnął w duchu Katylina — przygnębiłem go zupełnie i zrobię z nim co zechcę.

Ale się pomylił grubo tym razem.

Hrabia dotknięty niesłusznym zarzutem, podniósł się nagle w całej swej dumie obrażonej i rzekł wyniośle:

— Dziękuję panu. Zakomunikowaniem tego listu wyświadczyłeś mi prawdziwą przysługę. Jeśli zaś panu chodzi o uspokojenie Juljusza — dodał po chwili — to możesz mu powiedzieć ode mnie, że na wytoczony bez mej wiedzy i woli proces przyzwoliłem dopiero po obmyśleniu środka, który w razie przegra-

nej świetniejsze jeszcze niż dotychczasowe rokował mu położenie.

Katylina wypatrzył się zdziwiony na hrabiego.

— Jakto? — zapytał — przegrana miała być niby korzyścią dla niego?

— Będę jutro w Oparkach — odpowiedział hrabia z dumą — i rozmówię się sam z Juljuszem.

— A teraz żegnam — dodał i skinął ręką.

Katylina zmieszał się: duma i powaga hrabiego imponowała mu mimo całej wrodzonej zuchwałości i rubaszności charakteru.

Zbity zupełnie z ułożonego w myślach toku rozmowy, przemówił z jakiemś niezwykłem u siebie wahaniem:

— Ja przyjechałem właściwie prosić pana hrabiego o pisemne zrzeczenie się wszelkich pretensyj do spadku po nieboszczyku starościcu.

Hrabia wyprężył się z dumą.

— Powiedziałem, że będę jutro w Oparkach — odparł krótko i pociągnął za sznurek od dzwonka.

Tuż zaraz dały się słyszeć kroki na korytarzu, a Katylina odsunął żasuwkę ode drzwi.

— Pójdę do pani na herbatę — rzekł hrabia do wchodzącego lokaja, nie troszcząc się dalej o swego gościa.

Katylina przygryzł wargi i zły i niekontent z siebie, pożegnał hrabiego i wyszedł przed nim z pokoju.

Kiedy dosiadł konia i puścił się z powrotem do Oparek, mruknął z niechęcią:

— Niech mię licho porwie, podrwiłem sprawę! Myślałem, że z hrabią pójdzie tak łatwo, jak z Żachlewiczem i mandatarjuszem!

## WSPOMNIENIA.

Mimo surowego testamentu nieboszczyka starościca i surowszej jeszcze straży starego kozaka, pozwolimy sobie zajrzeć na chwilę do ogrodu zaklętego dworu.

My powieściopisarze bez dyplomów i patentów, szczególnych używamy praw i przywilejów. Niemasz dla nas murów ni zamków, ni straży ni krat, nie troszczymy się o żadne zakazy i przeszkody, nie szanujemy niczyjej woli i tajemnicy, nie przebaczymy nikomu żadnej słabostki i śmieszności, wściubiamy nos gdzie chcemy, zaglądamy gdzie się nam podoba, podsłuchuje-

my co nam potrzeba, a pochwyciwszy raz czytelnika w swoją władzę, przerzucamy go jak piłkę z miejsca na miejsce.

Wszakże jeśli kiedy, to tym razem mniemamy mu się przysłużyć tą nową zmianą widowni działania.

Trudno-by sobie wyobrazić powabniejsze ustronie nad tę uroczą, romantyczną wysepkę, co śród szerokiego stawu leżała w głębi opuszczonego ogrodu.

Po jej środku wznosi się, jak wiemy, z pomiędzy krzewów i zarośli wysoki ślimak, z murowaną altaną u szczytu.

Altana ta, o jednym filarze, z szerokim, czerwono pokostowym dachem blaszanym, ma kształt olbrzymiego muchomora, a otoczona dokoła rozlicznemi krzewami i czterma płaczącemi jesionami, gubi się zupełnie w cieniu, i tylko sam dach wyjeża się zdala.

Murowany filar okalają ławki marmurowe, a na jednej z nich przed okrągłym, mozaikowym stolikiem siedzi w tej chwili wsparta na ramieniu jakaś postać kobieca.

Nie potrzebowalibyśmy nawet powiedzieć, że to nasza piękna nieznajoma o jasnych włosach i błękitnych oczach.

Dokoła panuje głęboka cisza. Liście i gałęzie drzew milczą jak zaklęte, ptaszęta przycichły w krzewach, a czasami tylko plusknie głośniej jakaś rybka w stawie, lub zaszeleści coś w trzcinie i szuwarze po przeciwnej stronie brzegu.

Młoda dziewczyna patrzy w zamyśleniu przed siebie, a wszystko około niej w dziwnem jakiemś romantycznem przedstawia się świetle. Dokoła ciche i czyste tło wody, dalej gęste zarośla trzciny i szuwaru, w ogrodzie drzewa stare, pogarbione, smutne, melancholijne, z pokurczonemi konarami, z zżółkłemi pod tchnieniem jesieni liśćmi: a tam na końcu szczupłego widnokręgu, szary dwór tajemniczy, smętny, poważny, uroczysty, z powybijanemi tu i ówdzie szybami patrzy przed siebie, jakby śledził, aby nikt głuchej dokoła nieważył się przerwać ciszy.

Na stoliku przed młodą dziewczyną leży książka otwarta i jakaś włóczkowa tkanina zaczęta.

Nieznajoma nie czyta i nie tka dalej, ale w głębokiem zamyśleniu patrzy w głąb.

Patrzy milcząca i nieruchoma, ale nagle drgnęła zlekka i przetarła oczy.

Szczególna! Dłuższem, pomimowolnem spojrzeniem utkwiła przypadkowo w jakiś krzew ogrodowy, a nagle zdawało się jej, że korona krzewu przemienia się powoli i stopniowo w głowę ludzką, dwie gałęzie wyciągnęły się jak dwa ramiona, a sam

trzon zaokrąglił się i rozpadł we dwoje jak dwie ludzkie nogi. I krótką chwilkę zamiast krzewu stanął przed jej oczyma dorodny młodzieniec o niebieskich oczach... Juljusz.

Dziewczyna pochwyciła za książkę, oczy jej szybko biegały po stronicy, ale dziwna! Wiersze jakoś plątały się z sobą, litery spływały się razem a zamiast druku przedstawiała się nagle jakby zaczarowana rycina tej samej postaci.

Dziewczyna książkę odepchnęła od siebie, ale już nie sięgała po robótkę.

Przymrużyła napół oczy, wsparła głowę na śnieżnej rączce, i myślała, myślała... myślała o czem, o kim?

Bez mojej pomocy zgadłabyś już, piękna czytelniczko, choćbyś sama dopiero myślała myśleć kiedyś o czem podobnem.

Przed oczyma duszy pięknej nieznajomej rysowała się postać młodzieńca, którą po trzykroć spotkała już w swem życiu. Raz, kiedy biegła ulicą ogrodu wzdłuż parkanu, powtóre, kiedy przebrana za wieśniaczkę, z Kościem Bulijem jechała wygonem śród pola, a poraz trzeci, kiedy niedawno przybijała łódka do brzegu.

Mówiła z nim zaledwie słów kilka, a pełny, męski dźwięk jego głosu przypominał jej się tak wiernie, jak wyraźnie jego postać rysowała się przed oczyma.

Piękna samotnica westchnęła a nawet jakieś słowo niezrozumiałe wymknęło się z jej ust.

Ale wtem drgnęła gwałtownie.

Śród głuchej ciszy rozległ się nagle głośny plusk fali.

Dziewczyna podniosła się szybko i wskoczyła na ławeczkę marmurową, aby dalej dojrzeć okiem.

Ku wysepce biegła chyżo jakaś łódka mała.

Dziewczyna wydała okrzyk radosny, i prędko jak strzała pomknęła ku brzegu.

W łódce wiosłował jakiś niemłody już, jak się zdawało, mężczyzna, którego twarz zakrywały szerokie kresy białego pilśniowego kapelusza. Miał na sobie siwawą czamarę, z wyłożonym kołnierzem i wiszącemi taśmami i takiej samej barwy pantalony, spadające po dawnemu szerokim fałdem na cholewy palonych butów. Na otwartych piersiach wyglądała cienka i śnieżna koszula, spięta pod szyją grubą dziwnie lśniącą zdala spinką.

Po kilku nowych, silnych uderzeniach wiosła łódka przybi-

a do brzegu, a nieznajomy zwinnie i zręcznie jak chłopak wyskoczył na ląd.

Piękna samotnica poskoczyła ku niemu i pochwytując obie jego ręce przycisnęła je z uczuciem do swych ust.

Nieznajomy odsunął kapelusz i na ślicznem, śnieżnem, marmurowem czole dziewczyny głośny i serdeczny złożył pocałunek.

Odchylone krysy kapelusza pozwalają widzieć jego twarz całą, a twarz ta jest nam od dawna znajomą.

— Maziarz! — wykrzykniesz może, niecierpliwa a domyślna czytelniczko, i nie pomylisz się wcale.

Nieznajomy żeglarz był-to w nowem szczególnem przebraniu tajemniczy maziarz, kum Dmytro, nasz pierwszy znajomy z ryczychowskiej karczmy.

Oczyszczone z gęstych plam mazi, tem wybitniej uwydatniają się jego śmiałe, niezwyczajne rysy.

Te oczy żywe, ruchliwe, badawcze, osadzone w głębokich, gęstemi brwiami ocienionych jamach, to myślące, wysokie czoło, krótkim, twardym, siwiejącym okolone włosem, ten nos rozwarty szeroko u spodu, te zgrabnie wykrojone i silnie zaciśnięte usta, ta szczególnie zaokrąglona broda, wszystko to świadczy na pierwszy rzut oka o dziwnie namiętnej naturze, niepospolitej energji, sile ducha i odwadze, posuniętej aż do zuchwałej zapamiętałości.

W rażącą sprzeczność z temi ostremi i surowemi rysami wpadał głos miękki i tkliwy, jakim przemówił w tej chwili do młodej dziewczyny.

— Kazałem ci długo czekać, moje dziecię — rzekł tuląc pieszczotkę do swych piersi — ledwie się przebrałem z drogi.

Dziewczę drgnęło.

— Ach ta droga, te przebrania... — wyszepnęła i główkę pochyliła na piersi.

Nieznajomy schmurzył zlekka czoło, a w oczach żywszy mignął mu ogień.

— Skończą się już rychło, moje dziecię — rzekł zcicha i nowy na czole dziewczyny złożył pocałunek.

Dziewczyna nie uspokoiła się tak łatwo.

— Po tysiącznych nowych przygodach i niebezpieczeństwach... — szepnęła.

Nieznajomy, albo raczej, pozostając przy naszem dotychczasowem nazwaniu, maziarz wstrząsł niechętnie głową, jakby mu niemiłe były podobne utyskiwania,

— Pójdź, moja Jadziu, usiądźmy! — rzekł prędko.

Otóż dowiedzieliśmy się, że nasza piękna nieznajoma, którąśmy rozmaitymi opisywali przydomkami i przymiotnikami, nazywa się Jadzia, czyli Jadwiga. Być może, że rychło poznamy także nazwisko naszego tajemniczego maziarza.

Usiadł on teraz na marmurowej ławeczce w altanie u boku dziewczyny i ściskając jej drobną, pulchną rączkę w swej szorstkiej dłoni, wpatrywał się w śliczną jej twarzyczkę z upodobaniem i miłością.

I nagle jakiś napół figlarny, napół dobroduszny uśmiech osiadł mu na twarzy.

— Moja Jadziu — rzekł po chwili, niespuszczając oka z dziewczyny. — Powiedz mi, ile to już razy spotkałaś się z młodym dziedzicem z Oparek?

Jadzia zczerwieniała jak wiśnia i z rodzajem tajemnego przestrachu wypatrzyła się na pytającego.

Maziarz przybrał minę spokojną i obojętną, nawet ów uśmiech żartobliwy znikł mu z ust.

— Dwa czy trzy razy, nie pamiętam dobrze — wyszepnęła dziewczyna.

Maziarz przytłumił uśmiech zadowolenia.

— Już dobrze! zaczyna kłamać, ma więc powód obawiać się czegoś... — pomyślał w duchu.

Głośniej zaś dodał żartobliwie:

— Ej, przypomnij sobie dobrze, dwa czy trzy razy?...

— Trzy — wybąknęła Jadwiga, mimowolnie czegoś zaniepokojona.

— No, toś miała sposobność przypatrzyć mu się dobrze?

Pons Jadwigi przeszedł w szkarłat.

— Ja... ja... — wyszepnęła, ale ucięła nagle jak zaczarowana.

Nielitościwy maziarz nie ustawał w badaniu, a wszystkie dotychczasowe spostrzeżenia jakiemś widocznem napawały go zadowoleniem.

— Powiedz mi więc, jak ci się podobał z powierzchowności?

— Alboż ja wiem — wyszepnęła prędko, jak gdyby przemocą chciała wybrnąć z swego zakłopotania — widziałam go tylko zdaleka...

— Przecież?

— Cóż mam odpowiedzieć... nie wiem... doprawdy... dlaczego mnie się pytasz, ojcze?...

Maziarz uśmiechnął się ze znaczeniem.

— Chodziło mi o to, by wzbudzić u ciebie udział dla tego młodzieńca — rzekł — zagraża mu w tej chwili cios niespodziewany.

— Jemu! — krzyknęło dziewczę i porwało się z siedzenia.

— Oho. czegoż to się tak przestraszasz?

Jadwiga spuściła oczy i prawie nie czuła się w sile odpowiedzieć.

Maziarz z wyrozumiałością kiwnął głową.

— Wyobraź sobie — ciągnął dalej — chcą mu wydrzeć nagle cały majątek.

— Któż taki?

— Ludzie, co mają interes dybać na unieważnienie testamentu nieboszczyka starościca.

Jadwiga zrobiła gest, jakby nie pojmowała znaczenia tych wyrazów.

Maziarz tłumaczył się jaśniej.

— Podniesiono zarzut, że nieboszczyk starościc był warjatem i jako taki nie miał prawa rozrządzać dowolnie swym majątkiem. Testament jego musi być uznany za nieważny, a przekazany Juljuszowi majątek przypadnie najbliższym sukcesorom.

— Komużto? — zapytała dziewczyna.

— Hrabiemu Zygmuntowi Żwirskiemu — odpowiedział maziarz, a twarz jego sposępniała.

— I to już stanęło nieodzownie?

— Dotychczas jeszcze nie, lecz prawdopodobnie nastąpi niezawodnie.

— Jakto! więc nieboszczyk starościc, w którego pałacu mieszkamy, był rzeczywiście warjatem?

Maziarz wzruszył ramionami, a dziwny uśmiech mignął mu przez usta.

— Więc Juljusz zostanie biednym? — szepnęła dziewczyna.

A rzecz szczególna, wiadomość ta sprawiła jej niemal jakąś radość tajemną.

Maziarz ściągnął brwi.

— Ja tylko jeden mogę go uratować.

— Ty, mój ojcze?

— Ja przy twojej pomocy.

Dziewczę rzuciło się zdziwione.

— Żartujesz, ojcze?

Maziarz poważnie wstrząsł głową.

— Czy byłabyś od tego? — zapytał.

— Ja? — wybąknęła.

Maziarz czule ścisnął ją za rękę.

— Gotowabyś tedy przyczynić się wraz ze mną, aby uchronić Juljusza od krzywdy.

— Czyż możesz wątpić o tem, mój ojcze?

Nieznajomy podciągnął brwi do góry.

— A gdyby to wymagało po tobie pewnego poświęcenia?

— Poświęcenia? — powtórzyła dziewczyna, szeroko rozwierając oczy.

— Naprzykład gdyby chodziło potem o twoją rękę?... — wycedził maziarz zwolna i wpatrzył się bystro w jej oczy.

Dziewczyna znowu żywym oblała się szkarłatem.

— Mój ojcze — wyjąknęła — wszędzie i zawsze będę tylko posłuszną twej woli, twemu życzeniu.

Ojciec uśmiechnął się z nietajonem zadowoleniem, po chwili zamyślił się i spoważniał nanowo.

— Moja córko — rzekł znacznie zmienionym głosem — wiesz, że nie rad słuchałem zawsze o twoich wspomnieniach z lat dziecięcych i niechętnie zbywałem wszelkie w tym przedmiocie rozmowy.

— Powiedziałem ci — dodał po krótkiej pauzie — że jestem twym ojcem, wyjawiłem ci, jak świętej oddałem się sprawie, jak wzniosłym zaprzysiągłem się celom i kazałem ci poprzestać na tem wszystkiem...

Jadwiga z rodzajem gorączkowej ciekawości wpatrzyła się w twarz ojca.

— Byłam ci posłuszną, mój ojcze — szepnęła.

Maziarz ciągnął dalej poważnym, prawie uroczystym tonem:

— Dziś chcę cię przygotować do ważnych zwierzeń.

— Słucham cię, mój ojcze.

Maziarz wstrząsł głową.

— Naprzód musisz zebrać wszystkie swe wspomnienia z lat dziecięcych, musisz mi sama opowiedzieć, ile wiesz o sobie dotychczas, a o czem ci jeszcze pozostaje wiedzieć.

— Mam ci więc, ojcze...

— Opowiedzieć całe swe życie, aż do chwili, kiedyś poznała we mnie swego ojca.

Twarz mówiącego miała przytem jakiś smutny, ponury wyraz, a dziewczyna pochyliła głowę na piersi i w jakieś melancholijne zapadła zamyślenie.

Młoda dziewczyna pragnęła oddawna dowiedzieć się czegoś o swem pochodzeniu. Dotychczas wiedziała tylko, że jest córką człowieka, który w niebezpieczne wplątany zamiary, nie mógł do niej przyznać się otwarcie i musiał ciągle przed światem ukrywać swe imię i stanowisko. Wszystkie jej zaś wspomnienia z lat dziecięcych miały jakoś tak niezwyczajną barwę, tak romantyczny urok, że wyglądały raczej na płody poetycznego urojenia niż ustępy z rzeczywistego życia.

Spodziewając się w tej chwili pożądanego na koniec wyjaśnienia, przypominała sobie skwapliwie wszystkie zagadkowe zdarzenia, jakie w jej krótkiem zdarzyły się już życiu.

— Jak daleko sięga moja pamięć — ozwała się po chwili — przypominam sobie dobrze, że małem dzieckiem mieszkałam w jakiemś małem miasteczku, gdzieś daleko, w pośród Mazurów podobno... Przypominam sobie dobrze matkę moją i człowieka, którego nazywałam ojcem.

Czoło nieznajomego coraz grubszemi zasuwało się chmurami, a oczy nieruchomo utkwiły w ziemię.

— Matka moja była młoda i ładna — ciągnęła dziewczyna dalej — ojciec...

— Mąż jej — poprawił maziarz.

— Mąż jej wydawał mi się znacznie starszym. Był kowalem, trzymał dużo ludzi w swej kuźni i rzadko tylko pokazywał się w pokoju, gdzie mieszkałam z matką. Pamiętam dobrze, że na mnie niemiłem zawsze patrzył okiem, a z matką były nawet częste kłótnie, których ja bywałam przyczyną.

Nieznajomy poruszył się w siedzeniu, jakby chciał przyspieszyć tok opowiadania.

Dziewczyna zrozumiała go podobno, bo prędko postąpiła dalej.

— Pewnego dnia siedziałam przy oknie i bawiłam się lalką, którą mi zrobiła matka moja... Wtem przed kuźnię mego ojca zajechały dwa kryte powozy. Jakby mię coś tknęło, przywołać do okna moją matkę i zwrócić jej uwagę szczególniej na pierwszy, czterma końmi uprzężony powóz, z którego jakiś nieznajomy wyglądał mężczyzna. Rzuciwszy okiem do okna, moja matka wydała głośny wykrzyk i usiadła na pobliskie krzesło, jakby ją nagle opuściły siły.

Na czoło nieznajomego jedna więcej przybyła chmura.

Dziewczyna kontynuowała:

— Ja, nie zważając na to, z szczególnem zajęciem wpatrywałam się w powóz wspaniały. Widziałam, że mój oj... mój

ojczym — poprawiła się prędko — przybiegł skwapliwie do powozu i z wielkiem uszanowaniem rozmawiał coś z nieznajomym panem. Nagle wpadł do naszej izby i coś długo szeptał matce do ucha. Matka płakała i jak mi się zdawało opierała się czemuś usilnie. Nareszcie przyzwoliła po długiej walce z sobą. Nieznajomy pan w powozie zdawał się niecierpliwić, bo tuż wbiegł do izby jeden z jego ludzi i surowo nakrzyczał na rodziców moich. Matka zanosząc się od płaczu przystąpiła do mnie i zaczęła mię ściskać i całować, ojczym coś gniewnie mruczał pod nosem. Ja na widok matki bolejącej rozpłakałam się także. Matka otarła łzy i łkając po cichu, starała się mnie uciszyć i utulić.

— Cyt, cyt, Jadziu — ozwała się drżącym głosem — pojedziemy do kościoła w tym pięknym powozie.

— Na tę obietnicę uspokoiłam się w jednym momencie i z niewypowiedzianą radością spoglądałam ku powozowi...

— Ojczym mój przystąpił do mnie. Po raz pierwszy w życiu ucałował mię serdecznie i biorąc na ręce, rzekł pochlebnym głosem:

— Pójdź moja duszko. zaniosę cię do powozu, a mama zbierze się tymczasem.

— Wolałabym była iść z matką wraz, ale nie śmiałam się sprzeciwić mniemanemu ojcu, który po raz pierwszy okazał się dla mnie tak czułym i dobrym. Choć mi łzy kręciły się w oczach, dałam się unieść spokojnie. Matka wypadła za mną do sieni i jeszcze raz uściskała i ucałowała mię wśród łez i łkania.

— Wtedy jakiś dziwny ogarnął mię żal i niepokój... chciałam się wydrzeć, ale ojczym prędko wybiegł z domu i zaniósł mię do drugiego powozu, gdzie siedziała niemłoda jakaś kobieta, z twarzą łagodną i dobrotliwą. Ta wzięła mię na ręce... zaczęła utulać i okrywać pieszczotami... A wtem zaturkotał pierwszy powóz, a za nim szybkim pędem ruszył i nasz. Zaczęłam krzyczeć i wołać na matkę, którą przez jedno tylko mgnienie oka ujrzałam jeszcze raz stojącą w oknie, z wyciągniętemi ku mnie ramionami.

— Nieznajoma pani, moja późniejsza droga matka, gani Tączewska — prawiła dziewczyna z wzrastającem rozrzewnieniem — uspakajała mię wszelkiemi siłami... pocieszała, całowałą, podarowała liczne przygotowane łakocie i zabawki... Nie dałam się utulić wśrod płaczu i łkania, aż nagle sen zmrużył moje powieki...

Maziarz wstrząsł głową jakby opowiadanie to niemiłe sprawiało na nim wrażenie.

— Tak jechałyście kilka dni... — ozwał się prędko.

— Powóz pierwszy gdzieś zniknął nam z oczu i my same ż odbywałyśmy dalszą podróż.

— Przybyłyście wreszcie do Lwowa... — kontynuował sam aziarz.

— Nieznajoma pani wprowadziła mię do bardzo ładnego omieszkania, podała mi prześliczne sukienki, kazała mi nazyać się ciocią, a obsypała mię tylu pieszczotami, że dzięki rażliwości dziecięcego serca, za tydzień uspokoiłam się zuełnie i tylko kiedy niekiedy pomyślałam o matce, pozostałej dzieś w kuźni dalekiej, która, jak mnie upewniała ciocia Tązewska, miała kiedyś zgłosić się do mnie. Tymczasem mijały nie, tygodnie, miesiące... przeniesiona w inną sferę, przyzwyzajona do innego życia... coraz rzadziej myślałam już o matce, tórej miejsce tak doskonale umiała zająć kochana, nieoceniona ocia.

— Byłaś więc szczęśliwą odtąd? — zapytał maziarz, a twarz go rozjaśniła się nagle.

— O bardzo szczęśliwą, zupełnie szczęśliwą... Podrósłszy, aczęłam uczęszczać do jednego z pierwszych konwiktów, cioa siwiejąc i starzejąc się coraz bardziej, przemieniła się w baunię, a bardzo zręcznie umiała zawsze zbywać wszelkie zaytania, odnoszące się do moich lat ddziecięcych. Rówieśnice oje w konwikcie zapytywały mię nieraz o moich rodziców. Nie miałam im nic odpowiedzieć jak tylko że mieszkają daleko. racając jednak do domu po skończonych lekcjach, postanaiałam zawsze zapytać babkę, dlaczego tak długo nie mogłam idzieć się z rodzicami. Babka w takich razach przybierała mię smutną i żałosną i wyrzucała mi, że przestałam ją już konać, kiedy tęsknię znowu za mamą. Dopiero kiedy skończyłam k pietnasty, powiedziała mi babunia pewnego razu, że człoiek, którego nazywałam ojcem, był tylko moim ojczymem, bo żenił się z matką moją, kiedy już byłam na świecie.

— Ojciec twój prawdziwy — rzekła mi babunia — jest złowiekiem wielkiego urodzenia, ale wykroczył ciężko przeciw ładzom, przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, musi więc krywać się ciągle, boby srogiej popadł karze.

— Możesz sobie wyobrazić mój ojcze, jakie wrażenie sprało na mnie to oświadczenie!

— Pytałam, czy będę widzieć kiedy mego ojca.

— Może — odpowiedziała mi babka — jak urośniesz w la- i rozsądek.

— Odtąd nie miałam już ani jednej chwili spokojnej. Myśl o moim ojcu, o jego niebezpieczeństwach i przygodach nie odstępowała mnie we dnie i w nocy, a i moja matka biedna stała mi ciągle przed oczyma. Tak przeżyłam rok nowy...

— Wtem pewnego dnia — ciągnęła dalej o wiele smutniej i żałośniej — moja babka odebrała list z poczty. Uważałam, że list ten wielkie sprawił na niej wrażenie. Całe dwa dni następne jakiemiś dziwnemi niepokoiła mię uwagami... Nareszcie...

Tu dziewczyna z ciężkim smutkiem pochyliła głowę na piersi a dwie łzy zabłysły w jej ślicznych oczach.

— Nareszcie ozwała się na nowo — oświadczyła mi po licznych przygotowaniach i aluzjach, że muszę przywdziać żałobę i pójść na egzekwie do kościoła, bo matka moja umarła przed tygodniem.

Umilkła i z głębokiem westchnieniem łzy otarła z oczu.

Maziarz ponuro wpatrzył się w ziemię.

Dziewczyna przytłumiła boleść i prędko ciągnęła dalej:

— W miesiąc potem jakiś nieznajomy człowiek wszedł niespodziewanie do naszego mieszkania. Babunia znała go z dawna i krzyknęła radośnie na jego powitanie. Mnie czego mimowolnie silniej uderzyło serce, jakbym przeczuła, że przyjście jego łączy się z moim losem.

— Babunia wyszła z nieznajomym człowiekiem do drugiego pokoju, a po kwadransie przywołała i mnie do siebie:

— Przygotuj się do wielkiego szczęścia, moje dziecię — ozwała się do mnie ze łzami w oczach — obaczysz twego ojca!

Musiałam aż usiąść, aby nie upaść z radości.

— Kiedy, gdzie?! — krzyknęłam w zachwyceniu.

— Babunia przysunęła się do mnie i zaczęła mi tłumaczyć:

— Ojciec twój, jak wiesz, zagrożony surowemi wyrokami władz, a odanny zawsze swym zamiarom, musi ukrywać się przed śledztwem. W tej chwili znalazł schronienie w opuszczonym zamku swego dawnego przyjaciela, nieboszczyka starościca, Mikołaja Żwirskiego. Przebrana za wieśniaczkę pojedziesz z Kościem do Żwirowa, a tam ujrzysz ojca twego.

— Z bijącem sercem powzięłam tę wiadomość. Wypatrzyłam się uważnie na nieznajomego człowioka a mimo jego surowej i ponurej fizjognomji dziwną jakąś uczułam ku niemu sympatję. Nigdy bo nie zapomnę z jak głębokiem uczuciem i roz-

rzewnieniem spoglądał na mnie w owej chwili. Babunia znała go dawniej, bo była za młodu panną raspektową u pierwszej Żwirskiej, a przy niej i przy starym kozaku wychowywał się nieboszczyk starościc.

— Poczciwa kobieta... — mruknął maziarz, nie mogąc głębokiego ukryć rozrzewnienia.

Jadwiga przytuliła się bliżej do ojca i całując jego ręce, kończyła zcicha:

— Niebawem też poznałam cię, mój ojcze, poznałam twoje wielkie i tajemnicze zamiary, ale nigdy nic bliższego nie dowiedziam się o matce. Ilekroć z twym przyjazdem do dworu, Kośt' przyjechał po mnie do Lwowa, szalałam z radości, że ciebie obaczę i cieszyłam się nadzieją, że posłyszę coś o mojej matce.

Maziarz z uczuciem przycisnął ją do swych piersi.

— Dowiesz się, dowiesz o wszystkiem, moje dziecię — rzekł prędko — ale nie dzisiaj.

— Nie dzisiaj?

— Najdalej za kilka dni.

Wtem przycichli oboje, a nagle rozległ się głośny plusk łódki.

Maziarz naniepokojony poskoczył z siedzenia.

Łódka przybiła do brzegu, a z niej ciężko wyskoczył jakiś człowiek.

Maziarz zbiegł szybko z altany:

— Kośt' — wykrzyknął — nie poszedł jeszcze!

— Ty tu jeszcze, Kośtiu! — zawołał, gdy mu stary kozak niebawem stanął przed oczyma.

Kośt' Bulij miał jakąś minę pomieszaną i prawie niespokojną.

— Wróciłem, *bat'ku* — rzekł — bo... bo...

— Cóż — zapytał maziarz prędko.

— Uciekajcie, *bat'ku*! — wybuchł nagle stary kozak.

Maziarz żachnął się gwałtownie.

— Cóż się stało?

— Ta nic, *bat'ku*, ale kiedym już wychodził z chaty, to mi się jakoś strasznie duszno zrobiło w piersiach. a w tem na zły znak i obraz Matki Boskiej zleciał z ściany. Przeżegnałem się, ale mię coś piknęło niedobrego... Jakieś przeczucie mi mówi, że coś nam złego zagraża.

Maziarz uśmiechnął się.

— Czy takie masz tylko poszlaki?...

Stary kozak smutnie pokiwał głową.

— Oba psy, co wczoraj były takie jeszcze wesołe — ozwał się jakby na ostateczne już przekonanie — od dzić rana wzięły pod siebie ogony, kurczą się i skomlą, jakby im dokuczał jakiś okropny ból... To zły znak, *bat'ku*! zły znak!...

Maziarz pobłażliwym uśmiechem poklepał go po ramieniu.

— Marudzisz, stary! Matka Boska się urwała, bo zmorszał sznurek, na którym wisiała, a psy skomlą i kurczą się, boś im może przeparzył osypkę.

Kośt' Bulij pokiwał głową nieprzekonany.

— Ej, *bat'ku* na całe lata wybierałem się nieraz z domu, a nigdy mi nie było tak ciężko na sercu jak teraz, choć tylko dwa dni mam zabawić w drodze.

— Oszalałeś widzę, na starość!... mruknął maziarz i schmurzył czoło.

Nawykły snać do ślepego posłuszeństwa kozak nie śmiał sprzeciwić się dłużej.

— Zostawajcież z Bogiem! — mruknął i z miłością i uszanowaniem chwycił za kolana maziarza.

— Bywaj zdrów, stary. Ale gdybyś wstępując nie zastał Juljusza, to zaczekaj na niego choćby dzień cały.

— Dobrze, *bat'ku*.

I chciał już odejść, ale nagle się obrócił.

— Pożegnam się z panną! — rzekł i postąpił ku altanie.

Maziarz niespokojnie potarł się po czole.

— Zwarjował stary, czy może rzeczywiście jakieś nieprzewidziane zagraża nam niebezpieczęstwo... — poszepnął w duchu.

I zamyślił się głęboko.

— Może zdrada! — mruknął po chwili półgłosem i wzdrygnął się cały.

Nagle wstrząsł głową, a z oczu jasna strzeliła mu błyskawica.

— Ha — szepnął z triumfem — ludzie giną, ale idea zawsze żyje!...

## JULJUSZ.

Kiedy Katylina jak szalony pędził do Orkizowa i za jednym zamachem do zawziętej z dumnym magnatem gotował się walki, na zupełnie inny tor wstąpiły tymczasem rzeczy w Oparkach.

W godzinę po wyjściu hrabiego otrzymał Juljusz z rąk woźnego sądowe uwiadomienie o wytoczonym procesie.

Pan komornik Dezyderjusz Gramarski zapowiadał swój rychły przyjazd na komisję, a uprzedzając o wszystkich skutkach, jakie może pociągnąć za sobą unieważnienie testamentu starościca, wzywał dotychczasowego spadkobiercę, aby z swej strony gromadził wszelkie zarzuty i dowody przeciwne.

Otrzymawszy tę niespodziewaną wiadomość, stanął Juljusz jak piorunem rażony.

Nie przestraszył się bynajmniej, że w jednej chwili może utracić cały majątek i wrócić do dawnego ubóstwa, ale drżał cały na samą myśl, że majątku tego używał bez troski po dzień dzisiejszy. Nie o przyszłość, ale o przeszłość chodziło zacnemu młodzieńcowi.

Podniesione zarzuty mogły być w samej rzeczy słuszne, i w takim razie okazywała się prawna jego na pozór sukcesja tylko niesłusznem uroszczeniem. Cała spuścizna należała właściwie do kogo innego, a on korzystał tylko z nieszczęsnego przypadku, który bliższych i słuszniejszych skrzywdził spadkobierców.

A im pilniej zagłębiał się w cały skład rzeczy, tem wyżej wzmagał się jego niepokój.

Zdawało mu się, że mimo swej wiedzy i woli popełnił jakiś występek w tej sprawie. Nie powinienże był sam z siebie popaść na podobną myśl i nie stawać się dobrowolnie narzędziem obcego pokrzywdzenia? Wszakże od samego początku nie mógł wytłumaczyć sobie żadną miarą, jakiemu przypadkowi miał zawdzięczać swoje szczęście niespodziewane.

Starościc nie widział go nigdy w życiu i z ojcem jego żadnych bliższych nie zostawał stosunkach.

Skądże więc nagle przyszło mu wydziedziczać bliższych swych spadkobierców a całą fortunę zlewać na nieznajomego niennika?

Zresztą w całej okolicy, w całym nawet kraju starościc chodził za dziwaka, za warjata. Niepowinnoż było to samo już służyć za ważną wskazówkę nowemu spadkobiercy i odstraszyć go od objęcia spuścizny?

Czy zgadzałoż się z honorem i sumieniem czekać tak długo, aż ktoś inny wystąpi z dowodami. że objęta w posiadanie spuścizna jest nabytkiem nieprawym i niesłusznym?

Bijąc się z takiemi i tympodobnemi myślami, upadł szlachetny młodzieniec zupełnie na duchu. Trapiony przesadnymi skrupułami sumienia i honoru, nie śmiał już ani wątpić, że poruszone zarzuty są zupełnie słuszne.

— Nie mogę się łudzić dłużej — poszepnął z goryczą sam do siebie — korzystałem niegodnie z obłąkania i umysłowej nieprzytomności człowieka, który z dziecinnych jakichś powodów zapomniał o swych bliższych krewnych. Wyciągnąłem rękę po cudzą własność i używałem jej bez troski i wyrzutów sumienia!...

I wstrząsł się cały, a głowę z boleścią pochylił na piersi.

— Czemże się usprawiedliwię w oczach świata?... Mogęż powiedzieć, że dopuściłem się tego mimo wiedzy i woli?... Nie obijałoż się ustawicznie o moje uszy, że nieboszczyk był dziwakiem i warjatem?... Dlaczegoż nie powstrzymałem mej zaborczej ręki i nie starałem się z własnego popędu sprawdzić lub zbić naprzód tego zarzutu?...

I w tej chwili biedny Juljusz z głębi serca złorzeczył świetnemu losowi, którego mu do tej chwili zazdrościł świat cały.

I nagle duszno mu się zrobiło w przepysznych ścianach pałacu, jakieś ciężkie brzemię przytłaczało mu piersi, chciał wybiec na dziedziniec i zebrać myśli pod tchnieniem świeżego powietrza.

— Muszę starać się naprawić mój błąd niegodny — mruknął. — Lepiej późno niż nigdy.

Postąpił śpiesznie ku drzwiom, ale nagle cofnął się napowrót.

W progu pojawił się niespodziewanie pan mandatarjusz.

— Pan Gągolewski! — poszepnął i zdziwiony wzruszył ramionami.

Zacny mandatarjusz niezwyczajną miał minę. Zgarbiony i skurczony we dwoje, kłaniał się nisko a wygląd strasznie jakoś niepewny siebie.

— Pan dobrodziej daruje — zaczął bełkotać ledwie zrozumiale — że ośmielam się jeszcze naprzykrzać panu dobrodziejowi, ale ufny w jego szlachetność charakteru...

— Cóż to się stało? — zawołał Juljusz, nie pojmując nic jak w rogu.

— Oddalony bez wszelkiego poprzedniego uwiadomienia, pod zimę, w ciągu roku...

— Kto pana oddala?

Teraz znowu mandatarjusz wybałuszył oczy z zdziwienia.

— Jakto? pan dobrodziej nie wie o niczem?

Juljusz wzruszył ramionami.

— Pan Kat... pan Czorgut oddalił mię w imieniu pana dobrodzieja.

— W mojem imieniu? Za co?

Mandatarjusz odetchnął łatwiej i jakoś silniej rozparł się w nogach.

— Ktoś mię denuncjował — rzekł, głowę przykrzywiając na bok — że wystąpiłem jako świadek w procesie p. Żachlewicza.

Juljusz rzucił się gwałtownie, mandatarjusz przykucznął na nowo.

— Jakto pan już świadczyłeś?

— Musiałem... sąd mię zawezwał... kazał przysięgać... samą tylko szczerą zeznawałem prawdę — jąkał się, niewinną przybierając minę.

Juljusz żachnął się niechętnie.

— Katylina nie miał prawa oddalać pana z obowiązku.

— Nie miał? — powtórzył skwapliwie mnndatarjusz i wyprostował się w całej postaci.

— Gdzie jest teraz pan Czorgut?...

— Popędził z listem Żachlewicza do Orkizowa a ja tymczasem postanowiłem udać się do pana dobrodzieja.

Jak widzimy, przebiegły mandatarjusz przekonawszy się, że groźny przeciwnik w inną pomknął stronę, postanowił pośpieszyć co tchu do Juljusza i upomnieć się o zapłatę i ordynarję za rok cały.

— Jeśli studencika djabli wezmą — rozumował — wrócę nazad i rozpocznę nowy okres służby, a jeśli ten oczajdusza Katylina przeszkodzi wszystkiemu, to niech mię przynajmniej zaspokoją według prawa. Oddalonemu w ciągu roku oficjaliście należy się pensja za rok cały!

Ani się jednak spodziewał, że Juljusz o niczem nie wie, i z wcale innej strony zapatruje się na rzecz całą.

To też zgłupiał zupełnie, kiedy Juljusz rzucił się jak szalony i zawołał z furją:

— Jakto? Katylina pojechał do Orkizowa, do hrabiego? Po co? dlaczego?

Mandatarjusz podciągnął brwi w górę, krząknął i odkaszlnął należycie i opowiedział po krótce, jak Katylina napadł go w kancelarji, jak kałamarzem palnął po łbie Żachlewicza, jak potem przymusił go do napisania kompromitującego listu i jak wreszcie z listem tym pognał do Orkizowa.

Juljusz wpadł w najwyższe oburzenie.

— Ten człowiek oszalał! — zawołał w gniewie i gwałtownie pociągnął za sznurek.

— Niech Tomasz co tchu zaprzęga konie do powozu! — na wchodzącego lokaja.

Mandatarjusz nieznacznie łypnął oczyma.

— Owa! — poszepnął — jeszczem go nigdy nie widział w takiej furji. — Co mu się stało?

Juljusz nagle zwrócił się ku niemu.

— Panie Gągolewski, — rzekł prędko — dotychczas tylko ja jeden mam prawo oddalić pana ż obowiążku.

Mandatarjusz ukłonił się nisko.

— Mój przyjaciel dopuścił się nadużycia.

— O gdybym był to wiedział!

— Pan wolno składać świadectwo, jakie mu się podoba, to jest, jakie mu dyktuje sumienie.

— Ja zawsze i wszędzie idę tylko za głosem sumienia.

Nie mam też najmniejszej przyczyny usuwać pana z dotychczasowej posady...

— Zresztą — dodał po chwili nie wiem, jak długo zatrzymam jeszcze jurysdykcję w moim ręku.

— O, hoho! panie dobrodzieju — zaśmiał się obleśnie pan mandatarjusz. — Strachy na lachy! pan dobrodziej wygra niezawodnie.

— Za nic w świecie nie zatrzymałbym majątku, na którymby ciężył jakikolwiek cień lub pozór niesłuszności...

Mandatarjusz chciał się odezwać z czemś na nowo, ale Juljusz przerwał mu żywo.

— Wracaj pan na swoją posadę i działaj, jak ci każe sumienie...

— Pan dobrodziej raczy mi dać list od siebie — odezwał się mandatarjusz — bo pan Czorgut złożył władzę w ręce mego aktuarjusża.

Juljusz poskoczył prędko do stolika i nakreśliwszy kilka wierszy na papierze, podał go śpiesznie mandatarjuszowi.

Pan Gągolewski ukłonił się nisko i promieniejąc od radości wyszedł z pokoju.

Za drzwiami zaśmiał się z cicha:

— Djablo utrę nosa Chochelce! — mruknął półgłosem.

— Ten Juljusz! — dodał kiwnąwszy głową.

— Ot, co dureń to dureń! ale niema co mówić z charakterem, dalibóg z charakterem.

Juljusz tymczasem oburzony i przestraszony dorywczem i dowolnem postanowieniem swego przyjaciela, postanowił na-

tychmiast udać się do hrabiego, i przeprosiwszy go usilnie, pozostawić mu wszelką wolność działania.

— Gdyby on sam zechciał odstąpić od procesu — poszepnął sam do siebie z silnem postanowieniem — to ja nie odstąpię. Ani jednej chwili nie chciałbym zatrzymać majątku, którego nie mógłbym posiadać z spokojnem sumieniem.

Już wychodził z pokoju, aby wsiąść do powozu, kiedy znowu ode drzwi cofnął się zdziwiony.

W progu ukazała się olbrzymia postać Kośtia Bulija.

Miał w ręku gruby kij sękaty, a na plecach słomianą koszałkę grubo wypchaną, jakby w jakąś daleką wybrał się podróż.

— Sława Bogu i Jezusowi!—mruknął stary kozak, kłaniając się ku ziemi.

— Cóż mi powiecie, Kośtiu Buliju? — zapytał Juljusz rozciekawiony do najwyższego.

— Naznaczyłem jasnemu panu schadzkę we dworze.

— Tak, na czwartek.

— Przyszedłem ją przyśpieszyć, jasny panie...

— Jakto?

— Jasnemu panu chcą odebrać majątek, który po wszelkiem dostał mu się prawie.

— Wy wiecie już o tem?

— Wiemy i dlatego kum Dmytro przyśpiesza schadzkę.

— Maziarz?

— Kośt' skinął głową.

— A w czemże jego zajmuje mój proces? Kum Dmytro był największym przyjacielem nieboszczzka pana — odpowiedział klucznik z naciskiem.

— Więc starościc nie był obłąkany? — wykrzyknął Juljusz.

Z pod gęstych brwi Kośtia Bulija jasna łysnęła błyskawica.

— Hańba na tego, kto to mówi — wykrzyknął uroczystym głosem.

— Ale przeciwnicy moi nagromadzili jakieś dowody.

— Furda! odparł kozak krótko.

Juljusz wstrząsł głową.

— Świat i sprawiedliwość ziemska mogą osądzić inaczej, mój stary.

— Nie bójcie się jasny panie — przemówił Kośt' Bulij dobitnie — od tego my.

Proste a dobitne słowa starego kozaka dziwną otuchę

wlewały w zburzoną pierś młodzieńca. Zdawało mu się jakoś instynktowo, że po tem świadectwie może być spokojny w własnem sumieniu, choćby nawet przegrał sprawę w obec prawa i ludzi.

— I kiedyżto kum Dmytro chce się widzieć ze mną?—zapytał naraz.

— Jutro.

— Jutro?

— O dwunastej w nocy.

— W tem samem miejscu?

— Tak, jasny panie, w lipowej ulicy.

— Tam zastanę was?

— Nie, zastaniecie samego kuma Dmytra.

— Ja na dwa dni wybrałem się w drogę — dodał, a głos jego zadrżał zlekka.

Po twarzy młodzieńca dziwny jakiś przemknął niepokój.

— Sami jedziecie, Kośtju? — zapytał z lekkiem wahaniem.

Kośt' zrozumiał snadź zapytanie, bo mimo niezwyczajnie zasmuconej twarzy, lekki uśmiech mignął mu około ust.

— Sam — odpowiedział krótko.

— A obok kuma Dmytra obaczę jeszcze i kogo innego? — zapytał młodzieniec pośpiesznie, jak gdyby jakąś drażliwą chciał przezwyciężyć niepewność.

— Obaczycie jego córkę.

— Jego córkę!—wykrzyknął Juljusz i uderzył się w czoło.

Kośt' Bulij w głębokiej zadumie spoglądał przez chwilę na młodzieńca łagodnem, prawie rozrzewnionem spojrzeniem.

Nagle otrząsł się z zamyślenia i westchnął zlekka.

— Bogu oddaję, jasny panie — przemówił z ukłonem i wyszedł z pokoju.

Juljusz nie śmiał go zatrzymać.

Pozostawszy sam rzucił się na sofkę i chciał ważyć i rozmyślać, o ile zeznanie Kośtia Bulija może uspokoić i utwierdzić go w własnem sumieniu, ale na próżno. Myślom i oczom inny nasuwał się przedmiot.

Juljusz miał jutro obaczyć piękną nieznajomą. Ten tajemniczy maziarz, domniemywany piastun wielkich zamiarów, był jej ojcem.

— Jutro poznam bliżej oboje! — radował się w myślach młodzieniec, a urocza postać pięknej nieznajomej stanęła mu żywo przed oczyma.

— Powóz już dawno zajechał! — ozwał się wchodzący w tej chwili lokaj.

Juljusz wstrząsł się z lekka.

— Już za późno, nie wyjadę dziś... — mruknął, powodząc okiem po pokoju, po którym gęsty zapadał zmrok.

I pozostał w swych marzeniach, a marzył ciągle o jednym tylko przedmiocie. Snać nie nudził się bynajmniej jednostajnością, bo nawet rozmowę z Katyliną odłożył na jutro a sam do późnej nocy siedział nieruchomo na sofce.

Nazajutrz trzeźwiejszym umysłem zaczął Juljusz roztrząsać na nowo swe nieprzewidziane położenie.

I po długim namyśle przyszedł do przekonania, że nie może go bynajmniej zasłaniać ani wobec prawa, ani w obec własnego sumienia.

Przywiązany ślepo i bez granic do osoby starościca, mógł Kość' Bulij tłumaczyć sobie naturalnie wszelkie dziwactwa i szczególności swego pana, lecz inaczej przedstawiłyby się one człowiekowi obojętnemu i bezstronnemu. Ów zaś tajemniczy przyjaciel nieboszczyka, ukrywający się w przebraniu maziarza, nie mógł ani wobec świata ani wobec prawa wystąpić z swem świadectwem.

Niezachwiany zgoła w swem pierwotnem postanowieniu, myślał Juljusz z swej strony napierać się wszelkiemi siłami, aby wyjaśniło się stanowczo, jaką wagę należy przywiązywać do ostatniej woli nieboszczyka.

Śród tego rozmyślania Katylina z promieniejącą miną triumfatora wszedł do pokoju.

— *Ty śpisz, Zygmuncie, a twoi sąsiedzi* — zadeklamował we drzwiach znany wiersz Karpińskiego i puścił spory kłąb dymu z świeżo zapalonego cygara.

Juljusz schmurzył czoło i spojrzał na wchodzącego przyjaciela poważnie a nawet surowo.

Katylina parsknął śmiechem.

— Hoho, widzę, nie zapomniałeś jeszcze, żem wczoraj fimfę w nos puścił hrabiemu! — ozwał się wesoło. — Bądź spokojny, naprawiłem złe. Wieczorem pojechałem umyślnie do Orkizowa.

— Wiem o tem, i to jest właśnie co mię oburza do najwyższego.

— Najpierw się dowiedz, po co tam jeździłem.

— Przywłaszczyłeś sobie prawo jakiegoś opiekuna czy

protektora nade mną i uwziąłeś się skompromitować mię wobec świata.

Katylina wyjął cygaro z ust i wypatrzył się na przyjaciela osłupiały z zdziwienia.

— Jakto, czy już wiesz o wszystkiem i potępiasz moje kroki?

— Nietylko potępiam, ale się ich wstydzę.

— Eheu! — mruknął Katylina i cygaro na nowo wetknął do ust, a obie ręce schował do kieszeni.

Juljusz zarumienił się i wpadł w niezwykły ferwor.

— Zrobiłeś burdę u mandatarjusza — zawołał żywo i głośno — znieważyłeś gościa jego domu, co niczem nie da się uniewinnić, i różnych innych dopuściłeś się głupst i szaleństw, do których najmniejszego nie miałeś upoważnienia!...

— Oho — podchwycił nieprzebłagany szyderca — twojem zdaniem potrzeba jak widzę wyraźnego upoważnienia do robienia głupstw i szaleństw. Ty uznajesz tylko durniów uprzywilejowanych, za osobnemi niby patentami...

Zimne szyderstwo Katyliny wprowadziło w istną furję Juljusza.

— Nie potrząsaj dzwonkami błazeńskiemi tam, gdzieś się wstydzić powinien, jeśliś jeszcze nie ogłuchł na głos honoru!

Katylina znowu cygaro wyjął z ust i nieznacznie wstrząsł głową.

Juljusz niezrażony prawił dalej:

— Postąpiwszy sobie jak istny hajdamaka z moimi oficjalistami, nadużyłeś na domiar wszystkiego mojego zaufania, pognałeś w mojem imieniu na łeb na szyję do hrabiego...

Katylina w ciągu tego przystąpił do sznurka i zadzwonił gwałtownie.

Juljusz urwał nagle.

— Cóż to znowu znaczy?

Katylina obrócił się do wchodzącego lokaja.

— Przynieś karafkę świeżej wody dla swego pana! — rzekł z flegmą i skinął ręką.

Juljusz zacisnął zęby, a widać było, że wszystka krew wezbrała mu do głowy.

— Panie! — zawołał groźnie, kiedy lokaj z głupią miną wyszedł z pokoju.

Katylina spokojnie wzruszył ramionami.

— Mój kochany — odrzekł spokojnie — nim zechcesz dalej sypać gromy i pioruny, napij się pierwej wody i daj sobie

powiedzieć, że nigdy niczyjem nie lubię się zasłaniać imieniem i pod niczyją nie chowam się połę. Co robiłem, robiłem na własną odpowiedzialność, a tobie zostawiłem zupełną wolność zaparcia się, *desawuowania* mnie, jak mówi język dyplomatyczny.

— Jakto, nie odprawiłżeś w mojem imieniu mandatarjusza?...

Katylina wzgardliwie machnął ręką.

— Przepraszam inżenie! poradziłem mu we własnem imieniu uciekać na cztery wiatry i nic więcej.

— A po cożeś jeździł do hrabiego?

— Aby mu równie we własnem imieniu pokazać list Żachlewicza i powiedzieć mu równiez w *najwłaściwszem* imieniu. JW. hrabio, jesteś gałgan na wielki kamień i kwita!

— I powiedziałeś mu to? — krzyknął Juljusz, poskakując naprzód.

— Pan hrabia zaparł się udziału w procesie, upewnił mię, że choćby testament starościca został obalony, ty żadnej nie poniesiesz straty, owszem korzyść niezawodną i przyrzekł nareszcie, że dziś sam będzie u ciebie i porozumie się z tobą otwarcie. Po tem wszystkiem „gałgan“ utknął mi w gardle.

— Ależ człowieku, nie pomyślałżeś sobie, że ja sam mogę pragnąć usilnie procesu, by nie pozostawić na siebie zarzutu, że korzystając z chwili obłąkania, nieprzytomności umysłowej warjata, zagarnąłem obcy majątek, wyrządziłem krzywdę bliższym i słuszniejszym spadkobiercom...

— Czyż myślisz — zawołał zapalając się coraz więcej — że byłbym w stanie używać majątku, na którym pozostałby lada cień, lada pozór niesłusznego nabytku?...

Katylina w głębokiem milczeniu wysłuchał żywej djatryby swego szlachetnego przyjaciela. A snadź znał dobrze jego zasady i charakter cały, bo nie objawił żadnego zdziwienia, owszem zdawało się, jakoby w duszy wyrzucał sam sobie, że naprzód nie domyślił się podobnego rezultatu.

Rzucił niedopalone cygaro daleko od siebie i wyciągając rękę ku przyjacielowi, rzekł z niezwykłym u siebie nastrojem uczuciowym:

— Tyś Gracchus prawdziwy, mój Juljuszu! Powinien byłem odgadnąć cię odrazu. Ale człowiek w pierwszej chwili sądzi zwyczajnie innych podług siebie samego. Mnie gdyby los rzucił jaką kość w łapę, tobym chciał widzieć tego, ktoby mi ją próbował wydrzeć.

Juljusz z widocznem zadowoleniem przyjmował jawny hołd swego towarzysza młodości.

— Uwziąłeś się przedstawiać zawsze w gorszem świetle, niż w rzeczywistości znosi twoja natura. Ręczę, że dla siebie w takim razie nie robiłbyś wcale tego, czego gotówbyś się ważyć dla mnie.

Katylina niedbale machnął ręką.

— Dajmy pokój komplementom — rzekł obojętnie. — Ja cię pożegnam, abyś mię mógł lepiej *dezawuować* — dodał stanowczo.

— Jakto! chcesz mię opuścić?

— Nie, przyjacielu, wyprzedzę cię tylko do Lwowa i będę szukał lekcji i zatrudnienia dla ciebie i samego siebie.

— Myślisz więc...

— Iż niebawem przyjbędziesz za mną goły jak turecki święty, bo ręczę, że nie weźmiesz z sobą nawet chustki od nosa, kupionej podczas twego krótkiego panowania.

Juljusz w milczeniu pochylił głowę na piersi.

— Ha — rzekł po chwili — pogadamy jeszcze o tem z sobą...

— Ja tymczasem — dodał dzwoniąc na służącego — pojadę sam do Orkizowa, i powiem hrabiemu, że do rozstrzygnięcia procesu uważam się tylko za administratora majątku, tudzież że jałmużny nie myślę przyjmować od nikogo, dopóki mi własne siły starczą do pracy.

Katylina pokiwał głową, machnął ręką i zapaliwszy z flegmą nowe cygaro, mruknął przez zęby:

— Zdaje się, że cała ta historja skończy się jak w palce trzasł.

— *Futmus Troes!* powiemy sobie przy pierwszem spotkaniu we Lwowie.

## OKRUTNA ZEMSTA.

Na dworze ciemna głucha noc.

Niebo czarnym zasnuło się całunem, ani jeden srebrny promyczek nie spływa z góry, a jakieś duszne, parne, ołowiane powietrze owionęło ziemię.

I dziwnie jakoś straszno i złowrogo w pobliżu zaklętego dworu.

Nietoperze jak czarne, skrzydlate duchy uwijają się dokoła, sowy i puhacze z dzikim krzykiem odzywają się w zawalonych na pół oficynach, a snadź przeczuwając słotę, lękają się wylecieć z bezpiecznego ukrycia i wrzeszczą z głodu coraz przeraźliwiej.

W chacie starego klucznika słabe łyska światełko, ale wewnątrz głucha, grobowa zdaje się panować cisza.

Nagle rozwarły się drzwi od sieni, a w progu ukazały się dwie osoby.

— Będzie słota mój ojcze — ozwał się dźwięczny i słodki głos kobiecy.

— Nic nie szkodzi! On przybędzie — ozwał się silny głos męski, głos naszego znajomego maziarza.

— Więc idziesz, ojcze? — zapytała nieco trwożliwie dziewczyna, nieochybnie nasza piękna, jasnowłosa Jadwiga.

Maziarz podniósł w górę trzymaną w ręku latarkę, a przy blasku jej światła dziwnie fantastycznie zarysowała się jego postać.

Był ubrany jak wczoraj na wysepce, tylko jeszcze długi czarny płaszcz wisiał mu niedbale na ramionach. Ponure, surowe jego rysy nosiły w tej chwili wyraz jakiegoś głębokiego rozmarzenia, tylko oczy migotały zawsze tym dzikim, niespokojnym, tajemniczym blaskiem.

— Ulewa nie spadnie tak prędko — szepnął na zapytanie córki, rozglądając się dokoła — przyprowadzę ci gościa jeszcze przed deszczem.

— Więc ja go koniecznie muszę widzieć tak późno?

— Wiem, żebyś mi nie przebaczyła, gdybym go sam tylko przyjął.

— Mój ojcze... — szepnęła dziewczyna skonfundowana.

Maziarz pochwycił ją nagle w swe ramiona i przyciskając ją do piersi, ucałował i uściskał, milcząc, jej śliczną, jasnowłosą główkę.

— Do widzenia, moje dziecię — szepnął nareszcie. Za pół godziny przybędzie nas dwóch!

Dziewczę wzdrygnęło się zlekka.

— Nie wiem co mi jest, ale boję się dziś czegoś zostać samą.

— Dzieckoś — odparł prędko maziarz. — Całe dnie i noce przepędzałaś sama bez trwogi, a dziś lękasz się półgodziny.

I jeszcze raz pocałował ją w czoło, a potem zlekka wepchnął do sieni.

— Zamknij się, moja duszko, i oczekuj nas bez troski.

I połę płaszcza po bandycku zarzucił na ramię, poskoczył z progu i z pośpiechem pomknął ku furtce ogrodowej.

Dziewczę znikło w sieniach, a za przymkniętemi drzwiami żelazna zaskrzypiała zasuwa.

Prawie w tejże samej chwili zatrzeszczała laskowa brama, a na jej szczycie zarysowała się śród ciemności jakaś postać ludzka.

Lekka błyskawica mignęła w tej chwili na dalekim zachodzie nieba, a przy jej blasku poznać złowrogie rysy Mykity Ołańczuka!

Siedział na szczycie bramy i pilnie rozglądał się na wszystkie strony.

Nagle w cichy, przytłumiony a mimo to strasznie jakiś dziki wybuchł śmiech.

— Psy się ani ruszą! — szepnął. — Wronie oko skutkowało! Złodziej żyd tak długo mi odmawiał tej odrobiny trutki! — dodał jakby z żalem ukrytym.

I zręcznie i zwinnie w jednem mgnieniu oka zsunął się na dół.

Sięgnął za pazuchę, a w ręku długi błynął mu nóż.

— No, Kośtiu Buliju — mruknął półgłosem — porachujemy się raz z sobą! Kogut już zapial, twój djabeł ci nie pomoże, psi synu!

I nędznik zgrzytnął zębami, jak głodny wilk na widok zdobyczy.

Nagle drgnął i niespokojnie obejrzał się dokoła.

— Będzie słota — mruknął — jam już potruł psy i nie mogę odwlekać dłużej!

— Cicho, głucho — poszepnął uspokojony po krótkiej chwili. — Słota nie nadejdzie i za godzinę! Mam czas!

Wstrząsł się i rzucił z ramion jakiś spory ciężar.

Byłto pęk silnych kołów bukowych i gruby powróz z lipowego łyka.

Chyłkiem na palcach postąpił ku chacie, koły przyparł pod ścianę, a z łykiem posunął ku drzwiom.

Zasilił powróz wokoło żelaznej klamki, a potem odstąpił szybko i przywiązał go mocno do grubego jesiona, co piął się o kilka kroków od chaty.

— Teraz niech sobie z wewnątrz otworzy drzwi — mruknął nędznik i uśmiechnął się zadowolony, a potem prędko pochwycił za koły i postąpił pod okno.

— Jest w domu — mruknął — widząc, że światło przebija się z zą okiennic.

I znów w ów głuchy, przytłumiony wybuchł śmiech,

— Pozabijałeś sobie okiennice, aby cię nikt nie podejrzał,

jak z upiorem i djabłem wchodzisz w konszachty. Poczekajno, bratku!

I wtykając kół silnie w ziemię, przyparł go silnie do okiennic.

— Teraz ją sobie otwórz! — poszepnął z dzikiem szyderstwem.

I to samo powtórzył przy dwóch dalszych oknach chaty. Potem przystanął i odetchnął ciężko.

— Djabeł mu nie pomoże, bo już po północy, a ucieknąć mi nie ucieknie!

I sięgnąwszy za pazuchę, szastnął nagle po swej odzieży, a w ręku zajęło mu się kilka zapałek.

Przeczekał spokojnie, aż zgorzała siarka, a potem przytkał zapałki do spornego pęku wyjętych z kieszeni kłaków i wszystko razem rzucił na dach chaty...

— Nareszcież zapłacę ci, stary zbóju, za moich sto kijów i moje doby zmarnowane! — rzekł głośniej i nowy rozżarzywszy ogień, rzucił na dach przyległej stodoły.

A potem kapelusz głęboko zasunął na czoło i jak strzała pomknął ku bramie.

Wydrapawszy się zwinnie jak kot na szczyt bramy, rzucił jeszcze raz okiem poza siebie, a na widok jasnych płomieni, wybuchających zwolna na dachu, nanowo dzikim zawył śmiechem i skoczył na drugą stronę.

Znamy przyczynę, dla której Mykita Ołańczuk tak zaciekłą dla starego kozaka żywił nienawiść.

Dla zuchwałego oporu i targnięcia się na starościca poniósł on za surową, może nawet za okrutną i nieludzką karę.

Starościc w pierwszym wybuchu swej gwałtowności nie umiał się powściągnąć, a nim jeszcze wyrzekł słowo, już gorliwi słudzy spełniali jego rozkazy.

Mykita Ołańczuk należał do tych dzikich, zaciekłych natur, których nieprzebłagana nienawiść i mściwość stopniuje się tylko upływem czasu, a kończy się z życiem samem.

Pokrzywdzony rzeczywiście przez starościca, zakipiał srogą ku niemu złością, a daremne skargi i procesa, jakoteż wynikła stąd nędza i ubóstwo podsycały, rozżarzały tem więcej pierwotną żądzę zemsty.

Ołańczuk przysiągł sobie, jak mówił „nie darować swego“ i trwał zawzięcie w swem postanowieniu.

Śmierć starościca nie uśmierzyła, a nawet nie złagodziła

jego zaciekłej złości. Przeniósł ją tylko w całej pełni na Kośtia Bulija, ślepego wykonawcę okrutnej woli nieboszczyka.

W starym kozaku nienawidził w jednej osobie niesłusznego sędziego i zanadto gorliwego kata.

A każdy rok nowy utwierdzał go tylko w tej nienawiści, która w końcu doszła do jakiegoś delirycznego zapomnienia, do szalonej, nieprzytomnej zaciekłości.

Napróbowawszy się napróżno zaspokoić swą dziką żądzę zemsty legalnemi środkami, zaniechał zniechęcony dalszych skarg i procesów i nie wzdrygał się już dłużej przed zbrodnią samą.

Ogień u naszego ludu prostego jest niestety najzwyczajniejszą a prawie jedyną bronią zemsty, podpalenie najpowszedniejszą, najczęstszą po złodziejstwie zbrodnią.

— Puszczę cię z dymem! — grozi za lada drobnostkę najbliższy sąsiad sąsiadowi.

A jak często pogróżka taka w okrutny spełnia się czyn!

To też i Mykita Ołańczuk postanowił podpalić Kośtia Bulija. Wierząc jednak, że Kośt' Bulij zostaje w tajemniczych związkach z nieboszczykiem starościcem a nawet z djabłem samym, poczytywał ten rodzaj zemsty za niedostateczny.

— Djabeł mu chatę duchem odbuduje, ale od śmierci go nie ocali, bo nad śmiercią sam Pan Bóg tylko ma prawo — rozumował w swej grubej, ciemnej zabobonności.

I po krótkiej walce z samym sobą, postanowił dybać wprost na życie nieprzyjaciela i podpalić w taki sposób chatę, aby on sam znalazł śmierć w płomieniach.

Widzieliśmy, jak zmyślne i okrutne porobił do tego przygotowania

Dniem jeszcze naprzód usunął największą przeszkodę, czujność psów.

Wałęsając się po całej okolicy, poznał w pobliskiem miasteczku jakiegoś osławionego żyda przechowywacza kradzieży, a pod pozorem, że do wielce zyskownej przysposabia się wyprawy, wyłudził od niego truciznę na oba czujne i wierne psy.

Dokonawszy teraz zbrodni, uciekał co tchu przez pola i łąki.

W znacznem oddaleniu przystanął na chwilę i obejrzał się poza siebie.

Dom i stodoła stały w jasnych płomieniach.

Zbrodniarz dziko łysnął oczyma.

— Zaczyna się grzać nieboraczek — mruknął z okrutnem zadowoleniem.

W tej chwili w przyległych Buczałach ponuro i donośnie zagrzmiały dzwony.

Zbrodniarz przeżegnał się skwapliwie.

— Już biją na gwałt — poszepnął po chwili. — Tak prędko się spostrzegli...

— Nic nie szkodzi — pocieszał się po krótkiej pauzie — przybędą zapóźno.

I nie obzierając się, jął jakby gnany furją, uciekać dalej.

Nędznik ani się domyślał, że ohydna jego żądza zemsty zupełnie obcą wybrała sobie ofiarę, okrutną zbrodnia nad wcale niewinną zawisła głową.

W blado oświetlonej chacie siedziała Jadzia w kącie przy ścianie, głowę sparła na śnieżnej dłoni, a myślom snać wolny puściła obieg, bo w jej napół przymrużonych oczach i koło ust różanych malował się jakiś błogi, swobodny uśmiech.

Dziewczę roiło o przyszłem szczęściu, stawiało zamki na lodzie, ciesyzło się tęczowemi barwy baniek mydlanych.

Naraz znikł uśmiech, a twarz i oczy jakiś powabny i tęskny przybrały wyraz.

Dziewczę widocznie z marzeń na przyszłość wpadło w wspomnienia i wrażenia przeszłości.

Przypomniała sobie ten domek i tę kuźnię w małem odległem miasteczku, gdzie upłynęły pierwsze lata jej dziecięcego wieku.

Stanęła jej żywo przed oczyma ta matka nieboszczka, której pieszczoty tak żywo tkwiły jej w pamięci, choć minęły tak dawno a trwały tak krótko.

Dziewczę westchnęło żałośnie.

Nie wiedzieć dlaczego wszystkie późniejsze chwile, przebyte w szczęściu i dostatkach, nie miały dla niej tyle uroku, co te rzewne wspomnienia pierwszych pieszczot macierzyńskich.

— Biedna matka — szepnęła z westchnieniem — umarła nie widziawszy mię więcej!...

I gorąca łza zakręciła się w jej cudnem oku.

A tuż odżył w pamięci i ów kowal, ojczym ponury, zamyślony, który choć niemiłemi patrzył na nią oczyma, nigdy najmniejszej nie wyrządził jej krzywdy.

— On żyje zapewne do tej chwili! — poszepnęła dziewczyna, a główkę w głębokiem zamyśleniu pochyliła na piersi.

— Dlaczegoż muszę być tak obojętną mężowi mej matki?

— zagadnęła się po chwili. — Dlaczegoż matka moja nie mogła nigdy zgłosić się do mnie za życia?...

I napróżno zaczęła zaciekać się nad głęboką tajemnicą, która osłaniała jej urodzenie.

Do tej chwili nie wiedziała nawet, jakie właściwe nosiła nazwisko.

Ojciec wtajemniczył ją w swoje plany, swoje zamiary, ale nigdy nie wyjawił swego imienia.

Dlaczegoż jej druga, przybrana matka, ta zacna, dobra pani Tączewska nie umiała o nim powiedzieć nic więcej jak tylko, że był największym przyjacielem nieboszczyka starościca, Mikołaja Żwirskiego.

A ileż za to nagadała się jej staruszka o tym starościcu, swym wychowanku, który obok najburzliwszej gwałtowności, najniesforniejszego uporu, łączył najlepsze serce, najszlachetniejszy charakter!

A i ten wierny, pełen poświęcenia kozak Kość' Bulij wspominał zawsze z taką czcią, z takiem uwielbieniem nieboszczyka starościca, że nigdy nie mógł na większą pochwałę zdobyć się dla jej ojca jak tylko, „że był przyjacielem jego nieboszczyka pana".

— Obadwaj byli jak jedna dusza i jedno ciało — mawiał stary kozak.

I dla jej jednej przyczyny gotów był w każdej chwili dla jej ojca do najwyższego posunąć się poświęcenia, dla tej przyczyny dzielił z nim najsroższe niebezpieczeństwa, narażał bez wahania wolność i życie, oddał się ślepo duszą i ciałem jego daleko sięgającym zamiarom.

A te zamiary miały urzeczywistnić się pomyślnie?

Gdyby się wykryły przed czasem, albo rozbiły nieprzyjaźnie?...

Na tę myśl zimny dreszcz wstrząsł dziewczynę od stóp do głowy; nie śmiała się nawet zastanawiać dłużej nad tem i z największem natężeniem siliła się nadać inny zwrot, inny bieg swym rozbudzonym marzeniom.

I mimowolnie Juljusz nasunął jej się przed oczy.

Miała go widzieć dzisiaj, miała z nim mówić swobodnie, miała nawet przyczynić się jakoś do wybawienia go od groźnego ciosu.

Ojciec mówił coś o poświęceniu, o oddaniu ręki... zapytywał ją w tak dziwny sposób, mówił o młodzieńcu z takim jakimś szczególnym wyrazem i naciskiem!

Młoda dziewczyna zasnuwała się w coraz szersze i gęstsze pasmo najróżniejszych domniemywań. A myśl jej płynęła tak swobodnie, tak lekko, tak różne potrząsła struny uczucia, tak jakiś luby budziła urok, że oddawała jej się coraz bezoporniej i niejako wbrew własnej woli i wiedzy przenosiła się w jakiś stan obcy, w jakąś inną, pełną najcudniejszej ułudy sferę.

Oczka jej zmrużyły się do reszty, główka dalej pochyliła się na piersi. Jakiś blask różany owionął ją dokoła, jakieś nieokreślone nadziemskie tony i akordy łudziły ucho, anioł w srebrzystej szacie ukazał się nad jej głową i rozpostarł skrzydła swe nad jej marzeniami niewinnemi...

Dziewczę usnęło...

A właśnie w tej chwili zaciekły zbrodniarz dokonał swego okrutnego zamachu, a podłożony ogień płomienistym językiem wystrzelił do góry i coraz szersze zakreślał koło.

Niebo chmurne i zagniewane spoglądało z swej wyżyny, a jakby w zawody z wybuchającym na dole płomieniem, zaczęło nagle coraz częstszemi rozjaśniać się błyskawicami.

A dziewczę drzemało spokojnie, uroczemi a niewinnemi ukołysane marzeniami.

Zdało jej się, że Juljusz stoi przed nią, w oczach jego lśniły łzy, usta drżały z rozrzewnienia... Coś mówił do niej wzruszonym głosem i wyciągnął rękę nieśmiałą...

Ona chciała odpowiedzieć... serce jej biło gwałtownie... twarz płomieniała... a nie miała siły rękę swą podnieść do ręki młodzieńca...

Aż nagle zbliżył się ojciec z promieniejącą od radości twarzą, własnemi dłońmi złączył ich ręce... chciał coś przemówić...

Ale wtem cudny obraz rozwiał się jak zaczarowany, jakiś dziwny, chaotyczny nieład powstał dokoła, duszne, ołowiane powietrze spadło jej na piersi, jakieś czarne, okropne, złowrogie mary powstawały jedna po drugiej... i tuż nagle jakiś potwór ohydny wyrósł z ziemi przed jej oczyma i wyciągnął ku niej straszne, monstrualne, błoną nietoperza spojone szpony i rozwarł paszczę, ziejącą krwią i ogniem.

Piekielny przestrach ogarnął dziewczynę, włosy najeżyły jej się na głowie, zimny dreszcz przenikał ją od stóp do głowy, krew zatrzymywała się w biegu, a oddech urywał w krtani.

Zbierając wszystkie swe siły, rzuciła się dziewczyna gwałtownie i wydała przeraźliwy wykrzyk.

I ocknęła się ze snu nareszcie.

Rozpierzchły się okropne mary i widziadła, ale został ów nieświadomy przestrach piekielny i owo straszne, ołowiane powietrze tłoczyło piersi jak we śnie.

Porwała się szybko z siedzenia i przetarła oczy i nowy przeraźliwszy jeszcze wydała wykrzyk przestrachu i zgrozy.

Izbę napełniała ciemność nieprzebita, gorąca gąszcz dymu paliła piersi, wierciła oczy, a nad głową rozlegał się jakiś dziwny złowrogi szelest, jakiś przerażający powiew wiatru, jak gdyby stado puhaczów i nietoperzów trzepotało bezustannie skrzydłami.

— Wielki Boże?!... co to jest, co to znaczy! — krzyknęła dziewczyna.

I jeszcze raz rzuciła sobą gwałtownie i potarła oczy, jak gdyby nie wierzyła sama sobie, że ocknęła się z swego snu okropnego.

— O nie! ja nie śpię, ja czuwam! — krzyknęła napół nieżywa z przestrachu.

Nad głową tymczasem coraz bliżej i głośniej odzywał się ów straszny szum — szum falujących płomieni, a od pory do pory z przerażającym łomotem trzeszczały palące się belki krokwie.

Dziewczyna poskoczyła do okna.

— To ogień, to pożar, wielki Boże! — krzyknęła i upadła na kolana.

Gorąca gąszcz dymu wzmagała się coraz bardziej.

Jadwiga nie mogła odetchnąć, okropny zakrztusił ją kaszel a w głowie zakręciło się jak w kołowrocie.

— Ratunku! — pomocy! — wyjęknęła śród kaszlu.

Ale któż ją mógł usłyszeć?

Maziarz w lipowej ulicy pod Buczałami oczekiwał Juljusza, Kość' Bulij wybrał się wczoraj w dalszą jakąś podróż, a groza sąsiedztwa zaklętego dworu odstraszała z daleka każdego przechodnia.

Krótką chwilkę leżała Jadwiga bezprzytomnie na kolanach.

Nagle nadludzką kupiąc w sobie siłę, porwała się na nogi i uderzyła pięścią w okno.

Krew trysnęła z śnieżnej rączki, ale okiennica oparła się uderzeniu. Wszakże przez wyrżniętą w niej w kształcie serca dziurę, wionęło powietrze z zewnątrz.

Dziewczę odetchnęło i z największem wytężeniem odsunęło zasuwkę od okiennicy.

Ale podparta z drugiej strony okiennica trzymała się jak przykuta.

— Ratunku! pomocy!... — zawołała dziewczyna trochę głośniej. Ale cicho było na dworze, tylko nad jej głową huczało i trzeszczało coraz okropniej.

— Ratunku! pomocy!... — powtórzyła dziewczyna z dziką, obłąkaną rozpaczą.

Okropny łomot walących się krokwi odpowiedział na jej wołanie.

Jadwiga znowu bezsilnie padła na kolana i znowu straszny zakrztusił ją kaszel.

— Śmierć! Umierać!... — wyjęknęła.

I znowu jakby jakaś nadziemska wstąpiła w nią siła: porwała się prędko, rozdarła z gwałtownem wysileniem suknię na swych duszących się piersiach i poskoczyła do drugiego okna.

I w mgnieniu oka skrwawioną rączką drugą wybiła szybę, odsunęła zasuwę od okiennic i całą siłą próbowała wyłamać się na dwór...

Zdało się jej, że okiennica ugina się pod jej naciskiem... że jedno tylko mgnienie oka a uratuje się szczęśliwie... ale w tem okropnie coś zapiekło ją w głowę...

Właśnie tuż nad oknem przepaliła się powała, a płomienny język wdarł się do środka i wił się na wszystkie strony jak żądło gadziny...

Dziewczyna jęknęła okropnie...

Dzika rozpacz i zgroza ostatnie wstrzęsła w niej siły.

Jednym susem poskoczyła do pierwszego okna i całą mocą uderzyła w przypartą okiennicę...

Wtem znowu okropnie zahuczało, zatrzeszczało i załomotało nad jej głową.

Nieszczęśliwej zdało się, że śród tego huku i grzmotu rozległ się i jakiś donośny krzyk pomieszanych głosów ludzkich...

Pocisnęła jeszcze raz okiennicę... I owa okrutna zapora ustąpiła z głuchym trzaskiem...

Ale tuż okropny rozległ się grzmot, straszny blask oślepił jej na wierzch z przestrachu wysadzone oczy... a przez otwarte okno buchnęły zewsząd płomienie.

Dziewczyna wydała rozdzierający wykrzyk... bezsilnie zatoczyła się w tył... jeszcze jeden urwany jęk wymknął się z jej piersi... chciała coś wyszepnąć... ale już wszelkie opuściły ją siły... padła na ziemię bez ducha.

A tu znowu okropny rozległ się grzmot, a płomienie ze wszystkich stron buchnęły do środka! . . . . . .

## UPIÓR.

Kiedy w chacie Kościa Bulija tak okropna odbywała się scena, znajdował się maziarz na zakręcie lipowej ulicy, która od Buczał prowadziła do Żwirowa. Jak wiemy, miał po północy Juljusz przybyć w to miejsce.

Snadź z wielką niecierpliwością oczekiwał go maziarz, bo szybko tam i nazad przechadzał się wszerz gościńca, a ustawicznie skręcał ku Buczałom oko i ucho.

— Już północ musiała minąć — szepnął przystając na miejscu. — Miałżeby nie przyjść?

I zamyślił się głęboko, a po chwili wstrząsł się, jakby go jakiś szczególny przejął dreszcz.

— Szczególna! — mruknął znowu półszeptem — Kośt' rozstawał się ze mną z jakiemś złowrogiem przeczuciem. Jadzia żegnała się z dziwną jakąś obawą i niespokojnością... a ja, ja sam czuję coś, coś nieświadomego... jakąś osobliwszą ciężkość na sercu...

Zacisnął usta i ręką gwałtownie potarł po czole.

— Miałożby to być przeczucie? tajemnicza skazówka niebios?... — poszepnął w ponurem zamyśleniu.

Dziwna i niezbadana zagadka! Ludzie najsilniejszego ducha, najsprężystszego charakteru podpadają wpływom jakiegoś fatalistycznego przeczucia, jakiegoś nieświadomego, nieokreślonego niepokoju, którego ani pojąć ani wyobrazić sobie nie mogą zwyczajne i pospolite natury. Jestto jakiś niepojęty dar dywinacyjny, jakaś wyższa potęga uczuciowa, różna zupełnie od tego mimowolnego rozdrażnienia, jakiemu często bez wszelkiej przyczyny ulegają ludzie nerwowi. Cezar z ściśnionem sercem szedł do Kapitolu, kiedy pod morderczemi miał paść ciosami, Napoloona jakieś przykre trapiło uczucie, kiedy rozpoczynał bitwę pod Waterloo.

Tóż i nasz maziarz mimo całej swej niepospolitej siły ducha i energji, którą mieliśmy już sposobność poznać po części, czuł się w tej chwili w jakiemś niezwykłem, niepokojącem usposobieniu.

— Tam do kata! — mruknął z niesmakiem. — Te dziecinne obawy Kościa i Jadwigi mnie samemu jak widzę wlazły do głowy.

I wstrząsł się cały jakby przemocą chciał wszelki rzucić z siebie ciężar.

— Co gorsza — mruknął po chwili — ulewa się zbliża a Juljusza nie widać.

W dusznem i parnem powietrzu głucha i grobowa panowała cisza, żaden listek nie zaszemrał na drzewach, tylko zdala od dworu zalatywał czasami przeraźliwy, złowrogi wrzask sowy i puhacza. Zasnute czarnemi chmurami niebo ponuro i groźnie spoglądało na ziemię, a od pory do pory jakby w jawny znak gniewu strzeliło zygzakiem błyskawicy na zachodzie.

Maziarz lepiej owinął się płaszczem i usiadł u pnia rozłożystej lipy.

— Będę czekał aż do deszczu — poszepnął i przechylając głowę na piersi w głęboką zapadł zadumę.

A snać coś ważnego zaprzątało jego serce i głowę, bo oczy lśniły mu nadziemskim blaskiem, a w tej chwili wyglądały jak dwie jedyne gwiazdy, zbłąkane z nieba na ziemię.

Przed jego duszą dziwny, fantastyczny odsłonił się obraz nie mający ni związku, ni znaczenia...

Jakiś ptak wielki, dumny, wspaniały... śnieżny pierzem a potężny szpony, siedział w swem gnieździe, spokojny i bezbronny w poczuciu swej siły i szlachetności...

Aż tu z boku jakiś olbrzymi a potworny pod gniazdo zakrada się pająk i chyłkiem i milczkiem zaczyna osnuwać jego jedno skrzydło i szpon jeden..:

Z każdą chwilą rośnie sieć straszna, sieć z żelaza, spajanego krwią i łzami!... już jedno skrzydło i jeden szpon uwięzły w pętach... a tu nowe siły przybywają w pomoc wrogowi...

Za późno dumny ptak poznaje niebezpieczeństwo... broni się zapamiętale jednem skrzydłem i szponem... zbroczony krwią, złamany na siłach ulega przemocy... ohydna sieć osnuwa go do koła!...

Napróżno potem rwie i rzuca się nieustannie... mimo wszelkich zamachów i wysileń nie może przełamać strasznej przemocy...

Aż oto podźwignął się na nowo i jeszcze raz gwałtownie wyprężył swe skrzydła i szpony...

I zaczynają pękać okrutne więzy... a każda nić przerwana wydaje łoskot gromu... bucha strumieniami krwi i łez...

Dziwaczny ten obraz fantasmagoryczny, złudna igraszka chorobliwie rozdrażnionej wyobraźni, rozpierzchł sie nagle jakby cudem, a maziarz porwał się przerażony z ziemi.

W jednej chwili z dwóch przeciwnych miejsc rozległ się głośny tętent koni.

Jacyś jeźdzcy pędzili co tchu w jednym kierunku.

Maziarz drgnął cały, a z oczu dziwna strzeliła mu błyskawica... Obejrzał się poza siebie a krwawa, złowieszcza łuna rozlewała się nad żwirowskim dworem.

— Zdradzonym! ściganym! — wykrzyknął i jak strzała pomknął na ścierń po lewej stronie gościńca.

Dziwne obawy Kośtia i Jadwigi jak niemniej jego przeczucie srogiego niebezpieczeństwa, toż pod wpływem pierwszego wrażenia myślał tylko co tchu ratować się ucieczką.

Zaledwie jednak nieznaczny ubiegł kawał, powstrzymał się nagle i z dzikim przestrachem wstrząsł się od stóp do głowy.

— A jadzia! — ryknął przytłumionym głosem boleści i rozpaczy.

I nagle stanął na chwilę niepewny, wahający...

Wtem głuchy po polu rozległ się tętent, a z przeciwnej strony śpieszył jakiś jeździec co koń wyskoczy.

Oczy maziarza łysnęły nadzieją i radością.

— To Juljusz! — mruknął — tędy przez pola krótsza z Oparek prowadzi droga!

I prędzej od lotu błyskawicy zaskoczył drogę jeźdzcowi.

— Juljusz! — krzyknął, a jeździec przystanął.

— Kto to? Co znaczy ten ogień? — zapytał zdyszany młodzieniec jednym tchem.

— Zdrada! — zawołał maziarz z febrycznym pośpiechem... — ale pędź, śpiesz, ratuj Jadwigę,.. moją córkę!

Juljusz nie słuchał już dalej...

Wydając jakiś wykrzyk niezrozumiały spiął konia i jak szalony popędził ku dworowi.

Miejsce pożaru zaludniło się już przed chwilą.

Przybył ów hufiec jeźdzców, którego tak wielce przestraszył się maziarz.

Nie był to jednak nikt inny, jak tylko nasz poczciwy Girgilewicz z atamanem, gumiennym i kilku parobkami na folwarcznych koniach, tudzież zacny mandatarjusz z swym sztabem, panem Gustawem Chochelką i policjantem przy pałaszu.

Na folwarku pierwszy spostrzegł ataman ogień w Żwirowie i dał co tchu znać ekonomowi.

Girgilewicz zerwał się jak opętany, bo trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że nader skory był zawsze do ratowania w wszelkich wypadkach tego rodzaju. Nieraz o dwie mile pę-

dził do pożaru i swym stentorowym głosem obejmował zaraz komendę nad gaszącymi.

Toteż i teraz w jednem mgnieniu oka zarzucił gunię bojową na siebie nieodstępny nahaj pochwycił w rękę i dopadłszy do stajen folwarcznych, wsiadł na oślep na pierwszego lepszego konia.

— Za mną, taj tylko! — huknął na pobudzonych parobków.

I już na czele całego hufca pomknął ku Żwirowi.

Wszystkim zdawało się z początku, że sam dwór się pali, na różne też wszyscy wpadali domysły.

— Może to tylko tumana puszcza nieboszczyk! — zawołał gumienny.

— Taj tylko! — zagrzmiał Girgilewicz i zaciął konia.

— Tuman czy nie tuman! — zawołał energiczny ataman — musimy być przy ogniu. Wszystkim razem nieboszczyk karków nie skręci.

— Taj tylko! — potwierdził swoim trybem Girgilewicz i znowu zaciął konia.

Na zakręcie w lipową ulicę spotkał się hufiec z mandatarjuszem, który przebudzony przez wartownika aresztu, uznał za potrzebne znajdować się w własnej urzędowej osobie na miejscu pożaru.

Dla większej jednak okazałości i większego bezpieczeństwa wziął z sobą Chochelkę i policjanta.

Biedny aktuarjusz, wyrwany z ramion Orfeusza, blady jak trup, w najgrubszym negliżu jechał na starej szkapie pana sędziego, obiema rękami trzymał się grzywy, a zębami dzwonił prawdziwie jak na gwałt.

Policjant na jedno ramię wdział swój mundur, a pałasz w pośpiechu na prawy przewiesił bok.

Nikt jednak nie zapomniał w popłochu, że dwór zaklęty choć opuszczony, jest pełen rozmaitych kosztownych sprzętów, z których możeby się coś dało uratować dla siebie.

Obadwa hufce pędziły razem, a dopiero w połowie lipowej ulicy przekonali się wszyscy, że dwór stoi nienaruszony.

— To Kość' Bulij się pali! — zawołał ataman.

Mandatarjusz skrzywił się niechętnie.

— Pal go djabli — mruknął — ja jak warjat zerwałem się ze snu!

— Dalej, taj tylko! — zagrzmiał Girgilewicz...

Za kika chwil cały orszak stanął na miejscu pożaru.

Tylko nieszczęśliwy Chochelka nie mógł tak prędko przy-

trzymać konia, a wyprzedziwszy mimowolnie o kilka kroków swych towarzyszy, zaczął wrzeszczyć w niebogłosy i tracąc z przestrachu równowagę, padł jak długi na ziemię.

Girgilewicz tymczasem skoczył z konia, a za jego przykładem poszli wszyscy.

Chata i stodoła Kościa Bulija, stały już w jasnych płomieniach. W stodole paliły się ściany, u chaty dogorywał z dzikim łomotem zrąb dachu.

Na niebie krwawa wznosiła się łuna, a tuż w jej pobliżu jedna błyskawica migała po drugiej.

A dziwnie jakoś strasznem i uroczystem wydawał się w tej chwili sam dwór zaklęty.

Wysokie okna promieniały odblaskiem płomieni, szare mury wpadały w jakąś czerwonawą, krwawą barwę, a łomot trzeszczących i walących się belek i krokwi zdawał się wewnątrz głuchem odbijać echem.

Girgilewicz przeżegnał się naprzód, a potem wprawnem dokoła rzucił okiem.

— Jezus Marja! — krzyknął — drzwi i okna popodpierane!

— Ktoś musi być w środku — zawołał ataman.

— Taj tylko — potwierdził Girgilewicz, wierny swemu przysłowiu w każdej dobie życia.

Ataman poskoczył ku drzwiom i przywiezioną z sobą siekierą rozrąbał łykowy powróz, ekonom sam poskoczył do okna i z wielkiem natężeniem odsunął kół podpierający okiennicę.

I w tej chwili osłoniona zewnątrz wężykami płomieni ukazała się w oknie Jadwiga, podobna do Madonny w ognistej aureoli.

Wszyscy wydali jeden tylko wykrzyk przerażenia i wyciągnęli ręce naprzód.

Ale dziewczyna nie miała już siły wyskoczyć na dwór, zatoczyła się w tył i znikła w gęstwinie dymu, a za nią jak rój gadzin rozsrożonych ze wszystkich stron buchnęły przez okna płomienie.

Cały tłum powiększony kilku nowymi przybyszami, stał jak wryty na miejscu.

Nikt nie miał odwagi rzucić się do srodka.

Płomienie przedzierały się już do powały i doszły właśnie do ścian samych.

— Niema ratunku — poszepnął ataman i załamał ręce.

A w tej chwili głośny z tyłu rozległ się wykrzyk.

Juljusz niepostrzeżony przypadł na miejsce, właśnie kiedy

postać Jadwigi w tak okropnem oświetleniu zajaśniała w oknie.

Zeskoczył z konia i z dzikim krzykiem rzucił się na oślep ku ogniowi.

— Dziedzic! — obiegło szybkim dokoła szmerem.

— Jasny pan!—poprawił Girgilewicz.

I domyślając się zaraz, że bieży rzucić się do wnętrza chaty, zaskoczył mu drogę.

— Jasny panie, już przepadło, taj tylko! — zawołał, przytrzymując go na gwałt swem silnem ramieniem.

Ale Juljusz z lwią mocą pchnął go od siebie i jednem susem poskoczył ku oknu...

I już, już miał zniknąć w płomieniach, kiedy ktoś szybko jak strzała przedziera się przez tłum przerażony, pochwytuje za kołnierz młodzieńca, i herkuliczną siłą ciska nim jak piłką napowrót w ręce Girgilewicza.

— Gałgany! trzymajcie tego warjata! — zagrzmiał nowy przybysz piorunującym głosem i sam w mgnieniu oka zniknął w płomieniach.

Wszyscy wydali nowy wykrzyk zgrozy i zdziwienia.

Był to Katylina.

Nazajutrz miał już na zawsze opuścić Oparki, a w nocy jakby go jakaś tajemnicza parła siła, chciał zajrzeć jeszcze raz do swej nieznajomej wybawicielki, która jak wiemy, tak silne sprawiła na nim wrażenie.

I w sam czas jeszcze przybył, aby ją ujrzeć w oknie i szybko jak strzała pośpieszyć na jej ratunek.

Juljusz na gwałt rwał się za nim.

Ale na szczęście Girgilewicz wziął słownie surowy mandat Katyliny, oboma ramionami pochwycił w pół Juljusza i przywołując sobie jeszcze gumiennego i atamana w pomoc, powtarzał raz poraz:

— Nie puszczę, taj tylko!

Za Katyliną przez nagły pociąg wichru gęstsze do wnętrza chaty buchnęły płomienie, a z przerażającym hukiem i łomem zawalił się tej samej chwili zrąb dachu.

Wszyscy przeżegnali się przerażeni.

Sam mandatarjusz zapomniał całą swą nienawiść do Katyliny i z trwogą i zwątpieniem załamał ręce.

A tuż i chmurne i zagniewane od dawna niebo miało czynnie wmieszać się w tok działania.

Dotychczas huczało tylko złowrogo, ale nagle strasznym ozwało się grzmotem.

Okropna błyskawica rozdarła na dwoje czarne po za łuną sklepienie, a dwa pioruny uderzyły w pobliżu tak szybko po sobie, że jeden zdawał się tylko ścigać i przygłuszać drugi.

Okropny popłoch ogarnął całe grono, ściśnione teraz w jeden gęsty kłąb nieruchomy.

A prawie jednocześnie z okropnym hukiem grzmotu jakiś dziki, nadludzki przeraźliwszy jeszcze głos ozwał się w pobliżu, a jakaś postać ludzka pojawiła się jakby z pod ziemi od strony ogrodu.

— Jezus Marja! — wrzasnął tłum w dzikiej zgrozie i jakby za jednym rozkazem padli wszyscy na kolana.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — wydzwonił zębami najśmielszy ze wszystkich ataman.

— Nie... nie... nieboszczyk, t... t... taj tylko! — jęknął Girgilewicz i puszczając Juljusza, padł wraz z mandatarjuszem plackiem na ziemię...

Wszyscy poznali nieboszczyka starościca!...

Upiór jeszcze okropniejszy wydał wykrzyk i prędzej od błyskawicy, przemknął się jakby w powietrzu przed oczyma widzów i zniknął w płomieniach.

A tu znowu jasna błyskawica rozdarła niebo, nowy grzmot wstrząsł powietrze, trzeci piorun głośniejszy od dwóch poprzednich uderzył w pobliżu a wraz z wielkiemi kroplami deszczu szalona zawyła burza.

Chata Kośtia Bulija wydawała się jak jedna tylko olbrzymia głownia żarząca, a nagła burza w dziki płomienie zakręciła wir.

I była to chwila nieokreślonej okropności i zgrozy... Samo piekło nie mogłoby się na straszniejszy zdobyć obraz!

A nie zazdrościć ludziom, co byli jej świadkami!

Sam Juljusz stał na miejscu jak wryty, napół nieprzytomny z przerażenia... nogi jakby mu przyrosły do ziemi... włosy kolcami najeżyły się na głowie . . . . . .
. . . . . .

A tu wicher z wściekłą wył gwałtownością i jak listkiem trzął płomienną bryłą chaty!

I nagle ktoś jak z piekła wypadł ze środka i bez ducha legł przed tłumem...

Był to Katylina od stóp do głowy w płomieniach.

Juljusz sam jeden miał siłę i przytomność poskoczyć ku niemu, ale na szczęście nie potrzeba było gasić jego sukien płomieniejących, bo tuż z nieba puściła się ulewa...

Opamiętując się powoli, śmielsi z przytomnych podnieśli się z ziemi.

Ale w tej samej chwili napowrót z piekielną zgrozą padli na kolana.

Niebo nową rozdarło się błyskawicą, nowym na ziemię strzeliło piorunem, a burza znowu z dzikim zawyła hukiem i jak trąba zakręciła się w koło.

Nagle w całej swej posadzie zatrząsł się napół ugaszony zrąb chaty i jakby rzucony o krok w górę z podobnym do grzmotu łomotem załamał i zapadł się cały.

— Boże miłosierdzia!—dzwonił zębami mandatarjusz i pięścią bił się w piersi.

— Boże, zmiłuj się nad nami!—wtórowali inni jednem pomieszanem echem.

A Juljusz oboma pięśćmi uderzył się w czoło i okropny jęk wyrwał się z jego piersi.

— Zginęła!—krzyknął—zginęła!...

I dzika rozpacz malowała się w jego twarzy, obłąkanie patrzyło z oczu . . . . . .

A tymczasem chmury porwane dzikim wichrem pomknęły w dal, deszcz po kilku chwilach ustał jak zaklęty, łuna rozwiała się z widnokręgu, a niebo na dalszym zachodzie zajaśniało blaskiem gwiazd i księżyca.

I tak nagle, w mgnieniu oka, zmienił się cały, nieokreślonej okropności obraz, że można go było wziąć raczej za senne złudzenie, za potworne mamidło wyobraźni, niż za jawną rzeczywistość. . . . . .

Prócz nieszczęśliwego Chochelki, który zemdlał ze strachu, opamiętali się stopniowo wszyscy przerażeni świadkowie niedawnej szalonej gry żywiołów.

Podnieśli się z ziemi i patrząc z drżeniem i zgrozą na straszne dzieło zniszczenia, szepnęli prawie wszyscy jakby za jednem natchnieniem:

— Upiór!... Zginęła!

A Juljusz tylko ostatnie powtórzył słowo, ale powtórzył z taką rozdzierającą boleścią i rozpaczą, że aż dreszcz przejmował słuchaczy.

. . . . . .

Katylina tymczasem leżał bez ducha na ziemi, i ciągle jeszcze nie dawał najmniejszych oznaków życia. . . . . .

# KOŚT' BULIJ.

Nazajutrz przy zgliszczach wczorajszego pożaru ważna i uroczysta odbywała się scena.

Pan mandatarjusz z całym swym sztabem urządowym zjechał na miejsce, układać sprawozdanie do zwierzchnej władzy, a zarazem wytoczyć śledztwo co do przyczyny pożaru.

Z ciekawości przybył jednocześnie i ważny świadek wczorajszy, nasz zacny Girgilewicz z gumiennym i atamanem.

A snadź wszyscy nie dobrze jeszcze przespali się po wczorajszym przestrachu, bo mandatarjusz wyglądał strasznie blady, oczy miał zapadłe, usta zapieczone, a nawet cokolwiek złamał się w postawie, a Girgilewicz więcej niż zazwyczaj siny wydawał się na twarzy, a oczy okrutnie wybałuszył na wierzch.

Biedny Chochelka jak z krzyża zdjęty siedzi przy przyniesionym ze wsi stole i za dyktatem mandatarjusza od godziny już spisuje szczegółową o wydarzonym wypadku relacje.

Kilku chłopów przerzuciło z największem staraniem zgliszcza całej chaty, dobyło z pod gruzów wiele sprzętów na pół przepalonych, ale z trupa ludzkiego nie znalazł się nigdzie najmniejszy ślad widoczny.

– Nieboszczyk rozwiał się z dymem — pomrukują wszyscy — ale gdzież sam Kośt' Bulij i ta młoda dziewczyna?

W samej rzeczy wszyscy widzieli jakąś młodą dziewczynę w oknie, na jej ratunek skoczył Katylina w płomienie, ku niej zdawał się biec upiór starościca, ale mimo to pozostała nieuratowana wewnątrz chaty, kiedy skręcono wichrem ściany i zrąb dachu zapadły się w gruzy.

Gdzież się więc podziała?

Spalić się na popiół nie mogła, bo pożar przygaszony nagłą ulewą nie poszedł do samego spodu.

Trup jej, mniej czy więcej uszkodzony, powinien był pozostać pod zgliszczami, jak pozostało wiele sprzętów chaty.

Utrzymywał wprawdzie głośno i otwarcie jeden z parobków, że kiedy nieboszczyk pojawił się nagle i wskoczył w płomienie, a wszyscy przytomni plackiem padli na ziemię, on jeden podniósł oczy i widział najwyraźniej, jak upiór śród gromów i błyskawic wzleciał z dziewczyną w górę i wraz z wichrem, który pognał dalej burzę, pomknął z dzikim świstem popod obłoki.

Ale jakoś mało kto temu wierzył, a Girgilewicz machnął ręką i rzekł po swojemu:

— Kłamiesz, durniu, taj tylko!

Żacny ekonom na inny, własny wpadł wykład.

— Starościc musiał rozlać się mazią, taj tylko — mówił z dobitnem przekonaniem, odwołując się do licznych podobnych podań ludowych.

— Ale cóż się stało z dziewczyną? — zapytał mandatarjusz.

Girgilewicz uśmiechnął się z politowaniem.

— To u pana sędziego była dziewczyna! Ba i bardzo, taj tylko!

— Widzieliśmy ją przecie na własne oczy — dowodził mandatarjusz.

— Furda, taj tylko! To zły duch przybrał postać ładnej dziewczyny, aby kogoś zwabić do płomieni, taj tylko!

Chłopom ten wykład wielce przypadł do przekonania.

— Tak, tak, musiało być, wielmożny panie — popierał stary gumienny i przeżegnał się nabożnie — ja sam widziałem raz djabła, wracając w nocy z karczmy, a szelma w różne przerzucał się postacie.

Mandatarjusz machnął ręką.

— Jakże tu o tem wszystkiem donieść cyrkułowi! — pośzepnął — pan komisarz *Schnoferl* nie uwierzy temu i jeszcze gotów mnie wyśmiać! A tu przecie człowiek na własne oczy widział i tę dziewczynę i nieboszczyka.

— Nieboszczyk prawie o mie otarł się ramieniem! — potwierdzał ataman i zadrżał cały.

— Ja ciągle jeszcze widzę jego oczy okropne — dorzucił ataman.

— Co tu gadać, taj tylko — zakończył Girgilewicz i w powietrzu zrobił krzyż święty. — Wszyscy pzzysięglibyśmy na to jak jeden!

Mandatarjusz pokiwał głową i potarł z partesem czuprynę.

— Dotychczas wierzyłem w filozofję, mości dobrodzieju — przemówił po chwili — ale od wczoraj plunąłem na nią.

— Najlepiej pan sędzia zrobiłeś, bo to wszystko oszukaństwo. taj tylko.

— Ale gdzież się Kośt' Bulij podział? — zagadnął znowu mandatarjusz.

— Podobno wybrał się gdzieś w drogę — ozwał się wójt żwirowski — ludzie spotykali go z wozem i końmi na gościńcu.

Pan mandatarjusz znowu pokiwał głową i potarł czuprynę.

— Niech pan pisze, panie Chochelka — rzekł układając dalszy tok niemieckiej relacji.

Ale w tem przerwał mu Girgilewicz głośnym wykrzykiem triumfu.

— Jest, jest, taj tylko! — huknął z całego gardła.

— Dziewczyna!

— At! co tam dziewczyna! Maź, taj tylko.

— Jaka maź?

— Mówiłem przecie, że starościc musiał rozlać się z mazią. Otóż patrzcie, taj tylko.

Biedny ekonom nie mógł dać sobie rady i spokoju i dopóty nosem rył w zgliszczach, aż póki śród węgli i popiołów zgorzałej do szczętu stodoły nie spostrzegł małą kałużę mazi.

Obok niej leżał spalony na węgiel koń i żelaziwa z jakiegoś wózka zgorzałego.

Czytelnicy przypomną sobie, że w stodole za sianem i snopami stał ukryty koń i wózek znanego nam maziarza.

Girgilewicz nie posiadał się z radości nad swem odkryciem.

— Nie mówiłem, taj tylko! — powtarzał raz poraz.

— Maź, sprawiedliwa maź — wtórowali chłopi z wiarą i przekonaniem.

Ale wtem wszyscy głośny wydali wykrzyk, a pan Chochełka jak oparzony porwał się od stolika i chwycił się za połę atamana.

Przed zniszczoną zagrodę zajechał nagle szalonym pędem uprzężony wóz parą czarnemi końmi, a z niego wyskoczył Kośt' Bulij.

A strasznie jakoś zmieniony wyglądał stary kozak.

Przerażająca bladość okrywała twarz całą, oczy jakimś złowieszczym, napół obłąkanym migały ogniem, a zsiniałe usta drgały jak w kurczach.

— Co to jest? Co się stało? — zapytał ochrypłym, urywanym głosem.

Mandatarjusz cofnął się w tył i jakieś mrowie przeszło go od stóp do głowy, a pod wpływem pierwszego wrażenia nikt nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

— Cóż tu żaszło? — zasapał stary kozak.

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście! — odezwał się pierwszy wójt.

— O tak, wielkie nieszczęście! — powtórzyli chłopi i mimo swej obawy i odrazy z współczuciem pokiwali głowami.

Chłopek nasz żadnego ciosu losu nie pojmuje lepiej, nie czuje głębiej jak klęskę pożaru, który w jednej chwili chłonąc jego dobytek, zdaje się zarazem urągać okrutnie z jego żmudnej i ciężkiej pracy i z tego znoju przelanego bezowocnie i z tych trosk, obaw i nadziei, jakim ulegał rok cały.

Kość' Bulij drżał na całem ciele i dzikiem dokoła powodził spojrzeniem.

— I spaliło się co? — pytał dalej prawie w obłąkaniu.

— Wszystko — odpowiedział wójt cichym głosem.

Stary kozak wstrząsł gwałtownie głową i jakby jakieś ukryte przezwyciężając wahanie, zawołał znowu z febrycznym pospiechem:

— W chacie nie była... nie było nikogo.

Wójt wzruszył ramionami.

— Tać w chacie była jakaś dziewczyna...

— I ocalała?! — wrzasnął kozak i swą olbrzymią dłonią pochwycił za ramię mówiącego.

— Gdzietam ocalała — ozwał się ataman z boku, bo biedny wójt okropnie przestraszony dotknięciem kozaka, nie miał nawet siły odpowiedzieć.

— Zginęła.

— Zginęła! — powtórzył okropnym głosem kozak.

I puszczając wójta, pochwycił oboma rękami atamana i zatrząsł nim jak słomą w powietrzu.

— Mów, jak było, co się stało, mów, mów! — wrzeszczał i trząsł swą ofiarą coraz silniej.

— Gwałtu, co chcecie, co robicie, poczekajcie!

— Cóżto, oszalałeś? — zawołał z swej strony mandatarjusz.

— Mówcie wszystko, jak było? — krzyczał dalej kozak.

— No cóż, jak było? — zawołał turmoszony niewinnie ataman wpadając w ferwor. — Przylecieliśmy wszyscy zapóźno, kiedy już zaczęły się palić ściany!... No... w oknie pokazała się jakaś młoda dziewczyna... no, dziedzic chciał ją ratować, ale nie puścił go komisarz.

— Nie puścił go! — zaryczał kozak przeraźliwie.

— Ta, bo sam rzucił się w płomienie... my już myśleli, że i on się spali, ale wtem no... załyskało, zagrzmiało, zaczęły bić pioruny... no... taj...

— Mówże — rozkazywał olbrzym napół szalony z samej ciekawości.

— No, taj pojawił się naraz nieboszczyk pan!

— Nieboszczyk pan!

— Aha! on sam! Zakrzyczał, że aż człowiekowi szpik zastygł w kościach i wskoczył w ogień, pan komisarz wyleciał nazad, a nieboszczyk sobie tam został, aż trzask, prask, rum, bum zawaliła się chata!

— Nad obojgiem?!

— Nad obojgiem.

Kośt' Bulij jęknął, że aż zimny dreszcz przeszedł wszystkich przytomnych.

— Gdzież ich trupy! — wrzasnął i z dziką rozpaczą oboma pięśćmi uderzył się w czoło.

— Niema z nich ani śladu — ozwał się wójt.

— Zniknęły gdzieś zupełnie, taj tylko — przemówił nareszcie Girgilewicz, który przez cały ciąg tej sceny stał niemy i nieruchomy na boku.

— Zniknęli oboje z chaty — zawołał kozak z jakimś niepodobnym do opisania wyrazem, a z oczu strzeliła mu jakaś zagadkowa błyskawica, jasny promyk nadziei.

I znowu oboma pięściami uderzył się w czoło i stanął nieruchomy na miejscu, jakby jakąś ukrytą ścigał myśl.

I nagle wstrząsł się gwałtownie i w całej swej postawie zaczął drżeć i chwiać się jak listek osiki.

Obecni chłopi w milczeniu potrząsali głowami, a Girgilewicz ze znaczeniem palcem powiódł po czole i mruknął przez zęby:

— Taj tylko.

Wtem Kośt' Bulij wyprężył się w całej postawie i tak jakiemś gniewnem i groźnem powiódł po wszystkich spojrzeniem, że biedny Chochelka aż przykląkł na obadwa kolana.

— A wy tu czego chcecie? — zagrzmiał nagle dobitnym głosem. — To moja zagroda, moje obejście, kto was tu zaprosił?

Mandatarjusz mimo całej swej dumy i powagi, uznał za rzecz stosowną cofnąć się o parę kroków i tłumaczyć się otwarcie:

— Przybyliśmy wyszukać trupa dziewczyny i ułożyć relację do cyrkułu.

Kośt' Bulij rzucił się gwałtownie:

— Jakiej dziewczyny? tu nie było żadnej dziewczyny! —

zagrzmiał piorunującym głosem, w jednej chwi zmieniony nie do poznania.

— Ależ widzieliśmy ją wszyscy — ozwał się mandatarjusz.

— Łżesz, drabie! — huknął kozak, folgując zupełnie swej gwałtowności — przyszliście kraść, co mi zostało od ognia! Ale ja was tu nauczę!

— Taj tylko! — wybąknął Girgilewicz oniemiały z zdziwienia i indygnacji.

Mandatarjusz posiniał cały na tak srogą obelgę, doznaną wobec tylu świadków.

— Co mówisz? — zawołał z półgroźbą.

Ale stary kozak straszny był w swej olbrzymiej, herkulicznej postaci, z temi napół obłąkanemi oczyma i konwulsyjnie drgającemi usty.

— Ejże nie żartujcie ze mną! fora, won! pókiście cali! — zawołał a oczy dzikim rozgorzały mu blaskiem.

— Uciekajmy! — wrzasnął Chochelka, odzywając się z wielkim sensem poraz pierwszy w ciągu całej sceny.

— Chodźmy, bo to warjat! — mruknął mandatarjusz, cofając się coprędzej.

Girgilewicz i chłopi nie tyle zlękli się warjacji, co tajemnych sił czarodziejskich olbrzyma.

Toż hurmem posunęli za panem sędzią, a w jednej chwili jakby wymiótł, wypróżniła się spustoszona zagroda.

Kość' Bulij pozostał sam, a drżał ciągle jak listek i snadź trapiony jakimś wewnętrznym niepokojem czy jakąś niecierpliwością niepowściągnioną, rzucał i miotał sobą na wszystkie strony i biegał jak szalony po całem obejściu.

— Zniknęli! zniknęli! — powtarzał raz poraz i oddychał ciężko, a ręką tarł po czole.

I nagle przystanął i nachylił ucho, czy daleko już odbiegły głosy wypłoszonej gawiedzi.

— Jeszcze ich słychać... — mruknął.

I znowu zaczął kręcić się i biegać wokoło.

— Młody dziedzic chciał skakać... ten Katylina nie dopuścił go, ale sam skoczył... i wszystko nic... — szeptał bez ładu, jakby rozpamiętywał tylko świeżo posłyszane słowa.

— A potem... potem...

Tu wstrząsł się cały i nadstawiając pilnie ucha ku gościńcowi, rozkrzyżował naraz ręce, jakby już nie chciał pasować się dłużej z samym sobą.

Poskoczył ku furtce ogrodowej i obzierając się dokoła bystrem i badawczem okiem, włożył dwa palce w gębę i świsnął głośno i w jakiś szczególny sposób.

I przystanął cicho z rozwartemi napół usty i bacznie wychylonem uchem, cały drżący jak listek.

Krótką chwilę trwało grobowe milczenie, tylko serce starego kozaka biło jak młotem.

Nagle od strony ogrodu taki sam głośny i wyraźny ozwał się świst.

Kozak drgnął gwałtownie i padł na kolana.

Łzy jak groch spłynęły mu z oczu, pierś wydęła się wysoko, a twarz rozpromieniła dziwnem szczęściem i radością.

— Tam na wysepce! — mruknął urywanym tchem. — O dzięki ci, Boże!...

Wieść o strasznych i dziwnych wypadkach w Żwirowie rozbiegła się lotem błyskawicy po całej okolicy, a zaraz rano doniosła się do uszu hrabstwa w Orkizowie.

Wszakże całe zasłyszane zdarzenie zdawało się tak dziwacznem, niepojętem, trudnem do uwierzenia, że około południa hrabia wysłał umyślnie pisarza prowentowego do Oparek, aby bliższych i pewniejszych zaczerpnąć wiadomości.

Właśnie też w tej chwili cała rodzina hrabska z wielką niecierpliwością oczekuje powrotu posłańca.

Eugenja z Arturem patrzy w okno i prawie drży cała z niecierpliwości, a sama zimna i obojętna na wszystko hrabina wydaje się w jakiemś nadzwyczajnem rozdrażnieniu.

Bo też niesłychane, niestworzone rzeczy rozpowiadali ludzie.

Pominąwszy wszelkie okrasy i ubarwienia samego pożaru, poświęcenia Katyliny i tragicznej śmierci dziewczyny, urosło i nagłe pojawienie się nieboszczyka w tysiączne dziwaczne przydatki i potworne rozmiary.

Śród grzmotów, piorunów i błyskawic wyskoczył, jak mówiono, starościc z pod ziemi, wzbił się w górę na czarnym koniu o czarnych błonach nietoperzych, chwilkę chwiał się i krążył nad głowami skamieniałych z przestrachu widzów, potem jak strzała spuścił się w sam środek płomieni i unosząc dziewczynę w jednem ramieniu, z dzikim poświstem wichru zniknął w bezmiernem przestworzu napowietrznem.

Inni jeszcze jaskrawszych barw dobierali do tego obrazu, a poczciwa Solczaniowa z własnej szczodrobliwości i na własną odpowiedzialność dołączyła jeszcze bezpłatnie trzęsienie

ziemi i rzęsisty deszcz z samej siarki, krwi i ognistych meteorów.

Hrabiego wprowadzały zawsze w zły humor wieści o pośmiertnem pojawieniu się brata, to też chmurny i gniewny przechadzał się teraz po pokoju, a nieraz aż zanadto surowo karcił dziecinne wybryki niecierpliwości córki, która nie mogła doczekać się wyprawionego na zwiady pisarza.

Nareszcież po dobrej nowej półgodzinie miał się zjawić gorąco pożądany.

— Jedzie, jedzie! — wykrzyknął trzynastoletni Artur, a siedemnastoletnia Eugenja z dziecinną radością klasnęła w ręce i poskoczyła cd okna ku kanapie, gdzie siedziała hrabina.

— Pan Barszczyk przyjechał — oznajmił tuż zaraz wchodzący lokaj.

— Niech tu przyjdzie — polecił hrabia.

Za krótką chwilę rozwarły się drzwi, a nieśmiało i niezgrabnie wśliznął się do pokoju pisarz prowentowy, pan Nicefor Barszczyk, z którego twarzą tępą i uśmiechem głupkowatym nie godziło się wcale przebiegłe spojrzenie i nos wybiegający w szpic ciekawy i dowcipny.

— Jesteś nareszcie — ozwał się hrabia. — Jakże się ma pan Juljusz?

Barszczyk oczywiście dla zasięgnienia tej jedynie wiadości, wyprawiony był do Oparek.

Na zapytanie hrabiego pan Nicefor Barszczyk odkrząknął należycie, przełknął zawadzającą w gardle ślinę i napoły krztusząc się, napoły jąkając przystąpił do zdawania relacji.

— Pan Juljusz zdrów zupełnie; kiedym przyjechał do Oparek, miał właśnie jakąś konferencję z Kościem Bulijem, kluczniłkiem...

Hrabia prędko machnął ręką, jakby niemiłe było mu wspomnienie starego kozaka.

— A cóż się dzieje z przyjacielem dziedzica — zapytał dalej.

— Okropnie się popiekł, jaśnie wielmożny panie, ale sprowadzonych dwóch doktorów nie tracą nadziei.

— A nie dowiedziałeś się pan czegoś bliższego o całem zdarzeniu? — wtrąciła niepowściągniona w ciekawości hrabianka.

Pan Barszczyk zarumienił się aż powyżej uszu na zagadnienie hrabianki, znowu odkrząknął i odkaszlnął należycie

i przezwyciężając mimowolnie pomieszanie ozwał się z pospiechem:

— Owszem dowiedziałem się wszystkiego jak najdokładniej... jaśnie wielmożni państwo nie uwierzą, ile ludzie pododawali...

— A więc opowiedz nam, co wiesz, tylko w krótkości — ozwał się hrabia siadając.

Pan Nicefor Barszczyk po nowych, należytych odkrząknieniach opowiedział jak mógł najwierniej i najkrócej całe zdarzenie.

Odwaga, energja i poświęcenie się Katyliny silne na wszystkich zrobiły wrażenie.

— *C'est un diable incarné* — poszepnęła hrabina.

— *C'est un héros* — poprawiła córka, w której oczach postać niedawnego awanturnika zajaśniała nagle w blasku romantycznego bohaterstwa.

Niesłychanie jednak dziwny i zagadkowy wyglądał koniec opowiadania pana Barszczyka.

Nie zdawało się podlegać najmniejszej wątpliwości, że na miejscu pożaru pojawiła się nagle i niespodziewanie jak z pod ziemi, jakaś postać ludzka, którą wszyscy wzięli za postać nieboszczyka starościca.

Domniemywany upiór rzucił się w płomienie, w kilka chwil zawalił się nad nim cały płomieniejący zrąb chaty, a pod gruzami nie znaleziono najmniejszego śladu ani po nim, ani po owej tajemniczej dziewczynie.

— Gdzież się więc podzieli oboje?

Hrabia skinieniem ręki odprawił Barszczyka, a obracając się do żony i córki, ozwał się żywo:

— Przypominacie sobie, że Juljusz wspominał nam dawniej o jakiejś młodej dziewczynie, którą przypadkowo spostrzegł w ogrodzie żwirowskiego dworu.

— To ta Najada czy Sylfida, podobna do mnie! — krzyknęła hrabianka.

— *Je m'en souviens* — szepnęła hrabina.

— Otóż to ona zapewne znajdowała się w chacie i znikła w tak osobliwszy sposób.

— Nierozwiązana zagadka!

— *Mais il faut avouer,* Juljusz znalazł się bardzo ładnie, *dans cette affaire...*

Na wspomnienie Juljusza, lekka chmura zawisła na czole hrabiego, młoda hrabianka jakieś szczególne zrobiła poruszenie.

— *A propos* — ozwała się nagle przytłumiając jakieś skryte wahanie i posuwając się z pochlebnem przymileniem do ojca — nie mogłabym już wiedzieć, jakie tajemnicze znaczenie miała owa szczególna ze mną rozmowa?

— Która rozmowa? — poszepnął hrabia, a na czoło nowa nabiegła mu chmura.

— Przemawiałeś do mnie, ojcze, jak gdyby Juljusz miał zamiar starać się o moją rękę.

— Chciałem ci tylko dać do zrozumienia, że jeśliby mu to w samej rzeczy przyszło na myśl, z mojej strony nie potrzebowałby się obawiać żadnej przeszkody.

Eugenja z dziwnym ruchem wydęła spodnią wargę.

Hrabia ściągnął brwi i ozwał się prędko jakby kończąc rozmowę:

— Juljusz jest jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem, a nosząc imię Żwirskich i w swem niedawnem ubóstwie nie o wiele oddalił się od nas stanowiskiem... Zresztą za kilka dni dowiesz się czegoś więcej w tej mierze.

— Za kilka dni! — powtórzyła hrabianka. — Może nowa jaka tajemnica?

Hrabia nie odpowiedział, zaczął nagle w zamyśleniu przechadzać się po pokoju, a po chwili przystanął i mruknął półgłosem jakby sam do siebie:

— Pocóż Kośt' był dziś u Juljusza?

W tym momencie rozwarły się drzwi, a do pokoju wszedł lokaj z widocznym wyrazem pomieszania i przestrachu na twarzy.

— Jasny panie... — mruknął z zająknieniem.

— Cóż takiego?

— Ten, ten... Ko... Kośt'... Bulij... klucznik zaklętego dworu...

— Kośt' Bulij? — powtórzył hrabia mimowolnie i zadrżał zlekka.

— Kośt' Bulij! — wykrzyknęła hrabianka, a oczy jej łysnęły ciekawością.

— Przyjechał tutaj i chce się widzieć z jasnym panem.

— Ze mną?! — wykrzyknął hrabia z szczególniejszym naciskiem.

Od ośmnastu lat, od czasu śmierci nieboszczyka ojca i rozłączenia się z bratem, hrabia poraz pierwszy miał ujrzeć Kośtia. Od owego czasu nie spotkał go nigdy w swem życiu.

To też jakby nie dowierzając słowom swego lokaja, powtórzył nanowo:

— Że mną chce się widzieć?

— Sam na sam, powiada.

— Przyślij go do mojej kancelarji.

— Cóż to może być? — wykrzyknęła ciekawie hrabianka.

— *Une tête à tête si mysterieuse!* poszepnęła hrabina.

Hrabia w niezwykłem jakiemś wzburzeniu skinął głową na żonę i córkę, i nie mówiąc ani słowa, wybiegł z salonu i szybko skręcił ku swej kancelarji.

Za chwilę rozwarły się drzwi, a poważnie i uroczyście wszedł Kośt' Bulij.

Hrabiego przeszedł lekki dreszcz na widok tej olbrzymiej, ponurej i groźnej prawie postaci, która tysiączne budziła w nim wspomnienia, a bardzo silnie wryła się w jego pamięć.

Kośt' Bulij miał swój zwyczajny wyraz twarzy, tylko więcej jeszcze niż zazwyczaj uroczystości przebijało się w jego ruchach i postaci.

Ukłonił się nisko na wstępie i wyprężony po sam niemal sufit czekał spokojnie, aż go hrabia zagadnie.

Ale snadź sam jego widok jakieś przykre sprawiał na hrabim wrażenie, bo długi czas stał milczący i nieruchomy i widocznie jakąś wewnętrzną staczał walkę.

— Chciałeś się ze mną widzieć, Kośtiu — ozwał się nareszcie cokolwiek zmienionym głosem.

Kośt' ukłonił się w milczeniu.

— Cóż mi tedy powiesz?

Kośt' sięgnął ręką w zanadrze.

Hrabia z ciekawością i rodzajem lekkiego niepokoju towarzyszył oczyma temu poruszeniu.

Kośt' wyjął jakiś zżółkły kawał papieru i w uroczystem milczeniu podał go hrabiemu.

Hrabia drgnął.

— Pismo Mikołaja!... — szepnął.

Oczy starego kozaka roziskrzyły się jak dwa węgle, a brwi silniej ściągnęły się pod chmurnem czołem.

Hrabia trzymał list w drżących rękach i widocznie nie miał odwagi odczytać go w pierwszej chwili.

Wypatrzył się na kozaka niespokojnemi i pytającemi oczyma i przewracał w ręku wypłowiały papier na wszystkie strony.

Kośt' Bulij jakby się radował nieświadomą zgrozą hrabiego, milczał jak zaklęty.

— Co znaczy to pismo? — zapytał wreszcie brat starościca chwiejnym głosem.

— List — bąknął kozak lakonicznie.

— Od Mikołaja! od mego brata?!

Kozak uroczyście skinął głową.

Hrabiego zimne mrowie przeszło po całem ciele.

Odbierał list od nieboszczyka z rąk posłańca, który w całej swej postaci miał w tej chwili coś naprawdę nadziemskiego, demonicznego.

I chwilkę stał niemy i nieruchomy z rozwartemi oczyma i drżącemi usty.

— Od mego brata? — wybąknął naraz powtórnie i drgnął gwałtownie.

— Pisał go na kilka godzin przed śmiercią — wycedził kozak zwolna uroczyście.

— I teraz mi go dopiero przynosisz?

— Teraz.

— Cóż to ma znaczyć? — pytał hrabia dalej z febrycznym pośpiechem, jakby koniecznie jakąś uspakajającą chciał otrzymać wiadomość.

— Niech jasny pan czyta!

Hrabia z gwałtownym impetem rozwarł list. Zawierał on tylko kilka wierszy.

„Bracie! Jeśli więcej może ci zależeć na błogosławieństwie brata umierającego, niż ci niegdyś zależało na uczuciach żyjącego, miej zupełne i nieograniczone zaufanie do Kośtia Bulija, a każdemu jego słowu wierz ślepo, jakbyś słuchał mej własnej spowiedzi z za grobu. Bóg z tobą! Mikołaj".

Hrabia po przeczytaniu listu stał osłupiały na miejscu i pytającemi oczyma wypatrzył się na starego kozaka.

— Cóż znaczy ten list, dlaczego mi tak późno doręczasz? — wybąknął ledwie zrozumiale.

Kośt' Bulij chwilę trwał w swem uporczywem milczeniu, a nagle ozwał się dziwnie uroczystym głosem:

— Mam jasnemu panu wyjaśnić wielkiej wagi tajemnicę...

— A ten list...

— Powinien mi zapewnić wiarę i zaufanie.

Hrabia bezwładnie rzucił się na fotel, jakby nie miał sił utrzymać się dłużej na nogach.

— Cóż mi powiesz? — zapytał.

A po gwałtownem zżymaniu się piersi, po drżeniu ręki i trupiej bladości twarzy widać było, jak silnie wstrząsało nim wzruszenie.

— To, co wiem, mogę tylko w jednem wyjawić miejscu — odpowiedział stary kozak z właściwym sobie naciskiem.

— I gdzie to?

— W czerwonym pokoju żwirowskiego dworu.

Hrabia drgnął gwałtownie.

Czerwony pokój zaklętego dworu z swem uroczystem a ponurem przystrojeniem, gdzie przesiadywał obłąkany ojciec, a przebywał najchętniej brat nieboszczyk, zachował jakiś dziwnie złowieszczy charakter w młodocianych wspomnieniach hrabiego.

— Czy jasny pan się boi? — zapytał Kośt' Bulij.

Hrabia dumnie rzucił głową. I w takich chwilach i wobec takich ludzi nie mógł i nie chciał uchodzić za tchórza.

— Boję się tylko naruszyć otwarty zakaz nieboszczyka brata.

— W tym wypadku pójdziesz jasny pan za najgorętszą wolą i życzeniem brata.

Hrabia z impetem potarł się po czole.

— I kiedyż mam stanąć?

— Dziś!

— Zaraz?

— O północy.

— O północy, dlaczegoż o północy?! — wykrzyknął hrabia, a nowy jakiś mimowolny przeszedł go dreszcz.

— Taka była wola umierającego brata. Tylko w czerwonym pokoju, i o dwunastej w nocy mogę jasnemu panu odsłonić jego tajemnicę.

Hrabia znowu gwałtownie potarł czoło.

— Dobrze rzekł prędko — stanę dziś...

— Będę oczekiwał jaśnie pana w lipowej ulicy.

— Przybędę konno!

— Jasny pan przyrzeka mi to słowem swojem?

— Ręczę.

Kośt' Bulij skłonił się nisko.

— Bogu oddaję — rzekł z swym uroczystym naciskiem, i sztywnie i poważnie wyszedł z pokoju.

Hrabia z dreszczem obejrzał się dokoła, jak człowiek obudzony nagle z jakiegoś snu dziwnego.

## SCHADZKA WE DWORZE.

Prędzej niż się może spodziewała niejedna z pięknych czytelniczek, zbliżyliśmy się do rozwinięcia wypadków i zawikłań, które posłużyły za tło naszej powieści.

Za krótką chwilę rozsnują i wyświecą się wszystkie zagadki przed naszemi oczyma, zapowiedziana scena w czerwonym pokoju zaklętego dworu położy kres całemu działaniu.

Na zakręcie znanej nam ulicy lipowej Kośt' Bulij czeka już od półgodziny.

Po wczorajszej burzy i walce żywiołów noc dziwnie piękna, spokojna, niebo jasne i pogodne, księżyc otoczony rojem gwiazd dziennym prawie blaskiem opromienia ziemię, a najlżejszy wietrzyk nie porusza się w drzewach.

Stary kozak siedzi pod tą samą rozłożystą lipą, pod którą maziarz oczekiwał wczoraj Juljusza.

Srebrny blask księżyca opromienia go od stóp do głowy i nadaje olbrzymiej jego postaci coś więcej jeszcze fantastycznego, przerażającego, złowrogiego.

Gęste krzaczaste brwi głębiej zasunęły mu się na oczy, usta i zęby zacisnęły mu się silniej, a twarz przybrała jakiś nad miarę ponury i tajemniczy wyraz.

Snadź jakieś ciężkie myśli odzywają mu się w pamięci, bo czasami wstrzęsie głową śród głębokiej zadumy, a często zerknie z pod oka ku pustemu dworowi i coś niezrozumiale mruknie pod nosem.

Nagle podniósł się z ziemi i stanął oparty o lipę, a olbrzymia postać jego wydaje się niema potworną w półmroku księżycowego oświetlenia.

— Brat z bratem mruknął bez związku i potarł się po czole.

I zerknął znowu ku narożnym oknom zaklętego dworu, a potem pilne nadstawił ucho.

— Jedzie — poszepnął.

— Jedzie brat niegodny! — dodał półgłosem, a z oczu groźna strzeliła mu błyskawica.

Kośt' Bulij obok dawnych niechęci ku hrabiemu miał go jeszcze teraz za głównego i właściwego motora procesu przeciw testamentowi starościca.

— Skrzywdził brata za życia — mruknął dalej sam do siebie — a po śmierci targnął się na jego sławę, z chciwości chciał z niego zrobić warjata... ale...

Tymczasem tętent zbliżył się pod samą ulicę, a sam hrabia pojawił się na zakręcie.

Kość' zdjął kapelusz i postąpił naprzód.

Hrabia drgnął mimowolnie. Nagły widok olbrzymiej postaci starego kozaka mógł przestraszyć nawet i takiego, co z góry przygotowywał się na jego spotkanie.

— Sława Bogu! — odezwał się kozak.

Hrabia kiwnął głową.

— Przyjechałem! — mruknął.

— Śpieszmy, jasny panie — ozwał się Kość' skwapliwie i tak prędko puścił się zaraz w głąb ulicy, że hrabia tylko cwałem jadąc, mógł dotrzymać mu kroku.

Nareszcie stanęli u wielkiej bramy wjazdowej.

Kość' poskoczył śpiesznie i dobywając wielki żelazny klucz z zanadrza, z głośnym trzaskiem i skrzypem rozwarł obadwa skrzydła szerokiej bramy.

Hrabia milcząc wyjechał na dziedziniec.

Kość' z takim samym trzaskiem i łoskotem zawarł drzwi napowrót.

Hrabiego przeszło czegoś mrowie, od stóp do głowy. To przeraźliwe skrzypienie zardzewiałych zawiasów bramy miało w sobie wśród głuchej grobowej ciszy nocy, coś naprawdę strasznego i złowrogiego.

A jakby przebudzone nagłym tym trzaskiem i skrzypem ozwały się w tej samej chwili dzikim krzykiem sowy i puhacze w oficynach.

Hrabia był odważny z natury a wolny od wszelkich przesądów i zabobonów z wychowania, a przecież jakiś dziwny, niepojęty ogarnął go strach i jakoś ciężko zrobiło mu się na piersiach.

Kość' Bulij zbliżył się do konia i znienacka pochwycił go za uzdę.

Cóż to znaczy?! — krzyknął hrabia.

— Jasny pan zsiądzie...

— A cóż się z moim koniem stanie?

— Odprowadzę go do oficyn.

Hrabia skoczył na ziemię i rzucił cugle Kościowi.

Kość' Bulij poprowadził konia ku zawalonym napół oficynom.

Hrabia pozostał sam na dziedzińcu, a coraz silniej ogarniała go nowa jakaś nieświadoma, nieokreślona obawa i niespokojność. Zaczął sobie już wyrzucać, że ulegając pierwszemu

popędowi sam jeden o tej porze przybył na schadzkę, i radby się z całej duszy wymknął napowrót.

Obejrzał się dokoła, i znowu zimny przejął go dreszcz.

Przed nim jeżył się stary opuszczony dwór: okrążony rojami nietoperzy, opromieniony bladawym blaskiem księżyca, dziwnie jakąś straszną i fantastyczną miał w tej chwili postać.

Stada świerków darły się przeraźliwie po wszystkich stronach, sowy i puhacze wrzeszczały w przyległych oficynach, a wewnątrz dworu jakieś głuche, złowrogie rozlegało się echo.

Stare, rozłożyste lipy, modrzewie i jesiony, ciągnące się rzędem wokoło dziedzińca, rzucały przed siebie długie i potworne cienie, i jakby jakiemś kołem magicznem otoczyły cały przestronny dziedziniec.

Hrabia jakby dla nabrania otuchy i odwagi zaczął prędko przechadzać się wokoło.

— Pocóż tu właściwie przybyłem? — mruknął sam do siebie.

— Jakąż to tajemnicę ma mi zwierzyć Kośt' Bulij.

I przystanął na miejscu, a głowę w głębokiej zadumie pochylił na piersi.

Wpadł na ten sam tok myśli, jakim oddawał się przez całą drogę jadąc do Żwirowa.

Poznawał zupełnie jasno, że tak zwany dwór zaklęty jakaś dziwna i głęboka osłania tajemnica.

Lecz na czemże polegała ta tajemnica?

Po wczorajszej rozmowie z starym klucznikiem rozpamiętywał pilnie, o ile tajemnica ta mogła w czemkolwiek odnosić się do niego.

Jak już poznaliśmy mniej więcej, życie hrabiego i jego rodziny płynęło tak zwykłym i powszednim trybem, że chyba jakiś przypadek nieprzewidziany mógł je z jakiemkolwiek niezwyczajnem połączyć zdarzeniem.

Od pierwszego dzieciństwa nie mógł hrabia jak wiemy pogodzić się z swym bratem starszym. Główna tego wina ciężyła na jego matce, nieboszczce starościnie, która nie lubiła pasierba, a wszelkie pieszczoty zlewała na własnego jedynyka.

Pierwsze powstałe stąd zarody niechęci między oboma braćmi rozdmuchiwały się coraz gorzej z wzrostem w lata.

Starościc Mikołaj stronił od matki i przyrodniego brata, a trzymał się ciągle u boku obłąkanego ojca. Przeciwnie Żygmunt rzadko kiedy widywał ojca, nie odstępował nigdy boku matki.

Sprzeczność wychowania i temperamentu zrodziła w obudwu braciach rażącą sprzeczność charakterów, skłonności i wyobrażeń, a kiedy już obadwaj dojrzeli w młodzieńców, zaszła pewna gwałtowna katastrofa, która dotychczasową niechęć dziecinną zmieniła w zawziętą nienawiść.

Katastrofę tę znamy po części z opowiadania mandatarjusza, w pierwszych rozdziałach naszej powieści.

Ona to stanowiła jedyny cień w dotychczasowem życiu hrabiego, a jej wspomnienie dziwną i w tej chwili wywoływało w nim walkę.

Nie mógł zaprzeczyć, że starszy brat miał słuszny do niego żal, a przecież czuł się zupełnie niewinnym w własnem sumieniu.

— Mikołaj nie dał mi się nigdy wytłumaczyć! — szepnął w ciągu rozpamiętywań.

W samej rzeczy nieboszczyk starościc od owej katastrofy jakby nożem przeciął wszelkie stosunki z bratem.

Napróżno nawet po kilku latach ubiegłych hrabia Zygmunt kilkakrotnie zgłaszał się do niego. Uparty i niezłomny w swych postanowieniach starościc nie chciał ani słyszeć o żadnej ekskuzie, unikał najzawzięciej wszelkiego zetknięcia się z hrabią, a wszelkie jego listy pojednawcze odsyłał nieodpieczętowane.

A trzeba oddać tę sprawiedliwość hrabiemu, że niezrażony tysiącznemi zawodami, a nawet nowemi urazami, starał się wszelkiemi sposobami przebłagać gniew starszego brata i pragnął gorąco uniewinnić się z owego kroku, który stanowił główną przyczynę jego nieprzyjaźni i zawziętości.

Kiedy starościc po owej gwałtownej scenie z Mykitą Ołańczukiem popadł w tak ciężką chorobę, że już lekarze tracili nadzieję ocalenia go od śmierci, pośpieszył hrabia Zygmunt coprędzej odwiedzić brata, ale na sam jego widok wstrząsł się chory gwałtownie i z gniewu i z wzruszenia popadł w zupełną nieprzytomność.

Po takiem przyjęciu nie śmiał już hrabia po raz drugi pokazywać się w Żwirowie, wszakże codziennie zasięgał troskliwie wiadomości o stanie chorego.

W czasie tej choroby pojawił się w Żwirowie jak wiadomo ów kwestarz tajemniczy, który tak przeważny na umysł i usposobienie starościca potrafił wywrzeć wpływ.

Nagła i uderzająca zmiana w całej naturze nieboszczyka podsuwała nadzieję, że długoletnia nienawiść braci da się przemienić przynajmniej w powierzchowną zgodę i przyjaźń.

Hrabia i wtedy robił pierwszy krok i zdawało się nawet, że tym razem pomyślnym skutkiem uwieńczy się jego usiłowanie, kiedy tuż nagle jak grom z jasnego nieba spadło owo śledztwo surowe, przed którego następstwami starościć musiał uciekać za granicę.

I od tego czasu nie było już sposobności do wzajemnego zbliżenia.

Starościc przepędził czas niejakiś w Paryżu, w jawnych stosunkach z emigracją, a wezwany dziennikami do powrotu do kraju pod utratą praw austrjackiego obywatelstwa, chciał podobno wracać do ojczyzny, kiedy go wtem nagła w Dreznie zaskoczyła śmierć.

Hrabia jako jedyny bliski krewny, objął całą spuściznę, ale powrót Kościa Bulija z testamentem nieboszczyka, w niespodziewany sposób zmienił stan rzeczy.

Hrabia poznał stąd najlepiej, że nieboszczyk umarł nieprzejednany, że i na łożu śmierlelnem zachował do jedynego brata żal, żywiony i podsycany za życia.

Od czasu zaś powrotu Kościa Bulija zaczęły rozbiegać się owe dziwne wieści o duchach i strachach zaklętego dworu, a nie mogło już podlegać najmniejszej wątpliwości, że wszystkie pogłoski tego rodzaju opierały się na jakichś tajemniczych wypadkach rzeczywistych.

Pominąwszy tysiąc innych głośnych w okolicy wieści, zachował hrabia w pamięci samo opowiadanie Juljusza i wreszcie najnowszą kilkunastu świadkami stwierdzoną scenę przy pożarze chaty Kościa Bulija.

Jakaż tedy tajemnica ukrywała się w murach zaklętego dworu, a w czem i o ile łączyła się z nieboszczykiem bratem?

Nad tem zapytaniem namozolił się już hrabia niejednokrotnie, a obecnie mając przed oczyma cały opisany powyżej skład rzeczy i stosunków, zachodził w głowę, w czem tajemnica ta mogła odnosić się do niego samego, i z jakich powodów, przyczyn i widoków chciał mu ją dziś wyjawić Kość' Bulij, o którego niechęci ku sobie najpewniejsze oddawna miał przeświadczenie.

Śród takiego rozmyślania doczekał się powrotu Kościa Bulija.

— Pójdźmy, jasny panie — ozwał się uroczystym głosem stary kozak.

Hrabia wstrząsł się zlekka, ale przytłumiając prędko jakieś mimowolne wahanie, postąpił śmiało naprzód.

— Prowadź!

Kośt' Bulij w milczeniu skręcił wprost ku głównym drzwiom wchodowym.

Hrabia postępował za nim w głębokiem zamyśleniu.

— Przybyłem tu na zagadkowy list nieboszczyka brata — poszepnął w duchu — spełniam akt pietyzmu dla jego ostatniej woli.

Kośt' Bulij dobył tymczasem klucz z zanadrza i z głośnym trzaskiem rozwarł drzwi na ścieżaj.

— Proszę jaśnie pana — rzekł pokornym, ale uroczystym głosem.

Hrabia znowu zawahał się mimowolnie.

— Idź naprzód — rzekł nareszcie i zapiął wyżej surdut na piersiach, jak gdyby się obawiał, aby nie poznać gwałtowniejszego bicia serca.

Kośt' Bulij postąpił naprzód, a zaraz przy drzwiach schylił się i podniósł coś z ziemi.

— Co to? — zapytał hrabia prędko.

— Latarnia, jasny panie.

I jednocześnie z temi słowy błysnęła zapałka a za chwilę zatliła świeca w latarni.

Hrabia pustąpił naprzód, Kośt' Bulij cofnął się nagle w tył.

Niespodziewany ten ruch przestraszył naprawdę hrabiego. Odskoczył na bok jak oparzony i zapytał prędko z widocznem drżeniem głosu:

— Co to jest? co to znaczy?

— Zamknę drzwi, jasny panie — odparł kozak spokojnie.

I dobywszy klucz z odwrotnej strony z tym samym głośnym trzaskiem i łomotem zamknął drzwi na dwa spusty.

Hrabia znowu zadrgał gwałtownie.

Szczególna rzecz, nie lękał się żadnego wyraźnego niebezpieczeństwa dla siebie, a odważny z natury patrzyłby pewno bez drżenia w rurę wymierzonej ku swym piersiom krucicy albo na ruch zawisłej nad swą głową szabli, a przecież w tej chwili jakiś srogi, tajemny, nieokreślony przejmował go strach.

Mimo to pewnym krokiem wstąpił za klucznikiem na szerokie schody marmurowe, które urywając się co kilka stopni, prowadziły na pierwsze piętro pałacu.

Głuche, przerażające echo odzywało się za każdym krokiem nocnych wędrowców.

Hrabia drżał jak listek, ale już nie z samej tylko nieświadomej zgrozy.

Schody te wywoływały w nim liczne i rozrzewniające wspomnienia z lat dziecięcych. Ileż to razy schodził temi schodami z matką, boną lub guwernerem, a jak często odpierał surowe upomnienia, że dwa schody przeskakiwał naraz, chcąc dorównać Mikołajowi, dla którego pięć i sześć nie było wielką przeszkodą.

Raz był upadł przy podobnej próbie i do krwi skaleczył głowę, a ileż to potrzeba było pieszczot matki, aby uśmierzyć ból nieznośny.

Przeszło ośmnaście lat nie stąpił tu nogą, bo odwiedzając brata w czasie choroby, zwiedził tylko pół pałacu.

Stary kozak jakby odgadując stan duszy hrabiego, obrócił się nagle i przyświecając latarnią dokoła, rzekł z pewnym naciskiem:

— Czy jasny pan widzi dobrze?

— Widzę. Idź tylko śpieszniej!

Kośt' Bulij szybko postąpił naprzód, a niebawem stanął na górze.

Szeroki korytarz rozbiegał się stąd na dwie strony, a wprost schodom wspaniałe znajdowały się drzwi.

Kośt' Bulij nie dobywał już klucza, pocisnął tylko za klamkę, a drzwi rozwały się na ścieżaj.

Hrabia wzdrygnął się i odskoczył o krok.

Wiedział, że drzwi te prowadzą do czerwonego pokoju, o którym od lat dziecięcych nie mógł wspomnieć nigdy bez lekkiego drżenia.

W czerwonym pokoju uprzytomniał się zaraz obłąkany ojciec, jak chudy, wynędzniały cierpieniem a sztywny i nieruchomy jak mumja, siedział w swem krześle poręczowem, i głuchym, grobowym, jakby podziemnym głosem wołał nieustannie:

— Nie pozwalam! Protestuję!

Hrabia dzieckiem bardzo rzadko i to tylko w jakichś ważnych i uroczystych chwilach odwiedzał ojca w takim stanie. Nieboszczka starościna obawiała się owych jego chwilowych wybuchów gwałtowności, kiedy to jak wiemy dobywał karabeli i jak opętany rąbał w stół dębowy, mniemając, że mści zdradę Potockiego, Ponińskiego, Branickiego...

Kośt' Bulij zdawał się spostrzegać wzruszenie hrabiego, bo czasami zerknął z pod oka ku niemu, a lekki uśmiech złośliwy osiadł na ustach.

— Jesteśmy już na miejscu, jasny panie — ozwał się nareszcie uroczystym głosem.

I przechodząc ów wielki, skórzanemi ławkami dokoła otoczony przedpokój, który znamy z wyprawy Katyliny, rozwarł na ścieżaj drzwi od czerwonej sali portretowej.

— Zaraz zapalę świecę, jasny panie — rzekł i latarkę postawił na ziemi, a sam postąpił ku znanemu nam mahoniowemu biuru i pozapalawszy woskowe świece w obudwu dwuramiennych kandelabrach, postawił je na szerokim stole dębowym w pośrodku sali.

Blask świec nie oświetlał jasno całej przestrzeni.

Dalsze rzędy portretów rodzinnych wyglądały jak w mgle a ustawione po kątach zbroje i trofea wojenne przybierały w cieniu jakieś potworne, fantastyczne postacie.

Hrabia czuł, że mu serce bije gwałtownie, i jakieś zimne mrowie przechodziło go czasami od stóp do głowy. Znajdował się o północy w opuszczonej sali swych przodków w towarzystwie człowieka, który w całej swej postaci, w każdym ruchu i spojrzeniu miał coś naprawdę przerażającego.

Kośt' Bulij odkąd wstąpił do czerwonego pokoju, wydawał się jeszcze surowszym i uroczystszym nawet niż przed chwilą. Twarz jego przybrała jakiś dziwny, niepodobny do opisania wyraz. Stanął nagle na miejscu jak wryty i skrzyżowawszy ręce na piersiach, wlepił wzrok nieruchomy w jeden kąt sali.

Hrabia powiódł oczy po ścianach obwieszonych portretami, a mimo tajemnej zgrozy, jaka nim wstrząsała, wyprostował się nagle w całej postawie, a nawet uśmiech szczęścia i dumy rozjaśnił mu twarz zmieszaną.

Widok tylu sławą okrytych przodków zdawał się niespodziewaną napawać go odwagą i otuchą, bo zapominając nagle o swej obawie nieświadomej, pochwycił za jeden lichtarz dwuramienny, i postępując szybko ku ścianie, zaczął roziskrzonem okiem przypatrywać się rysom i postaciom swych szczytnych antenatów.

Kośt' Bulij stał ciągle niemy i nieruchowy na jednem miejscu i dopiero po chwili obejrzał się za swym towarzyszem i z szczególniejszym wyrazem śledził każde jego poruszenie.

Hrabia prędko przechodził od portretu do portretu. Minął już cały rząd karmazynów, wojewodów, kasztelanów, starostów, aż nagle stanął przed portretem ojca.

Na obrazie nie był to ów starzec siwowłosy z długą, siwą, w nieładzie rozwianą brodą, z owem smętnem obłąkanem okiem, wybladły i zbolały na twarzy, jak go sobie przypominał hrabia z swych lat młodocianych.

Nieszczęścia ojczyzny zamąciwszy mu rozum złamały zarazem i jego siły fizyczne.

Malarz przedstawił go na płótnie w pełni siły męskiej, z czołem dumnem, okiem żywem i iskrzącem.

Byłto możny jeszcze starosta, zwolennik konfederacji barskiej, nie rozpaczający o ocaleniu ojczyzny, niezłamany okrutnym zawodem i zwątpieniem.

Hrabia kilka chwil wpatrywał się w wydatne i szlachetne rysy ojca, a pierś wzdymała mu się coraz gwałtowniej.

Nagle postąpił o krok dalej i zatrzymał się przed wizerunkiem brata.

Wstrząsł się zlekka i z przytłumionem westchnieniem pokiwał głową.

Z oczu Kościa Bulija strzeliła błyskawica.

Wyprężył się w całej postawie, brwi zasunął głęboko na oczy, a pozostawiając jedną rękę na piersiach, drugą podniósł w górę i przemówił głuchym a uroczystym głosem:

— Przypatrzcie mu się dobrze, jasny panie, bo to portret brata, którego skrzywdziliście za życia i chcecie skrzywdzić po śmierci.

Hrabia odskoczył jak opętany, a nie przygotowany na tak nagłe i osobliwsze zagadnienie, omal lichtarza nie opuścił z przestrachu.

— Co mówisz? — wykrzyknął.

Kośt' Bulij w tej samej groźnej i uroczystej postawie postąpił o krok naprzód.

— Mówię, jasny panie — ciągnął dalej z szczególnym naciskiem — że dość cierpienia sprawiliście nieboszczykowi panu mojemu za życia, moglibyście dać mu już święty spokój po śmierci.

Hrabia rzucił się gwałtownie.

— Co to znaczy? — Nie rozumiem! — zawołał i wypatrzył się na starego kozaka osłupiałemi pod pierwszem wrażeniem oczyma.

Kośt' Bulij ze złością zacisnął zęby.

— Może nieprawda? — szepnął.

Blada dotąd twarz hrabiego nabiegła nagle rumieńcem gniewu i oburzenia.

— Mój przyjacielu... — ozwał się podnosząc głos.

Kośt' Bulij zaśmiał się półgłośno.

— Nieprzyjemne wam to wspomnienie, jasny panie! Wierzę.

Dotknięty w swej dumie magnat odzyskał swą zwykłą pewność i groźny i surowy wyprężył się w całej postawie.

— Cóż to sobie myślisz, łotrze! — krzyknął głośniej i postąpił o krok naprzód.

Stary kozak stał nieporuszony na miejscu, a oczy zamigotały mu jeszcze groźniejszym niż dotychczas blaskiem.

— Zwolna, zwolna, jasny panie — ozwał się z uroczystym naciskiem. — Powstrzymajcie wasz gniew aż na koniec, kiedy posłyszycie całą prawdę.

Hrabia drgnął gwałtownie na złowrogi wyraz, jaki w tej chwili malował się w oczach i twarzy kozaka, ale prędko opamiętał się nanowo, i jeszcze o krok postąpił naprzód.

— Więc to w zasadzkę mię złapałeś, stary drabie? — ozwał się prędko.

Kośt' Bulij znowu w dziwny uśmiechnął się sposób.

— Ha! — mruknął szyderczo — jasny pan stawisz zasadzki na cudze majątki, a przysłowie mówi: Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.

To już było za wiele dla dumnego, niesłusznie dotkniętego magnata. Trupia bladość okryła twarz jego, a gniew i oburzenie wstrzęsły nim całym do głębi.

— Łotrze! — krzyknął i zrobił gest, jakby chciał rzucić się na przeciwnika.

Kośt' Bulij zaśmiał się z dziką złością.

— Ha, nie miło wam to słuchać, jasny panie, a przecież to wszystko prawda, święta prawda!

— Nie ukrzywdziliście starszego brata za życia? — ciągnął dalej z coraz większą gwałtownością — a teraz nie dybiecie na majątek, który przekazał komu innemu, nie chcecież z podłej chciwości poddać go po śmierci na pośmiewisko świata, nie mienicież go warjatem i półgłówkiem?...

Hrabia trząsł się ja we febrze z gniewu, a usta drgały mu konwulsyjnie.

— Milcz! — krzyknął, jakby napół nieprzytomny z oburzenia.

Stary kozak z szyderstwem i lekceważeniem wstrząsł głową.

— Ale pomyliliście się, pomylili, jasny panie! — ozwał się nanowo, nie zmieniając tonu.

Hrabia zgrzytnął zębami i ręką sięgnął do kieszeni surduta.

Kośt' Bulij ciągnął dalej niezrażony:

— Chcieliście podać na pośmiewisko imię swego starszego brata, a tymczasem hańba spadnie na wasze własne.

Hrabia tupnął nogą i wydając głośny wykrzyk poskoczył o dwa kroki naprzód.

Kośt' Bulij mimowolnie cofnął się wtył i wyciągając rękę, zawołał groźnie:

— Jasny panie!

W ręku hrabiego łyskała lufa pistoletu.

— Nędzniku! myślałeś, że mię bezbronnego złowisz w zasadzkę! — zawołał i naprzód wyciągnął lufę pistoletu.

Kośt' Bulij skrzyżował ręce na piersiach i w dziki wybuchł śmiech.

Hrabia cały drżący zamilkł i przystanął jak wryty na miejscu.

Śmiech ten miał w sobie coś niesłychanie przerażającego, prawie nieludzkiego.

— Źleście się zabezpieczyli, jasny panie — ozwał się kozak z szyderczym naciskiem — macie kulę na żywych, ale co zostanie na umarłych?

To słowo *umarłych* wymówił stary kozak z tak dziwnym naciskiem, że wszystkie włosy najeżyły się na głowie hrabiego.

Kośt' Bulij jakby dla większego wrażenia zrobił krótką pauzę, a potem rękę podniósł do góry i cedził powoli i uroczyście:

— Jasny panie! czasami i nieboszczyki powstają z grobu!

W tej samej chwili jakby jakiś dzwon zagrobowy zaczął głucho i złowrogo bić stary zegar, umieszczony w jednym kącie sali.

— Dwunasta! — mruknął stary kozak ze znaczeniem.

A tuż w temże mgnieniu oka jakiś dziwny rozległ się łoskot... z głuchym chrzęstem zatrzęsły się zbroje i trofea wojenne w jednym rogu pokoju... a nagły prąd wiatru wionął po komnacie... i gasząc trzy świece na stole, czwartym pozostałym płomykiem zachwiał na wszystkie strony...

Hrabia obrócił się mimowolnie i nagle wykrzyk piekielnej zgrozy wyrwał się z jego piersi.

Opuścił pistolet i zataczając się w tył padł bezsilnie na pobliski fotel...

Stary kozak przeraźliwym wybuchł śmiechem...

## REDIVIVUS!

W przeciwnej ścianie z trzaskiem ukryte rozwarły się drzwi, a w progu jakaś ludzka pojawiła się postać.

— Mikołaj! — wyszepnął napół nieżywy hrabia głosem bez wyrazu i dźwięku.

— Nieboszczyk! — wykrzyknął stary kozak z triumfem i radością.

W samej rzeczy rzucić tylko okiem na wiszący na ścianie portret, i stojącą we drzwiach postać, a nie można się łudzić ani chwili.

Byłto starościc zmartwychwstały albo jego z drugiego świata zaklęty cień.

Stał nieruchomy jak posąg na miejscu, tylko oczy dziwnym jakimś blaskiem gorzały mu w głębokich jamach.

A po tych iskrzących się oczach, po tem czole wyniosłem i wypukłem, po tym nosie szeroko rozwartym u spodu, i pięknie rozkrojonych a silnie zaciśniętych ustach, poznajemy przy bliższem rozpatrzeniu się tajemniczą figurę, co w przebraniu maziarza tak wielki i ważny wpływ wywierała na tok i rozwój naszej powieści.

Teraz dopiero znajdujemy wyjaśnienie, dlaczego wzdłuż i wszerz uwielbiany przez chłopów i mieszczan kum Dmytro, występował zawsze osmarowany mazią na twarzy, dlaczego kręcąc się po całej okolicy z umysłu zdawał się omijać wszystkie wsie żwirówskiego klucza, i dlaczego stawiony przed mandatarjuszem dla lekkiego zadraśnięcia całą twarz owinął chustką.

Wyświeca nam się zarazem i owe nieograniczone przywiązanie, owa uległość bezwarunkowa, owa cześć bałwochwalcza, jaką wszędzie i zawsze objawiał mu Kośt' Bulij.

Ale hrabia nie widziawszy nigdy maziarza a przekonany święcie o zgonie brata, wziął nagle jego pojawienie się za jakiś cień ułudny, za widmo upiora z drugiego świata, i skamieniały z przestrachu i zgrozy, napół obłąkanemi oczyma wpatrzył się w postać złowrogą.

Starościc chwilę jeszcze stał w progu nieruchomy jak z głazu, nagle postąpił o krok naprzód i przemówił cichym i uroczystym, a zarazem surowym i szorstkim głosem:

— Bracie! Zygmuncie!

Hrabia w zabobonnym przestrachu wyciągnął obie ręce przed siebie.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — wybąknął złamany zupełnie na duchu.

Na ustach starościca mignął uśmiech.

— Uspokój się, bracie, ja żyję — przemówił spokojnie i stanowczo.

— Żyjesz?! — wybełkotał hrabia, a w oczach jego malowała się niepewność i nieprzytomność.

W jednej chwili zdało mu się nagle, że go jakaś senna trapi mara.

I rzucił się gwałtownie w fotelu, a oboma rękami potarł oczy.

Starościc tymczasem powolnym krokiem zbliżył się ku niemu i zwolna położył mu rękę na ramieniu.

Hrabia drgnął i poskoczył w górę.

W piekielnym popłochu chciał wołać ratunku i szukać pomocy. Obejrzał się skwapliwie, a w drugim kącie sali jeżyła się tylko olbrzymia postać Kośtia Bulija, i iskrzyły się z pod gęstych brwi jego ponure, złowieszcze oczy.

Hrabia z dziką zgrozą powalił się bezsilny napowrót na fotel, a zdało mu się w pierwszym momencie, że rozum zaczyna mu się plątać pod wpływem tak okropnego wrażenia.

Starościc jeszcze raz rękę położył mu na ramieniu, a w twarzy jego zacierał się powoli wyraz surowy, groźny i zagniewany, z jakim pojawił się w sali.

— Ja żyję, bracie — powtórzył o wiele łagodniej.

— Ty... t... ty... żyjesz? — wyjąkał hrabia.

— Czyż jeszcze nie wierzysz... dotknij się mej ręki!

Hrabia z szeroko rozwartemi oczyma patrzył ciągle jeszcze napół nieprzytomny w mniemane widmo zagrobowe.

— Żyjesz! Nie umarłeś! — wykrzyknął nareszcie, jakby powoli przychodząc do siebie i pojmując stopniowo cały stan rzeczy.

— Uspokójże się! — przemówił znowu starościc.

— Żyjesz! żyjesz! i to ty, ty Mikołaju! — powtórzył hrabia znowu.

— Ja, twój jedyny brat, Zygmuncie.

— A twoja śmierć?

— Udana.

— A zwłoki pochowane w grobowcu?

— Nie moje.

— Nie twoje?!

— Pochowaliście ciało Oleksy Pańczaka.

— Twego drugiego kozaka. I ty żyjesz i wracasz?

Starościc z uśmiechem wstrząsł głową.

— Czy wracam do dawnego życia, pytasz? — ozwał się

po krótkiej pauzie. — Niestety umarłem już dla świata i dla samego siebie.

— Ale żyjesz? — zapytał hrabia z naiwnym pospiechem.

— Żyję dla wielkiej i szlachetnej idei — odparł starościc, a w oczach dziwny łysnął mu żar.

Hrabia obiema rękami chwycił się za głowę.

— Nie wiem doprawdy, czy śnię czy czuwam. Jesteś dla mnie zagadką nierozwiązaną!

Starościc nagle ściągnął brwi, a twarz jego przybrała pierwotny surowy i ponury wyraz.

— Kazałem cię tu ściągnąć, bracie — ozwał się po chwili — aby z tobą pomówić obszernie.

— O, ja dawno tego pragnąłem! — ozwał się hrabia.

Na czoło starościca liczne nabiegły chmury.

— Kośt' już przygotował cię po swojemu na treść naszej rozmowy.

— Jakto? — zawołał hrabia żywo. — Zarzuty, które mi śmiał robić w tej chwili...

— Są zarazem i moje.

— Twoje, mówisz!

Starościc wyprostował się chmurny i ponury.

— Pomówimy otwarcie, mój bracie — rzekł i nagle chwytając za najbliższy fotel, usiadł w pobliżu.

— Pomówimy poraz pierwszy od lat ośmnastu — dodał po chwili.

— Słucham cię, Mikołaju — ozwał się hrabia, a w głosie jego przebijało się silne wzruszenie.

Starościc zwiesił głowę na piersi, i milczał czas niejakiś...

— Odkrywając ci na wstępie tajemnicę mojej śmierci — przemówił naraz — dałem ci najlepszy dowód mego zaufania. Na myśl, że w jakiemś zaślepieniu złości i nienawiści podnoszę w tej chwili przeciw tobie głos zaskarżenia wobec wizerunków naszych przodków i wobec żywej tu jeszcze pamięci naszego ojca wspólnego.

Hrabia spuścił oczy ku ziemi i schmurzył czoło.

— Ależ jednocześnie pozwolisz mi się raz uniewinnić przed sobą — przemówił z naciskiem.

Na ustach starościca gorzki zaigrał uśmiech.

— Uniewinnić — szepnął i umilkł.

Hrabia Zygmunt szybko zabrał głos.

— Nie chcę i nie myślę wszelkiej zrzucać z siebie winy,

Lecz pewno nie zasłużyłem sobie na tak zawzięty gniew z twej strony...

Znowu gorzki uśmiech zaigrał na ustach starościca, a Kość Bulij, co stał od początku sceny między oboma braćmi, usunął się w przeciwny kąt sali i westchnął głośno i żałośnie.

— Zacznijmy się tedy tłumaczyć — ozwał się starościc.

— Słucham twego zaskarżenia, Mikołaju.

Twarz starościca przybrała smętny i ponury wyraz.

— Przebaczysz mi, Zygmuncie — rzekł cokolwiek chwiejnym głosem — że dla związku rzeczy nie będę oszczędzał i innej drogiej ci osoby.

— Mojej matki! — wykrzyknął hrabia żywo.

— Mojej macochy — wyszepnął starościc i głowę pochylił na piersi.

Hrabiemu wszystka krew wezbrała do głowy.

— Ona już od dziesięciu lat spoczywa w grobie — poszepnął i głos jego drżał silnie.

— I od dziesięciu lat jej przebaczyłem, a i teraz nie myślę ubliżać jej pamięci. Bez żalu i niewczesnego wyrzutu wspomnę tylko, co ominąć niepodobna.

— Słucham cię — rzekł hrabia z zupełną determinacją.

Starościc potarł ręką po czole i w zamyśleniu wstrząsł głową.

— Nie potrzebuję ci przypominać mych lat dziecięcych — ozwał się po niejakiej pauzie. — Wiesz, że niemowlęciem straciłem matkę, a zaraz w rok otrzymałem macochę. Nie wiem, z jakich nieszczęsnych poszlak i skazówek zakroiłem w oczach ludzkich zaraz w pierwszym dzieciństwie na zupełnego idjotę, na stworzenie z urodzenia upośledzone na umyśle.

— Tak się zdawało wszystkim — poderwał hrabia, chcąc stanąć zaraz w obronie matki.

— I dlatego też nikt nie uznał godnem, zająć się szczerze moim umysłem. Jak bydlę pozostawiono mię na sam wpływ ślepych instynktów — prawił dalej z cierpką goryczą.

— Mikołaju! Mikołaju! — przerwał łagodząc hrabia.

Starościc nie zważając na to ciągnął dalej:

— Ojciec mój podlegał już wówczas chwilowym napadom nieprzytomności, która się niebawem w zupełne zmieniła obłąkanie, inni nie czuli obowiązku rozwijać umysł idjoty, upośledzonego niedołęgi, i tak wzrosłem w lata, umiejąc zaledwie czytać i pisać, ciemny i nieokrzesany, dziki i gwałtowny, odpy-

chany, upośledzony od wszystkich, a mianowicie od ciebie, mój bracie.

— Mikołaju! — przerwał nanowo hrabia z przykrem wzruszeniem.

Starościc wstrząsł głową.

— Jeszczeż póki bawiła we dworze poczciwa Tączewska, była przecież jakaś dusza na świecie, która się zajmowała mną i umysłem moim, ale kiedy ona opuściła dwór, zostałem i ja zupełnie opuszczony.

— Ależ zmiłuj się, miałeś wspólnych ze mną guwernerów — wtrącił hrabia.

— Lecz ci z góry poczytywali mię za nieuka i idjotę a tem samem drażnili do najwyższego moją dumę i mój upór. Z umysłu, na złość im odrzucałem od siebie wszelką naukę. Odpychany od wszystkich, odpychałem wszystkich od siebie; brzydki, niezgrabny, dziki, głupkowaty Mikołaj nie znachodził nigdzie milszego schronienia jak w czerwonym pokoju u boku ojca, który z namiętnej miłości ojczyzny postradał rozum i zdrowie.

Tu głębokie wzruszenie wybiło się na jego twarzy, a dwie łzy łysnęły mu w oczach.

— A ten ojciec w swem obłąkaniu nauczył mię więcej, niż ciebie wszyscy twoi guwernerowie w swych rozumach... . .

. . . . . .

. . . . . .

I urwał nagle i ręką gwałtownie potarł po czole.

— Ale nie... nie o tem mi teraz mówić — zaczął na nowo: — W owym to czasie ciemny, dziki, namiętny, poznałem po raz pierwszy uczucie, o którem poprzednio nie miałem ani wyobrażenia.

— Kseńka — szepnął hrabia i mimowolnie głowę pochylił na piersi.

— Kseńka — powtórzył starościc z silnym naciskiem. — Tak, o niej mam mówić, Zygmuncie, ja kochałem ją szczerze.

— Prostą dziewkę! — szepnął Zygmunt, nie podnosząc głowy.

Starościc dziwnym wybuchł śmiechem.

— Prostą dziewkę, mówisz — zawołał zapalając się. — A nie pomnisz, że czem ja byłem wówczas w mojem zaniedbaniu i opuszczeniu, czemże to różniłem się od niej, w czem ją przewyższałem?... Byłem jej zupełnie równy pojęciem i umy-

słem, a instynktem jakóś nie wierzyłem nigdy w przywileje urodzenia!

Umilkł znowu i bystro wpatrzył się w twarz brata, który siedział ciągle nieruchomy z pochyloną na piersi głową.

— Zygmuncie! — ozwał się nareszcie starościc dziwnie przenikającym głosem — czy wiedziałeś, jaką mi sprawiłeś boleść, na jak srogą narażałeś mię walkę uczuć?...

Zygmunt wstrząsł się cały i podnosząc głowę, zabierał głos z gorączkową skwapliwością.

— Ale dlaczegoż, bracie, nie pozwoliłeś się mi nigdy uniewinnić z tego kroku, dlaczegoż odtąd nie chciałeś nigdy usłyszeć ani jednego słowa z ust moich?

Starościc uśmiechnął się z goryczą.

Hrabia szybko ciągnął dalej:

— Zaślepiłeś się w prostej dziewce do szaleństwa, do zupełnego zapomnienia się, odrzuciłeś ze wzgardą wszelkie przedstawienia, wszelkie rady i upomnienia... Nie było innego środka uleczenia cię od silnej warjacji.

Starościc gwałtownie ściągnął brwi, a z oczu groźna strzeliła mu błyskawica.

Podniósł się cokolwiek z siedzenia i ozwał się szorstkim i surowym głosem:

— Więc i przed własnem sumieniem osłaniasz się maską faryzeuszowskiej obłudy. Aby mię uleczyć od urojonego szaleństwa, chciałeś mię przyprawić o rzeczywiste. Narzucając się na sędziego mych losów zrobiłeś się zarazem siepakiem i wykonawcą swych własnych wyroków, godząc we mnie ciosem zdradzieckim, obłudnym i nikczemnym, mniemałeś mi wyświadczyć dobrodziejstwo! Czyn podły i haniebny chcesz liczyć za zasługę!!...

— Mikołaju! bracie — ozwał się hrabia drżącym głosem i blady jak trup podniósł się także na pół z swego siedzenia.

Starościc z goryczą wykrzywił usta.

— I nietylko że skaziłeś, skalałeś, oplułeś, zdeptałeś nogami najwyższe, najszlachetniejsze uczucie, do jakiego mogłem się wznieść w owym czasie, ale... — dodał i zgrzytnął zębami.

— Ale... wyszepnął hrabia mechanicznie.

— Kazałeś mojej córce na wieki wstydzić się swej matki!

— Twej córce! — wybełkotał hrabia przerażony.

— A czemże była owa Jadzia, którą do posagu matki dodałeś owemu kowalowi Niemcowi na Podgórzu?

— Jakto? ty... ty... wiesz, co zrobiłem z Kseńką? — wybełkotał hrabia w najwyższem pomieszaniu.

— Wydałeś ją po niewczasie za mąż za kowala na Podgórzu i w jego i jej ręku zostawiłeś jedyne dziecię moje, córkę moją...

— Lecz ty ją znalazłeś!? — podchwycił hrabia prędko.

— Znalazłem! Znalazłem na twoje nieszczęście...

— Na moje nieszczęście? — powtórzył hrabia osłupiały.

Starosta znowu usta wykrzywił z goryczą.

— Możesz teraz śmiało ojca jej ogłosić warjatem, szaleńcem... Umarły dla świata, umarły dla siebie samego, nie podniesie on głosu na swoją obronę... Ale kiedy chciwą rękę wyciągniesz po jego, komu innemu przekazany majątek, wtedy wystąpi ona, córka potajemnie, ale prawnie uznana i adoptowana, i jednem słowem udaremni twoje niegodne trudy i zabiegi!

Hrabia wyprostował się w całej postaci, a żal i boleść malowała się w jego twarzy.

— Bracie! — zawołał rozrzewnionym głosem, zakrywając twarz rękoma. — Nie zasłużyłem na ten ostatni zarzut!

Starościć wstrząsł się zlekka, jakby mu się nagle żal zrobiło brata.

— Więc Żachlewicz na własną działa rękę? — zapytał skwapliwie.

Hrabia chwilkę milczał, jakby chciał przytłumić naprzód swe gwałtowne wzruszenie.

— Prawda — rzekł naraz z skruchą i wylaniem — zawiniłem wobec ciebie w latach młodzieńczej lekkomyślności i nierozwagi, ale czyż mię zaraz mniemasz zdolnym, do jednego niegodnego uczynku przyłączyć i drugi? O nie, nigdy, przenigdy! — zawołał i wzdrygnął się z odrazy.

I po krótkiej chwili obopólnego milczenia, zabrał głos na nowo i wyspowiadał szczerze i otwarcie, jak dla przesadnych i ułudnych widoków ambicji dał się obcej namowie nakłonić do nieszczęsnego procesu, którego żadnemi dwuznacznemi nie myślał popierać środkami, a którego skutek pomyślny chciał okupić ręką swej córki jedynej.

Starościc drgnął na to ostatnie zeznanie.

— Przeznaczyłeś ją Juljuszowi? — zapytał z dziwną skwapliwością.

— Dopiero po takiem postanowieniu dałem się uwieść niecnym namowom przeniewierczego oficjalisty.

— Alboż Juljusz kocha twoją córkę?

— Tak mi się zdaje, czyli raczej tak mi się zdawało w początkach poznania.

Starościc odetchnął.

— A twoja córka? — zapytał po chwili.

— Eugenja jest bardzo dobrze wychowaną — odpowiedział prędko hrabia z znaczącym przyciskiem.

Starościc machnął ręką z ironicznym uśmiechem.

— To jeszcze nadzieja nie stracona! — mruknął.

I nagle krótką chwilę wypatrzył się w niemem milczeniu na wzruszoną twarz brata i cofając się o krok w tył, wstrząsł głową jakby chciał jakieś gwałtowne przytłumić rozrzewnienie.

— Bracie! — zawołał nagle i rozwarł szeroko ramionama. — Zapomnijmy, co było.

— Mikołaju! — wykrzyknął hrabia ze łzami w oczach i rzucił się w objęcia brata. . . . . .

. . . . . .

I długą chwilę trzymali się obaj bracia w czułym, serdecznym uścisku. Po raz pierwszy uderzyły ich serca rodzeńskiem ku sobie uczuciem, a sprzeczne dusze w bratniem zetknęły się porozumieniemiu.

— Zygmuncie!

— Mikołaju! — wykrzyknęli obadwaj jednocześnie, i nowym serdecznym zespolili się uściskiem.

A stary kozak, co dotąd zimny i obojętny na pozór stał na uboczu, zaczął nagle oboma rękami ocierać zwilżone oczy, a przyskakując ku obudwom pojednanym braciom, w rozrzewnieniu ściskał ich kolana.

— Sława Bogu! sława! — szeptał z głębokiem nabożeństwem.

A podnosząc oczy ku hrabiemu, ozwał się drżącym z wruszenia głosem:

— Przebaczcie mi, jasny panie, za surowo was sądziłem!

A w tej chwili jakby anioł zesłany z nieba na utwierdzenie bratniej zgody, jakby genjusz opiekuńczy szlachetnej rodziny, pojawiła się we drzwiach ukrytych niebiańska postac Jadzi.

— Moja córka! — wykrzyknął starościc.

— Jadzia! — zawołał hrabia i wyciągnął ku niej ramiona.

Jadzia była strasznie blada i jakby cierpiąca. Ubrana w bieli jedną rączkę trzymała owiniętą na szarfie jedwabnej.

— Mój ojcze! — wykrzyknęła swym dźwięcznym, anielskim głosem i postąpiła naprzód.

Starościc pochwycił ją za wolną rękę.

— Twój stryj, Jadziu! — zawołał stawiąc ją przed bratem.

Hrabia z uczuciem przycisnął młodą dziewczynę do swych piersi.

— O nie, nietylko stryj — zawołał silnym głosem — Mikołaju! ja cię już pojąłem, odgadłem przyczynę twej śmierci udanej, i twego obecnego przebrania! Żyj bez troski... ja będę opiekunem, ojcem twej córki...

I znowu powtórzył się serdeczny uścisk obudwu braci.

A nie spostrzegli nawet w swem wzruszeniu i zajęciu, że przed chwilą głośny na dworze rozległ się świst, a ‚Kość' Bulij szybko wybiegł z pokoju.

Jadzia nie znająca całej tajemnicy ojca, wypatrzyła się zdziwionemj i prawie przestraszonemi oczyma w jego twarz rozrzewnioną.

Kilka słów wyświeciło jej cały stosunek.

— Ja to sam jestem owym mniemanym nieboszczykiem starościcem, o którym niejednokrotnie słyszałaś! — zawołał ojciec, a stryj uzupełnił resztę.

— Ale ten pożar! wasze ocalenie! — wykrzyknął nagle hrabia, przypominając sobie całe to dziwne zdarzenie.

Starościc spoważniał na samo wspomnienie tej chwili.

— Cudem tylko uszliśmy śmierci — przemówił i oczy wzniósł ku niebu. — Omylony bezzasadnem podejrzeniem zapóźno przybyłem na miejsce pożaru. Cały dom już prawie dogorywał, ale jakaś dziwna i cudowna opieka boska czuwała nad córką moją. Pozbawiona przytomności leżała na ziemi całkiem nieuszkodzona. Rozpacz nadała mi jakiejś nadziemskiej, herkulicznej siły i energji. Wpadłszy w pośród płomieni wyrzuciłem jedną ręką przez okno upadającego bez ducha Katylinę, a drugą uniosłem szczęśliwie Jadwigę...

— Uniosłeś gdzie, którędy? — poderwał hrabia prędko i ciekawie.

Na ustach starościca lekki zaigrał uśmiech.

— Przypominasz sobie zapewne — rzekł — że pod dawniejszem mieszkaniem ogrodnika znajdowała się obszerna piwnica, przeznaczona na przechowywanie korzonków i cebulek kwiatów.

— Prawda, prawda, — zawołał hrabia żywo.

Starościc z uśmiechem ciągnął dalej:

— Kość' Bulij zajmując mieszkanie ogrodnika, w pierwszej izbie chaty w kącie pod szerokiem przypieckiem sporządził no-

we drzwi do środka, a nadto ukrytym w krzakach wyłomem połączył piwnicę z ogrodem.

— A na cóż to?—zapytał hrabia mimowolnie.

Starościc uśmiechnął się ze znaczeniem.

— W chacie Kośtia Bulija — ciągnął cokolwiek zniżając głos — odbywałem . . . . . Lękając się zdrady i nagłego obskoczenia, przygotowaliśmy sobie drogę do ucieczki.

— Ah! — wykrzyknął hrabia i uderzył się w czoło. — Tędy uciekliście!

— Na nieopisaną zgrozę chłopów i Girgilewicza—dorzucił starościc wesoło.

Hrabia w nagłem zamyśleniu pokiwał głową.

— Pojmuję teraz wszystkie straszne wieści o zaklętym dworze.

Starościc uśmiechnął się smutno.

— Niestety dziś już nie ubezpieczają mnie one jak dawniej... Pojawienie się wobec tylu świadków przy pożarze ściągnie zapewne komisję, śledztwo, poszukiwania... Jeszcze tej nocy muszę uchodzić z tych okolic.

— Na zawsze? — zapytała Jadzia z lekkiem drżeniem.

Na ustach starościca smętny zaigrał uśmiech.

— Moje dziecię — poszepnął — umarli nie należą do siebie i nie znają żadnych węzłów i względów ziemskich.

— Nie rozumiem cię, ojcze — wybąknęła strwożona dziewczyna.

Starościc wyprostował się w całej postawie, twarz jego przybrała dziwnie smętny i uroczysty wyraz, oczy osobliwszym migotały blaskiem.

— Powiedziałem wam już, kochani — ozwał się po chwili z silnym naciskiem — że umarłem dla świata, dla siebie samego, dla was, i dla wszystkich, co mię znali. Starościc Mikołaj Żwirski nie żyje! Lepsza część jego istoty, jego duszy i natury, odrodziła się do nowego bytu poświęconego, oddanego. . . . . jednej wyłącznie myśli. Na grobie starościca wziął namaszczenie swoje kum Dmytro.

. . . . . .

. . . . . .

Uroczyste słowa starościca, przerwał nagle głośny wykrzyk.

Przed chwilą już stanął w progu niepostrzeżony Juljusz

wraz z Kośtiam Bulijem, który jak wiadomo na posłyszany świst na dworze wyszedł z pokoju.

Wszystkich oczy zwróciły się ku nim.

Jadzia zadrżała jak listek, a na bladej jej twarzy żywy rozlał się pąs.

Juljusz stał jak wryty na miejscu.

— Nieboszczyk starościc! — mruknął przerażony.

Starościc poskoczył ku niemu i chwytając go za rękę, zawołał jakby dalej kontynuując zaczętą przemowę.

— Tak, nieboszczyk! nieboszczyk w całem pojęciu tego wyrazu! Starościc Żwirski przyszedł do przekonania za życia, że cała i jedyna nadzieja naszego odrodzenia leży w pojednaniu i solidarności z ludem. Ale, by ten lud spólną natchnąć myślą, ku jednej porwać zasadzie, jednemi przejąć celami, nie można przemawiać do niego z stanowiska, które winą wieków upłynionych budzi w nim tylko niechęć i nieufność. Chcąc pożądany na lud wywrzeć wpływ, potrzeba zniżyć się do niego, przyswoić sobie jego obyczaje i wyobrażenia, i przemawiać do jego serca jego własnym językiem. Oddany z duszą i z ciałem idei odrodzenia, starościc Żwirski chciał własnym przykładem stwierdzić swe przekonanie. Umarł zupełnie w dawnej postaci i istocie, a odżył w nowej, użyteczniejszei. . . . . Zapomnijcie wszyscy o starościcu Żwirskiem, a zachowajcie tylko pamięć i przywiązanie dla kuma Dmytra, który opuści was niebawem, ale stanie w waszem gronie. . . . . .

Wszyscy w niemem milczeniu otoczyli maziarza i z wyrazem bałwochwalczego podziwu wpatrywali się w jego twarz, opromienioną blaskiem wyższego natchnienia.

— Ojcze! — wykrzyknęła Jadzia i rzuciła się ku jego piersiom.

— Bracie! — zawołał hrabia z lśniącem okiem — tyś przewyższył naszych wielkich przodków,

A Juljusz stał na boku drżący jak listek. Rumieniec okrywał mu lica, szlachetny blask bil z oczu.

— Panie — odezwał się naraz wzruszonym, ale pewnym i stanowczym głosem — do twoich wielkich zamiarów potrzeba i wielkich środków! Poznawszy twoje cele, nie mogę żadną miarą zatrzymać twego daru. Składam go napowrót w twoje ręce, rozrządzaj nim raczej ku triumfowi twojej idei.

Starościc z radością i uczuciem spojrzał na młodzieńca. Ścisnął go serdecznie za rękę i rzekł z widocznem rozrzewnieniem:

— Zatrzymaj go, zacny młodzieńcze, i działaj nim w swoim zakresie, w swojej sferze. Mnie pozostały środki dosłateczne. Prócz znacznej zatrzymanej gotówki posiadam inne obfite źródło. Ojciec mój nieboszczyk powierzył mi w jednej z swej chwil jasnych, że w dworze znajduje się ukryty znaczny skarb familijny w złocie, który jeszcze dziad mój wyłącznie i jedynie przeznaczył na cele publiczne, *pro publico bono*. Jak ojciec dziadowi, tak ja musiałem przysiąc ojcu, że skarbu tego nie tknę nigdy, chyba *pro publico bono!* Zdaje się jednak, że rozporządzając nim teraz nie łamię przysięgi.

Juljusz wstrząsł głową niezachwiany w swem postanowieniu.

— Ależ panie, ja ci zupełnie obcy, a ty masz córkę!

W oczach starościca zagadkowy zamajaczył promyk.

Spojrzał bystro na młodzieńca, który z zachwytem i uwielbieniem wpatrzył się w tej chwili w cudną postać dziewicy.

Twarz starościca zajaśnia, a dziwny uśmiech przemknął mu przez usta.

Pochwycił jedną ręką Jadwigę, drugą przyciągnął bliżej Juljusza.

— Tak, mam córkę, córkę jedyną, ubóstwiawią, brat Zygmunt przyrzekł jej być ojcem, a ty, Juljuszu, mój synu, czemże chcesz być dla niej...

— Bratem czy mężem? — dodał po chwili.

Jadzia krzyknęła i drżąca i zapłoniona skryła twarzyczkę na piersiach ojca.

Juljusz stał chwilkę niemy i nieruchomy, jakby nagłe szczęście olśniło i pozbawiło go przytomności.

— Ojcze mój! — krzyknął nagle na pół szalony z radości i przyciskając gwałtownie jego rękę do ust, bezwiednie i mimowolnie pochylił się na kolana do stóp dziewczyny.

I prześliczna grupa utworzyła się nagle w tym ponurym blado oświetlonym pokoju.

Starościc z swą natchnioną, nadziemskim blaskiem opromienioną twarzą dziwnie wspaniale wyglądał śród tych nadobnych postaci, drżących pod gwałtownem wzruszeniem i natłokiem wspólnych uczuć i nadziei!

Na boku stał hrabia poważny i imponujący, wzruszenie malowało się na jego twarzy, łzy lśniły w oczach, a w tyle za nim ukląkł stary kozak, drżał jak listek ze wzruszenia i zalewa-

jąc się łzami szczęścia i radości, mruczał z ułożonemi na piersiach rękami w prostocie swej duszy poczciwej i szlachetnej:

— Boże! daj im tylko to, czego warci!

## ROZDZIAŁ OSTATNI.

Poznawszy tajemnicę zaklętego dworu, stanęliśmy nareszcie u kresu powieści.

Wszystko co pozostało jeszcze powiedzieć, czytelnik sam z siebie mógłby domyśleć się po większej części.

Wierny swym planom, pojednany z bratem, i zapewniony o losie swej córki starościc zaraz nazajutrz zniknął z okolicy.

Tajemnica jego śmierci, mimo surowego śledztwa wytoczonego wskutek pojawienia się nieboszczyka przy pożarze, pozostała nienaruszoną.

Bo też pomyślnym zbiegiem przypadków starościc bardzo zręcznie umiał omamić wszelkie pozory; śmierć jego w Dreznie stwierdzały liczne niezbite dowody.

Starościc przejeżdżając przez Niemcy po dłuższym pobycie w Paryżu, dla większego bezpieczeństwa przywdział był suknie swego kozaka Oleksy Pałuńczuka, jego zaś przebrał w swoje własne. W tak zmienionych postaciach przybyli do Drezna. Tu zachorował nagle ciężko przebrany kozak, a najusilniejsza pomoc lekarzy nie mogła zachować go przy życiu. Wtedy to starościc pod natchnieniem wyższej myśli powziął swój plan szczególny. Pozostał i nadal w swem *incognito*, a owego kozaka dał po wszelkiej formie pochować za siebie samego.

Tym sposobem wyjaśniają nam się zupełnie dziwne wiadomości, jakie Żachlewiaz zasięgnął w Dreznie. Mniemany starościc wydawał się wszystkim w samej rzeczy jeśli nie warjatem, to przynajmniej jakimś dziwakiem i niedołęgą bez wszelkiego wychowania i wykształcenia, tem więcej, że wszędzie i zawsze szedł ślepo i bezwarunkowo za wolą swego kozaka, który tylko w oczach Kościa Bulija w swej właściwej przedstawiał się postaci.

Umarłszy i pochowawszy się *in effigie* w Dreźnie, starościc z Kościem Bulijem powrócił do kraju, a dalsze jego dzieje i działanie znamy z toku powieścł.

Co się dalej z nim stało, niepodobna mimo najszczerszej chęci opowiedzieć w całości...

Powieść nasza toczyła się jak wiadomo w roku 1845. Rok następny, pamiętny w dziejach naszego kraju, nastręczył staroś-

cicowi szerokie pole działania, ale jak tyle ofiar innych, pochłonął go w sobie...

Tymczasem chcąc niechcąc, musimy po tych tylko wielu skazówkach rozstać się z naszym bohaterem. . . . . .
. . . . . .

Hrabia Żygmunt Żwirski dotrzymał wiernie danego bratu w ostatniej rozmowie przyrzeczenia.

Odebrawszy od Kościa Bulija metrykę i akt adoptacji Jadwigi, przyjął zupełną nad nią opiekę.

Oczywiście, że na pierwszą wieść o jej pojawieniu się Żachlewicz odstąpił cożywo od procesu. Wygrana, wobec pojawienia się bliższego od hrabi spadkobiercy, nie mogła mu już najmniejszej przynieść korzyści...

Juljusz zaraz w miesiąc dobrowolnie podzielił się majątkiem z właściwą sukcesorką, prowadząc ją z upojonem sercem do ołtarza.

Katylina wygojony i uleczony, poraz pierwszy w swem życiu wystąpił w czarnym fraku i służył za drużbę przyjacielowi.

Eugenja drużbowała Jadwidze, ale zaraz w kilka miesięcy poszła sama za jej przykładem i oddała rękę znanemu nam kuzynowi, hrabiemu Augustowi Wyklickiemu. Familijne, genealogiczne podobieństwo między obiema siostrami stryjecznemi pozostało na zawsze, owszem wzrosło z czasem jeszcze wyżej.

Hrabia oddalił na cztery wiatry Żachlewicza, a dzięki lepszej administracji uporządkował sprawy swe bardzo pomyślnie.

Dziś jestto magnat całą gębą, szanowany i poważany w kraju, należy do szczupłej liczby arystokracji polskiej, na której znaczenie składają się w równej części zasługi przodków, cnoty osobiste i szczere i serdeczne wylanie dla kraju. Bardzo rzadko pokazuje się tylko we Lwowie, a unika jak ognia wszelkiego zetknięcia się z tak zwanymi arystokratami galicyjskimi, co to bądź dawne ekonomskie plamy, bądź spekulanckie brudy lub ciepłe jeszcze z pod berłydków miejsca pookrywali pozorną politurą. . . . . .

Młody Artur Żwirski urósł dziś w dojrzałego młodzieńca, a rówieśnicy nazywają go ironicznie *sawantem*, bo zna całego Mickiewicza na palcach, i bierze żywy udział w ruchu ojczystej literatury. Niektórzy obawiali się nawet, aby uchowaj Boże nie został sam literatem polskim, coby niesłychaną rzeczą wydało się w gronie galicyjsko-arystokratycznej młodzieży, nie umiejącej dobrze po polsku.

Pamięć brata zachowuje sam hrabia Zygmunt święcie w swem sercu, a jego tajemnicy przestrzega nawet i po rzeczywistej śmierci...

Pozostawiając sobie dalsze główne osoby naszej powieści na sam koniec, wypada nam wspomnieć naprzód jeszcze o kilku figurach podrzędniejszych.

Mykita Ołańczuk po podłożeniu pożaru zniknął bez wieści z okolicy i nikt nie wie, co się z nim stało.

Jedni mówią, że błąka się gdzieś po Podolu, drudzy utrzymują, że umarł w Samborze w wojskowym szpitalu, a na przekór jednym i drugim utrzymywał jakiś dziad przechodzący, że się powiesił gdzieś koło Drohobycza na drzewie przy drodze. . . . . .

Czcigodny mandatarjusz pan Bonifacy Gągolewski, skompromitowany porozumieniem z Żachlewiczem, musiał po dwudziestu latach zejść z swej długo piastowanej posady. Czas jakiś siedział na „bruku", potem znalazł gdzieś obowiązek w wschodnich obwodach. Nie wiodło mu się już tak jak w Żwirowie, ale pocieszał się zawsze jak mógł.

Niebawem, niebawem nastąpiła organizacja, pan mandatarjusz osiadł w miasteczku na stałem mieszkaniu.

Czcigodna połowica wolniejsze życie zaczęła prowadzić w miasteczku, jakaś nieszczęśliwa spółka z żydem bankrutem pochłonęła całą żmudnie uciułaną gotówkę starego mandatarjusza, a tysiączne przykrości jak grad zlewają się na jego tak zacną i zasłużoną osobę.

— Pal djabli wszystko — mawia często były mandatarjusz z ciężkiem westchnieniem. — Nie było i nie będzie nad mandatarjuszów! Bogdajto mandatarjuszowskie czasy! Co mi tam szkodziło, że szelma żyd kłócąc się z drugim po wszystkich znanych słowach zelżywych, dodawał zawsze ty taki, ty owaki, ty *mandator!* albo że głupi chłop nie miał gorszego przekleństwa na niesforne i szkodne prosięta, gęsi, kury i kaczki jak: bogdaj cię mandator zjadł! Człowiek śmiał się z tego, a z tem wszystkiem miał i znaczenie, i codziennie puchła mu kieszeń... a teraz!...

Nie dziw, że w takich chwilach kwasu i złego humoru, były mandatarjusz wpada w ferwor niezwykły i wzbiera żółcią i sarkazmem.

I ciągle poczciwiec żyje w tem przekonaniu, że bez mandatarjuszów nie można obejść się na świecie, i że dziś jutro otworzy im się dawne pole działania.

— Galicja bez mandatarjuszów, to jak zegarek bez kółek — mawia.

A pierwsze zapytanie, kiedy gdzie przypadkowo spotka się z jakim dawnym znajomym, jest zawsze jedno i to samo:

— A nie słychać tam co o mandatarjatach?

Nie powinnoż rozczulać tak szczere i serdeczne przywiązanie do swego dawnego stanu?

Nim jednak porzucimy czcigodnego wyobraziciela minionej u nas epoki jurysdykcyjnej, musimy z swej strony dorzucić jedną uwagę. Charakteryzując pana Gągolewskiego nie mieliśmy nigdy na myśli całego ogólnego stanu mandatarjuszów w Galicji, wpośród których, jak wiemy najlepiej, znajdowało się wielu ludzi zacnych, prawych i wylanych dla ojczyzny. Pan Bonifacy Gągolewski ma służyć za typ szczególny, za wyobraziciela większej, gorszej części mandatarjuszów, jak się urobiła i uformowała na swem anormalnem stanowisku. A mamy to wewnętrzne przekonanie, że malując go, jeśli nie za bladych, to pewnie nie za jaskrawych użyliśmy barw.

Od pana mandatarjusza najłatwiejsze i najstosowniejsze przejście do pana Gustawa Chochelki.

Nieoceniony aspirant erotycznego rymotwórstwa o sążnistych nogach i zawiesistych bakenbardach zrobił jak mówią w świecie karjerę niesłychaną! Został djurnistą przy urzędzie podatkowym.

— Ale to przez szczególny przypadek — jak powiada sam.

Różnemi drogami idzie szczęście ludzkie! Z upływem czasu miał już wyleczyć się zupełnie z swego romantycznego usposobienia, ale w swoją tęgą głowę i powaby swych bakenbardów wierzy po dzień dzisiejszy . . . . . .

. . . . . .

Najtragiczniejszy los spotkał poczciwego Girgilewicza. Juljusz przebaczył mu udział w spisku z Żachlewiczem, ale nie mógł ścierpieć jego surowego obchodzenia się z chłopami. Po skończonym roku pan Girgilewicz wolał ustąpić z służby niż zmienić tryb postępowania.

— Chamom kłaniać się nie będę, taj tylko — mawiał z nieprzełamanym uporem. — Wiem kto do czego jest, cham do nahaja, taj tylko!

— A zresztą poco mi już w służbie stare tyrać kości — dodawał — trzydzieści lat byłem na miejscu, uciułało się parę tysiączków, taj tylko.

I w samej rzeczy nie parę, ale przeszło sto tysiączków uciułało się w ciągu trzydziestoletniego administrowania buczalskiego klucza przy pierwotnem niedbalstwie starościca i następnym bezładzie po jego śmierci.

Pan Girgilewicz jak wszystko zliczył i zabrał, co od tylu lat odkładał do skarbony, aż sam krzyknął ze strachu i oburącz chwycił się za głowę.

A tu na domiar przybywa zacna połowica i wysypuje na stół długą pończochę samych dukatów. Uzbierała je z samych wieprzów, prosiąt, gęsi, kur i kaczek, wykarmionych przez trzydzieści lat na pańskim pośladzie.

— Jest z czem zacząć taj tylko! — wykrzyknął i zatarł ręce.

A zaraz nazajutrz wraz z nieocenioną połowicą popędził co tchu do Lwowa.

— Jadę targować parę folwarków, taj tylko — poszepnął na ucho znajomym.

I targował się, targował długo! aż wreszcie dobił się własnej posiadłości.

I dziwne nieszczęście losu!

Zaledwie rozgospodarzył się na swojem i zaczął smakować w przyjętym tytule jaśnie wielmożnego a co najgłówniejsza, cieszyć się niekontrolowaną władzą nad swymi poddanymi, aż tu — o furje piekielne! w jednej chwili ustaje pańszczyzna, zrywają się węzły poddańcze!

W Girgilewicza jakby grom uderzył z jasnego nieba. Duszno mu się nagle zrobiło w piersiach, ciemno w oczach, bezładnie w głowie.

— Koniec świata, taj tylko! — mruknął na pierwszą o tem wiadomość.

I od tej chwili jak gdyby kto jednym zamachem starł na miazgę całą jego dawną energję i istotę, zmienił się do niepoznania.

Pogrzebowy smutek rozlał się na jego twarzy, boleść i zwątpienie zwierciedliły się w oczach.

Cały świat wydał mu się jakoś pustym, dzikim a posępnym jak sam przedsionek piekła. Nic go nie zajęło, nic nie rozweseliło, chodził smutny i ponury z wybladłą twarzą, zapadłemi oczyma, zapiekłemi usty jak upiór z drugiego świata.

— Niema co robić na świecie, taj tylko — powtarzał raz poraz.

Wszystkie dawniejsze wyobrażenia starego ekonoma powaliły się w gruzy na wieki, a nie było ani chęci ani materjału tworzyć nowe.

Nie jadł, nie pił, nie spał, a w krótkim czasie zwiądł i zesechł jak u jego ulubionego nahaja trzon z sarniej nóżki.

— Koniec świata, taj tylko — powtarzał nieustannie i wzdychał ciężko i żałośnie.

I bez żalu, bez smutku rozstał się z tym światem po kilku miesiącach, przebytych bez pańszczyzny i poddaństwa.

Ostatnie jego słowa były:

— *Furda*, ani rusz bez pańszczyzny, taj tylko!

W testamencie swym ślubował sto mszy Bogu, jeśli wrócą dawne stosunki, a cham zostanie nazad chamem — taj tylko, jak dopisał własną ręką.

Jego syn jedyny objął majątek, a zasilony indemnizacją, mieszka stale we Lwowie i należy do naszej tak zwanej galicyjskiej młodzieży *merinosowej*.

Ugania konno wzdłuż wałów i po wysokim zamku, ambonuje krzesło na balkonie...

Rodzoniuteńki wnuk karczemnego stróża Jurka Giergoły, bezpośredni potomek ekonoma Onufrego Girgilewicza, poprostu na Wojtka ochrzczony, podpisuje się dziś na biletach wizytowych *Le chevalier Adalbert de Gergolicki*.

Niech żyje arystokracja rodowa! . . . . . .

. . . . . .

A cóż się stało z Zaklętym dworem, z Juljuszem, Jadzią, Kośtiem Bulijem, a przedewszystkiem z Katyliną? wszak to najgłówniejsze figury powieści! — wykrzykniesz może, piękna a niecierpliwa czytelniczko.

Przyznam ci się, że wbrew przyjętym obyczajom powieściarskim, umyślnie pozostawiłem je na sam koniec, jedynie aby aż do ostatniego wiersza przetrzymać ciekawość twoją.

Dwór zaklęty, upiększony i zrestaurowany, jest dzisiaj siedzibą Juljusza i pięknej małżonki. Odkąd przestał osłaniać tajemnicze zabiegi maziarza, upadł zarazem ciężący na nim warunek testamentu starościca.

Kośt' Bulij odbudował się na dawnem miejscu i jest w ciągłych stosunkach z dworem, Juljusz i Jadwiga czczą i kochają w nim najwierniejszego przyjaciela nieboszczyka starościca, a stary kozak przylgnął z taką samą nieograniczoną miłością, z tem samem bezwarunkowem poświęceniem do dzieci, jakiem tchnął niegdyś dla ojca.

Posiwiał jak gołąb i więcej jeszcze jak dawniej stał się milczącym i małomównym, ale nigdy nie wierzy, aby starościc umarł naprawdę.

— Przyjdzie on, przyjdzie, niech tylko wybije godzina!... — powiada zawsze niezachwiany w swem przekonaniu.

Cóż jeszcze powiedzieć o Jadwidze i Juljuszu?

Bóg zda się wysłuchał modlitwy Kośtia Bulija i zlał na nich to szczęście i błogosławieństwo, na jakie zasługują szlachetnością swych dusz i serc kochających.

Troje prześlicznych dziatek uświęciło już dotąd ich związek i wzajemną miłość bez granic, a dalszy przyrost w nadziei.

Pamięć starościca tkwi święta i nienaruszona w sercach obojga, a Juljusz trwa wierny i niezachwiany w swych zasadach... Pracuje gorliwie dla idei odrodzenia, majątkiem i własnym udziałem popiera silnie każdy cel narodowy, każdy błysk i objaw narodowego ducha, a nie ustaje w zabiegach ku oświeceniu i przejednaniu ludu...

Dlaczegoż to taki rzadki przykład pośród naszej szlachty, która umie jeszcze wprawdzie kochać ojczyznę, a nie chce czy nie umie objawiać tej miłości... czynem i poświęceniem?

. . . . . .

Katylina, acz uszlachetniony i podniesiony moralnie, nie wyleczył się nigdy z swych niesfornych i awanturniczych popędów, lecz odtąd umiał im zawsze podsunąć pewien cel szlachetny, nadać pewien kierunek godny...

Trzy tygodnie przeleżał na rany od pożaru a ta ciężka próba przyczyniła się także niemało, aby szlachetną jego w gruncie duszę, niezrównanc serce i jedyny charakter oczyścić i uwolnić od zgubnych zadawnionych przywar i skłonności, które z czasem mogły go zwichnąć zupełnie.

Katylina zachował zawsze swój humor wesoły i niezachwiany, swą otwartość szczerą i serdeczną, swą energję zuchwałą i niepohamowaną, ale nauczył się czuć delikatniej i pojmować subtelniej obowiązki honoru.

W jego fizjognomji nawet zatarł się ów jaskrawy wyraz niepoprawnej efronterji i cynicznego sardonizmu; a w charakterze najmniejszy po nich nie został ślad.

— Skąpałem się nareszcie w pokoście przyzwoitości towarzyskiej, podkadziłem się dymem względów światowych — mawiał sam o sobie w swych właściwych drastycznych porównaniach.

Snadź jednak wrażenie, jakie sprawiła na nim niedawna ta-

jemnicza nimfa zaklętego dworu, było głębsze i silniejsze, niż się zdawało pierwotnie, bo zaraz po ślubie przyjaciela wyniósł się z jego domu.

— Ocalony z jednego ognia, na co mi igrać z drugim niebezpieczniejszym? — wynurzył się z szczerą otwartością.

Juljusz nie mógł zapomnieć jego poświęcenia i zmusił go najusilniejszemi zaklęciami przyjąć dzierżawę Szypałówki, jednego z odleglejszych folwarków żwirowskiego klucza.

Ale niedługo przesiedział na niej spokojnie zapamiętały zwolennik niezwyczajnych przygód i burzliwszych zapasów życia. Przejęty ideą starościca wplątał się w wypadki następnego roku i tak żywy i ważny wziął w nich udział, że po rozbiciu się wszystkiego, popadł w pierwszej instancji karze śmierci zmniejszonej potem w dwudziestoletnie więzienie.

Ogólna amnestja w dwa lata później powróciła go napowrót na łono ojczyzny, ale znowu nie na długo.

Katylina wżył się całą duszą i istotą w ówczesny stan rzeczy i stosunków. Lecz po rozmaitych kolejach w kilkanaście miesięcy znalazł się w Turcji, a przyjmując islam wraz z swym wodzem, pozostał w służbie tureckiej, obsypywany z każdym rokiem nowemi zaszczytami.

I szczęśliwszy od swego wodza, doczekał się niebawem walki z Rosją, w której szczytny i świetny wziął udział.

A teraz, mój łaskawy i niełaskawy czytelniku, radzi nieradzi musimy pożegnać się z sobą. Jeśli tu i owdzie w toku opowiadania za wiele kazałem ci własnym odgadywać domysłem to poznasz snadnie, że to wina przedmiotu i treści, a nie biednego autora.

KONIEC.

# „Książnica Narodowa"

Chcąc uprzystępnić jak najszerszemu ogółowi czytanie dobrych książek, rozpoczęliśmy pod powyższym tytułem bezwarunkowo **najtańsze** wydawnictwo, mające objąć najlepsze popularne utwory naszych pisarzów dawniejszych i współczesnych, pod redakcją prof. d-ra St. Pazurkiewicza.

Rocznie będzie wychodzić po **10 dużych tomów** w oprawie.

Warunki prenumeraty są następujące: *)

Każdy tom oddzielnie, wraz z przesyłką zł. 2,50
Rocznie, zgóry za 10 tomów „ „21,—

Przenumerator 6-ciu egz. otrzymuje siódmy egzemplarz darmo.

Wyszły już następujące tomy „K. N.":

Tom I KRASZEWSKI J. I. — Stara baśń.
„ II KORZENIOWSKI J. — Spekulant. Kollokacja.
„ III BERENT W. — Fachowiec.
„ IV ŁOZIŃSKI W. — Zaklęty dwór.
„ VI GRUSZECKI A. — Krety.
„ VII KURAŚ F. — Przez ciernie żywota
z przedmową St. Żeromskiego.

**W druku:**

Tom V STASIAK L. — Brandenburg, kraina słowiańskich mogił.
Tom VIII KRASZEWSKI J. I. — Tułacze.

Dalsze tomy w przygotowaniu.

**Księgarnia A. Gmachowskiego, Częstochowa.**

*) Dla dotychczasowych prenumeratorów warunki, jak dotąd.